

OWIĄS MARIUSZ WOLLNY HEB



KACPER
RYYX
otwarte

I KRÓL PRZEKŁĘTY

MARIVSZ WOLLNY

KACPER RYX

I

KRÓL
PRZEKLETY

WYDAWNICTWO OTWARTE

KRAKÓW 2008

Copyright © by Mariusz Wollny

Projekt okładki: Adam Stach

Fotografia na okładce:

Copyright © for the photo at the cover by alxm / Stockxpert

Opieka redakcyjna: Arletta Kacprzak

Redakcja tekstu: Robert Chojnacki

ISBN 978-83-7515-993-6

Plik wyprodukowany na podstawie: Mariusz Wollny, *Kacper Ryx i król przeklęty*, wyd. I, Kraków
2008

Wydawnictwo Otwarte

www.otwarte.eu

**woblink**

www.woblink.com

Plik EPUB przygotowała firma Legimi Sp. z o.o.

Kacper Ryx i król przeklęty

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Kraków Kacpra Ryksa

Podziękowania

Prolog

Rozdział 1 Lęk

Rozdział 2 Amulet

Rozdział 3 Księgi

Rozdział 4 Znak

Rozdział 5 Przebierańcy

Rozdział 6 Stos

Rozdział 7 Siurpryza

Rozdział 8 Mężobójstwo

Rozdział 9 Wilkołaki

Rozdział 10 W saku

Rozdział 11 Rozprawa

Rozdział 12 Rapt

Epilog

Postscriptum

Notka historyczna

Słownik

Kraków i okolica w czasach Kacpra Ryksa

*Kochanej Róży
i drogiej Reni*



*Serdeczne podziękowania dla Pana
Roberta Chojnackiego za uwagi, które
wyszły książce na dobre, oraz dla
Pawła Kowalskiego i Janusza Skalskiego
za udostępnienie mi swoich księgozbiorów*

PROLOG

Paryż, marzec 1314 roku

Wielki mistrz Rycerzy Świątyni, Jakub de Molay, podniósł oczy do nieba, ale go nie widział. Przez głowę przelatywały mu wszystkie momenty z jego burzliwego żywota. I te istotne, i te zupełnie błahe, bezpowrotnie, zdawałoby się, wyrzucone z pamięci. Wiele razy słyszał, że tak się dzieje w podobnych chwilach, a teraz i on tego doświadczał. Ale choć bardzo się starał, w żaden sposób nie znajdował we wspomnieniach niczego, czego musiałby się wstydzić, ani tym bardziej żadnej winy, która usprawiedliwiłaby jego obecność w tym miejscu i w takiej sytuacji. Mimo to nie złorzeczył Bogu, dobrze wiedząc, że niezbadane są Jego wyroki.

Zbudowany na paryskiej wyspie Cité wysoki stos płonął jasno. Ogień buchał w ołowiane niebo, smrodliwy dym rozwiewał się i niósł fetor palonych ciał. Zgromadzona na obu brzegach Sekwany gawiedź wdychała go z lubością, rada z uczestniczenia w tak niecodziennym widowisku – okrutnej kaźni dwóch najważniejszych przedstawicieli do niedawna potężnego zakonu templariuszy. Oskarżono ich o oddawanie czci diabłu Bahometowi, ponieważ król Francji Filip Piękny zapragnął pojąć ponoć nieprzebrane bogactwa zakonu.

Braci zakonnych od wielu miesięcy tropiono, wtrącano do lochów, torturowano, a jeśli nadal nie przyznawali się do wyssanych z palca zarzutów, w tym sodomii – palono po kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu naraz. Jedni umierali w milczeniu, inni przeklinali albo wzywali pomocy boskiej, jeszcze inni wykrzykiwali coś bez sensu, postradawszy zmysły. Najwięcej szczęścia mieli ci, których gryzące kłęby dymu zadławiły wprzód, nim dosięgnął ich ogień.

Tego dnia, 18 marca, zostało już tylko dwóch niezłomnych – wielki mistrz oraz prowincjał Normandii. Przywiązani do jednego pala, obaj starcy umierali z godnością, nie dając swym oprawcom satysfakcji. Geoffroy de Charnay już skonał, zaduszony

dymem. Jakub de Molay nie dostał takiej łaski. Płomienie stosu ogarnęły całe jego umęczone torturami ciało, nie dotarły jedynie do twarzy, strasznej jak upiorna maska, z wytrzeszczonymi oczyma i wyszczerzonymi w cierpieniu zębami. Spękane usta poruszały się w żarliwej modlitwie. Ale de Molay nie modlił się o cudowny ratunek, ani nawet o szybką śmierć. Modlił się o zemstę na głównych sprawcach swych męczarni i zagłady zakonu. Kiedy jego siwa broda zajęła się ogniem, gasnące oczy nagle zabłyśły, spojrzenie ogarnęło zgromadzony tłum, z ust zaś wyrwały się donośne słowa:

– Hańba! Hańba! Patrzcie, jak giną niewinni. Hańba na was wszystkich! Bóg was osądzi. Papieżu Klemensie, rycerzu Wilhelmie Nogarecie i ty, królu Filipie! Zanim rok minie, wzywam was na sąd boży po sprawiedliwą karę. Przeklęci! Przeklęci! Wszyscy przeklęci po trzynaste pokolenie waszych rodów!

Chaumont, maj 1560 roku

Tym razem królowa była sama. Tak samo brzydka: niska, pękata i nalana na twarzy jak przed pięciu laty, ale odmieniona. Stało się to nie tylko za sprawą czerni, której miała nie zdejmować aż do śmierci. Przed rokiem, po zgonie męża, włoskim obyczajem odziała się w kir (a nie biel obowiązującą królowe Francji w żałobie). Henryk II zginął bezsensownie, podczas turnieju dźgnięty kopią w oko (a prosiła, by nie zakładał paradnej złotej przyłbicy!) przez młodego kapitana swej gwardii, Montgomery'ego. W jej ruchach była większa pewność siebie. Nareszcie pozbyła się z dworu znienawidzonej staruchy, która opętała Henryka II, Diany de Poitiers diuszesy Valentinois, i została regentką sprawującą władzę w imieniu syna, Franciszka II. Ale stapała po cienkiej linii i jej panowaniu zagrażały potężne siły wewnątrz kraju i poza granicami. Dlatego bała się o przyszłość.

– Muszę dokładnie poznać los moich synów i Francji – oznajmiła bez ogródek; córki nie obchodziły jej wiele, chłopców zresztą też wcale nie kochała, byli jednak niezbędni dla urzeczywistnienia jej planów. – Obiecałeś mi to. I tym razem ma to być prawda – dodała z nutą groźby w głosie. – A nie to, co chciałabym usłyszeć.

Pięć lat wcześniej zażądała przepowiedni co do losu swojego potomstwa, „dzieci Francji”. Długo wówczas spoglądał (ze starannie skrywanym współczuciem) na wątłego Franciszka z wielką głową, któremu nieustannie lało się z nosa, na Karola z szalonymi oczyma złośliwego gnoma, na Aleksandra Edwarda z gadzim spojrzeniem i mroczną duszą, na szpetnego i głupkowatego Herkulesa; na dziewczynki: ładną Elżbietę nierokującą długiego życia, kaleką Klaudię i małą Margot z aurą bezpłodności. Znał przyczynę – te dzieci zostały naznaczone chorobami i śmiercią z powodu grzechów przodków z obu stron, którzy nabawili się choroby zwanej we Francji włoską, a we Włoszech francuską. Tylko jedno dziecko w tym gronie, mała

Maria, królowa Szkocji, która wychowywała się z „dziećmi Francji”, była zdrowym, ładnym rudzielcem, ale i jej los rysował się czarno. Mimo to odparł zgodnie z prawdą (choć co do Herkulesa miał wątpliwości):

– Wszystkich czeka świetna przyszłość. A chłopcy zostaną królami.

Nie dodał jedynie, że tego samego kraju. Nie był samobójcą, zaś królowej, nie bez kozery zwanej za plecami Madame le Serpent, Panią Żmiją, towarzyszyli ulubieńcy, Włosi jak ona. Człowiek bez skrupułów – czarnoksiężnik Kosma Ruggieri, przyboczny truciciel *messer René* oraz Sebastian Montecuculli, który na rozkaz Katarzyny otrul starszego syna Franciszka I, by zwolnić tron dla jej męża.

Medyceuszka bywała naiwna i łatwowierna, ale nie głupia, Nostradamus dobrze to wiedział. Chociaż wtedy mu uwierzyła, nie wyzbyła się lęku i wątpliwości. Tym razem był jednak lepiej przygotowany. Znajdowali się w upiornym zamku w Chaumont nad Loarą, gdzie Katarzyna całą wieżę kazała zaopatrzyć w czarnoksiężskie przybory służące do rzucania uroków na jej wrogów przy pomocy sprowadzanych tu przez nią czarowników i wiedźm. On zaś ściągnął medium, przywiózł magiczne zwierciadło i inne przyrządy, w tym dziwną maszynę z dużym kołem pośrodku, i zastrzegł sobie, by królowa była sama i nikt nie zaglądał do komnaty podczas seansu.

Począł, aż zegar na zamkowej wieży wybije północ, po czym wprowadził w hipnotyczny trans kobietę-czarodziejkę i zdjął z wielkiego zwierciadła przysłaniającą je białą materię. Dopiero wówczas zaprowadził królową do wyrysowanego uprzednio magicznego kręgu i posadził ją przed lustrem. Była zalekniona, bo nikt lepiej od niej nie pojmował potęgi magii – uprawiała ją przez całe swoje zabobonne i zbrodnicze życie. Przypomniała sobie starą przepowiednię Nostradamusa:

*Le lyon ieune le vieux surmontera,
En champ bellique par singulier duelle:
Dans cage d'or les yeux luy creuera,
Deux classes une, puis mourir, mort cruelle* [1].

Zadrzała. Jeśli mag tak dokładnie potrafił przepowiedzieć śmierć jej męża, może nie kusić losu? Ale ciekawość przemogła obawę. On tymczasem, obserwując ją kątem oka i domyślając się dręczących ją obaw, okadzał komnatę wonnym dymem, a następnie zaczął mamrotać niezrozumiałe słowa, na koniec wykrzykując jakieś dziwne imię.

- Wezwałem ducha – wyjaśnił cichym głosem – który zaraz wejdzie w medium.
- Co mam robić? – szepnęła królowa.
- Rachować.

Nagle, nim Katarzyna zdołała pojąć odpowiedź maga, kobieta drgnęła i poruszyła kołem. Równocześnie królowa ujrzała odbity w zwierciadle obraz koła z wyobrażeniem dobrze jej znanej sali tronowej w Luwrze i postacią swego najstarszego syna. Nie sposób było się pomylić. Przygarbiony, z trudem powłóczył nogami i

ciekło mu z nosa. Koło zatoczyło niepełny obrót i zatrzymało się. Gdy ruszyło ponownie, tkwiła w nim już inna sylwetka – jak poprzednia w królewskich szatach, z koroną i berłem, ale teraz był to z pewnością Karol, niewiele starszy niż obecnie. Koło z wolna zataczało kręgi, a Katarzyna z napięciem zaczęła liczyć obroty, bowiem zrozumiała nareszcie polecenie Nostradamusa – jeden obrót oznaczał rok panowania każdego z jej synów! Doliczyła się czternastu lat i obraz się zmienił – w zwierciadle pojawiło się widmo postawnego mężczyzny, ale dziwnie zniewieściałego, z kolczykami w obu uszach... Wstrząśnięta, dopiero po chwili rozpoznała go – to Aleksander! Jej oczko w głowie, jej ulubieniec, ale jakże odmieniony... Tym razem doliczyła się piętnastu obrotów koła. Zdruzgotana, pojęła straszną prawdę – jej synowie będą panowali po sobie i umrą bezpotomnie! Znalazła jednak dość siły, by zażądać ochryplym głosem:

– Chcę wiedzieć wszystko!

Nostradamus poważnie skinął głową i rzekł:

– Duchu, pokaż nam przyszłość tronu Francji.

Koło znów się poruszyło i na tafli lustra ukazała się zjawa niskiego, energicznego człowieka z wielkim nosem, odzianego byle jak i rozczochranego...

– Poznaję go! – zawołała Katarzyna na widok znienawidzonej postaci. – To Bearnńczyk! Burbon! Ten prostak o manierach parobka, cuchnący wieśniak! Nie!

Mimo to liczyła z napięciem obroty, a gdy koło znieruchomiło po dwudziestym drugim razie, wstała i bez słowa, zataczając się jak pijana i przytrzymując ściany, wybiegła z komnaty.

– Szybko! – szepnął Nostradamus do medium. – Nim dojdzie do siebie, musimy już być w drodze do Prowansji.

ROZDZIAŁ 1 | LĘK

Knyszyn, lipiec 1572 roku

7 lipca do zamkowej komnaty, w której leżał umierający, wszedł do ostatka oddany swemu panu Jan Drohojowski.

– Najjaśniejszy panie, poseł francuski Jan Balagny de Montluc i ów karzeł Krasowski, o którym powiadałem waszej miłości, proszą o posłuchanie.

Zygmunt August wiedział, że ta dwójka usilnie zabiega o poparcie kandydata francuskiego na tron polski po jego śmierci, ale nie miał najmniejszej ochoty ich oglądać. Uświadomili mu jednak to, co już wiedział.

– Ród Jagiellów na zawsze przecina się i gaśnie ze mną, i w tej tak ciężkiej niedoli ni sposobu, ni końca nie widzę, z żoną bezzenny, męż bez żony, dziwowiskiem małżeństwa we wszystkie wieki w oczach świata zostanę... – poskarżył się. – Nie chcę ich widzieć. Przyślij mi księży. Czy jest pod ręką szkarłatne sukno, w jakim zwykło się chować monarchów?

– Sprawdzę, wasza miłość – patrząc ze wzruszeniem na przeraźliwie smutną twarz króla, Drohojowski skłonił się nisko.

Wychodząc, usłyszał, jak August mówi do siebie:

– Francuz... Czemu nie? Po mnie choćby potop...

Król przyjął wiatyk, po czym odprawił duchownych. Zostawszy sam, po raz pierwszy od wielu dni bez pomocy wstał z łoża i jał przechadzać się po komnacie, pogrążony w myślach. Potem zażądał jadła, spożył z apetytem parę kęsów i legł znów, sprawiając wrażenie, że przemógł śmiertelną niemoc, co przywróciło nadzieję nielicznym wiernym dworzanom, którzy mu jeszcze pozostali. Usnął głębokim, spokojnym snem. We śnie przyszła do niego Barbara, ta prawdziwa, Radziwiłłówna, i wyciągnęła ku niemu ręce. Z okrzykiem radości i uczuciem nieopisanego szczęścia rzucił się w umiłowane ramiona.

Paryż, sierpień 1572 roku

Szedł pewnie w ślad za tym, który go ubezpieczał, panem de Chailly, kamerdynerem księcia d'Aumale. Uśmiechał się pod nosem, gdy towarzysz rzucał mu czasem ukradkowe, trwożne spojrzenia. Reputacja zawodowego zabójcy robiła swoje. Kapelusz miał wciśnięty głęboko na oczy, ale i ta przezorność była właściwie zbędna. Był bowiem wieczór, a ściślej mówiąc, niemal noc 21 sierpnia. I pustki na ulicach. Ludzie nie wychylali nosa z domów, jak przed wielką burzą, która wisiała w powietrzu, odkąd paręnaście dni temu zmarła otruta, rzekomo za sprawą Katarzyny Medycejskiej, królowa Nawarry Joanna. Nie rozproszył chmur odbywający się przed zaledwie trzema dniami uroczysty ślub jej syna, Henryka Nawarskiego, Burbona, z piękną królewną Małgorzatą de Valois. Ślub miał pogodzić protestantów, zwanych we Francji hugenotami (których jednym z przywódców był Henryk), z katolikami i zakończyć krwawe walki wyniszczające kraj od lat. Ale nic takiego nie nastąpiło. Pomimo wspaniałej uroczystości lud Paryża nie świętował, a gdy orszak ślubny wracał z katedry do Luwru, wznosił entuzjastyczne okrzyki na cześć przywódcy katolików, Henryka de Guise, równocześnie miotając pogrożki pod adresem wodza hugenotów, admirała de Coligny. A potem cały Paryż zastygł w oczekiwaniu.

Zatrzymali się przed domem kanonika Villemur, dawnego nauczyciela młodego Gwizjusza.

– To tu, panie de Maurevel – powiedział przewodnik, wymawiając nazwisko drżącym głosem.

– Wiem. – Sam wybrał to miejsce, dobrze mu znane z przeszłości, gdy pracował dla Gwizjuszy, zanim podkupiła go Katarzyna Medycejska, doceniając jego talent.

Otworzył im lokaj kanonika, do którego wnet dołączyła stara służąca i gdy Chailly się pożegnał, oboje powiedli Maurevela na piętro, do pokoju od ulicy, z oknami wychodzącymi dokładnie na dom naprzeciwko. Służąca zeszła na dół przygotować wieczerzę, on tymczasem rozpiął płaszcz, pod którym skrywał dwa arkebuzy, i położył broń na stole, który z pomocą lokaja przestawił pod okno. Potem zjadł przyniesiony posiłek, kazał się budzić przed świtem i położył się. Spał spokojnie jak niemowlę, ale ocknął się natychmiast, gdy tylko służa dotknął jego ramienia. Ubrał się szybko. Odmówił jedzenia, nakazał jedynie, by pozostawiono otwarte tylne drzwi do ogrodu i podstawiono pod nie osiodłanego konia. Był ostrożny, choć nie dopuszczał myśli o niepowodzeniu. Nie był głupcem. Wiedział doskonale, że królowa chce winę za zbrodnię zrzucić na Gwizjuszy, a jeśli zamachowiec zawiedzie, wtedy Katarzyna nie uniknie podejrzeń, już Gwizjusze się o to postarają. A wówczas jego życie nie będzie warte funta kłaków – Medyceuszka nie daruje mu fuszerki, a Gwizjusze zdrady.

Otworzył okno i dokładnie zasunął zasłony, zostawiając zaledwie małą szparę. Potem sprawdził i załadował broń. Wybrał arkebuzy z gwintowanymi lufami, bo były

celniejsze i lżejsze od muszkietów i nie potrzebowały lontu, który uniemożliwiał natychmiastowe użycie strzelby. Niosły bliżej, ale też odległość nie była wielka. Wysunął lufę nieco poza zasłony i przymierzył. Niezadowolony, zabrał z łóżka poduszkę i na niej oparł lufę. Teraz było dobrze. Ukontentowany, odprężył się i ją czekać.

Dokładnie tak jak to robił od przybycia do stolicy, co zabójca ustalił, z uwagą śledząc admirała od momentu otrzymania zlecenia, Kasper de Coligny wyszedł przed swój dom i dosiadł podstawionego konia, aby udać się na posiedzenie Rady Królewskiej. W chwili gdy na ulicę wysypali się towarzysze admirała, Maurevel ruszył cyngla. Ale moment wcześniej de Coligny pochylił się raptownie, by poprawić but. To go ocaliło. Pocisk chybił. Zabójca porwał drugi arkebuz i wypalił ponownie, po czym cisnął broń na stół i na łeb na szyję zbiegł na dół.

Kiedy ludzie admirała z obnażonymi rapierami wbiegli do domu kanonika, znaleźli jedynie dymiące jeszcze strzelby i usłyszeli tętent oddalającego się galopem wierzchowca.

Paryż, sierpień 1572 roku

– Admirał przeżył, madame, i ma się dobrze. Stracił tylko palec, lecz chirurg Paré, który wyjął kulę z ramienia, ręczy za jego życie – rzekł Henryk de Guise dwa dni po zamachu, patrząc na królową matkę ze złośliwą satysfakcją, jakby chciał jej powiedzieć: „Spaprałaś robotę, stara wiedźmo, i teraz całe odium spadnie na ciebie”.

– To prawda – wtrącił Karol IX. – Byliśmy dziś u niego i choć słaby, zapewnił nas o swym oddaniu.

Katarzyna starannie ukrywała rozczarowanie, choć w środku wrzała z wściekłości. Chybiony strzał zepsuł jej przebiegłą intrygę – pozbycia się za jednym zamachem dwóch rodów zagrażających panowaniu Walezjuszy: zlikwidowawszy jeden, chciała obarczyć winą drugi. Zachowując kamienną twarz, dała dyskretny znak rodakowi, Albertowi de Gondi, najbardziej zaufanemu z zaufanych, którego uczyniła diukiem de Retz z rentą stu tysięcy liwrów rocznie.

Gondi, zepsuty do szpiku kości obłudnik udający świętoszka, kochanek Katarzyny i rajfur, który młodocianym królewiczom dostarczał dziewczek i chłopców, deprawując ich do cna, i któremu kłamstwa przychodziły tak łatwo jak innym oddychanie, dostrzegł znak i rzekł z przejęciem, jak było ustalone:

– *Sire* – skłonił się z uszanowaniem, przybierając zatroskaną minę – hugenoci zbierają się w wielkiej liczbie pod domem admirała. Wiem z pewnością, że zawiązano spisek, którego celem jest zamordowanie waszej wysokości. Trzeba działać szybko i zdecydowanie.

– Nie wierzę – odparł Karol IX, który do niedawna chętnie otaczał się

protestantami.

– To uwierz – syknęła matka – zanim utną ci głowę. Coligny musi umrzeć, inni przywódcy heretyków też, inaczej twój tron nigdy nie będzie bezpieczny.

– To prawda, najjaśniejszy panie – wtrącił szybko Gwizjusz, kując żelazo póki gorące, bo wiedział, że niezrównoważonego Karola łatwo wprowadzić we wściekłość. – Trzeba uciąć łeb tej hydrze. Cały katolicki Paryż czeka tylko na twój rozkaz, *sire*.

Skinął na przedstawicieli miasta, Le Charrona i Klaudiusza Marcela, złotnika paryskiego i do niedawna starszego kongregacji kupieckiej, z którym był w zмовie i z którym od pewnego czasu przygotowywali się nie tyle do zlikwidowania przywódców hugenockich, co było też celem Katarzyny, ile do wymordowania wszystkich protestantów w stolicy, co było także życzeniem dążącego do pogrążenia Francji w chaosie króla Hiszpanii, Filipa II. Henryk de Guise, dobrze opłacany agent hiszpański, chciał upiec przy okazji własną pieczeń, którą była ni mniej, ni więcej, tylko francuska korona należąca się właśnie Gwizjuszom, potomkom Merowingów, a nie Walezjuszom, nędznemu pomiotowi uzurpatora Hugona Kapeta.

– Miłościwy panie – rzekł Marcel, kłaniając się nisko – daj znak, a uderzymy choćby dziś.

– A ilu macie ludzi? – król wciąż się wahał, pamiętając, że na ślub przybyło do miasta kilka tysięcy dobrze uzbrojonej i bitnej szlachty protestanckiej.

– Wystarczająco. Sto tysięcy za miesiąc, a dwadzieścia tysięcy jutro.

– Co ty o tym myślisz, Henryku? – Karol poradził się jeszcze młodszego brata, Aleksandra, który od czasu bierzmowania zaczął używać nowego imienia, a od niedawna także tytułu księcia d'Anjou.

Zagadnięty wzruszył ramionami, bawiąc się kolczykiem w uchu.

– Ja umyvam ręce. Róbcie, co chcecie. Oszczędźcie tylko na razie Kondeusza, bo inaczej jego żona już nigdy mi nie ulegnie, dobrze ją znam.

– Henryk Burbon też nie może zginąć. Ostatecznie to nasz szwagier... – mruknął Karol, coraz bardziej zapalając się do pomysłu wielkiej rzezi, jak przystało na króla, którego ulubioną rozrywką, oprócz kowalstwa i ślusarstwa, było ścinanie mieczem łbów osłom i mułom napotkanym na drodze oraz szlachtowanie świń, co nie przeszkadzało mu lubić muzyki, ładnie śpiewać i grać na lutni.

– Nie zginie – zapewniła syna Katarzyna. Nienawidziła Burbona z całej duszy i odkąd Nostradamus przepowiedział mu panowanie po Walezjuszach, chętnie zamordowałyby go własnymi rękoma, lecz rozumiała przy tym, że po wygaśnięciu Burbonów Gwizjusze staliby się wszechpotężni, i tylko to powstrzymywało ją przed wydaniem wyroku na zięcia; na razie... – Oto nadarza się nadzwyczajna sposobność, a ty masz niewczesne skrupuły! Basta! Decyduj się wreszcie albo wracam do Włoch, pozostawiając cię na pastwę zdrajców i spiskowców! Wybieraj!

Skołatany Karol, zawsze balansujący na krawędzi szaleństwa, rozdygotany, przyłoczony, wrzasnął:

– A więc chcecie tego? Ale zabijcie wszystkich, by nie pozostał nikt, by mi to

wypominać. Zabijajcie wszystkich, wszystkich!

Kraków, październik 1572 roku

Dyszał ciężko, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, płuca z trudem łapały oddech. Strugi wody lejącej się z ołowianego nieba spływały mu po karku, mieszając się z potem. Był całkiem przemoczony, lecz nie zważał na to. Nie ustawał w biegu, czując oddech prześladowców na plecach. Kluczył ulicami jak zajęc albo królik. Kiedy indziej uśmiełby się z tego, jakże stosownego porównania, gdyż nazywał się Królik, lecz teraz nie było mu do śmiechu. Gra szła o życie. Pojął to od razu, gdy tylko spojrział w oczy tamtego – bezlitosne i okrutne jak ślepie lewarta. Wyczytał w nich wyrok. I wówczas, przełamując paraliżujący strach, zerwał się do rozpaczliwej ucieczki.

Nie znał dobrze Krakowa, był wieśniakiem i zwykle to żona przynosiła towar na targ. Dlatego był zaskoczony, gdy nagle wybiegł na Rynek. Chwała Bogu, w dzień targowy kręciło się tu sporo ludzi, choć mniej niż dawniej. W tłumie zawsze łatwiej zniknąć ścigającym z oczu. O drugiej stronie medalu pomyślał dopiero wówczas, gdy usłyszał za sobą wołanie: „Łapaj złodzieja!”, i oczy ludzkie natychmiast spoczęły na uciekinierze. Wyciągnęły się ku niemu mnogie ręce.

Nie tracił czasu na dowodzenie swej niewinności. Wyrwał im się z trudem i pognał dalej, rozchlapując wielkie kałuże i potracając kram z jarzynami i owocami. Główki kapusty i jabłka potoczyły się po kamieniach, wpadając ścigającym pod nogi. A ponieważ bruk i tak był śliski od deszczu, posłyszał za sobą przekleństwa i rumor padających ciał, ale nie odwrócił się.

Wykorzystując chwilową przewagę, skoczył w jakąś boczną ulicę, po czym skręcił w prawo i nagle, pod wiechą oznaczającą piwiarnię, ujrzał zawieszkę w kształcie oka opatrzości. „To znak – pomyślał. – Boże, dopomóż mi!”. Ostatkiem sił wpadł w uchylone gościnnie drzwi.

Ta kobieta mnie intrygowała. Zachodziła do naszej gospody od kilku dni, zawsze o tej samej porze – około południa. Gospoda z wolna wypełniała się wówczas gośćmi, nie było tłoku i być może niewieście właśnie o to chodziło. Było w niej coś znajomego, zwłaszcza w zmysłowym sposobie poruszania się; może mimowolnym, gdyż odziana była skromnie. Zastanawiałem się, skąd mogłem ją znać, lecz do niczego nie doszedłem.

Ostatnio miałem trochę więcej wolnego czasu, dlatego często popołudniami siadywałem w ulubionym kącie, oddzielonym niskim przepierzeniem od reszty izby karczemnej. Co prawda jako magister *artium* (byłem nim od niespełna roku, czworoboczny biret bakałarza zamieniwszy na okrągły, przysługujący magistrum)

udzielałem lekcji żakom w szkole Świętego Ducha, bom był do tego zobligowany, ale za to na wykłady uczęszczałem rzadziej. Nie dlatego że absorbowały mnie inne rzeczy, choć na brak zajęć nie narzekałem – jako inwestygator cieszyłem się całkiem sporym wzięciem, acz sprawy, które prowadziłem, na ogół były błahe: zdobycie dowodu niewierności współmałżonka, wykrycie sprawcy domowej kradzieży i tym podobne. Nie, szło o to, że na akademii działo się coraz gorzej. Magistrzy, a nawet profesorowie, kłócili się na potęgę (zwłaszcza młodzi mistrzowie i bakałarze z Kolegium Mniejszego, wśród których szerzyło się też pijaństwo i łamanie celibatu) i lekce sobie wazyli postanowienia rektora, odwołując się od jego decyzji do sądu kościelnego, miejskiego lub grodzkiego. Zdarzało się coraz częściej, że po protekcji bronili doktoratów na wyższych wydziałach tacy, co nie uzyskali magisterium na wydziale *artes liberales*, ba! – w ogóle nie studiowali. Jak choćby ów Jakub Montanus, druh serdeczny Jana Kochanowskiego oraz przyboczny *phiscus* i protegowany biskupa Padniewskiego, który niedawno bez studiów został doktorem teologii mimo protestu niektórych członków kapituły – Marcina Kromera i Franciszka Krasieńskiego. Wprowadzono także promocje ekstraordynaryjne; znałem pewnego Czecha, który za pieniądze najpierw dostał bakalaureatu, a wnet i doktorem został. Bywali też – o zgrozo! – tacy, co zgoła nieprawnie używali tytułów naukowych. Niektórzy profesorowie, urlopowani do italskich uczelni dla podniesienia umiejętności, przeciągali pobyt za granicą w nieskończoność, nie zapominając jednak o korzystaniu z przyznanych prebend, i beneficjów i blokując miejsca drugim wykładowcom. Inni znów lekcewazyli swe obowiązki i z lada powodu odwoływali wykłady albo po prostu się na nie nie stawiali, nie przysyłając także substytutów, do czego byli obligowani. Zwłaszcza teraz, w tym niespokojnym czasie, gdy chaos panował nie tylko na uniwersytecie, lecz w całym kraju.

Opuściłem wzrok na przyniesiony rano list i podjąłem czytanie w miejscu, w którym je przerwałem:

...u mnie stara bieda. Awantury, procesy, sejmiki, zajazdy, wieczne turbacje pieniężne. Ojciec mój Joachim zadłużył się był ostatnio u niejakiego Worytki na przeszło tysiąc złotych, po czym wyłudził je od owego, z moim – o wstydzie! – udziałem. A było tak: wzięte pod zastaw obligu nasze Rudno i Zimną Wodę, ów Worytko puścił mi w dzierżawę, a tatko, zwiedziawszy się o tym, pożyczył mi niby tysiąc złotych, a wziął w zastaw... owe dobra uprzednio przez się zastawione. A że Worytce zmarło się tymczasem, tedy jego spadkobiercy na próżno dochodzą swych praw – z moim panem ojcem jeszcze nikt procesu nie wygrał!

I takie to niepiękne sprawy znów są mym udziałem, dlatego moje myśli coraz częściej biegną ku Bogu. Ach, powiadam Ci, Kacprze, jakże chętnie wracam przy tym pamięcią do owych miłych chwil, które spędziłem ongi w Krakowie. Jakże brak mi naszych wspólnych przygód! Bo cóż jest mamona? Marność! Jakom to wyrazić usiłował w niedokończonych jeszcze rymach:

*Złoto znać na strzechstanie, człowieka na złocie;
Mieć abo nie mieć złota – nic przez sie ku cnocie;
Próżno chwałę i ganię ten kruszec łagodny:*

Komu Pan Bóg dał rozum, zawsze jest swobodny... [2]

Nie znam zasię nikogo zmyślniejszego od Ciebie, tedy tuszę, iż mnie rozumiesz. Napisz koniecznie, co słyhać w Krakowie, całuj lubą Jankę i kłaniaj się jejmości Balcerowej oraz naszym wspólnym przyjaciółom. Twój druh serdeczny aż po zgon

Mikołaj

Ach, Sępie, gdzie jesteś? Bardzo mi go brakowało. Podobnie jak pozostałych towarzyszy, niewidzianych od z górą dwóch lat. Pan Jan Drohojowski bawił u boku króla jegomości, mistrz Jan Kochanowski, jak obiecał, osiadł w rodzinnym Czarnolesie (skąd łońskiego roku przysłał mi miły list), pan Górnicki wyjechał na dobre do Tykocina i czasem słał mi pozdrowienia przez Maćka, który pomagał panu Zamojskiemu porządkować archiwum królewskie i równocześnie studiował na akademii. I tylko pan Zamojski zaglądał czasem do gospody, gdy bawił w mieście. Ale i on niedawno, jako starosta bełski, wyjechał zawiązać konfederację szlachty ziemi bełskiej.

Westchnąwszy, złożyłem list od Sępa i znów obróciłem wzrok na niewiastę. Gdym ujrział ją po raz pierwszy przed kilku dniami, stanęła tylko w progu i zaraz się cofnęła, za drugim razem dotarła do połowy izby, nim zawróciła, teraz zaś stała u szynkwasu i pytała o coś Grubego Stacha. Po znaczącym spojrzeniu, które mi rzucił, poznałem, iż o mnie wypytuje. Na głowie czepiec z dobrej materii, szaty dostatnie, precjoza na szyi i palcach. Twarz szczelnie zasłaniała rańtuchem w obawie przed rozpoznaniem. Miałem już do czynienia z podobnymi do niej kobietami, próbującymi ukryć tożsamość – nosiły znane nazwiska i miały turbację z niewiernym kochankiem lub zazdrosnym mężem albo na odwrót.

Ostatnio często zabawiałem się w odgadywanie, kim są moi rozmówcy i jaka sprawa ich do mnie przywiodła, zanim jeszcze otworzyli usta. I muszę wyznać, nie chwając się (ci, co mnie znają, wiedzą, iż samochwalstwo jest mi wstrętne), że dobrze mi to wychodziło.

Obdarzywszy mnie szybkim spojrzeniem znad woalu, niewiasta w popłochu odwróciła wzrok i prawie biegiem podążyła ku wyjściu.

– Kto to był? – spytałem, podchodząc do szynkwasu.

– Nie przedstawiła się – Gruby Stach wrzusił ramionami. – Spytała jeno o ciebie, a potem sameś widział. Chyba tracisz swój młodzieńczy wdzięk, Kacper, skoro białki czmychają na twój widok jak oparzone. Pora się ustatkować, póki czas – wyszczerzył szczerbate uźębienie w uśmiechu.

– Pilnuj swego nosa – odburknąłem i podszedłem do gościa samotnie sączącego piwo, by wypróbować na nim swą nową metodę.

Był to pleczysty kmiotek, o pełnych odcisków spracowanych łapskach, ogorzałym licu człeka spędzającego dużo czasu na powietrzu i smętnym wzrokiem wgapionym w dzban. Pewnie przywiózł siano na dzisiejszy targ, bo w wełnistej czuprynie miał pełno źdźbeł, a buty utaplane w końskim łajnie.

– Stachu, dwa piwa! – zawołałem, dosiadając się do wieśniaka. – Dla mnie i tego pracowitego pocziwca, którego za niedługo czeka daleka droga do domu. Sprzedaliście całe siano, dobry człowieku?

– Tego już za wiele! – ryknął tamten, purpurowiejąc i zrywając się na równe nogi. – Najpierw jakiś dumny kmiot wywała na mnie wóz z sianem, potem wpadam w wielkie końskie gówna, a na koniec, gdy w spokoju topię sobie w piwie takowe spostonowanie mojej osoby, jakiś beczelny młokos ubliża mi od wieśniaków! Mnie, najlepszemu kowalowi na Kleparzu i tamtejszemu rajcy! Do kaduka! Udław się swoim piwem, łobuzie! – A nim trzasnął za sobą drzwiami, wrzasnął jeszcze: – Noga moja w tym podłym przybytku, gdzie obrażają gości, więcej nie postanie!

Stachowi szyderstwo natychmiast spełzło z oblicza, gdy napotkał moje srogie spojrzenie, ale serdecznego śmiechu rozbrzmiewającego od schodów nie potrafiłem zatamować – równie dobrze mógłbym próbować zawrócić Wisłę kijem. Ta dziewczka była niepoprawna. Nikogo nie słuchała i z nikim się nie liczyła. No, może czasem z ciotką Balcerową.

– Znów zabawiałeś się w jasnowidza? – rzuciła wesoło Janka, gdy już się naśmiała do syta. – Oj, Kacper, Kacper... Kiedy ty dorośniesz?

Z godnością, bo nie łatwo mnie urazić, choć akurat Jance udawało się to jakmiar za każdym razem, podszedłem do ławy zabrać rzeczy. Wcisnąłem na uszy czapkę, wrzuciłem na grzbiet skórzany kubrak i nie racząc odpowiedzieć, pomaszerowałem ku wyjściu z wysoko podniesioną głową, całkiem ignorując prześmiewców. Od progu rzuciłem tylko:

– Idę do duchaków – i wyszedłem.

Jesień była brzydka tego roku, jak to jesień, choć pamiętałem też wcale ładne. Mało słońca, chmury i co rusz deszcz. Jakby aura dopasowała się do sytuacji politycznej. Przecież nie tak dawno rozdzwoniły się dzwony w całej Rzeczypospolitej, a najgłośniejszy „Zygmunt” na Wawelu, oznajmiając skonanie ostatniego z Jagiellonów i pogrążając Koronę i Litwę w przygnębieniu i trwodze. I od tego czasu w ludzkich sercach wciąż panował Wielki Lęk. Już u schyłku życia króla krążyły przepowiednie, jakoby po jego śmierci państwo całe razem z nim zginąć miało. Powtarzano tę wieszczbę z ust do ust, co ludzi strachem i obawą napełniało. Poza tym, ponieważ w ostatnich latach August do rządzenia nie przykładał się zbyt, urosła swawola i lękano się, by ze skonem króla wszelka bojaźń prawa nie ustała, nie zaczęły się rozboje i mordy. Wszyscy rozumni ludzie zadawali sobie pytanie: „Co dalej?”. Minęły niemal cztery miesiące, kończył się październik, a nadal

nikt nie miał pomysłu, jaką drogą podążyć, za to panicznie lękano się bezkrólewia. Wiadomość o śmierci Zygmunta Augusta taki sprawiła zamęt, że nie było właściwie nikogo, kto by obecnym niebezpieczeństwem nierażony i strachem nieprzejęty nie rzucił się natychmiast do broni, do konia i wojennego rynsztunku, o ile był szlachcicem. Jeśli zaś mieszczaninem – zamykał się w domu i pilnował dobytku. Potaniały towary zbytkowne, za to zdrożała broń, bo każdy rad się zbroił. Mój brat Andrzej – miecznik, i szwagier Michał – rusznikarz, zarabiali po dwakroć tyle, co w zwykły czas. Dziwna obawa i troska o losy kraju i własne ogarnęła umysły wszystkich, albowiem nowy stan rzeczy przeraził Polaków. Nawet najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby nie było króla, bo też pośledni raz przygodziło się to przed dwustu laty. A tu ani króla, ani hetmana, bo po zgonie Mikołaja Sieniawskiego król nie powołał drugiego, ani wojska, okrom garści kwarcianych pod panem Jerzym Jazłowieckim strzegących ruskiej granicy. Powiadano, że czambuły już ruszyły z Krymu i ciągną ku Rzeczypospolitej, car moskiewski Iwan wojną groził i Litwę chciał zabrać, a Habsburgowie oskomę mieli na Koronę.

Słyszałem, iż prymas Jakub Uchański na wszelki wypadek wywiózł cichaczem skarbiec katedry gnieźnieńskiej do warownego zamku w Uniejowie, a Radziwiłłowie zaczęli przemyśliwać, jak by oderwać Litwę od Polski. W kraju wrzało jak w tyglu. Szlachta zbierała się, zawzięcie dysputowała i radziła. Aby zapobiec rozpasaniu i zbytkom, po raz pierwszy na czas *interregnum* powoływano na takich zjazdach sądy zastępcze, czy też doraźne, zwane kapturowymi, gdyż podobno samozwańczy sędziowie nosili kaptury, żeby ich nie rozpoznano, ale moim zdaniem prędzej od łacińskiego *capere* – łapać (złodzieja), choć niektórzy utrzymywali, iż chodziło o czas żałoby po śmierci króla, bo kaptur oznaczał żałobę. Obcym dyplomatom, pod karą opuszczenia Polski, zakazano mieszać się do polityki, aby nie powiększali zamętu. Wysuwano rozmaite rozwiązania turbacji z następstwem tronu, w tym koronację siostry zmarłego króla, wciąż siejącej rutkę Hanny Jagiellonki, i dobranie jej potem małżonka. Ten pomysł, nie tylko moim zdaniem, byłby najlepszy... gdyby rzecz wydarzyła się ze dwadzieścia lat wcześniej. Teraz bowiem królową, „doletnia dziewczica”, miała prawie pięćdziesiątkę i była niczym owa księżniczka uwięziona w wieży, do której nareszcie dotarł ratunek. Tylko, bagatela, o parę dekad za późno.

To wszystko oczywiście najbardziej zajmowało szlachtę, która wszędy, w każdej ziemi, zbierała się na narady, ale Wielki Lęk i niepewność jutra nie ominęły ani mieszczan, ani chłopów. Wystarczyło posłuchać, o czym mówiono na Rynku i po karczmach. Jakby tego było mało, przysłała z dalekiej Francji wieść o wielkiej rzezi kacerzy w Paryżu. Od razu i u nas katolicy z kalwinami jęli się brać za łby, do czego nigdy by nie doszło za życia króla jegomości, prawego apostoła tolerancji. A tak co rusz mieliśmy w Krakowie awantury między szlachtą kalwińską i miejscowym mieszczaństwem sprzyjającym luterskiej herezji a żakami i scholarami z akademii, aż do gardeł gotowymi bronić katolickiej wiary i bijącymi kacerzy, gdzie tylko ich napotkali. Przy tym minęły niedawne jeszcze czasy, gdy żacy musieli kryć się z

bronią – dziś nosili ją jawnie, zarówno białą, jak palną, i nie wahali się jej użyć. Kto nie musiał, nie wychodził zatem z domu. I dlatego szedłem dziś jakby wymarłymi ulicami, choć był to wtorek, dzień targowy, i jeszcze niedawno tłum o tej porze wlewałby się i wylewał z Rynku szeroką strugą.

Była i druga przyczyna takiego stanu rzeczy, niezależna od bezkrólewia. Oto bowiem gdzieś w połowie wieku, jak zgodnie prawili starsi kupcy i przedsiębiorcy pamiętający jeszcze króla Starego, skończyły się złote dla Krakowa czasy. Odkąd odkryto antypody zwane Indiami Zachodnimi lub Nowym Światem (a natknąłem się też gdzieś na nowe miano – Ameryka), zmieniły się prastare szlaki handlowe. Konstytucje sejmowe i edykty królewskie co chwila uderzały w mieszczan, zakazując im choćby posiadania dóbr ziemskich. Do tego dochodziły taksy wojewodzińskie tamujące wzrost cen, wzbranianie wieśniakom osiedlania się w miastach, za to nagminne wykupywanie domów w mieście przez szlachtę, ograniczenie prawa składu czy wyrastanie za murami jurydyk szlacheckich i duchownych, konkurujących na potęgę z rzemiosłem cechowym i handlem miejskim. Coraz częstsze były też ataki szlachty na udział delegatów miejskich w obradach sejmowych, choć byli oni jedynie obserwatorami bez prawa głosu. Słowem, źle się działo w państwie polskim.

W szkole duchackiej panowało rozprężenie nie mniejsze niż gdzie indziej. Na dodatek trafiła mi się chyba najbardziej rozbrykana czereda uprzykrzonych żaków. No, może z wyjątkiem tej, do której sam należałem przed laty. Dobry kwadrans zajęło mi pacyfikowanie rozdokazywanej młodzieży, nim wreszcie wszyscy zasiedli w ławkach z tabliczkami do pisania i rylcami w brudnych łapach. Po nauce rachunków przeszliśmy do łaciny.

– Zanim przystąpicie do czytania w tym szlachetnym języku, przypomnimy sobie niektóre zasady łacińskiej gramatyki – zacząłem. – Wiecie już, że starożytni Rzymianie słowo oznaczające czynność umieszczali na końcu zdania. Jaki zatem porządek winien mieć taki wers, gdyby go wypowiedział Rzymianin: „Litwin ruszył cyngla rusznicy”?

Tak jak się spodziewałem, odpowiedziała mi cisza.

– Mój Michniku ^[3] – rzekłem do piegowatego rudzielca w ostatniej ławce – jeśli natychmiast nie udzielisz prawidłowej odpowiedzi, tedy skonfiskuję ci tę procę, z której przed chwilą celowałeś do Egidiusza.

– Oho, magister chce się ze mnie pośmiać. Nie ma głupich – odparł zuchwalec, chowając procę za pazuchę.

Zdębiałem.

– Po pierwsze, wstań, młody człowieku. A po wtóre, wyjaw mi, co w tym widzisz trefnego.

– No bo żaden Rzymianin by tak nie powiedział. Rzymianie żyli dawno temu i nie znali Litwinów – usiadł, spoglądając na mnie z tryumfującą miną. – Ani Indyjan z Nowego Świata także, gwoli ścisłości i ku wiadomości mistrza.

Otarłem pot z czoła. Patrzyło na to, że z logiki i dziejów powszechnych byli lepsi ode mnie. Nie podniosło mnie to na duchu.

– Widzę cię, Egidiuszu *alias* Idzi, jeśli wolisz, by tak się do cię zwracać – warknąłem. – Przestań ryć kozikiem w ławce, bo ci natrę uszu. Może ty raczysz mi wreszcie odpowiedzieć na postawione pytanie.

– Niegłupim – zaśmiał się otrok. – Mnie na plewy nie weźmiecie, mistrzu. Toć każdy wie, że w czasach Rzymian nie było rusznic!

To przekraczało moje siły.

– Słuchajcie mnie, łobuzy zatracone, huncwoty, mały zielone! – wrzasnąłem, przekrzykując śmiech w całej izbie. – Rzymianin powiedziałyby: „Litwin cyngla rusznicy ruszył”. A teraz wynocha! Koniec lekcji na dziś.

Zląłem z katedry i powlokłem się do szpitala, z ulgą powierzając utrapionych basałków kantorowi. Co za dzień!

– Dobrze, że cię widzę – powitał mnie mój opiekun i mentor, *pater* Roch z zakonu duchaków, *hospitalarius* przy pomocy kapelana i infirmierza opiekujący się tutejszym szpitalem Świętego Ducha, na progu którego znaleziono mnie, podrzutka, przed dwudziestoma dwoma laty, w Trzech Króli, czemu zawdzięczam imię i nazwisko. – To mój chowaniec, o którym waćpanom mówiłem, Kacper Ryx – przedstawił mnie dwom mężczyznom, których akurat gościł. – A to wielmożny pan Mikołaj Firlej, starosta kazimierski, i mistrz Marcin Fox, lekarz.

Ukłoniłem się obu. Młody panek, choć wcale miło wyglądający, nie bardzo mnie zajmował, lecz medyk owszem. Syn złotnika, po studiach w Bolonii, uczeń sławnego Ulissesa Aldrovandiego, wybornego lekarza i przyrodnika, sławnego w całym chrześcijaństwie. Po powrocie do kraju Fox nie udzielał się publicznie, gdyż został prywatnym lekarzem Firlejów, bowiem w Bolonii poznał także tam odbywającego studia obecnego wojewodę i starostę krakowskiego Jana Firleja, zagorzałego kalwina, zapewne ojca przytomnego tu Mikołaja. Imię Foksa od zgonu króla Augusta było na ustach wszystkich. A to dlatego że kochający się w przepowiedniach monarcha kazał sobie postawić horoskop tyczący daty śmierci. Wedle Foksa król miał umrzeć w pięćdziesiątym drugim roku, zaś wedle jego rywala, astrologa Piotra Proboszczowica – w siedemdziesiątym drugim. I oto umarł w lipcu tegoż, 1572 roku, w pięćdziesiątym drugim roku żywota. Odtąd obaj astrologowie zażywali zasłużonej sławy.

– Jak się ma mistrz Aldrovandi? – spytałem Foksa, wiedząc z jego listów do mojego opiekuna, który co ważniejsze ustępy mi odczytywał, iż koresponduje ze sławnym badaczem.

– O, miło widzieć młodzieńca, któremu nieobce, co dzieje się w naszej profesji po szerokim świecie – pochwalił mnie medyk. – Mistrz Aldrovandi, jak zapewne waści wiadomo, pisze historię naturalną wszystkiego świata. Dowiedziawszy się ode mnie, że pod Kaźmierzem nad Wisłą woda draży miękkie skały, wypłukując z nich czasem jakieś wielkie kości, zlecił mi poszukanie, czy aby nie trafią się szczątki dawno

wymarłych stworów, które mógłby opisać w swej księdze i...

– I wystaw sobie, waść – wtrącił młody starosta, podekscytowany jak małe dziecko – ledwośmy zaczęli kopać, a już mamy całą górę jeszcze większych kości, niżli te zawieszono u wchodu do katedry krakowskiej!

– Dlategośmy przybyli do ojca Rocha, którego wiedzę wielce sobie cenię, by nam pomógł je opisać. Może waści uda się namówić opiekuna, aby zechciał z nami pojechać do Kaźmierza choć na parę dni – zwrócił się do mnie lekarz, a ja dopiero teraz pojąłem, że mówią nie o naszym Kaźmierzu, jeno o tym leżącym w dole Wisły, w połowie drogi między Krakowem a Warszawą; stanowczo nie był to mój najlepszy dzień.

– Czekamy w domu Bonarowskim, lecz co najwyżej dwa, trzy dni – dodał starosta na odchodnym. – Trzeba się spieszyć, bo pora mi ciągnąć na konfederację szlachty sandomierskiej.

– Masz jakiś ciężki przypadek, ojcze? – spytałem ojca Rocha, gdy sobie poszli. – Nie? Tedy pojedź z nimi. Ojciec infirmierz cię zastąpi. Przecie widzę, że ci uczynili skomę. Chyba nie odstręcza cię kacerstwo Firlejów?

Machnął lekceważąco ręką, bo choć zagorzały katolik, był bardzo tolerancyjny w sprawach wiary, zupełnie jak nieboszczyk król August, który chętnie mawiał: „Nie jestem stróżem waszych sumień”.

– Ee tam. Waham się po prostu... Może i pojedę... A co u ciebie?

– Nic zajmującego.

– To nowina, bom przywykłem, że awantury trzymają się ciebie jak psa rzepy. Kiedy *examen* licencjacki?

– Hola! Wpierw muszę odbyć egzamin bakałarski, a czeka mnie jeszcze jedna dysputacja. – Studia medyczne trwały cztery do pięciu lat i były trzystopniowe. – Potem następne dwa lata nauki, *biennium complere* i tak dalej. Co to, zapomniałeś?

Biennium complere było to „dopełnienie dwulecia”, czyli dwóch lat wykładów z zakresu medycyny teoretycznej i praktycznej, polegające na czytaniu podczas Wielkiego Postu i kanikuły łatwiejszych tekstów medycznych i przeprowadzeniu udanej obrony czworga konkluzji medycznych. Dopiero wówczas można było przystąpić do obrony licencjatu, a po odbyciu jeszcze jednej dysputacji, tym razem uroczystej, w obecności całego uniwersytetu i wicekanclerza, uzyskać doktorat, na co nie każdy się decydował z powodu znacznych kosztów.

– Feliks z Sierpca dalej gnębi scholarów Galenem, wierzy we wpływ gwiazd na przebieg leczenia i wojuje z Zawadzkiem?

W 1505 roku sławny Maciej z Miechowa ufundował drugą katedrę medycyny i odtąd mieliśmy dwóch profesorów. Katedrze medycyny teoretycznej hetmanił Feliks z Sierpca, który wierzył ślepo w Galena, Avicennę i Arystotelesa, tudzież parał się alchemią i zwalczał otwartego na nowinki drugiego profesora – doktora Stanisława Zawadzkiego, zwanego Pikiem, wybornego praktyka i światły umysł, kierującego katedrą medycyny praktycznej. Byli jak woda i ogień, choć obaj pobierali nauki w

Padwie u tego samego Fallopa.

– A jakże. Tylko że Feliks z Sierpca kwęka ostatnio, rzadko bywa na wykładach i, moim zdaniem, na księżą oborę spoziera.

– Wiem. Badałem go niedawno.

Znów mnie zaskoczył. Jak zwykle. Taki właśnie był – żaden ze znanych mi medyków nie dorastał mu do pięt, a wielu z nich u niego szukało porady.

– I powiem ci jeszcze, w zaufaniu rzecz jasna, iż damę mu najwyżej rok. Będę się starał przekonać doktora Foksa, by w swoim czasie objął wakującą katedrę. Lepszego profesora dla ciebie nigdzie nie znajdę.

Tym razem mnie wzruszył. Miałem swoje lata, a on wciąż troszczył się o mnie lepiej niż ojciec rodzony, którego nie znałem i chyba nigdy nie poznam. Zresztą – co by mi z tego przyszło? Wyściskałem go na pożegnanie, zwłaszcza że mieliśmy się nie widzieć jakiś czas, bo jak go znałem, nie oprze się pokusie i pojedzie do Kaźmierza Dolnego. W połowie drogi do domu złapał mnie deszcz. Gdym wpadł do gospody, otrzepując się z kropel dżdżu jak pies, Gruby Stach wskazał na mój ką i rzekł znacząco:

– Ona czeka.

Izba była zajęta tylko w części. Nie był to bowiem, jako rzekłem, dobry czas do robienia interesów. Ludziska woleli siedzieć w domach, a jeżeli już wychodzili, to tylko po to by gadać o polityce, jak ci tutaj.

– Niziołek już wrócił? – Wysłałem go z rana, by ugodził się ze szrotarzami w sprawie dostawy wina do naszej prywatnej piwniczki, bo stary zapas już się skończył, a choć nie mieliśmy prawa wyszynku wina, to trzymaliśmy go trochę dla się i zaprzyjaźnionych gości.

– Wrócił, ale znów po coś wyszedł.

– Daj mi garniec grzańca i dwa kubki.

Znów okrom czepca i podwinki miała nasunięty na twarz rańtuch.

– Nazywam się Ryx. Kacper Ryx – usiadłem naprzeciwko, stawiając grzaniec na stole i rzucając na ławę czapkę i mokry kolet. – Czym mogę służyć?

Wolno, tym samym zmysłowym ruchem, który cechował jej chód, odchyliła rąbek rańtucha.

– Poznajesz mnie?

Zazwyczaj niełatwo mnie zaskoczyć, ale jej się udało. Zesztywniałem. Wdowa Anna Waliszewska *de domo* Polakówna. Luksusowa małpa. Kochanica eksburmistrza Czeczotki. Dopomogła mu zastawić pułapkę na mojego druha, magistra Franciszka Wolskiego, którego za jej sprawą pochwycono, a potem skazano na śmierć.

– Poznaje.

– Wciąż masz do mnie żal o Wolskiego?

– Czego chcesz? – spytałem szorstko, nie trudząc się odpowiedzią.

– Nie myśl, że było mi łatwo tu przyjść. Wiem, jak bardzo nienawidzicie się z Rozmusem... – w jej oczach, wpatrzonych we mnie błagalnie, błysnęły łzy, które

otarła ukradkiem.

Nie miałem pewności, czy były szczerze; wiedziałem, że jak nikt zna wszystkie niewieście sztuczki. Dla zyskania na czasie nalałem nam wina. Wypiła duszkiem, wręcz łapczywie.

– Przepraszam – zawstydziała się, zauważywszy moje spojrzenie. – Ostatnio piję coraz więcej... Nie byłabym tu przyszła, a-ale boję się! – wyrzuciła z siebie ze szlochem, który chyba jednak nie był udawany.

Sięgnęła w zanadrze po chusteczkę, by otrzeć łzy. W dużych, ładnych oczach rzeczywiście dostrzegłem lęk. I jeszcze coś: smutek i samotność. Oczy nadal miała ładne, lecz lico już nie tak urodziwe, jak to zapamiętałem. Czas nie był dla niej łaskaw.

– Potrzebuję pomocy – chlipnęła. – I nie mam do kogo się zwrócić. Dlatego pomyślałam o tobie.

– Chodzi o Rozmusa?

– Nie. Tak. To znaczy zdaje mi się, że Rozmus już się mną znudził, męczy go moje miłowanie i chętnie by się mnie pozbył...

– Groził ci?

– Nie, on nie. Ale...

Nie ponaglałem jej. Nalałem nam obojgu i znów chętnie wychyliła kielich. Wyglądała na spokojniejszą.

– Co miałbym dla ciebie uczynić?

Położyła mi dłoń na grzbiecie ręki spoczywającej na blacie i pogłaskała.

– Zapomnij o tym. Dobry z ciebie chłopiec, lecz wiem, że mnie nie lubisz. Nie powinnam była tu przychodzić. Zrobiłam błąd. Żegnaj.

Znów zasłoniła twarz, podniosła się i szybkim krokiem, pamiętając wszak o kołysaniu biodrami, poszła wprost do drzwi.

– Oto nasz Kacper, zawsze czuły na niewieście wdzięki. Przyjąłeś robotę?

W oczach Janki, która niepostrzeżenie zajęła miejsce Waliszewskiej, jak zwykle gdy zwracała się do mnie, ujrzałem kpinę. A były to niezwykle oczy. Wydłużone jak migdały i nieco skośne, z wielkimi, lśniącozielonymi jak szmaragdy zielonymi tęczęwkami. Spojrzałem w te oczyska, na tę cudną, lekko trójkątną twarz, pięknie wykrojone usta, na końcach wygięte nieco ku górze, prosty nos, cerę smaglejszą niż moja, związane w grubą kosę włosy czarne jak skrzydło kruk, z niesfornymi kosmykami wymykającymi się spod upięcia, i przełknąłem ślinę. Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, że wszyscy mężczyźni w gospodzie pozerają ją wzrokiem. W dużym stopniu to dzięki niej nasza karczma „U Balcera”, mieszcząca się w Kąciku przy Szpiglarskiej, mimo ciężkich czasów miała wciąż wcale liczną klientelę.

W ciągu tych niespełna trzech lat, kiedy to wtargnęła w nasze życie, odmieniła je zupełnie. Miała wówczas zaledwie dwanaście lat, a od czwartego roku życia wychowywała się pośród Cyganów, nabierając osobliwych zwyczajów i upodobań. Dla przykładu – nadzwyczaj celnie miotała nożami i przyswoiła sobie przeróżne

cygańskie wróżby i zaklęcia. Jak ja nie znała swego pochodzenia, ale nie ustawała w poszukiwaniach, ponieważ w odróżnieniu ode mnie miała punkt zaczepienia – medalion z wyobrażeniem, jak wierzyła, matki. Uratowała mi życie i wymogła obietnicę, że się z nią ożenię.

Ale to było dawno. Teraz skończyła lat piętnaście i wyrosła na piękną pannę, wysoką, smukłą jak trzcina i doskonale uformowaną. Kiedyś to ja z uśmiechem odrzucałem jej dziecinne awanse, teraz ona ani słuchać nie chciała o moich, wszystkie aluzje na ten temat ucinając śmiechem. Ja zaś już świata poza nią nie widziałem i coraz trudniej przychodziło mi skrywać swój afekt. A musiałem, bo im bardziej dawałem mu wyraz, tym więcej ona się jeżyła i prychała jak rozzłoszczona kotka. Wybornie wyuczyła się łaciny, przeczytała wszystkie książki z mego księgozbioru i z trudem odwiódłem ją od szalonego pomysłu, by wzorem Nawojki, która ponoć uskuteczniła ową ideę w czasach króla Włodzisława Jagiełły, w męskim przebraniu podjąć studia na uniwersytecie. Za to zmusiła mnie, bym ją zarekomendował signorowi Giacomo Venturze z domu Włoskiego, u którego pobierałem nauki fechtunku, by nauczył ją włoskiej mowy. Nie poprzestając na tym, tak długo molestowała mego szwagra Michała, który jako czeladnik rusznikarski jakiś czas spędził we Francji, by w wolnych od pracy chwilach dawał jej lekcje francuskiego, aż dopięła swego. Bo też nie znałem nikogo, kto potrafiłby jej odmówić, mimo iż bynajmniej nie wdzięczyła się do nikogo i nie korzystała z większości chytrych białogłowskich sztuczek. Zawżdy jednak umiała postawić na swoim.

Ciotkę Balcerową, wdowę po karczmarzu, zawojowała zupełnie. Doszło do tego, że cioteczka w praktyce tej smarkuli powierzyła kierowanie gospodą, sama usuwając się w cień i oddając ulubionym zajęciom – chodzeniu do kościoła, piastowaniu wnuków i plotkowaniu z kumoszkami. A Janka swoje porządki rozpoczęła od zwolnienia Kasi-Anusi oraz Magdy, dwóch miłych dziewczek, u których czasem szukałem wytchnienia i ulgi w wiadomych sprawach, zatrudniając same niegrzeszące urodą świętoszki z przytułku u duchaków, polecane jej przez ojca Rocha, które minęły się z zakonnym powołaniem. Doprowadziła gospodę do takiego stanu, że nawet zapluta dawniej podłoga w izbie karczemnej lśniła jak lustro, przez co straciliśmy parunastu dobrych klientów, acz na bakier z wykwintnymi manierami. Za to pojawili się nowi, w tym zacne matrony, chętnie korzystające z mężowskiej kiesy. Niziołek bez ponagłania kąpał się co tydzień, a Gruby Stach zawsze miał pod ręką czystą szmatkę do wycierania szkła. Ja zaś musiałem ograniczyć nocne biesiady z kolegami ze studiów, domy uciech mijałem z daleka i żyłem jak mnich. A wszystko dlatego że miłowałem tę dziewczkę z całej duszy, ona zaś mnie wcale i na tym polegał cały ambaras.

– Cóż to, ogłuchłeś? – wyrwała mnie z zadumy.

– A gdybym przyjął, to co?

– No pewnie. Kacper, szlachetny rycerz. Białka jeszcze niczego sobie, zapewne potrafi się odwdzięczyć, i do tego najmniej sto czątych nagrody... – sarknęła. –

Zawsze podobały ci się rude. I bogata. Same precjoza, którymi była obwieszona jak podłaznik na Gody, warte fortunę. Ciekawam, czy spieszyłbyś jej tak ochotnie w sukurs, gdyby była szpetna i bez grosza? Popatrzyła tylko na cię tymi dużymi oczyma, zatrzepotała rzęsami i już gotowyś jej służyć na czterech łapkach.

– Nie zleciła mi roboty, jeśli chcesz wiedzieć. Rozmyśliła się.

Wzruszyłem ramionami i przepłukałem gorycz korzennym winem. Czemu ta diablica tak się mnie wciąż czepiała? Owszem, brałem za usługę sto czerwonych złotych plus koszty. Uważałem, że to uczciwa cena, zwłaszcza jeśli klient do ubogich nie należał, choć można było na to patrzeć dwojako. Z jednej strony dobry rękodzielnik zarabiał rocznie sto dukatów, i to jeśli miał pomyślny rok i bogatych klientów albo możnego mecenasa, z drugiej sto dukatów było zwyczajową stawką, jaką winszowali sobie medycy za poradę, niezależnie od skuteczności leczenia, a niektórzy nawet trzysta. Lekarzy było bowiem niewielu. Ale inwestygator tylko jeden. Trzeba się cenić. Poza tym myliła się: nie sypiałem z klientkami. Na ogół.

– Bierz kubek, siadaj i napij się – rzekłem do wracającego Niziołka, zmokłego jak kura.

Wielkolud o przekornym imionisku zerknął niepewnie na dziewczkę i usiadł dopiero, kiedy łaskawie skinęła mu przyzwalająco głową. Do czego to doszło! Już miałem to skomentować, gdy wtem drzwi gospody rozwarły się z hukiem i do izby wpadł człek w podartym i kapiącym od wody odzieniu, z wykrzywionym z wysiłku licem i przerażeniem w rozszerzonych źrenicach.

– Ratunku! – wychrypiał, z trudem łapiąc powietrze. – Ścigają mnie... Gdy dopadną, ubiją jak psa. Na rany Chrysta, ukryjcie mnie, dobrzy ludzie!

Przyglądałem mu się z uwagą i podjąłem decyzję.

– Niziołek – rzekłem. – Na górę z nim. Duchem! Do mojej izby.

Olbrzym kopnął się z miejsca i pół wlokąc za sobą, pół niosąc nieszczęśnika, zaciągnął go na piętro.

– To może być złoczyńca – zauważyła Janka, bawiąc się nożem leżącym na stole.

– Ale chyba wystarczająco biedny i szpetny, nawet jak na twoje wymagania?

Zarumieniła się, lecz nie zdążyła odpowiedzieć, bo już mieliśmy następnego gościa. O ile tamten patrzył na ubogiego wieśniaka, ten miał na sobie chędogie, acz niezbyt dostatnie odzienie, kord u boku, bujną, nieco już posiwiąłą brodę, której nie powstydziliby się sam święty Mikołaj, i podgolony łeb, który obnażył, ściągając ociekającą wodą czapkę. Wyglądał na niezamożnego szlachcica, totumfackiego jakiegoś wielkiego pana. On też ciężko dyszał, jak po wyczerpującym biegu.

– Przed chwilą wpadł tu pewien człek. Gdzie on? – rzucił donośnym głosem, zaciągając z ruska i tocząc wzrokiem po obecnych.

Wszyscy przerwali rozmowy i pospuszczali głowy.

– Ej, ty – bezceremonialnie trącił w ramię najbliższego – gadaj!

Musiałem szybko interweniować, zanim któryś z wystraszonych gości puści parę z gęby.

– Uspokój się, acan – rzekłem zimno i spytałem Niziołka, który właśnie się objawił na schodach: – Widziałeś kogo obcego na górze?

– Nie. Ale drzwi do zadzi są uchylone – odparł przytomnie i podszedłszy do bocznego wejścia, ruszył klamką, jakby je w samej rzeczy domykał; mimo wyglądu matołka miał ostry umysł, wielu już, zmylonych jego tępo patrzącą gębą, srogo potem żałowało swojej pomyłki.

– Widzisz, waść – rozłożyłem ręce. – Owszem, był taki, co patrzył na zbiega, lecz przebiegł jeno przez izbę jak fryga i zemknął na zadź. A stamtąd pewnie do ogrodu Bonerów i przez furtę na ulicę. *Ergo* szukaj wiatru w polu.

Intruz spojrział na mnie złym wzrokiem i otworzył usta, lecz nim się odezwał, do gospody weszło kolejnych trzech ludzi. Panek w pysznych szatach i dwóch pacholców z okutymi kijami w łapskach.

– No, Ruski, gdzie ten łotr Królik? – warknął szlachcic.

– Był tu, lecz ten człek – wskazał mnie palcem – utrzymuje, że zemknął na podworzec, a stamtąd jest ponoć wyjście na ulicę.

– Bzdura. Biegliśmy tamtędy i spostrzeglibyśmy łobuza. Jak się zwiesz? – to było do mnie.

Nie podobał mi się jego ton, dlatego nie ruszyłem się z miejsca.

– Ryx. Kacper Ryx.

– Coś za jeden?

– Inwestygator królewski. A także syn właścicielki tego przybytku.

– A jam jest urodzony Samuel Zborowski herbu Jastrzębiec, rotmistrz królewski, więc wstań, jak do mnie mówisz, łyku! I gadaj mi tu zaraz prawdę jak na spowiedzi!

Imię przybysza wystarczyło, by pozostali goście chwalebnie powściągnęli ciekawość i mimo zapowiadającej się niezgorszej awantury, co dla postronnych zawsze bywa niezwykle zajmujące, zaczęli chyłkiem przesuwac się w stronę drzwi. W jednej chwili gospoda opustoszała. Na mój przyzwalający gest do kuchni wycofała się także przerażona dziewczka służebna, Marychna, najgładsza z owych naboźniś podnających ostatnimi czasy przez Jankę.

Mnie też mróz przeszedł po karku, gdym pojął, z kim mam sprawę. Zborowscy mieli pałac ^[4] między kościołem Wszystkich Świętych a Franciszkanami, ostatnio zaś wykupili i zaczęli przebudowywać kamienicę Szarą w Rynku na iście „pański dom”. I już zdążyli zaleźć wszystkim w mieście za skórę swą pychą, arogancją i awanturnictwem. Spokrewnieni z najświetniejszymi rodami Rzeczypospolitej: Stadnickimi, Górkami, Opalińskimi, Chodkiewiczami z Litwy, przez małżeństwa sióstr spowinowaceni z Ossolińskimi i Ostrorogami, czuli się bezkarni. Wiedziałem, że z powodu zuchwalstwa i gotowości do zwady lękali się ich nawet najprzedniejsi magnaci w kraju.

A teraz stał oto przede mną, z butną miną i okrucieństwem w ślepiach, najgorszy łotr z całej licznej łotrowskiej rodziny, prawy wilk w ludzkiej skórze, dla którego zabić

człowieka, zwłaszcza podlejszego stanu, *humilis loco*, było jak splunąć. Mimo to nie miałem zamiaru dać się zastraszyć, jednak pochwyciwszy błagalne spojrzenie Janki (kiedy ona ostatnio tak na mnie patrzyła?), ustąpiłem i wolno podniosłem się z miejsca. Nie byłem przecie samobójcą i zamierzałem dokonać żywota w spokoju, jako stateczny medyk, z kochającą żoną i czeredką dzieciaków u boku.

– Mówiłem prawdę, wielmożny panie – rzekłem grzecznym tonem, ponieważ drobne kłamstwo, zwłaszcza w zbożnym celu, zawsze gładko przechodziło mi przez gardło i nigdy nie zalegało na żołądku, o sumieniu nie wspominając. – Ów Królik, jeśli to był on, przemknął tylko przez karczmę jak kartacz, pobiegł na zadź i tyleśmy go widzieli.

– To się okaże – gadzie ślepie w okolonej krótką czarną brodą gębie ześliznęły się ze mnie, spoczęły na Jance i już tam zostały, nie próżnując bynajmniej. – Ruski, weź tych dwóch i pójďte na górę, ja zaś sprawdzę, czy ta czarna dziewczka nie chowa zbiega pod suknią.

Postąpił naprzód, a wilczą twarz wykrzywił mu obleśny grymas. Kątem oka ujrzałem, jak pobladła Janka zaciska dłoń na nożu, zaś Niziołek, który zniknął, gdy tylko pojawili się tamci trzej, teraz, cicho niby duch, co zawsze mnie zadziwiało u człeka tak potężnej postury, objawił się z powrotem. Ostatnia nadzieja, że wszystko rozejdzie się po kościach, przepadła. Jeżeli Janka wypatroszy tego łobuza, a na pewno się nie zawaha, wszyscy damy głowy. Zrobiłem krok, zasłaniając dziewczkę, i rzuciłem:

– Niziołku, zezwalam ci skopać w dół każdego, kto się zbliży.

– Naprawdę, mogę? – ucieszył się Nizioł, który od pewnego czasu mało miał okazji do dawania upustu swoim naturalnym instynktom; podobnie jak ja (też bym kogoś wyciął w pysk, najlepiej w tej chwili, alem nie mógł sobie pozwolić na taki zbytek). – Akurat mnie swędzi duży paluch. Prawy.

– Ruski! – ryknął Zborowski, sięgając po miecz. – Bij, zabij!

– Kacper, łap!

Pochwyciłem rapier rzucony mi przez wielkoluda i od razu poczułem się lepiej, zwłaszcza że w rękach Niziołka pojawiły się moje pistolety wymierzone w importunów. Natomiast ich samopoczucie natychmiast wyraźnie się pogorszyło. Zarówno Ruski, jak i dwa draby cofnęli się, panek zdjął dłoń z rękojeści miecza i stanął jak wryty, a gdyby wzrokiem można było zabijać, już byłby ze mnie nieboszczyk jak się patrzy. Rozumiałem go – zawsze miewałem takie samo odczucie, spoglądając w wyloty pistoletowych luf, o ile kolby trzymała obca dłoń, której palec właśnie zginał się na cynglu.

– Co to za rumor? Co się tu dzieje? – zawołała ciotka Balcerowa, widać obudzona z poobiedniej drzemki, pojawiając się na schodach.

To rozładowało napięcie.

– Nic tu po nas. Idziemy! – warknął Zborowski do swoich i sam ruszył za nimi, jednak zatrzymał się w progu i wysyczał: – Jeśli okaże się, żeście jednak pomogli Królikowi, tedy wrócimy tu i kamień na kamieniu nie zostanie z tej budy. A ciebie –

to było do mnie – już czuć padliną. Zapamiętaj sobie *in perpetuum*, o ile znasz łacinę, ścierwo: *Nemo me impune lacessit*. I jeszcze jedno: *Mortui non mordent* [5]. To moja dewiza.

Niemal czułem, jak po jego odejściu w naszym domostwie zagnieździł się lęk. Jeszcze większy od tego, w jakim pograżył się cały kraj po śmierci króla jegomości.

– Stachu, sprawdź, czy odeszli w samej rzeczy, potem zamknij gospodę i przynieś nam flaszkę wina. Najlepszego, jakie mamy – rzekłem, gdy zostaliśmy sami. – A ty, Niziołku, sprowadź sam tego, jak mu tam, Królika.

– Stachu, podaj jeszcze dwa kubki – dodała Janka, ciężko siadając na ławie obok ciotki, która głośno domagała się wyjaśnień.

Tak oględnie, jak tylko się dało, opowiedziałem cioteczce, co się wydarzyło.

– Jezus Maria! Już po nas! – jęknęła, a mnie żal ścisnął serce, żem mimo woli naraził całą naszą rodzinę na zemstę okrutnych i wszechmocnych magnatów.

Nazywałem ją ciotką lub – co najbardziej lubiła – matuchną, bo była moją mamką w szpitalu duchaków, a potem przygarnęła jak swego. Kochałem ją jak rodzinę i dałbym się posiekać, byle oszczędzić jej przykrości. Lecz mleko już się rozlało i nic na to nie mogłem poradzić.

– Może nie będzie tak źle – pocieszałem ją, choć sam w to nie wierzyłem. – Nie odważy się napaść na dom teraz, gdy nie ma króla, szlachta się porozjeżdżała i miasto może go szybko osądzić.

– Patrzy na takiego, co nie cofnie się przed żadnym gwałtem – chlipnęła. – Czy to nie on zabił księżęcia Sanguszkę, męża owej pięknej Halszki z Ostroga?

– Pomieszalo ci się, matuchno. To jego ojciec, zmarły przed paru laty. – Uśmiechnąłem się pod nosem, widząc, że w oku ciotki, mimo zmartwienia, błysnęła nieposkromiona, białogłowska ciekawość.

Nie dziwiłem się jej, bo choć rzecz tyczyła wyższych sfer, w swoim czasie zyskała rozgłos, który po dziś dzień nie wygaś, żywo zajmując przedstawicieli wszystkich stanów, gwoli ścisłości – nie tylko białki. Mnie także, a to z tej racji, że historia, i ta dawniejsza, i ta nam bliższa, wielce mnie pociągała. Gdybym, idąc w ślady mego mentora, nie znalazł upodobania w sztuce medycznej, bez ochyby zostałbym dziejopisem. W swojej podręcznej biblioteczce miałem wszystkie dzieła z zakresu historii, jakie tylko wyszły ostatnimi czasy. Pilnie nadstawiałem też ucha, gdy mówiono o sprawach i sprawkach dziejących się na dworze królewskim. A już historia owej Halszki i jej matki Beaty, przyrodniej siostry zmarłego króla (córkę króla Starego i Katarzyny Ochstat z Telnic na Morawach, zwanej Telniczanką, którą król wydał potem za pana Kościeleckiego, by ożenić się z Boną), była tak niesłychana, że chyba w bajce prędzej mogłaby się zdarzyć niżli w życiu.

Beatę Kościelecką, piękną i bystrą, pojął za żonę książę Ilia Ostrogski, ostatni z wielkiego litewskiego rodu. Mieli przepiękną córkę Elżbietę, zwaną Halszką. Owdowiała matka i córka pospołu rozmiłowały się okrutnie w młodym księżciu

Dymitrze Sanguszce, lecz on wybrał młodszą. Wykradł pannę i pospiesznie poślubił. Urażona Beata poskarżyła się bratu-królowi, a ów za rapt skazał Dymitra na banicję i infamię. Tymczasem młoda para zbiegła do Górnych Węgier [6]. Tam dopadł ich pościg prowadzony za wyjętym spod prawa Dymitrem przez panów Kościeleckich, braci Beaty, Łukasza i Andrzeja Górków, oraz Marcina Zborowskiego. Pobitego i poranionego Sanguszkę powiedziano do Jaromierza i z rozkazu Zborowskiego ucięto mu głowę. Chcąc ugłaskać hetmana kacerzy, przeszło pięćdziesięcioletniego Łukasza Górkę, król oddał mu rękę piętnastoletniej Halszki, nie bacząc na łzy matki i córki. Beata wykradła Halszkę z rąk męża i uwiozła do Lwowa, do klasztoru dominikanów. Górka najechał klasztor z wojskiem, zabrał żonę do Szamotuł i zamknął w zamkowej wieży, gdzie ponoć dotąd przebywała, nieboga. Matka nie mogła już jej pomóc, bo niefortunnie rozmiłowawszy się w o dwadzieścia lat młodszym wojewodzie sieradzkim Olbrachcie Łaskim, który jakoby miał już żonę we Francji i dziatki z niej zrodzone, została przezeń zamknięta w jego zamku w Kieżmarku. Zadziwiającym zrządzeniem losu, obie niewiasty spotkał zatem ten sam los [7].

Słyszałem od pewnego wędrownego mnicha, że w kościele w Jaromierzu jest grób z kamienną płytą, zdobną w litewską Pogoń, z takim napisem: „Tu leży księżę Dymitr Sanguszko, starosta czerkaski i kaniowski, z rodu wielkich książąt litewskich Olgierdowych, którego zamordował i zabił nieszlachetny mąż Marcin Zborowski, nie mając ku temu żadnej przyczyny”.

Tenże Marcin, wpierw ulubieniec króla Starego, potem przywódca rokoszan podczas „wojny kokoszej”, popadł w niełaskę u królowej Bony, która przyłapała go na konszachtach z Habsburgami, mimo to jakoś wyłgał się od procesu o obrazę majestatu i spadł na cztery łapy, kończąc żywot na najwyższym ziemskim urzędzie jako kasztelan krakowski. Umierając, zostawił pięciu synów, jednego gorszego od drugiego, może z wyjątkiem Jana, kasztelana gnieźnieńskiego. I z synem takiego ojca mieliśmy oto do czynienia. *Qualis pater, talis filius* [8].

– Zaiste, niedaleko pada jabłko od jabłoni – westchnęła ciotka moim myślom do wtóru.

– Ten potwór bezwstydnie obmacywał mnie wzrokiem – wtrąciła Janka, z przejścia niemal duszkiem wychylając kubek wina. – Brr, aż mnie mdli z obrzydzenia.

– Za to akurat nie mogę go ganić. Znaczy, że drzemią w nim ludzkie uczucia. Jeno te nie najpocziwsze – rzekłem.

– Synku, czy ty zawsze musisz się w coś wplątać? – biadała ciotuchna, też ochotnie kojąc nerwy w trunku. – A jeśli ten Królik to jakiś zbrodzień? Przecie nic o nim nie wiesz.

– Kacper z dawna bawi się w jasnowidza – skwapliwie korzystając z okazji, nie omieszkała wbić mi szpilki Janka. – Na pierwszy rzut oka potrafi rozróżnić niewinną ofiarę od złoczyńcy.

– Zaraz się przekonamy – uciałem.

Zamówiłem piwo i bigos dla nieszczęśnika, a gdy zaspokoił już głód i pragnienie i przestał dygotać ze strachu, rozkazałem:

– Mów, w czymś zawinił Zborowskiemu, że tak srogi zagiął na cię parol. Ukradłeś mu co? Obraziłeś?

– W niczym, jasny panie, knę się na Boga! Jam prosty chłop spod Krakowa. Dziś skoro świt przyszedł żem z koszem jajec do miasta na targ. Na Grodzkiej ulicy, opodał domu Podelwie, otoczyli mię jacyś niepoczciwi ludzie i dalej wybierać mi jajca z koszyka i w przechodniów ciskać, nic nie robiąc sobie z mojego błagania, by przestali towar psować. A pan, którego to byli słudzy, tylko się śmiał, pod boki podjawszy. To mnie złość wzięła i koszyk im wydarłem, aleć jedno już jeno jajco w nim było, ostatnie. I to poślednie jajco spadło na bot owego pana i rozbiło się...

– I to wszystko? – nie wytrzymała Janka, gdy kmiotek przerwał opowiadanie. – Za takie głupstwo cię gonili?

– To był ładny bot, z żółtej skóry... Ale nie wszystko. Potem powlekli mnie do jakowegoś pałacu, wielkiego jak kościół. I tam ukarali... – znów przerwał.

– Co ci uczynili? – zatroszczyła się ciotka.

– To. – Podciągnął porwane gieżło.

Ciotka wydała jęk, Janka zbladła, nawet Nizioł się skrzywił, tylko ja, jak przystało na przyszłego medyka, nie okazałem wzruszenia. Plecy nieszczęśnika stanowiły jedną krwawą miazgę, na bokach miał ślady przypalania, a na brzuchu czarne pręgi od kijów. To cud, że z takimi ranami nie tylko przeżył, ale dotarł aż tutaj.

– Myśleli, że nie żyję, tom się zdołał wymknąć, ale zaraz puścili się w pogoń...

Skończył jeść, dopił piwo i wstał.

– Pójdę już. Dość wam narobiłem turbacji...

– Kacperku... – jęknęła ciotka, patrząc na mnie błagalnie.

– Kacper, zrób coś – tym razem w szmaragdowych oczach Janki nie ujrzałem drwiny.

– Kiedy on ma rację – rzekłem. – Nie dziś, to jutro przyjdą go tu szukać. Jak nie oni, to pacholki miejskie, jeśli Zborowski złoży na nas skargę do ratusza, że dajemy schron złoczyńcy. Może nawet zaprezentować Królika jako zbiega ze swoich włości. A wtedy stracimy wszystko, o ile tylko na tym się skończy. Poza tym – obrzuciłem uciekiniera krytycznym wzrokiem – szpetny ci on na gębie i bez grosza. Niech idzie. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

– Kacperku, nie poznaję cię – ciotka patrzyła na mnie oczyma wielkimi jak spodki. – Zali naprawdę oddasz tego nieszczęśnika w łapy tej bestii? Co w ciebie wstąpiło?

– Zmądrzałem, matuchno – odparłem i próbowałem pochwycić spojrzenie Janki, ale umknęła wzrokiem.

– Dworujesz sobie ze mnie – nie dowierzała ciotka.

– Nie inaczej, matuchno. Nie grozi mi to – uśmiechnąłem się i wstałem. – Masz

choćby złamanego grosza? – zwróciłem się do kmiotka.

– Nie wiem... – wyjął skraj giezła z portek i zębami rozdarł zaszyte, z którego wysypał na dłoń kilka miedziaków. – Mam jeno dziesięć denarów, miłościwy panie... Na czarną godzinę schowane.

Odebrałem mu mińce, nie bacząc na zgorszone miny kobiet.

– Teraz w świetle prawa jesteś moim klientem – wrzuciłem drobniaki do sakiewki u pasa. – Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. Niziołek, znajdź mu jakąś kapotę, a ty, Stachu, wyjrzyj za drzwi, zali nie widać kogo podejrzanego.

Dopiłem winą, nasadziłem czapkę na głowę, wdziałem kubrak i przypasałem rapier do boku.

– Niedługo zmierzchnie i zamkną bramy. Najwyższa, a zarazem najlepsza pora, by wymknąć się z miasta. Idziemy, mój Króliku. Odprowadzę cię do brony, potem musisz sobie radzić sam.

– Nie wiem, jak waszej miłości dziękować – wyjąkał kmiotek, naciągając kapotę przyniesioną przez Niziołka i krzywiąc się z bólu; niestety, nie miałem czasu, by opatrzeć mu skatowane płuca.

– Idę z wami – oznajmił olbrzym stanowczo.

– Nie, Niziołku, zbyt rzucasz się w oczy. Samowtór łącniej się przemkniemy. No jak tam, Stachu?

– Pusto. Nikogo nie widać.

– Idźcie z Bogiem! – zawołała ciotka, gdyśmy wychodzili w deszcz i półmrok; Janka nie rzekła nic.

W Kąciku, zwanym też ulicą Wąską, nikt na nas nie czyhał. Nie wierzyłem w to, że Zborowski poniechał sprawy, ale może w rzeczy samej odłożył zemstę na dal. Równie dobrze mógł jednak czekać u którejś z bram na wymykającego się z miasta Królika. U której? Założyłem, że u Floriańskiej, bo była położona najbliżej naszej gospody i bardzo uczęszczana, a w tłumie, jak wiadomo, łącniej się przemknąć. Zamierzałem bocznymi ulicami przedostać się na ulicę Świętej Anny, u wylotu której znajdowała się nieużywana furta. Zamknięta na głucho, lecz z tym mogłem sobie poradzić bez trudu.

– Zaczekaj – powstrzymałem Królika, gdyśmy doszli do kościoła Świętego Jana, i ostrożnie wyjrzałem zza węgła.

Nic. Nie dziwiłem się – targ już się skończył, a w taką pogodę nawet psa by nie wygonił.

– Trzymaj – podałem mu sakiewkę, którą odpiąłem od pasa. – Przyda ci się. Bez pieniędzy daleko nie ucieczesz.

– Jasny panie... – w jego oczach, gdy brał mieszek, pojawiły się łzy.

Przeszliśmy w Szpiłarską, skręciliśmy w Sławkowską i wtedy się zaczęło. Za naszymi plecami rozległ się gwizd, któremu odpowiedziały gwizdy z kilku stron. A zatem byliśmy śledzeni! Myślałem gorączkowo, co robić. Widok narożnego kościoła

Świętego Marka Ewangelisty przy klasztorze Augustianów [9] podsunął mi rozwiązanie. Mnisi, prawie nocne marki, do późna w noc praktykowali pokutę i umartwianie, tedy mimo niewczesnej pory winniśmy drzwi zastać otwarte.

Klasztorny azyl, to było to! Nawet Zborowski nie poważyłby się pogwałcić uświęconego miejsca. Choć kto go tam wie... Połowa Zborowskich była katolikami, połowa sprzyjała kalwińskiemu kacerstwu, zabezpieczając się na obie strony. Do której partii należał Samuel, tegom nie wiedział. Podejrzywałem wszak, że do tej, do której przynależność akurat najlepiej się opłacała – tak postępowało wielu magnatów. Pociągnąłem Królika za połę i już mieliśmy skręcić do kościoła, gdy od Rogackiej i Szrotarskiej pojawiły się czarne sylwetki, odcinając nam wszystkie drogi ucieczki. Z tyłu zbliżała się czwórka drabów, zajmując całą szerokość ulicy. Znaleźliśmy się w saku i nic na to nie mogłem poradzić. O dotarciu do furty musiałem zapomnieć. Mogliśmy jeno iść ku bronie Sławkowskiej, gdzie zapewne nas oczekiwano.

– O Jezusicku! Mają nas... – jęknął Królik, kuląc się ze strachu.

– Nie odwracaj się! Idziemy naprzód.

Szliśmy zatem Sławkowską, słysząc za plecami stukot wielu buciorów. Królik potknął się na wyboju i musiałem go podtrzymać. Droga tu była tak źle utrzymana i podła, że dorównywały jej jedynie kiepskie ulice na Garbarach. A już w nocy to nie tylko rękę lub nogę można było skręcić, wpadłszy w jakąś dziurę, ale nawet kark. Za co ci lunarowie brali pieniądze? Zaraz się skarciłem w myślach – czym ja się trapię, u licha? Stanem dróg? Chyba lepiej skręcić kark samemu, niż czekać, aż drudzy mnie wyręcą? Takie głupie myśli oznaczały jedno – bałem się. Pociłem się i mogłem sobie imaginować, jak musiał czuć się Królik, bo sam czułem się jak szarak ścigany przez psią sforę. Ale jeszcze bardziej niż o siebie, a nawet niżli o Królika, którego podjąłem się ochraniać, dręczył mnie lęk o najbliższych, o ciotkę i Jankę. Nie mówiłem tego kobietom, nie chcąc ich jeszcze bardziej straszyć, ale dobrze pamiętałem głośny swego czasu wybryk braci Zborowskich. Oto natknąwszy się kiedyś na ulicy na dwóch zakonników od świętego Dominika, do których żywili jakowąś anse, kazali ich swoim ludziom pojmać, uwięzili u siebie w domu, po czym poddali obu torturom, a jednego wytrzebili. I żadna kara ich za ten gwałt nie spotkała. Chodziły słuchy, że Samuel lubi też zabawiać się w ten sposób, iż ze swoją zgrają grasuje na gościńcach pod miastem, napadając na napotkane niewiasty i gwałt im zadając. Jeśli potężny zakon był wobec gwałtownika bezsilny, jeśli miasto nie mogło mu nic uczynić, jeśli starosta puszczał mu gwałty płazem, to jak my mogliśmy się przed nim obronić, gdy na nas parol zagnie? A co mnie robi, gdy wpadnę mu w łapska? Mnisi od biedy mogli się bez tego obejść, lecz mnie to, co nosiłem w spodniach, przydawało się czasem i byłem do tego bardzo przywiązany. Tak sobie rozmyślałem, gdy znaleźliśmy się naprzeciw tawerny „U Rozdziałki”.

Szynk alias gorzałczarnia Rozdziałki, położony opodal Sławkowskiej brony [10], liczył się w poczet najgorszych mordowni. Nawiedzali go czeladnicy, niepoczciwi

żacy, rybakowie, włóczykije i drugie tym podobne hultajstwo, spragnione nowin z Turek, Indyj, a nawet Kitaju. Dobiegały zeń dzikie wrzaski i głośne, pijackie śpiewy. Opilców bowiem więcej tam najść można było niżli przy krynicy owej samarytańskiej. Wtem wybiegła stamtąd całkiem goła dziewczka. Szlochając i z marnym skutkiem usiłując zasłonić jedną dłonią dyndające piersi, drugą obnażony srom, przebiegła mimo nas. Nie patrzyła na nierządnicę, tedy musiała być służką wysłaną przez chlebowawcę po garniec piwa, którą dla żartu, co zdarzało się wcale nierzadko, obnażyli sprośni biesiadnicy, *furiosi grassatores imo potius latrones* [11]. Dwóch moczymordów wytoczyło się ze spelunki, usiłując pochwycić dziewczkę, ale stracili równowagę na śliskim burku i jak dłudzy wyłożyli w rynsztoku, szeroką strugą płynącym środkiem ulicy. Taplali się w nim, złorzecząc siarczyście. Często bywało, że pijani biesiadnicy niepewnym krokiem szli za mury i tam wpadali do zimnej i brudnej Rudawy. Niektórzy wypływali, inni nie.

Przez chwilę rozważałem, czy nie poszukać schronu w szynku. Ale prędkie do awantur hultajstwo, rade i bez zachęty zaczepiać przechodniów mijających karczmę, mogło równie dobrze pomóc nam, jak, co więcej prawdopodobne, naszym prześladowcom.

Nie mając zatem wyboru, ominęliśmy oźralców i szliśmy dalej, nieuchronnie zbliżając się do brony. Zgoła nie w porę przypomniałem sobie znane porzekadło: kradnij, rabuj, zabijaj, ale Kraków omijaj, bo cię powiodą Sławkowską ulicą na szubienicę – jako że skazanych na śmierć złoczyńców pędzono tędy, i dalej Długą, na Pędzichów za Kleparzem, gdzie w miejscu zwanym Powroźnicze stała szubienica. Nie podniosło mnie to na duchu, bo złoczyńcami wprawdzie nie byliśmy, za to bardzośmy przypominali barany wiedzione na rzeź.

– Dokąd to o tej porze, Kacper? Za niewiele pacierzy zamykamy – ostrzegł mnie znajomy strażnik bramny.

– Czy przejeżdżał tędy niedawno możny pan z poczem?

– Nie. Nikogo takiego nie widzieliśmy.

To była nasza nadzieja, choć wąta. Zerknąłem za siebie i naliczyłem ośmiu ludzi za plecami. Trzymali się jednak z tyłu. Strażników było tylko czterech, ale najwidoczniej ludzie Zborowskiego nie zamierzali wywoływać awantury *intra muros* [12].

– Zdążę – odparłem, po czym szepnąłem do Królika: – Jak tylko przekroczymy bronę, biegnij co sił w nogach. Ja ich zatrzymam.

Niedaleko bramy Sławkowskiej, zaraz za murami, była duża ludwisarnia, lecz o tej porze nikt tam już nie pracował, więc na pomoc z tej strony też nie mogłem liczyć. Skinąłem strażnikom, a potem ruszyliśmy naprzód przez szyję i bramkę na jej końcu [13]. Wstąpiliśmy na most zwodzony.

– Ruszaj! – pchnąłem Królika, który zerwał się do biegu.

Wtem zza rosnących nad fosą i zasilającą ją Rudawką drzew i krzewów

oddzielających Kraków od pozbawionego murów Kleparza wyłoniła się gromada zbrojnych, po chwili usłyszałem tętent i pojawił się jeździec. Zeskoczył z konia. Mimo zapadającego mroku i strug wody lejącej się z nieba, poznałem go. Zborowski!

– Brać go! – rozkazał i kilku zbirów rzuciło się na nieszczęsnego Królika.

– Do wody! – krzyknąłem, mając nadzieję, że skoczy do fosy; była to nikła, ale zawsze jakaś możliwość ratunku, bo wnet miały zapaść ciemności.

– Nie umiem pływać... – usłyszałem żalostną odpowiedź człeka pogodzonego z losem.

Nie stawiał oporu, gdy dopadli go i związanego cisnęli do stóp magnata. Ten przydepnął twarz leżącego, wbijając ją w błoto.

– Było umykać przed nieuniknionym, mój Króliku? Czuć cię padliną, nieboraku. Teraz jednak będziesz umierał powoli i boleśnie, boś sprawił mi turbację...

Jego bazyliżkowate spojrzenie spoczęło na mnie.

– Zwiedziałem się tymczasem co nieco o tobie, Kacprze Ryksie. Okłamałeś mnie, psie. Wydawało ci się, głupcze, że mnie przechytrzysz? Rozstawiłem swoich ludzi wokół waszej gospody, że i mysz by się nie prześliznęła. Nie doceniłeś mnie. Popełniłeś błąd, stając w obronie tego śmiecia. I zapłacisz za to, pożałuj się Boże in... – zająknął się – inwestygatorze królewski.

– To mój klient. Zapłacił mi za usługę, zatem byłem w prawie, starając się go chronić – miałem nadzieję, że w moim głosie brzmi pewność siebie, której, nie wiedzieć czemu, nie czułem wcale; widać poszła mi w pięty albo całkiem odbieżyła.

– Bieda w tym, że nie masz już króla, twego protektora, więc twój szumny tytuł, obojętnie co oznacza, psu na budę się zda. Poza tym jesteśmy poza miastem i jego jurysdykcją.

Jego zbiry napierały na mnie z tyłu, tak że i ja znalazłem się po drugiej stronie mostu, poza granicą miasta, więc pachołki nie mogły mi pomóc, nawet gdyby chciały, w co wątpiłem – nikt o zdrowych zmysłach nie zadarłby ze Zborowskimi. Ja byłem niechlubnym wyjątkiem i miałem za to wkrótce drogo zapłacić. Zagrałem ostatnią kartą. Wyjąłem rapier z pochwy.

– Oho! – zaśmiał się. – Chcesz się ze mną bić? Zborowski krzyżujący żelazo z jakimś łykiem? Niedoczekanie! Zatłuczcie go na śmierć, a ścierwo ciśnijcie do wody! – ryknął, jednym szarpnięciem unosząc Królika, i przerzuciwszy nieszczęśnika przez łąk jak tłumok, zgrabnie wskoczył na wierzchowca. – Ruszamy!

Nie racząc obdarzyć mnie pożegnalnym spojrzeniem, zaciął konia i w otoczeniu połowy swoich ludzi oddalił się, zdążając w stronę ulicy Długiej i wkrótce znikając mi z oczu. Żegnaj, Króliku, zaufałeś mi, a ja cię sromotnie zawiodłem, zdążyłem pomyśleć z goryczą, gdyż rzucili się na mnie, i trapiłem się już tylko o siebie.

Zostało ich ośmiu i najwidoczniej nic nie słyszeli o regułach rycerskich, bo napadli na mnie hurmą, jak wilcza wataha. Jednego chlasnąłem przez łeb, aż się krwią zalał i wypadł z gry, drugiego pchnąłem sztychem w żywot i ten także stracił zapał. Rozochocony, wyciąłem trzeciego gardą w szczękę, a gdy wypluwał wybite zęby,

zaprawiłem następnego celnym kopniakiem między nogi i nagle zrobiło się jakby luźniej. Draby cofnęły się, zaskoczone i zdeorientowane. Wtem pośliznąłem się w błocie. Padając, wiedziałem już, że wybiła moja ostatnia godzina. Pierwsze uderzenia okutych pałek sprawiły mi okropny ból, potem przestałem już czuć cokolwiek, resztką świadomości osłaniając głowę.

Naraz rozległ się straszliwy ryk i coś niby trąba powietrzna wpadło między zbirów, rozganiając ich w jednej chwili jak stado kuraków. Porywając ze sobą rannych towarzyszy, umknęli z wrzaskiem, a mnie silne ramię podjęło z błota.

– Żyjesz? – jak przez mgłę postyszałem chrapliwy głos Niziołka, który zabrzmiał w mych uszach jak najpiękniejsza muzyka.

– Nic mi nie jest – wycharczałem, zanosząc się kaszlem i ocierając usta grzbietem dłoni; skoro nie pojawiła się na niej krew, tedy nie uszkodzili mi żadnego ważnego organu. – Skądś się tu wziął?

– Janka kazała mi iść za wami, ale tak, byś się nie spostrzegł. Dlatego przybył za późno – sumitował się.

– Przybyłeś w samą porę – uspokoiłem go. – Bo do tego czasu całkiem dobrze mi szło...

– Widziałem – sarknął. – Gdybym wiedział, że zażywasz borowinowej kąpieli, a tamci to łąziebni z winnikami, nie śmiałybym się mieszać. Co z Królikiem?

– Porwali go.

– Zborowski?

– A juści. Przechytrzył mnie.

– Poradzisz iść?

– Poradzę.

Odszukałem leżący w kałuży rapier, wepchnąłem go do pochwy i wsparty na ramieniu wielkoluda, powlokłem się do domu. Zawierając bramę, strażnicy obrzucili mnie ciekawymi spojrzeniami, ale o nic nie pytali. Przeceniłem swoje siły i przez pół drogi Niziołek musiał mnie nieść, a i tak przed samym domem straciłem przytomność. Ocknąłem się we własnym łóżku.

– Och, Kacper, tak się o ciebie trapiłam... – pochylona nade mną Janka ocierała mi twarz wilgotną szmatką.

Nim znów odpłynąłem daleko, zdążyłem pomyśleć, że aby to usłyszeć, gotów byłbym jeszcze raz dać się poturbować. Może ten dzień nie był aż tak feralny, jak mi się zdawało?

ROZDZIAŁ 2 | AMULET

Warszawa, październik 1572 roku

– Pora pozbyć się Gizanki i jej bękarta – powiedział do młodszego brata, którego wejście przerwało mu medytację w gabinetowym zaciszu ich dostatnio urządzonego domu – zanim nasze machinacje wyjdą na wierzch.

– Małej też? Toć uchodzi za królewskie szczenię... – zdziwił się Mikołaj Mniszech.

– Dworujesz sobie ze mnie? – zirytował się Jerzy. – Nikt już w to nie wierzy i, okrom króla, nigdy nie wierzył, *ergo* nic tą kartą nie da się ugrać. Na domiar jeden Bóg wie, czyj to pomiot: mój, twój czy jeszcze inszy. Wiesz, jak się prowadzi ta małpa... A ostatnio zhardziała niemożebnie, głębę nosi wysoko i gotowa nam narobić turbacji. Wiem na pewno, że Zamojski, który wciąż pnie się w górę i zabiega o względy szlachty, będzie się starał o to, by na sejmie postawiono nas przed sądem. A jego krewniak, Drohojowski, za każdym razem, gdy mnie widzi, wykrzywia się złośliwie, jakby miał coś na nas. Nie jest dobrze, powiadam ci, a ja mam nosa do takich rzeczy. Gdy wezmą Gizankę na spytki, gotowa wyśpiewać wszystko jak na spowiedzi. Co się tak głupio uśmiechasz?

– Bo wiem, jak wszystkiemu zaradzić bez uciekania się do ostateczności. I poczyniłem już pewne kroki – pochwalił się Mikołaj.

Miał słabość do tej wszetecznicy – ostatecznie to on ją odkrył i przebrany za mniszkę z pomocą Żyda Egidiusza wykradł z klasztoru. A ponadto dostarczała mu rozkoszy jak żadna inna. Dlatego, przewidując posunięcie Jerzego, wymyślił własne rozwiązanie problemu.

– Gdybyśmy wydali Gizankę za księcia, nikt nie odważyłby się ciągać księżny po sądach. A i dziewczka trzymałaby głębę na kłódkę dla dobrze pojętej własnej korzyści i honoru mężowskiego.

– Wyborny plan! – parsknął Jerzy z jawną drwiną. – Tylko jak znaleźć takiego dumnia, który zechciałby pojąć najbardziej osławioną ladacznicę w Koronie i na Litwie!

– Już znalazłem – rzekł z dumą Mikołaj. – To kniaź Michał Woroniecki.

Zubożały dziedzic Zbaraża, od lat osiadły na Mazowszu, też należał do dworzan królewskich, lecz o ile Mniszchowie stali tuż przy królu i trzęśli całym dworem, Woroniecki nie odgrywał na nim żadnej ważnej roli. Przeciwnie, był obiektem drwin, przezywano go „chudym kniazem”. Będąc bez grosza, kniaź nie miał widoków na mariaż odpowiedni do swego świetnego pochodzenia. Z pewnością dla wydzwignięcia się z mizernego położenia był gotów na wiele. Mieszczkańska proweniencja bynajmniej nie stanowiła przeszkody w planowanym związku, gdyż od dawna stało się pospolicie praktykowanym obyczajem, że podupadli magnaci ratowali się ożenkami z bogatymi kupieckimi córkami, nie widząc nic zdrożnego w takim podreperowaniu fortuny, zwłaszcza jeśli służyło to przywróceniu świetności rodu. Dał przykład Stanisław Radziwiłł, syn kanclerza wielkiego litewskiego, w 1527 roku żeniąc się z Magdaleną Bonerówną, dwórką królowej Bony. Problemem mogła być jedynie zszargana reputacja narzeczonej.

– I co? Zgodził się?

– A jak myślisz? To hołysz. Za odnowienie wytartej tarczy herbowej zaprzedałby duszę diabłu. Obiecałem mu sto tysięcy posagu, nie licząc puszczonej w dożywotnią dzierzawę dóbr w powiecie wiskim i wąsowskim, klejnotów i drugich cennych statków oraz koneksji na dworze, w naszych choćby niegodnych personach.

– Dużo...

– Niewiele; pieniądze i tak wyłoży Gizanka, a my dzięki temu mamy tę sprawę z głowy i spokojnie możemy sposobić się do batalii w sejmie. Diabła zje, kto nam teraz zechce zaszkodzić.

Kraków, październik 1572 roku

Przylepieni do muru odczekali, aż w głębi ulicy ucichły kroki nocnego rontu. Potem pchnęli furtę i przemknęli przez zapuszczony ogród. Ciemności nie przeszkadzały im – widzieli w nocy lepiej niż w dzień. To była ich pora. Cicho jak duchy dotarli do muru oddzielającego dwie posesje. Jak to nieraz robili, większy pochylił się, a mniejszy wspiął na niego i sięgnąwszy krawędzi muru, usadowił na szczycie, po czym pomógł wciągnąć się towarzyszowi. Bezszelestnie zsunęli się na drugą stronę i schowali za pnem starej wierzby rosnącej na podwórzu, cierpliwie czekając, aż zgaśnie ostatnie światełko w oknie na poddaszu. Dali sobie jeszcze trochę czasu i w końcu zakradli się do tylnych drzwi.

– Jesteś pewny, że trafisz? – spytał większy chrapliwym szeptem.

– Sprawdziłem, nie ma obawy. Jenó pamiętaj: żadnego gwałtu. Ma być nienaruszona. Tak przykazał ów człek, a nie patrzył na trefnisia.

– Ale zmacać mogę? – otworzył bezzębne usta w obleśnym uśmiechu.

– Co zmacasz, to twoje. Jenó dopiero, gdy będziem daleko stąd.

Manipulował przy drzwiach, po czym wrzucił pęk wytrychów do schowka naszytego od środka w kubraku. Żelazo cicho brzęknęło w zetknięciu z pięcioma ślicznymi dukatami. Drugie tyle mieli odebrać po robocie.

Na wszelki wypadek nasunęli kaptury głęboko na oczy, pchnęli drzwi i wśliznęli się do wnętrza domu. Prowadził mniejszy, po drodze odwiązując powróż, którym był po wielekroć przewiązany w pasie. Stąpali ostrożnie, lecz pewnie. Nagle przewodnik stanął, gdyż do jego wyczulonych uszu doszedł jakiś dźwięk, coś jak pluśnięcie wody. Zamarli, łapiąc za sztylety u pasa, ale odgłos nie powtórzył się. Bezszelestnie zaczęli się wspinać na szerokie schody.

Gdym się ocknął następnym razem, pochylała się nade mną ciotka z zatroskaną miną, za nią zaś stał Niziołek z marsem na czole. Prózno myszkowałem wzrokiem – Janki nie było.

– Odesłałam ją – ciotka właściwie pojęła moje spojrzenie. – Czuwała przy tobie całą noc i poprzedni dzień. Jak się czujesz?

Ostrożnie pomacałem głowę. Czaszka wyglądała na całą.

– Nic mi nie jest – uspokoiłem pocziwinę. – Taki zakuty łeb jak mój niełacno uszkodzić. Jenó kości czują tak, jakby po nich przebiegł tabun dzikich koni.

– To i nie dziwota, bo nie masz na ciele miejsca, które nie mieniłoby się wszystkimi kolorami tęczy. Wedle Janki niczego ci, chwalić Boga, nie złamali, jenó żebra masz obite. Posłaliśmy po ojca Rocha, ale wyjechał gdzieś i nie wróci przed niedzielą.

– Wiem. Siedzi w Kaźmierzu Dolnym i bada wydłubane z ziemi gnaty wielekroć większe i starsze od moich, acz zapewne w lepszym stanie.

– Trzeba ci czego?

– Zjadłbym co.

– Już schodzę na dół, Marynia zaraz przyniesie ci jadło.

Kiedy ciotka wyszła, spytałem Niziołka:

– Cóżeś taki markotny?

– Wczoraj na Promniku ^[14] znaleziono poćwiartowane ciało i szum się uczynił – rzekł ponuro. – Coś mnie tknęło i poszedłem rzucić okiem. Odcięta głowa, z kneblem wepchniętym w gardziel, leżała daleko od reszty. Wpierw mniemałem, iż to zwierz jaki ją tam zawłókł, aleć śladów ukąszeń brakowało, zatem to robota tych łotrów. Widać zabawiali się nią.

– Królik?

Kiwnął potakująco.

– Zanim obcięli mu członki, obdarli nieboraka ze skóry, alem go rozpoznał po

gębie, choć i z niej niewiele zostało.

– Kobiety już wiedzą?

– Janka tak, jejmości Balcerowej nic żem nie mówił, dość się frasuje i bez tego.

– Dobrześ uczynił.

Podrapał się po czubku wielkiego czerepu z bujną strzechą nieokreślonej barwy kudłów.

– Wiesz, że niełatwo mnie przerazić, Kacper, ale ten Zborowski patrzy na łotra pierwszej wody, co to nie cofnie się przed niczym i żadnej urazy nie daruje. Już pewnie wie, żeś mu się wywinął, sługi poszczerbiwszy. Jeśli tak okrutnie potraktował takiego mizeraka jak Królik, to co uczyni z tobą? Odtąd musisz mieć oczy naokoło głowy.

Milczałem. Zrozumiał to opacznie.

– Kacper, chyba nie obcięli ci jajec? – zaniepokoił się nie na żarty.

– Są na swoim miejscu – uspokoilem go, sprawdzając na wszelki wypadek.

– Nie o to mi szło.

– Wiem – odparłem.

Po raz pierwszy poznałem, co to znaczy prawdziwy, dławiący gardło strach o życie swoje i najbliższych. Dotąd sprzyjało mi szczęście. A stawiałem czoło lepszym od siebie i o takich wpływach, o jakich nawet nie mogłem pomarzyć. Lecz Samuel Zborowski był inny. Słyszałem o jego wojennych wyczynach. Cieszył się, chyba zasłużoną, sławą nieustraszonego wojownika. Spotykałem już wiarusów, których wojna tak znieczuliła, że zabijanie przychodziło im z wielką łatwością. Ale w Zborowskim było coś więcej, wyczytałem to w jego nieruchomych źmijowych ślepiach – czyste, bezlitosne okrucieństwo połączone z pogardą dla życia ludzkiego w ogólności, a dla postawionych niżej od siebie w szczególności. Nie byłem aż taki zadufany w sobie, by lekceważyć zagrożenie z jego strony, ale lęk mnie nie sparaliżował, może dlatego że o sobie martwiłem się najmniej. Przeciwnie – im bardziej się bałem, tym większy narastał we mnie opór i chęć odpłacenia pięknym za nadobne. Musiałem tylko być bardziej rozważny niż zazwyczaj, bo stawka była najwyższa.

– Nie bój się o mnie – uśmiechnąłem się do Niziołka. – Bardziej niżli o swoją skórę trapię się o dom i o Jankę, która wpadła mu w oko. Musisz dawać na wszystko zdwojone baczenie, a za Janką chodzić, gdziekolwiek by się ruszyła. Jeny skrycie, bo obu nam się od niej dostanie gorzej niż mnie od Zborowskiego. A teraz pomóż mi się odziać.

– Ejże! Janka powiada, żeś rzygał pierwszej nocy, tedy zdrowość po głowie oberwał i winieneś parę dni w łozu leżeć.

– Nie mogę. Mam dziś wykład z fizjologii, którego nie lza mi opuścić.

Ubrałem się, zjadłem wszystko, co mi przyniesiono, i schowany za wielkimi barkami Niziołka, wymknąłem się niepostrzeżenie z domu, nie omieszkawszy ukryć pod odzieniem solidnego puginału. Trochę kręciło mi się w głowie i szedłem

chwiejnym krokiem, tak iż niektóre starsze niewiasty spoglądały na mnie z potępieniem, a jedna mruknęła wcale nie najciszej: „Taki młody, a już oźralec!”. Jednak świeże powietrze swoje zrobiło i dochodząc do Kolegium Większego, czułem się prawie dobrze.

Mimo iż obroniłem magisterium, większość wykładów nadal miałem w gmachu Collegium Maius, w lektorium Galena. Istniało po prawdzie niegdyś Collegium Medicum na Grodzkiej ulicy, obok Collegium Iuridicum, ale tak małe i podupadłe, że zwano je częściej Domus Medicorum, bo też od czasu pożaru w połowie zeszłego wieku nie mieszkali już w nim profesorowie. Brało się to stąd, że medycy, w odróżnieniu od drugich wykładowców, byli zazwyczaj ludźmi świeckimi i mieszkali poza kolegium, zaś ci nieliczni duchowni spośród nich starali się wejść choćby do Collegium Minus. Toteż Dom Medyków został przez uniwersytet sprzedany, a pieniądze obrócone na użyteczniejszy cel.

Na dźwięk dzwonka, którym bedele oznajmiali początek zajęć, ucichł gwar na dziedzińcu, a scholarzy rozdzielili się na grupki i rozeszli do swoich lektoriów. Po wykładach, gdy nastąpiła południowa przerwa, postąpiłem chwilę na dziedzińcu, by pogwarzyć z kolegami i orzeźwić wodą ze studni, a gdy się właśnie zbierałem do wyjścia, niespodziewanie zaczepił mnie profesor Stanisław Grzebski, zwany *homo trilinguis*, jako że był wybornym latynistą, grezystą i hebraistą w jednej osobie. Szanowałem go wielce, bo też niewielu wykładowców naszej podupadającej Almae Matris mogło się jak on poszczycić publikacjami, a znanymi w Europie to prawie żaden. Nie lubili go za to koledzy profesorowie, mniej zdolni a leniwi, szykanowały władze wszechnicy i gdyby nie wsparcie pieniężne kardynała Hozjusza, Grzebski pewnie przymierałby głodem. Zresztą i tak żył w nędzy, co widać było po wychudzeniu i wyświechtanej, połatanej todzie, a przecież wystarczyłoby mu sprzedać swój bogaty, ponoć liczący ponad sto wolumenów zbiór ksiąg, głównie greckich. Ale on wolał go przekazać bibliotece uniwersyteckiej.

– Kacper Ryx, o ile się nie mylę – zagadnął, spoglądając na mnie oczyma krótkowidza i gładząc nerwowo pokaźną brodę. – Wskazano mi cię przed chwilą.

– Tak, mistrzu – odparłem, kłaniając się z rewerencją.

– Czy ja ciebie już nie widziałem gdzieś, synu?

– Nie tak dawno pan profesor raczył mnie oblać na egzaminie z greki. Dwa razy.

– Ehem... – bąknął cokolwiek zakłopotany. – Może byłem zbyt surowy...

– To ja byłem nieprzygotowany, mistrzu. Ale przysiadłem fałdów i w końcu zdałem.

– To dobrze. Bo widzisz, mam turbację, a polecono mi ciebie. Ponoć jesteś do takich spraw jedyny.

A jednak Kraków jest mały, skoro moja niewielka sława dotarła już nawet z Kącika na akademię. To mi bardzo pochwaliło.

– Turbacje to moja specjalność. Zamieniam się w słuch, wasza miłość.

Pociągnął mnie za sobą na kamienną ławę pod ścianą. Patrząc na jego spotniałą, wymizerowaną twarz i wycieńczony organizm, poczułem się zdrow i w pełni sił. Nie

miał jeszcze pięćdziesiątki, a widać było gołym okiem, że kostucha stała już nad nim i wymachiwała kosą. Zrobiło mi się go żal.

– Spotkała mnie wczoraj niemiła przygoda – poskarżył się. – Szedłem ci ja Gołębią ulicą do oficyny Łazarzowej, bo trzeba ci wiedzieć, że napisałem nowy traktat, nic wielkiego, ale zawsze, gdy wtem wpadł na mnie jakowyś facimiech i porwał sakwę, którą niosłem. Nie stoję o pieniądze, bo niewiele ich tam było, ledwie parę szelągów, jeno o manuskrypt...

Aż przykro było patrzeć na jego zmartwione oblicze i minę skrzywdzonego dziecka.

– Co to za traktat?

– *De multiplici siclo et talento Hebraico. Item de mensuris Hebraicis*. Taka tam rozprawka z zakresu numizmatyki hebrajskiej – machnął lekceważąco chudą ręką.

– Uzupełnienie dzieła francuskiego uczonego Wilhelma Budé *De asse*.

– Uczynię, co się da – rzekłem, wstając. – Choć niczego nie mogę obiecać.

– Pojmuję, lecz w tobie moja jedyna nadzieja.

– Potrafisz może opisać tego rzezimieszka, mistrzu?

– Nie – odparł ze smutkiem. – To podziało się tak szybko, że ujrzałem tylko jego plecy, gdy brał nogi za pas... Był dość wysoki i chudy, tyle wiem. Co zaś się tyczy nagrody...

– O tym pogadamy potem – przerwałem mu.

Jeśli będzie o czym, pomyślałem. Bowiem tropić złodzieja w naszym pięknym grodzie, to jak szukać wiatru w polu, obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Jednak miałem pewien pomysł. A jeśli on by nie wypalił, mogłem zawsze udać się do Króla Żebraków, jednak tę ewentualność traktowałem jak ostateczność i wolałem zachować na poważniejszą okazję.

Znałem z widzenia pewnego złodziejaszka, który z grubsza odpowiadał wizerunkowi podanemu przez mistrza Grzebskiego. Tego samego, przed którym ocaliłem ongiś sakiewkę mistrza Górnickiego. Działo się to przed prawie trzema laty, ale czasem widywałem go jeszcze. Zwykle grasował na ulicach Gołębiej i Brackiej oraz przylegającej do tej ostatniej połaci Rynku zwanej Goldą. A to dlatego że miał stąd blisko do domu. Mieszkał bowiem, jak przypuszczałem, widząc go kiedyś wychodzącego stamtąd, w Bursie Ubogich na rogu Gołębiej i Wiślnej. Jeśli nie bawił tam w niecznych celach, tedy był żakiem, gdyż nieczot w naszym bractwie nie brakowało, obelga *fur* była na porządku dziennym, a z kradzieżami bez przerwy miał do czynienia sąd rektorski. Ponieważ zrobiło się późno, przekupnie zamykali kramy przed wieczorem, a przechodniów nie kręciło się za wielu, założyłem więc, że i mój facimiech zakończył pracę na dziś. Należało się spieszyć, zanim łotrzyk pozbędzie się w jego mniemaniu nic niewartego łupu, o ile już tego nie uczynił. Czuję się całkiem dobrze, lecz głód skręcał mi trzewia, zaś do domu wracać mi się nie chciało. Zacząłem się rozglądać za jakowąś faryniarką i wnet zoczyłem jedną, co ze swym wózkiem stała przy bramie na Brackiej ulicy.

Ja nie miałem potrzeby, będąc w szczęśliwym położeniu przybranego syna właścicielki gospody i jej stołownika, ale wielu żaków i scholarów ukradkiem (bo nie wolno było jadać poza bursami i szpitalami, chyba że miało się status mendyki) dożywiało się w takich przenośnych farynach, najtańszych garkuchniach na wolnym powietrzu. Jadło było tu proste, lecz wcale smaczne i przede wszystkim – ciepłe. Toteż za ledwie dwa szelągi zjadłem z apetytem flaki i poprawiłem kreplami, słonawymi mącznymi paluszkami smażonymi w oleju, za darmo wysłuchawszy narzekań faryniarki na ciężkie czasy. A potem nabrałem oskomy na inne krakowskie specjały i u okienniczki sprzedającej pieczywo wprost z otwartego okna dokupiłem sobie jeszcze placek szewski, po czym skusiłem się na „tatarczuchy”, czyli prostokątne słodkawe ciastka z ciemnej mąki, a na drogę wziąłem jeszcze po dwa splecione w warkocz okrągłe obwarzanki i ósemkowate precle – na pierwszym omal nie złamałem zęba, więc dałem sobie pokój.

Po posiłku udałem się wprost do Bursy Ubogich. Burs dla scholarów było w naszym mieście kilka. A to Bursa Filozofów przy Gołębiej ulicy; okazała Bursa Jeruzalem ^[15], ufundowana przez kardynała Zbigniewa Oleśnickiego w czasach króla Kazimierza Jagiellończyka jako zadośćuczynienie za nieodbytą a ślubowaną pielgrzymkę do Ziemi Świętej; Bursa Jana Długosza *alias* Kanonistów *vel* Jurystów przy Grodzkiej naprzeciw Collegium Iuridicum, która zastąpiła zlikwidowaną już Bursę Ubogich Prawników, zwaną też Grochową, między Grodzką a Kanoniczą. Była drzewiej Bursa Węgierska w podnajętym starym domu na kształt wieży obronnej pobudowanym przy Brackiej i Niemiecka koło Kolegium Większego. Ale obie niedawno zamknięto, gdyż moja zacna Alma Mater od dawna nie przyciągała już postronnych żaków, od których jeszcze przed półwieczem się roiło.

Choć niby każdy scholar winien być przypisany do jakowejś bursy lub hospicjum, aby władze uniwersyteckie miały młodzież pod nadzorem, to za zezwoleniem rektora wyjątkowo wolno było mieszkać na prywatnej kwaterze. Ja sam korzystałem z takiego przywileju.

Bursę Ubogich (Pauperum) albo Isnera przeznaczono dla biednych studentów, bakałarzy i magistrów. Mieszkali oni w domu zadnim, bowiem godniejszy front, zwany Bursą Bogatych (Divitum), zajmowali zamożniejsi scholarzy, za których opłaty utrzymywano dom na zadzi. Toteż przeszedłem przez przednią część, bo nie miałem tu czego szukać, i podążyłem do oficyny. Przy okazji odwiedzając Antka, kolegę, z którym razem do niedawna studiowaliśmy na wydziale sztuk wyzwolonych, ale teraz on zgłębiał teologię i już nie spotykaliśmy się tak często jak niegdyś. Siedział z jakimś scholarem, wespołek pilnie pochylając się nad jakąś opasłą księgą. Jako bakałarz był przydany do bursy, aby czuwać nad prowadzeniem się żaków i pomagać im w nauce. Uśmiechnąłem się w duchu, wspominając, jak niegdyś to ja pomagałem Antosiowi w łacinie. Dziś był pewnie lepszym łacinnikiem ode mnie.

– Czołem – powitałem ich. – Macie, jeśli poradzicie. – Rzuciłem im obwarzanka i

precla. – Ja już niemal straciłem zęb.

Jakoś ich to nie odstraszyło – rzucili się na czerstwe pieczywo i pożarli w mgnieniu oka.

– Słuchajcie – rzekłem, gdy uszy przestały im się trząść i byli gotowi mnie wysłuchać z należytą uwagą – nie znacie aby takiego żaka...

Opisałem im rzezimieszka, którego podejrzewałem o napaść na profesora.

– To może być Spytek z Prokocimia – odparł Antoś, a jego druh potaknął. – Zайдiesz go na piętrze, w której dokładnie komorze, nie wiem, bo nie kolegujemy się. Z pięć lat już niby studiuje, a jeszcze nie ma nawet bakalaureatu. A co?

– Nic takiego. Dzięki – zabrałem się do wyjścia. – Czemu nie zagładasz do gospody?

– A bo jakoś mi niesporo tak was wciąż nachodzić i nadużywać dobroci jejmości Balcerowej – sumitował się Antek.

– Nie zbiednieje od tego. Wpadnij niedługo, bo się obrażę.

– Dzięki. A ty mnie już tu za niedługo nie zastaniesz. Onegdaj profesor Marencjusz przyjął mnie na serwitora – pochwalił się i zaczął rozwodzić nad życiem profesorów-kolegiatów i swoimi powinnościami. – Za parę dni przenoszę się do Kolegium Większego – zakończył.

– Winszuję – pogratulowałem mu, choć tak naprawdę to nie bardzo było czego.

Serwitor był to bowiem służący profesora, który zdobył sobie stanowisko kolegiatusa w Collegium Maius albo Minus. Mieszkał w kolegium, kątem w izbie swego chlebodawcy, i stołował się, bardzo marnie, przy osobnym stole serwitorów. Stanowisko należało więc do dość nędznych, zależność duża, profesor miał nawet prawo karać sługę różgą. Ale dla biedaków takich jak Antoś, niemających oparcia w rodzinie i drugich dochodów, i to była rzecz ponętna.

Na korytarzach i w izbach było rojno i gwarno. Kto miał co, ten ukradkiem spożywał podwieczerek, drudzy, nie zważając na gwar i harmider, czytali lub powtarzali na głos, jeszcze inni grali w karty albo pili ukradkiem tanie wino, popatrując czujnie, czy aby nie pojawi się dyżurny bakałarz bądź senior odpowiedzialny za ład w bursie. W ostateczności, jeśli nie mógłbym sam odszukać podejznanego, musiałbym zwrócić się do seniora, bo do jego obowiązków należało przetrząsanie bursy w poszukiwaniu podszywających się pod żaków łotrzyków wszelkiej maści. Zaczepiłem już trzech scholarów i nic, zaś czwarty spojrzął na mnie wrogo i wycedził:

– A ty kto? *Speculator* z ratusza?

Kiwnął na towarzysza i przybliżyli się do mnie z groźnymi minami. Nie chciałem awantury, na szczęście przechodzący mimo żak spojrzął na mnie i rzekł:

– Ostawcie go. Ja go znam. To swój. Zwie się Kacper Ryx.

– A to co inszego – rzekł ugodowym tonem ten skory do zaczepki i wskazał mi schody. – Na górę, izba na końcu korytarza. Tam go najdziesz.

Homo trium literarum był sam. Siedział na wyrku w małej, brudnej i

nieogrzewanej komorze, jakich była tu większość, i pociągał piwo z garnca. Na mój widok błysnęło mu oko i zrobił ruch, jakby chciał umknąć, lecz przewidziałem to i zagroziłem mu drogę.

- Będę krzyczał – ostrzegł. – A wtedy nie wyjdiesz stąd żywy.
- Wprzódki zdążę ci przeciąć gardło – odchyliłem połą, pokazując sztylet.
- Czego chcesz? – warknął nienawistnym tonem.

Patrzyłem w jego bezczelną, krostowatą gębę, z trudem powstrzymując się przed dzieleniem go w pysk.

- Przyszedłem po sakwę, którą wczoraj ukradłeś mistrzowi Grzebskiemu.
- Nie wiem, o czym mówisz.

– Doprawdy? – gwałtownym ruchem zerwałem pled, na którym siedział, aż przetoczył się na brzeg pryczy, odsłaniając sakwę.

Zajrzałem do środka. Były w niej papiery, pieniędzy nie.

- Nie wiem, skąd się to wzięło – upierał się.

Moja ręka sama wyskoczyła naprzód, ściskając łotrzyka za gardło.

– Mów, gdzie mińce, bo zadławię jak kuraka. A jestem dziś trochę słaby, więc będziesz się męczył dłużej. Za to masz więcej czasu na odświeżenie pamięci.

Puściłem go dopiero, gdy szczerwienił jak burak, a ślepia niemal wyskoczyły mu z orbit. Długo łapał oddech.

– Przepiłem – wydyszał w końcu i pokazał garniec z resztką piwa. – To już ostatni...

Zabrałem sakwę z rękopisem.

– Masz szczęście, żeś się nie pozbył papierów, ale jeśli jeszcze raz dowiem się, że okradłeś którego z naszych, dopilnuję, aby nie tylko wydalono cię z akademii, ale i wyświecono z miasta. – Dawniej bez pardonu obiłbym mu gębę *pro memoriam*, ale się wstrzymałem, wspomniawszy Zborowskiego; dużo mnie nauczył i choć bynajmniej nie całkiem wyrzekłem się stosowania forsy, to nie chciałem stać się tak brutalny jak on; darowałem sobie nawet przypomnienie furowi znanego porzekadła: lepiej swoje łątać, niżli cudze chwatać. Z równym skutkiem mógłbym rzucać grochem o ścianę.

Byłem już na dole, gdy doszedł do siebie i zaczął rozdzierająco wrzeszczeć. Od razu poszedłem do Kolegium Większego zwrócić profesorowi stratę. Bedele nie chcieli mnie wpuścić o tej porze, ale ich w końcu przekonałem. Grzebski miał łzy w oczach, tulił odzyskane karty jak ukochane dziecko i nie wiedział, jak mi dziękować. Z trudem stamtąd uciekłem. Cóż, ta sprawa nie przyczyniła mi dochodu, bo oczywiście nie wziąłem złamanego grosza od uszczęśliwionego profesora. Czasem trzeba się poświęcić dla wyższego celu, na przykład dobra nauki.

Do domu wróciłem na ostatnich nogach. Wszystko mnie bolało. W drzwiach zderzyłem się z jakimś włóczęgą w kapturze nasuniętym na oczy. Było w nim coś znajomego, lecz nie miałem nastroju, by się nad tym zastanawiać. Zmęczony powlokłem się do swojego kąta. A tu siurpryza! I to jaka!

– Pan Zamojski! I pan Drohojowski! Co za radość!

Oni też porwali się z miejsca i puścili ku mnie, całując dubeltowo i poklepując serdecznie po plecach. Gdyśmy się już sobą nacieszyli, Jan Zamojski odsłonił trzeciego gościa i rzekł:

– Oto imć Ryx, mój Stachniku, o którym ci opowiadałem, najtęższa głowa w Rzeczypospolitej. A to mój brat cioteczny, Stanisław Żółkiewski herbu Lubicz, szlachcic spode Lwowa. *Natione Polonus, gente Ruthenus* [16]. Dla powabności przezywany Zubem. A czemu, to starczy nań popatrzeć...

Spojrzelśmy po sobie ciekawie. Młodzian był mniej więcej w moim wieku [17], ale drobniejszej budowy, lekko zgarbiony i o wiele gładszego, nieomal niewieściego lica, acz bardzo bladego, ozdobionego niewielkim ciemnym wąsem, do tego dochodziły duże czarne, gorejące tajonym ogniem oczy i pełne usta z rzeczywiście lśniącymi bielą zębami.

– Daj pokój, Janie – zarumienił się, przez co jeszcze bardziej się do dziewczki upodobił. – Wiele dobrego słyszałem o acanie – wyciągnął ku mnie wąską dłoń, którą uścisnąłem, zdumiawszy się, ile siły było w tej na pozór tak delikatnej postaci. – Osobliwie, jak zmyślnie zdołałeś odczytać poema hieroglificzne imć Twardowskiego...

Była to sprawa, której omal nie przypłaciliśmy życiem, Janka i ja, a i tak powiodło nam się połowicznie – pan Twardowski zginął z ręki podnajętego przez Mniszchów zabójcy, niejakiego Kettlera; odzyskałem jeno papiery czarodzieja, na których zależało tu obecnym: Drohojowskiemu i Zamojskiemu.

– Przesada – bąknąłem. – Wszak nie udało mi się ocalić mistrza.

– To ja już pójdę – rzekła nieśmiało ciotka Balcerowa, unosząc się z ławy.

– Ani mowy – Zamojski ucałował ją dwornie w dłoń i skłonił się Jance siedzącej obok cioteczki – abyśmy jejmość i jejmościankę rychło puścili. A żurek był wyborny!

Zatem zasiedliśmy społem do stołu naprzeciw zarumienionej od pochwały ciotki i Janki z oczyma skromnie spuszczoneymi, co mnie bynajmniej nie zmyliło, bo wiedziałem, że zerka spod nieprzyzwoicie długich rzęs i z pewnością nie umknęło jej, iż młody Żółkiewski gapi się w nią jak sroka w gnat. Bo mnie nie umknęło. Nie dziwiło, ale też nie zachwycało. Marysia zebrała puste miski po żurze, po czym przyniosła zamówione trunki z prywatnej piwniczki. Słodkiego hiszpańskiego seka dla niewiast, a rywułę dla nas.

– Ale nam się porobiło, co? – rzucił pan Zamojski, niemal duszkiem wychyliwszy pierwszą szklanicę, i odchylił się, popuszczając pasa. – Takiego zamętu świat chyba jeszcze nie widział.

– Nie byłoby tego, gdyby nieboszczyk król jegomość zawczasu wyznaczył sukcesora, jak to był ongi uczynił Kazimierz Wielki – zauważyłem.

– Prawda to! – podchwycił żywo młody pan Żółkiewski. – Lois Węgierski bez

większych turbacji objął tron polski, jak to wprzód ustalono.

Niemal darowałem mu uporczywe wgapienie się w Jankę; widać lubił historię prawie tak jak ja.

– Świętej pamięci król August nie miał głowy do tej sprawy, bo go insze zajmowały – wtrącił z goryczą pan Drohojowski. – Zresztą nie głową bynajmniej myślał u schyłku żywota, niestety. Niechaj mu ziemia lekką będzie.

– Jan był przy miłociwym panu do samego końca – wyjaśnił Zamojski. – Mów, Janie.

– Kiedy aż mi przez gardło przejść nie chce...

– To przepij i zaczynaj.

Drohojowski zastosował się do rady druha, łyknął potężnie, otarł wierzchem dłoni usta i rzekł:

– Niedługo przed śmiercią król August, gdy zawiodły starania wiedźmy Budzikowej, która połała go jakimiś wywarami z winem wymieszanymi, przypomniał sobie o niejkiej czarownicy Koryckiej, ciotce niegdysiejszej swojej kochanicy, Zuzki Orłowskiej. Gasnący w oczach monarcha, topiący resztki nadwątlonego rozpustą zdrowia w winie i czarodziejskich miksturach, czepiał się każdego sposobu na przedłużenie żywota i progeniturę, kazał zatem dobremu memu znajomemu, Czarnotulskiemu, sprowadzić obie niewiasty na dwór warszawski.

Umilkł i znów się napił.

– Niesłychane – westchnęła ciotka, zachwycona taką porcją plotek prosto z krynicy.

– Zaczekaj jejmość, to dopiero początek – rzekł ponuro Drohojowski i ciągnął: – Korycka króla obmyła, po czym kazała mu pić wodę z owej kąpieli, oddała też ukradkiem sznurek z szat królewskich, spod samych lędźwi. Zasię w tym czasie w izbie obok, co podejrzwał Czarnotulski, Orłowska, podrygując w jakimś dziwnym pląsie, sięgała do podółka i nabierając garść grochu, ciskała go w ogień na kominie, mamrocząc pod nosem: „Wzywam was, moce piekielne, przybądźcie i sprawcie, by ten, co mnie tak szpetnie zwiódł i opuścił, skwarzył się w wiecznym ogniu potępienia jak teraz ów groch skwarzy się i niszczeje...”.

– A pan Czarnotulski nie przestrzegł króla jegomością? – spytała ciotka bez tchu. – Toć Korycka też ani chybi skradła ową rzecz do czynienia niepoczciwych praktyk czarnomagicznych!

– A jakże – machnął ręką ze zniechęceniem Drohojowski. – Wiadomo było przecie, że Orłowska nigdy nie darowała królowi, iż ją oddalił. Lecz król go zbył i jeszcze kazał wypłacić obu wiedźmom po kilkaset złotych, nie licząc czterystu florenów na drogę, i dodać im czterokonne kolasy, by mogły godnie wrócić do domu.

Upił wina i dumął, wspominając tamte chwile.

– Co było potem? – sam zaciekawiony w najwyższym stopniu, przerwałem mu medytację.

– Potem było jeszcze gorzej. Królowi jakby wróciły siły i zarazem sentyment do dawnych kochanic, osobliwie Zajączkowskiej, co zaniepokoiło obu Mniszchów, Jerzego i Mikołaja, którzy postawili na Giżankę. Tymczasem król August, nie widząc owoców swych wysiłków, jakby ochłódł w zapalach do Giżanki. Jako i wkrótce sprowadzili Mniszchowie z Litwy znaną znachorkę i wróżycę, suto ją opłacili, a ta czarami i namowami na dobre odwiodła króla od Zajączkowskiej. Giżanka znów wróciła do łask. A gdy pół roku potem urodziła córkę Barbarę, król oszalał dla niej całkiem. Kiedy zaś w Linzu zmarła królowa Katarzyna, ruszyły przygotowania do ślubu z Giżanką i uznania jej pomiotu. Próżno senatorowie darli włosy z głowy i napominali, kołatał przerażony nuncjusz papieski Commendone, protestowali posłowie na sejmie. Wreszcie, opuszczony przez niemal wszystkich rozumnych i zacnych ludzi, król August schronił się w Knyszynie i nakazał podjąć przygotowania do ślubu i wesela. Ale zrzędzeniem bożym zmarło mu się, nim ów szalony zamysł ziścił... A zresztą, po co ja o tym gadam, toć to sprawy ogólnie znane.

– Powiedz jeszcze, Janie, co działo się po skonie króla – wtrącił Zamojski, dolewając druhowi, po czym zwrócił się do nas: – Jan był przy jego królewskiej mości do samego końca, choć drudzy go odbieźali...

– A owszem, kochankowie jego zaraz od ciała odbiegli i stamtąd się wyprowadzili. Tak okropny widok opuszczenia przedstawiał nieboszczyk, iż nie było czym przykryć nagi trup jego. Dopiero biskup Krasiński kazał zrobić całun na ten użytek, a doktor Fogelweder, osobisty sekretarz i medyk królewski, włożył na ciało zmarłego złoty pierścień z kosztownym kamieniem i łańcuch złoty z krzyżem. Zaś pan Stanisław Czarnkowski, referendarz koronny, kazał własnym sumptem suknie i insze rzeczy do ubrania ciała potrzebne sprawić. Tymczasem rabowano dobra wszelakie na potęgę; pierzynki, uwiązując, z okna wyciskali, drugie się kurwom rozdało, samej Giżance z górą dziesięć tysięcy złotych. Widziano, jak Mikołaj Mniszech wyniósł z zamku przechowywaną w piwnicy ciężką skrzynię, którą ledwo sześciu ludzi udźwignąć mogło, uwiezioną potem na wozie. Słudzy Mniszcha także wnosili z sypialni królewskiej naładowane wory. Zaś szwagier Giżanki przesłał jej z Knyszyna brzuchatą skrzynię dobytku. Ledwie jedną skrzynię pan Konarski, dowódca straży, ocalił. Pieniądzy ostało mało, toteż dworzany niepopłaceni od lat, o to się też mocno zasadzili, ruszyć z Knyszyna nie chcieli ani ciała wypuścić, póki im odprawy choć w części nie uczyniono. Takie to były sprawy w owym smutnym czasie...

– Mniszchowie zapłacą za wszystkie łajdactwa – rzekł twardo Zamojski. – Na najbliższym sejmie konwokacyjnym, gdzie sukcesję omawiać będziem, poruszym i tę sprawę. Masz jeszcze, Janie, tuszę, owo pismo mistrza Twardowskiego, które dowodnie pokazuje, w jak niegodny sposób Mniszchowie podsunęli królowi Giżankę, a które z narażeniem życia zdobył dla nas Kacper?

– A jakże! Trzymam je z drugimi ważnymi skryptami w kowanej skrzynce, do której klucz jest tu – Drohojowski poklepał się po piersi. – Diabła zje, kto mi go

wydrzeć zechce.

– A jakimże sposobem nowy król obran ma być? – zaciekałem się.

– Jeszcze na pamiętnym sejmie lubelskim świętej pamięci imć Rej postulował, by króla obierali społem senat i izba poselska. Jednak jako pana obierać mamy, tego wciąż nie wiada. Po to, po licznych dysputach i kłótniach na sejmikach, na czas zaraz po Godach konwokację zwołano, czyli tak odtąd obzywany pierwszy sejm po skonie starego króla, na którym ustalić się ma żądania i oczekiwania wobec nowego panującego – odparł Zamojski.

– Nie bądź taki skromny, Janie – uśmiechnął się Żółkiewski; miał przyjemny, łagodny głos. – Jan – zwrócił się do nas – obmyślił najlepszy sposób: elekcję *viritim*, to jest powszechną. „Starsza brać” magnacka sarka, lecz szlachcie rzecz przypadła do gustu i niemal przesadzoną już się zdaje. Tym sposobem Jan na prawego trybuna „młodszej braci” nam wyrósł. Nawet najwięksi magnaci o jego względy zabiegają i jeno czekać, aż sam między najprzedniejszych w królestwie postąpi.

Znałem głosy i sekundowałem im, że i mieszczanie winni być dopuszczeni do elekcji, alem się z tym nie wrywał, dobrze wiedząc, co moi szlachetnie urodzeni druhowie o takim zrównaniu stanów sądzić mogą i że tylko kaprys losu postawił na mojej, chudopachołka, drodze tak wielkich panów i obdarzył mnie ich przyjaźnią. Pomarkotniałem, był to wszak jeden z tych momentów (dawniej nielicznych, ostatnio jakby częstszych), gdy przynależność do *minori genti* zaczynała mnie uwierać.

– Daj pokój – Zamojski niby się zachnął, lecz widziałem, że słowa kuzyna przypadły mu do gustu. – *À propos*, Kacprze, pisał mi Janek Kochanowski, któren w swoim Czarnolesie niby jaźwiec w jamie się zagrzebał, że na koronację niechybnie do Krakowa zjedzie i nawiedzić was nie omieszka.

– Tedy niedługo znów spotkamy się w gronie starych druhów, bo i Łukasz Górnicki na czas koronacji z Tykocina niechybnie się ruszy – dodał Drohojowski. – A teraz na nas już pora. Miło było, lecz...

– Przecież możecie, wielmożni panowie, przenocować w gospodzie! – zaoponowała ciotka gorąco. – Miejsca dosyć, a honor to dla nas ogromny.

Zamojski pokręcił głową.

– Wzywają nas z Janem obowiązki, moja jejmość, więc dank serdeczny za propozycję, lecz pójdziemy niezadługo na zamek. Ale ze Stachnikiem insza sprawa. To prawy parafianin, któregom wyciągnął z rodzinnych pieleszy, by świata liznął. Po prawdzie po tom go do was przywiódł, by Kacper wziął młodzika pod swoje skrzydła jak ongi Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego i miasto mu pokazał, boć ja nie będę miał na to czasu, a i nie wiem, czy na zamku wynajdę mu kwaterę. I co ty na to, Kacprze?

– Będę zaszczycony – skłoniłem się młodemu pankowi, bo co inszego mogłem rzec?

– Kacper kocha się w historii jak ty – zwrócił się Zamojski do kuzyna. – W głowie ma mądrości wszelakich i konceptów bez liku i, o ile mi wiadomo, wcale pokaźny księgozbiór, tedy nie zmarnotrawisz czasu. Zresztą do miesiąca zabiorę cię

do Warszawy na konwokację, chodzi zatem o parę niedziel zaledwie.

– Jeśli pannie Janusi moja obecność nie będzie przykrą, tedy zgoda – odparł Żółkiewski, podnosząc do ust dłoń dziewczki i patrząc jej głęboko w oczy.

– Panna Janusia będzie rada – odparła ta zuchwała pannica, układając usta w ciup, a mnie aż skręciło ze złości; Janusia, patrzcie go!

– Tedy załatwione – zatarł ręce Zamojski. – A teraz powiadajcie, co u was słychać?

Nie chciałem zawracać mu głowy naszymi turbacjami, bom wiedział, że ma swoje. Toć niedawno zmarła mu poślubiona ledwie rok wcześniej żona, Anna Ossolińska, córka kasztelana sandomierskiego Hieronima, a wkrótce po niej rodzony ojciec, Stanisław. Ale nie udało mi się powstrzymać potoku wymowy ciotki Balcerowej, która miała w końcu okazję wyrzucić z siebie cały lęk związany z najściem Zborowskiego na nasz dom. A sam czułem, że łotr na tym nie poprzestanie i bez możnej opieki czekała nas niechybna zguba. Co prawda: *Hostis honori invidia* [18], lecz ja chętnie bym się obył bez takowego honoru.

– Hmm... – zafrasował się Zamojski, skubiąc okazałego wąsa. – Zborowscy to potężna i rozrodzona familia... Na szczęście znam dobrze Jana, najrozumniejszego z braci. Nie trap się, jakoś to będzie. – Klepnął mnie przyjaźnie w plecy, widząc moją markotną minę. – No, Kacper, co z tobą? Pierwszy raz widzę cię z nosem na kwintę. Poradzisz sobie, a poza tym będzie przecież Staszek. Nawet Samuel, gorąca głowa, dwakroć pomyśli, nim zadrze z moim bratem. Wie, że wówczas miałby do czynienia ze mną. – Na jego przystojnej, męskiej twarzy pojawił się dotąd mi nieznan wyraz niepohamowanej dumy i pewności siebie, innej wszak od pychy z okrutnego oblicza Samuela Zborowskiego.

Jakoś nie podniosło mnie na duchu, że ma nas bronić chuchrowaty panek, byłem przyzwyczajony sam troszczyć się o siebie i swoją rodzinę, ale nie mogłem odrzucić takiej oferty, bo tym razem sytuacja mnie przerastała.

– Każdą pomoc przyjmiemy z wdzięcznym sercem – zapewniłem prawie szczerze.

– Na nas już pora – rzekł Zamojski, podnosząc się i dając znak Drohojowskiemu, który milczkiem wychylał kolejne puchary, zapewne wciąż rozpamiętując ostatnie żalodne chwile swego umiłowanego monarchy. – A odwiedźcie nas rychło na zamku. Koniecznie z panną Janką. Mam wobec aścki swoje plany – dodał tajemniczo, gdy ta diablica dygnęła niczym wytrawna dwórka; gdzie ona się tego nauczyła?

Kiedyśmy szli na górę – ciotka z zadowoloną miną ściskając sakiewkę (*Hospes, salve, hospes, solve!* [19]) otrzymaną od Zamojskiego na opłacenie wiktów i stancji Żółkiewskiego i ów kroczący ramię w ramię z Janką, a oboje zagadani tak, że aż zgrzytnąłem zębami – złapał mnie za połą Niziołek i odciągnął na bok.

– Nie chciałem ci o tym mówić, gdyś prawie bez ducha leżał, ale już wczoraj koło domu kręcili się jacyś obszarpańcy, a dziś zdybałem jednego takiego na schodach. Powiadał, że się zabłąkał po pijanemu. Chciałem go pochwycić, lecz wymknął mi się

jak piskorz. Zderzyłeś się z nim w drzwiach. Taki w kapturze naciągniętym aż na brodę. Zda mi się, że już go spotkałem, jeno nie pomnę gdzie. W każdym razie śmierdział znajomo.

– I mnie się zdało, że go skądś znam.

– Myślisz, że to Zborowski coś knuje? – łypnął na mnie niespokojnie.

– Kto go wie? Nie zdziwiłbym się. Na wszelki wypadek bądź czujny i uprzedź Grubego Stacha, by też baczył pilnie na wszystko, kiedy ty wychodzisz.

Komnata, którą ciotka przeznaczyła dla Żółkiewskiego, przypadła mu do gustu, co mnie wcale nie zdziwiło, bo była najlepsza w domu, nie wyłączając ciocinej sypialni; pewnie u siebie na wsi nie miał lepszej. Żegnając się z Janką, nie omieszkał znów cmoknąć jej z uszanowaniem w dłoń i obdarzyć wymownym spojrzeniem, aż mnie skręciło. Ale potem wyraził ochotę obejrzenia mojej podręcznej biblioteczki. Nie skomentował nędzy mej kwatery na poddaszu, lecz księgi go zachwyciły, czym mnie ujął, bo i ja kochałem je ponad wszystko. Z paroma żywymi wyjątkami, a jednym zwłaszcza.

– Ha! – zawołał. – *O karze za męzobójstwo* i *De Republica emendanda* Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Szkoda, że mu się zmarło latoś; mądry pisarz był. *Turcyki* Stanisława Orzechowskiego, *Chronica Polonorum* Miechowity, *De origine et rebus gestis Polonorum libri XXX* [20] Kromera, *Kronika wszytkiego świata* Marcina Bielskiego. Też ją czytałem! A wiesz, waść, że ów Bielski to w rzeczy samej Wolski z zacnej familii? Co my tu jeszcze mamy... *Żwierzyniec* i *Zwierciadło* imć Reja. Też żał, że już nic nie napisze... *Dworzanin* pana Górnickiego, *Zgoda* i *Satyr* pana Kochanowskiego. A to co? Horacy, Cyceron, Cezar, moi kochankowie!

– *Gallia est omnis divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitani, tertiam, qui ipserum lingua Celtae, nostra Galli appellantur* [21] – zacytowałem.

– *Ipsorum* – rzekł z naciskiem.

– A jak powiedziałem? – zdziwiłem się.

– *Ipsorum*.

– Przejęczyłem się.

– Najwidoczniej.

Wówczas to po raz pierwszy spotkałem się z jego irytującą cechą poprawiania wszystkich i wszędzie. Myślę, że brało się to z braku uniwersyteckiego wykształcenia. Im bardziej mu to doskwierało, tym więcej szczyił się swą zdobytą samodzielnie, w samej rzeczy imponującą wiedzą, gdyż znał kilka języków (francuski, włoski, niemiecki, łacinę i ruski) i czytał, co mu w ręce wpadło. Typowe mniemanie samouków – myślą, że zjedli wszystkie rozumy. Potem, gdym poznał go lepiej, przestało mi to przeszkadzać, lecz nie dziwiłem się drugim, których ta maniera złościła, nie przysparzając Stachnikowi przyjaciół.

– Doprawdy, piękny księgozbiór – rzekł, jakby chcąc złagodzić złe wrażenie. –

Już wiem, że będę się u was czuł jak u siebie w domu.

– Cieszy mnie to – odparłem grzecznie, nie czując zbytnej radości i z rozrzewnieniem wspominając, jak wybornie rozumieliśmy się z Sępem. – Zawsze do usług waszmość pana.

Poskrobał się po głowie i rzekł z pewną nieśmiałością, którą w nim wcześniej wyczułem, a którą umiejętnie maskował zbytnią pewnością siebie:

– Nie masz, wasze, jakowejś butelczyny pod ręką? Napiłbym się jeszcze, a jakoś tak niesporo było przy starszych...

Zaskoczył mnie. Cóż było robić? Sięgnąłem zatem po głęboko ukrytą przed wzrokiem ciotki (poprawionym, nie chwając się, dzięki moim staraniom) i Janki butelkę przedniego węgryzna i dwie szklanice. Nalałem do obu szkieł i przepiliśmy.

– *Nullum nisi hungaricum, Hungariae natur, Cracoviae educatur* – rzekłem.

– *Nullum nisi hungaricum, Hungariae natum, Cracoviae educatum* [22] – poprawił mnie machinalnie, po czym widząc moją minę, roześmiał się. – Podszedłeś mnie, acan!

Następne pół godziny, albo i całą pogadaliśmy sobie od serca. Opowiedziałem mu o swoich studiach medycznych i planach na dal, on zaś wyjawiał mi w zaufaniu, że zamierza poświęcić się Bellonie i przewyższyć kiedyś hetmana Jana Tarnowskiego, zwycięzcę spod Obertyna nad Mołdawianą w 1531 roku, a kto wie, może samego Cezara? Na jego usprawiedliwienie powiem, że wykańczaliśmy już wówczas drugą flaszkę. Wcześniej opowiadał o matce, Zofii z Lipskich, zmarłej niedawno, i ojcu, także Stanisławie, który skrzętnie powiększał odziedziczony mająteczek, oganiając się od zagonów tatarskich i wojując bądź rokując z sąsiedzi. I o tym, jak ojciec zmienił wiarę z prawosławnej na katolicką i swoje dzieci, Mikołaja, Stanisława i Katarzynę, na gorliwych katolików wykierował. Coraz bardziej przypominał mi Sępa, zresztą byli krajanami. Na koniec wspomniał, jak to w niemowlęctwie, ostawiony przez niedbałą piastunkę w wysokiej trawie na łące, cudem uniknął ogarnięcia przez orzę, a także o wróżce pewnej, która w wiosce Świńczy wedle Rzeszowa przepowiedziała mu niedawno wielkie czyny wojenne i bohaterską śmierć na polu bitwy. Wyglądało, że święcie uwierzył w jedno i drugie. W połowie trzeciej flaszki wycałował mnie serdecznie i póty nastawał, póki nie uległem i nie przeszliśmy na ty. Na odchodnym zabrał ze sobą *Consilium rationis bellicae* Tarnowskiego.

– A... a siostrę m... masz jak m... malowanie. U... ucz... ta dla o... oczu – wybąkał zająkliwie, gdy go podtrzymywał potykającego się w drodze na kwaterę, czym trochę zwarzył mi humor; nie upiciem się, rzecz jasna.

Ułożyłem go na posłaniu i wróciłem do siebie na górę. W domu wszyscy spali, musiało być już grubo po północy. Wino szumiało mi w głowie, a po chorobie czułem się jakiś lepki, więc postanowiłem wziąć kąpiel w naszej domowej balneoli. Jak mawiali starożytni: *Hygiēna amica valetudinīs* [23]. Zdjąłem świecę ze stołu i zszedłem na sam dół przez ciemny i jakby wymarły dom. Woda w kotle na piecu była

wciąż ciepła, a łaźnia znajdowała się po sąsiedzku, więc szybko naniósłem wody do balii, zdmuchnąłem świecę i zanurzyłem się w wodzie i ciemności gęstej jak sadza. Nie zarządziłem, by napalono w łaźni, więc było mi trochę chłodno. Ale za to jak przyjemnie! Raz zdało mi się, że od szpary w progu powiało zgoła zimnym powietrzem, jakby ktoś otworzył drzwi na zadź, ale chyba był to tylko pozór, bo nic podobnego się nie powtórzyło. Zresztą kto łażnikowałby po domu w środku nocy?

Moczyłem się więc i rozkoszowałem kąpielą, na wpół drzemiąc, lecz szmer, który posłyszałem, na pewno mi się nie przyśnił. Oprzytomniałem w jednej chwili. Ostrożnie, by nie plusnęło, wyszedłem z kadzi, wańtuchem owinąwszy jeno biodra, i uchylilem drzwi, wystawiając głowę, a właściwie jedno oko. Widzę w ciemnościach jak sowa, bom otrokiem będąc, sporo czasu spędził w kompanii ludzi, dla których noc była porą działania, a sklepy i loszki mieszkaniem, o ile nie gnieździli się wprost na ulicy albo w leśnym gąszczu. Patrzyłem więc i oczom nie mogłem dać wiary. Ze schodów złaziły dwie zakapturzone postacie, dźwigające spory tłumok owinięty białym płótnem. Śmierdziały tak, że aż wierciło mnie w nosie i z trudem powstrzymałem kichnięcie. Złazszy ze schodów, stanęły, dysząc i sapiąc, po czym większa zarzuciła sobie ciężar na grzbiet, a mniejsza ruszyła przodem. W moją stronę. Przyciągnąłem drzwi do siebie, odczekałem chwilę i pchnąłem je gwałtownie.

Żem dobrze wymierzył czas i celnie utrafił, przekonał mnie głośny jęk. Wyskoczyłem wprost na mniejszego intruza, który oburącz trzymając obolałą głowę, zatoczył się pod przeciwległą ścianę. Dосkoczyłem doń, lecz przemknął mi pod ramieniem i kopnął się ku wyjściu na zadź, wrzeszcząc głośno:

– W nogi, Kubrak!

Ja tymczasem zająłem się większym, który stał w miejscu jak dotknięty paraluzem. Wyceliłem starannie i kopnąłem go w jajca, aż mnie bosa stopa zaboląła. Cios nie miał więc zwykłej siły, lecz wystarczającą, by łotr zgiał się wpół, ryknął z bólu straszliwie i rzucając ciężar wprost w me ramiona, chwiejnym krokiem podążył w ślady towarzysza. Nie goniłem ich, mając pełne ręce roboty.

– Janka – wyjąkałem, z bliska rozpoznając kochane stworzenie.

Białe płótno okazało się nocnym gieżłem, oplecionym sznurem, który ciasno krępował członki dziewczki. Była nieprzytomna, w ustach zaś miała knebel. Usadowiłem ją na schodach i choć leciała mi na ręce, zdołałem mimo ciemności rozsypać jej więzy i precz odrzucić sznur oraz knebel – ohydnie woniejącą szmatę. Przy okazji wymacałem sporego guza na ciemieniu Janki, widać musieli ją wprzód ogłuszyć. Znów wziąłem ją na ręce, z lubością tuląc do piersi miłe kształty. Było to wszak zgoła inne uczucie niż wówczas, gdym obłapiał Magdę, Kasię-Anusię czy drugie dziewczki.

Wtem cały dom ożył, widać hałasy uczynione przez umykających złoczyńców pobudziły domowników. Z góry zstępowała ciotka z wielkim lichtarzem w dłoni, od czeladnej nadbiegali Niziołek z Grubym Stachem. Nagle oprzytomniłem sobie, że nie wiedzieć kiedy postradał wańtuch i stałem oto całkiem nagi, ściskając półnagą

dziewkę...

– Ja tylko niosę pomoc... – bąknąłem.

Alem po ich minach widział, że nie bardzo mi uwierzyli.

– Śmierdzieli jak capy, z gąb im cuchnęło lepiej niżli wawelskiemu smokowi, zasię knebel był chyba uczyniony ze starej onucy! A na domiar macali mnie wszędy jak... jak jaką ulicznicę! – Janka wciąż trzęsa się ze złości, choć był już ranek i spożyliśmy właśnie obfite śniadanie, co mnie zwykle nastrajało mniej wojowniczo, niż kiedy byłem na czczo; z pełnym żołądkiem takóŜ myślało mi się lepiej.

– Sporo zapamiętałaś jak na osobę wyzbytą przytomności – rzekłem zgryźliwie. – A może to macanie nie było ci aż takie wstrętne?

Ciotka tylko spojrziała na mnie z wyrzutem, ale z oczu Janki sypnęły się takie iskry, że powinienem zgorzeć ze sromoty, gdybym nie był do tego przyzwyczajony. A poza tym i mnie się coś należało, bo używali sobie na mojej osobie jak na łysej kobyle przez pół nocy i cały ranek. Zaś ze strony Janki nie spotkało mnie ani jedno dobre słowo, o podzięce za zratowanie nie wspominając.

– Biedna panna Janusia. Niech ja tylko dopadnę tych łotrów! – rzekł zuchowato Stachnik Żółkiewski, patrząc dziewczę głąboko w oczy i pochylając się do jej dłoni.

Oczy miał podkrążone i w ogóle wyglądał na zmordowanego po naszym nocnym biesiadowaniu, tak że szczerze wątpilem, by zdołał unieść szablę, a co dopiero nią machnąć, nie mówiąc o tym, iż tej nocy nawet trąby jerychońskie nie byłyby go w stanie zbudzić. Już miałem na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź, alem ją zdusił w sobie, bom zdążył polubić Zuba i nie miałem ochoty tego odmieniać. O ile nie umizgiwał się do Janki, był zresztą wcale przyjemnym młodzieńcem, ciotkę zaś ujął, wychwalając pod niebiosa kwaterę, w której nie znalazł ani jednej wszy, pchły ani pluskwy oprócz tych, które przywiózł ze sobą, bawiac po drodze w rozmaitych przydrożnych zajazdach.

– Jak mniemasz? – zwrócił się do mnie. – Ów rapt, czyja to sprawka?

Zwlekąłem z odpowiedzią, nie chcąc martwić ciotki, ale Janka wypaliła bez namysłu:

– Zborowskiego, a czyjaż? Wždy widziałam, jak wgapiął się we mnie. – Dałbym sobie rękę uciąć, że oburzenie w jej głosie było tylko w połowie prawdziwe; ech, te niewiasty!

– Słowo szlacheckie, że to się nie powtórzy. Moja w tym głowa i ręka. – Żółkiewski uderzył się wolną dłonią po szabli, którą wschodnim obyczajem nosił u boku miasto miecza lub rapiera. – A za rapt odejmują głowę!

– Jenó wprzódu trzeba wykazać, że to jego sprawka. Muszę zaglądnąć do Collegium – rzekłem, po czym wstałem, mówiac do Staszka: – Jak chcesz nieco poznać miasto, możesz pójść ze mną.

– Z chęcią, jenó się ochędozę.

Kiedy poszedł na górę, odszukałem Niziołka. Siedział w kuchni i opychał się,

maczając chleb w zawiesistym mięsny sosie.

– Właściem skończył wyrzucać gnój ze stajen i obory na ulicę, boć dziś przyjadą gnojniki, i jejmość Balcerowa dała mi wolny dzień. Jak nie masz dla mnie roboty, przejdę się na Rynek. Słyszałem, że ktoś ma się dziś rzezać w koszu – wymamrotał z pełną gębą na mój widok.

Jak wszyscy w mieście trzymaliśmy na zadzi zwierzęta, może tylko więcej od drugich, bo przecież prowadziliśmy gospodę. Mieliśmy owce, kozy, drób i jedną krowę, a zajmował się tym parobek z nieco skażoną głową, *mente captus*, Głupi Jasiek. W ustalone dni należało wyrzucić wszelkie śmieci i gnój na ulicę, co spadało na barki Niziołka, bo była to robota i nieprzyjemna, i ciężka zarazem. Z ulicy gnojniki zabierali nieczystości na położone za miastem gnojne góry.

– Nie wiesz, co to za łotry chciały porwać Jankę?

– Wiem. Ty też ich znasz.

– Nie może być! – zdumiał się.

– To Kubrak i Dziura.

– Ach! Dlatego ten zakapturzony łobuz wydał mi się znajomy! – Palnął się w czoło. – Choć minęło już sporo czasu, gdyśmy się ostatnio widzieli.

Przed trzema laty badałem sprawę śmierci córki ciotki Balcerowej, a mojej młecznej siostry, Doroty, i wówczas zetknąłem się z tymi dwoma łotrami i ich hetmanem – Garbusem *alias* Ślepem, który okazał się Królem Żebraków.

– Myślisz, że stoi za tym Król Żebraków? – spojrzął na mnie przenikliwie. – Co on ma do nas?

– Nie wiem. Wyjaśnię to w swoim czasie.

Ledwo wyszliśmy na ulicę, Żółkiewski zatkał nos, bo też sterty gnoju przed domami rozsiewały fetor, który zapierał dech. Wprzód wstąpiliśmy do kościoła Mariackiego, gdyż Stachnik koniecznie chciał obejrzeć ołtarz główny, o którym wiele słyszał. Stał też w zachwyceniu paręnaście zdrowasiek, mimo iż ołtarz, jak to w dni powszednie, był zawarty i to co w nim najpiękniejsze, środkowa scena obrazująca zaśnięcie Matki Boskiej, ukryte dla oczu.

– Niedługo Gody, wtedy napatrzysz się do syta – pocieszyłem go szeptem i poprosiłem, gdyśmy wyszli na cmentarz otaczający farę: – Zaczekaj chwilę.

Nie widziałem nigdzie Dziury i Kubraka, choć jak zwykle na cmentarzu roiło się od dziadów wszelkiej maści, nagabujących przechodniów. Zostawiłem Staszka, którego wnet obstąpili żebracy, i poszedłem w stronę kleci przy cmentarnym murze, gdzie, jak wiedziałem, miał swą siedzibę Król Żebraków. Nie doszedłem wszak do jego królestwa, bo drogę zastąpił mi obszarpaniec o prezencji srogiego opryszka.

– Czego tu? – warknął.

– Szukam Garbusa *alias* Ślepca.

– Nie znam człeka.

Nie wątpiłem, że ze szpar w ścianach szopy śledzi mnie wiele oczu, a pewnie i parę luf wymierzono w moją stronę na wypadek, gdybym nieproszony wybrał się w

gości. Ale nie miałem takiego zamiaru, przynajmniej na razie.

– Gdybyś jednak spotkał go wypadkiem, rzeknij mu, że Kacper Ryx chce się z nim widzieć. On wie, gdzie mnie znaleźć.

Wróciłem do Stachnika, który gapił się w górę z otwartą gębą, bo akurat trębacz na wieży wygrywał hejnał na cztery strony świata: do Wawelu – dla króla, na ratusz – dla burmistrza i rajców, na bronę Floriańską – dla gości, i na Wendetę – dla kupców i rękodzielników. Za czym wyszliśmy na Rynek, jak zawsze zatłoczony kramami i sragami, mimo iż nie był to dzień targowy. Przeszliśmy kramy żelazne położone naprzeciw fary Mariackiej, murowane bogate kramy ustawione w dwóch rzędach z tej strony Sukiennic i same Sukiennice, które wprawiły Żółkiewskiego w wielki podziw (jak wcześniej Reja i Bielskiego, czemu dali wyraz w swych wierszach), nie tylko z powodu obfitości cennych towarów, ale także z racji fizyrunków królów polskich wymalowanych na ścianach.

Przez rzędy jatek szewskich, garbarskich, garncarskich i krupniczych po drugiej stronie Sukiennic przedostaliśmy się bez trudu, co mnie nawet zdziwiło, ale potem drogę zastąpił nam mnogi tłum.

– Kto będzie się rzezać w koszu? – przypomniawszy sobie, o czym wspomniał Niziołek, spytałem jakiejś zażywej kumoszki, która wspinała się na palce i wieszala na ramionach sąsiadów, by wypatrzeć coś z przodu.

– Krzykowska. Nareszcie dostało się jędzy! – odparło babsko z mściwą satysfakcją.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Już w dzieciństwie często z drugimi otrokami droczyliśmy się z Krzykowską, która była najbardziej pyską przekupką na Rynku, i nieraz poczułem na grzbiecie jej różgę i nieposkromiony język, gdyż władała nimi z niedościgłą sprawnością. Nazwisko miała po mężu, ale było utracone jak rzadko. Imć Krzykowski, nękany nieustannymi swarami i poniewierany przez połowicę, nim oddał ducha, wysechł na wiór. Sekutnica słynęła bowiem z niewyparzonej gęby i łamania wszelkiego prawa, czy to miejskiego, czy wojewodzińskiego.

Zaczęliśmy się przepychać przez ciżbę. Ludziska sarkali, ale widząc szlacheckie odzienie, rękę na szabli położoną i dumną minę Żółkiewskiego, ustępowali, tak iż rychło znaleźliśmy się na wprost domu Maciejowskich herbu Ciołek oraz domu Schedłów [24], drukarzy, wedle stojącej tam kamiennej pręgi zwanej też piłatem [25]. U pręgierza, przypięci doń kuną, winowajcy odbywali karę pręgi, czyli piętnowania, oraz chłosty, stąd także wyświecano skazanych na wygnanie z miasta, pędząc wywołańców Sławkowską ulicą za mury, potem Długą przez cały Kleparz aż pod szubienicę na Pędzichowie, by pojęli, co im grozi, jeśli by odważyli się wrócić do Krakowa przed upływem oznaczonej kary.

– Synku – pochwyciłem za ucho brudnego obdartusa, lat może siedmiu, który w ścisku sięgał do sakiewki Staszka – popraw się póki czas, bo jak nie, to za niedługo u tejsze pręgi małodobry obetnie ci wpierw jedno ucho, potem drugie, a za trzecim

obwieszą cię na Powroźniczem.

– Co się stało? – spytał Żółkiewski, który nic nie zauważył.

– Nic, strzępię sobie język po próznicy. Bakałarze i magistry tak mają – pozwoliłem umknąć otrokowi, pewny, że wpuścił moje słowa jednym uchem, a wypuścił drugim.

Tymczasem kat właśnie odwiązywał Krzykowską od pręgi, a ceklarze przydźwigali kosz zwany spodnicą.

– O co tu idzie? – zaciekał się Staszek.

Zażywny jegomość uprzedził mnie i skwapliwie udzielił odpowiedzi:

– Ano skazano owo babsko za nieobyczajność, to jest przeklinanie i obrażanie kupujących, została także przyłapana przez tutnarów miejskich na wykupywaniu jarzyn i inszej żywności przed południem. Zaraz będą ją smagać konopiami, a potem musi się rzezać w koszu – zakończył podniecony, oblizując wargi.

Nie wolno było bowiem przekupniom w naszym mieście zakupywać towaru bliżej niż pięć mil od Krakowa ani odkupywać od chłopów przybywających na targ, póki wisała na maszcie chorągiew, ani w dni nietargowe podkupywać przed wybiciem godziny dwunastej żywności od ogrodniczek, to jest przekupek cechowanych pewnym znakiem, który je do tego upoważniał. Wszystkie te zakazy miały zapobiegać drożyznie, a nad ich przestrzeganiem czuwali urzędnicy zwani tutnarami.

Przy okrzykach gawiedzi ceklarze rozciągnęli babę na ziemi, ani dbając, że akurat wypadła kałuża, i przytrzymali za ręce i nogi, a kat jął ją chłostać powrozem konopnym po płucach i rozłożystym zadzie. Atoli, jako że miała na sobie grube szaty, a także chroniła ją solidna warstwa sadła, śmiała się tylko tym więcej, im mocniej kat trzepał jej tłuste siedzenie i im głośniejszydździła z niej gawieź.

– Dajcie kosz! – zawołał w końcu małodobry z licem czerwonym z irytacji. – Obaczmy, czy teraz będzie ci do śmiechu, wiedźmo!

Ceklarze rażno przydźwigali malowany kojec na kształt stożka wyrobiony z mocnej wikliny, kowalską robotą wzmocniony na złączeniach, i mimo iż przekupka wierzgała i wzbraniała się z całych sił, wspólnym wysiłkiem wtłoczyli ją wreszcie jak kurę do owego kojca *vel* spodnicy, po czym zamknęli babsko na kłódkę niby w klatce. Teraz jej sprawą było, jak szybko zdoła się stamtąd uwolnić. Taką właśnie karę obzywano „rzesaniem się w koszu”. Drzewiej zaś wiązano ukaranym duży kamień u szyi i pędzono wokół Rynku.

Bez chwili zwłoki przekupka zaczęła szarpać pręty klatki, ale osiągnęła tylko tyle, że spodnica wywróciła się i odturlała na bok, akurat w środek dorodnej końskiej kupy wymieszanej z błotem. Kiece skazanej zadarły się, obnażając grube łydki i uda, co wywołało wybuch śmiechu widowni i niewybredne żarciki.

– Góra z górą się nie zejdzie, ale gówno z gównem i owszem!

– Krzykowska, a dobrze ci tam?

– Kieby nie sadło, mogłabyś się precisnąć!

- Girę jak koń masz, a krat wyłomać nie poradzisz?
- Dobrze jej tak, przeklętnicy!
- Niechaj się rzeza do sądnego dnia!
- Racja! Na wieczną hańbę niech się w koszu rzeza!

Pyskate babsko, ani na chwilę nie przestając wściekle szarpać i kopać prętów swego więzienia, nie pozostawało dłużne:

– Bodaj by was pokręciło, obszcymury! Łajdaki, oczajdusze, moczymordy, menty zatracone! Wciórności! Trąd, wszy i mór wszelaki na łby wasze, zasrańcy! Słyszycie? Sram na was, czarcie pomioty! Sram, szczam i plwam!

I na dowód opluła owego jegomościa, który udzielił nam objaśnienia, ten zaś kopnął kosz, który odtoczył się na stronę. Idąc za przykładem, co rusz ktoś popychał spodnicę, a ta jęła krążyć po Rynku jak bąk, tłum zaś biegł za nią, wrzeszcząc, gwizdząc i hałasując na potęgę. Kiedy tylko zwolniło się przejście, pociągnąłem za sobą Staszka ku domowi Pod Krzysztofory, w którego podziemiach ongi stoczyłem pojedynek z Kettlerem, płatnym zabójcą na usługach Mniszchów, który wcześniej zdołał mnie ubiec i zabił mistrza Twardowskiego, nim dotarłem z ratunkiem.

– Ucieszne zwyczaje macie w Krakowie – rzekł Stachnik, obciągając odzienie poszarpane w ciźbie.

– Z czasem poznasz i drugie, jeszcze uciesniejsze. Dziś to jeszcze nic, poczekaj na targi albo któryś wielki jarmark. – W ciągu roku bywały takie trzy: po dwie niedziele trwające na świętego Stanisława w maju i świętego Michała z końcem września, tudzież pięciodniowy na świętego Wita w czerwcu.

– Doprawdy, wielem o tym słyżał i czytał choćby u imć Reja, ale to co widzę, przechodzi wszelką imaginację! Toć przekupniów u was więcej niż w Rawie Ruskiej mieszkańców! Nawet we Lwowie tego co tu nie uświadczy.

Wyjaśniłem mu tedy, iż przekupniów i przekupek w Krakowie mamy bez liku, obzywanych wedle zajmowanego miejsca lub towaru. Były zatem podkrzyżanki, smatruzianki, straganiarki, okienniczki, piwniczanki, owieśniczki, sienniczki, krupiarki, wieńczarki, ogrodniczki i drugie, których nawet nie umiałem nazwać.

Poszliśmy w Szewczą ulicę. Całe to łażenie i gadanie nabawiło nas apetytu, więc u faryniarki w „Kuchni Pod Słońcem” wprost na burku, kupiłem dla się gorącego barszczu, zaś dla niego płucka na kwaśno. Collegium Maius, do którego zdążaliśmy, bo ja chciałem się upewnić, że wykładów znów nie będzie, a Stachnik koniecznie chciał zobaczyć uniwersytet, uczyniło na Żółkiewskim duże wrażenie. Niby nie dał nic po sobie poznać, chwając się, że miał doma dobrych preceptorów, a następnie pobierał w szkole katedralnej we Lwowie naukę łaciny, historii, przyrody i matematyki. Alem i tak wyczuł, że zażrzy mi studiowania na akademii.

Po powrocie do domu zmęczony Staszek nie chciał nic jeść i od razu poszedł się zdrzemnąć. Ja też nie byłem głodny, napiłem się tylko ciepłego piwa, a ledwom usiadł, zaraz objawił się Nizioł i ciężko klapnął obok.

- Uff, alem się zmachał. Jednak warto było.

– Opowiadaj – podsunąłem mu garniec i poczekałem, aż go opróżni.

Krzywił się przy tym i parskął, na koniec mruknął:

– Nie lubię żybury. Wolałbym dwurażne.

– To sobie kup – odparłem.

Piwo dwurażne, dubeltowym takó¿ zwane, robiło się tak: do pieca wpuszczony był do połowy miedziak, czyli kocioł miedziany z pokrywą na zawiasach, przytykający bokiem do paleniska, przez co woda w nim stale była gorąca. Do niej wstawiano półgarncówkę blaszaną z piwem, które nabywało tym sposobem wielkiej gorącości i mocy, należało doń jeno dosypać szczyptę soli ze stołu. Takie piwo było najlepsze na podłg pogodę jesienną lub zimowy chłód, bo lepiej rozgrzewało od gorzałki, a mniej od niej poniewierało.

– Żartowałem. Krzykowska rzezała się w koszu – zaczął, obtarłszy pianę z gęby. – Ucieszne widowisko, żałuj, że cię przy tym nie było...

– Byliśmy tam oba z panem Żółkiewskim – przerwałem mu.

– Tak? – pomarkotniał. – Ale idę o zakład, żeście potem nie poszli tam gdzie ja.

– A dokąd poszedłeś?

– Do cygańskiego obozowiska! Chciał żem kupić sobie nowy kozik, bo stary mi się złamał. Patrz! – z dumą pokazał mi składany nóż z przedniej stali.

Tu mnie zaskoczył w samej rzeczy. Choć w istocie widziałem dziś na Rynku kilkoro barwnie odzianych Egipcjan, jakoś nie zastanawiałem się, skąd się wzięli.

– I gdzież to się rozbili?

– Na Błoniu za Kleparzem. Ichni hetman zwie się Petrus Parnobała czy jakoś tak.

Wtem otworzyły się drzwi gospody i stanął w nich obdartus o lisiej gębie. Gruby Stach zaraz huknął nań od szynkwasu, by się wynosił, ale tamten zignorował go, wodząc wzrokiem po izbie, po czym podszedł prosto ku mnie i spytał:

– Tyś jest Kacper Ryx? – a gdym potwierdził, dodał: – Ślepiec czeka na cię u kruchty Świętojańskiej. Masz iść ze mną. Samo jeden.

Uspokoilem gestem Stacha, który już szykował się do wyrzucenia nieproszonego gościa, i Niziołka napierającego się iść ze mną, i poszliśmy. Do kościoła wszedłem sam, włóczęga został za drzwiami. Miałem przy sobie i rapier, i lewak, niespecjalnie się z tym kryjąc, bo choć nam, mieszczanom, broni nosić niby nie było wolno, to jednak w tym niespokojnym czasie nikt na to nie zwracał uwagi, mało kto też ruszał się z domu bez oręża. A zwłaszcza taki, co miał na pieńku z Samuelem Zborowskim. Tym razem nie przewidywałem jednak turbacji.

– Kacper Ryx, inwestygator królewski. Witam – z zacienionego kąta w przedsionku wychynął garbus i stanął przy mnie.

– Jego królewska mość. Kłaniam – odrzekłem.

– Szukałeś mnie, tedy jestem. Czego chcesz?

– Czy to ty przysłałeś do mnie Kubraka i Dziurę wczorajszej nocy?

– Nie. Wiesz, żem jest ci przyjazny. Dopiero dziś powiedzieli mi o wszystkim.

– Wolałem się upewnić. Kto zatem ich podnajął?

– Jeden taki, patrzący na służę wielkiego pana. Zaczepił ich wczoraj pod Mariacką farą i dobrze z góry zapłacił. Póki cię nie ujrzeni, nie wiedzieli, że to twój dom i twoja dziewczka.

– A gdyby wiedzieli, toby ich powstrzymało?

– Pewnie nie – zaśmiał się cicho, aż mu zęby błysnęły w półmroku. – Wiesz, że kiedy chodzi o babę, tracą rozum.

Wiedziałem aż za dobrze. Tych dwóch zboczeńców parających się bestialstwem nie gardziło nawet nieboszczykami, byle zaspokoić swe chucie.

– Ale tę dziewczkę zakazano im tykać – dodał Garbus, zwany też niekiedy, gdy udawał niewidomego, Ślepcem. – Mieli ją jeno wykraść z domu i nienaruszoną donieść do cmentarnej bramy, gdzie ich oczekiwano.

– Czy ów, co ich opłacił, miał obfitą posiwiąłą brodę i zaciągał z ruska?

– Nie pytałem. Ale Dziura poszedł za nim i widział, jak tamten wchodzi do Szarej kamienicy. Tak, mój chłopcze, zdaje się, że turbacje to twoja specjalność. Ongi zadarłeś z burmistrzem Czeczotką, teraz ze Zborowskimi. Nie wiem, o co poszło, ale powiem, że nie chciałbym być w twojej skórze.

Też nie chciałem, lecz nie byłem jaszczurem i nie mogłem jej zmienić na nową.

– Ponoć Samuel Zborowski trzyma na zadzi domu klatkę, a w niej srogiego niedźwiedzia z Litwy, któremu lubi podrzucać dla zabawy tych, co mu zależli za skórę. Bacz, byś i ty tam nie trafił. – Uśmiechnął się krzywo.

– Bardzoś mnie pocieszył.

– Zawsze do usług. Wiesz, że cię lubię.

– Miło mi. I wzajem.

– Chcesz posłuchać mojej *Peregrynacji dziadowskiej*? Od naszego ostatniego widzenia dopisałem nowe wersy.

Nie czekając na zachętę, zaczął recytować:

*Dobrze dawać jałmużnę babom abo dziadom,
Ale takim, co ich kto prawie dobrze świadom.
Którzy abo w szpitalu, abo przy kościele
Jakąkolwiek chorobą ułomni na ciele.
Ale nie tym, co owo po jarmarkach łążą,
Lada kędy na trecie, w błocie się umażą,
Prawie na samej ścieżce, gdzie go nikt nie minie,
Rozłoży się jako wół, a nogę odwinie...* [26]

– Święte słowa – przerwałem mu.

– Tedy nie policzę ci nic za usługę, jeno poproszę o datek dla nieszczęsnego kaleki od urodzenia... Garbusa, nie Ślepca.

– Zakładam, że choć garb jest prawdziwy – na wyciągniętą łapę położyłem ostatniego wysupłanego z dna sakiewki całego dukata.

– Najprawdziwszy. Chcesz zmacać? Ponoć to przynosi szczęście, a tego ci teraz najbardziej potrzeba.

– Poradzę sobie. Bywaj, Garbus.

– Bywaj, Kacper. Wiesz, gdzie mnie szukać w razie czego.

Wróciwszy do domu, dowiedziałem się, że Żółkiewski poszedł na Wawel i zabrał ze sobą Jankę. No tak, tego się mogłem spodziewać. Straciwszy apetyt, poszedłem do siebie, bo miałem sporo do przemyślenia i potrzebowałem spokoju. Wyciągnąłem się wygodnie na łożku, założyłem ręce pod głowę i zatopiłem w myślach, gdyż Nizioł powiedział coś, co mnie uderzyło jak obuchem. Jeśli Niziołek się nie przesłyszał, to naczelnikiem tej ordy cygańskiej, która rozbiła tabor na błoni, był Petrus Parnobała. O ile dobrze pamiętałem, imię to znaczyło Piotr Białowłosy. Usłyszałem o nim przed trzema laty od Janki, która, znaleziona przez nich jako małe dziecko, przez ośm lat chowała się u Egipcjanów, którym hetmanił ów właśnie cygański baron, jak obzywali swoich wodzów. Nie pamiętała prawie nic z dzieciństwa, ale zachowała medalion z fizyrunkiem niewiasty, jak wierzyła – matki.

Co miałem teraz uczynić? Rozum powiadał, żeby sprawy ostawić po staremu. Wszyscyśmy już do dziewczki przywykli, a wyglądało na to, że i jej było tu dobrze. Jednak wiedziałem, że nigdy nie przestanie szukać rodzicieli, bo nieraz o tym mówiła i nie rozstawała się z medalionem. Pojmowałem to dobrze, bo sam z pewnością zrobiłbym to samo, gdybym miał jakikolwiek cień nadziei na wykrycie sekretu swego pochodzenia. Ale nie miałem, a Janka tak. A któż mógł jej bardziej pomóc w tych usiłowaniach, jak nie ów Petrus?

A co będzie, jeśli Janka dopnie swego? Okaże się panną z dobrego domu szlacheckiego, magnackiego może? Biorąc pod uwagę jej rozum i krasę, wcale nie było to wykluczone. Wtedy ją stracę na zawsze. Nigdy już nie zechce spojrzeć na znajdę, człeka bez nazwiska. Nawet teraz od mojej wołała kompanię Żółkiewskiego, a co potem? Będzie mogła przebierać w kawalerach z rejestrem przodków dłuższym niż małpie ramię Niziołka. Powiedzieć jej zatem o Petrusie czy nie? A może wprzód sam z nim rozmówię i wybadam, czy warto Jance robić nadzieję? Nie oszukuj się, ofuknąłem się w duchu, żaden Cygan nie będzie gadał z gadziem (tak nazywali obcych), a już z pewnością nie szczerze.

Minęła pora wieczery, a ja wciąż nie podjąłem decyzji. Wreszcie, słysząc kroki na schodach i trzaśnięcie drzwi mimo, podniosłem się z łożka. Janka ciągle zajmowała izdebkę obok mojej. Kiedyś wpadała do mnie co dzień. A to żebym ją odpytał z łaciny, a to posłuchać, co było na wykładach, a to pożyczyć książkę lub po prostu pogadać. Ale od dawna już tu nie zaglądnęła, a ja co noc wbijałem zęby w poduszkę, wiedząc, iż jest tuż za ścianą, a jakby oddalona o wiele mil. Co się stało? Co takiego zrobiłem, że już mnie nie lubiła?

Zapukałem.

– Proszę.

Wszedłem. Siedziała przy lustrze i czesała włosy. Boże, jaka ona piękna! Aż mnie

ścisnęło w dołku.

– Czemuś nie zszedł na wieczerzę? – spytała, nie przerywając toalety.

– Niegłodnym. A tobie jak się podobało na zamku?

– Bardzo.

To było otoczenie w sam raz dla niej. Ciekawe, kiedy od nas wyfrunie? Była jak motyl, który pojawił się na chwilę, by mi rozjaśnić życie, a potem zniknąć, zostawiając pustkę nie do zapelnienia.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że jutro z rana wybieram się na błonie za Kleparzem. – Było pod miastem drugie błonie, Zwierzynieckie. – Rozbił się tam tabor cygański, któremu hetmani Petrus Parnobała. Jeśli zechcesz, możemy pójść razem.

Zamarła z grzebieniem z szylkretu wbitym w krucze sploty. Cicho zamknęłam za sobą drzwi. Nie mogąc zasnąć, słyszałem przez cieką ścianę, jak śpiewa swą ulubioną piosnkę. Nie rozpoznawałem słów, ale pamiętałem je doskonale, tyle razy słysząc uprzednio:

*Płyną jasne zdroje,
Potem w Dniestrze giną,
Tak w tobie, dziewczyno,
Ginie serce moje.*

Wyruszyliśmy po śniadaniu, biorąc ze sobą Zuba. Szliśmy wolno ze względu na Stachnika, nienawykłego do chodzenia piechotą, który utrudził się wczoraj, a swojego wierzchowca zostawił na Wawelu. Krzywił się też po drodze, widząc nędzę miasta sąsiadującego z Krakowem, a pobudowanego byle jak – domy były małe i w większości drewniane. Bo też Kleparz, drzewiej Florencją obzywany, zaludniała biedota, w tym wielu Szotów, w ojczyźnie za wiarę prześladowanych, trudniących się u nas drobnym kupczeniem domokrażnym, oraz przeszkodników, czyli stularzy *vel* szturarzy, dla których nie stało miejsca w cechach krakowskich. Zwano ich też partaczami, jako że pracowali poza cechem, *extra muros* [27], na stronie, czyli *a parte*. Równolegle do Długiej ulicy szła Piekarska na Biskupim, a tutejszy chleb żytnio-pszeny był smaczniejszy i tańszy od białego pieczywa krakowskiego i cieszył się w Krakowie wielkim powodzeniem, podobnie jak ten z Zielonek, choć jeszcze większym – okrągły i wielki jak koło u wozu chleb promnicki z nieodległego Promnika Biskupiego. Sami zakupywaliśmy go do naszej gospody we wtorki, kiedy na Pędzichowie była wolnica na chleb. Niby tylko rżany, a nie biały, pszeny, ale kto tam się przejmował takimi ograniczeniami! Z tego powodu szły liczne protestacje piekarzy stołecznych, dochodziło nawet do najazdów piekarzy krakowskich na kleparskich partaczy i prawej wojny między nimi, z burzeniem pieców piekarskich łącznie. Ale przede wszystkim Kleparz sływał z licznych zajazdów (największy – na dwieście koni! – w murowanym domu zwanym Kamionką prowadził mój znajomek

Koniar), w których chętnie zatrzymywali się podróżni, gdy zastawali bramy Krakowa już zamknięte. A także ze stajen, w których trzymano setki koni. Zaś na Rynku kleparskim, zwanym Targowicą, opodal ratusza, odbywał się sławny targ, gdzie sprzedawano słomę, siano, owies, jęczmień, ale nade wszystko – konie. Z tego powodu nie woniało tu cudnie, cuch końskiej mierzwy stale wiercił w nosie, a po ulicach wały się sterty śmieci i nieczystości, tak iż krakowianie zatraskiwali drzwi i okna, gdy powiało od pozbawionego murów Kleparza. Przed niespełną półwieczem, w roku 1528, nawiedziła północną część Krakowa, Piasek i Kleparz straszliwa pożoga i miasto zgorzałoby pewnie ze szczeniem, gdyby nie zdarzył się jawny cud, który ponoć wielu widziało i potem dało świadectwo. Oto pośród szalejących płomieni ujrzano na niebie olbrzymią postać patrona miasta, świętego Floriana, jak wprost z chmur nabierał wody do cebra i gasił ogień ogarniający już kościół pod jego wezwaniem. Od tego czasu zyskał sobie święty Florian miano wybawiciela od pożaru i jął cieszyć się wielką sławą.

Na rogu Długiej i Pędzichowa mineliśmy latarnię umarłych [28] stojącą przed kościołem i szpitalem Świętego Walentego [29], dawniej leprozorium, a ninie przytuliskiem dla ubogich, i weszliśmy na polną drogę zwaną Świnia Krzywdą, bo tędy pędzono trzodę na rzeź. Na lewo od niej, aż po Rudawę-Młynówkę ciągnęło się błonie, czyli wielka łąka należąca do dóbr duchackich. Dopiero przed dwudziestu laty prepozyt duchackiego klasztoru założył tu osadę, ale było to marne skupisko ledwie paru chałup. Do obozowiska Cyganów dotarliśmy bez trudu, jako że sporo mężów, niewiast i niedorostków także tam ciągnęło, już to powróżyć sobie, już to kupić rozmaite miłosne specyfiki albo rzeczy z żelaza i miedzi, w których wyrobieniu Egipcjanie nie mieli sobie równych.

Wszelki handel i wrózenie odbywały się przed obozowiskiem, do którego wstępu broniły straż. Ale Janka zagadała coś szybko po ichniemu rozkazującym tonem i przepuszczono nas. Obóz składał się z ustawionych w krąg wozów drabiniastych i pospolitych, różniących się od chłopskich jeno pstrokatym malowaniem, ponakrywanych smołowanym płótnem. Tą samą materią były pokryte niskie namioty, w których nie sposób było stanąć. Widziałem też szałas z gałęzi, kory i skór zwierzęcych, a także ze dwie półziemianki – widoczny znak, iż tabor szykował się na hibernę. Pośrodku umieszczono ogrodzenie na konie, w którym stały trzy żrebne klacze. Reszta wierzchowców i koni pociągowych pasła się na błoniu pod opieką chłopców. Przed namiotami paliły się ogniska, a przy nich warzyły strawę kobiety poodziewane wielobarwnie w fałdziste, długie spódnice i chusty przewieszane przez jedno ramię, obwieszane ozdobami: miedzianymi, srebrnymi, a nawet złotymi, wedle zamożności. Obok końskiej zagrody kowal wykuwał podkowy, a paru innych długowłosych kędzierzawych mężczyzn o śniadych licach na zimno wyklepywało naczynia z miedzianej blachy. Na pozór nikt nie zauważył naszego przyścia okrom dzieci, od których wszędy aż się mrowiło.

Kucnąłem wedle otroka, lat może ośmiu, który podrzucał kolorowe kule, usiłując nimi żonglować, ale coś kiepsko mu szło. Gestem nakłoniłem go, by podał mi kule. Wziąłem dwie, zieloną i czerwoną. Wyfrunęły z mych rąk i jęły zataczać w powietrzu koła, krzyżując się w locie, wpierw z wolna, potem coraz szybciej, aż stały się prawie niewidoczne.

– Musisz stać prosto, lecz swobodnie, łokcie trzymając przy bokach. Podrzucaj kule niezbyt wysoko, mniej siły wkładając w prawą rękę, która jest z natury mocniejsza od lewej, jeśliś praworęczny. Kule zaś podbijaj, nie rzucaj. O tak, uważaj! Środek dłoni podbija kulę w górę, jednocześnie ręka w przegubie szybko się zgina, przedramię lekko unosi, zasię od ramion do łokcia ręce pozostają sztywne – nie przerywając kuglarstwa, dołożyłem niebieską kulę i teraz trzy krążyły w powietrzu. – Janko, tłumacz mu.

Zagadała szybko do chłopca, on jej coś odparł i oboje się roześmiali. Tymczasem wokół nas zebrało się mnóstwo dzieciaków, które gapiły się na mnie z ciekawością.

– To nie jest takie trudne. Spójrz, podrzucam pierwszą, a kiedy jest w górze, drugą przekładam z lewej do prawej dłoni. Lewa chwyta pierwszą, prawa podbija drugą i tak dalej. Kule szybko wylatują w górę, ale wolniej wracają, to cały sekret – ciągnąłem, dodając czwartą, żółtą kulę.

Złapałem wszystkie i oddałem chłopcu. Staszek klaskał jak szalony. Nawet w oczach Janki zoczyłem, jak mi się zdało, iskierki podziwu.

– *Bravo, bravissimo!* – zawołał Stachnik z przejęciem. – Gdzieżeś się tego wyuczył?

– Za młodu włóczyłem się parę miesięcy z trupą kuglarzy i linoskoków. Takowe mietelnictwo to nic nadzwyczajnego – odparłem skromnie, bo skromność to jedna z moich licznych zalet. – Doszedłem tylko do czterech, ale znałem takich, co podrzucali pięcioma, albo i sześcioma kulami. Zaś prawdziwi mistrzowie potrafią ponoć żonglować i siedmioma. No, możemy iść dalej.

Ledwo jednak ruszyliśmy, posłyszałem za sobą głos:

– Ej, *gadźo!*

Odwrociłem się, i niech mnie czarci! – ten mały łobuz, co przed chwilą z dwoma sobie nie radził, z kpiącym uśmiechem na brudnej gębie żonglował siedmioma kulami, z taką zręcznością, jaka nigdy nie była moim udziałem. Cała hurma dzieciaków zaśmiewała się z mojego osłupienia. Uszy mi raptem zapłonęły z gorąca. Już wiedziałem, z czego wcześniej śmiali się Janka i ten mały piekielnik. Dskoczyłem do łotrzyka i ucapiłem go za ramię. Kule upadły w trawę, śmiech dziatwy ustał, jak nożem uciął, ja zaś wpierw pokazałem im pustą dłoń, po czym zanurzyłem ją w uchu sparalizowanego ze strachu malca i wydobyłem stamtąd srebrnego talara, a drugiego z kędzierzawych kudłów.

– Takiś mądry – rzekłem – a nie wiesz nawet, co ci we łbie siedzi.

Teraz on dla odmiany stał jak skamieniały. Położyłem mu oba talary na dłoń, zacisnąłem i odszedłem. Już nikt się nie śmiał, na wszelki wypadek unikałem jednak

patrzenia na Jankę i Staszka, gdyśmy zmierzali w stronę najokazalszego namiotu. Po drodze Janka przystanąła obok starszego, ślepego Cygana, który grał na lutni i śpiewał tęsknym głosem:

*Gelem, gelem lungone dromencar,
meladilem baxtale Romencar.
Ax Roma! Len kotar tumen aven,
e caxrencar bokhale chavencar?*

– Co to znaczy? – zapytał Żółkiewski Jankę, która przetłumaczyła:

*Wędrowałem długimi drogami,
napotkałem szczęśliwych Cyganów.
Ej, Cyganie, skąd wy wędrujecie,
dokąd, głodni, zmierzacie?*

– Czy to ty, Janku Zelenojaku? – Cygan podniósł niewidomą twarz.

– To ja, *kak* Kororo. Bóg z tobą!

– I z tobą...

Widać już uprzedzony, przed dużym namiotem stał postawny starzec z długą, zupełnie białą brodą i w dostatnim odzieniu.

– Witaj, dziadku – rzekła Janka, podnosząc do ust upierścienioną dłoń starca. – Pamiętasz mnie jeszcze?

– Witaj, Zielonooka – odparł, kładąc jej dłonie na ramionach, po czym przygarnął do piersi. – Jakże mógłbym zabaczyć.

– To moi przyjaciele, urodzony pan Stanisław Żółkiewski i Kacper Ryx, inwestygator królewski. A to Baro Szer, czyli Wielka Głowa, zwany też Szer Rom, tutejszy naczelnik a mój opiekun serdeczny, bliski mi jak ojciec rodzony.

– Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi. Wejdźcie – odrzucił płachtę zasłaniającą wejście i zaprosił nas do środka. – Randio – zwrócił się do jeszcze dość młodej niewiasty grzejącej opodal na małym ognisku miedziane naczynie – przynieś nam czaju.

Tylną ścianę namiotu stanowił drabiniasty wóz ze stojącymi na nim półkami zapełnionymi dobytkiem, boki zaś obwieszono pysznymi wschodnimi kobiercami, które zaścielały również polepę. W kątach stały rozmaite przedmioty, wszystkie kunsztownie wyrobione z cennych materiałów. Usadowiliśmy się na niskich zydlach wokół równie niskiej ławy ze szlachetnego, inkrustowanego srebrem drewna. Cyganka wniosła parujące naczynie, zdjęła z półki czarki – niech skisnę jeśli nie z prawej kitajskiej porcelany! – ustawiła na ławie, rozlała do nich bursztynowej barwy płyn i odeszła bezszelestnie.

– Pijcie – zachęcił nas gestem cygański baron. – To czaj. Dostałem go od

moskiewskich kupców, którzy liście przywieźli z Kitaju. Nic lepiej nie rozgrzewa, nie orzeźwia, nie usuwa zmęczenia i nie oczyszcza umysłu.

Napój był gorzki i cierpki, lecz w rzeczy samej, smakował dobrze.

– Co się stało z Kało Szero? – spytał starzec Janki, wciąż, pewnie ze względu na nas, używając polskiej mowy, którą władał biegle.

– Zginął przed trzema laty. Kacper go zastrzelił – wskazała mnie głową.

Mówili o Cyganie zwanym Czarnogłowym, który ongi napadł na mnie na trakcie do Tyńca.

– To był grasant, zasadził się na mnie i próbował zgładzić – wtrąciłem.

– Dawno mu przepowiedziałem, że tak skończy. A co z tobą, córuś?

– Mieszkam w Krakowie u zacnych ludzi i dobrze mi się dzieje, dziadku.

– To mnie cieszy. Co cię tedy do nas sprowadza?

– Dowiedziałam się, że rozbiliście się obozem w pobliżu. Jakże mogłabym cię nie odwiedzić?

Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem spod krzaczastych brwi.

– I to wszystko?

– Nie – odrzekła po chwili milczenia. – Chcę odnaleźć rodzicieli i ufam, że mi w tym pomożesz.

Rozłożył bezradnie ręce.

– Bóg widzi, że chciałbym, ale jak? Wiesz przecie, iż znaleźliśmy cię zabłąkaną pośrodku boru, płaczącą z głodu i lęku.

– Gdzie to było? – spytałem.

Potał czoło.

– Nie pomnę... Randia!

Kiedy weszła Cyganka, zadał jej pytanie, ona zaś po zastanowieniu udzieliła długiej odpowiedzi, zerkając ciekawie na Jankę. Z tego wszystkiego wyłowilem tylko nazwy miast.

– To było kilka mil za Przemyślem. Wędrowaliśmy podówczas ode Lwowa, uchodząc przed tatarskimi zagonami i na Tarnów się kierując. Randia przypomniała mi, że to wtedy, opodal Dynowa, pod który popadli Tatarzy, padł nam drogocenny siwek – przetłumaczył Baro Szero, odsyłając niewiastę z powrotem.

– To już coś... – mruknąłem. – Ale wciąż diabelnie mało.

– Zaczekajcie.

Starzec podszedł do skrzynki w kącie, grzebał w niej chwilę, po czym wrócił i położył przed Janką jakąś materię.

– W tej sukni cię znaleźliśmy.

Dziewka ze wzruszeniem, a my ze Staszkiem z ciekawością pochyliiliśmy się nad rozłożoną suknią. Była błękitnej barwy, z delikatnego aksamitu, obszyta adamaszkiem, niewątpliwie droga acz mocno zniszczona, wielokroć łatana.

– Byłaś niczym żywe srebro. Większość dziur uczyniłaś, skacząc po drzewach jak wiewiórka – Cygan uśmiechnął się.

– Tu jest ślad po jakimś hafcie – zauważyłem, pokazując rozdarcie. – Szkoda, bo może były tam inicjały.

– Albo herb – wtrącił Stachnik. – To mi patrzy na kęs labrów albo klejnotu...

– Masz jeszcze *bajero*, Zielonooka? – spytał Jankę starzec, objaśniając nam: – To woreczek, talizman, który daje się każdemu romskiemu chłopcu, by zapewnić mu zdrowie i krzepkość. Do środka wkłada się ziele *draboro* i *sastra*, kęsek żelaza, aby był mocny jak usarz...

– Jak to: chłopcu? – zdumiał się Żółkiewski.

– W owym czasie Zielonooka wyglądała jak otrok i pragnąłem, by jak najdłużej za takowego uchodziła. Tak było dla niej bezpieczniej – wyjaśnił Cygan.

Tymczasem Janka odpięła guzik pod szyją i wyjęła mały woreczek. Starzec odwiązał rzemyk i wyjął ze środka skrawek tkaniny takiej samej jak u sukni.

– Włożyłem ci to miast żelaza, boś mimo wszystko była wszak dziewczką – uśmiechnął się.

Haft był wyblakły i wytarty, ale niewątpliwie przedstawiał herb z labrami po bokach, tak jednak zniszczony, że praktycznie nie do rozpoznania.

– Tak czy owak herb jest herbem – powiedział Staszek. – Bez *dubium* z zacnego rodu wywodziś się, waćpanna...

Do podziwu dla jej urody, zawsze widocznego w jego spojrzeniu, doszedł teraz szacunek dla prozapii. Tego się właśnie bałem, choć wiedziałem, że powinienem dzielić szczęście malujące się na licu dziewczki. Teraz już nie miałem u Janki żadnych widoków. Pieczołowicie zwinąłem niepozorny skrawek materii, który oznaczał dla mnie wyrok, na powrót wsadziłem do woreczka, zawiązałem i zwróciłem dziewczce.

– Pilnuj tego i sukni jak oka w głowie. To początek nici, dzięki której, w co nie wątpię, dojdiesz do kłębka – rzekłem, starając się mówić zwykłym tonem, po czym rzuciłem do starca, bo wydało mi się to dziwne: – Baro Szero, jak uzyskaliście zezwolenie na obozowanie tak blisko miasta?

– Jego miłość pan rajca Tłokiński pośredniczył między nami a prześwietną radą. Wyrobił nam zgodę nie tylko na tegoroczną hibernę pod miastem. Aż do koronacji nowego pana możemy tu obozować. Panowie rada srogo sobie porachowali za ten przywilej, a i imć Tłokiński wziął swoje, lecz i tak to dla nas gratka, jaka się pewnie drugi raz nie trafi...

Konstytucje sejmowe i królewskie rozporządzenia nakazywały starostom przepędzać Cyganów o złodziejstwo często podejrzewanych, a przy tym stanowiących konkurencję dla rzemieślników cechowych. Z drugiej wszak strony w czas bezkrólewia, gdy prawo ustało i insze sprawy zajmowały wojewodę tudzież starostę, nikt nie miał zapewne głowy zajmować się Egipcjanami, zwłaszcza jeśli kto znaczny wstawił się za nimi na ratuszu. Mój stary wróg Czeczotka był bardzo sprytny, a pieniądze potrafił wyciskać nawet z kamieni.

Wyszliśmy przed namiot. Gdyśmy się żegnali, starzec powiedział coś po cygańsku, zaś Janka zapłonila się cała i nie przetłumaczyła nam. Alem posłyszał

znajome słowo: *chindo bało*, obciętwołosi, jak Cyganie obzywali Polaków, i pojąłem, że mówili o nas.

– Wiesz, że zawsze możesz tu wrócić, Zielonooka – rzekł baron na koniec, całując dziewczkę w obie jagody.

– Wiem. Ja też cię miłuję, dziadku. Do zobaczenia, *bibi* Randio.

– Baro Szero – rzekłem na odchodnym, wskazując dziewczkę. – Dlaczego nazwaliście ją Jankiem?

– Bo mówiła o sobie: Jania.

Wracaliśmy w milczeniu. Janka tuliła do piersi swoje skarby, oczy jej błyszczały. Stachnik widocznie cieszył się jej radością i ja też chciałem z całego serca, ale jakoś mi nie wychodziło.

ROZDZIAŁ 3 | KSIĘGI

Kraków, listopad 1572 roku

Było już dobrze po zmierzchu, gdy dwa cienie, długi i krótki, przecinały wyludniony Rynek. Wysoki, dysząc ciężko i wspierając się na lasce, zakołatał do bramy kamienicy Szarej, w tym samym czasie niski rozglądał się czujnie wkoło.

– Pospieszcie się, wasza ekscelencjo – syknął. – Już nas dostrzegli. Idą tu.

W rzeczy samej, od muru pobliskiego cmentarza Mariackiego oderwało się kilka sylwetek.

– Nic nie poradzę – odparł wysoki, rozpaczliwie stukając kłopotem. – Nikt nie otwiera.

Obaj mówili po francusku jak ludzie wykształceni, z paryskim akcentem.

– *Sacrebleu!* – mały złapał za sztylet, który, przy jego wzroście, zawieszony u pasa sięgał niemal ziemi. – Przecież byliśmy umówieni!

Kiedy obaj Francuzi już szykowali się, by drogo oddać życie nocnym rabusiom, brama ustąpiła. Bez tchu wpadli do sieni wielkiego domu, skąd odźwierny ze świecznikiem zaprowadził ich na piętro. W dostatnio urządzonej świetlicy już na nich czekano. Wszyscy obecni się znali, więc darowano sobie ceremonialne powitania i prezentacje. A jednak, choć bardzo się starali, nie mogli się powstrzymać od rzucania ukradkowych spojrzeń. Niski przybysz był bowiem karłem. Podawał się za kasztelanica podlaskiego, porwanego w dzieciństwie i wywiezionego do Francji. Mimo mikrego, niewiele ponad dwułokciowego wzrostu i typowej dla karłów wielkiej głowy, był bardzo inteligentny i dowcipny, znał się także na czarach i truciznach. Doceniła to Katarzyna Medycejska, której został nie tylko ulubionym błaznem, „szaleńcem” jak mówiono we Francji, ale też zaufanym człowiekiem, używanym do różnych spraw i sprawek. Zwany we Francji Dominem lub Małym Polacronem, dorobił się wielkiego majątku. Wysłany do ojczyzny razem z Balagnym,

został potem w Polsce, by służyć pomocą jego ojcu i w rzeczy samej już oddał wielkie usługi, a miał świadczyć dalsze.

– Nie spieszyło się waszmościom – marudził, drapiąc się na wysokie krzesło. – Mogli nam hultaje gardła przeciąć u samych drzwi.

– Daruj, *sieur* Krasowski, ale niedźwiedź, którego niedawno tu sprowadził z pałacu, nieco hałasu czyni, stąd zapewne nie słyszano kołatania. A odźwierny zostanie ukarany – zapewnił czyniący honory gospodarza Samuel Zborowski, któremu towarzyszył najmłodszy brat, Krzysztof; brakowało Andrzeja, Piotra i Jana, uwijających się na sejmikach wokół sprawy obrania nowego króla. – Od kogoś cuchnie mi padliną, zrób z tym porządek – szepnął do Ruskiego, warującego pod drzwiami jak pies, i cicho wydał mu dyspozycje; sługus skłonił się i wyszedł.

– Trzeba było nająć ochronę lub przyjść wcześniej – mruknął zażywny bankier Bernard Soderini, siedzący obok brata, Karola.

Obaj przybyli do Krakowa z Florencji i mieszkali w Starej Mennicy [30], prowadząc największy kantor w mieście i, ponieważ dom Soderinich był najpotężniejszym domem bankowym w Europie, pośrednicząc w procentowych rozliczeniach od sum neapolitańskich, należnych w spadku Zygmuntowi Augustowi po matce, królowej Bonie.

– Z moim wyglądem wolałem nie rzucać się w oczy – odparł niziołek, nie przejmując się naganą. – Po co od razu wszyscy mają wiedzieć, że coś nas łączy?

– Słusznie – potaknął Karol Soderini.

– Waszmościowie – poprosił Samuel Zborowski, podczas gdy jego brat nalewał gościom wina – ze względu na pana de Montluca mówmy po francusku.

Wyższy z przybyszy, kulawy i stary, ale wciąż przystojny Jan de Montluc, biskup Walencji, był francuskim posłem. Medyceuszka obdarzyła go karkołomnym zadaniem – miał wybielić mordercę protestantów, Henryka d’Anjou, i sprawić, by Polacy wybrali go swoim królem. Jeśli komuś mogło się to udać, to jedynie Montlucowi, słusznie uchodzącemu za najlepszego dyplomatę swoich czasów, i dlatego francuska królowa matka nie zważała na protesty starego biskupa, który bynajmniej nie palił się do tej misji. Katarzyna przysłała wcześniej do Polski jego nieślubnego syna, Jana de Balagny, dla wybadania sytuacji, a jeśli się uda – przekonania umierającego Zygmunta Augusta, by zaaprobował francuską sukcesję. Misja była tajna, a Montlucowi młodszemu towarzyszył ulubieniec Katarzyny, Krasowski. Mimo iż karzeł doskonale znał polskie stosunki, nie udało im się uzyskać audiencji u króla, ale za to kupili sobie przychylność kanclerza Walentego Dembińskiego. Krasowski został w Polsce, młodszego Montluca zastąpił starszy, a teraz miano ustalić, za ile potężny ród Zborowskich byłby skłonny poprzeć francuską kandydaturę, czyli po prostu – ile kosztowała polska korona.

Targi były zażarte, ponieważ chodziło o ogromne sumy z jednej i wielkie wpływy z drugiej strony. Krasowski tylko się przysłuchiwał, więc Montluc musiał stawić

czoło połączonym siłom Soderinich i Zborowskich. W końcu osiągnięto porozumienie. Ustalono wysokość pożyczki, jaką bank Soderinich miał oddać do dyspozycji przyszłego króla, i gwarancje, których domagali się bankierzy, a także stanowiska, które spodziewali się objąć Zborowscy, nie licząc procentów od wynegocjowanej kwoty za pośrednictwo, o co upomniął się Samuel.

Z bezczelnym uśmiechem na brutalnej twarzy, mrugając porozumiewawczo do brata, spokojnie wytrzymał ciężkie spojrzenia francuskiego posła i króla.

– Niech będzie – rzekł de Montluc z westchnieniem.

Przypieczętowali transakcję uściskami dłoni i toastem wzniesionym za powodzenie francuskiej kandydatury. Ponieważ przybysze, słysząc co nieco o gościnności Zborowskich, wymówili się od noclegu, Samuel wezwał Ruskiego, kazał mu wziąć kilku zbrojnych i odprowadzić gości do domów.

– Co to było? – wzdrygnął się karzeł, usłyszawszy w sieni dobiegający gdzieś z podwórza ryk jakiejś dzikiej bestii, potem charkot i ludzki wrzask, który ucichł raptem, jak nożem ucięty.

– To nic. Tylko odźwierny odbiera karę za opieszałość. – Samuel spojrział nań tak, że niziołek pobladł, pojawiając znaczenie słów magnata, ale nic nie odparł i wykręcił się od odpowiedzi, gdy Montluc zapytał go potem, o czym mówili.

Kraków, listopad 1572 roku

– Prosimy do kompanii, mości Kandyan – zachęcał, szturchając siedzącego mimo Krzysztofa i szepcząc mu na ucho: – Uważaj, zabawimy się z nim.

Śniady Włoch w mocno wymiętych szatach, ze złością strząsał z siebie łapy dwóch pacholców, którzy doprowadzili go do izby biesiadnej. Z kwaśną miną usiadł obok Samuela, za którego krzesłem stanął Ruski.

– Jak zdrowie waszmości?

– A jakie ma być – warknął Candian – skoro więzicie mnie tu od niedzieli?

– Wszak jesteście w gościnie, panie – udał zgorznienie. – Nikt tu was nie niewoli.

– W gościnie! W moim kraju psy mają się lepiej niżli ja podejmowany przez waszmość! W ciemnej norze, bez jadła i napitku, z wiązką słomy pod głową!

– Naści, jedzcie i pijcie, a nie narzekajcie. A potem możecie odejść.

– A co z obligiem? Waść mi dług wyliczyć obiecał za mego wieśniaka, Kurka. Przyjeżdżam i co? *Signor* na mnie areszt położyć każesz...

– A acan nic jeno w koło Macieju o obligu, kiedy ja żadnego długu nie pomnę. Nawet święty postradałby cierpliwość, czyż nie, Krzychu?

Drugi Zborowski uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Trzeba było papier podpisać, kiedyśmy dawali po dobroci – rzekł.

– Właśnie. – Samuel podsunął Candianowi przygotowany papier. – Ruski, pióro

i inkaust, a żywo.

– Nie podpiszę – zacisnął usta Włoch. – I nie ruszę się stąd, póki pieniędzy nie odzyszczę.

– No to sobie długo poczekasz.

– To gwałt!

– Jaki gwałt? To staranie, mociumpanie, bowiem za tymi murami morowe powietrze panuje i sumienia bym chyba musiał nie mieć, by waszmość na pewną śmierć posłać.

– Waść kpisz sobie ze mnie! – zaczerwieniony Włoch rąbnął pięścią w stół.

– A wasze mi tu głosu nie podnoś – warknął Zborowski. – Ruski, nalej ichmościowi na zgodę.

Mrugnął do totumfackiego, który tak manewrował, udając, że srebrny puchar napelnia winem, aż niepostrzeżenie wlał doń przyniesiony uprzednio inkaust. Wygłodzony, ale przede wszystkim spragniony Włoch, który poprzedniego dnia na cały posiłek dostał słonego śledzia, wychylił puchar jednym haustem, po czym oczy stanęły mu w słup. Wpierw myślał, że go otruto, potem zobaczył trzy rechoczące w głos gęby i kałamarz z resztką inkaustu w ręku famulusa, i złość go porwała. Zerwał się na równe nogi i walnął na odlew Ruskiego w pysk, aż plasnęło. Wzięli się za bary.

– Dość! – ryknął Samuel. – Natychmiast przestać, do stu kaduków, bo obu wybatożyć każę!

Odstąpili od siebie, wciąż jednak patrząc na się wilkiem.

– Podać sobie ręce na zgodę. Nuże! – poleciał. – Rozczarowałeś mnie, mości Kandyan – pokręcił głową, gdy z wyraźną niechęcią spełnili i ten rozkaz. – Tedy nie będę cię zatrzymywał.

– Naprawdę mogę odejść? – nie dowierzał Włoch.

– Choćby zaraz. Ruski, sprowadź imć Kandyana na dziedziniec i każ zaprzęgać do kolasy.

Obaj bracia w otoczeniu czeladzi zeszli na podworec nieco później, akurat gdy Włoch pieklił się na widok swojej karety, nie tylko pozbawionej koni, ale także z odjętymi kołami.

– Waść kpisz sobie ze mnie w żywe oczy! – wrzasnął na jego widok. – Ale dość tego, przebrała się miarka! Oddaj mi mój rapier i stawaj mi tu niezwłocznie, chyba żeś tchórzem podszyty! Zaraz, powiadam...

– Ja tchórz?! Dość tego, ty włoska małpo! Kupczyk zatracony! Zborowscy nie stają byle komu! Ruski, rozdziać mi go zaraz! Wy sam, przynieść miodu, a wy – komenderował – poszczuć miszkę psami, chyżo!

Choć Włoch wrywał się i wydierał wniebogłosy, rozebrano go do naga i wysmarowano miodem. W tym czasie do wielkiej klatki z solidnych pni, ustawionej na podwórzu, wpuszczono dwa psy, by pobudziły niedźwiedzia, nieco ospałego i nażartego po zmasakrowaniu poprzedniej ofiary. Kiedy wreszcie bestia z rykiem podniosła się z miejsca, uderzeniem łapy miażdżąc kark jednemu z psów, szybko

otwarto drzwi klatki i wrzucono do środka Włocha. Korzystając z okazji, przez szparę wymknął się drugi pies, wlokąc za sobą poraniony zad. Szybko zastawiono drzwi masywną kłodą, po czym wszyscy pobiegli na schody i drewniany ganek okalający podwórze, aby z góry mieć dobry i bezpieczny widok.

Włoch stał jak sparaliżowany, nie śmiać nawet odetchnąć, podczas gdy niedźwiedź lizał łapę pokiereszowaną przez psy, pomrukując ani przyjaźnie, ani wrogo. Stopniowo Candian odzyskał przytomność umysłu. Ujrzał zmasakrowane szczątki swego poprzednika i jego oddzieloną od ciała zakrwawioną głowę, szczerzącą doń zęby, a także klucze u pasa ofiary. To nasunęło mu myśl o ucieczce, a dzięki temu z kolei dostrzegł, że kłoda zamykająca drzwi do klatki w pośpiechu została założona niedbale.

Wtem potwór wyczuł miód i ruszył na Włocha. Ten uskoczył w ostatniej chwili, gdy już owionął go smrodliwy oddech bestii, a niedźwiedź z rozpędu wyrzucił w masywne drzwi klatki. Obluzowana kłoda wypadła. Na to czekał Candian. Pchnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz, po czym pognał jak oparzony ku bramie wyjściowej, modląc się, by nie była zamknięta na klucz.

– Eukrazja, moi panowie, to stan zdrowia, który polega, jak wiadomo, na równowadze czterech cieczy w człowieczym organizmie: krwi, flegmy, żółci i czarnej żółci. Jakiegokolwiek zachwianie tej równowagi powoduje stan chorobowy, czyli dyskrazję. Stawiając diagnozę, konieczne jest poznanie daty urodzenia pacjenta, gdyż od tego powodzenie leczenia zawisło, jako iż poznamy wówczas zarazem lata całe i poszczególne dni niebezpieczne dla zdrowia chorego... Ważną diagnostyką jest badanie tętna... Pamiętajcie, tuszę, iż puls słaby oznacza słabość serca, mocny – gorączkę, niezrównoważony – zagrożenie życia, zaś silny – groźbę szaleństwa. Wszystko to opisano detalicznie u Galena i Avicenny...

A także u Józefa Strusia, najślawniejszego polskiego medyka naszych czasów, pomyślałem złośliwie, gdyż znałem na pamięć jego traktat *Sphygmicae artis* z 1555 roku, a także najnowsze dzieła cudzoziemców. W przeciwieństwie do naszego wykładowcy, Feliksa z Sierpca, który nigdy nie wyszedł poza starych mistrzów. Na domiar ośmieszał się głoszeniem sięgających jeszcze wieków ciemnych przesądów o wpływie gwiazd na przebieg leczenia albo zacieklą obroną alchemii czy przebrzmiałych dawno poglądów z zakresu embriologii i patologii.

– ... krew wodnista to niechybne *signum* chorej wątroby; z flegmą – podagry i nieżyty żołądka; biaława – suchot; koralowa – gorączki wewnętrznej. Zasię co do moczu, to słony zdrowie oznacza, kwaśny chorobę, a... A cóż to, mistrzu Ryksie, śpicie? Czyżby diagnostyka nudziła was? A może to ja działam na jaśnie magistra usypiająco?

– Ależ skąd, profesorze! – zaprzeczyłem gorąco, choć po trzykroć miał rację; zwykle udawało mi się drzemać bezkarnie, ale dziś przyszło mało słuchaczy, rzucałem się w oczy niczym Etiopczyk na śniegu i dlatego mnie wypatrzył. – Zadumałem się

jeno chwilę niewielką.

– Tak? To może łaskawie zechcecie oświecić kolegów, co znaczy patrzący na przegotowany mocz cierpiącej osoby, hę?

Udałem zastanowienie, czekając, aż na jego poranej zmarszczkami, ziemistej twarzy człeka ciężko chorego, który, niestety, z pewnością nie miał moczu patrzącego na przegotowany, pojawi się tryumfujący wyraz.

– Taki mocz jest oznaką powrotu do zdrowia – powiedziałem.

Chrząknął i zmierzył mnie groźnym spojrzeniem, ale odczepił się nareszcie i mogłem się zająć ważniejszymi sprawami. Bynajmniej nie lekceważyłem imć Feliksa z Sierpca, zwłaszcza że to on, wysłany samotrzeć przez uniwersytet na sejmik proszowicki, protestował, acz bezskutecznie, przeciw skazaniu mego druha, magistra Wolskiego. Tylko że, nie chwając się, miałem już w jednym palcu to, co statut z 1525 roku zalecał względem studiów medycznych na pierwszym roku: w zakresie teorii wykłady pierwszego rozdziału (*fen*) Kanonu I Avicenny oraz trzech ksiąg Galena, ba! -zaliczyłem nawet zalecane na dalsze lata nauki aforyzmy Hipokratesa; w zakresie praktyki czwarty rozdział Kanonu I Avicenny o przebiegu rozmaitych chorób i rozdział pierwszy Kanonu IV o gorączce tegoż autora. A wszystko to zawdzięczałem memu mentorowi, ojcu Rochowi, który od lat z górą pięciu na medyka mnie kierował, wiedzę mając większą niżli wszyscy moi profesorowie razem wzięci.

Wykłady na ogół nudziły mnie zatem i dlatego baczył jedynie, by nie opuszczać ich za wiele, boby wydalono mnie z akademii. Zresztą wykładowcy na równi lekceważyli swe powinności. Dzisiejszy wykład profesora Sierpca był pierwszym od tygodni, a i to jedynie dlatego że profesor, który ostatnio nie odstępował prymsa Uchańskiego w Łowiczu, przybył na chwilę do Krakowa zaopatrzyć się w leki w krakowskich aptekach i ściągnąć czynsz od bogatych scholarów, dla których wynajął od uniwersytetu dawną Bursę Węgierską. Gwoli sprawiedliwości, profesor Zawadzki też często opuszczał wykłady, bowiem zajmowały go bardzo sprawy publiczne; zasiadał w radzie miejskiej, a nawet podobno szykował się do objęcia posady burmistrza.

Kiedyśmy opuszczali lektorium, udając się na południową przerwę, ktoś położył mi dłoń na ramieniu.

– Tyś jest Kacper Ryx?

– Nie mylicie się, mistrzu.

Był to Stanisław Twardy zwany Marencjuszem od wsi Marzenina pod Gniezmem, skąd pochodził. Mąż lat około czterdziestu, wielce rozumny, wyborny hebraista, grezysta i łacinnik, świecący przykładem pobożności i cnót wszelakich. Zaledwie w trzy lata od uzyskania mistrzostwa wszedł do Kolegium Większego, na co drudzy magistrowie czekali latami. Znałem go, bo czasem zastępował na wykładach z greki profesora Grzebskiego, zanim niedawno poświęcił się studiom teologicznym.

– Rozmawiałem z profesorem Grzebskim. Nie mógł się nachwalić, jak szybko zdołał waść odzyskać skradziony mu traktat.

– Drobiazg – machnąłem ręką lekceważąco.

– A ninie doktor Marcin Glicjusz z Pilzna, *librarianista* Collegii Maioris, ma wielką turbację i chciałby was widzieć. Najlepiej zaraz.

Wstąpiliśmy zatem na schody i krążgankiem obiegającym dziedziniec Kolegium Większego doszliśmy do złożonego portalu i okutych żelazną blachą drzwi głównej librarii uniwersyteckiej, która w naszych czasach zyskała dumne miano *Libraria Studii Generalis* [31], zwanej też *librariam publicam*. Marencjusz nacisnął klamkę i puścił mnie przodem. Stałem oko w oko z energicznym, gładkolicym jak wszyscy teolodzy pięćdziesięciolatkiem o żywym spojrzeniu, z założonymi w tył rękoma maszerującym nerwowo tam i z powrotem po obszernej izbie.

– Nareszcie! Tyś jest...

– Ryx. Kacper Ryx, inwestygator królewski i przyszły medyk.

– Rektor Turobiński cuda mi o tobie opowiadał. – Z eksrektorem, jurystą Janem z Turobina, miałem często do czynienia przed laty, podczas sprawy mego druha, bezprawnie sądownego i skazanego na śmierć przez miasto Franka Wolskiego. – A i profesor Grzebski wynosi cię pod niebiosa... Jeśli to, co prawią, choć w połowie odpowiada prawdzie, tedy właśnie ciebie mi potrzeba.

– Rad dopomogę, jeśli zdołam. O co chodzi?

Spojrzał na Marencjusza.

– Nie powiedziałaś mu? Zginął mój surogat, doktor Janeczka. Znacie go, mistrzu Ryksie?

– Z widzenia. – I chwała Bogu, pomyślałem, bo za kleparzaninem, Sebastianem Janeczką, doktorem teologii i bodaj trzykrotnym rektorem akademii, ciągnęła się sława poważnego i surowego Katona, a raczej drugiego Torquemady, nieubłaganego tropiciela wszelkich odstępstw od prawowitej, papieżniczej wiary. – Jak zginął?

– *Mea culpa* – palnął się w czoło bibliotekarz. – Wyraziłem się niejasno, jako owe prostaki, co *litteras* nie mają. Powinienem rzec: zginął.

– Kiedy?

– Jeszcze wczoraj wieczerał w *stubae communis* wespołek z drugimi kolegami większymi...

Na podstawie opowiadania Antosia, który przymierzał się zostać serwitorem jednego z profesorów (czy aby nie Marencjusza?), wyłonił mi się obraz wykładowców wedle starszeństwa zasiadających w izbie wspólnej przy trzech stołach do posiłku z prostym jadłem: polewki, barszcze, mięso, ryby, groch, rzepa, na leguminy ryż lub kluski z makiem i miodem, frukta, za to wino rzadko.

– ... a na śniadaniu dziś przed południem już go nie było. Czy tak, mistrzu Marencjuszu?

Młodszy teolog potaknął.

– Nikt go nie widział od wczorajszego wieczora.

– Mógł wyjść do miasta – zasugerowałem.

– W nocy? – zgorszył się Glicjusz. – To się u nas nie zdarza. Chyba że kolegom młodszym – dodał złośliwie.

Prawdą było, że bakałarze i młodszy magistrowie z Collegium Minus nie prowadzili się przykładnie i niejedni stanęli przed sądem rektorskim za nocne hulanki po gospodach albo sprowadzenie ladacznicy do swej izby w kolegium. Ale w rzeczy samej, dużo lepiej uposażeni i stojący znacznie wyżej w uniwersyteckiej hierarchii profesorowie z Collegium Maius mieli zbyt wiele do stracenia. Wołałem się wszak upewnić.

– A jednak warto spytać bedeli, czy go nie widzieli wychodzącego.

Za nocowanie poza kolegium groziła kolegiatom kara kopy groszy, a nawet wydalenie z kolegium, za zwykłe spóźnienie i powrót po zamknięciu bramy kara wynosiła sześć groszy; wychodząc po zmierzchu, profesor musiał zabrać ze sobą służbę z latarką i bedele z pewnością by to zapamiętali.

– Już to zrobiłem – odparł *librarius*. – Zaraz jak tylko przyszedłem tu i dobrą godzinę czekałem na niego. Umówiliśmy się bowiem, że rozpoczniemy dziś sprawdzanie regestrów wypożyczeń... Posłałem zatem mistrza Marencjusza, by wypytał bedeli.

– Nikt nie opuszczał gmachu i nikt doń po zmroku nie wchodził – potwierdził Marencjusz. – Tak mi powiedziano. Obszedłem potem z bedelami całe kolegium, od izby Janeczki począwszy, na karczerze pod nami kończąc – tupnął nogą w pawiment, bo faktycznie więzienie uniwersyteckie znajdowało się w tym samym skrzydle, popod bibliotekę; wiedziałem o tym doskonale, bom tam z woli jego magnificencji sporo czasu przesiedział, przeważnie za niewinność. – I nic. Jak kamień w wodę – rozłożył ręce.

– A w biblioteczce sprawdzałeś, waszmość? – spytałem Glicjusza.

– I wczoraj, gdym ją zamykał, i dziś też.

– A jednak nie rozpułnął się w powietrzu – rzekłem, nie śmiąc sugerować, iż diabli ichmością wzięli lub przeciwnie: wniebowzięcia dostąpił; z teologami lepiej było nie żartować, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, bowiem odkąd Francuzi urządzili rzeź kacerzy w dzień świętego Bartłomieja, protestanci z katolikami aż nadto chętnie brali się w Krakowie za łby i łacniej niż kiedykolwiek można było zostać posądzonym o herezję. – Tedy musi gdzieś być. Jeśli pozwolicie, mistrzu biblioteczniku, rozglądnę się tu nieco, a was, mistrzu – zwróciłem się do Marencjusza – poproszę, byście się raz jeszcze udali do izby doktora Janeczki i wypytali jego służącego, jeśli go ma.

– Ma, ale nie było go w izbie uprzednio...

– Ale może już się objawił, kto wie, czy nie razem ze swym panem.

Gdy odszedł, Glicjusz spytał:

– Co chcesz obejrzeć, chłopcze?

– Wszystko.

– Nie byłeś tu jeszcze?

– Parę razy jako scholar. Ale wypożyczyć niczego nie miałem jeszcze okazji,

magistrem jestem od sierpnia zaledwie.

Wbrew nazwie, *libraria publica* wcale nie była księżnicą dostępną dla wszystkich. Ludzie spoza uniwersytetu niesłychanie rzadko uzyskiwali pozwolenie wypożyczenia książek. Mogli z librarii korzystać w sposób nieograniczony jedynie starsi wykładowcy z Kolegium Większego. Tym wolno było brać do dom nawet po kilkadziesiąt książek naraz, byle nie wynosili ich poza kolegium. Co do scholarów, to mieli oni do dyspozycji podręczne librerie w bursach lub wydziałowe. Wyjątkowo, i tylko ci cieszący się zaufaniem bibliotekarza, mogli na miejscu korzystać z książek dla bezpieczeństwa łańcuszkami przymocowanych do pulpity albo, jeszcze rzadziej, pożyczyć księgi za poręczeniem i na polecenie swoich profesorów. Ja byłem w szczęśliwszym położeniu niż drudzy, bowiem ojciec Roch zgromadził wielki księgozbiór, z którego korzystałem do woli, a potem każdy wolny grosz wkładałem we własną bibliotekę.

– Znasz historię tej księżnicy, młodzieńcze? – zagadnął profesor. – Księgi zbierano od samego początku, odkąd za króla Jagiełły odnowiono uniwersytet. Zaś od 1515 roku, kiedy to magister Tomasz Obiedziński uczynił ofiarę na ten cel, zaczęto wznosić dla niej osobne skrzydło na tyłach Kolegium Mniejszego, przy południowej ścianie Kolegium Większego.

Szedłem powoli, rozglądając się uważnie. Biblioteka miała postać litery L i piękne krzyżowe sklepienie w starodawnym stylu. Składała się z obszernej ślepej sieni i wielkiej sali o pięciu okazałych ostrołukowatych oknach, wpuszczających dużo światła. Ze zworników u powały zwieszały się kandelabry. We wszystkich oknach były kraty. Wszędy, zarówno w sieni, jak i głównej izbie, pod ścianami stały półki (sięgające stropu, z przenośnymi schodkami rozmieszczonymi tu i tam) i skrzynie wypełnione księgami.

– Duże księgi trzymamy na półkach, małe w skrzyniach – ozwał się bibliotekarz jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie.

Na moją prośbę otwierał każdą z nich kluczem, których ogromny pęk nosił u pasa. Wysunęliśmy nawet skrzynki mieszczące archiwum uniwersyteckie, w tym wszystkie dyplomy i przywileje.

– Spodziewasz się, że doktor skrył się między papierami? – uniósł brwi Glicjusz.

Zignorowałem drwinę, za to pochwaliłem, zataczając krąg ręką:

– Widzę tu wszystko w zadziwiającym porządku.

– Nie zawsze tak było – odparł i wyczułem zadowolenie w jego głosie. – Dopiero z końcem lat trzydziestych powołano kustosza biblioteki, *custodis manualis Librariae Universitatis*. On lub jego surogat winien codziennie przez dwie godziny otwierać librarię dla studiujących, dbając przy tym o ład. Od początku, gdym tu nastał jako prowizor *vel* kurator fundacji magistra Benedykta z Koźmina, wspołek z mistrzem Janeczką pełniły funkcje *custodes librariae*.

Nie powiedział tego, ale kustoszami biblioteki bywali jeno najgodniejsi kolegiaci. Zaginiony doktor Janeczka aż trzykrotnie piastował stanowisko rektora. Wróble zaś

ćwierkały na akademii, że na wiosnę nowym rektorem obiorą właśnie profesora Marcina Glicjusza.

– Spójrz, tutaj trzymamy księgi zakupione z legatu Koźmińczyka. Jak powszechnie wiadomo, profesorowie do najbogatszych nie należą i nie stać ich na kupowanie ksiąg, toteż mistrz Benedykt pragnął im zapewnić dostęp do najnowszych dzieł.

Była to część izby, której całą ścianę zajmowały półki wypełnione niemal identycznymi księgami: wielkimi, oprawnymi w czerwoną skórę, złożonymi po brzegach, zaopatrzonymi w łańcuszki oraz *exlibris* wytłoczony na okładkach, przedstawiający owal z herbem akademii – dwoma skrzyżowanymi berłami rektorskimi, spowity wokół wieńcem z liści przewiązanych wstęgami, na których umieszczono napis: „*Librariae Collegii Maior(is) Cracovi(ensis)*” lub „*Ex Fundatione Doctoris Benedicti Cosmin*”.

– To co tam widzisz – pokazał inne półki i skrzynie – to dary i legaty rozmaite, na które wpływu nie mamy, w myśl prawidła, iż darowanemu koniowi nie zagłąda się w zęby. Zasię dzięki kapitałowi fundacji sami możemy kupować księgi wedle uznania, pod kilkoma wszak warunkami: że będą dużego formatu, nowo wydane i po łacinie. I, jak spostrzegłeś, jednako oprawne w czerwony safian.

Przed ścianą mieszczącą zbiory zakupione z fundacji Koźmińczyka stał jeden wielki pulpit i kilka mniejszych, zaś pomiędzy półkami widniał portret fundatora-dobrodzieja. Poszliśmy dalej. Pierwszy raz w życiu miałem okazję oglądać zgromadzone w librarii rzeczy, o których wiele słyszałem: glob ziemniwodny Gerarda Mercatora diametru łokciowego z 1541 roku; tegoż Mercatora glob niebieski; na koniec dwa astrolabia i *torquetum* mosiężne.

– Zaciekawiły cię owe cuda, widzę. I nie dziwota, takż było ze świętej pamięci królem jegomościem. Stare to dzieje, lecz pamiętam jak dziś: przybył ci on do kolegium 4 lutego 1553 roku, Niestety – zasmucił się – dopiero niedawno powziąłem myśl, by zakupić osobną księgę na autografy sławnych person nawiedzających bibliarię, zatem nie masz w niej podpisu króla Augusta... A oto i ona – pokazał ogromną księgę leżącą na odrębnym pulpicie – *Quarta pars metricae incorporatorum*. Czeka na następnych dostojnych gości.

Skoro nie zażądał ode mnie wpisu, choć od śmierci Augusta ciągle byłem jedynym „reksem” w Rzeczypospolitej, tedy strzepnąłem pył z sandałów i poszedłem dalej. Na końcu izby, w narożniku między dwoma oknami, regały ustawiono prostopadle do ścian, tak że zeszyły się, tworząc kąt prosty.

– To jest... – zaczął mi wyjaśniać Glicjusz, gdy wtem pojawił się zdyszany Marencjusz i wychrypiał urywanym głosem:

– Pój... pójdzcie za mną natychmiast!

Opuściliśmy zatem bez słowa bibliotekę, którą kustosz zamknął na klucz, i poszliśmy, jak się domyśliłem, do kwatery zajmowanej przez doktora Janeczkę. Izba była nieduża, skromnie wyposażona w stół z przyborami do pisania, twarde krzesło,

pulpit do czytania, półkę na księgi, umywalnię, skrzynkę na odzież, łoże i małe wyrko dla służącego w kącie. Większe łoże stało natomiast pod otwartym oknem. Do nogi był przywiązany solidny sznur, którego koniec ginął gdzieś za oknem.

– Przebóg, obwiesił się! – westchnął Glicjusz, złapał się za serce i oparł o ścianę, mocno pobladły.

– Nie! – zaprzeczył Marencjusz, wciągając próżny sznur do środka i rzucając na łóżko. – To nie było tak.

– A jak? – spytałem.

– Wszedł żem do izby bez turbacji, bo już rano nie była zamknięta na klucz, i wtem widzę, jak ów gracjalista, co u doktora służył, przewiązuje sznurem to...

Pokazał leżącą opodal łoża skórzaną sakwę, na którą wcześniej zwróciłem uwagę, jako że wysypywały się z niej księgi.

– Na mój widok cisnął sakwę, sznur wyrzucił za okno i sam po nim szybko ześliznął się na dół, gdzie czekał nań drugi łotr i oba odbieźali co sił w nogach... Pojmujecie coś z tego?

Podszedłem do okna i wychyliłem się. Wychodziło na przecznnię od ulicy Świętej Anny (ongiś – Żydowskiej), zwaną przecznnią Żydowską, jako że niemal cały wiertel garncarski drzewiej zamieszkiwali Żydzi, nim odkupiono od nich domy na potrzeby uniwersytetu, przenosząc owych wpierw na nieodległą ulicę Szczepańską, potem zaś na Kaźmierz, do Oppidum Iudaeorum.

– Poznałeś waść tego drugiego, który czekał na ulicy?

– A zaśby! Biret wielki jak gniazdo boćka miał na oczy wciśnięty i pstre szatki, jak oni wszyscy, tyle wiem. Który scholar, a nawet żak ze szkółki parafialnej nosi się jak należy? *O tempora, o mores!* [32] – ponarzekał sobie przy okazji.

To prawda. Ale gdym sam zaczynał studia, już nie obowiązywał skromny strój żakowski, na księżowskim wzorowany. A dziś każdy chodził, jak chciał, nie przestrzegano zakazu zapuszczania brody, głowę podgalano wysoko szlacheckim obyczajem. Suknie noszono krótkie z rękawami ponacinanymi, żeby było widać barwną materię pod spodem, albo, dworską modą, rękawy rozcięte na kształt kontuszów szlacheckich, na głowach czapki rozmaite lub szerokie nacinane birety, wstążkami kolorowymi ozdobione. Chyba tylko profesorowie z Kolegium Większego, w większości duchowni, jak ci dwaj tutaj, odziewali się jeszcze po staremu.

– A jak nazywa się ów gracjalista, sługa mistrza Janeczki? – Nie mógł być ubogi jak Antoś, ponieważ w odróżnieniu od serwitora, gracjalista miał darmowe mieszkanie, ale sam płacił za wikt i opierunek.

Spojrzeli po sobie niepewnie.

– Nie wiemy – odparł Glicjusz. – Wiem jeno, że był u doktora od niedawna. I miał brodawkę na nosie. To wszystko.

Sprawdziłem wyrko służącego i półkę obok, alem nic z jego osobistych rzeczy,

które mogłyby mi coś o swoim właścicielu powiedzieć, nie naszedł. Albo nic nie miał, albo, co prawdopodobniejsze, w porę je zabrał.

– Cóż... Wobec tego zajmijmy się sakwą – kucnąłem przy worku i podniosłem jedną z książek, które się zeń wysypały.

Był to traktat Melanchtona *Confessio Augustana*. Heretyckie dzieło Lutrowego druha, jak słyszałem, w dwudziestu ośmiu artykułach opisujące luterską naukę, acz zawierające też próbę porozumienia z papieżem. Pokazałem im odręczny napis na karcie tytułowej: „*Bibliothecae secretioris Academiae Cracoviensis*”, i zobaczyłem, że obaj śmiertelnie pobledli.

– Dalipan! Toż to księga z sekretnego księgozbioru! – jęknął Glicjusz, sięgając po następną książkę. – I ta też!

– Tuszę, że wszystkie księgi w sakwie stamtąd pochodzą, a gracjalista mistrza Janeczki spuściłby je niechybnie współnikowi czekającemu na dole, gdybym im nie przeszkodził – wtrącił Marencjusz, nie bez dumy w głosie.

Odrzucając kapę okrywającą łożę, aby sięgnąć po księgę, która pod nie wpadła, dokonałem kolejnego odkrycia.

– Spójrzcie.

Pochylili się tak nisko jak ja i ujrzeli to samo: mnóstwo ksiąg zajmujących niemal całą pustą przestrzeń pod łóżkiem.

– Uratowałeś waść kilka ksiąg, ale Bóg jeden wie, ile pokradziono ich wprzódy. Co więcej, trudno przypuścić, by mistrz Janeczka nic o tym procederze nie wiedział, dosłownie na nim siedząc – powiedziałem.

Nie spodobała im się moja supozycja.

– Nie dam temu wiary, póki z jego własnych ust tego nie usłyszę – stanowczo rzekł Glicjusz.

– Tedy chodźmy go odnaleźć – zaproponowałem.

– Dokąd?

– Nie skończyliśmy sprawdzać librarii.

– Prawda. Mistrzu Marencjuszu, zostańcie tu z łaski swojej i rozejrzyjcie się pośród tych ksiąg, byśmy mieli przynajmniej w tej materii jakieś rozeznanie.

Wróciliśmy do książnicy, przeszliśmy ją całą i stanęliśmy pod owym narożnikiem na końcu, utworzonym przez ściany uczynione z regałów. Bibliotekarz wyjął grubą księgę, którą mnie powierzył, wsadził rękę w głąb i przekręcił dźwignię, po czym pociągnął półkę ku sobie. Część regału, szeroka gdzieś na dwa łokcie a wysoka na sześć stóp, otwarła się niczym drzwi, odsłaniając mroczny otwór zagrodzony solidną stalową kratą.

– To jest *Bibliotheca secretior* – powiedział Glicjusz, czego sam się już domyśliłem. – Klucze do niej ma jeno dwóch ludzi: kustosz i jego surogat. Jeden bez drugiego nie poradzi jej otworzyć. Zatem, dopóki nie odnajdziemy doktora Janeczki, próżny nasz trud...

Krata miała dobry zamek, zaporę i jeszcze łańcuch z potężną kłódką. Zdjąłem

kłódkę i pchnąłem kratę.

– Przebóg! Otwarte... Ale jakim sposobem? I jak żem mógł tego nie spostrzec...
– wyjąkał bibliotekarz niebotycznie zdumiony. – Ostrożnie! – pouczył mnie, gdy m krzesła ogień, i zapalał lichterz stojący na pawimencie.

W ślepej skrytce nie było półek, gdyż regały stały tu tyłem, tylko jedna wielka skrzynia w staroświeckim stylu na kształt sześcianu, z wiekiem w ośli grzbiet wyrobionym i snycerską robotą ozdobiona, oraz dwie małe, ustawione przed nią.

– Trzymamy tu księgi po soborze trydenckim uznane za niezgodne z nauką matki naszej, Kościoła – wyjaśnił kustosz, po kolei otwierając z klucza mniejsze skrzynki i pokazując mi zawartość. – Niestety, nawet osoby niezachwianej wiary, jak choćby jego ekscelencja biskup Tomicki czy mistrz Benedykt z Koźmina, w zbożnym celu poznania kacerskiego odstępstwa, w prywatnych księgozbiorach posiadali dzieła takich kacermistrzów jak Luter, Kalwin, Zwingli, Oekolampad, Melancton, które legatami testamentowymi przekazali biblioteczni... A dopiero co kapituła przyznała nam księgozbiór zmarłego bez podyktowania ostatniej woli Walentego Kuczborskiego, sekretarza samego arcykatolickiego kardynała Hozjusza, i wystaw sobie, młodzieńcze, większość z tych ksiąg trąciła herezją na milę! Toteż zadaniem moim i mistrza Janeczki było oddzielenia ziarna od plew, któreśmy zgromadzili tu, gdzie dostęp mają tylko nieliczni. Nie wygląda na to, by coś stąd zginęło...

Podczas gdy z powrotem zamykałem wyładowane po brzegi skrzynki, podszedłem do przepastnej skrzyni, bardzo przypominającej sarkofag, odemknąłem skobel, bowiem nie była zamknięta na kłódkę, i nateżając wszystkie siły, z największym trudem zdołałem unieść umocowane na zawiasach ciężkie wieko. Długo spoglądałem w głąb.

– Olaboga! Jezusie Nazareński... – stanąwszy przy mnie ze świecznikiem i patrząc tam gdzie ja, mistrz Glicjusz zapął się wolną ręką za gardło, wyczerpawszy chyba tego dnia miesięczny limit wykrzykników i wzywania imienia Bożego nadaremno, ale nie dziwiłem mu się.

Znaleźliśmy mistrza Janeczka.

– Nie żyje? – spytał Glicjusz lękliwie i jakby z lekką nutą nadziei, że nie przyszło do ostateczności.

– Od dawna – ująłem rękę zmarłego, spoczywającą na chudej piersi. – Bez wątpienia: *Exitus letalis*. Poświećcie mi, mistrzu.

W świetle świec widać było już zmiany, które śmierć wywołała na licu zmarłego, gładko ogolonym (acz już porastającym siwą szczecina – nigdy nie przestanie mnie chyba zdumiewać, jakim sposobem nieboszczykom rosną włosy i paznokcie) i surowym, jak przystało na tropiciela herezji, inkwizytora bez mała, którego zwano biczem na kacery. Na szczęście w biblioteczni było chłodno, rozkład ciała następował powoli i trupi zaduch jeszcze się nie unosił w powietrzu.

– Mój Boże – westchnął teolog. – A tak niedawno cieszył się, uzyskawszy z wyboru uniwersytetu wysoką godność kanonika kapituły krakowskiej... Kiedy

umarł?

– Trudno orzec z pewnością... Jest dość chłodno, tedy *rigor mortis* nastąpił jakieś cztery godziny po zgonie, a skoro dotąd nie ustąpił, zaś nieboszczyk był widziany wczoraj wieczór... Najpóźniej o świtaniu. Ale myślę, że bliżej północy.

– Zamordowany?

Odgiałem drugą rękę, którą zmarły przyciskał do gardła, odpiąłem dwa górne guziki u szyi i uważnie przyglądałem się wybałuszonym oczom i wysuniętemu, obrzmiałemu językowi.

– Myślę, że po prostu się udusił. Skrzynia jest szczelna, w pewnej chwili próbował unieść wieko, ale nie poradził... O tu – pokazałem palcem – za paznokciem ma drzazgę. A tu... – zmarszczyłem brwi i zawahałem się – ślad drapania na spodzie wieka. O, w drugiej dłoni widzę oddarty kęs papieru... Ile nieboszczyk miał lat, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt?

– Bliżej siedemdziesięciu.

– Właśnie. Był słaby, może przy okazji nastąpił udar sercowy, kto to wie? Nie można też wykluczyć zadławienia przez kogoś drugiego, lecz wówczas byłyby jakieś ślady na szyi. Na wszystko odpowiedź da *visum repertum*, którą należy przeprowadzić jak najrychlej.

Nawet nie wspomniałem, że pewność dałaby dopiero sekcja zwłok, ale poruszanie tego zakazanego tematu w przytomności teologów zakrawałoby na szaleństwo. Polecilibym także usługi ojca Rocha, gdyby był w mieście, lecz pewnie by z nich i tak nie skorzystano – uniwersytet miał swoich medyków i niechętnie widział pomoc z zewnątrz. Sam również się rządził i dlatego wątpiłem, by śmierć doktora Janeczki zgłoszono na ratusz, do wiadomości instygatora, który z urzędu zajmował się niewyjaśnionymi zgonami. Od czasu tumultu po śmierci mego druha, magistra Wolskiego, wciąż utrzymywało się napięcie między miastem a uniwersytetem. Teraz zaś, w dobie bezkrólewia, jeszcze skrzętniej krzątano się wokół obrony praw i przywilejów akademii. Słyszałem, że na wzór modnych kapturów i konfederacji szlacheckich, zgromadzenie profesorów powierzyło nowemu rektorowi Mikołajowi z Bodzęcina oraz wybranym równocześnie trzem profesorom pełnię władzy nad uniwersytetem i pieczę nad wszystkimi jego potrzebami.

– Ale cóż on robił w tej skrzyni? – dociekał bibliotekarz. – Sam do niej wlażł? Ale po co? A może ktoś go tu wepchnął?

Rozłożyłem rękę; oto odwieczne pytanie, jakie chciałoby się zadać zmarłemu w niewyjaśnionych okolicznościach: „*Dic, cur hic?* [33]”.

– Też jestem tego ciekaw i takż mam do was kilka pytań, mistrzu. Ukowała mi się już po prawdzie teoria, lecz z jej ogłoszeniem wolałbym się wstrzymać, aż ciało zostanie stąd zabrane i dokładnie przebadane. Jeśli pozwolicie, przyszedłbym tu jutro około południa – wiedziałem, że profesorowie spożywali pierwszy posiłek podczas przerwy w wykładach, o jedenastej, i nie chciałem ich pozbawiać i tak chudego jadała

– i jeszcze raz obejrzał sobie wszystko. Tuszę także, iż mistrz Marencjusz zdoła do jutra przynajmniej z grubsza rozeznąć się, co zostało wyniesione z librarii do kwatery nieboszczyka.

– Nie tylko pozwolę, lecz nawet nalegam, byś nadal prowadził tę sprawę. Myślę, że jego magnificencja także się zgodzi. Zatem do jutra. Będę czekał.

I tak oto znów miałem okazję wykazać się w roli inwestygatora. Wątpiłem wszak, by akademia zechciała mi zapłacić za usługę. Cóż, była to jednakże moja matka żywicielka, a kto widział, by obierać z grosza własną matkę? Poza tym dostrzegałem w tym jednak pewną korzyść. Przyszło mi przecie pracować dla teologów, a oni teraz trzęśli uniwersytetem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Rektorem był Mikołaj z Bodzęcina, niedawno jeszcze pomocnik Glicjusza w librarii, a zapewne na wiosnę lub najpóźniej jesienią przyszłego roku to właśnie doktor Glicjusz zastąpi go na stanowisku rektora. Jeśli rozwiążę tę sprawę ku jego ukontentowaniu, będę mógł liczyć na przychylność i obecnego, i przyszłego rektora, tak jak ongi sprzyjał mi Jan z Turobina, przymykając oczy na te i owe moje grzeszki.

Przy kolacji me opowiadanie o wydarzeniach zaszłych w librarii wzbudziło żywe zainteresowanie i odsunęło w cień wszystkie poprzednie wypadki. Ciotka koniecznie chciała znać mój sąd o dziwnej śmierci doktora Janeczki, Janka i Stachnik napierali się, by towarzyszyć mi nazajutrz w inwestygacji. Ciotuchnie odparłem, że jeszcze za wcześniej, by rzecz coś pewnego, Jance odmówiłem wprost:

– Szaleju się najadłaś? Toć, gdyby rzecz się wydała, nie miałbym czego szukać na wszechnicy! Czasy, gdyś łąco mogła uchodzić za chłopca, już minęły.

Wydeła usta, na poły obrażona z powodu mojej odmowy, na poły zadowolona ze swego terażniejszego wyglądu. Ech, te dziewczki, kto je pojmie?

– Ale ja mogę pójść z tobą? – molestował Zub.

– Możesz. Będę nawet rad. Co dwie głowy, to nie jedna.

Rano poszedłem więc naprzód do szkoły przy szpitalu Świętego Ducha, by wypełnić swą powinność wobec tamtejszych żaczków i sprawdzić, raczej tylko *pro forma*, czy *pater* Roch już wrócił z Kaźmierza Dolnego. O dziwo, wrócił.

– Zawróciłem w pół drogi – wyjaśnił. – Nie miałem sumienia na tak długi czas opuścić swoich chorych.

Musiałem wysłuchać wszystkiego, czego o poszukiwaniach pradawnych kości *pater* dowiedział się, podróżując czas niejaki z Foksem i młodym Firlejem, sam zaś zrewanżowałem mu się swoimi nowinami. Zmartwił go zatarg ze Zborowskim, ucieszył postęp w odkrywaniu tożsamości Janki, zainteresowała śmierć w bibliotece. Obiecałem, że będę mu zdawał relację z inwestygacji. Potem wróciłem po Staszka i razem udaliśmy się do Collegium Maius. Zarówno librariusz, jak i jego nowy substytut już na nas czekali. Przedstawiłem im Żółkiewskiego. Nic nie rzekli, acz wyczułem, że jego obecność nie była im miła, ale nie wzruszyło mnie to. Ostatnimi czasy dużo się mówiło o niechęci szlachty wobec uniwersytetu i w rzeczy samej, pośród scholarów szlachetnie urodzeni stanowili wciąż malejącą liczbę, tak iż

akademia robiła się coraz bardziej plebejska. Ktoś porachował, iż na stu, około dwudziestu żaków było szlachetnie urodzonych, pięćdziesięciu mieszczańskiej proweniencji, kilku wywodziło się ze wsi, a reszta to cudzoziemcy. Zaś jeśli chodzi o profesorów, to aż siedmiu na dziesięciu było mieszczanami, a pozostali szlachcicami i chłopami. Szlachta i magnaci, przecie bynajmniej nie sami kacerze, woleli posyłać swych synów do szkół zagranicznych nie tylko dlatego, by owi nie spoufalali się z krajowym pospółstwem, ani nawet nie z tej przyczyny, że nasza Alma Mater obniżyła loty. Sporą winę za taki stan rzeczy, choć o tym nie mówiło się głośno, ponosili mieszczańscy profesorowie, często jawnie szykanując żaków-szlachciców, a nawet nieuprzejmie odnosząc się do swoich szlachetnie urodzonych kolegów. Acz z drugiej strony ponoć nasz uniwersytet był jedynym, w którym między wykładowcami nie było różnic stanowych i jakoby wszystkich traktowano jednako.

Uścisnąłem ramię Staszka, by dodać mu otuchy, bo mimo że jak zwykle nadrabiał buńczuczną miną, widziałem, iż otoczenie działa nań, prowincjusza bez uniwersyteckiej *litteras*, onieśmielająco. Z drugiej strony nie mogłem się oprzeć miłemu choć małowstakowemu uczuciu, że znajdowaliśmy się oto na wyjątkowym gruncie, gdzie dobre urodzenie nie dawało przewagi.

– Twoja diagnoza została potwierdzona, mistrzu Ryksie – poinformował mnie Glicjusz z niejaką dozą uznania w głosie.

– Doktor Janeczka umarł wczoraj około północy bez udziału drugich osób. Przyczyna śmierci: uduszenie. Niewykluczony udar serca, który przyspieszył zgon – dodał Marencjusz. – Prezenty ciała dokonał doktor Zawadzki w asyście...

– Wolałbym doktora Sierpca – przerwał mu Glicjusz, krzywiąc się; wiedziałem, iż patronuje on partii konserwatywnej na uniwersytecie, podczas gdy Zawadzki uchodził za głównego zwolennika nowych prądów – który jednak, ku naszemu strapieniu, mocno niedomaga. Alem zaprosił jako konsyliarzy drugich medyków. Wszyscy oni zgodzili się z diagnozą doktora Zawadzkiego, który *notabene* dobrze się o waści wyrażał...

Spojrzał na mnie z ukosa, tak iż pojąłem, że uznanie mojego ulubionego wykładowcy w oczach doktora Glicjusza bynajmniej nie stanowiło dla mnie dobrej rekomendacji, czym się jednak nie bardzo przejąłem, bo na razie oni potrzebowali mnie bardziej niż ja ich. Co okazało się już za chwilę.

– Jednakowoż wiedza o tym, kiedy i jak umarł doktor Janeczka, wcale nie objaśniła nas w kwestii, jak i dlaczego znalazł się w skrzyni – wtrącił Marencjusz.

– Tuszę, iż dojdziemy i do tego. Na początek chciałbym jednak wiedzieć coś, mistrzu, wykrył w izbie zmarłego.

– Pierwej przeniosłem wszystkie znalezione tam księgi tutaj – poprowadził nas na środek izby, gdzie widniał stos książek, niezbyt równo poukładanych wprost na pawimencie. – I okazało się, że niemal wszystkie znajdują się na indeksie... Proszę, przekonajcie się sami.

– Dlaboga! Ile tego... – oszołomiony Żółkiewski rozglądał się po półkach

pełnych ksiąg.

– Jest ich parę tysięcy – z dumą poinformował librariusz. – Ale sporo to dublety. Samych wydań świętego Augustyna mamy chyba z dziesięć po rozmaitych donatorach.

Kucnęliśmy ze Staszkiem przy stercie i zaczęliśmy na chybił trafił wyciągać książki. Marencjusz miał rację. Był wśród nich tłumaczony z greki na niemiecki Nowy Testament Lutra z 1522 roku i tegoż cała Biblia oraz drugie dzieła, tudzież traktaty helweckiego kacerza Ulricha Zwingliego. Ale najwięcej widziałem dzieł sławnego niemieckiego humanisty, przyjaciela Lutra, Melanchtona, profesora uniwersytetu w Wittenberdze, który dążył do pojednania luterskich kacerzy z papieżem. Ojciec Roch go cenił i miał parę jego ksiąg, które i tu widziałem, ale ich nie czytał, jako że teologia nie pociągała mnie wcale. Wystarczało mi, żem oprócz dzieł medycznych rozczytywał się dla wytchnienia w poezji i historii.

– Nie wszystkie mają sygnaturę „*Bibliothecae secretoris Academiae Cracoviensis*” – zauważyłem.

– O ta na przykład: „*1536 R-mus d-nus Petrus Thomicius episcopus Cracoviensis Collegio theologorum donavit*”. – Stachnik pokazał księgę otwartą na pierwszej stronie. – Albo ta: „*Oretur pro eo*”.

– To prawda – odparł Glicjusz. – Księgi posiadają noty proveniencyjne i są ułożone wedle pochodzenia od poszczególnych donatorów, zazwyczaj po kilka darowizn w jednym regale. Duże legaty mają osobne półki. O tam – wskazał palcem – w tamtym regale są księgi zapisane librarii przez biskupa Tomickiego i owa, którą waść trzymasz w ręku – zwrócił się do Staszka – stamtąd właśnie została wzięta. A nota „*Oretur pro eo*” oznacza legat testamentowy.

– Czyli – rzekłem z namysłem – nie wszystkie księgi z izby doktora Janeczki zostały zabrane z księgozbioru sekretnego?

– Nie – odparł bibliotekarz. – Nie zdążyliśmy jeszcze przepatrzyć wszystkich legatów i wycofać ksiąg zakazanych do *Bibliothecae secretioris*.

– Czy doktor Janeczka mógł wynieść stamtąd księgi bez wiedzy waszej miłości?

– Nie. To wymaga zgody rektora. Poza tym do otwarcia sekretnej librarii potrzebne są dwa różne komplety kluczy. Jedne mam ja, drugie mój substytut. Żaden z nas nie może otworzyć kraty w pojedynkę. Wiedziałbym więc, gdyby doktor chciał stamtąd coś wypożyczyć.

– A jednak to uczynił – zauważyłem. – Widać kazał sobie dorobić drugie klucze. Wystarczyło zrobić odcisk w wosku. Czy to możebne?

Wzruszył ramionami.

– Ufałem mu. Nieraz bywał u mnie na kwaterze i wiedział, gdzie są. Jezus Maria!
– Usiadł ciężko na krześle. – Jeżeli co zginęło, będę musiał to zwrócić z własnej kiesy
– biadał, łapiąc się za głowę.

– Sprawdziliście, mistrzu? – zagadnąłem Marencjusza.

Pokręcił głową.

– Wszystkiego jeszcze nie zdążyłem.

– Czy wszystkie księgi doktor Janeczka przywłaszczył sobie lewem? – zaciekawiał się Staszek.

Marencjusz spojrział nań z uznaniem.

– Nie. Niektóre wypożyczył zwykłą drogą.

– To znaczy? – podchwyciłem.

Podszedł do pulpitu i kiwnął na nas ręką. Zbliżyliśmy się. Pokazał wielką księgę i otworzył ją.

– To registr wypożyczeń. Każdy wypożyczający winien tu wpisać swoje imię i nazwisko oraz autora pożyczanego dzieła, jego tytuł, lub choć początek tytułu i krótki opis księgi. Po zwróceniu tomu, zapis się wykreśla.

– Czy możliwe jest, by kto zabrał księgę bez dokonania wpisu w registrze?

– Drzewiej tak bywało – wtrącił Glicjusz. – Zwłaszcza profesorowie z Kolegium Większego, którzy naonczas mieli swoje klucze do librarii, brali co i kiedy chcieli, wpisując to lubo nie, oddając po latach albo i zgoła trzymając do śmierci. Dopiero mój poprzednik, Mikołaj z Szadka, zdołał odzyskać wiele takim sposobem pobranych dzieł, do sądu rektorskiego się odwołując w razie potrzeby...

– Dopiero wszak od nastania tu mistrza Glicjusza – wtrącił się przypoehlebnie Marencjusz – w librarii nastał prawy porządek. Od tej pory librariusz lub jego substytut pilnują, by każde wypożyczenie zostało odnotowane, a zwrot wykreślony.

– Mistrzu librariuszu – rzekłem do Glicjusza. – Zali możemy przejść do *Bibliothecae secretioris*?

– Oczywiście. Mistrzu Marencjuszu, zechciejcie dokończyć spisywanie ksiąg znalezionych u mistrza Janeczki. Już rozmawiałem z jego magnificencją, który wyraził zgodę, byście zastąpili doktora jako wtóry prepozyt librarii. Jeśli chcecie, rzecz jasna.

– Dziękuję, z ochotą mistrzu – rozpromienił się Marencjusz, z zapalem zabierając się do pracy.

Mijając zbiory zakupione z fundacji Koźmińczyka, zwróciłem uwagę na półkę, na której leżały nieoprawione księgi. Librariusz rzekł:

– Z fundacji Koźmińczyka dokonujemy zakupów u księgarzy krakowskich, głównie u Mikołaja Szarffenberga, u którego mamy upust z tego tytułu. A przed paru laty podarował nawet librarii przekład Wulgaty Jana Leopolda młodszego, przez się wydany. Potem księgi idą do introligatora, a jeśli są już opravione w inszą niż czerwona skórę, tedy wysyłamy je do zmiany oprawy.

Doszliśmy na miejsce, bibliotekarz odsłonił tajemne wejście, pchnął kratę i zapalił światło.

– Czy odnalazły się klucze mistrza Janeczki? – spytałem.

– Nie. Nigdzie ich nie było.

– Tu go znaleźliście? – zapytał Staszek na widok wielkiej skrzyni.

– Tak – odparłem. – Mistrzu, w jakiej porze otwieracie librarię?

– Wiosną i w lecie od dziewiątej wieczór do jedenastej, na jesień i zimą od ósmej

do dziesiątej.

– A kiedy wczoraj opuściłeś księżnicę?

– Dobrze po dziesiątej. Przypadkiem, bowiem jego magnificencja zalecił swoim konsyliarzom, w poczet których mam zaszczyt się zaliczać, zbadanie, w czym przywileje akademickie ucierpiały lub zostały umniejszone, aby wystąpić do nowego króla o ich naprawienie albo egzekucję. Doktor Janeczka wiedział o tym, dlatego miał mnie zastąpić, a o wyznaczonej godzinie samemu zamknąć bibliotekę. Jako że na ten raz z innymi rektorskimi konsyliarzami skończyliśmy robotę wcześniej i żem akurat przechodził мимо, tedy wstąpiłem sam. Było nieco przed dziesiątą, bo dopiero za parę minut zaczął bić zegar na ratuszu...

– I?

– I nikogo nie było! Choć-em usłyszał jakby stłumiony stuk albo tylko mi się zdało... Do sekretnej biblioteki nie zaglądałem, bo z dala wyglądała na zawartą, a byłem pewny, że beze mnie doktor sam nie poradziłby jej otworzyć. Posiedziałem w bibliotece może z pół godziny, szukając w skrzynkach z dokumentami pewnego przywileju, o którego odnowienie uniwersytet ma prosić nowego króla. Wychodząc, pomyślałem sobie, że mistrz Janeczka przez roztargnienie, miał już jednak swoje lata i nie był zdrow, zapomniał zamknąć bibliotekę. Takem się tym przejął, żem zawierając ją, sam zostawił klucz w zamku, com spostrzegł dopiero nazajutrz...

– Tedy całą noc klucz tkwił w zamku od zewnątrz?

– Tak.

Coraz jaśniej jawiły mi się okoliczności śmierci bibliotekarza, tylko że nie widziałem w tym za grosz sensu.

– Staszku, nie wiem, jak to rzec... – rzekłem z zakłopotaniem, zerkając na wielką skrzynię.

Ale on już w lot domyślił się, o co mi szło. Coraz bardziej przypominał mi Sępa, z którym rozumieliśmy się bez słów.

– Chcesz, żebym włożył do skrzyni? Czemu nie.

Mistrz Glicjusz wyglądał na zgorzzonego, gdy Żółkiewski bez cienia odrazy, z zadowoloną miną urodzonego komedianta drapał się do drewnianego niby-sarkofagu, lecz nic nie rzekł.

– Wytrwaj, póki poradzisz. A teraz opuść wieko – poleciłem.

Opadło z łoskotem, ponieważ nikt nie mógłby utrzymać w rękach, spoczywając w środku, skoro nawet z zewnątrz była z tym turbacja. Skobel opadł w taki sposób, że zaczepił o ucho, na którym zawieszano kłódkę.

– To był zapewne ów hałas, który usłyszałeś, wszedłszy do biblioteki, mistrzu – rzekłem.

– Ale dlaczego schował się przede mną?

– Boś go zaskoczył swoim przyjściem i nie chciał, abyś odkrył, że kazał dorobić drugie klucze do sekretnej księżnicy. Włożył do skrzyni...

– Czemu? Sekretna biblioteka patrzyła na zamkniętą i nie miałem powodu, by tu

zaglądać.

– Wpadł w panikę. A w takim stanie ludzie nie myślą trzeźwo, zwłaszcza starzy i mający coś na sumieniu.

– A skąd wiedział, żeś nadszedł?

– Bo go ostrzegł gracjalista, którego po to zostawił u wejścia i który przymknął ruchomą półkę, by *bibliotheca secretior* z daleka wyglądała na zamkniętą. Nie mógł zamknąć kraty, nawet gdyby miał czas to uczynić, bowiem doktor Janeczka zapewne trzymał klucze przy sobie.

– To znaczy... – rozdziawił usta.

– Oczywiście – potaknąłem. – Byli w zмовie. To było jasne od początku.

– Ale po co? Zasłużony profesor złodziejem ksiąg? Nigdy w to nie uwierzę!

– Objasnimy wszystko w swoim czasie. Dokąd one wiodą? – Podeszedłem do drzwi naprzeciw sekretnej komory.

– Do izby wspólnej, gdzie jadają profesorowie.

– Zawsze są zamknięte?

– Odkąd ja jestem prepozytem biblioteki, to zawsze, a jedyny klucz ma jego magnificencja. Dzięki temu przestały ginąć księgi.

– Do teraz – mruknąłem. Nic nie odrzekł.

Zostawiłem Glicjusza, aby pilnował Staszka, sam zaś poszedłem się jeszcze rozejrzeć po bibliotece. Zatrzymałem się przy regale, gdzie był dział ksiąg medycznych. Z niejakim wzruszeniem oglądałem darowizny moich wielkich poprzedników w medycznym fachu. W innym miejscu, zupełnie przypadkowo, trafiłem na pachnące jeszcze farbą drukarską dziełko mistrza Grzebskiego, to ukradzione mu, którego manuskrypt sam odzyskałem. Poczulem przypływ dumy...

– Mistrzu Ryksie! – usłyszałem głos Glicjusza. – Już!

Wiek podrygiwało, ale mimo braku kłódki skobel nie odskoczył.

– Zdejmijcie ze mnie to diabelstwo! – krzyknął, charcząc, Staszek z głębi trumny... znaczy skrzyni.

Ledwo go zrozumieliśmy, tak bardzo skrzynia tłumiała wszelkie odgłosy.

– Uff – jęknął, gramoląc się stamtąd z moją pomocą. – W rzeczy samej, wieko szczelnie dolega i w końcu zabrakło mi tchu. A od spodu za nic nie poradzi go ruszyć, choć żeś zapierał się co sił.

– Mimo iż doktor podebrał ze skrzyni tyle ksiąg, wolnego miejsca zaiste nie ma zbyt wiele – stwierdziłem i spytałem Glicjusza: – Jak sądzicie, mistrzu, ile wytrwał pan Żółkiewski, nim mu się powietrze skończyło? Dwa, trzy kwadransy?

Librariusz wziął w dłoń zawieszony na piersi mały pozłacany zegar podobny do dużego, owalnego i pękatego medalionu, otworzył kopertę i rzucił okiem na cyferblat.

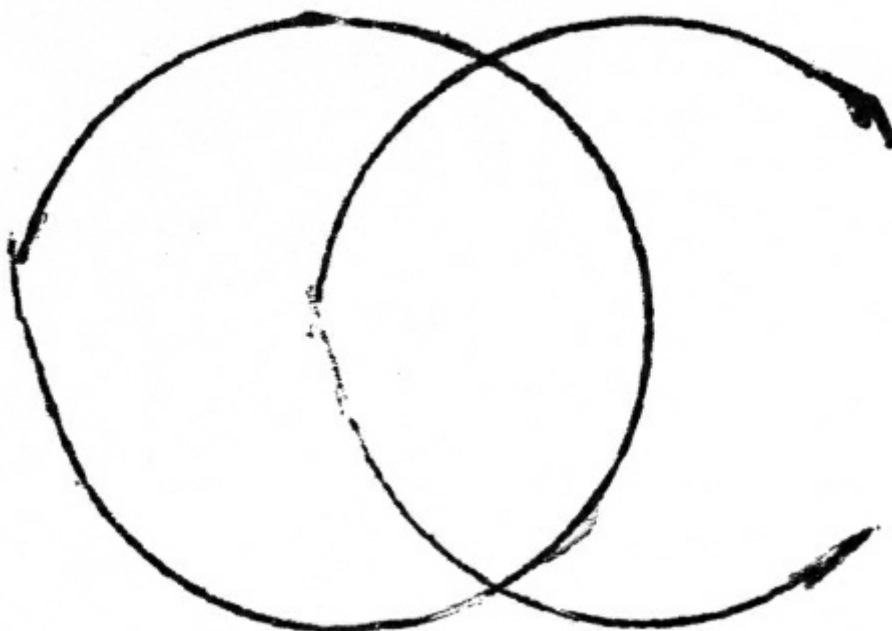
– Niecałą godzinę – odparł. – Dar wojewody Piotra Zborowskiego, który nie wiedzieć czemu, choć zakamieniały kalwin, dziwną mnie darzy rewerencją i co rusz obsypuje cennymi darami – dodał z dumą, widząc moje spojrzenie utkwione w

zegarku.

Ciotka miała nieduży i przenośny zegar sprężynowy, który stał na kominie w izbie paradnej i którego nikomu innemu nie pozwalała nakręcać. Kosztował krocie, jak każda nowina, lecz nie zachwycał mnie wcale, bo był to zegar cały – miał jedną wskazówkę i cyferblat podzielony na dwadzieścia cztery odcinki. Znacznie praktyczniejsze były dwunastogodzinne półzegarze, ale o nich jeno słyszał. Podobnie o takich zegarkach podręcznych, jak ów librariusza. Ponoć pierwszy zaczął je wyrabiać, z początkiem naszego stulecia, niejaki Peter Henlein, ślusarz niemiecki z Norymbergii. Zwano je „jajcami norymberskimi” i wciąż były rzadkością.

– Piękny – rzekłem ze szczerym podziwem nie tylko dla zegarka; domyślałem się, że nawet Zborowski potrafił dostrzec w doktorze Glicjuszu to, za co cenili go zarówno katolicy, jak kacerze: nieskazitelność, pobożność i dar wymowy; albo, co prawdopodobniejsze, chytrus pragnął sobie zaskarbić życzliwość wpływowego szermierza prawowitej wiary. – A co się tyczy braku powietrza, to pan Żółkiewski jest młody, zdrowy i wiedział, co go czeka. Doktor Janeczka był o wiele starszy i przestraszony. Szybko zużywał powietrze, a gdy zaczął się dusić, wpadł w jeszcze większą panikę, dostał udaru i... umarł. Tak to się odbyło... Spójrzcie tutaj – pokazałem im zadrapanie na spodniej stronie wieka, które zauważyłem już poprzednio.

Obaj równocześnie przybliżyli głowy do rysunku.



– Jakby kółko... – mruknął Glicjusz.

– I drugie, zachodzące na tamto, acz urwane w połowie, jakby niedokończone – dodał Staszek, patrząc na mnie pytająco. – Myślisz, że to robota zmarłego?

– Na pewno – odparłem. – Zadrapanie jest świeże, a za paznokciem nieboszczyka znalazłem drzazgę.

– Ale co to ma oznaczać i co doktor Janeczka chciał przez to osiągnąć? – dziwił się bibliotekarz.

– Sam się nad tym zastanawiam – powiedziałem. – Gdyby został zamordowany, mogłoby to wskazywać na zabójcę, lecz skoro umarł bez niczyjego udziału... Tedy coś tak silnie opanowało jego umysł, że nawet umierając, nie przestał o tym myśleć. Tak mi się przynajmniej zdaje. Gdyby w amoku chciał paznokciami otworzyć sobie drogę, ślad nie byłby tak regularny.

Wróciliśmy do głównego pomieszczenia, gdzie mistrz Marencjusz biedził się nad sporządzeniem spisu wyniesionych ksiąg.

– Jeszcze nie skończyłem... – burknął na nasz widok.

– Chciałbym, mistrzu, abyście potem sprawdzili także, co zginęło z *Bibliothecae secretioris*. Macie chyba jakiś rejestr złożonych tam dzieł?

– Mamy, ale to i tak straszna robota. Ani do wieczora się z nią nie uporam – jęknął.

– Pomogę wam, mistrzu. We dwóch uwiniemy się szybciej – pocieszył go Glicjusz. – Co waść czynisz?

Oderwałem się od oglądania zewnętrznych drzwi. Były kute z żelaza, z solidnym zamkiem, antabą i łańcuchem.

– Będziecie musieli zmienić zamek i dorobić sobie klucze, mistrzu librariuszu.

– Chyba że znajdą się klucze mistrza Janeczki.

– Nie znajdą. Zabrał je jego gracjalista.

– Jesteście pewni?

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.

– A macie już jakiś pogląd na to, co tu zaszło?

Miałem.

– Podsumujmy wpierw, co już wiadomo. *Primo*: z jakiegoś powodu mistrz Janeczka z pomocą swego sługi ukradkiem wynosił księgi z librarii. Czynili to od pewnego czasu, gromadząc je w izbie doktora, skąd gracjalista, z udziałem kogoś trzeciego, wykradał je z Kolegium. *Secundo*: niemal, a raczej zgoła wszystkie zabrane wolumeny były na indeksie ksiąg zakazanych. *Tertio*: ponieważ większość takowych dzieł pomieszczono w sekretnej książnicy, tedy mistrz Janeczka dorobił sobie drugie klucze, niezbędne do otwarcia tejże...

– Po cóż miałyby to czynić? Aby się wzbogacić? Stary był, poza tym nigdy nie dbał o doczesne marności – przerwał mi Glicjusz z powątpiewaniem; należał widać do tych, którzy odrzucali fakty, jeśli nie pasowały im do osoby; jakoś mnie to niespecjalnie dziwiło w przypadku teologa.

– Ha! Tego wciąż nie wiemy – odparłem. – Może przymierzał się do zmiany wiary?

– Nie może to być! – zachnął się bibliotekarz, purpurowiejąc z oburzenia. – Nie

on! Nigdy!

– Tak czy owak odpowiedź jest tutaj – zatoczyłem ręką krąg. – Kiedy ustalimy, których dokładnie ksiąg brakuje, będziemy wiedzieli więcej. Co to za drzwi? – wskazałem wewnętrzne przejście widoczne w sieni, na prawo od wejścia.

– Do mojej izby – odparł librariusz.

– Myślę, że było tak – zacząłem; wszyscy trzej patrzyli na mnie z napięciem, bo nawet Marencjusz oderwał się od sporządzania rejestru. – Poprzedniej nocy, wiedząc, że mistrz librariusz bawi na konsylium w sprawie nowelizacji przywilejów uniwersytetu, doktor Janeczka dostał się – celowo nie powiedziałem „włamał” – do *Bibliothecae secretioris*, zostawiając swego gracjalistę u drzwi na wypadek, jakby kto przyszedł wypożyczyć księgi. Nie chcieli bowiem działać poza zwykłą porą otwarcia librarii, aby nie wzbudzać podejrzeń, gdyby wasza miłość lub kto drugi posłyszał wewnątrz jakieś hałasy albo zoczył światło. Tymczasem niespodziewanie nadeszliście wy, mistrzu – zwróciłem się do Glicjusza. – Sługa miał jeno tyle czasu, by ostrzec swego pana (który wlaźł do skrzyni i zatrasnął się w niej), przymknąć sekretną księżnicę i samemu poszukać schronienia...

– Gdzie? – spytał bibliotekarz.

– A choćby tu – pokazałem ką, do którego nie dochodziła półka, za to zastawiony skrzynią i globusem, i ciągnąłem: – Zabawiliście w librarii, jakeście sami rzekli, dobre pół godziny. Kiedy nareszcie sobie poszliście, mistrzu, gracjalista udał się uwolnić doktora i zapewne mocno przeraził, znajdując trupa... Bowiem mistrz Janeczka pod wpływem strachu wpadł w panikę. Najpierw niepotrzebnie skrył się w skrzyni. Kiedy zaś zaczął się dusić, próbował uchylić wieka, lecz skobel zaczepił o ucho i nie puścił, a zresztą doktor pewnie i tak nie miał siły, by unieść taki ciężar... Tedy gdy gracjalista otworzył skrzynię, było za późno: mistrz już nie żył... Wystraszony sługa porwał jeno jego klucze i pobiegł do wyjścia, w pośpiechu zapominając o zamknięciu sekretnej biblioteki na klucz, i tu czekała go przykra siurpryza...

– Przez roztargnienie zostawiłem klucze w zamku – wtrącił librariusz i dodał z zawstydzeniem: – Wyznam w zaufaniu, iż zdarzyło mi się to i wprzód z raz lub dwa.

– Nie mógł zatem opuścić librarii w żaden sposób. Cóż tedy uczynił?

– No co? – spytał Marencjusz bez tchu.

– Nic. Przetrwał noc pod drzwiami, a gdy w zamku zgrzytnął klucz, skoczył tutaj... Dlaczego do tego kąta, a nie drugiego? Bo wiedział, że klucze zostały w zamku, a gdy się zorientujecie, nadejdziecie z zewnątrz, mistrzu, a nie od swego mieszkania. Stachniku, mogę cię prosić?

Żółkiewski kolejny raz w lot pojał, o co mi szło, i wcisnął się do kąta między drzwiami a wielkim regałem.

– Waść otwierasz drzwi, które skrywają go całego – zademonstrowałem. – I wchodzisz. Od razu je zamknąłeś?

– Nie. Zostawiłem otwarte, bo zaraz miał nadejść mistrz Marencjusz, którego o to

prosiłem.

– A łobuz to wykorzystał – nie czekając na sygnał ode mnie, Staszek wysunął się z kryjówki, prześliznął obok drzwi i zniknął na zewnątrz. – Oczywiście, gdybyś od razu zawarł drzwi, mistrzu, może byś go spostrzegł, lecz musiał zagrać azardowo, nie miał innego wyjścia. A potem pobiegł do izby doktora, uprzedziwszy wpierw swego współnika, aby wspołek ukraść choć część zgromadzonych ksiąg. Ponieważ nie miał wiele czasu, stąd tuszę, iż jego kompan jest jednym ze scholarów, którzy tego dnia mieli wykłady w Kolegium... A teraz – rzekłem na koniec – chciałbym jeszcze raz rzucić okiem na zwłoki, jeśli pozwolicie, mistrzu librariuszu.

– Są już w kostnicy kolegiaty Świętej Anny – kościół Świętej Anny od zarania był kościołem uniwersyteckim [34]; spoczywał tu zmarły w ubiegłym stuleciu w aurze świętości profesor akademii, Jan Kanty – w trumnie, gotowe do pochówku. Tedy nie mogę spełnić twego życzenia – odparł Glicjusz.

Trochę mnie zdziwił taki pośpiech w przypadku bądź co bądź niecodziennego zgonu. Ale nic nie powiedziałem, za to, ponieważ Marencjusz uporał się tymczasem ze spisaniem ksiąg znalezionych w izbie doktora, zaoferowaliśmy bibliotekarzom pomoc w sprawdzeniu, wedle rejestru, sekretnego księgozbioru. Była to zaiste benedyktyńska robota i skończyliśmy ją, zakurzeni i z gardłami podrażnionymi od pyłu, gdy za oknem zaczęło się ściemniać.

– Uff, nareszcie – mistrz Glicjusz wyprostował się z trudem i złapał za krzyże. – I co tam mamy, mistrzu Marencjuszu?

Pomocnik zerknął do swoich zapisków.

– W izbie doktora było trzydzieści osiem ksiąg, z tego dwadzieścia jeden wypożyczonych zwyczajną drogą i wpisanych do rejestru.

– Czy któraś z nich pochodziła z *Bibliothecae secretioris*? – spytał Staszek.

– Nie, wiedziałbym o tym. Są to księgi z różnych dziedzin, głównie teologiczne, lecz żadna nie znajduje się na indeksie ksiąg zakazanych.

– Tedy mistrz potrzebował ich do studiów i wykładów. A pozostałe siedemnaście? – wtrąciłem.

– Zostały ukra... – zająknął się – zabrane bez odnotowania w rejestrze. Dwanaście pochodzi z księżnicy sekretnej, pięć z rozmaitych donacji. Łączy je jedno...

– Wszystkie trąca herezją – przerwałem mu.

– Tak.

– Ile w sumie ksiąg zginęło z sekretnej biblioteki? – zapytał Staszek.

– Dziewiętnaście.

– Tedy nie możemy się doliczyć siedmiu. Jeno nie wiadomo, czy ich zniknięcie wolno przypisać doktorowi Janeczce, czy zaginęły wcześniej, może całe lata temu...

– Wiemy – wpadł mi w słowo Glicjusz. – Przed miesiącem razem z doktorem Janeczką porachowaliśmy wycofane do *Bibliothecae secretioris* księgi i już wtedy

brakowało pięciu. A przy okazji sam zabrałem stamtąd dwie księgi, aby oddać je do introligatora...

– Którego? – spytałem.

– Nie jestem pewien, bo te sprawy załatwiał mistrz Janeczka. Tuszę, iż Januszowski lub Szarffenberga, bo z nimi najczęściej współpracujemy.

– Wróciły już z oprawy?

– Nie wiem...

– Dobrze, sprawdzę to. Co to za księgi?

– Pierwsza to manuskrypt dzieła *Theatrum diabolorum* z traktatem niemieckiego ministra Daulego *Tanzteuffel das ist wider den Weltztanz* [35]. Doprawdy nie pojmuję, jak coś takiego mogło się znaleźć w księgozbiornie Walentego Kuczborskiego, sekretarza samego arcykatolickiego kardynała Hozjusza – nie krył oburzenia. – No, ale skoro już trafiło do naszej librarii, wypadało je oprawić, choć Bogiem a prawdą, zasługuje raczej na stos – zakończył twardo.

– Weltanz nie Weltztanz – poprawił profesora Stachnik, a ja uśmiechnąłem się, widząc minę Glicjusza.

– Mój niemiecki nie jest doskonały – sumitował się zaczerwieniony bibliotekarz; oczy jego rzucały zaś takie iskry, że Staszek winien zgorzeć ze wstydu, co mu, sądząc po wielce z siebie zadowolonej minie, bynajmniej nie groziło.

– *Ad rem* – wybawiłem librariusza z ambarasu. – A druga księga?

– Mocno zniszczony *Liber magnus* [36], ponoć dzieło niesławnego mistrza czarnej magii, Twardowskiego, który jakoby zaprzedał duszę diabłu. I w samej rzeczy, na 141 stronicy jest odcisk czarnej łapy... Widziałem na własne oczy!

W librarii królewskiej miałem kiedyś w rękach dzieło życia Twardowskiego, które wszak zwało się *Opus magicum*. Czyżby czarodziej napisał drugą podobną księgę? Nie było to wykluczone, acz wątpliwe i bez znaczenia. Wstałem i dałem znak Stachnikowi. Zegar ratuszowy zaczął wybijać szóstą. Jakże szybko ten czas nam upłynął! Poczulem straszliwy głód i uświadomiłem sobie, że profesorowie też o tej porze jadają społem wieczerzę w *stubae communis*, a kto się spóźni, ten nic nie dostanie, chyba że ma dobrą wymówkę. Ze względu na obu bibliotekarzy miałem nadzieję, że wyświechtanie przyczyny śmierci kolegi i powodu znikania ksiąg z librarii zostanie uznane za wystarczająco dobre usprawiedliwienie.

– Jedno pytanie na koniec, mistrzu librariuszu... Co było na owym kęsie papieru, który nieboszczyk zaciskał w garści?

– O mój Boże! – Marencjusz klepnął się w czoło, pobiegł w głąb biblioteki do jednego z pulpitów i zaraz wrócił. – Spójrzcie!

Na fragmencie pomiętej karty tytułowej widniały łacińskie buksyby, takie jakich używano w starych drukach z ubiegłego stulecia: „AGNUS”.

– No to już wiemy, że przynajmniej jedna z zaginionych ksiąg wróciła z oprawy, by na powrót zniknąć. A może nigdy nie opuściła librarii? Jutro obejdę drukarnie i

sprawdzą, jak to było z tą oprawą. Potem tu przyjdę – oznajmiłem.

Co ustaliliśmy, pożegnaliśmy się i nareszcie opuścili Kolegium. Akurat niedawno skończyły się wykłady i scholarzy rozchodzili się do burs. Wtem zdało mi się, że poznaję sylwetkę żaka, który właśnie rozstał się z drugim i skręcił w Gołębią ulicę.

– Za nim! – rzekłem do Staszka. – Zajdź mu drogę i nie dozwól zbiec!

I znów nie musiałem mu dwa razy tłumaczyć.

– Co jest?! – scholar podskoczył jak oparzony, gdym szarpnął go od tyłu za ramię. – To ty! Czego chcesz? Nic nie zrobiłem...

Nie pomyliłem się. Był to ów *fur*, który okradł profesora Grzebskiego.

– Nie ukradłeś profesorowi książki wypadkiem – zgadywałem, bo dopiero przed chwilą przyszło mi to do głowy. – Jeno dlatego żeś dostrzegł w tytule słowo „hebrajski”, i to po dwakroć powtórzone. Mniemałeś, iż to dzieło kacerskie. Tak było?

Oczy mu biegały. Chciał umknąć, lecz Żółkiewski zagradzał mu drogę.

– I cóż z tego? – odparł ponuro. – Odzyskałeś księgę, więc czemu się czepiasz jak rzep?

– Czy byłeś wczoraj pod oknem doktora Janeczki, czekając, aż twój kompan spuści ci skradzione księgi? – naciskałem, kując żelazo póki gorące.

– Nie wiem, o czym mówisz – w jego głosie wyczułem szczerość, ale pamiętałem, że leż przychodził mu z najwyższą łatwością, choć tym razem wyglądał na naprawdę wystraszonego i chyba nie ja byłem tego powodem.

– Ale znasz ludzi, których zajmują zakazane księgi? – nie ustępowałem, widząc, że się waha, i zamiast kija wyciągnąłem marchewkę: – Mów. Dobrze zapłacę.

Walczył ze sobą, po czym wyrzucił z siebie urywanie, cały czas kręcąc niespokojnie głową na wszystkie strony:

– Nie tutaj... Przyjdź jutro o tej porze do bursy, to pogadamy... Będzie cię to kosztowało dziesięć duków...

Wyrwał się z mego uścisku i odszedł szparkim krokiem. Dałem znać Staszce, by go przepuścił, a po drodze do domu wyjaśniłem mu, kim był Spytek z Prokocimia i dlaczego uznałem, że może coś wiedzieć o skradzionych księgach. Po dwakroć tego dnia Żółkiewski zaprezentował talent urodzonego komedianta i powiedziałem mu to.

– Ee tam – zarumienił się Zub jak panienka. – Kiedyś do naszej Turynki zawitała trupa wędrownych histrionów. Bardzo mi się spodobali i potem sam się trochę w to bawiłem z innymi otrokami.

Wyglodniali jak wilcy w mig spałaszowaliśmy wieczerę jedynie w towarzystwie ciotki Balcerowej, której musieliśmy opowiedzieć, co wydarzyło się dziś w bibliotece.

– A gdzie panna Janusia? – zapytał Stachnik przy piwie.

– Poszła do domu Włoskiego na lekcję języka.

– A Niziołek, matuchno? Poszedł z nią? – zaniepokoiłem się.

Zazwyczaj w rolę anioła stróża, bo lekcje odbywały się wieczorami, i przyzwoitki zarazem wcielałem się ja. Niziołek, który na nauce włoskiego siedział jak na tureckim

kazaniu, zastępował mnie niechętnie i tylko w ostateczności. Na olbrzymie można było po prawdzie polegać jak na Zawiszy, tym razem wszak miałem dobry powód do niepokoju.

– Janka od paru miesięcy uczy się włoskiej mowy. Tylko bieda w tym, że dom Włoski sąsiaduje z kamienicą Szarą, a ta należy do Zborowskich – wyjaśniłem Staszкови.

– To na co czekamy? – odsunął do połowy napełniony kufel i poderwał się z ławy. – Chodźmy po nich! – zawadiacko nasadził kołpak na uszy.

Zabrałem rapier i lewak, Staszek miał swoją szablę, z którą się nie rozstawał. Na dworze było już prawie ciemno, na ulicach i Rynku pustawo, wiało chłodem zwiastującym nadejście zimy, zaczął siąpić deszcz. Utrafiliśmy idealnie – akurat gdyśmy zbliżali się ku kamienicy Włoskiej, teraźniejszej siedzibie poczty ustanowionej przez króla Augusta, Janka i Niziołek opuszczali ją, odprowadzani do wyjścia przez zaopatrzonego w zapaloną latarkę sekretarza poczmistrza Sebastiana Montelupiego, *signora* Giacomo Venturę. Niegdyś mojego preceptora fechtunku na rapiery, a obecnie bakałarza Janki.

– Powalczymy? – uśmiechnął się na mój widok.

– Nie dziś, *maestro*...

Nagle w sieni obok, w „kamienicy pańskiej”, jak obzywano domy przerobione na pałace przez magnatów coraz chętniej nabywających nieruchomości w mieście, rozległy się krzyki spotęgowane echem, równocześnie wytłumione przez żelazną bramę. Potem uchyliło się jedno skrzydło drzwi i na tret wyskoczył jak oparzony... całkiem nagi mężczyzna! Staliśmy jak wryci, gapiąc się na niego w osłupieniu, on zaś podskoczył ku nam, gestykulując gwałtownie, wrzeszcząc jak opętany i pokazując za siebie:

– *Briganti, lazzaroni, maledetti, somari!* [37]

Oprzytomniałem pierwszy.

– Odwróć wzrok, bezwstydnico! – zbeształem Jankę.

– O-wa! Wielkie mi mecyje! – odburknęła zuchwale i wzruszyła ramionami, dalej wgapiając się bezwstydnie w golasa.

– *Mamma mia, porca miseria* [38] – jęczał tymczasem tamten, czepiając się naszych szat i wyrzucając z siebie słowa z taką szybkością, że nic nie zrozumiał, choć radziłem już sobie z włoszczyzną jako tako.

– Co on prawi? – spytałem Venturę, który huknął na nagusa po włosku, ale uzyskał tylko tyle, że ów rzucił mu się do nóg i jął zawodzić jeszcze gwałtowniej.

– Że w tym domu poddano go strasznym torturom i że...

Przerwał, bo w tejże chwili z sieni wypadło kilku zbrojnych, a na ich czele... któż by inny – Samuel Zborowski z nieodstępnym fagasem! Nie wiem, czemu mnie to zaskoczyło, przecież spodziewałem się takiego spotkania, a gdzież łacniej mogło nastąpić niżli przed domem?

– Aaa... Kogo ja widzę? Ryx! – rzekł na mój widok. – Kroku ostatnio zrobić nie mogę, by się na ciebie nie natknąć. To staje się męczące. Zejdź mi z drogi i wydaj *messer* Kandyana, a...

Tym sposobem dowiedzieliśmy się imienia golasa, który na widok swych prześladowców, o ile to możebne, rozwrzeszczał się jeszcze donośniej.

– A co? – spytałem.

– A może jeszcze trochę pożyjesz.

Mydlił mi oczy, bo równocześnie jego ludzie, korzystając ze zmroku, tatarską modą zachodzili nas z boków. Widząc, co się święci, Ventura, Nizioł i Staszek stanęli przy mnie, zasłaniając Jankę i nagusa, który raptownie przycichł.

– A jeśli odmówię? – dociekałem, zaczynając powoli wyciągać rapier z pochwy.

– Dalej, w nich! – ryknął niespodziewanie Zborowski, równocześnie robiąc krok w tył. – Zabijcie wszystkich, jeno dziewczkę chcę mieć całą! Ruski, poświęć im!

Rzucili się na nas z impetem. Mieli co najmniej dwukrotną przewagę, byli bardzo pewni siebie i chyba mocno zdziwieni, gdyśmy w jednej chwili powalili czterech. Niziołek mnie nie zaskoczył, biegłość w robieniu bronią *messera* Ventury też dobrze znałem, ale Stachnik stanowił niewiadomą. Tymczasem, właściwie powinienem się tego spodziewać, nad podziw zręcznie wywijał tą swoją krzywą szablą młyńce, stal migotała w świetle latarki trzymanej wysoko nad głową przez Jankę, w końcu pchnął od dołu i zakończył sprawę. Czterech napastników leżało nieruchomo na tacie lub wilo się z bólu i jęczało, pozostali cofnęli się ku swemu wodzowi.

Choć Niziołkowi wystawał zza pasa pistolet, nikt z nas nie strzelał, nie chcąc ściągnąć pacholców miejskich, toteż walka nie przywabiła gapiów z wyjątkiem paru włóczęgów spod fary Mariackiej. Ale oni nie zamierzali się mieszać, żywili jeno nadzieję na odarcie trupów z co cenniejszych rzeczy.

– I co, mości Zborowski? – spytałem. – Może jednak załatwimy to między sobą jak ludzie niesprośni?

– Ja mam się z tobą bić? – zaśmiał się nieprzyjemnie. – Niedoczekanie!

– Nie chcesz stanąć Ryksowi, tedy popróbuj ze mną – niespodziewanie ozwał się Zub.

– A ty kto, chłopaczku-kołpaczku? – zadrwił Zborowski, obrzucając Żółkiewskiego lekceważącym spojrzeniem.

– Urodzony Stanisław Żółkiewski herbu Lubicz.

– Phi – Zborowski wydał usta. – *Aquila non capit muscas* [39]. Odejdź, chłystku, pókim dobry.

– Stawaj, tchórze! – syknął przez zaciśnięte zęby urażony do żywego Staszek. – Albo obetnę ci uszy!

– Dobrze! – Zborowski wydobył miecz. – Ruski, bierz Ryksa!

Może i totumfacki nadawał się do bicia słabszych od siebie, może nawet dobrze radził sobie z podobnymi do siebie rębaczami, ale ze mną nie miał żadnych widoków

na powodzenie. Ojciec Roch uczył mnie walki na miecze, zaś pan Ventura – na rapiery i obaj już nie potrafili dotrzymać mi pola, choć słusznie uchodzili za mistrzów. Po prostu, nie chwaląc się, urodziłem się do broni (tak utrzymywał *pater* Roch, a on się na tym znał jak mało kto), a poza tym studiowałem traktaty o fechtach i stale ćwiczyłem, to z *messer* Venturą (rzadziej), to z moim bratem Jędrkiem (częściej). Pobawiłem się zatem z Ruskim chwilę, po czym pchnąłem go w ramię i zadowolilem się tym, gdyż rzucił kord i poprosił pardonu.

– *Benissimo!* – skomentował *signor* Ventura.

Machnąłem tylko ręką niedbale, bo nie było o czym gadać, i zajęliśmy się oglądaniem pojedynku Żółkiewskiego ze Zborowskim. Magnat był dużo mocniej zbudowany i silny jak tur. Ostro nacierał na wątlęgo Stachnika, przypierając go do muru. Niziołek już się ruszył, by pójść mu w sukurs, alem go powstrzymał. Inaczej bowiem imaginowałem sobie honorową walkę niżli szlachetnie urodzeni. Ci radzi kupą atakowali słabszego, nie widząc także niczego zdrożnego we wrażeniu przeciwnikowi żelaza podstępem lub przez pachółków, choćby i od tyłu. Poza tym zarówno dla mnie, jak i dla *maestra* Ventury wnet stało się jasne, że o ile Zborowski górował nad nim siłą, to nadobny Zub przewyższał go ćwiczeniem i zwinnością. Jako i prześliznął się pod ramieniem gwałtownika, omal nie przecinając mu piersi i wyszczerzając w krzywym uśmiechu te swoje nieprawdopodobnie białe zęby. Tamten odbił w ostatniej chwili i otarł pot z czoła. Niziołek podbiegł bezszelestnie i rękąjęścią korda wyrznął w łeb draba, który chciał zdradziecko wbić Staszкови sztylet w plecy.

Zborowski skorzystał z chwili przerwy, odskoczył i wrzasnął na cały głos w stronę wpółotwartej bramy:

– Sam tu do mnie, kto żyw! Nuże!

W odpowiedzi *signor* Ventura załomotał do bramy domu Włoskiego:

– *Avanti! Forza Italia!* [40]

W obu domach zapaliły się światła, po czym rozległ się gwar i tupot wielu nóg na schodach. I kto wie, czym to by się skończyło, gdyby nagle nie rozległ się mrozący krew w żyłach ryk i z bramy kamienicy Szarej nie wypadł ogromny niedźwiedź. Na widok ludzkiej gromady tamującej mu drogę znów ryknął potężnie i tocząc pianę z pyska, wspiął się na tylne łapy. Pospołu staliśmy jak wryci, nie wiedząc, co czynić. Wtem dostrzegłem, że bestia, wodząca dotąd krwawymi ślepiami dookoła, obróciła wzrok na Jankę. Może dlatego że dziewczka wciąż dzierżyła zapaloną latarnię, a może uwagę niedźwiedzia zwróciła jej czerwona suknia. Dość, że potwór wyciągnął łapy uzbrojone w potężne pazury i uczynił krok w stronę Janki. W tejże chwili zanurkowałem pod wielkim łapskiem i z całych sił wbiłem puginał w pierś zwierza. Sztylet wszedł aż po rękujęść, ale widać nie dotarł do serca, bo ujrzałem, jak zionąca smrodliwie zębata paszcza zbliża się ku mojej twarzy, a łapy zaciskają na żebrach. Usłyszałem ohydny dźwięk rozdieranej pazurami skóry i czekałem na straszliwy ból, ale na szczęście to tylko mój gruby kolet poszedł w strzepy. I tak konający potwór

pewnie zdążyłby jeszcze rozszarpać mnie na sztuki, gdyby Staszek nie podskoczył doń z jednej strony, a Niziołek z drugiej. Ten wraził bestii szablę w rozwarto szeroko pysk, ów wypalił w ślepie. Niedźwiedź zważył się na mordę, ledwo zdążyłem uskoczyć, porywając ze sobą dziewczkę.

– Prędko! – szarpnąłem ją za rękę, bowiem wystrzał zaalarmował nocny ront, który już zdążył ku nam.

W momencie rozplętnęli się w powietrzu gapie-żebracy. Ludzie Zborowskiego, zabierając rannych, schowali się do jednej kamienicy, Włosi do drugiej, zgrzytnęły zawierane dźwierz. Tylko my i martwy niedźwiedź zostaliśmy na placu boju. Nie puszczając dłoni Janki ze swojej, drugą kiwnąłem na Stachnika i Niziołka, zdmuchnąłem świecę w latarce i pobiegliśmy w czarny jak smoła cień pomiędzy Wagą Mniejszą a kościółkiem Świętego Wojciecha. Przyłgnęliśmy do kościelnego muru. Ostrożnie wychyliwszy się, zobaczyłem, jak pachołki miejskie obstały nieżywą bestię, w głos dając wyraz swemu zdziwieniu i rozglądając się pilnie na boki. Szybko cofnąłem głowę. Wątpliwe, by draby odważyły się wstąpić w ciemność, która nas skrywała, lecz nie należało kusić losu. Musieliśmy poczekać, aż sobie pójda. Janka przywarła do mnie ciasno i położyła głowę na moim ramieniu, ja zaś objąłem ją i trzymałem tuż przy bijącym mocno sercu, wtuliwszy twarz w czarne włosy. Szepnęła mi w ucho: „Żyjemy”. Mógłbym tak stać do skończenia świata, ale po jakimś czasie, który zdał się chwilą jedną, Nizioł dał mi sójkę w bok i rzekł półgłosem:

– Odeszli, możemy wracać.

Przemykając pomiędzy kramami i pilnie bacząc, czy gdzie nie czyhają nocne straże, podążyliśmy zatem do domu. Przez całą drogę trzymałem Jankę za rękę, a ona bynajmniej mi jej nie wyrywała.

ROZDZIAŁ 4 | ZNAK

Kraków, listopad 1572 roku

– To wy...

– A kogoś się spodziewał?

– Nikogo.

– Nie łżyj, widziałem, jakieś gadał na ulicy z Ryksem. Co mu powiedziałaś, mów!

Rzucił rozpaczliwe spojrzenie w stronę drzwi, ale przewidzieli to i odcinali mu jedyną drogę ucieczki. Krzyk również nie zdałby się na nic, bo dobrze wybrali czas. Nikt by go nie usłyszał.

– Nic mu nie wyjawiałem, żebym tak zdrów był! To on mnie zaczepił. Uwziął się na mnie i nęka przy lada okazji.

– Mamy ci wierzyć?

– Przecie samiście mówili, że jest dopiero w pierwszym kręgu wtajemniczenia i wiem tyle co nic.

– To prawda, ale zapomniałaś o jednym.

– O czym?

– Wiesz o nas, to wystarczy. Któż nam zaręczy, żeś nie przysłał do nas tylko dla zysku i nie zdradzisz przy najbliższej okazji, gdyby ci ktoś odpowiednio zapłacił. A może już to uczynił?

Wodził po nich przerażonym wzrokiem. Wyższy i bardziej barczysty popatrywał nań z namysłem spod groźnie nastroszonych brwi, ale bardziej lękał się niższego, z brodawką na nosie. Wiedział, że to gwałtownik zdolny do wszystkiego. Gorączkowo szukał w pustej ze strachu głowie słów, którymi mógłby rozproszyć ich podejrzenia. Mimo wszystko nie tracił nadziei, że mu się to powiedzie. Już nieraz bywał przyparty do muru i zawsze jakoś udawało mu się wywinąć z obieży...

Kraków, listopad 1572 roku

Deszcz, intensywny podczas dnia, nasilił się pod wieczór, a w nocy przybrał postać ulewy. Strumienie wody lały się z ołowianego nieba, zresztą zupełnie niewidocznego w mroku nierozjaśnionym żadną gwiazdą, poświatą księżycową ani jakimkolwiek sztucznym światłem. Rynsztoki biegnące środkiem ulic zamieniły się w wezbrane potoki. Coraz silniejszy wiatr pogasił nie tylko nieliczne latarnie palące się przed niektórymi kamienicami, ale i przetaczał z miejsca na miejsce sterty śmieci, dopóki nie namokły tak, że były nie do ruszenia z wyjątkiem tych, które porwała woda z przelewających się rynsztoków.

Pora była późna, tuż po północy. O tej godzinie na ulicach nie było ludzi, z wyjątkiem bezdomnych włóczęgów i pijaków wyrzuconych z zamykanych traktami. Ale dziś miasto świeciło pustką (i niczym więcej). I nie dziwota, w taką pogodę pod psem.

Pojawił się znikąd. Wychynał z mroku, jeszcze czarniejszy od otaczających ciemności. Wysoki, co najmniej o głowę przewyższający przeciętnych ludzi, odziany w kir, siedzący na olbrzymim karym koniu. Jednak naprawdę uderzające było co innego – jeździec nie miał głowy! Bezgłownie przemierzał uśpione ulice. Czarny jak noc rumak wprost połykał przestrzeń. Przecieli Rynek raz i drugi, po czym pomknęli w boczne ulice. Wicher wył, siekł deszcz, bezgłowy jeździec wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki, ni to skargi, ni groźby.

Obdartus, który znalazł schronienie przed deszczem pod dachem opuszczonych kramów dominikańskich na ulicy Stolarskiej, dopijał właśnie resztę okowity z pękatej flaszki, gdy dostrzegł jeźdźca bez głowy. Zamarł z butelką uniesioną do ust. Czuł, jak włosy mu się zjeżyły, choć miał je tak brudne, zatłuszczone i przylegające do czaszki, że zdawały się nie do ruszenia.

– Dobry Jezu – szepnął zmartwiałymi z grozy ustami. – Duch rycerza Szafrança... Najwyższy czas skończyć z chlaniem na umór...

Z zeszywniałych palców wysliznęła się butelka i spadła, rozbijając w drobny mak i hałasując. Była to ostatnia rzecz, której pragnął oźralec, drżącymi ustami mamrocząc modlitwy, by upiorny jeździec go nie dostrzegł, i mając jeszcze cień nadziei, że to tylko pijackie zwidy. Dźwięk rozbijanego szkła nie uszedł uwagi upiora. Kiedy zeszywniały ze strachu włóczęga podniósł wzrok, ziściły się jego najgorsze obawy. Jeździec bez głowy stał na wprost niego. Pod pachą trzymał rzecz wyraźnie jaśniejszą od wszechobecnej czerni. Nagle rzucił ją pod nogi skamieniałego ze zgrozy i raptem wytrzeźwiałego pijaka, zachichotał głosem dobywającym się jakby z głębi trzewi i oddalił galopem.

Kiedy paraliżujący lęk opuścił bieguna, schylił się po ową rzecz, lecz nagle odskoczył jak oparzony i wrzeszcząc niby opętany, pobiegł przed siebie. Była to bowiem ludzka głowa w dość znacznym stopniu rozkładu, z opadłą zuchwą i rysami

twarzy zastygłymi w wyrazie nieludzkiego przerażenia. Ożralec gnał przed siebie, klepiąc pacierze i szlochając, dopóki nie pośliznął się na śliskim burku i nie wpadł do wypełnionego wodą rynsztoka. Gdy się podnosił, coś wpadło nań od tyłu i trąciło w nogę. Głowa! Wrzasnął i chciał uciekać, lecz drogę zagradzał mu upiorny jeździec, znów śmiejąc się dziwnym, stłumionym chichotem.

Pijak zawrócił na pięcie i popędził w drugą stronę. Dobiegał właśnie do wylotu ulicy, gdy przez ścianę dżdżu zobaczył przed sobą czekającego jeźdźca. Jak on się tam znalazł tak szybko, przecież nie mijał go, uciekinier był tego pewny. Czary! Nim zdążył zawrócić, jeździec zamachnął się i coś poszybowało w stronę włóczęgi. Głowa! Rycząc wniebogłosy, zupełnie już wytrzeźwiały ożralec pognał nazad tylko po to, by na końcu ulicy znów napotkać prześladowcę. Ponownie koszmarna głowa poszybowała w jego kierunku. Powtórzyło się tak jeszcze po dwakroć.

Kiedy nareszcie, zwabiony krzykami, pojawił się nocny ront, zdumione pacholki ujrzały siedzącego pod murem szaleńca, kiwającego się w przód i w tył, bełkoczącego coś bez ładu i składu i ściskającego w dłoniach ludzką głowę.

Widziałem w librarii Almanach, to jest ścienny *Calendarium Cracoviense anni 1474* Bawara Kaspra Straube, pierwszy druk w Polsce. Skąd o tym wiedziałem? Nie wiem. Musiałem gdzieś wyczytać albo ktoś mi o tym powiedział i zakarbowałem sobie w pamięci. Miałem w głowie pełno takich nikomu na nic niezdatnych wieści. Groch z kapustą, jak mawiała Janka. A już osobliwie zajmowało mnie wszystko, co miało związek z księgami.

Do niedawna jeszcze włóczyło się po świecie wielu giserów, czyli odlewaczy czcionek, z biesagami na grzbiecie, a w nich zapasem rozmaitych matryc *alias* „typów”, oferując swe usługi drukarzom i odlewając na obstalunek potrzebne czcionki. Czasem drukarz *vel* typograf sam wycinał swoje typy i odlewał w drukarnianych „czcionkolejniach”, ale częściej miał do tego fachmana – gisera, zaś do składania czcionek – zecera, a tłoczenia na prasie – impresora. A *calcographus* pełną gębą, prawy *impressor librorum*, zatrudniał w swojej oficynie, *stuba impressoria*, także introligatorów, *compactores librorum*. Był nadto często księgarzem – obzywano takich *bibliopola* – handlującym nie tylko drukowanymi u siebie księgami, i z reguły posiadał własną papiernię. Był ci to zatem przedsiębiorca jak się patrzy, człek w sam raz na nowe czasy, a nie pospolity rękodzielnik czy kramarz.

Drukarzom Kraków zawdzięczał swą sławę w świecie, odkąd Hartmann Schedel umieścił pierwszy jego widok, w wydanej w 1493 roku w Norymberdze *Chronica Mundi*, jako *Cracovia totius Poloniae urbs celeberrima* [41].

Pierwszym wielkim kalkografem krakowskim był Jan Haller, handlarz winem i bydlęciem, który stał się równie wielkim *bibliopola*, a w końcu właścicielem oficyny wydawniczej i swe dzieła zaopatrywał w sygnety na kształt buksztaby H, choć sam nie znał się na drukarstwie. Dlatego połączył siły z zawołanym typografem Florianem Unglerem (sygnety F w V, a całość w wieńcu). Współ mieli wyłączność, dopóki nie

zjawiał się w Krakowie Ślązak Hieronim Wietor, „Koszykarz”, który do spółki z Markiem Szarffenbergiem w 1516 roku otworzył drukarnię na Kazimierzu, w wieży nad bramą Skawińską, a drugą przy Gołębiej ulicy w Krakowie. Z początku mawiał o sobie skromnie: *impressor de Cracovia*, ale gdy podobnie jak Haller i Ungler został typografem uniwersyteckim, zaczął się tytułować: *chalcographus accuratissimus*, drukarz najstaranniejszy. Może i słusznie, boć to on wynalazł czcionkę polską.

Oni wszyscy wszak działali na długo wcześniej, nim nauczyłem się składać bukstaby. Dlatego bodaj czy nie najwięcej książek kupiłem u Unglerowego ucznia, Macieja Wirzbięty, „typografa J. K. M.”, który miał dom z oficyną na ulicy Sławkowskiej. To on wydał *Szachy* mojego umiłowanego mistrza Kochanowskiego, niemal wszystkie dzieła imć pana Reja, *Dworzanina* mistrza Górnickiego (miałem i zwertowałem po wielekroć!), dzieła Jędrzeja Frycza Modrzewskiego, kronikę Marcina Bielskiego (miałem!) czy pierwszą gramatykę polskiej mowy Piotra Statoriusa Stojeńskiego. Swoje druki opatrywał sygnetem z inicjałami MW, splecionymi na kształt przypominający cztery „x”: XXXX i wierzba ponad nimi. Ostatnio wszak imć Maciej zmienił wiarę na kalwińską i nawet został starszym zboru, zaczął też wydawać dzieła, które podpadały pod zarzut herezji, i słyszałem, że oficyna miała turbacje z kuria, a nawet groziło jej zamknięcie.

Niedawno przybył z Piotrkowa do Krakowa Jędrzej Byczek zwany Piotrkowczykiem i w domu Pod Wiewiórką na Floriańskiej zamierzał ponoć otworzyć drukarnię, aleć jeszcze tego nie uskutečnił. Wiem, bom sprawdzał z ciekawości. Teraz wszak wraz ze Staszkiem zdążyliśmy na ulicę Grodzką do domu Pod Łabędziem [\[42\]](#) tuż przy Rynku i do sąsiedniego, gdzie swój zakład typograficzny miał Mikołaj Szarffenberg, syn Marka, naprzeciwko zaś znajdowała się drukarnia Siebeneychera.

Przez otwartą bramę wjazdową wyszliśmy na zadź, gdzie w oficynie mieściła się drukarnia. Drzwi, zwykle szeroko otwarte, aby wypuścić duszący zapach drukarskiego czernidła, zawarto z powodu paskudnej pogody, bo też zimy było jeno patrzeć. Pchnęliśmy je i weszliśmy do środka.

Jako stały bywalec takich przybytków nie dziwiłem się niczemu, natomiast Staszek stał z rozwartymi ustami i gapił się jak urzeczony. *Stuba impressoria* była okazałym gmachem z kilkoma oknami wpuszczającymi dużo światła. Kłębił się tu dobry tuzin ludzi. Na stole pod oknem jeden z nich dyktował drugiemu tekst stronicy, a ów zapisywał to tak, by zecerzy łącznie mogli układać czcionki. Jako i opodal stały dwa pulpity z kasztami, a przy nich wymienieni składali czcionki, zerkając na owe umieszczone na kijku pomocnicze zapiski. Z kolei bliżej nas stała wielka prasa, sięgająca od pawimentu do powały, obsługiwana przez dwóch czeladników. Jeden rozprowadzał po czcionkach farbę dwoma podobnymi do grzybów przyrządami, zwanymi pieskami, drugi kładł kartę i dociskał prasę, trzeci niośł na stertę gotową stronicę. Znałem go, był to Foltyn Łapka, prawa ręka Mikołaja

Szarffenberga, zażywającego także nazwiska Ostrogórski.

– Gdzie mistrz? – spytałem, kiwając Łapce na powitanie.

– U siebie.

Przeszliśmy do sąsiedniego, mniejszego pomieszczenia, gdzie mistrz Mikołaj, czerstwy pięćdziesięcioparolatek, pochylał się nad złożoną już, acz nie oprawioną jeszcze książką. Pozwolił nam zerknąć na pierwszą („Herburt: *Statuta*”) i ostatnią stronę dzieła: „W Krakowie / w Drukarni Mikołaja Szarffenberga / Mieszczanina y Bibliopole Krakowskiego / Roku Pańskiego 1570”. Nad tym zaś widniał imponujący sygnet na kształt herbu...

– Półkoczic – mruknął Staszek i od razu z większym szacunkiem spojrzął na impresora.

Dla mnie to nie była nowina, wiedziałem, że Szarffenbergowie podawali się, jak im było wygodnie, to za *honestus*, sławetnych, to za *nobilis*, szlachtę.

– To stara księga, nie wiem, jak się tu zapodziała – mruknął drukarz, pieśczośliwie pogładził karty i odłożył książkę na bok. – Co cię do mnie sprowadza, Kacprze? Chyba nie mam nic dla ciebie... Słyszałem, że doktor Marcin z Urzędowa chce nareszcie wydać swój herbarz, który napisał już przed ćwierćwieczem [43], ale do mnie się z tym nie zwrócił.

– Tym razem sprowadza mnie co innego, mistrzu. Oto w librarii uniwersyteckiej zdarzył się wypadek. Z sekretnego księgozbioru zaginęła księga *Liber magnus*, ponoć dzieło mistrza Twardowskiego, która została oddana do oprawy... – Postanowiłem nic mu nie mówić o śmierci pomocnika librariusza.

Typograf gwałtownie zamachał rękoma, jakby się przed czymś bronił.

– *Apage satanas!* [44] Niech mnie Bóg broni przed zakazanymi księgami! Na pewno nie do mnie ją przysłano i z pewnością nie widziałem jej na oczy!

Trochę mnie zdziwiła tak gwałtowna reakcja. Dobrze wiedziałem, że Szarffenbergowie nie gardzili publikowaniem druków heretyckich, o ile im się to opłacało, oczywiście nie sygnując ich swoimi znakami. Już ojciec ich, Marek, był ciągnany przed sąd biskupi za sprowadzanie ksiąg kacerskich do Krakowa.

– Pytam was dlatego, mistrzu, że doktor Glicjusz nie był pewien, czy do was ją przysłał, czy do kogo drugiego...

– Sprawdźcie u Januszowicza. Do mnie na pewno nie – przerwał mi stanowczo. – Ja nawet nie zatrudniam u siebie *compactores librorum*, mam jeno książki *in crudo*, czyli *in plano*.

Introligatorzy, *compactores librorum*, tworzyli osobny cech i drukarz mógł zatrudniać u siebie oprawiacza, lecz nie musiał. Książka bowiem szła do kupującego *in crudo*, czyli w postaci niesfalcowanych arkuszy. Księgarz oprawiał tylko część nakładu, a klient miał możliwość wyboru, zali chce księgę w oprawie czy woli zanieść ją do introligatora i oprawić wedle uznania.

– Nieoprawione – dodał na użytek Staszka, widząc jego minę.

– To może do waszego brata? – nie ustępowałem. – Toć powiedziano mi, że od czasów ojca waszmości, przesławnego Marka, Szarffenbergowie są głównymi dostawcami ksiąg dla uniwersyteckiej biblioteki.

Zaiste, Ślązak Marek Szarffenberg dokonał wielkich rzeczy, samemu dochodząc do znacznego majątku obejmującego drukarnię, księgarnię i warsztat introligatorski we własnym domu przy ulicy Świętej Anny, a także dwie papiernie: *officina papirea* nad Rudawą w Balicach, dzierżawioną od Bonerów, i „Żabi Młyn” na Promniku. Jego kuzyn Maciej w czterdziestym trzecim roku wydał sławną *Krótką rozprawę między trzema osobami, Panem, Wójtem i Plebanem* imć Reja. Zaś Marek wykupił najstarszą w Krakowie księgarnię po Mikołaju Szykwiku z Oławy i stale zwiększał księgozbiór, który w końcu dorównał temu Hallera. Po śmierci matki, to jest od lat pięciu, oficynę prowadzili synowie. Stanisław został na Świętej Anny, a Mikołaj przeniósł się na Grodzką.

– To było dawno – skrzywił się drukarz. – Teraz uniwersytet sam sprowadza księgi z Frankfurtu nad Menem. – Były tam największe w Europie targi na księgi. – A jeśli idzie o Stacha, to on także z pewnością nie brał tej księgi do oprawy. Chcesz, to sprawdź, lecz szkoda twojej fatygi.

– Jesteście pewni, mistrzu?

– Tak – rzekł z absolutną pewnością.

– A czemu?

Nie odpowiadając, podszedł do pulpitu w głębi i spod grubego wolumenu wy dobył kartę papieru, po czym wrócił i podał mi, mówiąc:

– Dlatego. Komu innemu bym tego nie pokazał, ale ciebie dobrze znam. Nadal jesteś tym, jak mu tam, inwestygatorem?

– Owszem – odparłem machinalnie, bo pochłonięła mnie treść listu:

Alibo poniechasz wszelkiej styczości z kacerskimi drukami, alibo twoja stuba impressoria pójdzie z dymem, a ty i twa familia razem z nią. To samo spotka twego brata. I nikomu ani słowa.

Podpisu nie było. Zamiast niego widniał znak trzech złączonych pierścieni.

– A cóż to ma znaczyć? – zdumiał się zaglądnący mi ciekawie przez ramię Staszek.

– Sam chciałbym wiedzieć – odparł księgarz grobowym głosem.

– Papier lada jaki – obracałem w dłoni wygnieciony, pobrudzony i niechlujnie oddarty od większej karty kęs papieru – ale pisał ktoś mający jako taką *litteras*. Nie ma ani jednego błędu, nie licząc rzecz jasna małego „t” przy słowach „twój” czy „twego”, co oznacza brak szacunku, Ale myślę, że to celowe i poniekąd zrozumiałe, biorąc pod uwagę treść. Jak to się dostało do rąk waszmości?

– Tędy – pokazał okno ze wstawioną nową gomółką szklaną, czystsza od pozostałych. – Na szczęście nikogo nie było wtenczas w izbie, bo kamień, wokół

którego owinięto list, miał wielkość pięści.

– Kiedy to było?

Zastanowił się chwilę.

– Trzy niedziele nazad. Może miesiąc. Zaraz ostrzegłem brata i, tobie mogę to rzec w zaufaniu, niezwłocznie pozbyliśmy się druków będących na indeksie, bo ci ludzie, kimkolwiek są, nie żartują. Wiem, gdyż takie samo albo podobne ostrzeżenie dostał Wirzbięta, który zaraz potem wyszedł na ulicę i podarł list publicznie. I co? I na drugi dzień ledwo udało się ugasić pożar w jego domu. A dwie niedziele temu zakapturzeni łotrowie o zmierzchu napadli na drukarnię Rodeckiego i wcale ją zruderowali, tak iż Rodeckiemu przyjdzie precz wynosić się z miasta...

Słyszałem o Aleksym Rodeckim, który miał drukarnię za broną Mikołajską, alem nigdy tam nie zaglądnął. Rodecki był bowiem bratem polskim *alias* arianinem, a z arianami, którzy wyrzekli się Chrystusa, żaden prawy chrześcijanin nie chciał mieć nic do czynienia.

– Rodecki drukował zakazane dzieła swych braci w wierze, Szomana i Grzegorza Pawła, lecz mało kto o tym wiedział, bo czynił to pod przybranym nazwiskiem Turobińczyka *vel* Adamowicza. A jednak nie uchroniło go to przed zdemaskowaniem i napaścią. Ktoś był dobrze uwiadomiony... – ciągnął Szarffenberg. – A ponoć dwaj *bibliopolae*, Królik i Kessner, także mieli nieprzyjemności. Pierwszemu skradziono cały nakład, a drugiemu sługi poturbowano. I nie wiada kto to uczynił. Sprawcy mieli czarne kaptury naciągnięte na twarz, a w nich wycięte otwory na oczy jak kaci.

– To ci też nic nie mówi, mistrzu? – postukałem palcem w znak trzech pierścieni.

– Nie mam pojęcia, co to może być – wyznał.

– Czy drudzy też dostali przestrogi także sygnowane?

– Nie wiem, nie pytałem – rozłożył ręce.

Skinąłem na Stachnika i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia.

– Mogę to zatrzymać, mistrzu? – pokazałem mu list.

– A trzymaj sobie, byleś nie zdradził, że masz go ode mnie. I powiedz mi, jak się czegoś dowiesz.

Zostawiliśmy go zmartwionego.

– No to dalej jesteśmy tak samo mądrzy jak wprzód – rzekł Staszek już na ulicy.

– Mów za siebie. Wiemy całkiem sporo. *Primo*: ktoś szuka i niszczy księgi uznane za heretyckie, *secundo*: ludzie ci używają jako *signum* trojga splecionych pierścieni. *Ergo* nasz nieboszczyk musiał mieć z nimi coś wspólnego.

– Dobra, masz rację, mądrało. Dokąd teraz?

– Do oficyny Łazarzowej na Gołębią, lecz wprzód Pod Barany.

Owinęliśmy się ciasno opończami, bo zaczął padać śnieg z deszczem, i przez Bracką doszliśmy na róg Rynku i Świętej Anny, gdzie stał dom Pod Baranami. Ponoć wprawdzie była tu gospoda, a do niej spędzano barany na sprzedaż lub rzeź przeznaczone, stąd godło domu się brało – dwa barany ku się zwrócone i u węgła

mające wspólną głowę. Dom niedawno kupił i przebudował okazałe Justus Ludovicus Decius, syn sławnego dziejopisa i sekretarza króla Starego, Jodoka Decjusza. Część kamienicy wydzierżawił na księgarnię Zacheusz Kessner, uchodzący za największego *bibliopola* w Krakowie, który na ulicy Świętej Anny miał jeszcze dwa inne składy ksiąg. Działał nie tylko w całej Rzeczypospolitej, ale i we Włoszech, i na Węgrzech. Był przy tym starszym zboru kalwińskiego, jak Wirzbięta. I jak on miał kłopoty z tajemniczym bractwem używającym kapturów z dziurami na oczy i podpisujących się znakiem zachodzących na siebie kół.

– Akurat mieliśmy zamykać, gdy wpadło tu paru takich, w kapuzach na łbach i kijami w łapach, niektórzy zaś mieli pochodnie, ale społem poradziłem sobie z hultajstwem! – powiedział, z dumą pokazując trzech osiłkowatych pomocników.

– Mogą wrócić – zauważył Staszek.

– Owszem – pomarkotniał księgarz. – Postaramy się godnie ich podjąć.

– Nie domyślasz się, waszmość – spytałem – kim owi mogą być?

– Nie. Może Królik będzie coś wiedział albo ten Francuz, co księgi sprzedaje opodal... Oni też mieli z tamtymi do czynienia.

Podziękowałem i wyszliśmy.

– O kim on mówił? – zapytał Staszek.

– Michał Królik to *bibliopola* jak Kessner, ma duży skład ksiąg na Gołębiej, w tym sporo heretyckich. Ponoć sympatyzuje z arianami, ale ma duży wybór i zdarzyło mi się u niego kupić to i owo. Zaś ów Francuz to niejaki Jan Thenaud, zwany *bibliopola Gallus*. Doskonale mówi po naszemu. Ma księgarnię w Rynku, między Świętej Anny a Szewską, w niej zaś obfitość ksiąg różnojęzycznych, a zarazem jest bakałarzem w gimnazjum kalwińskim za Szewską broną. Ongi Haller, a teraz Szarffenbergowie chcą opanować cały handel książkami, ale usiłują z nimi konkurować składy księgarskie rozmaitych *bibliopola*, jak Kessnera czy Królika, a także Jana Klemesza, Melchiora Franka, Piotra Reismollera albo drzewiej Mikołaja Szykwika, nim go Szarffenbergowie nie wykupili. Nie licząc wędrownych *venditores librorum*. A wszystko to zlokalizowane na wiertelu garncarskim przy ulicach Świętej Anny, Wiślnej, Brackiej i Gołębiej, który prędzej powinien się zwać dzielnicą uniwersytecką albo Łacińską, jak w Paryżu.

– I wszędzie tam pójdziemy? – w głosie Staszka zabrzmiało przerażenie.

– Nie – roześmiałem się. – Nie ma potrzeby. Wątpię, aby powiedzieli nam coś nowego. Zagładniemy do oficyny Łazarzowej.

Wdowa po Wietorze, Barbara, wydała się także za drukarza, Łazarza Andrysowicza, przechrztę. Odtąd sławna drukarnia Wietorowa na Gołębiej ulicy zmieniła się w jeszcze sławniejszą, największą w mieście – Łazarzową, Officina Lazari. O ile Łazarz typografem był wyśmienitym, to mężem złym, o czym szumiało w mieście. Zawładnąwszy schedą żony, bił ją i doprowadził do śmierci, obnosił się z kochanicą. A mimo to cieszył się szacunkiem. Zawdzięczał to synowi swemu i nieszczęsnej Barbary, Janowi znanemu jako Januszowski lub Januszowicz. Ów

Joannes Lazarides Janussovius, jak lubił się prezentować, niedawno wrócił ze studiów w Padwie, znał kilka języków, bywał na dworze cesarza Maksymiliana II i naszego Zygmunta Augusta. Sam dużo pisał i tłumaczył. Miał ambicję postawić drukarnię Łazarzową tak wysoko, by mogła z powodzeniem konkurować z zagranicznymi, i znając go, nie wątpiłem, że mu się to uda.

– *Salve*, Janku.

– Witaj, Kacprze – uścisnął mnie serdecznie; byliśmy równolatkami, znaliśmy się dobrze i lubili.

Z Żółkiewskim przywitał się bez uniżoności. Znał bowiem swą wartość, a sygnet rodzinnej drukarni, słup na podstawie z lilią na szczycie, na poły jeno żartobliwie obzywał swym herbem, Kłośnikiem. Sądząc po jego ambicji, wiedziałem, że w końcu dopnie swego i dostąpi uszlachcenia [45].

– Przybywasz jako druh czy klient, zali jedno i drugie?

Zachodziłem tu często po wykładach na pogwarki. Jan bowiem, prawy *helluo librorum*, był bibliofilem takim samym jak ja, a znacznie lepszym bibliografem. Przegadaliśmy (przy winie) o księgach niejedną wieczór, a nawet parę nocy; kupiłem u niego także wiele ksiąg do swych zbiorów.

– Tym razem jako inwestygator.

– Więc już wiesz – rzekł, nie okazując zaskoczenia. – A właśnie miałem po ciebie posłać.

– Wiem – potwierdziłem i pokazałem mu list z pogrózkami. – Też taki dostałeś?

Rzucił nań okiem pobieżnie.

– Owszem, alem go zaraz wyrzucił. Myślałem, żeście przybyli w sprawie zabójstwa...

Popatrzyliśmy ze Staszkiem po sobie. Wieści szybko się rozchodziły.

– To prawda. Doktor Janeczka został wczoraj znaleziony martwy w *Bibliothecae secretioris*, ale nie ustalono, zali to było zabójstwo, raczej...

– Toteż ja nie o tym – przerwał mi zdziwiony.

– A o czym? – teraz ja się zdziwiłem.

– O zabójstwie mego czeladnika, zecera Grzegorza Bryknera z Wrocławia. Przed pięcioma dniami miał odnieść oprawione księgi do Kolegium Większego, lecz ledwo wyszedł z drukarni, napadło go trzech żaków. Nie chciał im oddać sakwy, tedy jeden wydobył pistolet i ubił nieboraka na miejscu... A ksiąg i tak nie dostali, bośmy na krzyk Grzesia wybiegli na ulicę i przepędzili grasantów. Onegdaj pochowaliśmy chłopca.

Miał smutną minę, ale równocześnie zaciskał pięści, widać nie zamierzał darować mordercom.

– Czy jedną z owych ksiąg była może *Liber magnus*? – zgadywałem.

– Skąd wiesz?

– Bo profesor Janeczka miał ją przed skonem. A potem zniknęła.

– Dziwne – zmarszczył brwi. – Bo to on zlecił oprawę. A potem, gdy osobiście odniósł mu obie księgi do biblioteki, solennie przyrzekł, iż postara się odnaleźć na uniwersytecie sprawców mordu. Ale nie dał znaku życia... No, teraz to mi i nie dziwno. Myślisz, że jego śmierć i zabójstwo Grzegorza wiążą się ze sobą?

– Z pewnością. Skąd wiesz, że sprawcy mordu na chłopcu byli scholarami?

– Bo jednego chyba poznałem, raz kupował u mnie jakiś prawniczy traktat... Wysoki, bez zęba na przodzie.

– A drudzy?

– Drugich widziałem pierwszy raz. Ale jednego łącznie wytropić, bo ma brodawkę na nosie...

– To on! Ten sam! – wykrzyknął Staszek.

– Kto? – spytał Janek.

– Gracjalista doktora Janeczki. To i nie dziwota, że doktor nie mógł go znaleźć. Ponoć najciemniej pod latarnią – zadrwiłem.

– Profesor uniwersytetu i nic nieznaczący żak byli w zмовie? Nic nie pojmuję – poskarżył się Januszowski, patrząc na mnie bezradnie.

– Ja też nie – pocieszyłem go. – Ale jesteśmy na dobrej drodze. Myślę, że wszystko się ze sobą wiąże i pochwywszy nitkę, dojdziemy do kłębka. Czy to ci coś mówi? – wskazałem mu znak trzech pierścieni, czy też kół, pomieszczony w anonimowym ostrzeżeniu.

Tym razem przyjrzał się uważnie, nim oddał mi list.

– Nie. Ale nie dam się zastraszyć.

– Rodecki i Wirzbięta też tak mówili, a teraz jeden zgorzał ze szczętem i z torbami poszedł, drugiego z trudem ugaszono. Bibliopoli Królikowi skradziono cały nakład, a Kessner ledwo odparł napaść grasantów z kapturami na łbach – zauważyłem.

– Ja mam więcej ludzi do obrony – z dumą ogarnął ręką warsztat, gdzie kłębiło się od pracowników. – Zaś na noc podnajałem strażników.

– Chwalebna ostrożność – pochwalił Staszek. – Czy wolno oglądnąć drukarnię?

– Oczywiście – rozpromienił się Januszowski. – Rad waszmość oprowadzę.

Drukarnia Łazarzowa była jeszcze większa od tej Mikołaja Szarffenberga, miała na przykład w głównym gmachu aż dwie prasy, nieco podobne kształtem do szubienicy.

– Jak to działa? – dociekał Żółkiewski; wiedziałem, że korciło go zadać to pytanie już u Szarffenberga, a Janek rad spełnił jego życzenie, dumny ze swej „czarnej sztuki”.

– Hej, Pietrek, Kaźmierz, pokażcie wielmożnym panom, jak działa prasa.

Dwóch czeladników, zerkając na nas ciekawie, nie przerywając roboty, odsunęło się nieco, byśmy mogli wszystko dobrze widzieć. Jeden z nich na ruchomym blacie położył ramy z gotowym składem drukarskim, podsunął pod tłok, pokrył czcionki czernidłem za pomocą pokrytych skórą tamponów z włosia i przyłożył czystą kartę. Drugi zapał się oburącz za poziomy drąg uruchamiający śrubę tłoka i przyciągnął go do siebie z całej siły, raz, drugi i trzeci.

– Gotowe – rzekł drukarz, gdy uczeń odniósł zadrukowaną stronicę na stertę jej siostrzyc. – Pójdźmy dalej.

Idąc w głąb warsztatu, minęliśmy wnękę okienną, gdzie przy pulpicie siedział jakiś siwy brodacz pochylony nad księgą. Poznałem go, był to Jerzy Joachim Retyk, uczeń sławnego Copernicusa. On też mnie poznał, skinął ręką, po czym znów pograżył się w czytaniu. Szturchnąłem Staszka i objaśniłem go na ucho.

– Nie może być! – zawołał półgłosem.

– A jednak – uśmiechnął się Janek.

– Cóż taki uczony humanista tu robi?

– Dokonuje korekty. To wcale częsta praktyka. Dzięki temu uczeni mają trochę grosza, a my drukarze pewność, że robota jest rzetelna.

Przeszliśmy do osobnego pomieszczenia, gdzie unosił się zapach wyprawionej skóry i urzędował introligator z czeladnikiem i dwoma uczniami.

– To mój szwagier Gędzic – przedstawił go nam typograf. – To on oprawiał ostatnio owe księgi dla mistrza Janeczki.

Z ciekawością pochylił się, bo akurat oprawiacz za pomocą specjalnego tłoku wyciskał zdobienie na okładce obciążonej cielecą brunatną skórą.

– Stosujemy też wycisk złoty z użyciem zdobniczych palet – pochwalił się Januszowski. – Pracują dla mnie także złotnicy i kunsztmistrze, którzy rzeźżą stemple i formy, drzeworytnicy wykonujący ilustracje tudzież odlewacze czcionek. Zaraz pójdziemy do warsztatu gisera...

– Co to jest? – zaciekawiał się Staszek na widok ni to sakwy, ni okładki.

– Z niemiecka zwie się *Buchbeutel*, a po naszymu oprawa sakwowa – wyjaśnił introligator. – Na małe książki, najczęściej modlitewniki, takie jak ten tutaj. A robi się to tak. – Zademonstrował: – Dolny płat skóry przeciągam daleko poza kompaturkę. Po zamknięciu książki, sfałdowany i zawiązany na guz, pozwala na przytroczenie książki do pasa lub wygodne noszenie w ręku.

– Ciekawe...

– I wciąż modne, osobliwie u niewiast.

W pracowni gisera, która mieściła się w drugim domu na zadzi, Januszowski pokazał Staszce, bo dla mnie nie była to nowina, jak się odlewa czcionki. Na koniec rzekł:

– Niemcy mają okrągłą szwabachę lub swoje narodowe pismo, czyli ostro łamaną frakturę, druki łacińskie po staremu wykonywa się w antykwie, zalecanej przez humanistów. Pora obmyślić nasz polski narodowy charakter [46]. Znasz przecie panów Górnickiego i Kochanowskiego, miałeś mnie z nimi poznać – w ostatnich słowach zabrzmiał wyrzut.

Januszowskiego bardzo zajmowała kwestia ortografii polskiej i nowego pisma, zarówno prostego, jak pochyłego, i w rzeczy samej od dawna mnie molestował, bym go w tej sprawie poznał ze znakomitymi pisarzami, com mu i przyobiecał.

– Pamiętam, ale nie było sposobności. Z pewnością nadarzy się podczas koronacji.

– Trzymam cię za słowo – odparł. – I jak odnajdziesz zabójcę mojego chłopca, też daj mi znać. Koniecznie. Gotowym dobrze zapłacić.

Zmęczeni i głodni jak wilki udaliśmy się do domu na posiłek. Jedliśmy sami, bo ciotka źle się czuła i leżała w swojej izbie, a Janka miała o nią staranie. Zaraz po jedzeniu wstałem i nasadziłem czapkę.

– Co teraz? Idziemy gdzieś? – spytał Staszek z niezbyt szczęśliwą miną.

– Owszem.

– Dokąd?

– Zapomniałeś? Pora odwiedzić mojego znajomka facimiecha. Jeśliś zdrożony, zostań.

– Coś ty! – uderzył się w szablę u boku. – Jeśli idzie o awanturę, na mnie jako na Zawiszy.

Musiąłem przyznać, że choć, gdyby nie wąs, patrzyłby na pannę, Stachnik był o wiele prędszy do bitki od Sępa, co i nie dziwota, bo tamten wszak służył Apollinowi i Kaliope, a ten chciał zostać sługą Marsa i Bellony. No i wyszliśmy razem w coraz gorszą zawieję, niechybnie zwiastującą nadejście zimy. Z ulgą wpadliśmy do obszernej sieni *contubernium* Isnera *vel* Bursy Ubogich.

Brama była otwarta, bowiem zamykano ją w lecie godzinę po zachodzie słońca, a w zimie – trzy godziny. Gdyśmy do niej dochodzili, ze środka wybiegło dwóch ludzi. Przebiegli mimo nas. Mieli wysoko postawione kołnierze i czapki głęboko nasunięte na twarze. Jeden był wyższy, i ten wydał mi się znajomy, drugi niższy. Nikt ich nie gonił. Przeszliśmy przez frontową część, Bursę Bogatych, zamieszkaną przez scholarów, których stać było na ogrzewane izby, lepsze jadlo, służących, a nawet własnego krawca na miejscu, choć wzbraniały tego statuty. Ale dziś w bursach scholarzy ponoć łamali wszelkie prawa, a uniwersytet zmienił się w istną „jaskinię łotrowską”, która niepokojem i lękiem napęniała cały Kraków i do której rodziciele bali się zapisywać swych synów.

Znałem już drogę, więc wyszliśmy na zadź domu, kierując się do Bursy Ubogich i komory Spytka facimiecha na poddaszu.

– Coś tu pusto – zauważył Żółkiewski, bo w samej rzeczy, na korytarzach nie spotkaliśmy nikogo, a drzwi do komór były pozawierane, acz na zamki tak liche, że można je było otworzyć choćby nożem.

– Są na wieczyry. Widocznie nasz *fur* chciał się z nami rozmówić w spokoju, nawet kosztem pustego żywotu. Odbije to sobie później w czwórmasób za pieniądze, które dla niego mam.

Bursacy jadali pospołu w izbie wspólnej dwakroć dziennie, po wykładach o jedenastej, w czasie przerwy w zajęciach na uniwersytecie, i o szóstej wieczorem, po powrocie z ćwiczeń i konwersatoriów. Powiadał mi Antek, że stawiennictwo na posiłkach było obowiązkowe, a stołowanie na mieście – wzbronione. Tylko ubodzy

żaczkowie, prawi pauperzy, z kilkunastu szkół parafialnych w mieście, *scholares mendicantes*, czyli mendykowie, w południe i pod wieczór mogli żebrać o jadło u mieszczek po domach w obrębie swojej parafii. Zaś najubożsi z ubogich mieli przytulisko w szpitalu żakowskim Świętego Rocha, obok szpitala Świętego Ducha.

Przed jedzeniem odmawiano modlitwę, a w trakcie lektor czytał Biblię. Zasiadano do stołu wedle starszeństwa zasiedzenia w *contubernium*, żacy ubożsi stali z boku i usługiwali bogatszym, jeśli byli ich opłacanymi sługami. Nad porządkiem nie tylko podczas posiłków, lecz w całej bursie, czuwał senior, młody magister z Collegium Minus, wyznaczony przez zgromadzenie doktorów i mistrzów. Nad nim zaś stał wyznaczony przez rektora lub biskupa prowizor, ale on nie mieszkał w bursie i miał pod opieką kilka kontuberniów.

Ledwo to powiedziałem, gdy zadźwięczał dzwonek, który regulował życie scholarów w bursie tak jak podczas zajęć na uniwersytecie, i zaraz posłyszeliśmy szum za plecami, po czym zalała nas fala rozdokazywanej młodzieży. Któryś stanął jak wryty i jął się na nas gapić jak sroka w gnat, aż drugi wpadł na niego i obalił na podłogę.

– Zważ, jak chodzisz, baranie!

– Baranie? I kto to mówi! – odciął się tamten i zanucił:

Dico vobis rite, fugite consortium Mazovite,

Quia fraus et invidia regnat in Mazovia! [47]

– Ha, ha! – roześmiał się ktoś. – Czy to Judasz, czyli drugi z apostołów był posłan do nawracania Mazurów? Mazovita psia lelita!

– Żyd! Zrodzon *de culo Pilati!* – wrzasnął jeszcze inny, doskakując do wesołka.

– Boćwina! *Beanus!*

– Sameś bean! I *fur*, i *filius meretricis* zarazem!

– Odszczekaj to!

– Czort za Iwanem, Mazur za Mazurem! – krzyknął kolejny, włączając się do kłótni, a następny jął przedrzeźniać, naśladowując mazurzenie: – Stank, penk, mienk, pock, tutka, sieno, topka!

I wszyscy pospołu wzięli się za łby, po czym kolejni dołączali do kłębówiska, aż rozgorzała bijatyka na całego. Pociągnąłem Zuba na bok.

– O co im idzie? – spytał oszołomiony.

– O nic. Jak świat światem zawsze wszyscy śmiali się z Mazurów, z ich mowy i przysłowiowej prostoty, szczególnie Litwini. Kiedyś Polacy kłócili się z Węgrami, a zwłaszcza z Niemcami, lecz już ich nie masz. O, Antoś! – ucieszyłem się na widok przyjaciela. – Jeszcze tutaj?

– Ostatnią noc – odparł. – Jutro przenoszę się do kolegium. Wy do mnie?

– Do Spytka z Prokocimia.

– Znowu coś nabroił? Chyba go nie ma, bo nie stawiał się na wieczerzę.

– Byliśmy umówieni, czeka na nas.

– No to powodzenia.

Drzwi do komory były uchylone, weszliśmy bez pukania. Wyczułem dziwny zapach, którego początkowo nie mogłem określić. Facimiech leżał na pryczy na boku, zwrócony twarzą do ściany, a jego towarzysz czytał coś przy świetle kaganka.

– Maciek! Góra z górą... – wykrzyknąłem zaskoczony, poznając ucznia czarnoksiężnika Twardowskiego, który legatem zostawił mu zadaną sumkę pod warunkiem podjęcia studiów na akademii.

– Kacper! – zerwał się z miejsca i przybiegł mnie uściskać. – Śpi jak zabity – wskazał głową leżącego. – Mówił, że przyjdiesz. Nie zszedł nawet na wieczerzę, na karę się narażając, a teraz zasnął.

– Zdarza się – rzekłem i postąpiłem ku łożu, szarpiąc śpiącego za ramię.

Opadło bezwładnie. Przewróciłem fura na wznak. Staszek Żółkiewski głośno zassał powietrze.

– Co jest? – Maciek, który wrócił do czytania, podniósł wzrok znad książki.

– Dobrześ rzekł. Śpi jak trup – powiedziałem. – Podejdź sam, Maćku.

Podszedł i zamarł.

– Jezus Maria...

Ktoś wbił łotrykowi sztylet w wątpia tak głęboko, że wystawała tylko rękojeść. Wyciekło tyle krwi, iż na posłaniu utworzyła się kałuża, połyskująca w resztkę dziennego światła i marnym płomieniu kaganka.

– Weź się w garść – szorstko zwróciłem się do chłopaka, który wyglądał, jakby nie mógł zdecydować, czy się rozplakać, czy zemdleć, czy zwomitować. – Znasz Antka z Mogilan? Studiuje teologię. Tak? To pójdz po niego. Tylko nikomu drugiemu ani słowa! I przynieście więcej światła.

Czekaliśmy w milczeniu. Nie pozwoliłem Staszce niczego dotykać.

– Zamknijcie drzwi – poleciłem wchodzącym.

Kiedy chłopiec odpalał od kaganka przyniesione świece, Antek stał nieruchomo, patrząc tępo na trupa i przełykając ślinę.

– Nie żyje?

– Z pewnością – odparłem.

– Kiedy to się stało?

– Niedawno. Jest jeszcze ciepły, a krew nie zastygła całkiem.

– Sam się zabił czy ktoś mu pomógł?

– Nie wiem. Nie ruszałem go. Poświećcie mi.

– On się śmieje! – zawołał wstrząśnięty Maciek.

Była to prawda. W jasnym świetle trup szczyrzył do nas zęby w upiornym uśmiechu, tym okropniejszym, że płomienie świec odbijały się w martwych oczach, nadając im pozór życia.

– Nie umarł od razu – rzekłem, patrząc na ścianę za łóżkiem.

– Skąd wiesz? – zaciekawiał się Stachnik.

– Stąd – wskazałem palcem. – Próbował coś napisać.

Zapisane krwią, widniały na brudnobiałym murze trzy litery: CHR...

– To może znaczyć, że w ostatniej chwili myślał o Chrystusie – powiedział Antek.

– I dlatego się uśmiecha; wiedział, że idzie do Niego.

– Toć samobójcy są potępieni i idą do piekła – wtrącił przytomnie Maciek.

– A może nawrócił się u schyłku żywota i chciał pogodzić z Panem? – trzymał się swojej wersji Antek, jak przystało na teologa.

– Albo pragnął wyjawić imię morderza? – zauważył Staszek. – I dlatego się uśmiecha, mniemając, iż splątał psikusa zabójcy.

Ciekawa myśl. Spojrzałem nań z uznaniem. Takiego pomocnika było mi trzeba. Wyszarpnąłem sztylet, który wyszedł z obrzydliwym mlaśnięciem, i rzuciłem go na posłanie.

– Poznajecie?

– Tak. To jego – stwierdził Maciek.

– Mniemałem, że nie lza w bursie trzymać broni? – zdziwiłem się.

– Bo nie – odparł Antek. – Wolno mieć przy sobie jedynie nożyk do strugania piór i nóż stołowy, broń zaś należy złożyć u seniora, w jego izbie, i przysiąc na krucyfiks lub Ewangelię, że nie ma drugiej okrom tej, którą się zdało.

– Widać nieboszczyk do przysięg wielkiej wagi nie przykładał – zadrwił Żółkiewski.

– To prawda, nie był to przyjemny żak, prędzej *nequam* – westchnął Antek. – Mało go znałem, alem dużo o nim słyszał i stykał częściej, niż bym chciał. Nie on jeden nosił przy sobie broń mimo zakazów, bo wielu tak czyni, a są tacy ostatnimi czasy, co mają nawet pistolce i używają przeciw obcym, albo i kolegom... Ale ten – wskazał trupa – przynosił wstyd uniwersytetowi i bursie. Nie było takiego łotrostwa, którego by nie popełnił, począwszy od drobnych sprawek, po grube przewiny. – Zaczął wyliczać na palcach: – Przez dwanaście godzin, od południa do pójścia spać, żakom w bursie wolno mówić tylko po łacinie, zarówno w komorach, jak i w izbie wspólnej, inaczej młodszy biorą różgi, starsi płacą po denarze. Ów zaś nie dość, że gadał jeno po naszemu, o czym donosili *scriptores* potajemnie wyznaczeni do tego przez seniora, a nie wiem, czy w ogóle znał łacinę, to płacić też nie chciał. Od czytania lekcji stale się wymigiwał. Nie uczestniczył w repetytoriach ani sobotnich dysputach, *actus disputationis*, prowadzonych przez seniora. Często włóczył się nocami, grał w karty, awanturował po szynkach, nie płacił długów, były nań skargi od szynkarza „U Medyka”. – Drzewiej winiarnia w piwnicy u Jana Medyka, na Wiślniej naprzeciw Bursy Ubogich, cieszyła się wśród scholarów, osobliwie Madziarów, największym powodzeniem, i nadal tak było, a nawet została stara nazwa. – Nieraz pijany wracał do bursy. Choć z niewiastą, którym wstęp do bursy jest wzbroniony, można rozmawiać jeno w drzwiach otwartych i w przytomności osoby trzeciej, owego dwakroć przyłapano na wciąganiu do bursy przez okno dziewczek wszetecznych. Z dispensatorem, czyli szafarzem, który zdybał go na ściąganiu spyży ze spizami,

awanturował się nieustannie o podział porcyj mięsa podczas wspólnych posiłków. Kilkakroć był oskarżony o kradzież książek, znajdujących potem u Żydów na Tandecie, szatek i drobnych sum, które ginęły scholarom z komór. Zresztą widziałeś drzwi, byle czym można je otworzyć. Podejrzewano go o włamanie do kiesy bursowej w izbie seniora, ale niczego mu nie udowodniono, zawsze jakoś się sianem wykręcił. Wiesz co – zaczerpnął tchu – ja to nawet wątpię, czy on w ogóle był scholarem, czy się kiedykolwiek immatrykulował i opłacił chesne...

– Nie opłacił – wtrącił Maciek. – To był wagus *alias* wałkoń.

– Kto? – spytał Staszek.

– Taki, co mieszka w bursie, nie będąc scholarem.

– Jak to możliwe?

– Wystarczy zapłacić seniorowi bursy odpowiednie poczesne – rzekł Antek ponurym głosem. – Do powinności seniora należy bowiem znajdowanie i usuwanie wagusów, mimo to Spytka nigdy z bursy nie wyrzucono. Ba, nie uczynił tego nawet prowizor, który raz na pół roku wizytuje bursy. Wygląda na to, że nieboszczyk sownie opłacał swoją bezkarność i dlatego robił, co chciał. Znając co nieco naszego seniora, magistra Benedykta Kotarskiego, nie dziwne by mi to było – dodał z goryczą.

– Nie płacił mu. Miał go w garści – znów wtrącił Maciek. – Kiedyś przyłapał seniora w izbie z niewiastą. Nie wydał go, ale dobrze znał tę wszetecznicę, chyba sam mu ją zresztą podsunął, i w każdej chwili mógł nakłonić do delacji, a wtedy magister z hukiem i w niesławie byłby zdjęty ze stanowiska, a może nawet usunięty z kolegium, zwłaszcza że ponoć nadal ją u siebie lada kiedy podejmuje.

– Znałeś dobrze nieboszczyka? – spytałem, nieco zdumiony, bom go nie podejrzewałem o takie znajomości.

– Wcale. Immatrykulowałem się na świętego Łukasza. Jestem tu ledwie od miesiąca – odparł. Rok akademicki zaczynał się w październiku, kończył we wrześniu i dzielił na dwa półrocza: zimowe po świętym Łukaszu i letnie po świętym Marku. – Ale chełpił się tym. Był dumny ze swego sprytu.

– Póty dzban mleko nosił, póki się ucho nie urwało – mruknąłem. – Nasz nieświętej pamięci przyjaciel przebrał miarę. A ty skąd tak dużo wiesz o nim, skoro też go nie znałeś? – zagadnąłem Antka.

– Bo w ubiegłym półroczu byłem jednym z dwóch konsyliarzy *alias* rajców wybranych przez bursaków ku pomocy seniorowi – rzekł. – Co sobota spotykaliśmy się z seniorem odprawować sądy domowe w lżejszych występkach i rzadko bywało, by się o jego – machnął w stronę trupa – sprawkach nie gadało.

– Zatem chyba czas tu ściągnąć seniora? – zaproponowałem.

– Chyba tak... Ta śmierć kwalifikuje się do spraw „dochodzonych z urzędu”. Senior, jako *instigator officii*, będzie ją musiał przedstawić rektorowi.

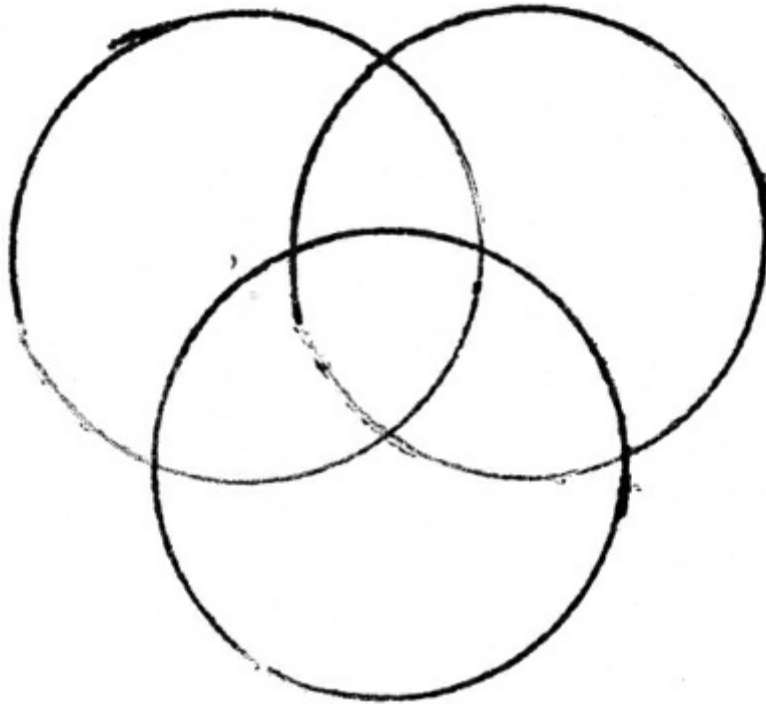
– Maćku, bądź tak dobry...

Wybiegł ochoczo, zanim dokończyłem. Ledwie zniknął, podskoczyłem ku

zmarłemu i odsunąłem rękaw jego kaftana.

– Patrzcie – przyświeciłem. – *Ecce signum* [48].

Pochylili się. I zobaczyli to, co ja przedtem. Znak na nadgarstku nieboszczyka, przedstawiający trzy złączone pierścienie.



– Przebóg! – westchnął Staszek. – Takież jak na listach z pogrózkami!

– Yhm – mruknąłem. – I jak początek rysunku, którego nie zdążył do końca wydrapać profesor Janeczka.

– O tym nie pomyślałem! – zdumiał się.

– O czym wy powiadacie?! – Antek spoglądał na nas zdezorientowany.

– Jutro ci wytłumaczę – powiedziałem. – Masz być serwitorem doktora Marencjusza? No to i tak się spotkamy.

– To nie jest wypalone – stwierdził Staszek, przyglądając się *signum* uważnie.

– Nie – odparłem. – Wyklute i napuszczone siłą farbą. Widziałeś już coś podobnego? – spytałem Antosia.

– Nigdy.

– Ty nie, ale kto drugi może tak. Dlatego nikomu ani słowa – z powrotem nasunąłem rękaw tak, że zakrywał znak.

Ledwo skończyłem, gdy wszedł Maciek, a za nim magister Kotarski. Był to blady trzydziestolatek, na którego krostowatej twarzy walczyły o lepsze niepokój i zadowolenie. Jedno i drugie mogłem zrozumieć. Jako senior bursy był jej

gospodarzem, stróżem, przyjmował nowicjuszy, wyznaczał miejsca (za łapówki te lepsze), a także odpowiadał za bursarzy, dzierżył klucze od bramy i nikt nie mógł opuścić budynku bez jego wiedzy. Sprawdzał także czystość w izbach i kontrolował uczęszczanie bursaków na przewidziane dla nich zajęcia. Miał furę turbacji, a w zamian uposażenie czterech grzywien rocznie i jednego grosza od każdego lokatora.

Śmierć Spytka z Prokocimia była więc dlań kłopotem, lecz z drugiej strony wyzwoleniem. Bo gdyby sprawa z nierządnicą się wydała albo, co jeszcze gorsze, gdyby magister dał się przyłapać scholarom na porubstwie, mogła wybuchnąć awantura trudna do imaginacji. Żakom, zwłaszcza w obecnej dobie, niewiele trzeba było do wywołania tumultu. Już raz zatarg scholarów z nierządnicą spowodował w czterdziestym dziewiątym niesławne rozproszenie, czyli *exodus* żaków z Krakowa, po którym uniwersytet podupadł i już się nie podźwignął. *Notabene* ta, która ową sprawę wywołała, małpa Julianna, namówiła potem niejaką Reginę do zamordowania matki, Strzelimuchy. Za czym Reginę jako matkobójczynię zaszyto w skórzany sak i utopiono w Wiśle, zaś Juliannę rozpalonymi cęgami rozdarto na sztuki, a szczątki też ciśnięto do Wisły.

– Jak umarł? – spytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – I kiedy?

– Od pchnięcia nożem w żywot – odparłem. – Może przed godziną, nie później. Zapewne podczas gdy pozostali spożywali wieczerzę. Ciało jeszcze całkiem nie wystygło, choć zimno tu jak w psiarni – wzdrygnąłem się.

– A ty kto? Nie znam cię – zwrócił się do mnie ostrym tonem. – Ciebie też – rzucił w kierunku Stachnika.

– Ryx. Kacper Ryx, inwestygator królewski, a także magister *artium* jako i wy, do tego studiujący medycynę. A to urodzony pan Stanisław Żółkiewski herbu Lubicz.

Zmieszał się i od razu spokorniał.

– Ten sam Ryx, co odzyskał skradzioną pieczęć królewską? A cóż tu spowodowało tak dostojnych gości?

– Mieliśmy sprawę do niego – pokazałem trupa. – Ale spotkała nas niemiła siurpryza.

– Zabit czy sam sobie śmierć zadał? – spytał, obrzucając nieboszczyka jawnie usatysfakcjonowanym spojrzeniem.

– Nie wiadomo – odparłem. – Na dwoje babka wróżyła.

– Jak to?

– A tak. Z jakiejś nieznaney przyczyny mógł sam się pchnąć własnym sztyletem, a potem próbował coś pisać krwią na ścianie, może do Chrystusa – pokazałem mu trzy krwawe buksztaby, już zbrązowiałe – ale...

– Ale? – podchwycił.

– Ale samobójcy raczej piszą listy przed zadaniem sobie śmierci, a nie po. Ktoś równie dobrze mógł mu wyrwać sztylet zza pasa i przebić go własną bronią, on zaś ostatkiem sił próbował naprowadzić na trop mordercy, jak to wywiódł mój towarzysz

i pomocnik – oddałem Staszкови co jego.

– A waszmość, ku której wersji się skłaniasz? – dociekał senior.

– Ku drugiej. Nie znam powodu, dla którego miałby sam się zabić, wiem za to, że miał mi coś ważnego do powiedzenia, za co spodziewał się wziąć dziesięć dukatów. Śmierć zamknęła mu usta, co dla kogoś zapewne jest wielce dogodnie. Mógł go zabić ktoś tutejszy...

– Jeśli to się stało podczas wieczery, to nie mógł. Okrom Spytka nikogo u stołu nie brakowało – przerwał mi stanowczo.

– ... albo ktoś z zewnątrz. Optuję za tym ostatnim, jako że idąc tu, minęliśmy się w bramie z dwoma ludźmi, którym się bardzo spieszyło.

– Poznałeś ich waszmość?

– Nie.

– I pewnie nikt inny okrom was ich nie widział? Czemu zatem mieliby być bardziej podejrzani niż wy? – spojrzał na mnie z chytrym uśmieszkiem.

– Nie bądź durniem, mistrzu – zgasilem go. – Bo się obrazimy. Albo wytkniemy ci, że ponoć ty sam miałbyś dobry powód, by się go pozbyć.

– Ktoś łże jak pies! – zawołał, ale wyglądał na dobrze wystraszonego. – Nadto mam przeszło pięćdziesięciu świadków, żem ani na chwilę nie opuszczał izby wspólnej...

– Mogłeś kogoś podnając do mokrej roboty – nie miałem dla niego litości. – Nie mówiąc o tym, że nieboszczyk nie miał prawa nosić przy sobie sztyletu i ty za to odpowiadasz. Zamiast więc głupio gadać, lepiej powiadom prowizora albo od razu rektora. Już oni będą wiedzieli, co począć dalej. A w razie czego odnajdą mnie bez trudu.

Ignorując Kotarskiego, skinąłem Antkowi, kiwnąłem Maćkowi i dałem znak Staszкови, po czym obaj opuściliśmy niegościnne progi.

– Dlaczego nie chciałeś, żeby tamci zobaczyli *signum* na ręce tego fura? – zaciekał się Stachnik.

– Pomyśl: z biblioteki uniwersyteckiej giną księgi, a umierający profesor próbuje wyskrobać trzy koła; takież znak odnajdujemy na listach z pogrózkami, które dostali wszyscy albo prawie wszyscy *bibliopolae* i typografowie w Krakowie; wreszcie identyczne *signum*, siną farbą kłwane, ma na przedramieniu człek, którego, w co nie wątpię, zamordowano, by nie wydał nam tego, co wiedział o tej sprawie. Tuszę, iż mamy do czynienia z jakąś partią, która wszędy może mieć swoich ludzi, tedy lepiej się publicznie nie obnosić z tym, co już wiemy. Maćka znam dobrze i ufam mu, nie ma też znaku na ręce, lecz i tak wolę chuchać na zimne.

– Mniemasz, że w bursie ktoś jeszcze może należeć do owej partii?

– Na pewno, skoro Spytka do niej należał.

– I to jednak bursacy go zabili?

– Prędzej ci dwaj, z którymi się minęliśmy.

– A skąd wiedzieli, że będzie sam w izbie?

– Widać dobrze znali obyczaje panujące w bursie i mieli pewność, że pozostali bursarze akurat wieczerzają. A poza tym pewnie nie pierwszy raz się z nimi spotykał o tej porze i w tym miejscu.

– Ale czemu go zabili?

– Myślę, że ktoś nas widział rozmawiających z nim wczoraj na ulicy, a może nawet podsłuchał. Pamiętasz, jak Spytek rozglądał się wokół niespokojnie? Widocznie jednak był mniej ostrożny niż chciwy i to go zgubiło.

– A co teraz?

– Teraz możesz wrócić do dom.

– A ty?

– A ja idę do Collegium Maius.

– To ja z tobą.

– Ale mogę tam zabawić do północy, albo i dłużej.

– Nie szkodzi.

– *Ubi tu Gaius, ego Gaia* [49]? – zażartowałem, za późno sobie przypominając, jaki jest drażliwy.

Już myślałem, że się obrazi, ale tylko dał mi kuksańca i rzekł:

– Prowadź, wodzu. A na dał wiedz, że powinno być: *Ubi tu Gaius, ibi ego Gaia*.

– Tak i tak jest dobrze – tego akurat byłem pewny.

– Ja tam wiem swoje – odparł nieco wyniośle, cały Stachnik.

Po drodze wstąpiliśmy naprzeciwko do winiarni „U Medyka” po zaopatrzenie i zaraz potem pospieszyliśmy do Collegium Maius. Mieliśmy szczęście, że brama była jeszcze otwarta, acz bedele kręcili nosem na naszą wizytę. Przecieliśmy pusty i ciemny dziedziniec, wstępując na schody wiodące na ganek. Panowała cisza i spokój jakmiarz klasztorny. Bo też kolegiaci, pod groźbą kar pieniężnych i usunięcia z kolegium, żyli niemal jak mnisi. Co prawda słyszałem, że i tu ostatnio dyscyplina szwankowała, ale to i tak nic wobec profesorów z Kolegium Mniejszego. Tam ponoć codziennie wybuchały awantury. Wzajemne obelgi, złośliwe paszkwilusy przybijane na drzwiach do izb, bójki z użyciem kordów były na porządku dziennym, a nocnym – włóczęstwo po tawernach, pijaństwo i dziewczki wszeteczne.

– Co tak późno? – marudził na powitanie mistrz Marencjusz, gdyśmy go odszukali. – Zaraz zawrą bramę i będę musiał iść po klucz do prowizora...

– Coś nas zatrzymało – burknął mało uprzejmie Staszek; rozumiałem go, cały boży dzień uganiał się we wspólnej sprawie, tymczasem spotkało nas niezbyt miłe przyjęcie.

– Co?

– Nic takiego. Mord.

– Albo samobójstwo – sprostowałem dla porządku. – Tak czy owak mamy już dwa trupy w dwa dni, nie licząc zastrzelonego niedawno zecera, a końca sprawy nie

widać. W takim tempie, nim skończymy, braknie miejsca na krakowskich cmentarzach.

– Opowiadajcie – rzekł, wskazując niewygodne zydle przy ławie.

– Pijasz wino, mistrzu? – spytałem, wiedząc, że profesorowie jadają skromnie, a dobre trunki widzą tylko od święta albo gdy znajdzie się szczodry fundator. – Bo jeśli masz szkło, to reszta się znajdzie – rozpinając kubrak, wyjąłem zza pazuchy dwie flaszki. – Muszkatel z Macedonii i rakuskie, do wyboru. Nie wiedzieliśmy, w jakim gustujesz.

Zatem zwilżając od czasu do czasu gardło, opowiedzieliśmy bibliotekarzowi, czegośmy się dziś dowiedzieli, tym razem niczego nie tając.

– Spotkałeś się kiedy, mistrzu, z takowym *signum*? – umoczonym w winie palcem narysowałem na blacie stołu trzy splecione koła.

– Nigdy – odparł stanowczo, jednak po niemal niedostrzegalnej chwili wahania.

Po tym poznałem, że łgał. Ale czemu?

– Szkoda – odparłem, nic nie dając po sobie poznać. – Czy izba mistrza Janeczki jest już zajęta przez drugiego kolegiatusa?

– Jeszcze nie, a dlaczego pytasz? – w połowie drugiej flaszki był o wiele przyjemniejszy, co nie znaczy, że mu się rozwiązał język; coś przed nami skrywał, tylko co?

– Bo chciałbym ją dokładnie spenetrować.

– Po co?

– Bo mam przeczucie, że owe zaginione księgi wciąż tam są.

– W takim razie – rzekł po chwili milczenia – zaczekajcie. Pójdę po klucze, a przy okazji uwiadomię mistrza Glicjusza o waszym przybyciu i o tym, czegoście się dowiedzieli.

Nie spieszył się jednak aż tak, by nie wychylić z nami ostatniej szklanicy. Dopiero potem poszedł i dość długo nie wracał. Widać mieli dużo do omówienia.

– Chodźmy – rzekł po powrocie. – Mistrz Glicjusz przyjdzie później.

Wyszliśmy na ganek, potem wąskimi schodami wyżej, na drugie piętro. Najwidoczniej doktor Janeczka, choć w przeszłości był rektorem, ostatnio spadł w uniwersyteckiej hierarchii, zaś jeszcze młody Marencjusz szedł w górę, skoro tamten mieszkał na drugiej, a ten na pierwszej kondygnacji. Pomocnik bibliotekarza otworzył drzwi do mieszkania swego poprzednika, zapalił świecę i postawił na stole. Rozejrzeliśmy się po małej izbie.

– Wedle mnie było tak – zacząłem. – Z jakichś powodów mistrz Janeczka potajemnie wynosił z librarii zakazane księgi i gromadził je u siebie, po czym jego gracjalista przemycał owe poza kolegium. Nie mam pewności, dlaczego to czynili, ale dałbym sobie obciąć paznokiec, że ów sługa ma trzy koła na nadgarstku wykłute. Dalej: mistrz Glicjusz, *procurator bibliothecae*, za pośrednictwem mistrza Janeczki powierzył typografowi Januszowskiemu oprawę dwóch najgłośniejszych dzieł z sekretnej księżnicy. Czeladnik zecerski, który miał odnieść oprawione wolumeny,

zginął zastrzelony przez grasantów, którym jednak nie udało się zagarnąć ksiąg. Januszowski osobiście zwrócił owe do biblioteki, może przy jakimś świadku. I znów trzeba je było zabrać z *Bibliothecae secretioris*. Ale wówczas niespodziewanie zjawił się mistrz Glicjusz, więc wystraszony doktor Janeczka schował się z księgami do skrzyni, po czym umarł nagle, w ostatnim skurczu wsuwając dłoń pod okładkę i zaciskając palce na pierwszej karcie. Kiedy profesor Glicjusz po półgodzinie opuścił bibliotekę, graczalista doktora Janeczki zabrał księgi ze skrzyni, a nazajutrz, fortunnie przedostawszy się do izby doktora, usiłował przez okno spuścić skradzione księgi swemu kompanowi czekającemu na ulicy. Ale nie udało mu się to, gdyż został spłoszony przez ciebie, mistrzu – skłoniłem się Marencjuszowi – i musiał porzucić łup, ledwo samemu salwując się ucieczką przez okno. Jednak owych dwóch ksiąg nie znaleźliśmy. *Ergo* jaki stąd wniosek? Jeśli nie zrzucił ich tuż przed twym nadejściem i jeżeli nie tyś, mistrzu, z sobie tylko wiadomych powodów, ukrył rzeczony księgi – pomocnik bibliotekarza aż pokraśniał, po części z wypitego wina, po części z oburzenia – tedy uczynił to graczalista.

– Gdzie? – spytał od progu bibliotekarz, który od dłuższej chwili przysłuchiwał się moim wywodom. – Przecie przetrząsnęliśmy już tutaj wszystkie kąty.

– A jednak czuję, że muszą tu gdzieś być. Miał mało czasu, chwilę zaledwie – dumalem na głos, rozglądając się pilnie.

W końcu podszedłem do łóżka, odrzuciłem posłanie, następnie szarpnąłem siennik i odwaliłem go na bok.

– Oto macie.

Na gołych deskach leżały dwie księgi. Odwróciłem okładkę większej z nich. Brakowało połowy pierwszej karty, na pozostałym kęsie widniał napis: „LIBER M...”. Co prawda byłem do tego przyzwyczajony, ponadto od lat ćwiczyłem się w cnotie skromności, ale gdybym rzekł, iż wyraz podziwu malujący się na twarzach moich trzech towarzyszy był mi niemiły, skłamałbym. A łgarstwo to grzech, którym się brzydzę. Wyjąwszy wyższą konieczność, rzecz jasna.

Glicjusz, tuląc do piersi swe odzyskane zguby i widząc, że nie ruszam się do wyjścia, zapytał:

– Coś jeszcze, mistrzu Ryksie?

– Tak, profesorze. Zakładam, iż *fur* zechce tu wrócić, aby odzyskać zdobycz. Musi się spieszyć, zanim nowy kolegiatus zajmie izbę. Minionej nocy był pewnie zbyt wystraszony, za dnia też się nie powazył, choć ma klucz, tedy mniemam, iż popróbuje tej nocy. Celowo przybyliśmy tu zatem tak późną porą, aby nań zapolować.

W tej chwili zabrzmiał zegar na wieży ratuszowej i trębacz zaczął wygrywać hejnał.

– Zaraz bedele zamkną bramę – zauważył Marencjusz.

– Tedy tylko go czekać, jeśli imć Ryx się nie myli – dodał Glicjusz. – Zapolujemy na niego społem.

– Wybornie, czuję się jak prawy *speculatorius* – ucieszył się Żółkiewski, sprawdzając, czy szabla łatwo wychodzi z pochwy.

– *Speculator* albo *speculabundus*, nie *speculatorius* – zemścił się Glicjusz i tym razem to Staszek pokraśniał na licu.

– Może uchylimy lekko okno? Na zanętę – zaproponował Marencjusz.

– Nie, bo gotów nabrać podejrzeń – zaoponowałem. – Trzeba zamknąć i okno, i drzwi, bo nie wiada, którędy przyjdzie. – Osobiście także uważałem, że nadejdzie od zewnątrz, i byłem ciekaw, jak się do tego zabierze. – I ani mru-mru, aż podejdzie do łoża. Wtedy ja się na niego rzucę, pan Żółkiewski odetnie od okna, a waszmościowie od drzwi.

Zatem zamknęliśmy się na cztery spusty, zgasiliśmy światło i schowani w kącie za na powrót doprowadzonym do porządku łożem, dokąd nie docierała księżycowa poświata – mizerna przy tej pogodzie, lecz zawždy – jęliśmy czekać. Jak każde czekanie, i to dłużyło się w nieskończoność, a wszystkie członki złośliwie dawały o sobie znać, że o pęcherzu nie wspomnę. Właśnie zaczynałem żałować, że nie kupiłem „U Medyka” trzech, a nie dwóch flaszek, gdy wtem za oknem posłyszeliśmy brzęk. Staszek drgnął, ałem mu położył dłoń na ramieniu uspokajająco i przyłożyłem palec do ust. Na tle jaśniejszej plamy okna pojawiła się dyndająca lina, a ja przypomniałem sobie, iż akurat nad tym oknem zbiegają się dwie połacie dachu i wystaje rzygacz, i pojąłem, że ów dźwięk powstał, gdy wyrzucony z liną uwiązany do niej hak zaczepił się o gargulca. Złodziej musiał być zręczny, skoro udało mu się to za pierwszym razem, i silny, by wyrzucić ciężki powróż z nielekkim hakiem na tak znaczną wysokość. A także śmiały i zdecydowany na azard, bo nie miał żadnej gwarancji, że rzygacz go utrzyma. Jako i wkrótce jego cień przesłonił okno, a ja przypomniałem sobie czasy, gdym wiódł żywot na dyszlu i wałęsał się w trupie linoskoków i kuglarzy. Gracjalista mistrza Janeczki, jeśli to on, był dobry, musiałem to przyznać, a znałem się na tym trochę. Odbił się lekko nogami od muru, po czym wyrzucił je naprzód i z rozpędu napał na okno, wpychając obie kwatery do środka, samemu zgrabnie stając na parapecie. Wypuścił z rąk linę i już miał zeskoczyć do izby, gdy wtem rozległ się stuk, który w panującej ciszy i napięciu zabrzmiał niby wystrzał.

Natychmiast rzuciłem się ku oknu, lecz włamywacz nie zaczekał na mnie. Błyskawicznie odwrócił się i skoczył naprzód, w powietrzu łapiąc linę, po której zręcznie i szybko ześliznął się na tret. Kiedym się wychylił, ujrzałem to samo, co Marencjusz wczoraj – dwie czarne sylwetki, większą i mniejszą, szybko niknące w panujących ciemnościach. Pochwyciłem rozkołysaną linę, uciałem ją na wszelki wypadek tak wysoko, jak poradziłem sięgnąć, i wciągnąłem do środka. Gdym zamknął okno, Staszek już zdążył zapalić świece, a Glicjusz schylał się po księgę.

– Wybaczcie. Wyśliznęła mi się – powiedział.

Marencjusz unikał mego spojrzenia, natomiast Żółkiewski już otwierał usta, ale znacząco nadepnąłem mu na stopę, by milczał, i rzekłem lekkim tonem:

– Trudno. Jeśli wypadkiem kiedy go odnajdę, dam waszmościom znać.

– Będziemy radzi – skwapliwie odparł Marencjusz.

– Już jesteśmy radzi – wtrącił gładko Glicjusz – z pośpiechu i sposobu, w jaki rozwikłałeś tę trudną sprawę, mości Ryksie. Właściwie wszystko jasne; wiemy, jak umarł doktor Janeczka, i odzyskaliśmy skradzione bez jego wiedzy – trzy ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem – księgi. Wspomnę o tobie rektorowi, synu, a on osobiście ci podziękuje za twoje staranie. Wielmożnemu panu Żółkiewskiemu także dank serdeczny się należy – dodał grzecznie, zwracając się do Staszka.

Była to uprzejma, niemniej odprawa. Nie mieliśmy tu nic więcej do roboty, ani teraz, ani w przyszłości. Stachnik znów chciał coś rzec, alem go pociągnął ukradkiem za połę i uprzedził:

– Praca dla waszych miłości i dobra naszej Almae Matris była zaszczytem. Dobrej nocy winszuję.

Ledwo Marencjusz sprowadził nas na dół i brama Kolegium zatrzasnęła się za naszymi plecami, Staszek wybuchnął:

– On celowo upuścił tę księgę, żeby ostrzec złodzieja, a tyś nie pozwolił mi nic rzec!

– Cii, bo nas znajdzie nocny ront i zabierze na odwach.

– Kiedy to prawda!

– Wiem.

– Wiesz? To czemuś nic nie mówił?

– Bo to by nic nie dało. Byli zdecydowani nas zbyć. Najpierw Marencjusz nie chciał wyjawić, co wie o trzech pierścieniach, potem Glicjusz uniemożliwił pochwylenie złodzieja ksiąg. Słyszałeś, już po sprawie, wszystko wyjaśnione: doktor Janeczka wypadkiem wpadł do skrzyni i zmarł w sposób naturalny, księgi gromadził i kradł za jego plecami gracjalista, jednak powiodło się zguby odzyskać, a fura precz przegnać. Koniec, kropka.

– I co, tak łąco dajesz za wygraną? – zdumiał się.

– A kto to powiedział? Od jutra zacznę pracować dla Januszowskiego, tropiąc zabójcę jego zecera. A coś mi mówi, że będzie to ten sam, co dziś ubił Spytka facimiecha, a dopiero co próbował wleźć przez okno do izby doktora Janeczki. Czyli jego gracjalista, człek z brodawką na nosie. Lecz o co w tym chodzi? Muszę wprzód dowiedzieć się czegoś o owym dziwnym *signum*. Czuję, że to klucz do tej osobliwej historii.

– A od kogo chcesz się tego dowiedzieć?

– Od mego opiekuna i preceptora, ojca Rocha. Skoro mistrz Marencjusz to wie, tedy *pater* Roch tym bardziej. Jutro wybiorę się do szpitala duchaków, gdzie ów jest hospitalariuszem.

– Mogę pójść z tobą?

– Nigdzie bym się bez ciebie nie ruszył.

Ale nie poszliśmy nazajutrz razem do ojca Rocha. Bo gdy udało nam się wrócić do próznej już i uspionej gospody, nie natykając się po drodze na strażników i

unikając zlania nieczystościami (bo choć wolno je było wylewać z okien jeno o pierwszej i ostatniej godzinie nocy, to nie wszyscy się do tego stosowali), i cicho, by nikogo nie zbudzić, skradałem się po schodach do swojej facjatki, otworzyły się drzwi do izby Janki i dziewczka, ze świecą w dłoni, stanęła w progu. Widać czekała na mnie. Ucieszyło mnie to. Jej widok także. W nocnym gieźle zwłaszcza. Podświetlonym przez płomień świecy w szczególności. Ale moja radość trwała krótko i rozwiąła się bez śladu jak piękny sen.

– Kiedy was nie było, przyszedł pan Zamojski i siedział ze mną u cioteczki cały wieczór. Na dniach rusza do Warszawy na konwokację.

– To ci nowina. Królowa Bona umarła! [50] Przecie mówił o tym.

– Zabiera ze sobą Stasia...

Stasia! Patrzcie no, do jakiej to doszli konfidencji.

– Szkoda. Polubiłem jego towarzystwo. I chyba z wzajemnością.

Patrzyła na mnie jakimś takim dziwnym wzrokiem.

– I ja jadę z nimi, Kacprze...

Wpierw do mnie nie dotarło, potem uderzyło jak obuchem, aż musiałem się oprzeć o mur.

– J... jak to? Albo ci tu źle?

– Jak w niebie, ale pan Zamojski obiecał polecić mnie na dwór królowej Hanny.

– Pojmuję – wyrzekłem z goryczą.

– Nic nie pojmujesz. Na dworze łatwiej mi będzie wywiedzieć się o rodzicieli, a tymczasem pan Zamojski rozpyta pośród posłów... Zrozum, to dla mnie ogromna szansa. Nareszcie mam sposobność dowiedzieć się, kim jestem. Kto jak kto, ale ty powinienes wiedzieć, jak ciężko żyć z taką niewiedzą. Dlatego muszę jechać.

– Oczywiście... – wykrztusiłem z trudem, bo w gardle urosła mi ogromna klucha.

– To jeno parę miesięcy. Na koronację wszyscy z powrotem zjedziemy do Krakowa – zapewniła.

– Oczywiście – powtórzyłem machinalnie.

– Wróć, Kacperku. Wróć tak szybko, jak tylko się da – wspięła się na palce, poczułem na policzku dotyk jej warg, delikatny jak muśnięcie motyla. – Chcesz mi coś powiedzieć? Jest jakiś powód, dla którego nie powinnam wyjeżdżać?

Zdało mi się, że na coś czeka, że być może, gdybym udzielił właściwej odpowiedzi, zostałyby. Ale czy miałem do tego prawo? Pytanie o prozapię nigdy by jej przecież nie opuściło, a z czasem zapewne znienawidziłaby mnie za to, że ją odwiódł od poszukiwań. Dlatego, choć serce mi krwawiło, odparłem jedynie:

– Nie. Powodzenia. Będę tęsknił.

Bez słowa cofnęła się w głąb i zamknęła drzwi. Zostałem sam w ciemnościach i z mrokiem w sercu. Usiadłem ciężko na progu i siedziałem tam otepiąły, aż zaczęło dnieć. Nie wiem, o czym myślałem. Myśli goniły mi jak oszalałe. Najczęściej powracało to, które już niemal udało mi się wyrzucić z pamięci. Kim jestem? Kim

byli moi rodziciele? Gdybym to wiedział, byłoby mi łatwiej. Jakże zażrzałem Jance! Ona była o krok od rozwikłania sekretu swego pochodzenia, o którym już wiedziała co nieco, a ja pewnie nigdy się tego nie dowiem. Znalaziono mnie zupełnie nagiego, nie miałem znaków na ciele i żadnego punktu zaczepienia, by wdroić inwestygację. Mój przypadek należał do beznadziejnych. Zawždy będę znajdą przygarniętym z litości. To także nas dzieliło i nie było na to rady. Myślenie o tym tylko rozdrapywało zaleczone rany. Gdy rozległ się gwar budzącego się domu, powlokłem się do swej izby. Kiedy zjawiłem się na dole, dawno było po śniadaniu.

– Poszli na Wawel – poinformował mnie Niziołek. – Jejmość gospodyni też. Ponoć jego wielmożność pan Zamojski ją zaprosił. Powiadam ci, puchła z dumy, a wystroiła jak do ołtarza! Chciała cię budzić, lecz Janka zakazała. A jegomość Żółkiewski kazał przeprosić, że nie może z tobą pójść do duchaków. Może ja bym poszedł?

Zdaje się, że był trochę rozczarowany, iż omijają go awantury, i odrobinę zazdrosny o Zuba. Na razie go nie potrzebowałem, ale wkrótce z pewnością miała przydać mi się jego wielka siła i jeszcze większe oddanie. Jak nieraz w przeszłości. Dał się udobruchać obietnicą wykorzystania jego niemałych umiejętności w niedalekiej przyszłości, bo czułem przez skórę, że to co zaczęło się zwyczajnie, od zniknięcia bibliotekarza, skończy się grubą awanturą. Na osłodę opowiedziałem mu o całej sprawie. A on, który jak dziecko lubił wszelkie bajdy, słuchał zafascynowany, z otwartą gębą.

– Wiesz, że Janka jedzie do Warszawy? Dlatego jejmość poszła z nią na Wawel, żeby sprawdzić, zali odpowiednią matronę jako przyzwoitkę jego miłość pan Zamojski wynalazł dla dziewczki na drogę – powiedział, unikając mojego wzroku.

– Wiem – uciałem i wyszedłem.

Klasztor i szpital duchaków (Hospitale magnum Sancti Spiritus) ^[51] mieścił się przy ulicy, której użyczył miana. Zazwyczaj *hospitium*, czyli *hospitale* bywał pospolitym przytułkiem (dlatego mnie jako oseska podrzucono na jego próg), mającym jedynie skromną izbę chorych, infirmerię, zwaną też niemocnicą. Ale nie w naszym mieście, a to za sprawą ojca Rocha, mego piastuna, a tutejszego hospitalariusza, na którego mówiono też *pater*, najlepszego medyka, jakiego znałem, kochającego swą pracę. Dlatego w szpitalu było znacznie więcej chorych niż w innych tego rodzaju przybytkach, a co więcej – tyle wypadków uzdrowień, co we wszystkich pozostałych szpitalach miejskich razem wziętych.

Do *hospitale* wchodziło się od ulicy Szpitalnej przez cmentarzyk dla podrzutków i kościół duchacki, stojący pośrodku budowli na kształt L, połączonej przewiązką z parafialnym kościołem Świętego Krzyża. Pomiędzy kościołami rozciągał się cmentarz, na którym stała kostnica; czasem robiliśmy w niej z ojcem potajemne sekcje. Zaś na podwórzu między częścią szpitalną a klasztorną była stajnia, drewnutnia, spizarnia z przejściem do kuchni oraz łaźnia.

Przykleknąłem przed ołtarzem głównym z obrazem Zesłania Ducha Świętego. Nie musiałem pytać o ojca Rocha krzątającego się tu braciszka, bo obok drzwi wiodących do części szpitalnej było wielkie ostrołukowate okno, aby cierpiący mogli uczestniczyć w nabożeństwach. Przez szybki widziałem przestronną, wysklepioną halę zakończoną ołtarzem z obrazem świętej Anny Samotrzec, niemocnicę. Z korytarza wiodły wejścia do małych komór, w których ciężko i zaraźliwie chorzy przebywali pojedynczo lub rzadko w kilkoro. Nadto część męska była oddzielona od niewieściej, starcy i kaleki od cierpiących, a na piętrze były też osobne izby dla rodzących oraz małych dzieci z mamkami. *Pater* akurat robił obchód.

– Co powiesz na to? – spytał, pokazując mi głowę brudnej i obdartej nastołki.

– *Plica polonica* – odparłem bez wahania.

– Tak jest. Inaczej kołtun. Co byś na to zalecił?

– Nożyczki.

– Bardzo słusznie – skinął wygoloną głową z aprobatą.

Kołtun przyszedł do nas niedawno z Niemiec, ale znalazł tu doskonałe warunki i zadowolony się na dobre, stąd nazwa. *Pater* skinął na towarzyszącego mu młodego nowicjusza, który spośród fałd habitu wyjął nożyce i wręczył ojcu.

– Przytrzymaj ją – polecił mi.

Kiedy dziewczka pojęła, co chcemy uczynić, jęła się ze mną szarpać i zawodzić tak żałośnie, jakbyśmy ją zarzynali. Kilka niewiast wyglądnięto ze swych komór i też w ryk, za chwilę rozwrzeszczały się małe dzieci i powstał taki rejwach, że nie tylko uszy bolały, ale i zęby. Poniekąd pojmowałem lęk dziewczki, ponieważ wierzono powszechnie, a źli medycy utwierdzali ludzi w tym błędnym mniemaniu, iż kołtun to *effectus* ogólnego schorzenia organizmu, a jego obcięcie może być niebezpieczne dla zdrowia i żywota. Tymczasem były to sfilcowane jak w foluszu włosy, latami niemyte i nieczesane, pełne lepkiego brudu i rojące się od wszy.

Nie przejmując się biadaniem dziewczki i hałasem, ojciec Roch bezlitośnie ściął włosy tuż przy skórze, po czym rzucił nożyce braciszce, mówiąc:

– Sprzątnij to paskudztwo z pawimentu i spal w kominie, przy okazji opalając nożyce. Potem pójďte do sióstr, niech wsadzą ją do łaźni. Nie musisz wracać, syn będzie mi towarzyszył.

Przeszliśmy do izdebki, w której spała blada, wycieńczona niewiasta, zwinięta w kłębek.

– Co jej jest?

– Ma zaparcia. Od ponad roku właściwie ustały krwawienia miesięczne, za to wystąpiły uciążliwe skurcze brzuszne. Leczyła się u różnych medyków i babek-położnych, zażywała nawet *nostrum*, jakoby na wszystko skutkujące, i nic.

– A co ze stolcem?

– Nieregularny.

– Co jej podajecie, ojcze?

– Siemię lniane moczone w zimnej wodzie, które ma pić codziennie razem z

nasionami. Poza tym powinna powstrzymać się od ciężkiej pracy, gdy wróci do domu. Nadto będzie musiała cztery razy dziennie pić wywar z kory wiśni, portulaki i liści maliny, dopóki nie wróci krwawienie, a potem jeszcze przez cztery niedziele.

W następnej komorze leżał starzec, którego członki *pater* kazał mi nasmarować rozgrzewającą maścią.

– *Artretica?* – spytałem.

– Bolenie w stawiech – potwierdził.

Ostatni chory miał czarne ropiejące wykwity patrzące na objawy dżumy, ale wtedy nie leżałby tutaj, jeno w szpitalu Świętego Sebastiana dla zapowietrzonych, bez trudu więc odgadłem, że to ospa, mająca z dżumą takie samo miano – *mors nigra*.

– Zimno tu macie – zauważyłem, gdyśmy zakończyli obchód.

– Brak opału, żywności dla potrzebujących, dach przecieka... Długo by wymieniać. Tak panowie prowizorowie, Urbanek i Słoninka, troszczą się o szpital – rzekł z goryczą.

Prowizorowie, jeden rajca i jeden ławnik, z ramienia miasta mieli opiekować się szpitalem, ale często zdarzało się, że sprzeniewierzali przyznane na ten cel środki. Jak Czeczotka, który okradał sąsiedni szpital Świętego Rocha dla ubogich żaków, będąc jego prowizorem. Ale po Marcynie Urbankowiczu zwanym Urbankiem, a zwłaszcza po znanym muratorze Gabrielu Słońskim zwanym Słoninką, którego darł koty z Czeczotką, tego się nie spodziewałem.

– I nie ma na to rady?

– Nie, dopóki prepozytem jest Baseus – westchnął; prepozyt *alias* proboszcz świętoduski był zarazem prowincjałem całego zakonu, zależnym jedynie od biskupa jako superintendenta. – To uczony i zacny ksiądz, lecz nie umie postawić na swoim. Na szczęście niedługo ma go zastąpić Maciej Regiomontana zwany Regiomontanusem. Ten nie da sobie w kaszę dmuchać.

– To dobrze.

Ledwo znaleźliśmy się w jego izbie, *pater* od razu umył starannie ręce w cebrzyku, po wielokroć szorując je mydłem. Miał multum takich dziwactw, obcych drugim medykom, których większość mi zaszczepił. Potem z ulgą opadł na łożo, podkładając sobie pod plecy poduszki, a mnie wskazał krzesło naprzeciwko.

– A teraz powiadaj, co u ciebie?

Gdy skończyłem, zdziwił się:

– Więc nie wiesz, co oznacza owo *signum*?

– Nie.

– Każdy to wie, kto liznął kęs teologii.

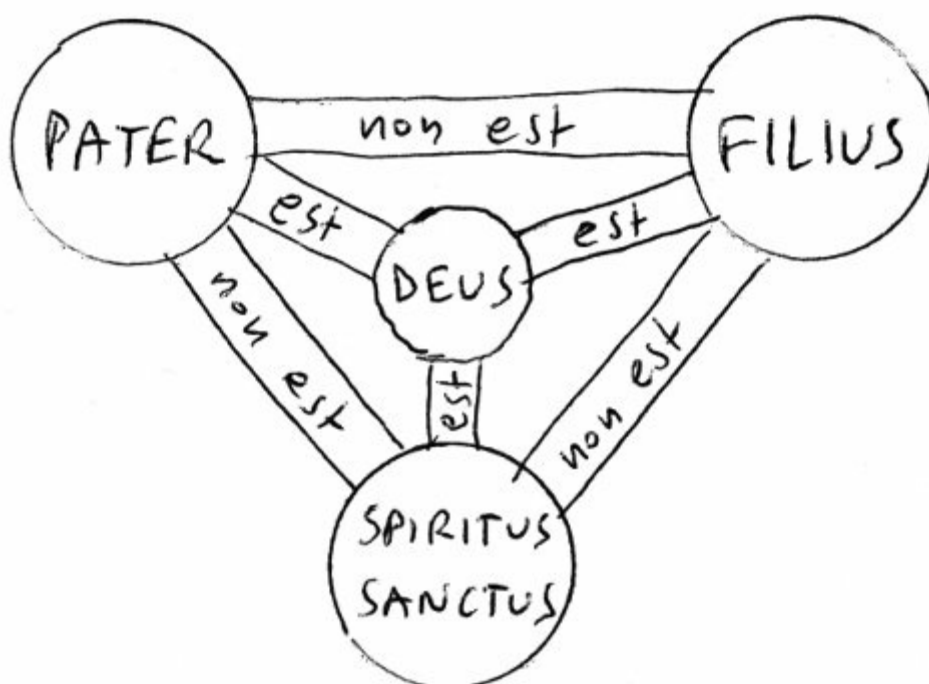
– Wiesz, że to moja pięta Achillesowa.

– A szkoda. Więcej nabożności i pokory nie zaszkodziłoby ci, mój synu, raczej pomogło – westchnął. – To *Scutum Fidei*, znana też jako *Arma Trinitatis*.

– Czyli?

– Znak Trójcy Świętej. Podaj mi kartę z pulpitu i zamocz pióro w kałamarzu.

Uczyniłem jak kazał, on zaś wyrysował dla mnie na karcie coś takiego:



Potrząsnąłem głową.

– Podobne, lecz nie takie samo.

Wyjąłem mu pióro z dłoni i narysowałem znak dokładnie taki, jaki widniał na ręce rzezimieszka.

– To jest to samo, jeno w tej postaci zwie się Pierścieniami Trójcy – rzekł. – Sekret polega na tym, iż są połączone w ten sposób, że każde dwa z nich można rozłączyć, dopiero z trzecim stanowią nierozdzielalną całość. Jak trzy Osoby Boskie.

Szybko porobił dopiski na moim rysunku, mówiąc przy tym:

– Muratorzy chętnie używali drzewiej tej formy w kościołach budowanych wedle starodawnej modły. Na pewno nieraz widziałeś tę figurę, choćby w oknach katedry lub w farze Mariackiej. Można w nią wpisać trójkąt równoboczny. Taki kształt zwie się *trifolium*.



– Koniczyna.

– Właśnie.

Zamyśliłem się. To rzucało nowe światło na sprawę. *Pater* przyglądał mi się z niepokojem i troską.

– Sam widzisz, w coś wdepnął, chłopcze. *Arma Trinitatis* lub *trifolium* oznacza wyznawców Jednego Boga w trzech osobach. To nie jest zwykła partia, mój synu, a prędeż bractwo dla wybrańców. I to sekretne, *ergo* tym groźniejsze. Ci ludzie uważają się za prawych katolików, obrońców jedynej słusznej wiary.

– To fanatycy – rzekłem z pogardą; miałem się za dobrego papieżnika, lecz fanatyzm był mi obcy, zresztą wiedziałem, iż ojciec Roch myśli podobnie. – Kradną księgi uznane za heretyckie i zabijają ludzi. Już zginęło trzech, a przynajmniej o tylu mi wiadomo, a kto wie, ilu jeszcze zginie i co planują na dal... Skazili drukarnię Rodeckiego, tedy widać, że za głównych wrogów uważają antytrynitarzy *vel* braci polskich, co jest logiczne, ale pewnie i wszystkich innych kacerzy. Jeden Bóg wie, co się z tego ulegnie, zwłaszcza w tak niespokojnym czasie jak obecny.

– I dlatego powinieneś przestać się tym zajmować, tak jak ci radził profesor Glicjusz, który zaraz wyczuł pismo nosem. Ale ty oczywiście nie poniechasz tej

sprawy – dodał ojciec z rezygnacją w głosie.

– Nie.

– Tedy bacz, bo rzecz na miłę czuć inkwizycją.

Co prawda niedawno sejmy zniosły w Rzeczypospolitej działalność inkwizycji papieskiej, prowadzonej przez dominikanów, ale sądy biskupie, grodzkie i miejskie wcale nie były łagodniejsze w kwestiach tyczących wiary. Wystarczyła lada delacja, by przypiąć komuś łatkę heretyka i nabawić poważnych turbacji.

– Będę baczył – obiecałem. – Nie wiesz przypadkiem, ojcze, gdzie można dać sobie wykłuć znaki na skórze?

– Jesteś pewien, że ów był wykłuty, nie wypalony lub po prostu namalowany?

– Jestem pewien. Klwany i napuszczony farbą.

– Dziwne... – zadumał się. – Wiem, że czasem starożytni Rzymianie, miast rozpalonym żelazem, przez *scarificatio* cechowali złoczyńców i niewolników, czyniąc im trwałą *cicatrix* na ciele. Takoż pierwsi chrześcijanie, srodze prześladowani od pogan, wykluwali sobie na przegubie ręki znak ryby, krzyża lub inicjały Jezusa Nazareńskiego, aby łatwiej się rozpoznać. Lecz już bodaj papież Hadrian I w VIII wieku zakazał tych praktyk jako zagrażających ocaleniu duszy, przypominając słowa z Księgi Powtórzonego Prawa: „nie będziecie nacinać ciała”. Słyszałem jednakowoż, że ostatnio zwyczaj ów przyjął się pośród pielgrzymów peregrynujących do Ziemi Świętej. Ponoć zażywają go także dzikusy z Nowego Świata... Ale żeby u nas ktoś hołdował tym praktykom, pierwsze słyszę.

– Trudno – odparłem i zacząłem się zbierać do wyjścia.

– Skoro świt odwiedziła mnie Janeczka – rzucił niespodziewanie, spoglądając na mnie spod oka. – Żeby się pożegnać.

– Wiem, jedzie z panami Zamojskim i młodym Żółkiewskim do Warszawy, gdzie ma zostać wprowadzona na dwór infantki, jak ostatnio przezywają królową Hannę – starałem się, aby mój głos brzmiał normalnie.

– Nie żal ci?

– Czego? Ma okazję odnaleźć rodzicieli i poznać kęś świata. A przy tym zniknie z oczu Zborowskiego. – To ostatnie wcale nie było pewne, lecz i tak dwór mógł jej zapewnić lepszą ochronę niż ja. – Niech jedzie. Bóg z nią.

Nie zwiódła go moja udawana obojętność. Jak za dawnych lat pogłaskał mnie po głowie, gdy na pożegnanie pochylił się ku jego dłoni.

– Ona wróci, Kacper, obaczysz. Wróci na pewno.

Nie bardzo w to wierzyłem, ale jednak jakoś lżej uczyniło mi się na sercu.

ROZDZIAŁ 5 | PRZEBIERAŃCY

Kraków, grudzień 1572 roku

Wsadził głowę w otwarte drzwi librarii Collegium Iuridicum i zaraz ją cofnął.

– Znów on!

Towarzyszający mu młodzian z brodawką na nosie zapytał:

– Kto?

– Ryx.

– Nie znam.

– Spotkałeś go po dwakroć. Wpierw widzieliśmy go gadającego na ulicy ze Spytkiem. Potem z jakimś drugim omal nie zdybał nas w Bursie Ubogich.

– Może to przypadek.

– Nie ma przypadku tam, gdzie pojawia się Ryx. To inwestygator królewski.

– Kto?

– Pies posokowiec. Jak poczuje trop, nie popuści. Był w bursie, a teraz węszy w librarii. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że to on niemal cię nie dopadł, gdyś próbował odzyskać księgi. Jak go znam, niedługo wsiądzie nam na kark.

– Dobrze go znasz?

– Jak zły szeląg. Trzeba coś z tym fantem zrobić...

– To proste. Ciach i po krzyku. – Niższy, ów z brodawką na nosie, uczynił gest podrzynania gardła.

Spojrzał nań ciężkim wzrokiem.

– Nie pytałem cię o zdanie. Myślenie ostaw mnie. Dlaczegoś zabił Spytka, kazałem ci? Mieliśmy go jeno nastraszyć.

– To był śmieć. Zdradziłby nas prędzej czy później.

– Może tak, może nie. Na dal nie życzę sobie samowoli. Pojąłeś? A teraz pójdz i odzyskaj Hieronima, Foltyna, Jurka, Wojtka i Maćka. W razie czego wywołaj ich z

lektorium. Musimy się naradzić. Powiedz, że wzywa ich dziekan.

Kraków, grudzień 1572 roku

Śniło mu się, że tonie. Znalazł się na środku jeziora, w największej głębi. Wzburzona fala zalała go. Chciał nabrać powietrza, ale zachłysnął się wodą wdzierającą do płuc. Nagle ocknął się. Z przerażeniem, w świetle księżyca zaglądnącego do izby i trzymanej przez kogoś latarki, ujrzał pochyloną nad sobą czarną sylwetkę w kapturze z wyciętymi na oczy otworami i wymierzoną w siebie lufę pistoletu. Otworzył usta do krzyku, ale druga zakapturzona postać znów zacisnęła mu dłoń na ustach.

„Pójdiesz z nami – tuż przy uchu usłyszał groźny syk. – Ani słowa i nie próbuj uciekać”.

Warszawa, styczeń 1573 roku

Na Trzech Króli rozpoczęła się w warszawskim zamku niecierpliwie wyglądana konwokacja, sejm mający ustalić warunki i wyznaczyć termin elekcji następcy Augusta. Przy okazji ksiądz Jan Dymitr Solikowski herbu Bończa, w imieniu innych uczciwych dworzan, wniósł przed zgromadzenie skargę na niepoczciwość braci Mniszchów.

– Mam ci ja zeznanie na piśmie mistrza Twardowskiego – oznajmił następnie Jan Drohojowski – z którego dowodnie wynika, iż niegodnymi sztuczkami magicznymi Jerzy i Mikołaj Mniszchowie nierządnicę Giżankę królowi podsunęli... Ponadto oskarżam pomienionych o zagrabienie precjozów, pieniędzy i wielu kosztownych statków z zamku knyszyńskiego po zgonie króla Augusta.

Zamojski długo się wahał, po czym jednak nie wsparł przyjaciela, więc odłożono tę sprawę *ad acta*, obiecując wrócić do niej w bardziej sprzyjającym terminie. Następnie postanowiono, iż sejm elekcyjny rozpocznie się dwie niedziele po Wielkiej Nocy, to jest 5 kwietnia, na błoniach opodal wsi Kamień pod Warszawą i że może nań przybyć kto zechce. A na koniec obrad, 28 stycznia, pod naciskiem innowierczych posłów i senatorów, pośród których wiodli prym Jan Firlej i Piotr Zborowski, doszło do konfederacji warszawskiej i uchwalenia swobody wyznania dla każdego szlachcica.

Tego dnia wieczorem senator Firlej, którego pierwszą żoną była Barbara Mniszchówna, i poseł Jan Mniszech, żonaty z Jadwigą Firlejówną, starosta krasnostawski, odwiedzili Zamojskiego na kwaterze.

– Musisz powściągnąć swego druha Drohojowskiego, Janku – powiedział bez osłonek Mniszech – aby poniechał szargania dobrego imienia moich braci i przyszej księżny Woronieckiej.

– Dobrego imienia! – parsknął nieodstępujący brata ciotecznego Żółkiewski, który pozując na Rzymianina, miał zwyczaj mówić w oczy to, co myślał. – Toć każdy wie, że Jerzy to człek podły i lekki! A Mikołaj nie lepszy. Zaś Gizanka...

Zamojski ścisnął mu ramię. W przeciwieństwie do kuzyna był urodzonym statystą.

– Stachniczku-braciszku, bądź tak dobry i ostaw nas samych.

– Mości Zamojski – rzekł Firlej po wyjściu Żółkiewskiego, uważnie patrząc spod nastroszonych brwi i gładząc długą, siwą brodę. – Elekcję *viritim* wykoncypowałem ja i Piotr Zborowski. Nie protestowaliśmy, gdy koncept ów waszmość sobie przypisał, stając się tym samym głównym orędownikiem młodszej braci. Pora się odwdziaczyć.

Pominał drobiazg, że rywalizując o przywództwo pośród innowierców, nienawidzili się ze Zborowskim serdecznie i tak zdolny człowiek jak Zamojski umiał ich niesnaski wykorzystać.

– Przypomnę ci także – dodał Mniszech – iż wciąż jesteś mi dłużny czternaście tysięcy złotych.

– Dobrze, pogadam z Jankiem Drohojowskim – odparł niezobowiązująco, nie chcąc za wcześnie wyzbywać się atutów.

Warszawa, luty 1573 roku

Zagapiła się i tłum wypełniający katedrę Świętego Jana oddzielił ją od reszty fraucymeru. Nagle ktoś zagroził jej drogę.

– Poznajesz mnie? Bom ja ciebie nie zabaczył.

Zimne ślepia Samuela Zborowskiego bezwstydnie omiotły ją wzrokiem, że poczuła się naga i bezbronna jak rzadko. Zerknęła wstecz, ale tam stał Ruski i wykrzywił w sprośnym uśmiechu brodatą gębę. Za to zapodział się gdzieś syn ochmistrzyni, Jan Żaliński, który jeszcze przed momentem nie odstępował jej na krok.

– Jakaś turbacja?

Ze swobodną miną, bez cienia strachu wyzywająco spoglądając na wyższego od siebie o pół głowy Zborowskiego, u boku Janki stanął Staszek Żółkiewski.

– Już nie – wdzięcznym uśmiechem zamaskowała ogromną ulgę i bez wahania podjęła uprzejmie podsunięte ramię wybawiciela.

Zborowski nieznacznie, lecz jednak odsunął się na bok.

– Jeszcze się spotkamy – rzucił z pogrózką w głosie, nie spuszczać z niej wzroku.

Warszawa, luty 1573 roku

Do niedawna dziewczki nie pociągały go, a już o ożenku nie myślał wcale. Przyszywana siostra Kacpra była pierwszą młodą niewiastą, która uczyniła na nim większe wrażenie. Z natury nieśmiały, zdążył się też przekonać, iż nie należy do osób kochliwych. Na razie o miłowaniu nie było więc mowy. Zajmowały go sprawy wyższego rzędu, które dałoby się streścić w trzech słowach: Bóg, Honor i Ojczyzna. Mimo to lubił przebywać w jej przytomności i odwiedzał ją tak często, jak tylko na to pozwalały przyzwoitość i czas, miał bowiem sporo zajęć przy kuzynie, który wokół elekcji uwijał się jak w ukropie. Raz, że bardzo odpowiadała mu rola obrońcy dziewczki przed zakusami Zborowskiego, jakby żywcem wyjęta ze starych opowieści o dzielnych rycerzach salwujących dziewice z łap bezecnych potworów, a dwa, że z całego wrażliwego serca pragnął pomóc pannie w wyświeceniu sekretu jej pochodzenia. A przy okazji, choć niechętnie przyznawał się, nawet przed samym sobą, do tak niskich pobudek, chciał udowodnić Ryksowi, że jest nie gorszym inwestygatorem od niego. Ostatecznie szlachectwo zobowiązywało, a to co potrafił znaleźć niepewnego pochodzenia, nawet tak zdolny jak Kacper, tym bardziej nie powinno przekraczać możliwości członka rodu Żółkiewskich.

Nie ominął zatem żadnej okazji, by wypytywać o dziecię zaginione przed laty, nawiedzając okropne gospody i spelunki załoczone szlachtą, która zjechała na wybory, stawiając komu popadło i samemu wlewając w siebie wielkie ilości trunku, za czym wcale nie przepadał. Wszystko na próżno, niczego się nie dowiedział. Gdyby znał przynajmniej herb, szłoby mu łatwiej, wiedziałby, do kogo się zwrócić. Dlatego postanowił zmienić metodę i podążyć tym tropem. W tym celu wypożyczył od dziewczki ów kęsok materii, na którym widniał (żeby!) domniemany herb, i na rozmaite sposoby usiłował go rozszyfrować, sam i przy pomocy przygodnych znajomych. Znów bez skutku. Wtedy ktoś poradził mu, aby zwrócił się do niejakiego Bartosza Paprockiego, którego zajmowały takie sprawy, i podał nazwę gospody, w której tamten często bywał.

Jednak już dwakroć minął się z owym. Dlatego tak ucieszył się tego dnia, gdy arendarz wskazał mu jednego z gości karczemnych, zażywnego trzydziestolatka. Pora była przedpołudniowa, sposobna do odsypiania nocnej hulanki, dlatego traktiernia świeciła pustkami i miejsc przy ławach nie brakowało. Mimo to tamten nie zdziwił się, gdy podszedł do niego i spytał:

– Bartosz Paprocki, jeśli się nie mylę? Można się dosiąść? Mam sprawę do waszmości.

– A waść jesteś Stanisław Żółkiewski, brat cioteczny pana Zamojskiego. – Dzięki rosnącej popularności Zamojskiego, również jego kuzyn przestał być postacią anonimową. – Wiem, że mnie szukasz. Proszę. Cóż to za sprawa?

Zajął wskazane miejsce i zamówił flaszkę zacnego węgryna.

- Słyszałem, iż mocno zajmują waćpana herby i wszystko, co się z nimi wiąże.
- To prawda – potwierdził heraldyk. – Zamiaruję kiedyś wydać swą pracę drukiem [52], a na razie podpytuję kogo się da, szperam w księgach i odsiewam ziarno od plew.
- Zatem nareszcie trafiłem na odpowiedniego człeka.
- Wydobył z zawiniątka materię z zatartym haftem.
- Idzie o to, że chciałbym wiedzieć, co to może być.
- Paprocki z zainteresowaniem wziął skrawek materiału i przyjrzał mu się dokładnie.
- Ciekawe... – rzekł po dłuższej chwili. – Niewątpliwie herb, ale jaki? Musiałbym to zabrać na kwaterę i poddać starannemu badaniu...
- Wdzięchen będę niewymownie.

Warszawa, marzec 1573 roku

– Ładna jesteś, wiesz o tym? Bądź dla mnie miła, a nie pożałujesz – pogłaskał ją po twarzy.

Wywinęła się, choć nie było to nieprzyjemne.

– Janek! – ostry głos siekł jak biczem, że oboje aż podskoczyli. – Pod dom zajechała kareta. Pójdź zobaczyć kto to. A panna Dynowska uda się do królowy jejmości. Natychmiast.

Spuściła wzrok i pobiegła wypełnić polecenie. Z ochmistrzynią Jadwigą Żalińską nie było żartów. Trzęsła całym dworem, fraucymer trzymała krótko, potrafiła nawet ofuknąć jak sługę królowę, która jej we wszystkim ulegała. Janki wyraźnie nie lubiła. Zamojski osobiście przedstawił ją infantce i szczerze opisał jej niezwykle losy. Łatwo wzruszająca się królowna przyjęła Jankę na swój dwór jako Joannę Dynowską, daleką krewną Zamojskich. Ale ochmistrzyni natychmiast wyciągnęła prawdę od swej pani. Odtąd pogardzała dwórką niewiadomego pochodzenia i dawała jej to odczuć. Niechętnie także patrzyła na umizgi do niej swego syna, Janka, choć przymykała oczy na jego zaloty do innych panien. Ale one prozapię miały należyta.

Dwór infantki był nieliczny i ubogi, bo królowa wciąż nie mogła zmusić lekceważących ją senatorów ani do przyznania uposażenia, ani wydania należnego spadku po bracie. Z każdego kąta wiało biedą i nudą. Infantka zupełnie nie zajmowała się polityką, sprawy państwowe nie interesowały jej wcale ani żadne inne okrom małżeństwa, bo była po prostu ograniczona. Toteż dni mijały im na plotkowaniu, rozmowach o licznych chorobach (prawdziwych i urojonych) nękających królowę, modłach, haftach i szyciu, nasłuchiwaniu nowin ze Szwecji i Brunszwiku od sióstr infantki. Trudno sobie imaginować mniej zajmujące zajęcia. Janka chętnie czytała na głos, gdy przyszła jej kolej, choć królowa gustowała jedynie w pobożnych księgach,

zwłaszcza gdy miała napad dewocji, co zdarzało się nader często. A jeszcze chętniej asystowała przy pisaniu listów do Zofii brunszwickiej, które w imieniu królowny pisał jej sekretarz, Andrzej Patrycy Nidecki. Zawsze przy okazji można było wymienić z nim parę mądrzejszych uwag, bowiem był to przyjemny i wykształcony człek, filolog klasyczny i tłumacz Cyserona. Do rzeczy był również pan Wawrzyniec Rylski, lecz wciąż wyjeżdżał z listami, to do Szwecji, to do Brunszwiku. Najczęściej więc nudziła się jak mops i niekiedy tęsknie wspominała barwne życie w gospodzie cioteczki Balcerowej, choć coraz rzadziej. Aż się zdziwiła, że tamte wspomnienia blakły tak szybko.

Co tu gadać, wielki świat oszołomił ją. I to mimo iż tutaj nikt nowy i ważny prawie nie zaglądał i tak samo było w Warszawie, zresztą małej i prowincjonalnej w porównaniu z Krakowem, Jazdowie albo Łomży. Infantka powadziła się z biskupem krakowskim Krasieńskim, którego przezywała „złym księdzem”, prymasem Uchańskim i potężnym Piotrem Zborowskim, życzliwi pozostali jej jedynie biskup chełmski Wojciech Starożrebski i panowie Leśniewski i Woyna oraz najwierniejszy przyjaciel, referendarz koronny Stanisław Czarnkowski. Z dworzan pan marszałek dworu Jan Koniecki był wyniosły, pani stara, czyli ochmistrzyni Żalińska – opryskliwa, wiecznie zagniewana i nadąsana, jej mąż Maciej, kasztelan gdański – niemiły, zaś syn – gładki, lecz mimo młodego wieku zepsuty powodzeniem u niewiast; bezwstydnie przypochebiający się infantce, która zobowiązała się sfinansować mu zagraniczne studia.

Jednak sama myśl, że znalazła się wśród ludzi ze świecznika, mile łechtła jej próżność. Zwłaszcza że nie tylko Janek Żaliński jej nadskakiwał, ale i Staś Żółkiewski wpadał pogwarzyć pod byle pozorem albo i bez. W myślach często porównywała ich ze sobą i z Ryksem, swym dzieciennym pierwszym miłowaniem. Żaliński wręcz rwał oczy; zawsze tak imaginowała sobie prawego dworzanina. Niewiele starszy od niej, gładki na licu, modnie odziany i wymuskany, obiekt westchnień wszystkich dworek. Żółkiewski nie był aż tak przystojny ani dbały o wygląd jak Żaliński, lecz bystry, mądry i szczerze oddany, choć tak nieśmiały i nieporadny, że aż irytujący. Mimo zachęt z jej strony do tej pory ani słowem, ani gestem nie okazał, że widzi w niej coś więcej niż przyjaciółkę, z którą miło pogwarzyć. O jakichkolwiek deklaracjach nie wspominając. Urodzeniem obaj byli równi, choć Żalińscy więcej znaczyli na dworze od prowincjuszy Żółkiewskich. A Kacper... Kacper to był Kacper. O strój nie dbał, jak nie siedział z nosem w księgach, to uganiał się za złoczyńcami, nigdy nie szeptał jej do ucha czułych słówek, a przeciwnie – nie szczędził docinków. A jednak wciąż nie potrafiła zupełnie wyrzucić go z pamięci...

– Nareszcie jesteś – powitała ją zrzędlwym głosem królowna; widocznie znów jej coś doskwierało. – Siadaj i przeczyj mi coś, może z Ewangelii świętego Łukasza...

– Wasza książęca mość – do komnaty wszedł jak zawsze uniżony Jan Żaliński, zginając się w przesadnie niskim ukłonie. – Przybył wysłannik posła francuskiego, biskupa Montluca, pan Krasowski i pilnie o posłuchanie prosi.

– Niechaj wejdzie – infantka z trudem maskowała podniecenie.

Dostojne matrony, przyjaciółki królowy, natychmiast przysunęły się do swej pani, zaciekawione młode dwórki wyciągnęły szyje, bo też taka wizyta stanowiła miłą odmianę, a przy tym była podwójnie zaskakująca, jako że obcym posłom zakazano zbliżać się do Warszawy, a już kontaktować z infantką – absolutnie. Poseł też okazał się niezwykle, był bowiem karłem, szczególnie mikrym przy obfitych kształtów Żalińskiej, która wsunęła się za nim. Z podgoloną dużą głową, sarmackim wąsem i w kontuszu nie różniłby się od typowego polskiego szlachcica, gdyby nie groteskowo krótkie ręce i nogi. Mimo to nie wyglądał na onieśmiałego, choć najniższej dwórcy sięgał ledwie do szyi, i po należnych ukłonach i powitaniach od razu przeszedł do rzeczy.

– Moja wizyta, wasza książęca mość, z wiadomych względów musi pozostać w sekrecie. Dlatego przybył z Konina do Warszawy w zamkniętej kolasie o zmierzchu i muszę wyjechać o świtaniu.

– Z czym zatem przybywasz do nas, waszmość, skoroś się na taki hazard wystawił?

– Katarzyno Medycejska Wschodu Europy – zaczął karzeł pompatycznie, kadząc królownie bezwstydnie. – Mój pan, jego ekscelencja biskup Walencji, przysłała waszej miłości konterfekt księcia d’Anjou, na wyraźne życzenie elekta, który na odległość rozmiłował się w waszej miłości okrutnie. W obawie, iż niepoczciwi ludzie zechcą zohydzić jego osobę w oczach waszej wysokości, książę Andegaweński pragnie zapewnić, iż nie dba o królestwo, jeno o was, miłościwa pani, a po koronę sięga jedynie w takim celu, aby z nią dostać waszą rękę.

Sprytny Montluc, który dwa duże wizerunki swego protegowanego kazał obwozić po szlacheckich dworach, specjalnie dla polskiej królowy zabrał ze sobą mały jego portrecik uczyniony kolorowymi ołówkami, tak zwany *crayon*, zamówiony u nadwornego portrecisty Jana de Courta, następcy zmarłego niedawno mistrza rysunkowych portretów, Franciszka Cloueta.

Karzeł uklęknął na jedno kolano i wręczył infantce dar, po czym zaraz się cofnął. Wszystkie niewieście głowy, nawet Janki, bowiem też nie zdołała poskromić ciekawości, jak na komendę pochyliły się nad wizerunkiem młodego królewicza francuskiego, a infantka, zapłoniona jak róża, wprost oczu nie mogła oderwać od owego malowania obiecującego spełnienie wszystkich jej tajonych marzeń o księciu z bajki. Janka wyczytała w tym zachwyconym spojrzeniu to samo, co bystry karzeł – królowa już poczuła się oblubienicą i z całego serca będzie odtąd protegowała księcia d’Anjou. Tym bardziej że oto mogła sobie powetować postępowanie swojej osoby. A dziesięć tysięcy przywiązanych do niej jako do prawej dziedziczki Królestwa Polskiego Mazurów stanie murem za jej wybrańcem.

Nadeszły smutne dni. I nie chodziło o pogodę. To prawda, że przyszła zima. Ale zwykle lubiłem tę porę, szczególnie czas poprzedzający Gody. Zwłaszcza że ustały deszcze, a śnieg puszystą białą warstwą pokrył brud na ulicach. I choć co dzień brud

wyłaził na wierzch, to również codziennie dosypywało śniegu na cal. Bawiła mnie ta uparta walka jasności z ciemnością. A przy tym nie było mrozu, więc na dworze było naprawdę przyjemnie.

Za to w domu ponuro. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, szczególnie wieczorami. Dom bez Janki wydawał mi się rozpaczliwie pusty. Co więcej, nawet do obecności Żółkiewskiego zdążyłem przywyknąć i brakowało mi jego przemądrzalstwa, przewyższającego nawet moje (rzekomo niesłychane, jeśli wierzyć nieżyczliwym, na szczęście miałem ich niewielu).

Trzy dni włóczyłem się bez celu po mieście, zwiedzając spelunki, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewałem. Wreszcie trzeciej czy czwartej nocy wyrzucono mnie z którejś mordowni na burk za awanturnictwo, a jakieś rzezimieszki obrały do czysta i zostawiły w rynsztoku. Pewnie zamarzyłbym tam na śmierć, gdyby nie natknął się na mnie nocny ront z moim druhem, podhutmanim Matysem Szarskim, który właśnie sprawdzał zamknięcie bram i odbierał klucze, żeby odnieść je na ratusz. Przy okazji zabrali także mnie i odnieśli do domu. Cały dzień dochodziłem do siebie, w nocy gryzły mnie wyrzuty sumienia za przykrość sprawioną ciotuchnie, ale rano byłem już gotów do działania. Zabrałem dziesięć dutków, pożyczonych dla Spytka z Prokocimia od Niziołka, który skrzętnie zbierał mińce i urósł mu wcale spory kapitalik, i wyszedłem na miasto, hołubiąc w sercu nadzieję na rychłe napełnienie chudej sakiewki.

Aby przekuć podejrzenia w pewność, musiałem coś sprawdzić. Poza librarią Kolegium Większego, istniały jeszcze dwie księżnice kolegialne: biblioteka prawników w Collegium Iuridicum i biblioteka Kolegium Mniejszego, oraz księżnice w bursach. Byłem ciekaw, czy i stamtąd ostatnimi czasy ginęły księgi.

– Nie wiem – rozłożył ręce magister pełniący funkcję opiekuna librarii w Collegium Minus. – Pracuję tu ledwo od miesiąca. Ale, jak widać – zrobił okrągły gest – zbiory nie są wielkie. Mamy tu dzieła mało ważne, które nie weszły do librarii Kolegium Większego, darów też było mało. – Nie dziwiło mnie to, gdyż profesorowie uważali pobyt w Collegium Minus jako etap wstępny przed awansem do godniejszych kolegiów: Maius lub Iuridicum. – Ostatnio otrzymaliśmy tylko jeden duży legat, księgozbiór magistra Macieja z Krainy.

Obiecał mi wszak spróbować rozeznaczyć się w zbiorach i sprawdzić, czy i co zginęło. Kosztowało mnie to dukata, co stanowiło więcej niż jego półroczne wynagrodzenie. Nie lepiej poszło mi w księżnicy Bursy Jerusalem. O ile w librariach kolegialnych trzymano dzieła naukowe, potrzebne profesorom w ich pracy, to bursy posiadały jedynie elementarne księgozbiory, prawie niewykraczające poza najpopularniejsze książki podręczne. Ale bywały wyjątki...

– Mieliśmy tu cenny księgozbiór darowany bursie przez jej dobrodzieja i założyciela, jego eminencję kardynała Oleśnickiego, ale większość rozkradziono lub zginęło wskutek niedbalstwa – rzekł zatroskanym tonem senior bursy, młody bakałarz, bardzo przejęty swą rolą zarządzającego księżnicą, otwierając mi niedużą

izbę z dwoma skrzyniami mieszczącymi księgi. – Jednak to się zmieniło.

Z pulpitu w kącie zdjął broszurę i wręczył mi ją. Przeczytałem tytuł: *De libris Domus*, i zwertowałem ją z grubsza. Był to zbiór przepisów regulujących korzystanie z biblioteki i utrzymywanie jej w porządku.

– Zgodnie ze statutem książki winny się znajdować pod kluczem, który ma senior, a wypożyczać wolno je tylko mieszkańcom bursy od półrocza do półrocza z wykluczeniem przerw świątecznych. Tytuły książek wraz z nazwiskami wypożyczających należy wpisywać do rejestru – pokazał mi ów, także leżący na pulpicie. – A w wypadku dowiedzionego niszczenia lub nieposzanowania ksiąg, można je odebrać i wypożyczyć komu drugiemu. Raz na pół roku senior winien ściągnąć wszystkie wypożyczone książki, by prowizor mógł przeprowadzić skontrum. Odkąd żem tu nastał, prawie nie zdarza się, by któraś książka zginęła – pochwalił się.

Jednak na moją prośbę zgodził się policzyć księgi i porównać wynik z zapisami w rejestrze, co kosztowało mnie następnego czerwonia.

– Zali podobny statut obowiązuje w księżnicach wszystkich burs? – spytałem na koniec.

– Tego nie wiem, ale mniemam, że tak.

W Bursie Ubogich znajomy, magister Kotarski, bynajmniej nie ucieszył się na mój widok. Z wzajemnością.

– Jest już orzeczenie w sprawie Spytka z Prokocimia – oznajmił na powitanie. – Samobójstwo. To zamyka sprawę. Zarządzeniem rektora będzie pogrzebion w niepoświęconej ziemi na koszt uniwersytetu.

Jakoś mnie nie zaskoczyło zamknięcie sprawy. Na zdumionego wyglądał natomiast senior, kiedy mu wyłuszczyłem, co mnie tym razem przywiodło.

– Księgi? – sarknął. – Gdym tu nastał, było ich ledwo pięć i nadal tyle jest.

Otworzył małą skrzynkę z klucza.

– Proszę. Znam tytuły na pamięć: dwa traktaty Arystotelesa, dialektyka Piotra Hiszpana, gramatyka łacińska Piotra Heliasa i Biblia. Od miesiąca nikt nic nie pożyczył.

Zerknąłem w głąb skrzynki i przekonałem się, że mówił prawdę – grzbietami w górę leżało tam pięć wolumenów. Nie widziałem potrzeby sprawdzać, czy są to te wymienione przez seniora. Nie miało to znaczenia. Wszystkie były prawomyślne.

– Wolno wiedzieć, czemu was to zajmuje, mistrzu? – dociekał.

– Nie wolno, mistrzu.

Więcej spodziewałem się dowiedzieć w Kolegium Prawników, gdyż tamtejsza libraria była druga pod względem zasobności po księżnicy Kolegium Większego. Dlatego udałem się na ulicę Grodzką. Ale wprzód, korzystając z okazji, zaglądnąłem do Maćka przezywanego Pajakiem, bowiem mistrz Twardowski groził mu ponoć w żartach, że go w pajaka przemieni za to, iż ów rzekomo poznał jego sekret sporządzania eliksiru wiecznej młodości. Od czasu gdy społem nie powiodło się nam

uratować życia imć Twardowskiemu (żaden eliksir nie uchronił go przed wynajętym zabójcą), datowała się nasza z Maćkiem zażyłość.

– Uznali, że to było samobójstwo – poinformował mnie na powitanie.

– Wiem. Gdybyś usłyszał o czymś, co może mieć związek z tą sprawą, wiesz, gdzie mnie szukać. Przyjdź do gospody, a nie pożałujesz – aby go w tym utwierdzić, zostawiłem u niego kolejnego dukata. – Mam jeszcze dziesięć dukatów, których Spytek nie zdążył odebrać. Aha, gdybyś popytał tu i ówdzie, jeno dyskretnie, jak nazywał się gracjalista doktora Janeczki, scholar z brodawką na nosie, byłbym zobligowany.

Zarząd i pieczę nad biblioteką Kolegium Jurystów sprawował magister Jakub Bełzik. Poskarżył mi się, że – jak to było w zwyczaju – został niedawno wybrany na ten rok przez członków kolegium, jego stanowisko jest bezpłatne i honorowe, a turbacji ma co niemiara. Do obowiązków magistra należał ogólny nadzór nad librarią, wypożyczanie ksiąg, których tytuły zapisywano w rejestrze, ale przede wszystkim – zmuszanie niepoprawnych dłużników do zwrotu przetrzymywanych od wielu lat wolumenów oraz do naprawy uszkodzonych druków i rękopisów.

– Nie chciałbym źle powiadać o swych poprzednikach – westchnął. – Ale przez to, iż naszą librarią kierują często ludzie przypadkowi, tedy mnóstwo ksiąg poniszczono, a jeszcze więcej poginęło...

– Czy pośród zaginionych są księgi z indeksu?

Spojrzał na mnie spod oka.

– A owszem. Brak podręczników gramatycznych i retorycznych Melanchtona, Sturma i Mosellana. Za mego poprzednika jeszcze były, gdym ja obejmował księżnicę już nie. A czemu pytacie, mistrzu Ryksie, czyżby nie tylko u nas zdarzały się takie rzeczy?

– Rzekliście, mistrzu.

– Czy to władze akademii zleciły wam inwestygację w tej kwestii?

Zawahałem się, jednak magister Bełzik patrzył mi na człeka na swoim miejscu, który lubił księgi i szczerze bolał nad ich utratą.

– Nie. Prowadzę inwestygację na własną rękę.

Zmarszczył brwi.

– Zaraz, zaraz... Czy to nie wy odzyskaliście skradzioną pieczęć królewską przed dwoma czy trzema laty?

– Ja.

– Dużo o was słyszałem dobrego, mistrzu Ryksie. Tedy powiem wam w zaufaniu, iż doszło do mnie, jakoby najgorliwsi strażnicy wiary katolickiej na naszej Almae Matris, to jest profesorowie Jakub Górski i Marcin Glicjusz, przygotowują rejestr ksiąg podręcznych autorów podejrzewanych o herezję w celu ich wycofania z bibliotek kolegijskich i bursackich, a także wydania zakazu opierania na nich wykładów. Co więcej, ponoć już niedługo, zgodnie z bullą papieża Piusa IV, która od paru lat obowiązuje na uniwersytetach włoskich, przyjdzie i u nas, przed

uzyskaniem jakiegokolwiek stopnia naukowego czy stanowiska profesorskiego, składać *professio fidei* wedle formuły soboru trydenckiego.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo. Poznałem, że librariusz sprzyjał herezji luterskiej, kalwińskiej, a może nawet ariańskiej i mnie brał za podobnego do siebie. Nie wyprowadzając go z błędu, podziękowałem za wieści, obdarowałem dukatem i wyszedłem. Pozostała mi jeszcze wizyta w Bursie Kanonistów naprzeciw Kolegium Jurystów. Tutejszą księżnicą zawiadywał senior, niejaki Rypiński, indywiduum, które nie wzbudzało zaufania za grosz. Z początku nie chciał w ogóle ze mną gadać, a kiedy już sprawdził w zepsutych zębach czątego, czy aby nie fałszywy, niechętnie zaprowadził mnie do komory przy swej izbie, gdzie była księżnica. Ściany nosiły ślady osmalenia, w powietrzu unosił się słaby, lecz wciąż wyczuwalny zapach spalenizny, a na jednej jedynej półce, też nadpalonej, stały książki, na oko nie więcej niż dwadzieścia wolumenów.

– Cóż to, mieliście tu pożar?

– Przed miesiącem – burknął. – Ktoś zaproszył ogień. Spłonęła większość ksiąg.

Nie zdziwiłbym się, gdyby tym kimś był sam magister Rypiński, nawet teraz patrzący na niezupełnie trzeźwego. Nie doceniłem go jednak, bo właściwie odgadł moje spojrzenie i rzekł:

– Nie byłem sam wówczas. Zastępował mnie surogat, mistrz Grot.

– Jan Grot?

– Tak. Znacie go?

Nie odpowiedziałem, zamiast tego zapytałem:

– Gdzie trzymacie registr wypożyczeń, mistrzu?

– Nigdzie – wzruszył ramionami.

– Skąd tedy wiecie, kto co wypożyczył?

– Trza ludziom ufać.

Z najwyższym trudem powstrzymałem się, by nie dać mu w zęby. Przez takich jak on biblioteczne zbiory rozkradano na potęgę albo ulegały skażeniu, a uczciwi i ubodzy scholarzy nie mieli się z czego uczyć. Nic jednak nawet nie rzekłem. Zamiast tego przeglądałem resztki ocalałego księgozbioru. Nie było tu nic ciekawego. Proste podręczniki gramatyki i logiki, wokabularze, jakieś dewocyjne pisaniny, a z cenniejszych rzeczy jedynie *Zwierciadło saskie*. Wychodząc, potknąłem się na progu i oparłem na librariuszu. Była to stara złodziejska i kuglarska sztuczka, którą przyswoiłem sobie w niechlubnej przeszłości. Odebrałem Rypińskiemu dukata, on zaś nic nie spostrzegł. Miałem swoje zasady; nie mieściło się w nich nagradzanie niechlujów, jawnie zaniedbującego swoją robotę, a może i gorzej.

Wychodząc, skonstatowałem zniechęcony, że magiczne słowa: „inwestygator królewski” działają niby klucz otwierający wszystkie usta. Każdy mniej lub bardziej ochoczo udzielał mi informacji i nikt nawet nie spytał, co ów szumny tytuł znaczy, ani nie domagał się ode mnie dokumentu uprawniającego do indagowania. Miałem rzecz jasna przy sobie sporządzoną u rejenta kopię serwitoriatu nadanego mi przez

nieboszczyka Augusta, lecz ani razu nie potrzebowałem jej okazywać. Jednak Zborowski słusznie mi wytknął – z chwilą śmierci króla mój przywilej wygasł. Z drugiej wszak strony, aż do obrania nowego pana mieliśmy stan zawieszenia. I skoro kanclerz Dembiński nie złożył pieczęci większej, choć powinien, a biskup Krasieński mniejszej, tedy i ja miałem chyba prawo zachować swoje nadanie.

Musieli mnie obserwować. Czekali na ulicy i otoczyli tak ciasno, że nie mogłem uczynić ruchu. Niby w jakimś dziwnym tańcu przemierzyliśmy szerokość ulicy, po czym pchnęli mnie do bramy w murze otaczającym kaplicę prawników – kościółek Świętej Magdaleny i cmentarz wokół niego [53].

– Przebóg, to on! – ozwał się młodzian z brodawką na nosie, odstępując o krok. – Ten sam, co omal nie pochwycił mnie w nocy u Janeczki, gdym wrócił po księgi! I którego widzieliśmy gadającego ze Spytkiem. I to on z jakimś drugim wchodził do Bursy Ubogich, kiedyśmy stamtąd wychodzili. Teraz poznaję! Miałeś rację, Janku.

– Trzeba go zabić – beznamiętnie stwierdził scholar o bardzo białych włosach.

– Zabijania na razie wystarczy – rzekł ten, który choć trzymał się z dala, patrzył na hetmana. – Wy dwaj już przekroczyliście limit.

O ile tamtych widziałem pierwszy raz w życiu albo dotąd nie zwróciłem na nich uwagi, tego znałem bardzo dobrze. Był to Janek Grot, syn rajcy, scholar, z którym niegdyś, razem studiując na wydziale *artistarum*, darliśmy koty. Nosił nawet ode mnie kilka pamiątek na łbie, ja zaś od niego szramę za uchem. Odkąd jednak zaczął studiować prawo i przeniósł się do Collegium Iuridicum, nie mieliśmy okazji do zwady. Aż do dziś.

– Cóż to, Grot, zadajesz się teraz z zabójcami żaków i czeladników? Nieźle, jak na przyszłego jurystę – sarknąłem.

– O tym też wie! – zawołał dryblas bez zęba na przodzie.

– Trzeba go zabić – powtórzył białowłoso.

– Jestem za – poparł go kędzierzawy, któremu bujne loki wylażyły spod czapki.

– Spokojnie – rzekł Grot. – Wprzód pogadamy.

– Za dużo wie. To *speculator* – rzekł ostatni z nich, trudny do opisania, bo zgoła nijaki.

– Zdaje się, że zostałeś przegłosowany – powiedziałem do Grota. – Będziemy musieli odłożyć naszą rozmowę, aż dziatwa pójdzie spać.

– To na całą wieczność chyba – zaśmiał się ów z brodawką.

– Trzeba go zabić – powtórzył białowłoso; może się zaciął, a może były to jedyne słowa, jakie znał; tak czy owak z takimi upodobaniami powinien być raczej czeladnikiem rzeźniczym niżli scholarem.

– Dozwól im poprobować, Grocie, bo nie dadzą nam spokoju – poprosiłem.

– Jak chcesz – westchnął i odstąpił na bok, zwracając się do kompanów: – Jest wasz. Tylko potem nie mówcie, że was nie ostrzegałem.

Dwóch pochwyciło mnie za ręce, a ów z brodawką zamierzył się sztyletem, chcąc

mnie pchnąć w wąpiał jak Spytka facimiecha, bo zapewne było to jego dzieło. Wyrzuciłem stopę i kopnąłem go w nadgarstek, na którym, nie była to dla mnie siurpryza, widniało *trifolium*. Nóż wyleciał wysoko w powietrze, zaś łotr wrzasnął z bólu i chwycił się za rękę. Sądząc po nieprzyjemnym trzasku, jako przyszły medyk rokowałem złamanie. Ale nie poświęciłem temu wiele uwagi, bowiem akurat zaprawiałem głową w twarz trzymającego mnie z lewej nijakiego, a gdy osuwał się z jękiem i puścił moją rękę, natychmiast wykorzystałem ją, by umieścić z całej siły w jego podbrzuszu. Padł bez jęku na pobliski zaśnieżony grób, łamiąc zmurszały krzyż. Białowłosy, który, jak typowałem, zastrzelił zecera od Januszowskiego, nie zdążył wydobyć pistoletu, bom wyrznął go w łeb ręką swego puginału, płazem dzieliwszy przez gębę wysokiego, który zalał się krwią. Kędzierzawy zemknął do kaplicy i nie wyściubiał stamtąd nosa.

– A teraz mów, słucham – rzekłem do Grota, na powrót chowając sztylet pod kubrak. – Czemu zawdzięczam to spotkanie i dlaczego puszczasz mnie wolno? – Kiwnąłem w stronę niedoszłych zabójców, albo nieprzytomnych, albo wijących się z bólu; Grot zaś nie uczynił żadnego ruchu, by mnie powstrzymać. – Wiesz, że nie daruję im mordy na zecerze, a nawet na facimiechu, choć to akurat żadna strata i nikt po nim nie zapłacze.

Wzruszył ramionami.

– To bez znaczenia. Cokolwiek byś uczynił, nie zaszkodzisz nam. Jeśli wniesiesz przeciw nim oskarżenie, stracisz jeno czas. Poniechaj tej sprawy, Ryksie, dobrze ci radzę. Tylko tyle chciałem ci rzec.

– Wiesz, gdzie mam dobre rady. Zwłaszcza twoje.

– Tracisz czas – powtórzył. – Daremny trud. Tym razem nie wygrasz. Nawet nie wiesz, kogo masz przeciw sobie. Uwierz mi i daj pokój.

– A jak nie?

– Ja umyję ręce, a ty się sparzysz.

– Trudno. Postaram się narobić wam tyle turbacji, ile zdołam i w końcu dojdę do tego, o co tu chodzi. Wiesz o tym.

– Wiem. I ufam, że jak wszystko pojdziesz, przyłączysz się do nas. Przydałbyś się. Coś podobnego! Grot proponujący mi współpracę, niebywałe.

– Nigdy nie było nam po drodze, Grocie, i wątpię, by to się kiedykolwiek odmieniło.

Zacisnął usta.

– Tedy strzeż się. Kto nie z nami, ten przeciw nam. Wtórego ostrzeżenia nie będzie.

Zajął się swoimi ludźmi, ja zaś wyszedłem przez boczną furtę w cmentarnym murze na wąską przecznę, biegnącą między nim a domem Zerwikaptur, łączącą ulicę Grodzką z Kanonną i tą ostatnią skierowałem się do domu. Przez całą drogę zachodziłem w głowę, o co w tym wszystkim szło. Grot miał pod swą pieczę bibliotekę w Bursie Prawników, kiedy spłonęła. On i jego kompani byli zamieszani w zabójstwa

zecera i rzezimieszka, oba mordy zaś wiązały się z księgami. Z kolei także księgi znikwały za przyczyną ludzi, którzy na nadgarstku nosili znak *trifolium*. Grot również miał taki; skoro wiedziałem, gdzie szukać, łącznie go wypatrzyłem na jego lewej ręce. Co więcej, nie trwożyło ich ani oskarżenie o kradzież, ani nawet o zabójstwa. Dlaczego? Grot wyraźnie dał do zrozumienia, że stoi za nimi ktoś możny. Kto? I dlaczego Grot uznał, że byłbym skłonny się do nich przyłączyć? Byłem bliski rozwiązania tych zagadek, potrzebowałem jednak jeszcze paru informacji, by mieć pełny obraz i pozbyć się wszelkich dubiów. Ale na wszelki wypadek odczekałem parę dni, nim znów podjąłem inwestygację, udając się w te same miejsca, co poprzednio, tyle że w odwrotnej kolejności.

Magister Jakub Bełzik, bibliotekarz z Kolegium Jurystów, nie patrzył na zbyt zaskoczony, gdy mi detalicznie opisał komiltonów Grota, widać na dobre uznał we mnie brata w herezji.

– To najzawziętsi papieżnicy na wydziale prawa – oznajmił i podał mi ich nazwiska.

Białowłosa zwał się Walenty Walawski, dryblas bez zęba na przodzie – Jerzy Dąbrowski, ów nijaki – Wojciech z Kłodawy, kędzierzawy – Hieronim Orzechowski. Scholarz z brodawką mistrz nie znał, lecz tego się spodziewałem – będąc gracjalistą w Kolegium Większym, studiował raczej *artes* albo teologię.

– Jest jeszcze Maciej Pieniążek, oni zawsze trzymają się razem. Na Dąbrowskiego i Walawskiego bywały już skargi. Obaj mieszkają w Bursie Kanonistów i zabawiali się w pierw rzucaniem kamieniami, potem strzelaniem z okien do przechodniów. Poranili kilka osób. Ale najgorszy z nich zwie się Grot. Jan Grot, syn rajcy krakowskiego – dodał.

– Znam go – odparłem. – On i jego ojciec jeszcze niedawno byli kalwinami, a Janek jako otrok chodził do szkoły kalwińskiej za Szewską broną. Konwertyci najczęściej bywają gorliwcami.

Zgodził się ze mną skwapliwie, co utwierdziło mnie w podejrzeniu, że sam od niedawna jest gorliwym wyznawcą jakiejś herezji. Mimo to obdarowałem go dukatem zaoszczędzonym na niedbaluchu Rypińskim. Magister z Collegium Minus też miał dla mnie ciekawe wieści.

– Dobrze, że was widzę, mistrzu. Przypomniałem sobie coś – rzekł na mój widok. – Niedawno był u mnie z listem instancjonalnym gracjalista profesora Janeczki, taki niemiły chłopiec z brodawką na nosie, i w imieniu profesora domagał się dostępu do legatu Macieja z Krainy. Po co kolegiatusowi z Kolegium Większego nasze marne zbiory? Toć i tak co ciekawsze księgi dawno pobrali do się – zakończył z goryczą.

– Czy ów gracjalista zabrał coś z biblioteki?

– Kilka ksiąg.

– Jakie?

Uciekł ze wzrokiem.

– Nie wiem.

– Nie wpisał ich do rejestru?

– Nie. Powiedział, że profesor odda je zaraz, jak tylko przestanie ich potrzebować. Profesor Janeczka wiele znaczył na uniwersytecie...

Pojąłem, że bibliotekarz wolał stracić powierzone sobie książki, niż narazić się na niełaskę ważnego i wpływowego kolegiatusa. Pewnie bał się, że mogłoby to zamknąć mu drogę do Collegium Maius. Musiało go jednak uwierać sumienie, skoro mi o tym powiedział, choć nie musiał. Podziękowałem mu, lecz następnego dukata nie dałem.

– Twój człek zwie się Jędrzej Chrzastowski – powitał mnie Maciek. – Studiuje teologię.

– Dobrześ się spisał – pochwaliłem go.

– To nie było nic trudnego.

– A jednak profesor Janeczka nie rozpoznał w nim jednego z zabójców zecera, choć Januszowski mu go detalicznie opisał.

Spojrzelśmy na siebie porozumiewawczo.

– Chrzastowski... Nic ci to nie mówi? – rzekł znaczącym tonem.

– CHR wypisane na ścianie przez Spytkę, o to ci idzie?

– Więc domyśliłeś się – mina mu się wydłużyła. – Nie Chrystus, ale zabójca. Tak jak tuszył pan Żółkiewski. Co robimy?

– Ty nic – odparłem. – Miej jeno nadal oczy szeroko otwarte i wypatruj ludzi z trzema złączonymi pierścieniami wykłutymi na przegubie, a równocześnie się ich wystrzegaj. Nagroda wciąż czeka.

Janek Januszowski od razu zorientował się, że mam coś dla niego.

– Opisz mi jeszcze raz tych dwóch – zażądałem. – Nie tego z brodawką. Pozostałych.

Gdy to uczynił, wyznałem:

– Znam nazwiska zabójców twego zecera. Ów z brodawką to Andrzej Chrzastowski, studiuje teologię. Drudzy są z wydziału prawa. Zwą się Jerzy Dąbrowski i Walenty Walawski. Myślę, że to Walawski zastrzelił chłopca. Lubi bawić się pistoletem. I zabijać, jak się zdaje, także.

– To pewne? Zatem zaraz wniosę oskarżenie przed sąd rektorski.

– Uczynić to, jestem ciekaw, czy to coś da.

Zmarszczył brwi.

– Dlaczego miałoby nie dać?

– Bo jak się zdaje, mają potężnych patronów.

– Kogo?

– Jeszcze nie wiem. Ale się dowiem.

Zaprosił mnie do swego kantorka na wino, po czym wypłacił sto dukatów. Wzbraniałem się brać, bowiem zdobycie nazwisk sprawców zbrodni nie było sztuką wartą takich pieniędzy, lecz tak długo nalegał, aż uległem. Pilnie potrzebowałem pieniędzy. Za to kupiłem u niego śliczny mały modlitewnik w fikuśnej oprawie sakwowej – chciałem przesłać go pocztą Jance, żeby mnie z kretelem nie

przepomniła.

Zamierzałem dowiedzieć się jeszcze, kto w mieście mógłby klwać znaki na skórze, ale nie przychodziło mi do głowy, jak to uczynić. Tymczasem odbyłem drugą z obligatoryjnych dysputacji poprzedzających medyczny bakalaureat. Wybrałem temat: „Jako ciała niebieskie wpływają na powstawanie chorób *alias* jaka pora jest najsposobniejsza do leczenia owych”. Nie dlatego żebym ufał w związek astrologii z medycyną, tylko ze względu na profesora Feliksa z Sierpca, który w to szczerze wierzył. No i przedobrzyłem – on wyjechał do Łowicza, a ja oto wygłupiałem się przed profesorem Pikusem Zawadzkiem, który jawnie drwił z takowego podejścia (ale Paracelsusa też nie uznawał, więc byliśmy kwita), dwoma nieznanymi mi medykami i paroma znudzonymi teologami.

– Naszym życiem rządzą planety i gwiazdy. Wielu lekarzy szydzi z tego. – Sam się do nich zaliczałem i na wszelki wypadek nie patrzyłem na doktora Pikusa. – A niesłusznie! – dodałem z mocą; jak szarżować, to na całego. – I ja owym niedowiarkom powiadam słowami Galena: *medici Astrologiam ignorantés sunt peiores spiculatoribus et homicidis* [54], że o Hipokratesie nie wspomnę. Każdy przecie wie, iż wielką epidemię czarnej śmierci w połowie czternastego stulecia spowodowała fatalna koniunkcja Jowisza, Saturna i Marsa z 24 marca 1345 roku.

Wcale w to nie wierzyłem, bo ojciec Roch, odrzucając najpopularniejszą teorię, że odpowiedzialni za to (jak i za wszystkie drugie plagi) byli Żydzi, wiązał tę zarazę z masą szczurów, które Genuieńczycy zawlekli do Italii z zapowietrzonych przez Mongołów okolic Morza Czarnego. Zaś na przykład sławny medyk Józef Struś domniemywał, iż kiła przenosiła się za sprawą żyjątek tak małych, że niewidocznych ani gołym okiem, ani nawet przy użyciu jednoocznego grubego okularu, niedawno wynalezionej *speculum lapideum*. Skoro franca przenosiła się tym sposobem, tedy i drugie choroby też mogły. Bardzo mi odpowiadała ta teoria, a tymczasem dalej robiłem z siebie błazna:

– *Membrum ferro ne percutito, cum Luna signum tenuerit, quod membro illi dominatur* [55]. Chirurgowi nie wolno obcinać członków, jeśli Księżyc podlega wpływowi Saturna i Marsa oraz znajduje się w znaku usuwanemu organowi odpowiadającemu. Tedy trzeba wprzódy poznać horoskop chorego i wstrzymać się od wszelkiego leczenia, aż do pory gdy gwiazdy będą w korzystnym układzie. Dlatego medycy z konieczności tak często bywają dobrymi astrologami.

– Zali każdej konstelacji zodiaku odpowiada jakaś część ciała? – zaciekał się jeden z teologów.

– Tak jest – potwierdziłem. – Przykładowo, skoro Księżyc znajdzie się w znaku Barana, w opozycji do Marsa i Saturna, tedy nie lza dokonywać zabiegów z głową, twarzą i oczyma; w znaku Bliźniąt – operować barków i rąk; Byka – szyi, karku i gardła; Raka – piersi, płuc i żołądka; Lwa – serca, pleców i wątroby; Panny – brzucha; Skorpiona – pęcherza, krocza, kręgosłupa i jajec; Wagi – piszczeli, łądźwi,

pępka i jelit; Strzelca – ud; Koziorożca – kolan; Wodnika – nóg; Ryb – stóp.

Gdym wreszcie zakończył te banialuki, zadano mi jeszcze kilka pytań i pogratulowano wystąpienia. Profesor Zawadzki puścił pozostałych przodem, sam zaś rzekł do mnie cicho:

– Znam cię jak zły szeląg, Kacper. Czy wierzysz choć w połowę tego, coś dziś tu bają?

Wiem, kiedy się trzeba przyznać.

– Ani w ćwierć, mistrzu.

– No to masz szczęście. Tedy jest nadzieja, że dopuszczę cię do licencjatu.

I tym sposobem, na inwestygacji i dopełnianiu powinności naukowych, czas zleciał mi tak szparko, że ani się spostrzegłem, jak nadeszły Gody. Od dawna już trwało szorowanie i pucowanie nie tylko izb mieszkalnych, ale całej gospody. Służba uwijała się jak w ukropie, sprzątając, piorąc i dokonując zakupów na targu. Oczywiście oprócz tych najważniejszych, których ciotka nikomu by nie powierzyła. Szedł z nią wówczas Niziołek, wracając podobny do jucznego wielbłąda. Co do mnie, to przypadło mi w udziale kupienie ryb, bez których nie byłoby Wigilii. Miałem znajome stularki *alias* modelnice, czyli żony rybaków okresowo trudniące się sprzedażą ryb w jatkach. Ryby zaś odławiano ze stawów znajdujących się Na Stróży za broną Wiślną, gdzie, łapano latem w Wiśle, były trzymane przez zimę w skrzyniach z otworami. Ponieważ cioteczki byle co nie zadowalało, musiałem wybierać ryby bardzo starannie. Najsampierw odrzucając te z obciętą przez urzędników targowych połową plusku lub całym, bo to oznaczało, że nie zostały sprzedane odpowiednio w ciągu jednego lub dwu dni. Te zostawiano biedakom albo wyrzucano. Ale nawet pośród świeżych wybór do łatwych nie należał. Jednak zajmowałem się tym już od ładnych paru lat i jak dotąd ciotka była ze mnie zadowolona. Nieduży sum, kilka dorodnych szczupaków i tyleż karpia, a wszystkie świeżutki – byłem rad z tegorocznego zakupu. Niziołek kopnął się na wieś po snopki, *pater* Roch przyniósł opłatki i można było przystąpić do wieczerzy wigilijnej.

To Janka, jako najmłodsza, zawsze wypatrywała pierwszej gwiazdy. Tym razem zajął się tym chłopak do wszystkiego, Głupi Jasio, umyty z tej okazji i w nowym odzieniu. Trwał z twarzą przyklepioną do okna, zabawiając się chuchaniem na kwiaty z mrozu, wreszcie zawołał:

– Jest! Widzę! Tam!

Siedzieliśmy wszyscy w świetlicy przy wielkim stole, nakrytym śnieżnobiałym obrusem z wiązką siana pod spodem, rodzina i czeladź pospołu, bowiem ciotuchna uważała, że tego dnia wszyscy bliscy powinni być razem. Z każdym też z jednaką powagą łąmała się opłatkiem, winszując zdrowia i wszelkiej pomyślności, i kładła rękę na głowie, gdyśmy po kolei schylali się ku jej dłoni. Izba była pięknie ochędożona – z pułapu zwieszał się strojny podłóżnik, w czterech kątach stały snopy niewymłóconego zboża. Po modlitwie zasiedliśmy do uczy. Był siemieniec z pęcakiem, rzepa suszona i gotowana, żur z grzybami, groch z kapustą, no i rzecz jasna

– ryby na rozmaite sposoby przyrządzone: a to szczupak z różną i drugi w żółtym (szafranowym) sosie, a to karp na niebiesko (sparzony wrzącym octem), drugi w szarym (a raczej brązowym) sosie uczynionym z cukru upalonego na karmel, jeszcze inszy – w białym, chrzanowym, albo uduszony w piwie, sum zaś, oczywiście – w kapuście, a śledzie – po polsku. A na wety kasza z suszem jabłkowym, gruszkowym i śliwkowym, kluski z makiem oraz ciasto z miodem.

– Nie pociągniesz źdźbła? – pochyliła się ku mnie moja mleczna siostra, Jadwiga, kiedyśmy już spożyli boże dary i popijali krupnik lub miód sycony, wedle uznania.

– Kacper coś smętny. Jak sobie powróży, to mu ulży – zgodziła się z nią Małgorzata, żona mego brata mlecznego, Andrzeja.

Oderwałem wzrok od pustego talerza dla gościa z Nieba lub ubogiego z ulicy. Nie wiem dlaczego, wciąż zdawało mi się, że czeka on na Jankę. Że dziewczka zaraz tu wejdzie i znów będzie jak dawniej. Wybaczyłbym jej nawet nieustanne drwiny i przytyki. Cóż... Żeby nie zawieść domowników, zamknąłem oczy i spod obrusu pociągnąłem jedno źdźbło siana.

– Zwiędłe! – zawołał Kajtek, mój chrześniak, pięcioletni syn Andrzeja i Margotki.

Zielone i świeże oznaczało rychły ożenek lub zamążpójście dla panny, przywiedle – starokawalerstwo albo staropanieństwo, ale mogło być gorzej – pożółkłe i suche wieszczyło śmierć.

– Niech wróży z kłosa! – uparła się Małgosia i skinęła na synka.

Malec pobiegł ochoczo, z pomocą Niziołka przydźwigał snopek z kąta i postawił przede mną, wołając:

– Ciągnij, wujku!

Pociągnąłem posłusznie. Jadwiga wysypała ziarno z kłosa. Jej mąż Michał porachował je.

– Siedem! – klepnął mnie w plecy; nieparzysta liczba ziaren znaczyła to samo co zwiędłe źdźbło. – Masz szczęście, stary. Ożenek ci długo nie grozi!

– Bacz, co mówisz! – żona dała mu prztyczka w ucho.

Od czterech lat byli przykładnym małżeństwem, lecz nie mieli dzieci. Dlatego Hedwiżka z zazdrością spoglądała na Kajtka i jego maleńką siostrę, śpiącą w ramionach Małgosi. Dziewki służebne zaczęły sprzątać ze stołu, by potem także zająć się wróżbami.

– Mogę zanieść resztki gadzinie? – ofiarował się Głupi Jaś, który z upodobaniem hodował króliki.

– Możesz – zgodziła się ciotka.

– A mogę trocha ostać w stajence?

– Chcesz posłuchać, o czym zwierzyzna prawy, zali też sobie pogadać? – zaśmiał się Nizioł. – Ino się z nimi nie powadź!

– Idź – rzekła cioteczka do Jaśka, gromiąc Niziołka wzrokiem.

– Ćwiczysz? – spytałem Michała, trącąc się z nim krupnikiem.

Był rusznikarzem, ale świetnie strzelał z łuku i kuszy, bo bardzo chciał zostać

Królem Kurkowym, co mu się też przed trzema laty powiodło, z moją, nie chwaląc się, drobną pomocą. Jednak nie powtórzył tego wyniku, choć za każdym razem był o włos.

– Nie. Skończyłem już ze strzałami i bełtami na dobre. Zaczekam, aż będziem strzelać do kura ze strzelb.

– To możesz sobie długo poczekać.

– Trudno.

– Dawno się nie fechtowaliśmy – wyrzucił mi Andrzej, miecznik i szpadnik zawołany, z którym ćwiczyliśmy szermierkę.

– Byłem zajęty...

– A czym to?

Musiałem im opowiedzieć. Akurat gdy kończyłem, wrócił Jasiek, ciotka kazała mu wziąć lutnię i zaczęły się kantyczki *vel* kolędy. Najpierw śpiewano tę:

*Boć było Boskie zrządzenie,
W Rzymie w Boże Narodzenie
Ciekł olej nad przyrodzenie...*

Potem tę długaśną, którą lubiłem jako dziecię, bo każda zwrotka zaczynała się na kolejną buksabę alfabetu i bardzo mnie to bawiło:

*Augustus kiedy królował,
Wszystkiemu światu panował,
Wszytek świat popisać dał,
A czynsz od każdej głowy brał...*

Jak zawsze, uczciwszy uszy obecnych, markowałem jeno śpiewanie, bowiem słoń mi na ucho nadepnął. Nikt też mnie do wydawania dźwięków nie przymuszał i słusznie, bowiem chcąc posłyszeć baranie beczenie, najlepiej pójść do stajni. Musiałem być mocno wypity, by pokusić się o coś na kształt śpiewu. Mimo to bardzo lubiłem słuchać, jak śpiewali drudzy. Kiedy skończyli *Anioł pasterzom mówił* i byli w połowie *Kiedy król Herod królował*, rozdzwoniły się wszystkie dzwony w mieście i wyszliśmy na pasterkę do kościoła Świętego Jana. Śnieg skrzypiał pod stopami, z rozgwieżdżonego nieba spadały białe płatki. Było cudnie, zgoła niezwykajnie i jakoś tak niezmiensko.

U wyjścia już miałem, jak drudzy, umoczyć palce w kropielnicy, gdym dostrzegł dwóch żaków (bardzo podobnych do moich utrapieńców ze szkoły duchackiej: Mikołajka i Egidiusza) chichoczących w kącie i coś mnie tknęło. Dlatego mogłem się pośmiać na ulicy na widok ludzi umazanych po twarzy inkaustem i jeno ze względu na dzień święty powstrzymujących się od złorzeczenia, choć nie wszystkim się to udało. I ja za chwilę śmiałem się z siebie razem z drugimi, kiedy okazało się, że psotni

żacy zszyli mnie za ubranie razem z Niziołkiem.

W świętego Szczepana ciotka ugadzała się ze służbą na przyszły rok, a ja, siedząc z drugimi przy winie, nie uczestniczyłem w rozmowie, jeno wspominałem, jak rok temu poszliśmy z Janką do prastarego kościoła Świętego Andrzeja na Grodzkiej ulicy. Podziwialiśmy tam figurki jasełkowe, które siostrą klaryskom podarowała królowa węgierska Elżbieta, siostra Kaźmierza Wielkiego. Janka i tak wołała większe i okazalsze jasełka u Franciszkanów, gdzie krowa i baranki były naturalnej wielkości i jak żywe. Wtem do domu weszli kołędnicy z turem kołędowym. Kiedyś chłopcy wiejscy nachodzili ponoć mieszczan z niewidzianym nigdy w miastach młodym turem, śpiewali kantyczki i dostawali dary, co właśnie kołędą obzywano, nim takż kantyczki tym mianem objęto. Dziś tura po lasach okrom mazowieckiej puszczy nie spotykano (mnie raz jeden udało się zoczyć bestię w Puszczy Niepołomnej), ale żacy ze szkół parafialnych nadal w oktawie Godów nachodzili domy z turem kołędowym *alias* turoń.

Było ich czterech. Dwóch umorusańców w kozuchach wiodło na powrozie trzeciego, przebranego za tura. Miał ci on narzuconą na głowę burą płachtę z dziurami na oczy, w rękach zaś dzierżył drąg z turzym łbem. Głowa tego tura z paszczkami z drewna była tak zmyślnie wyrobiona, że mogła kłapać żuchwą, z której wystawał czerwony jęzor. Czwarty kołędnik zagrał na skrzypicach, pasterze zaś zaśpiewali kantyczkę tak sędziwą, że już mało kto pojmował słowa:

*A czyżże to nowy trzem?
Ja obejdę okołem.
Nie mogłem tam naić dźwierzec,
Jedno małe okienko...*

I tak dalej w tymże guście. Zaś turoń w tym czasie kłapał szczęką, myszkował po kątach, ryczał, płatał głupie figle i wyśpiewywał na cały głos:

*Gdzie turoń chodzi, tam się żytko rodzi.
Gdzie jego stopy, tam będą kopy.
Gdzie zwróci rogi, tam wznoszą się stogi...*

Osobliwie uwziął się na moją osobę. Ku ogólnej ucieście trykał mnie dopóty, póki nie zemknąłem na schody. Ale i tam bestia nie dała mi spokoju. Jużem miał na niego huknąć, gdy pomiędzy jednym a drugim kłapnięciem posłyszałem cichy głos:

– Nie daj po sobie nic poznać. Coś się wydarzy na świętych Młodzianków, jeno jeszcze nie wiem co. Powiadomię cię, ale musimy być ostrożni.

Przebóg, to był Maciek Pająk! Zbiegł zaraz do swoich i wszyscy społem upomnieli się o datek:

– Maszli nam daci, nie daj nam długo staci, boć nas będzie uziąbaci. Skakały bosy

pod niebiosy, chciały kołacza i kielbasy.

Rzuciłem im dukata, podziękowali za podarze, ale dopiero gdy ciotka kazała im dać ciasta i szynki, wyszli ukontentowani, raz jeszcze dziękując gospodyni za kolędę.

Minęły święta, Andrzej i Michał z żonami i dziećmi wrócili do siebie, gospoda znów zapełniła się jak w każdy zwyczajny dzień, ja zaś czekałem niecierpliwie, nic innego nie mając do roboty, jako że wciąż trwała tygodniowa przerwa w zajęciach na akademii. Święto Młodzianków albo Dzień Niewiniątek, ustanowiony na pamiątkę pierworodnych dzieciak betlejemskich, które Herod kazał pomordować, przypadał 28 grudnia. Nazajutrz o zmierzchu zjawił się Maciek. Zanim podszedł do mnie, rozejrzał się po izbie uważnie i usiadł w najciemniejszym kącie.

– Nie mam dużo czasu – rzekł, chętnie wychylając piwo z garnca, który kazałem przed nim postawić, kiedy w mig pochłonął ogromną porcję bigosu. – Chyba nikt za mną nie szedł, lecz pewności nie mam. Mój Boże, człeku, co to się wczoraj około północy podziało w bursie! – Znów upił łąpczywie. – Miałem okropny sen. Śniło mi się, że tonę na środku jeziora. Ale przebudzenie było jeszcze gorsze. Ujrzałem nad sobą takich dwóch, uzbrojonych po zęby. Jeden zaciskał mi łapę, na której dostrzegłem znak potrójnych pierścieni, na gardle, a drugi...

– Jak wyglądali? – przerwałem mu.

– Mieli kaptury z dziurami na oczy i latarki. Ten drugi mierzył do mnie z pistolca...

– To mogli być Jerzy Dąbrowski i Foltyn Walawski. Z wydziału prawa. Niedawno zamordowali zecera z drukarni Łazarzowej. Należało ich posłuchać...

– A co myślisz? Ani mi do głowy nie przyszło, by się przeciwiać, zwłaszcza odkąd ujrzałem na ich rękach owe *signa*, których kazałeś mi wypatrywać. Polecili mi wyjść na korytarz, gdzie byli już drudzy bursarze. Wtedy spytali, kto jest dobrym krześcijanem i wierzy w Trójcę Świętą. Zgłosili się wszyscy, ale oni wybrali dwunastu...

– W tym ciebie?

– Tak. Powiedzieli, że byliśmy z dawna obserwowani i że poręczono za nas. Potem pozostałym kazali iść spać i nie wychodzić z izb pod żadnym pozorem, zaś nas powiedli do izby wspólnej, gdzie na wielkim stole paliły się trzy duże świece i czekali następni w kapturach, w tym ich hetman, taki wysoki, pleczysty. Wołali go Janek...

– Grot.

– Co?

– Nic. Praw dalej.

– Owi czterej trzymali pod bronią sześciu bursaków ze spętanymi rękoma. Ich hetman nazwał owych kacerzami i nieprzyjaciółmi Chrystusa i spoliczkował. Jego kompani zdarli tamtym giezła z grzbietów, a nam rzucili różgi i kazali bić heretyków, jak ich obzywali. Jeden odmówił. Tedy wódz rzekł: „Zawsze znajdzie się jakiś Judasz”, i dołączył onego do kacerzy. Kiedyśmy już ich tak pobili, że ledwo stali na nogach, a krew spływała im po płucach, ów hetman rzekł, że to stary zwyczaj,

ongiś w bursach szeroko praktykowany na pamiątkę świętych Młodzianków, i żeby się nie ważyli skarżyć, bo pożałują, iż się zrodzili, po czym zezwolił im odejść...

Z dawnych obyczajów uniwersyteckich niewiele ostało. Otrzęsiny były od lat zakazane i co prawda wciąż je praktykowano, lecz ukradkiem i w strachu przed karami, toteż nie tak powszechnie jak ongi. Co do bicia młodych scholarów *pro memoriam* rzezi Niewiniątek, to hołdowali temu Węgrzy i oni to do nas przynieśli, ale był to obyczaj tak okrutny, że sądy rektorskie pleniły go srodze, aż zanikł chyba już w połowie wieku, razem z Madziarami. Najwidoczniej Grot postanowił go wskrziesić dla swoich potrzeb.

– Myślisz, że mogłem odmówić bicia kolegów? – spytał, opacznie rozumiejąc moje milczenie.

– Nic byś nie osiągnął, pobiliby tylko i ciebie, jak owego, który im wierzgnął. Jeszcze zdążysz im dopiec i odpłacić, jeśli zechcesz, a teraz powiadaj.

– Potem kazali nam, wszystkim jedenastu, uklęknąć i wprzód wypowiedzieć na głos wyznanie wiary, potem zaś powstać i trzymając prawe ręce nad płonącymi świecami, złożyć *sacramentum fidelitatis* na ów trianguł obrazujący Trójcę Świętą. To jest, że będziem zawsze i wszędy strzec jedności boskiej w trzech osobach i kazić tych, co powiadają inaczej, gdziekolwiek ich napotkamy, tudzież wykonywać wszelkie polecenia starszych konfratrów z Sodalitas Trinitatis, do którego niniejszym przystąpiliśmy. Na koniec tamci zdjęli kaptury i dali nam do pocałowania ręce, na przegubach których mieli wykłute trzy złączone pierścienie, czyli *trifolium*, znak Trójcy. Zaraz potem poszli, mówiąc, iż do świtania muszą jeszcze nawiedzić drugie bursy, i przykazując, byśmy w ostatni dzień roku stawili się w izbie seniora, gdzie będzie nas czekał Krzych Żeglarz i dostąpimy kolejnego wtajemniczenia...

– A właśnie, gdzie podczas tego wszystkiego był nasz luby magister Kotarski?

– W obrządku nie partycypował, chyba stał na korytarzu i baczył, by nikt postronny nie opuścił swej izby.

Trudno było przypuścić, by senior nie wiedział, co dzieje się w bursie. Nawet jeśli nie był członkiem bractwa, musieli sobie zapewnić jego współpracę. To tłumaczyło, czemu pobłażał Spytkowi facimiechowi – bał się zemsty pozostałych. Niewykluczone, że i Spytek przyłączył się do bractwa z podobnego powodu – żeby mieć protektorów, bo jakoś nie podejrzewałem go o przejęcie się jakimikolwiek ideałami.

– Jednego z nich poznałem – rzekł Maciek na koniec, dosuszając dzban. – Miał brodawkę na nosie.

Opisał mi pozostałych, a ja pozbyłem się jakichkolwiek dubiów, jeśli kiedykolwiek je miałem: to był Grot i jego komiltoni. Pająk nie wiedział, kim był ów Krzych Żeglarz i co miał uczynić z nowo przyjętymi do bractwa, i trochę się bał, alem go przekonał, by na razie wykonywał posłusznie, co mu każą, przynajmniej dopóki nie przymuszają go do jawnej zbrodni. Ale tuszyłem, że wcześniej zdołamy się wywiedzieć, co Grot planuje na dał, i uda nam się pokrzyżować mu szyki. Na koniec

wypłaciłem obiecane pieniądze i ustaliliśmy, że spotykać się będziemy tylko w razie konieczności, by bez potrzeby nie wystawiać Maćka na hazard.

W gruncie rzeczy opowiadanie chłopca nie zaskoczyło mnie zbyt, bom czegoś podobnego oczekiwałem. Za to nazwisko Krzycha Żeglarza podsunęło mi *primo* domniemanie, co spotka Pajaka w ostatnim dniu tego roku, *secundo* – gdzie szukać człeka znajdującego się na wykłuwaniu znaków na skórze. Ale żeby się tam zapuścić, wolałem mieć przy sobie Niziołka. Toteż wyruszyliśmy dopiero nazajutrz po południu, gdy olbrzym odrobił się z drugich prac.

Przemierzyliśmy całe miasto, zdążając do furty Pobocznej u stóp zamku. Padał śnieg, skrzypiąc nam pod podeszwami butów, było rześko i całkiem przyjemnie. Przeszliśmy furte i skręciliśmy na Podzamcze, mijając po prawej stajnie królewskie przy stawach Na Groblach (aby konie miały się gdzie pławić), po lewej zaś, u stóp wzgórza wawelskiego, królewskie pralnie, królewski spichlerz, sześć dworów szlacheckich i dwa inne: królewski i kasztelański, posadowione pod samym zamkiem. Zeszliśmy ku zamarzniętej rzece, mijając gospodę „Pod Skałką” *alias* „Smoczą Jamę”, w której ongi poznałem Króla Żebraków, i poszliśmy ku nadrzecznej ulicy Rybaki, gdzie stały ubogie chatki rybitwów.

– Czego szukamy? – zaciekawiał się nareszcie Nizioł.

– Nie czego, tylko kogo. Żeglarza.

– Żeglarza? Majtka? Tutaj?

– A gdzie? Znasz lepsze miejsce?

– Zwierzyniec.

To prawda, na Zwierzyńcu, za portem rzeczny, mieszkali włóczkowie, spławiający drzewa od Tyńca do Krakowa na składy, czyli kaszty portowe Na Groblach za Podzamczem, a także w Kaźmierzu, Mogile i Niepołomicach, oraz flisowie *vel* oryle, którzy spławiali towary aż do Gdańska.

– Jak tu go nie znajdziemy, poszukamy tam.

Ale od razu w pierwszej chacie powiedziano nam, że owszem, Krzysztof zwany Żeglarzem, którego miano za przepadłego w szerokim świecie, niespodziewanie zjechał tej jesieni w rodzinne strony na hibernę, lecz większość czasu spędza w „Smoczej Jamie” i tam należy go szukać.

Było w naszym zacnym mieście karczem i gospód bez liku. Zarówno przyzwoitych, jak nasza „U Balcera” w Kąciaku czy „Pod Murzyny” na rogu Floriańskiej i Rynku, jak i pospolitych mordowni. „Smocza Jama” uchodziła, całkowicie zasłużenie, za najgorszą spelunkę, nawiedzaną głównie przez rybaków, flisów, włóczków i rozmaitych hultajów, lecz tutejszy zamtuż cieszył się wielkim wzięciem u zacnych mieszczan krakowskich, nawet patrycjuszy, bo też dziewczki wszeteczne trzymano tu najprzedniejsze w mieście. Wchód do tawerny znajdował się w drewnianej kleci przylepionej do białej skały wawelskiej, nad którą wznosił się mur opasujący całe wzgórze. Pchnęliśmy drzwi z grubych dranic, nad którymi sterczała wiecha zawieszona na żerdzi, i weszliśmy do środka. Drewniana szopa tonęła w

półmroku, gdyż światło wpadało tu jedynie przez niewielkie okna wypełnione półprzezroczystym natłuszczonym papierem lub rybimi pęcherzami. Jaśniej, zaciszniej i przede wszystkim cieplej było w głębi, przy ogromnym kominie, gdzie na obracanych rożnach piekły się poście mięsiwa. Toteż tutaj tłoczyła się większość gości.

Izba karczemna przytykała do wielkiej pieczary wyrobionej w skale, niegdyś ponoć siedziby smoka Holofagusa, rzekomo nękającego krakowian w pradawnych czasach króla Kraka, czemu karczma zawdzięczała miano. Usiedliśmy z boku, w półcieniu, bowiem przy ogniu brakowało już miejsca. Gorzałkę podawano tu podłą, lecz mocną i rozgrzewającą. Popijaliśmy i obserwowaliśmy, jako że lubiłem wyrobić sobie ogólny obraz przed przystąpieniem do roboty. W ciągu może kwadransa zza opony zasłaniającej otwór w skale tworzącej zadnią ścianę gospody wytoczono beczkę piwa, wyniesiono dwa antałki okowity, a trzy małpy zaciągnęły tam złowionych gości. Dziecko by wywnioskowało, że za kotarą mieścił się zarówno skład, jak i osławiony lupanar. Co ustaliwszy, jałem spod oka obserwować gości.

Pośród nich prym wiódł półnagi, ogorzały mężczyzna. Był niemłody, lecz potężnie zbudowany, łysy, z siwą, niechlujną brodą i złotym kółkiem w uchu. Rozpierał się, zajmując całą jedną ławkę. Na kolanie trzymał piersiastą dziewczkę, którą obmacywał lewą ręką, prawą ochotnie podnosząc do ust gorzałkę raz po raz, w przerwach zaś siłując się na rękę z kolejnymi gośćmi. Rozkładał jednego po drugim, zgarniając mińce i rycząc z uciechy, aż cała karczma się trzęsła. Jeden z pokonanych wyjął nóż i jał nim machać przed nosem swego pogromcy, lecz nim ów się ruszył, zza szynkwasu, z szybkością dziwną u tak ogromnego człowieka, kopnął się gospodarz, Mały Janek zwany Smokiem. Jak dziecięciu wyrwał i odrzucił nóż, po czym jedną garścią pochwycił awanturnika za kołnierz, bez wysiłku poderwał z miejsca, zaniósł ku drzwiom, otworzył je kopniakiem i po prostu wyrzucił tamtego w ciemność. Pechowiec z pewnością doleciał do rzeki, wiedziałem to, bo już kiedyś miałem styczność z Małym Jankiem, przemierzyłem podobną drogę co tamten i do dziś bolały mnie żebra na wspomnienie.

Po tym incydencie zabrakło chętnych do zawodów z łysym osiłkiem. Skinąłem na Niziołka, podnieśliśmy się z miejsca i dosiedliśmy do niego.

– Krzych Żeglarz? – spytałem jeno *pro forma*, spoglądając z ukontentowaniem na jego gołe ramiona i obnażony tors.

Na jednym ramieniu miał wykłutą okrętową kotew, na drugim syrenę lub inne morskie dziwo, na przedramionach węże i ryby, zaś pierś pokrywały przedziwne esy-floresy. To był mój człowiek.

– Krzych albo Chris, bo i tak mnie zwa. A kto pyta? – burknął, spoglądając na nas bystrze, jakby trunek, który nieustannie w siebie wlewał, nie robił na nim wrażenia.

– Ryx. Kacper Ryx. A to mój towarzysz Niziołek.

– Nie gadam z nieznanymi.

– Wždy właśnie się poznaliśmy.

Chwilę przetrwał w sobie tę konkluzję (drapiąc się w nagi czerep ręką, którą w tym celu zwolnił od miętoszenia piersi niewiasty siedzącej mu na kolanie), aby w końcu uznać jej słuszność.

– Czego chcecie?

– Informacji.

Oko mu błysnęło.

– Wprzód musiałbyś się ze mną popróbować na rękę, synku.

Obrzuciłem wzrokiem pełnym podziwu jego grube jak konary łapska.

– Uczynimy tak – zaproponowałem. – Mój druh się z tobą zmierzy, a ja cię potem wypytam.

Nie wyglądało na to, by moja propozycja zyskała uznanie. Zatrząś się ze śmiechu, aż piersi nierządnicy jęły podskakiwać jak żywe. Wtulił w nie łysą głowę i chwilę groteskowo podrygiwały trzy wielkie kule, dopóki nie odjął gęby czerwonej z rozbawienia i nie wykrztusił:

– Nic z tego, chłopaczku. Albo wygrywasz i pogadamy, albo do widzenia. Twego druha ostawiam sobie na wety.

Westchnąłem ciężko. Zdjąłem oponczę, rozpiąłem kubrak i podciągnąłem rękaw giezła. Poczulem, że za moimi plecami zbiera się tłumek ciekawskich.

– Jaka stawka? – spytałem.

– Po trojaku – niedbale przesunął palcem trzygroszowego mińca, zwanego też dudkiem, ze zgromadzonej wcześniej kupki.

– A może po półkopku? – zaproponowałem, kładąc na ławie talara.

Znów zaczął się śmiać, aż mu rysunki na torsie zafalowały.

– Zgoda, koguciku. Podobasz mi się. No, to do dzieła.

Wciąż się śmiał, gdyśmy kładli łokcie na ławie i splekli dłonie. Moja utonęła w jego wielkiej łapie. To znów go rozbawiło. Innych też.

– Gotów?

Ciągle wstrząsany paroksyzmami śmiechu, jakby od niechcienia przygiął mi dłoń. I wówczas zaatakowałem. Niziołek, który był moim preceptorem w tej zabawie, mawiał, by zawsze próbować zaskoczyć przeciwnika, a jeśli to się nie uda, zastosować drobne sztuczki, których też mnie wyuczył. Sam doszedłem do tego, że każdego można pokonać, jeśli się go zdenerwuje albo w inny sposób wytrąci z równowagi, dlatego postarałem się rozśmieszyć Żeglarza. Ani się spostrzegł, gdym docisnął jego łapsko do blatu. Gapił się na nie z niedowierzaniem, a uśmiech powoli spelzał mu z brodatego oblicza. Cała izba zamarła w niedowierzaniu, tylko Niziołek nie był zaskoczony i dał mi kuksańca.

– To jakieś frantostwo! – warknął Mały Janek i łapą jak bochen chleba sięgnął do mojego gardła.

Ale Niziołek był szybszy. Nie wstając z ławy, pochwycił rękę wielkoluda i po prostu odgiął ją jak wierzbową witkę.

– Zawody były uczciwe – orzekł.

Gdyby w zimie fruwały muchy, słyhać byłoby ich bzyczenie, taka panowała cisza. Miałem jeden pistolet zatknięty za pas z tyłu, a Niziołek drugi w cholewie buta, obaj niechętnie wprawę w takich sytuacjach, jednak mimo wszystko nie wyglądało to dobrze.

– Wszystko w porządku – powiedział głośno Krzych Żeglarz, zrzucił małą z kolana i cisnął jej parę monet, wypił duszkiem garniec piwa, po czym prasnął nim o ścianę, rozbijając w drobny mak, potoczył twardym wzrokiem po zebranych i huknął: – Co jest? Wynocha! Ty też odejdz, Janku, chcemy pogadać w spokoju.

Mały Janek zawahał się, spoglądając złowieszczco na Niziołka, który odpowiedział mu pogodnym uśmiechem.

– Trzy kubki gorzałki, jeśli łaska – zamówił.

Smok chciał coś rzec, lecz zmełł to w ustach i wrócił za szynkwasa. Po chwili duża czarna dziewczka z krągłościami we właściwych miejscach przyniosła nam okowitę, ocierając się przy okazji o Niziołka.

– Wypijmy – zaproponowałem, podsuwając kubek Krzychowi.

– Czego chcecie? – spytał ponuro Żeglarz, wychyliwszy trunek jednym haustem.

– Może tego? – wtrąciła się gamratka, podtykając Niziołkowi pod nos jędrną pierś; zaiste fama nie łgała, dziewczki mieli tu przednie.

Pochwyciłem łakomy wzrok Niziołka; ostatecznie on nie ćwiczył się tak pilnie w cnocie jak ja ostatnimi czasy i miał osłabioną odporność na niewieście wdzięki, bogać! – nigdy nie był na nie odporny. Przesunąłem w jego stronę oba talary i mrugnąłem. Uradowany, poderwał się z ławy i razem z dorotką wnet zniknęli za oponą.

– Skąd to masz? – pokazałem jeden z rysunków na ciele Żeglarza.

– Z Kanady. To kraj w Nowym Świecie. Tamtejsi indygeni, Indianami zwani, zdobią tą modą całe ciała.

– Skąd wzięłeś się w tej Kanadzie?

– Na francuskim okręcie.

– A na nim jakimże sposobem?

– Urodziłem się opodal, w rodzinie rybaka. Alem, od małego ciekaw świata, ledwie do lat sprawnych doszedłszy, przystał do włóczków. Wnet wszak znudziło mi się spławianie pni z Tyńca do Krakowa i takem ostał orylem – ożywiał się w miarę opowiadania; zamówiłem następną porcję gorzałki, którą w mig pochłonał. – Dwa lata żem woził towary rozmaite na tratwach lub skutach do Gdańska. Ale mi dojadła powrotna trybarka, a przy tym pokłócił żem się z retmanem, porzucił flis i zamustrował do „straży morskiej” na „Morskiego Psa”, jeden z siedemnastu okrętów kaprów królewskich...

Przerwał, znów rozglądając się za gorzałką. Zamówiłem, alem tym razem ulał ze swego kubka ukradkiem na polepę, bo mierzyć się w tym względzie z Żeglarzem, to jakby stawać w zawody ze spragnionym smokiem wawelskim w spijaniu wody z

Wisły. Zresztą nie było się czemu dziwować, przecież miałem przed sobą nie byle kogo, jeno kapra z „Morskiego Psa”! Rzeczpospolita, jako jedyne państwo z kęsem wybrzeża, nie miała floty wojennej, toteż musiała posiłkować się kaprami albo „strażnikami morskimi”. Nękali oni wraźych Dunów, Szwedów i Moskali, oddając najjaśniejszemu panu dziesiątą część łupów. W zamian otrzymywali listy kaperskie, czyniące z nich żołnierzy w służbie króla, co w razie niepowodzenia niekiedy ratowało im głowy.

Tymczasem Krzych chłonał trunek jak morski stwór gąbką zwany, o którym kiedyś słyszałem, i nadal nie wyglądał na pijanego. Nawet głos mu się nie łamał.

– To były czasy! Czyhalim koło Helu, napadalim i łupili okręty wszelkich nacji, zdarzało się, że i gdańskie. Toteż jego królewska mość przeniósł wkrótce flotę kaperską do Pucka i powołał Komisję Morską do sprawowania władztwa morskiego w imieniu króla, z panem kasztelanem i starostą gdańskim Janem Kostką na czele. Nie w smak to poszło Prusakom, a gdy jeszcze gdańszczany zwiedziały się, że król chce inkorporować Prusy Królewskie do Rzeczypospolitej, zaczęli wierzgać i szukać okazji do zwady. I kiedy jedenastu naszych poszło do miasta po spyżę, a zastawszy bramy zawarte, poturbowało nieco indygenów tamecznych, Kaszubów, i parę kur im zabrało, wielkie larum uczyniono. Zaraz ich pojmano, głowy ucięto i owe, w wieńce różane na szyderstwo przybrane, wbito na pale u bramy Wyżynnej... Kompaniona najlepszego żem stracił wondrous za sprawą owych zdradzieckich pruskich świń – tym razem głos mu zadrżał i znów przepił.

Przypomniałem sobie tę niesłychaną sprawę, głośną parę lat temu. Czyn gdańszczan był bowiem jeszcze gorszy niżli bezprawne skazanie na śmierć mego druha magistra Wolskiego przez krakowskich rajców z pogwałceniem praw akademii. Równie bezprawny, a przy tym naruszał majestat królewski i wypowiadał mu posłuszeństwo. Burmistrz i rajcy gdańscy przypłacili to więzieniem, lecz królowi nie udało się przed śmiercią ostatecznie poskromić krnąbrnego miasta.

– My zaś dalej czynilim swoje – ciągnął Żeglarz. – Aż razu pewnego przyszła kryska na Matyska. Zatopili nas Dunowie admirała Franka. Starszyznę obwiesili na rejach, prostych majtków zakuli w łańcuchy. W drodze powrotnej trafili wszak na sztorm, który wygnał ich w Morze Północne, gdzie zatonęli. Jam jeden ze wszystkich ocalał, wyłowiony przez francuskich rybaków z Bretanii, zdążających do Terre-Neuve [56], by łowić u tamtejszych brzegów wieloryby i dorsze. Ciężko ranion, nie poradziłem wrócić z nimi do Francji. Zostałem tedy na zimę u Indyjan, którzy mnie wykurowali i te znaki na ciele wykłuli. – Pokazał je z dumą. – A wiosną przybyli kupcy po futra i zamustrowałem na ich okręt. Pokazało się z czasem, że byli to korsarze z Roszelli, kaczerze. Roszellę właśnie obległy wojska królewskie, toteż popłynęlim do Anglii po broń, proch i kule. Tam żeśmy podzielili łupy. Akurat królowa Angielczyków, Elżbieta, wysyłała okręt handlowy do Narwy, ja żem zaś usłyszał, że król August buduje flotę wojenną i w Elblągu weneccy szkutnicy już

zwodowali wielką galeonę „Smok”, tudzież mniejszą fregatę, zaś admirał Matusz Scharping potrzebuje ludzi. Tom się zaciągnął na owego anglika jako kucharz, po ichniemu kuk. Ale gdym dotarł do kraju, król nie żył i nikt nie wiedział, co dalej ze sprawami morskimi. Tak i żem wrócił w rodzinne strony na hibernę – zakończył.

– A to skąd? – pokazałem złote kółko zwisające mu z ucha.

– Wszyscy kaprowie, inaczej korsarze, z Roszelli takie noszą – odparł z dumą. – A nawet brat króla Francji, Henryk z Anżu. Ale do rzeczy, synku. Co was do mnie przywiodło?

– Słyszałem, że umiesz klwać rozmaite *signa* na skórze.

– Skądęś słyszał? – posłał mi baczne i całkiem trzeźwe spojrzenie.

– Od kolegi ze studiów, co sobie trzy splecione pierścienie dał wykłuć.

– Też chcesz takie? Mogę zrobić na poczekaniu, potrzebne narzędzia mam tu. – Uniósł marynarski sak leżący przy nim na ławie.

– Ja nie, jeno mój druh. I nie taki pospolity, tylko o wiele zdobniejszy. O, coś w tym guście – pokazałem cyncastą syrenę na jego ramieniu.

Krzych co prawda nie miał nigdzie na ciele *trifolium*, przynajmniej tam gdzie wzrok sięgał, ale mógł sympatyzować z Grotem i jego zakapturzonymi chłopcami, wolałem więc nie ryzykować. Zamówiłem też następną porcję okowity. Oba posunięcia, jak się okazało, były właściwe.

– Od razuś mi nie patrzył na takiego, co by sobie trzy koła chciał wykłuć – rzekł.

– Czemu?

– Czy ja wiem... Tamci są równie młodzi, sami żacy, scholarzy, uczniowie cechowi i czeladnicy, ale jacyś insi niż ty. No i to ja idę do nich na wezwanie, a nie oni przychodzą do mnie.

– Sami młodzi, powiadasz...

– Bez wyjątku. Ten co nadaje mi robotę jest czarny, wysoki jak ty i pleczysty.

– Od dawna cię podnajmują?

– Od ładnych paru niedziel. Ten czarny był tu kiedyś, zobaczył to – wypiął pierś i naprężył muskuły, dumnie prezentując rysunki na ciele – i spodobało mu się.

– Wieluś oznakował od tamtej pory?

– Bo ja wiem... Kilkudziesięciu, może stu.

– Ciężko zrobić coś takiego? – zapytałem, aby nieco zamaskować zbytnie zainteresowanie Bractwem Trójcy.

– Można to uczynić na troje sposobów – ożywił się Krzych, dosiadłszy widać ulubionego konika. – Wpierw narysować na ciele figurę, potem drapać skórę ostrym narzędziem po wyrysowanych kreskach, a w podrażnioną skórę wcierać pigment, który, gdy rana się zablizni, ostanie w ciele na trwałe. Sposób wtóry nadaje się jeno do prostych wzorów. Oto bierze się nić sporządzoną ze zwierzęcego ścięgna, zanurza w pigmentie i za pomocą igły przeciąga pod skórą tak, jak idzie rysunek. Trzecia metoda jest najczęściej spotykana. Polega ona na nakłuwaniu skóry i napszczeniu farby. Indygeni z Kanady wcierają węgiel drzewny w nakłucia uczynione kościanymi

igłami albo kolcami stwora zwanego jeżozwierzem, albo pazurami sowy. Można także wymieszać farbę z soku z węglem i olejem. Wybór należy do was. Jenó musimy pójść do mnie. Im trudniejszy wzór, tym więcej wymaga czasu i spokoju.

– A wiele to kosztuje?

– Prosty znak parę groszy, ale taki jak ten – dotknął piersiastej syreny – najmniej talara... Nie. Dwa. Nie! – uderzył się dłońmi po udach i zaśmiał. – Uczynię to dla ciebie za darmo, jenó musisz mnie pokonać na rękę. Tym razem lewą.

Chytrze to sobie wykoncypował. Zazwyczaj ludzie lewe ręce mają słabsze, chyba że są mańkutami. Albo jak ja – ćwiczą szermierkę i równie dobrze władają lewicą jak prawicą.

– Zgoda – rzekłem. – Jeśli wygrasz, dostaniesz dukata.

– Ludziska! – ryknął. – Sam tu! Będzie widowisko! Ej tam, gorzałki! Szparko!

Za moimi plecami znów urósł tłum. Żeglarz wlał w siebie przyniesioną gorzałkę i przystąpiliśmy do rzeczy. Dwa razy karczma aż się zatrzęsała od wrzasków, gdy Krzych przyginał mi dłoń tak, że niemal dotykała stołu. Z kolei, gdym ja przeważał, ciżba milkła i słychać było skwierczenie łojowych świec i trzaskanie płonących polan w kominie. Nikt mi tu nie sekundował, lecz nie zamierzałem płakać z tego powodu. Byłem spocony z wysiłku, ale twarz eskapra aż ociekała potem i lśniła w mizernym świetle. Za trzecim razem dopiął swego. Izba oszalała, wszyscy na potęgę klaskali, wyli, gwizdali i tupali, po czym rzucili się klepać Żeglarza po szerokich barkach. Na mnie nikt nie zwracał uwagi, ale znosiłem to z godnością.

– Gorzałki dla wszystkich! – wrzasnął Krzych i rzucił Małemu Jankowi dukata, którego dostał ode mnie.

Ujrzałem Niziołka i dałem mu znak. Niezauważeni opuściliśmy gospodę. Zrobiło się późno i trzeba było mocno wyciągać nogi, by wrócić do miasta przed zamknięciem bram.

– Czemuś mu dał wygrać? – zapytał z pretensją w głosie, gdyśmy w zapadającym szybko mroku kroczyli zaśnieżoną ulicą Kanonną. – Po to cię uczyłem, jak wygrywać z osiłkami, co więcej krzepy mają niżli rozumu?

– Gdybym wygrał – odparłem, z przyjemnością oddychając świeżym powietrzem po zaduchu panującym w karczmie – on musiałby wykłuć rysunek na twoim ciele. Taka była umowa.

– Dlaczego na moim?

– A coś sobie myślał, że dla ciebie jenó rozkosze, a dla mnie ból i zeszpecenie na resztę żywota?

– Tedy słusznieś uczynił – pochwalił mnie łaskawie. – Wybaczam ci.

– Poza tym – dodałem – mamy teraz w Żeglarzu przyjaciela, a nie wroga. Kiedyś ta znajomość może się jeszcze przydać.

– Co racja to racja.

– Wyznam ci też w zaufaniu – zakończyłem – że on był, lekko rachując, ze dwa razy silniejszy ode mnie. Jak się na serio wziął do roboty, bałem się, iż mi urwie dłoń.

Po powrocie do domu miałem o czym myśleć. Sodalitas Trinitatis nie było małą grupką fanatyków. Z taką, nawet niebezpieczną, można by sobie łącznie poradzić. Turbacja polegała na tym, że była to partia licząca sobie co najmniej setkę współbraci, a może i więcej. Nawet jeśli wielu z nich przynależało do bractwa pod przymusem, to nie miało znaczenia. W razie czego ze strachu uczynią, co im się każe. Tylko jednego wciąż nie wiedziałem – co zamierzali, bo że nic dobrego, to było pewne. I po co im do tego księgi? Czuję przez skórę, że szykuje się większa awantura, może nawet nowy tumult, który wstrząśnie miastem. Przemknęło mi przez głowę, że mógłbym dopaść Grota albo którego z jego akolitów i zmusić do gadania, ale odrzuciłem ten koncept. Grot nie ruszał się bez obstawy, zaś inni już mnie znali i z pewnością mieli się na baczności. Cóż, pozostawała mi dalsza żmudna inwestygacja.

W Trzech Króli kochana cioteczka przypomniła mi o moich dwudziestych trzecich urodzinach. Znowu zebrała się cała rodzina, było najlepsze wino i pyszne ciasta. A potem przyszły takie mrozy, że nie chciało mi się wychodzić z domu, szczególnie iż zajęcia z profesorem Sierpcem zawieszono do odwołania. Wciąż bawił przy jego ekscelencji prymasie, ponadto był ponoć umierający. Mimo wszystko żałowałem go, ale i z góry cieszyłem się na wykłady doktora Foksa, który miał go zastąpić.

Spędzałem zatem sporo czasu w izbie karczemnej, lecz nie zjawiał się nikt, kto miałby sprawę do inwestygatora. Za to pospolitych klientów nie brakowało. Rozgrzewali się mocnymi trunkami i zawzięcie dysputowali o sejmie konwokacyjnym, robiąc zakłady, jakim sposobem będzie obran nowy król. Nie brałem w tym udziału – coś, na co nie miałem wpływu, nie zajmowało mnie wiele, albo i wcale. W połowie miesiąca, gdy zimno zelżało, udałem się z noworocznymi powinszowaniami do ojca Rocha.

– Czytaj – podał mi pismo.

Wziąłem kartę do ręki i rzuciłem okiem. Była to skarga do ratusza na prowizorów szpitala, rajców Marcina Urbankowicza i Gabriela Słońskiego, oskarżonych o defraudację. Za ich rządów nastąpiło bowiem „spustoszenie i pognojenie domów, izdeb, komnat i piwnic w tym to szpitalu”. Niemocnica nie nadawała się do użytku, izbę szkoły szpitalnej zalewała woda, chorzy i dzieci przymierali głodem. „Wielu z tego szpitala przed nędzą, głodem w mieście po gnojach i po ulicach leżeć muszą, a drudzy, a zwłaszcza dzieci i ubogie sieroty, przed głodem jako młoda krewkość czego złego dopuszczać się muszą, dlatego też do haniebnej a sromotnej śmierci siła ich przychodzi”.

– Zgaduję, że prepozytem został właśnie, o ile dobrze pamiętałem, Regiomontanus.

– Właśnie – rzekł z zadowoleniem, odbierając ode mnie pismo. – Jeśli to nie poskutkuje, oddamy sprawę do sądu.

Jak zawsze po swoich urodzinach, odkąd co nieco wpadało mi do mieszka, przyniosłem ofiarę na potrzeby szpitala. Poczuję się bowiem do datków na rzecz

sierot i podrzutków takich jak ja, które także jeno dzięki staraniom dobrych ojców duchaków mogły przeżyć i dojść w życiu do czegoś. Tym razem była to prawie cała nagroda, jaką otrzymałem od Januszowskiego. Ojciec Roch odłożył pękaty mieszek bez komentarza. Uważnie wysłuchał za to mojej relacji o Bractwie Trójcy.

– Dalej chadzasz na te dysputy do domu Bonerów za bramą Mikołajską? – spojrzał na mnie spod oka.

Zarumieniłem się. Na uniwersytecie z dawna nic się nie działo, wykłady z humanistyki na wydziale *artium* od lat były zawieszane, nieśmiertelny Arystoteles tryumfował, więc nieliczni humaniści, którzy jeszcze się ostali w naszym mieście, prowadzili wolne wykłady i dysputy. Miano ich za heretyków, łagodnie mówiąc – „nowinkarzy”. W większości zaś byli to jedynie zwolennicy Erazmusa z Rotterdamu i krytycy zastoju, który opanował naszą akademię. Kiedyś za sprawą doktora Pika Zawadzkiego znalazłem się pośród tych, którym sam wielki Retyk pozwolił przypatrywać się swoim obserwacjom astronomicznym i pomiarom geometrycznym prowadzonym w ogrodzie za domem. Stąd moja jako taka znajomość z tym wielkim mężem. Potem byłem tam jeszcze parę razy, spotykając Marcina Foksa i drugih medyków, dysputujących o doktrynie Paracelsusa, teorii kopernikańskiej albo nowinkach religijnych na Zachodzie. Nie czyniłem sobie z tego tytułu żadnych wyrzutów, bowiem moja wiara bynajmniej na tym nie ucierpiała.

– Owszem, a czemu pytasz?

– Bo chyba dobrze byłoby ostrzec twoich przyjaciół, chłopcze, że coś się przeciw nim gotuje, nie uważasz?

Jak zwykle miał rację. Postanowiłem tak uczynić przy najbliższej okazji, a tymczasem poszedłem do Januszowskiego, który aż kipiał ze złości i goryczy.

– Wystaw sobie – wykrzyknął, ledwośmy wymienili pozdrowienia i życzenia – zem jeszcze przed Godami wniósł przed sąd rektorski oskarżenie przeciw Walawskiemu, Dąbrowskiemu i Chrzastowskiemu o mord na moim czeladniku. I dziś dostałem odpowiedź. – Pokazał opieczętowany papier leżący na stole. – Chcesz, to sobie przeczcij.

– Nie chcę. Streść mi.

– Jego magnificencja uprzejmie powiadamia, iż sprawa ta mnie nie dotyczy i że wymienieni scholarzy wyparli się zamiaru zabójstwa i dali *verbum nobile*, iż nie opuszczą miasta aż do przyjazdu ojca zabitego chłopca, któremu jako najbliższemu krewnemu przysługuje prawo wniesienia skargi przed sąd rektorski. No, czemu nic nie mówisz?

– Spodziewałem się tego. I ciebie też uprzedzałem, pamiętasz?

– *Verbum nobile* morderców, paradne! Co to się ostatnio dzieje na uniwersytecie?! – złapał się za głowę. – Bez przerwy słyhać o wybrykach młodzieży. A to scholar, bawiąc się łukiem, skaleczył strzałą dziecię, a to kogoś spacerującego spokojnie podle Bursy Ubogich ciężko raniono w głowę kamieniem. Żacy w biały dzień urządzają na strażników miejskich istne łowy, wyprawiają się na wieś turbować

chłopów, jak to się zdarzyło w Łobzowie, uwalniają z pęt pracujących przy robotach więźniów, napadają na ratusz. A teraz z zimną krwią wypalili z pistoletu do mojego zecera, ubijając chłopca na miejscu. I to też ma im ująć bezkarnie? Nie pojmuję tego. O co w tym chodzi, Kacper?

Miał rację. Szczególne zdziczenie prezentowała młódź szlacheckiej proweniencji, butna i zuchwała, która z domu rzadko wynosiła coś więcej niż wszeteczeństwo, opilstwo i głupotę, a przy tym ogromne poczucie własnej wartości i wyższości nad niżej urodzonymi, ale i drudzy szli z nią w zawody. Akademia nie była bez winy. Z poszanowania wolności osobistej scholara uczyniono omal akt wiary, a sąd rektorski zazwyczaj uwalniał winowajców od kary (zresztą niewielkiej: grzywna plus dzień karceru) i ze wszystkich sił bronił sprawców przed słusznymi roszczeniami sądów grodzkich i miejskich. Za to, jeśli krzywda spotkała żaka, a trzeba dodać, że między scholarami a pachołkami miejskimi trwała nieustająca wojna, uniwersytet domagał się od ratusza czy grodu najsurowszych kar dla sprawców, łącznie z głową hutmana ratusznego.

– Pracuję nad tym – zapewniłem, bo co innego mogłem powiedzieć. – Zabójcy twego czeladnika należą do Bractwa Trójcy i sposobią się do wywołania w mieście większej awantury.

– I rektor akademii za tym stoi? – nie dowierzał.

– Tego nie powiedziałem. Wciąż wiem zbyt mało.

Myślałem, że uzyskam więcej informacji od Maćka, lecz do bursy wolałem nie zachodzić, a na uniwersytecie go nie znalazłem. Podobnie jak Antka, z którym także miałem do pogadania. Chciałem rozmówić się z rektorem, ale nie udzielił mi posłuchania. Profesor Glicjusz również okazał się nieuchwytny, a na Marencjusza dosłownie wpadłem któregoś dnia, wychodząc z wykładu doktora Foksa, który objął katedrę po zmarłym w Łowiczu Feliksie z Sierpca. Ale i Marencjusz wymówił się brakiem czasu i zemknął przede mną na piętro, bardzo rączo jak na czterdziestolatka.

– Antoś – rzekłem zniecierpliwiony, gdym w końcu dopadł druha. – Może ty wytłumaczysz mi nareszcie, czemu Marencjusz i Glicjusz unikają mnie jak diabli święconej wody?

Rozejrzał się szybko dookoła, po czym zaciągnął mnie w półmrok sieni.

– Słyszałem przypadkiem, jak rozmawiali ze sobą samoczwart. Oni, profesor Górski i Mikołaj z Bodzęcina.

– Rektor?

Kiwnął głową.

– Toć mówię.

– I o czym prawili?

– Nie wszystkim słyszał, bom przecie nie podsłuchiwał – zarumienił się. – Ale gadali o tobie i dlatego przystanął pode drzwiami...

– I cóżeś usłyszał? Powiadaj nareszcie!

– Niewiele... Jeno to, że trzeba cię trzymać z dala od sprawy z księgami...

– Tylko tyle? – byłem rozczarowany.

– Jeszcze profesor Górski czynił wyrzuty Glicjuszowi, że cię w to wciągnął, a... A potem ktoś przechodził mimo i musiałem odstąpić od drzwi.

Wymogłem na nim, że nadal będzie miał oczy i uszy otwarte. Obiecał mi to niechętnie i tylko ze względu na naszą starą przyjaźń. Wracając do domu, przystanąłem przy Brogu. Był to dom przy ulicy Świętego Jana [57], przezywany tak od szpiczastego, ostrosłupowatego dachu. Niedawno zakupiony przez kacerzy, służył za zbór kalwinom i lutrom pospołu, zjednoczonym wedle „konsensu sandomierskiego”, czyli ugody zawartej w Sandomierzu między wyżej pomienionymi, tudzież braćmi czeskimi, a z wyłączeniem braci polskich *alias* arian. Heretycka szlachta i mieszczenie trzymali się razem. Widywałem u Brogu przedstawicieli tak znamienitych rodów krakowskich jak Gutteterowie, Fogelwederowie, nie mówiąc o Bonerach i Decjuszach, a z magnatów Zborowskich czy Myszkowskich.

Stałem przed nim dłuższą chwilę i wahałem się. W końcu nie wszedłem. Bo i co miałbym powiedzieć ministrowi, czyli ichniemu księdzu? Że coś im grozi? To wiedzieli i beze mnie, bo z dawna ich atakowano, a nic pewnego wszak nie miałem. Dlatego poszedłem do domu.

Z Pajakiem spotkałem się przypadkowo dopiero w lutym, na ulicy Szewczej, Szwieckiej lub Szewskiej, bo rozmaicie ją przezywano. Pech chciał, że był to Tłusty Czwartek; kończył się z wolna mięsopust, przechodząc w ostatki zwane też zapustami. Właśnie skręcałem z ulicy w przeczną Żydowską wiodącą do Collegium Maius, gdy z tamtej strony pojawił się Maciek. Ale nie dane nam było w spokoju zamienić choć paru słów. Bo oto od brony Szewskiej, niczym morska fala, nadpłynął tłum rozochoconych niewiast, ogarnął nas i porwał ze sobą.

Był to prastary zwyczaj zwany babski comber, wesoła zabawa krakowskich przekupek i kramarek. Tego dnia wszystkie kumoszki, cudacznie poprzebierane, w roztańczonym pochodzie wlokły z Piasku na Rynek kukłę *alias* bałwana ze słomy. Po drodze zbierały datki, zaczepiały mężczyzn, wicherzyły im włosy, młodym, patrzącym na nieżonatych, wieńczyły głowy wieńcami z grochowin. Kobietom towarzyszyli podnajęci muzykanci, wygrywając skoczne melodie.

Jako dziecko spytałem kiedyś ojca Rocha, czemu ten zwyczaj zwał się comber. Nie umiał mi odpowiedzieć. Powiadał, że ponoć miało to przypominać burmistrza Combra, który ongiś tak źle rządził miastem, że gdy zmarł w zapusty, gawiedź rozszarpała go na strzępy. Słomiana kukła jakoby przedstawiała owego burmistrza. Ale, dodał, nigdy takiego burmistrza nie było, więc to wszystko między bajdy należało włożyć.

Anim się spostrzegł, kiedy pulchna blondyna (zgoła nie w moim guście) zarzuciła mi wieniec na głowę i pociągnęła za sobą, a drugiej ręki uczepliła się chuda ruda (raczej szpetna) i byłem unieruchomiony. Nieporadnie pląsając do wtóru muzyki,

której nie słyszałem, lecz wystarczyło dać się powodować tłumowi, byłem wleczony to tam, to sam, jak bezwolny tłumok.

– Ej! – usłyszałem nagle tuż obok.

Pająk! Czerwony na gębie, prawie niesiony przez jakąś potężnie zbudowaną niewiastę, krzyczał co sił, bym go mógł posłyszeć:

– Pomnisz tego scholara, o którym ci mówiłem?! Tego, co im odmówił bicia kacerzy?!

– Co z nim?! – odwrzasnąłem.

– Spadł ze schodów! Trup na miejscu! Nie ma świadków! Mam coś dla ciebie!

– Co?!

– Nie tutaj! Czekaj na mnie przed domem wieczorem w zapust!

– Dobrze!

Ledwo to powiedziałem, cały korowód wlał się w Rynek i rozdzielił na kilka nurtów, pociągając nas w dwie różne strony.

– Ejże, chłoptasiu, co masz taką smętną minę?! – dała mi kuksańca ta pulchna, a chuda podsunęła pod nos bukłak z syconym miodem, mówiąc:

– Naści, napij się!

Cóż było robić? Upiłem solidnego łyka. Potem następnego i kolejnego. Nie powiem, od razu jakoś łatwiej przebiegało mi się nogami w tańcu. Zresztą na trzeźwo nigdy się do tej mitregi nie zabierałem. Dziewki też nie były takie złe, czasem pierwsze wrażenie bywa mylne. Wirowaliśmy po całym Rynku, lawirując między kramami i jakimś cudem nie rozbijając sobie głów ani nie łamiąc rąk i nóg. Po drugim bukłaczku razem z innymi ryczałem na cały głos jakąś sprośną piosenkę. A potem, jak to miały tego dnia w zwyczaju, rozochoczone białki powlokły mnie i drugich do gospody. Nie bardzo pomnę jakiej, ale chyba do „Piwnicy Świdnickiej” pod ratuszem. Potem też nie bardzo pamiętam, co się działo. Piłem, wydzierając się na całe gardło i wycinałem hołubce na ławie, jak za dawnych czasów, zanim zacząłem się prowadzić cnotliwie dla Janki, o której po raz pierwszy nie myślałem wcale. Siedzący w pobliżu opój i łgarz nazwał moją białą towarzyszkę tłuściochem, a rudą płaską jak filc, no to dałem mu w gębę, aż się nogami nakrył. Na koniec, nie jestem pewien, albo sam zwałem się pod stół, ale raczej zostałem tam wciągnięty przez pulchną i chudą (zresztą, jak się okazało z czasem, jedna wcale nie była taka znów pulchna, druga bynajmniej nie taka szkieletowata) i chyba jeszcze jakąś trzecią. I zdaje mi się, ale też nie dam głowy, że bezwstydnie mnie tam zniewoliły. Chyba nawet po wielekroć; to razem, to każda z osobna.

Ale niczego nie jestem pewny, bom oprzytomniał nieco dopiero wówczas, gdy przed świtem wyrzucono mnie z tawerny i ciśnięto prosto w brudny śnieg. Powlokłem się do domu, padając po drodze na pysk najwyżej z pół tuzina razy. Szczęśliwie otworzył mi pocziwy Niziołek i od razu zaniósł do mojej izdebki, przez co oszczędziłem cioteczce mało budującego widoku. Jednak, gdym doszedł już całkiem do siebie, a stało się to dopiero następnego dnia, niczego nie żałowałem.

Właśnie tego mi było trzeba, żeby znów przez jakiś czas móc się oddawać „żywotowi człowieka poczciwego”.

Jedno dobrze pamiętałem – żem umówił się z Maćkiem na wtorkową noc przed Popielcem, poślednią noc mięsopustu, kiedy to po ulicach miasta, tuż przed północą, chodził Zapust, zaczepiając spóźnionych przechodniów. A takich nie brakowało, zaś nocne stráže na ogół nie interweniowały, jako że były to już ostatnie chwile zabawy przed Wielkim Postem. Nie mogłem się doczekać, bo nie na żarty zaniepokoiła mnie śmierć tamtego chłopca. Bractwo Trójcy było niebezpieczne, czuło się coraz pewniej, poczynano sobie coraz bezwzględniej i należało jak najszybciej położyć kres ich działalności.

Jak było umówione, w wigilię środy popielcowej wyszedłem nocą przed gospodę i przechadzałem się tam i sam po naszym Kąciku, pozornie bez celu, co przychodziło mi równie łatwo jak udawanie zamyślenia. Gdym sobie już starł nogi gdzieś do pół łydki, bacząc, by po ciemku nie pośliznąć się i nie wybić zębów na treacie, posłyszałem rumor od strony ulicy Floriańskiej. Wyjrzałem zza węgła i zoczyłem Zapustą, czyli człeka przebranego w barani kożuch czarnymi kudłami na wierzchu, w wysokiej szpiczastej czapie przybranej jedliną i kolorowymi wstążkami oraz z drewnianym toporem z dzwonkiem w ręku. Towarzyszył mu z latarką sługa w zgrzebnym odzieniu, wiodący osła.

Właśnie zaczęli tęgiego, dostatnio odzianego patrycjusza z jeszcze tęszą połowicą, którzy chyba dopiero co opuścili gospodę „U Strasza”, o czym świadczył dość chwiejny krok mężczyzny. Zapust zatrzymał ich swym toporem, po czym posypał popiołem z garnka podetkanego przez sługę, a na koniec złapał starą brzozową miotłę i jął oboje okładać, zapędzając do wielkopostnej pokuty. Niewiasta piszcziała, jej małżonek zaś śmiał się i sięgnąwszy do kieski, rzucił przebierańcom garść mińców i oboje potoczyli się do domu. Wtem sługa dostrzegł mnie, bom i wcale się nie kryłem, i Zapust zaraz podskoczył ku mnie z oracją:

*Ja jestem Zapust, mantuański książę,
idę z dalekiego kraju,
gdzie psy ogonami szczekają...*

– Dostałem już chrztu – podciągnął rękaw, pokazując wykłute *trifolium*. – Jakoś nie patrzysz na zdziwionego, spodziewałeś się tego?

– Domyślałem tylko.

– To szkoda, żeś mnie nie uprzedził. Bolało jak lichy.

– Miałeś wybór: mogłeś spaść ze schodów.

– To prawda – wzdrygnął się. – Oni nie żartują. Kazań nam się szykować na tumult.

– Kiedy?

– Nie wiem dokładnie. Ale była mowa o majówce i o wielkim stosie. I że

heretycy będą skwierczeć jak smażona słonina.

– Gdzie to ma się odbyć?

– Nie mówili nam. Ale jednemu wyrwało się, że stos będzie gorzeć jak prawy bróg, i wszyscy się zaśmiali, jakby powiedział dobry żart. Nie mam pojęcia, o co im szło, a pytać się bałem.

– Nie szkodzi. Ja wiem.

Skinął na swego towarzysza, który razem z osłem zbliżył się ku nam i podsunął mu garniec z popiołem. Mógł sobie darować, ale nie, obdarzył mnie wyjątkowo hojną porcją, aż zacząłem kichać. A potem zaczął okładać miotłą, szepcząc między jednym a drugim razem:

– Nie możemy się więcej spotykać. Przynajmniej na razie. Mam stracha.

Odparłem mu w ten sam sposób:

– Dobrze. I nie udawaj bohatera. Rób, co ci każą.

Na koniec darowałem im garść miedziaków, a Maćkowi ukradkiem wsunąłem w dłoń dukata. Gdy wracałem do domu, przebiegło mi przez myśl, że moi druhowie, Staszek i Maciek, choć tak różni, jednaki mają talent komediancki. Przypadek czy ciągną błazny do swego? Szedłem spać rad z siebie i z Pająka. Wiedziałem już wszystko. Lub prawie wszystko. W każdym razie dość, by wszcząć odpowiednie kroki.

ROZDZIAŁ 6 | STOS

Warszawa, kwiecień / maj 1573 roku

Ponieważ miejsce elekcji wyznaczono na prawym brzegu Wisły, opodal wsi Kamień, po sławnym moście Warszawskim, postawionym jeszcze przez Zygmunta Augusta, a wykończonym na dniach staraniem infantki, 5 kwietnia od Warszawy strojno i zbrojno ciągnął mnogi tłum szlachty z całej Rzeczypospolitej.

Most był tym sławniejszy, że jak głosiło porzekadło, były dwie rzeczy nieistniejące w owym czasie: „Polski most i niemiecki (protestancki) post”. U jego wylotu, na lewym brzegu, królowna kazała wznieść kamienną basztę, wysoką na trzy piętra, z dwiema strażnicami dla wypatrywania pożaru, i zaopatrzyła ją w tablicę z inskrypcją sławiącą to wspólne dzieło ostatnich Jagiellonów [58].

Jak potem obliczyli rachmistrzowie, samych uprawnionych do głosowania stawiło się czterdzieści tysięcy (i co najmniej drugie tyle służby), w tym dziesięć tysięcy ubogich Mazurów – rozjątrzonych, gdyż zaraz na początku elekcji senatorowie, obradujący w namiocie zwanym szopą, usiłowali obalić zasadę *viritim* i nie dopuścić do głosowania mas szlacheckich z wyjątkiem ich reprezentacji.

Wówczas to Zamojski znakomicie wyczuł i wykorzystał swą szansę. Dotąd mało znaczący starosta bełski, twardo i publicznie broniąc zasady *viritim*, na dobre i na zawsze zaskarbił sobie miłość mociumpanów i został niekwestionowanym trybunem szlacheckim, z którym odtąd musieli się liczyć najpotężniejsi magnaci.

– Mój Janie, podbiłeś ich serca z kretesem – powiedział z podziwem Żółkiewski.
– Kto wie, może to ciebie obiorą królem? – dodał półzartem.

– Jeszcze nie teraz – odparł równie lekko Zamojski, z wielką cierpliwością przyjmując zewsząd gratulacje i ściskając setki rąk, z tego wiele brudnych jak święta ziemia. – Ale na dal, kto wie?

Na razie jednak twardo optował za królewiczem francuskim, który między innymi dzięki temu i wyraźnemu poparciu Anny Jagiellonki zyskiwał coraz więcej zwolenników. Niemalże zdziałał też biskup Montluc, któremu, jak i innym posłom cudzoziemskim, wreszcie zezwolono na przyjazd do Warszawy i agitację. Sprytny biskup wynajął zdolnego pisarza, niegdyś sekretarza króla Augusta, księdza Jana Dymitra Solikowskiego, który pod jego dyktando zasypywał całą Polskę ulotkami zachwalającymi francuską kandydaturę.

Toteż szybko upadła wysunięta przez Litwinów kandydatura wielkiego księcia moskiewskiego, Iwana Groźnego („Tyraństwo a *bestialitas* wrodzona!”); „Piasta” w rozumieniu któregoś ze śląskich potomków dawnej polskiej dynastii lub jakiegokolwiek indygena („Skoro sowa zjastrzębieje, wyżej zechce latać niżli sokół!”); na koniec najpoważniejszego rywala Henryka d’Anjou, młodego arcyksięcia Ernesta Habsburga („Królowna Wanda nie chciała Niemca i my takież”, „Póki świat światem, nigdy Niemiec nie będzie Polakowi bratem!”, „Nie chcemy Rdesta!”, „Precz z Agrestem!”). Tym sposobem liczył się już tylko jeden kandydat – Henryk Andegaweński.

– Niech nam żyje i panuje księżę andegaweńskie!

A Mazurzy przekręcali tytuł księcia po swojemu, na bardziej swojski:

– *Vivat* pan Gaweński!

9 maja, w sobotę, około północy, zaraz po podliczeniu głosów, prymas Jakub Uchański, na czas bezkrólewia pełniący stanowisko interreksa, z nieco kwaśną miną, jako że sam był cesarskim stronnikiem, zakrzyknął:

– *Habemus regem, habemus regem, habemus regem!* Mamy króla i jest nim księżę andegaweński!

Gruchnęły wiwaty, zagrały trąby i tarabany, huknęły działa, po czym udano się do kolegiaty warszawskiej na nabożeństwo dziękczynne.

Warszawa, maj 1573 roku

– *Eureka!*

Wpadł jak bomba, wyrywając się usiłującemu go powstrzymać marszałkowi dworu.

– Cożes pan takiego znalazł? – śmiała się Janka, nie wzbraniając mu bynajmniej, gdy na powitanie z zapalem obsypywał jej dłoń pocałunkami.

– Wiem już, co to jest! – wyjął z zanadza skrawek materii i oddał dziewczynie. – To Nieczuja *alias* Ostrew *vel* Pień! W polu czerwonym pień dębowy z wbitym weń mieczem zwieńczonym krzyżem złotym... O, tu – pokazał palcem – widać resztki krzyża, a tu, z prawej, trzy sęki, po lewej winny być dwa, lecz do cna się starły...

– Nie ma żadnego *dubium*? – pytała nieco oszołomiona.

– Żadnego! Ręczy za to pan Paprocki, a on zna się na tym jak mało kto. Pojmujesz, waćpanna? Jesteś spokrewniona z Chłopickimi, Dobrowolskimi, Wapowskimi, Gładyszami, Ostrowskimi, Starzechowskimi, Kochowskimi, Łomnickimi i innymi zacnymi rodami... Wypytałem już chyba połowę z nich, Janek Zamojski, którego obraca się między senatorami, także nie próżnuje. Na razie nie ma efektusa, ale to jest kwestia czasu.

Uradowana, nie zważając na to, że czujna jejmość Żalińska już się pojawiła i gapiła na nich swoim wzrokiem, wspięła się na palce i pocałowała Staszka w policzek. Zarumieniła się jak panienka.

– Jakże ja się właściwie odwdzięczę za tyle starania... – szczerze czuła wdzięczność, a może i nie tylko, czekała jedynie na odrobinę zachęty z jego strony, jakiś śmielszy gest świadczący o czymś więcej niż sympatii; była gotowa go odwzajemnić, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Największą nagrodą jest dla mnie widzenie waćpanny – odparł i dodał posmutniały: – Tymczasem przybywam także, by się pożegnać. Wyznaczono już posłów, którzy lada dzień ruszają do Francji. Janek Zamojski jest wśród nich, a ja będę mu towarzyszył.

– Będę niecierpliwie wypatrywała powrotu waszmości.

Odchodząc, usłyszał, jak gruba ochmistrzyni szepcze do wymuskanego młodzika, który się przy niej objawił:

– Słyszałeś? To Nieczujanka... No, no.

Już sięgał do klamki u drzwi wyjściowych, gdy poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił się. Przed nim stał ów strojniś, którego wcześniej zoczył.

– Mój panie – rzekł tamten, patrząc na niego bezczelnym wzrokiem – twoje wizyty nie są tu mile widziane. Tuszę, iż ta była ostatnią.

Bywał nieśmiały tylko wobec niewiast. Nawet nie pofatygował się strząsnąć ciężkiej mu na ramieniu ręki. Zamiast tego wysunął z pochwy szablę, której rękojeść podsunął fircykowi pod nos.

– Czujesz, acan? – powiedział, nie podnosząc głosu. – Bacz, byś nie powąchał żelaza. A na dal zakarbuy sobie w pamięci, że Żółkiewscy robią, co chcą, i nikogo o pozwolenie nie proszą. Z drogi!

Przestraszony panek odskoczył jak oparzony.

Warszawa, maj 1573 roku

– Służę.

Postawny młody człowiek roztrzącił na bok innych młodzieńców spieszących z taką samą przysługą, w tym Jana Żalińskiego, i wyciągnął w jej stronę dłoń kapiącą od święconej wody zaczerpniętej z kropielnicy.

Dopiero gdy napierający z tyłu tłum wypchnął oboje z katedry, mogła mu się dokładniej przypatrzeć. Był naprawdę młody, chyba nawet odrobinę młodszy od Kacpra i Staszka, lecz wyglądał poważniej od nich. Sprawiała to podgolona wysoko głowa z kosmykiem włosów zawadiacko opadającym na wysokie czoło, bujny wąs i broda, a także blizna biegnąca w poprzek policzka. Wyraz pociągłej twarzy miał zuchwały, czarne oczy rzucały niepokojące błyski.

– Mój panie! – jejmość Żalińska, zaganiająca swoją trzódkę jak najczujniejszy pies pasterski, nie posiadała się z oburzenia. – Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele! To są dwórki z fraucymeru królowej, a nie dziewczki wszeteczne!

– Daruj jejmość – ściskając kołpak w rękę, młodzian rzucił się do tłustej dłoni z paluchami jak gzelce. – Nie chciałem nikogo urazić. Pani kasztelanowa Żalińska, jak mniemam? Pozwól, że się zaprezentuję: urodzony Stanisław Stadnicki herbu Szreniawa, rotmistrz królewski. Macierz moja, Barbara, właśnie zjechała do Warszawy i stanęła kwaterą opodal Jazdowa. Kmotrzyłyście się ponoć wielce podczas wspólnej służby u królowej Bony. Niestety, matka słabuje na nogi i dlatego proszę, bym przekazał od niej uszanowanie. Zatem padam do nóżek i o zmiłowanie proszę, jeśli w czymkolwiek uchybił jejmości lub jej podopiecznym.

I nie zwlekając, wcielił swe słowa w czyn, padając na kolana na środku zakurzonej drogi.

– Ach, Basia... Pamiętam – ochmistrzyni zdobyła się na uśmiech i życzliwiej spojrzała na młodzieńca, choć Janka była gotowa iść o zakład, że nie pamięta żadnej Barbary. – Powstań, mości Stadnicki, wybaczam ci. Pozdrów ode mnie macierz. Moje panny, idziemy!

Czereдка dwórek odmaszerowała karnie za srogą ochmistrzynią jak za panią matką. Żadna, z wyjątkiem Janki, nie odważyła się nawet spojrzeć na przystojnego szlachcica. Pochwyciwszy jej wzrok, uśmiechnął się i lekko skłonił.

W nocy nie mogła zasnąć, wciąż stał jej w oczach obraz Stadnickiego, równie strojnego jak Żaliński, ale mniej fircykowatego (może sprawiał to polski strój – żupan i kontusz) i o wiele bardziej męskiego, nawet od Żółkiewskiego. No i to palące spojrzenie, pod którym czuła się nieswojo, lecz równocześnie ekscytująco. Stachnik Żółkiewski nigdy tak na nią nie patrzył, a szkoda. Poza tym bywał na zamku coraz rzadziej, zaabsorbowany przygotowaniami do rychłego wyjazdu do Paryża po króla.

Od tamtej pory nie było prawie dnia, by Stadnicki nie pojawiał się na zamku pod lada pretekstem, coraz jawniej okazując jej swoje zainteresowanie, a w końcu otwarcie emablując. Żalińska początkowo patrzyła krzywo na te umizgi, ale młody szlachcic wciąż znosił jej drobne upominki, a wreszcie obdarował ochmistrzynię, jakoby w imieniu matki – „przez pamięć na dawne czasy” – cennym naszyjnikiem i całkowicie ją podbił.

Janka także nie była już tą zahukaną osobą z początku swego pobytu na dworze. Gwarancja dobrego pochodzenia dodała jej pewności siebie, której zresztą nigdy jej nie brakowało z natury. Zawsze czuła się inna, lepsza od otoczenia. Najpierw u

Cyganów, potem w Krakowie, a teraz w Warszawie. Żadna z dwórek nie dorównywała jej ani wykształceniem, ani inteligencją, ani (falszywa skromność była jej obca) urodą. Ustępowała im jedynie pochodzeniem i to, niestety, okazało się najważniejsze. Ale teraz to się zmieniło i życie dworskie, nawet na tak mizernym dworze, wreszcie nabrało barw. Czowała, że tu jest jej miejsce. Nie w gospodzie u Balcerów, choć tam spotkała się z życzliwością i miłością, zwłaszcza ze strony ciotki, czego tu nie doświadczyła wcale. Wyzwoliła się za to z paralizującego lęku przed wszechwładną panią starą, ta zaś w stosunku do niej jakby złagodniała. Swoje uczyniło odkrycie dokonane przez Żółkiewskiego, nie bez znaczenia było również i to, że protektor Janki, Zamojski, stale szedł w górę. Adoracja ze strony Stadnickiego imponowała Jance, bo także przydawała jej znaczenia i powagi. Z zebranych tu i ówdzie okruchów informacji, gdyż nie śmiała wypytywać wprost ani za bardzo nie miała kogo, zorientowała się, że Stadniccy to ród nie byle jaki, skoligacony z jeszcze znaczniejszymi. Miło łechtало jej próżność, że ktoś taki okazuje jej tyle uwagi. Ba, niekiedy wręcz pożerał ją zachwyconym wzrokiem, aż czuła się w jego przytomności jak naga. Czasem podchwytowała zazdrosne spojrzenia drugich dwórek i to także nie było niemiłe.

Tymczasem Stachnik Żółkiewski nie pojawiał się od dziesięciu dni. Tęskniła za nim jak za dobrym przyjacielem, lecz Stadnicki działał na nią w zupełnie inny sposób. Nie mogła się już doczekać, kiedy się zadeklaruje. Czowała, że nastąpi to wkrótce, i była prawie pewna, że go przyjmie. Z jednej strony wzbudzał w niej nieokreślony lęk, z drugiej – bardzo pociągał. Kiedy jej dotykał, niby przypadkiem, bo czujna ochmistrzyni nigdy nie zostawiała ich samych, czuła żar z trudem skrywanego pożądania bijący od niego i ogarniało ją drzenie. Stachnik Żółkiewski nigdy tak na nią nie działał. Joanna Stadnicka. Smakowała dźwięk tych słów. Brzmiały dobrze.

Kraków, maj 1573 roku

Wstał cicho i ubrał się. Przyjrzał się nieprzytomnej. Dogasające polana w kominku oświetlały ją ostatnimi błyskami. Już go nie podniecała jej nagość. Znów to samo. Straszliwe pożądanie nękające go całymi miesiącami, latami czasem, i obojętność po spełnieniu. Teraz też cały dygotał, ale to było inne pragnienie. Zadrzał. Musiał to zrobić. Już. Teraz. Dyszał coraz szybciej, podniecony do ostatnich granic. Sięgnął do cholewy buta, wy dobył narzędzie podobne do noża i wbił kobiecie pod serce. Strumyczek krwi rażno popłynął z piersi niewiasty. Wyzuty z sił opadł na wznak i leżał bez ruchu na brudnej podłodze, przeżywając wszystko jeszcze raz i pociągając wino z flaszki, którą ze sobą przyniósł.

„Ty? Skąd masz klucz? On ci go dał?“, powitała go zaskoczona, półgoła, szykując się do spania. Gdy pojęła, o co mu idzie i że nikt go nie przysyłał, wyśmiała

go z bezbrzeżną pogardą: „Wynoś się stąd, ty bestio! Wszyscy wiedzą, żeś niezdolny do chędożenia, póki dziewczki prawie na śmierć nie zatłuczesz! Nawet do najpodlejszych zamtuzów już cię nie wpuszczają”.

Miała rację, ale tylko go rozjuszyła. Pochwycił ją za szyję i ogłuszył. Potem zrobił swoje, raz i drugi. Dokładnie tak, jak to planował od ilu... ponad czterech lat. A teraz zabił tę kurwę. Co za rozkosz! Nieporównywalna z niczym drugim. Niepokojące było jedynie to, że przemożna chęć zabijania nachodziła go coraz częściej. Pierwsza była ta słodka blondynka przed laty. To był przypadek. Cudem się z tego wywinął, kto inny dał za to głowę, i chyba już wtedy wiedział, że na tym jednym razie nie poprzestanie. Wytrzymał ponad dwa lata. A teraz był czwarty raz, ledwie parę miesięcy po poprzednim. Za szybko. Musi uważać i bardziej nad sobą panować. Ochłonawszy, wstał, otarł narzędzie mordy w kobierzec i schował z powrotem do buta. Rzucił okiem na drzwi i zauważywszy, że są dokładnie na wprost kominka, zrolował kobierzec z ciałem w środku i przeniósł na łóżko. Im później zbrodnia zostanie odkryta, tym lepiej dla niego. Wytrząsnął zwłoki, dywan znów zwinął i wepchnął pod łożo. Zapalił lichtarz i dokładnie sprawdził, czy nie zostawił czegoś kompromitującego. Odciął kosmyk włosów kobiety, zwinął na palcu i wsunął w zanadrze. Zdmuchnął świece, zamknął drzwi na klucz, który wrzucił za pazuchę, obok tego od bramy, i bezszelestnie zszedł po schodach. Dobrze znał drogę, więc mimo ciemności nie potknął się ani razu. Do świtu brakowało godziny.

Po powrocie wziął ze stołu niedawno wyrzeźbioną figurkę, zrzucając wióry na zaśmieconą i bez tego podłogę, po czym przybił ją dłutem do drzwi, obok trzech innych. Z glinianego garnca nabrał w garść mąki, napluł i roztarł maź na główce kukielki, a następnie przykleił do niej kosmyk zabrany ofierze. Pozostałe łątki były blondynkami.

Warszawa, czerwiec 1573 roku

– Joanno!

Boże, jak nie cierpiała tego skrzekliwego głosu. Odłożyła robótkę i posłusznie poszła na wezwanie. Ochmistrzyni nie była sama i tym razem nie towarzyszył jej syn, lecz ktoś, na widok kogo żywiej zabiło jej serce. Stadnicki! Ale jakiś odmieniony. Jeszcze strojnziej odziany niż zazwyczaj, z uroczystym wyrazem na drapieżnej twarzy.

– Joanno, pan Stadnicki ma ci coś ważnego do powiedzenia.

– Panno Joanno... – młody szlachcic, z dziwnym u niego zakłopotaniem, miętosił w dłoniach kołpak. – Zazwyczaj nie brak mi śmiałości, lecz w tej chwili jakoś nie znajduję właściwych słów...

Pojeła w jednej chwili i ogarnęła ją fala radości. Nareszcie! Z emocji zrobiło jej się słabo i chętnie by usiadła, jednak nikt jej tego nie proponował. W końcu

ochmistrzyni, której rola swatki najwidoczniej przypadła do gustu, wybawiła oboje z turbacji.

– Joanno, pan Stadnicki chciałby zapewnić cię o swoim szczerym afekcie i zaprezentować swojej rodzinie. I cóż ty na to, moje dziecko?

Słodycz w głosie pani starej wydała jej się podejrzana, ale tylko do chwili gdy na grubym paluchu Żalińskiej dostrzegła nowy pierścionek, szczerozłoty, z wielkim rubinem rzucającym krwawe błyski.

– Nie wiem... Ja właściwie nie znam waćpana... To zbyt nagłe...

– Wyzbądź się obaw. Oto dowód moich poważnych zamiarów – przykleknąwszy na jedno kolano, Stadnicki podał jej puzderko z kości słoniowej, wysadzone drogimi kamieniami i perłami.

Otworzyła je. Wewnątrz migotał przepiękny pierścienek cudnej roboty z ogromnym szmaragdem.

– Jak twoje oczy – rzekł, patrząc na nią z uczuciem, któremu nie sposób było się oprzeć. – Moja matka go wybrała.

Pociągnął ją do okna.

– Spójrz. Czeka na nas. Jejmość Żalińska łaskawie zgodziła się, byśmy zabrali cię pod Jazdów na obiad.

Na placu zamkowym, dokładnie na wprost okna, przed którym stali, widziała poszostną kolasę z woźnicą w liberii na koźle. Z karety wychylała się siwowłosa matrona w czepcu i podwice. Mimo wieku musiała mieć dobry wzrok, bo ujrzawszy ich w oknie, podniosła dłoń w powitalnym geście.

– Biedaczka nie może się ruszać, ale bardzo pragnie cię poznać.

– Kiedy ja – wyjąkała oszołomiona – nie jestem przygotowana. Muszę się ochędożyć i...

– Dla mnie wyglądasz wspaniale. *Ergo* porywam cię w tej chwili i odstawię przed wieczorem. Obiecuję – rzucił wesoło bardziej do ochmistrzyni niż do niej. – A ponieważ wiem, że nie masz matki, jestem pewny, iż jejmość Żalińska zechce nam wyrządzić ten zaszczyt i wystąpi na ślubie *in loco parentis* [59]. Nieprawdaż?

Pochylił się dwornie ku dłoni zarumienionej ze wzruszenia ochmistrzyni i nie czekając na odpowiedź, złapał Jankę mocno za rękę i pociągnął za sobą.

Jak we śnie dała się poprowadzić przez zamkowe korytarze do wyjścia i weszła do czekającej ciężkiej kolasy po schodkach, które uczynnie wystawił foryś w stroju kozaka. Mimo to dostrzegła na drzwiczkach wymalowany herb, zasłonięty jednak przez oponę zwisającą z okienka. Zajęła miejsce na wprost starej kobiety, która nic nie mówiąc, uśmiechała się tylko, a Stadnicki usiadł obok i zawołał do forysia:

– Jazda!

Ruszyli z kopyta. Upojona jazdą i bliskością mężczyzny, który jej pożądał, obsypując pocałunkami jej dłonie i przedramiona, a wkrótce miał zostać jej mężem, dopiero po pewnym czasie rzuciła okiem w okno i nagle zeszywniała.

– To nie jest droga na Jazdów! – zawołała, równocześnie odsuwając się od Stadnickiego; drogę do Jazdowa znała doskonale, ponieważ infantka spędzała w tamtejszym zamku co najmniej tyle czasu co w warszawskim.

– Nie – odparł Stadnicki spokojnie, ona zaś po raz pierwszy dostrzegła w nim rys zimnego okrucieństwa, obecny zarówno w głosie, jak w wyrazie oczu i całej twarzy. – I to nie jest moja kolasa, tylko Samuela Zborowskiego, dlatego herb jest zasłonięty. To zaś – pokazał palcem – nie jest moja matka, notabene z domu Zborowska. Ja natomiast jestem przyjacielem i siostrzeńcem Samuela, do którego cię właśnie wieziemy, głupia dziewczko.

W tej chwili rzekoma matka zdarła z siebie czepiec, podwikę i siwą perukę, okazując się drabem o gładko wygolonej, bezczelnej gębie.

– Uff, nareszcie. Czuję żem się jak idiota.

Odczuwała dokładnie to samo. Jak mogła się tak dać oszwabić? Przecież na dworze stale rozprawiano – za plecami królowej, którą wciąż to bolało – zarówno o zuchwałym wykradzeniu z klasztoru, przez Mniszcha przebranego za kobietę, Giżanki, która potem została królewską metresą, jak i o jeszcze zuchwalszym wywabieniu z fraucymeru infantki dwórki Zajączkowskiej, którą rzekomy narzeczony uwiózł wprost w ramiona króla Augusta. Nigdy nie przypuszczała, że i ją spotka coś podobnego. Została ukarana za pychę i zaślepienie.

– Ty łotrze! – zawołała, spoglądając na Stadnickiego z nienawiścią równą niedawnej miłości, albo raczej tego, co brała za miłowanie, tak bardzo chcąc, by nim było, że dała się omotać i wziąć na lep gładkich słówek.

– Gadaj zdrowa – odparł niewzruszony. – Ale wiedz, że nazywają mnie Diabłem, więc nie próbuj wierzczać, bo łącno mogę się zapomnieć i ździebko nadpsować, nim dostarczę wujowi.

– Nie ujdzie ci to na sucho! Odpowiesz za rapt i dasz za to głowę. Już jejmość Żalińska, którą tak szpetnie zwiodłeś, o to się postara!

– Nie strasz mnie. Dbam o tę starą wiedźmę jak o zeszłoroczny śnieg. Poza tym, niby skąd miałyby się dowiedzieć?

Dopiero teraz dotarło do niej, co ją naprawdę czekało. Obojętnie bowiem, co dla niej szykował Zborowski, był tylko jeden sposób, aby zapewnić sobie jej milczenie.

– Pojęłaś nareszcie? – czarne oczy spoglądały na nią bystrze, przewiercając na wylot. – To dobrze. Pokażę ci teraz, co, za moim nie chwaląc się podszeptem, naszykował dla ciebie mój druh serdeczny i krewniak w jednej osobie.

Nim zdążyła zareagować, zdusił ją w krzepkim uścisku, unieruchamiając i przypierając do ściany pojazdu, po czym wpił się owłosionymi ustami w jej usta, wpychając język głęboko. Równocześnie wolną rękę wcisnął jej pod suknię i spódnice, sięgając aż do łona. Nie chciała tego wcale, broniła się z całych sił, lecz wbrew woli gorąc uderzył jej do głowy i rozlał się po całym ciele. Wtem puścił ją i odepchnął brutalnie.

– Smakowało? Wiem, że tak. Wszystkie to lubią, a najbardziej te cnotliwe i

niedotykaliskie. Niestety, obiecałem Samuelowi, że przywiozę cię nienaruszoną. Szkoda. A co potem, zapytasz? Cóż, ja zazwyczaj podrzynam im gardło, wrzucam do stawu z obciążeniem, a następnie karmię nimi raki, tymi zaś stroskanych krewnych, którzy szukają zaginionych. Ale co dla ciebie obmyśli Samuel, nie wiem. Zdaje się, żeś mu solidnie zalazła za skórę.

Rumieniec wstydu na myśl o tym, że podszedł ją jak głupią gęś i że mimo to udało mu się doprowadzić ją na skraj rozkoszy, powoli ustępował, gdy szybko obmyślała sposoby ratunku.

– Nie musisz mnie do niego odwozić. Przynajmniej nie od razu – powiedziała, starając się mówić z przekonaniem i nie czuć do siebie obrzydzenia. – I daję ci słowo, że o niczym mu nie powiem, tylko dokończ to, coś zaczął.

Przez chwilę bała się, że nie uwierzy. Był jednak próżny jak wszyscy mężczyźni. Uderzył się rękoma po udach.

– Wiedziałem, że ci się spodoba! – zawołał, a pachół z naprzeciwka zapał radośnie i uśmiechnął obleśnie, kapiąc śliną z rozwartej gęby.

– Ręce precz, sama to zrobię! – ostrzegła i zaczęła rozwiązywać sznurki od gorsetu.

Dyszał jak pies na widok smakowitej kości, coraz bardziej podniecony.

– Szybciej! – ponaglił.

– Już kończę – powiedziała, natrafiając pod suknią na trzos z pięcioma nożami, pamiątkę po życiu pośród Cyganów, z którą się nigdy nie rozstawała.

Błyskawicznie wydobyła dwa noże. Pierwszym cisnęła w pachółka, za szyję przyspilając go do ściany pojazdu. Wstrętny uśmieszek zastygł mu na wieki, wytrzeszczone w zdumieniu ślepa zmatowiały, zaś zwiotczone ciało pozostało w pozycji siedzącej. Drugi nóż przystawiła do gardła Stadnickiego.

– Każ woźnicy stanąć! Bo poderżnę ci gardziel!

– Nie odważysz się – powiedział, ale w jego oczach patrzących na trupa z naprzeciwka widniało nie tylko niedowierzanie; zapewne pierwszy raz w życiu spotkał niewiastę, nie tylko bez wahania zdolną zabić, ale i nie zdradzającą przy tym śladu wzruszenia.

– Przekonaj się – poruszyła ostrzem, z przeciętej skóry popłynęła krew.

– Suka. Stać! – wrzasnął.

Kareta stanęła.

– Każ mu zejść z kozła i przyjsć tutaj.

– Igor, dawaj no sam, nuże!

Usłyszeli, jak foryś zeskakuje z kozła, potem ujrzeli jego twarz w oknie. Otworzył drzwiczki i zamarł, widząc swego pana z nożem przystawionym do gardła oraz trupa przyspilonego do oparcia.

– Za chwilę ma cię tu nie być. Zmykaj, a chyżo, bo inaczej twój pan zginie – powiedziała, przyciskając żelazo do gardła Stadnickiemu; rana znów zaczęła krwawić, krople posoki skapywały mu po szyi, plamiąc jedwabny żupan i kontusz z

przedniego angielskiego sukna.

– Rób, co mówi – wystękał Stadnicki. – Ta jędza nie żartuje.

Wystraszony sługa nie kazał sobie drugi raz powtarzać polecenia i wnet przepadł w pobliskich krzakach.

– Teraz ty – rzekła do Stadnickiego. – Wyłaż i nie próbuj żadnych sztuczek.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zamilczał i posłusznie pchnąwszy drzwiczki, wolno zsunął się na ziemię z dziewczyną niemal wiszącą mu na plecach. Odjęła ostrze od jego szyi i cofnęła się, równocześnie sięgając w zanadrze po kolejny nóż i rozkazując:

– Ruszaj! Wolniej! Stój! Odwróć się!

Uczynił, jak kazała. Dzielilo ich teraz od siebie dobre dziesięć kroków.

– Odepnij i odrzuć szablę!

– A jak nie? – zdawał się szybko wracać do równowagi, w jego głosie znów brzmiało zuchwalstwo i lekka nuta rozbawienia, musiała szybko na powrót nauczyć go moresu.

– Widzisz ten jasny sęk? – w odległości jakichś pięciu sążni rosła okazała lipa.

Błyskawicznie uniosła lewą rękę, nóż błysnął w powietrzu i wbił się w środek sęka. W duchu odetchnęła z ulgą. Dawno nie ćwiczyła i wcale nie była pewna rezultatu. Bez słowa odrzucił szablę.

– Zzuj boty!

Twarz miał wykrzywioną wściekłością, ale demonstracja uczyniła swoje i nie protestował, klął tylko okropnie i zabawnie skakał przez chwilę to na jednej, to na drugiej nodze, aż wreszcie stracił równowagę i ciężko gruchnął w trawę.

– Teraz po kolei kontusz, żupan i spodnie. I nie marudź. Zabawiłeś się moim kosztem, przyszła kolej na mnie.

Po chwili stał przed nią w samym gieźle sięgającym do połowy owłosionych jak u mały nóg. Mimo miotających błyskawice ślepiów i obnażonych w dzikim grymasie zębów wyglądał tak pociesznie i niegroźnie, że nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– A teraz zejź mi z oczu, ale już. Najlepiej pójź wprost do piekła. Nuże, Diabie! – poleciła, z trudem powstrzymując śmiech, który, jak dobrze wiedziała, był jedynie histeryczną reakcją na ogromne napięcie nerwów.

– Zapłacisz mi za to, suko! – wrzasnął, lecz gdy uniosła uzbrojoną dłoń, ciężko pokłusował w stronę nieodległego gaju, co chwila podskakując, gdy jakiś kamień lub ostre źdźbło wbijały mu się w bosc stopy.

Przez moment spoglądała za nim, po czym wspięła się na kozioł i usiłowała zawrócić konie, co nie było łatwą sztuką, gdyż znajdowali się nie na głównym gościńcu, lecz bocznym i wąskim trakcie, a poza tym nigdy nie powoziła takim zaprzęgiem. W końcu jednak jakoś się powiodło i mogła ruszyć w powrotną drogę. Nie wiedziała, dokąd ją wywieziono, i jak okiem sięgnąć nie było żywego człeka, a najbliższe chaty widniały w znacznym oddaleniu od drogi, ale nie miała trudności z

obranie kierunku, gdyż na horyzoncie majaczyły wieże warszawskich kościołów i zamku. Trakt był pusty, tylko daleko przed nią poruszał się kłębek kurzawy, który po jakimś czasie przybrał postać samotnego jeźdźca pędzącego co koń wyskoczy. Mógł to być Zborowski, lecz nie przejmowała się tym. Skoro był sam, ufała, że i z nim sobie poradzi. Powoli schodziło z niej napięcie i strach, który dotąd tak udatnie maskowała. Trzęsa się cała i nie wstydziła łez wstydu i upokorzenia, które obficie płynęły jej z oczu. Otarła je kułakiem, z drugiej dłoni nie wypuszczając wodzy, chlipnęła ostatni raz i wzięła się w garść. Ostatecznie nic już jej nie groziło.

W tej chwili silne ramię opasało jej szyję. Poznała czerwoną koszulę. Igor! Kiedy straciła go z oczu, musiał zatoczyć koło i wrócić do kolasy, a gdy ruszyła, skrył się we wnętrzu albo uczepił z tyłu, po czym bezszelestnie wspiał na dach i zaskoczył ją w momencie, kiedy się tego najmniej spodziewała. Puściła lejce i oburącz złapała go za ramię, ale mimo rozpaczliwego oporu wciągnął ją na dach i zwałił na nią całym ciężarem. Zajęta czym innym kątem oka zdołała jednak dostrzec Stadnickiego, goniącego kolasę i w biegu dopinającego pas z bronią. Walnęła czołem w pochyloną nad nią wąsatą gębę i rozkwasiała napastnikowi nos, z którego bryznęła na nią fontanna juchy. Wściekły kozak trzepnął ją z całej siły w policzek, aż świeczki stanęły jej w oczach. Potem uniósł się i zaczął odpinać pas, pewnie by związać jej ręce. Zgięła kolano i z całej siły ugodziła go w podbrzusze, a kiedy wrzasnął i zachwiał się, kopnęła go w brzuch i zepchnęła z dachu. Przeleciał nad kozłem i spadł pomiędzy zaprzęg. Konie, które już zwalniały biegu, spłoszone ruszyły z kopyta. Usłyszała przedśmiertny krzyk, gdy koła pojazdu przetoczyły się po forysiu. Równocześnie coś z impetem skoczyło na tył kolasy, a wnet ujrzała Stadnickiego drapiącego się na dach. Nie mogła jednak nic uczynić, bo konie poniosły i gnały jak wichry, a niezdarne landara, pozbawiona skórzanych pasów niwelujących wstrząsy, kolebała się niczym okręt na wzburzonym morzu, podskakiwała na wybojach i trzęsa okropnie. Wczepiona kurczowo, lgnęła do dachu kolasy, a Stadnicki z drugiej strony robił to samo. Leżeli bezradnie na wprost siebie i patrzyli sobie w oczy nienawistnie, czekając, aż w końcu ciężka kolasa przewali się na bok, grzebiąc oboje pod sobą.

Wówczas usłyszeli uspokajające okrzyki, konie zaczęły zwalniać i niewiele później pojazd znieruchomiał. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć wstecz i zobaczyła kogoś odwróconego do niej plecami i dosiadającego jednego z czołowych koni zaprzęgowych. Jego własny wierzchowiec stał spokojnie obok. Musiał to być odważny człek, żeby w pędzie przeskoczyć z jednego konia na drugiego i powstrzymać rozpędzony zaprzęg. Ledwie to pomyślała, zeskoczył na ziemię i odwrócił ku niej.

– Stachnik! – zawołała radośnie i zerwała się na równe nogi.

On już wspinał się na kozioł, a stamtąd na dach. Nic nie mówiąc, odsunął ją łagodnie i stanął na wprost Stadnickiego, który także zdążył się pozbierać.

– Imć Stadnicki zwany Diabłem, jeśli się nie mylę – rzekł Żółkiewski swym jedwabistym głosem, w którym jednak w tej chwili brzmiały metaliczne tony. –

Przybywam prosto z dworu infantki, gdzie dowiedział się o nagłym afekcie, jakim zapalałeś do panny Joanny. A ponieważ lepiej od niej znam twoją reputację, prawie zajeździłem wierzchowca, pragnąc zdążyć z gratulacjami.

– Nic tu po tobie – warknął Stadnicki. – To sprawa między mną a dziewczką. *Ergo* wracaj, skądś przybył razem ze swymi powinszowaniami.

– Nie tak prędko. Coś mi to bardziej na rapt patrzy niżli karesy zakochanych. A *raptus puellae* karan jest na gardle. Gotowym wszelako, jeśli acan wolisz, zaoszczędzić katu roboty i własnoręcznie odesłać cię do piekła, mości Diabłu.

– Chętnie puszcę cię przodem, skoro tego pragniesz, mości Żółkiewski. Wyznam, że uczynię to z lubością. – Stadnicki skłonił się lekceważąco przeciwnikowi i płynnym ruchem wyjąwszy broń z pochwy, zaatakował z animuszem.

Janka zeskoczyła na kozioł, by nie przeszkadzać Żółkiewskiemu, i roziskrzonym wzrokiem śledziła pojedynek. Rosły Stadnicki przewyższał rywala siłą, lecz był mniej zręczny. Już raz oglądała Żółkiewskiego w podobnej walce ze Zborowskim i ta niewiele się od tamtej różniła. Stadnicki szarżował jak rozjuszony byk, Żółkiewski robił uniki, nie pozwalając zepchnąć się z pojazdu. Z rzadka sam atakował, ale jeśli już, były to niebezpieczne ciosy, na które Stadnicki z trudem znajdował odpowiedź. Gwałtownik machał szablą niby cepem, jakby chciał zmiażdżyć przeciwnika, lecz taki sposób walki szybko go wyczerpywał, zwłaszcza iż miał za sobą męczący bieg za kolosą. Rozkołysali karetę tak, że obaj z trudem utrzymywali na niej równowagę. Nie mogąc dosięgnąć Żółkiewskiego, Stadnicki wpadał w coraz większą wściekłość. Nareszcie ruszył na niego z pochyloną głową, niby szarżujący byk, ale w ostatniej chwili padł, unikając cięcia i równocześnie celując w nogi przeciwnika. Żółkiewski wszak podskoczył w górę jak świerz, po czym opadł, pośliznął się i ratując przed upadkiem z kolasy, chwycił brzegu dachu, wypuszczając z dłoni szablę i zawisając w powietrzu. Z okrzykiem tryumfu Stadnicki stanął nad nim z wzniesionym do ciosu żelazem. Lecz Janka już była przy łotrze i pchnęła go tak mocno, że na łeb na szyję poleciał w tył, stoczył z pojazdu i legł nieruchomo w pyłe gościńca.

Po chwili Żółkiewski stał na ziemi i wyciągał ręce, w które Janka skoczyła z ochotą. Zestawił ją, otworzył drzwi i spostrzegł trupa w kobiecych szatach, który oderwał się od ściany podczas szalonej jazdy i leżał pomiędzy ławkami z nożem wciąż tkwiącym w szyi. Bezceremonialnie wywlóknął nieboszczyka i odciągnął na pobocze.

– To rzekoma mateczka, tuszę – rzekł. – Widzę, że familia imć Stadnickiego nie przypadła aśće do gustu, bo jak przypuszczam, twoja to robota.

Janka nie chciała sama siedzieć w środku, więc Żółkiewski, dowiązawszy swego wierzchowca do kolasy, pomógł jej wspiąć się na kozioł, sam zajął miejsce obok, podjął wodze i ruszyli, ignorując wrzeszczącego za nimi i odgrążającego się Stadnickiego:

– Jeszcze się spotkamy!

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Chętnie by się do niego przytuliła, liczyła, że ją może obejmie wolną ręką, ale nic z tych rzeczy. Urywanymi słowy zaczęła mu

opowiadać o swej przygodzie. Słuchał uważnie, lecz gdy się odezwał, wyczuła w jego głosie urazę i nie potępienie, na to był zbyt grzeczny, raczej lekką przyganę:

– Ledwie dziesięć dni mnie nie było, a waćpanna już zdążyłaś się rozmiłować i dałaś omotać jednej z najpodlejszych figur, jakie znam, do tego najlepszemu druhowi Samuela Zborowskiego... Nie pojmuję tego.

– Nie wiedziałam, że się kmotrzą – broniła się, jakby właśnie to było najistotniejsze.

– Mimo to nie pojmuję. Miałaś panna szczęście, że akurat w porę przybył na zamek pożegnać się przed wyjazdem i pani Żalińska z miejsca nie omieszkała się pochwalić, jaki to zacny supirant trafił się aśćce. A teraz będę musiał gonić poselstwo, które pewnie dawno opuściło Warszawę.

– Doceniam pańską fatygę i nie wiem, jak waści dziękować za ratunek – zapewniła z uczuciem.

Zmiękł trochę, ale nie tyle, by ją przygarnąć, choć coraz bardziej tego pragnęła. Jak mogła się tak pomylić? Teraz już miała pewność, że to Stachnik jest jej przeznaczony, musiała tylko jego o tym przekonać, a to nie wydawało się łatwe, zwłaszcza że rozstawali się na kilka miesięcy. Należało uzbroić się w cierpliwość. Żegnając się z nią na dziedzińcu zamkowym, obiecał, że będzie pamiętał i pisał, i po staremu z atencją ucałował obie jej dłonie. Dobrze i to. Przynajmniej nie zraziła go do siebie na zawsze, choć czuła, że była od tego o włos.

Pierwsze dni na dworze po niefortunnej przygodzie nie należały do przyjemnych. Dwórki, a zwłaszcza panią starą zżerała ciekawość, której Janka nie zamierzała zaspokoić. Zbyła je półsłówkami, a zresztą kiedy Stadnicki przestał się pojawiać i stało się jasne, że Janka na razie nie ubiegnie koleżanek w zamążpójściu, były tak usatysfakcjonowane, iż dały jej spokój. Ochmistrzyni, która zazwyczaj chętnie doszukiwała się winy u podopiecznych, tym razem nie odważyła się czynić Jance wyrzutów, dobrze zdając sobie sprawę, że zawiodła w roli opiekunki. Nawet jej infantka nie darowała by drugiej afery, bliźniaczo podobnej do tej z Zajączkowską. Zatem po jakimś czasie życie wróciło do normy. Po miesiącu dostała pierwszy list od Staszka, potem następne. Pisał o wszystkim, tylko nie o uczuciach do niej. Trudno. Postanowiła nie tracić nadziei. Z powodu wciąż trapiących ją wyrzutów sumienia, bowiem uczyniła jego rachunek i wypadł on nieciekawie, przypomniała sobie nareszcie o Balcerach i Ryksie, do którego daru, modlitewnika w pięknej sakwowej oprawie, chętnie odtąd sięgała. Zdobyła się także w końcu na serdeczny list do ciotki Balcerowej – dopiero drugi na przestrzeni półrocza, a pierwszy od trzech, nie! czterech miesięcy – zawstydzona, iż tak długo z tym zwlekała.

Miałem podjąć odpowiednie kroki, aby popsować plany Bractwu Trójcy. Ale niczego nie wszcząłem przez resztę lutego i prawie cały marzec. A to dlatego że wciąż nie uzyskałem dostępu ani do Glicjusza, ani tym bardziej do rektora. Antek też nie miał dla mnie żadnych nowin. A jednak swoim molestowaniem coś uzyskałem –

rektor obiecał mnie przyjąć zaraz po feriach wielkanocnych. Musiałem się z tym pogodzić, zresztą Wielkanoc wypadła z końcem marca, więc do maja było wystarczająco dużo czasu. Tymczasem edukowałem żaczków w szkole duchackiej i sam przykładałem się do nauki, bowiem mistrz Fox, objąwszy zwolnioną katedrę, okazał się ciekawym wykładowcą, co było miłą odmianą po nudnych wywodach profesora Sierpca, niech mu ziemia lekka będzie.

Te święta także nie były radosne, jeno pieczone prosię, tradycyjna wielkanocna potrawa, pyszne jak zawsze. Zamiast Janki tym razem ja poszedłem poświęcić potrawy. Towarzyszył mi Głupi Jasiak, który bodaj jako jedyny w naszym domu wierzył w to, że święcona kiełbasa chroni od ukąszenia węża, chrzan od pcheł, a pieczony jarząbek od więzienia... Janka przysłała list ciotce, sporo plotek z dworu i nowin o przygotowaniach do elekcji, pozdrowienia od znajomych, ale do mnie ani słowa. Na koniec zapewniła, że bardzo za nami tęskni i już nie może się doczekać przyjazdu do Krakowa. Ucałowania dla wszystkich i takie tam ble, ble, ble.

Gdy nadszedł odpowiedni dzień i wyznaczona, południowa pora, odczyściłem fałdzistą togę *vel* tabard, wytrzepałem swój okrągły magisterski biret, nieco zakurzony od rzadkiego używania, i tak wystrojony udałem się na spotkanie z rektorem. Oczekiwał mnie w auli, siedząc na rektorskim tronie, z berłem i w czerwonej todze podbitej gronostajami. Zdziwiło mnie tak uroczyste przyjęcie. Co nie znaczy, że byłem onieśmielony. Co to, to nie. Drzewiej, gdym jeszcze studiował na wydziale *artium*, po każdej awanturze z Grotem tudzież drugich sprawkach bywałem wzywany przed oblicze ówczesnego rektora, Jana z Turobina. Raz nawet także przyjął mnie w auli, specjalnie po to bym sobie zakarbował w pamięci wyrytą nad wejściem dewizę naszej Almae Matris: *Plus ratio quam vis* [60], i zawstydził się, spoglądając w surowe oblicza królów dobrodziejów uniwersytetu z portretów rozwieszonych na ścianach.

Dopiero gdym podszedł do stali profesorskich i katedry, na której stał tron, pojąłem, czemu zawdzięczam aż taki honor. Toć dziś był dzień świętych Wojciecha i Jerzego, pora obierania nowego rektora! I oto z naprzeciwka patrzyły na mnie twarde oczy profesora Marcina Glicjusza, po którego prawicy, zanurzony w stali, siedział profesor Marencjusz. No to miałem, co chciałem i o co dobijałem się od tygodni! Zdjąłem biret i ukloniłem się z uszanowaniem.

– Słuchamy, magistrze Ryx. Od tak dawna nastawałeś na to spotkanie, że musisz mieć coś naprawdę ważnego do powiedzenia – rzekł Glicjusz głosem równie mało zachęcającym jak jego spojrzenie.

– W samej rzeczy, wasza magnificencjo. Inaczej nie ośmieliłbym się zabierać waszej wielmożności cennego czasu – znów się ukloniłem; jeśli mi na czymś zależało, żaden galant nie prześcignął mnie w grzeczności.

– Czy sprawa, z którą przybywasz, wiąże się jakoś z niefortunnym zgonem doktora Janeczki? – metaliczny ton w jego głosie jeszcze się pogłębił; zgrzytał tak, że

aż mnie zaboląły zęby.

– Tak jest – musiałem się z nim zgodzić.

– Czyż nie powiedzieliśmy ci już wystarczająco dobitnie, mości magistrze, że tamta sprawa jest zamknięta raz na zawsze? – zabrzmiało to wyraźnie odpychająco i każdemu innemu dałoby do myślenia, ale ja nie byłem nawet w połowie tak bystry, na jakiego wyglądałem.

– Nie mogę się z tym zgodzić, wasza magnificencjo – odparłem równie twardo i stanowczo.

Rektor zacisnął usta, ale z boku łagodząco odezwał się mistrz Marencjusz:

– Wyjaśnij nam, dlaczego tak uważasz, chłopcze.

Nabrałem tchu i zacząłem:

– Nie wiem, kiedy to się zaczęło, ale tuszę, że gdzieś z początkiem tego roku akademickiego. Niejaki Jan Grot młodszy, syn rajcy, student prawa i konwertyta, wpadł na koncept, żeby założyć bractwo obrońców prawej wiary katolickiej, którą sam od niedawna wyznawał, przed postępami kacerstwa w każdej postaci, kacerstwa, któremu sam do niedawna hołdował i którego jego ojciec wyrzekł się dopiero na łożu śmierci...

– *Ad rem*, magistrze, twój czas się kończy – ponaglił mnie Glicjusz.

No pewnie, śpieszno mu było na uroczystą ucztę, którą wyprawiał dla wszystkich kolegiatów z okazji elekcji, ale nie zamierzałem dać się zbyć.

– ... Obmyślił znak dla członków bractwa: *trifolium*, nie ordynaryjny, jeno wykluwany na przegubie lewej ręki, *pro memoriam* Męki Pańskiej i pierwszych chrześcijan, którzy też stosowali podobne *signa*. Znalazł też człeka, który w zamorskich krajach nauczył się rozmaite znaki na ciele wykluwać i siną farbą napuszczać. Wpierw wciągnął do owej Sodalitas Trinitatis dobrych znajomych, do których zalicza się Jędrzej Chrzastowski, do niedawna gracjalista doktora Janeczki...

– Imputujesz zmarłemu, który nie może się bronić, przynależność do jakiegoś sekretnego Sodalitas Trinitatis?! – oburzył się Glicjusz, aż mu pobieleły kostki dłoni zaciśniętych na oparciu krzesła. – A może i my z mistrzem Marencjuszem mieliśmy z tym coś wspólnego, co?

– Niczego nie imputuję, wasza miłość. Wiem, że wasze miłości nie miały z tym nic wspólnego. – A jednak od razu domyślili się, co może oznaczać *trifolium*, i odtąd utrudniali mi inwestygację, nie mówiąc o tym, że być może zarządzane przez Glicjusza (zapewne w uzgodnieniu z poprzednim rektorem Mikołajem z Bodzęcina i profesorem Górskim) polecenie zewidencjonowania i wycofania zakazanych ksiąg z biblioteki oraz zakaz opierania na nich wykładów podsunęły nadgorliwemu doktorowi Janeczce pomysł definitywnego pozbycia się ksiąg z indeksu, ale tego im nie powiedziałem. – Że jednak mistrz Janeczka, znany wszak ze swej niezłomności w kwestii wiary, sprzyjał owemu bractwu, to pewne. Nie wiem jeno, czy to on, z racji swej pracy w charakterze surogata librariusza, podał im za pośrednictwem Chrzastowskiego ideę wykradania ksiąg uznanych za heretyckie, czy raczej był to

koncept Chrzastowskiego, albo i samego Grota...

– A do czego im były potrzebne te księgi? – zaciekawiał się Marencjusz, człek, który prawdziwie kochał księgi i nie tylko ochotnie pracował jako bibliotekarz, ale miał też w izbie piękny księgozbiór, na który wydawał wszystkie swoje mizerne dochody, o czym powiadomił mnie Antek.

– Aby je skazić, rzecz jasna. Ale nie zwyczajnie. Zamierzają z nich uczynić wielki stos do podpalenia zboru kacerskiego zwanego Brogiem, tego przy Świętojańskiej ulicy...

– Tymi paroma księgami chcą podpalić wielki dom? Bzdury wierutne, aż słuchać hadko! – warknął Glicjusz, Marencjusz zaś tylko westchnął, bo nikomu, kto kochał księgi, nie mogło się podobać ich niszczenie, choćby nawet były Bóg wie jak heretyckie.

– Nie paroma, wasza magnificencjo. W ciągu ostatnich miesięcy wykradzono podobne księgi także ze wszystkich librarii bursackich i wydziałowych. Uczyniono też najścia na składy księgarskie i drukarnie, niszcząc i rabując całe nakłady. Z pewnością da się z nich uczynić całkiem spory stos.

– I kiedy to niby mają podpalić ów Bróg?

– Mniemam, iż w święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Do tej pory zawsze ruszali tego dnia po mszy na Żydów, ale skoro ci ostatnio opłacają im się kozubalcem, tedy widocznie zamierają przetrząść się na kacerzy.

Do niedawna scholarzy i żacy z upodobaniem prześladowali „niewiernych Żydów”, lecz odkąd ci płacili haracz zwany kozubalcem, napaści na nich ustały. Dla mnie było jasne, czemu tak się stało. Oto znaleziono sobie nowego wroga – chrześcijan wierzących inaczej. Ale dla Glicjusza nie było to takie oczywiste.

– Pewności wszak nie masz?

– Nie, wasza miłość. Lecz wywiodłem to ze słów mojego człeka w ich bractwie. Bowiem Grot, Chrzastowski i drudzy wcielają do swoich szeregów coraz nowych scholarów, często pod przymusem. Wznowili też stary węgierski obyczaj biczowania młodzieży w Dzień Niewiniątek. Każą wówczas nowo przyjętym bić do krwi kolegów podejrzewanych o sprzyjanie herezji.

– Każdy sposób jest dobry dla ratowania duszy.

– Daruj, wasza magnificencjo – odparłem, z trudem się hamując – ale jestem odmiennego zdania. Wiem też, że jeden z adeptów, dobry katolik, lecz także myślący inaczej od tamtych i waszej miłości, który odmówił znęcania się nad kolegami, sam został pobity. A kilka dni potem zginął. Ponoć spadł ze schodów i skręcił kark.

– Ale ty w to nie wierzysz? – spytał Marencjusz, bo rektor milczał z zaciętą miną.

– Nie. Moim zdaniem został zamordowany. Nie byłby to pierwszy taki przypadek. Wiem o co najmniej dwóch wcześniejszych zabójstwach dokonanych przez członków Bractwa Trójcy, w tym mordzie popełnionym na zecerze z drukarni Łazarzowej...

– Ta sprawa jest już zakończona – rzekł Glicjusz stanowczo. – Główni oskarżeni,

Jerzy Dąbrowski i Foltyn Walawski, przed obliczem rektora uroczyście przysięgli, iż drukarza zabili nieumyślnie, gdy Walawskiemu wypadkiem wypalił nabity pistolec, a także dali *verbum nobile*, iż nie zbiegną z miasta przed przybyciem z Wrocławia ojca zabitego. I tak się stało. Ojciec zmarłego przybył do Krakowa przed miesiącem, a otrzymawszy przeprosiny i godziwe odszkodowanie od oskarżonych, wrócił do domu, zaś sąd rektorski dodatkowo skazał wymienionych na jedną niedzielę karceru, który także już odsiedzieli.

Grzywna, przeprosiny, tydzień lekkiego aresztu i po sprawie. Nie przeląknęłam się zatem niechęci wymalowanej na twarzy rektora.

– Dla mnie nic się jeszcze nie skończyło, przeciwnie – powiedziałem. – Już są nowe ofiary, a to dopiero początek. Czy wasze miłości zdają sobie sprawę, co się stanie, jeśli w dniu Bożego Wstąpienia wybuchnie tumult? Scholarów akademii jest dwustu, może trzystu, dodając do tego żaków ze wszystkich szkół katedralnych, parafialnych i zakonnych, daje to liczbę dwóch, trzech tysięcy młodych ludzi, dobrze uzbrojonych i gotowych na wszystko. A kiedy, jak to zazwyczaj bywa, przyłączą się terminujący rzemiosło i pospolici hultaje, wtenczas będzie to wielotysięczna armia tumultantów. Przeciw sobie będą mieli niemałą gromadę kacerzy, a także pachołków miejskich i zapewne ludzi starosty. Dojdzie do walk i miasto stanie w ogniu...

Nic nie przesadzałem. Przed kilku laty doszło do potężnego tumultu, gdy miasto skazało na śmierć mego druha, magistrza Wolskiego. Wówczas scholarzy omal nie spalili domu głównego winowajcy, burmistrza Czeczotki, i połowy miasta na dokładkę, nie tylko dlatego że burmistrz złamał prawo, ale i za to że jawnie sprzyjał kacerstwu. I z tego powodu panowie Myszkowscy, ówcześni wojewoda i starosta krakowscy, oba kalwiny, mocno wsparli miasto przeciw uniwersytetowi. Zresztą ultrakatolicka akademii od dawna miała na pieńku z radą miejską i urzędami grodzkimi, w których nie brakowało heretyków. Sytuacja w pozbawionej króla stolicy przypominała beczkę prochu. Wystarczyło jedynie podpalić lont, a wybuch mógł przerosnąć wszelką imaginację i mieć niewyobrażalne skutki, zwłaszcza podczas elekcji, gdy ogólny niepokój sięgnął zenitu. Mógłby może temu zapobiec biskup krakowski, Franciszek Krasieński, tolerant, jeden z tych nielicznych biskupów, którzy podpisali konfederację warszawską, bieda w tym, że odkąd w czerwcu zeszłego roku zastąpił zmarłego Padniewskiego (humanistę i jeszcze większego toleranta), stale bawił przy królu i w Krakowie niemal go nie oglądano. Teraz także z drugimi przebywał w Warszawie.

– Czegóż wobec tego od nas żadasz, mości Ryksie? – spytał niecierpliwie rektor, spoglądając na cyferblat swego pięknego zegarka, zawieszzonego obok okazałego, złotego łańcucha, oznaki rektorskiej władzy.

– Nie ośmieliłbym się niczego żądać. Proszę jedynie, abyś, wasza magnificencjo, powagą swego urzędu powstrzymał Sodalitas Trinitatis od dalszego działania. Niech zwróci skradzione księgi, zaniechają werbowania członków, zabijania opornych i prześladowania scholarów innego wyznania. A nade wszystko, niech powstrzymają

się od tumultu w dniu Bożego Wstąpienia.

Rektor porozumiał się wzrokiem z Marencjuszem, po czym rzekł:

– Posłuchaj uważnie, mości magistrze, bo nie będziemy już do tego wracać. Zapewne wiadomo ci, że w ostatnim dniu konwokacji doszło do podpisania niesławnej konfederacji warszawskiej, to jest rzeczy niegodnej i niesłychanej: przyznania wszystkim heretykom jednakich praw z katolikami. Skoro panowie szlachta zdradzili Pana naszego, Jezusa Chrystusa, to któż ma Go bronić, jeśli nie Kościół święty i nasza akademia? Tedy nie tylko nie uczynimy nic przeciwko Bractwu Trójcy, jeśli takowe istnieje, a na to mamy jedynie twoje świadectwo, ale wręcz będziemy sekundować wszystkim działaniom mającym na celu powstrzymanie kacerskiej zarazy. A równocześnie definitywnie zakazujemy ci, mistrzu, zajmowania się tą sprawą pod rygorem wykluczenia z uniwersytetu. Czyś dobrze pojął te słowa, mości Ryksie?

– Pojąłem, wasza magnificencjo – odparłem, bo czasem i bez walenia tępym narzędziem coś trafiało do mojego zakutego łba.

Glicjusz skinął na Marencjusza, który podskoczył, podając mu jakieś puzderko.

– Nie myśl, magistrze, że nie doceniamy tego, coś dla nas uczynił w kwestii objaśnienia niezwyčajnego zgonu doktora Janeczki. Jesteśmy ci za to winni wdzięczność i pragniemy nagrodzić. Podejź sam.

Podszedłem do tronu i pochyliłem się w ukłonie, zaś rektor zawiesił mi na szyi zegarek na złotym łańcuszku, cenne „jajco norymberskie”. Nie mogłem się powstrzymać i obejrzałem je z ciekawością. Na kopercie miało wygrawerowany napis: *Vulnerant omnes, ultima necat* [61]. Już miałem zaprotestować, myśląc, iż podarował mi własne cacko, gdym, prostując się, zobaczył takie samo wciąż widoczne na jego piersiach. Dostrzegł moje zdziwienie i po raz pierwszy na usta wypełzył mu nieznaczny, lecz jednak uśmiech.

– Ten dostałem od młodego Mikołaja Firleja, który, nie chwając się, dzięki mojemu staraniu, w Wielkim Tygodniu, przed wyjazdem na elekcję, przystąpił do sakramentu chrztu świętego.

Jak się okazuje, nie doceniałem kaznodziejskich zdolności profesora. Mikołaj Firlej, którego poznałem jako miłośnika kości pradawnych bestii, był wszak synem hetmana polskich kacerzy, potężnego wojewody Jana Firleja. Zapewne familia, jak Zborowscy, zabezpieczała się na obie strony. Lecz i tak byłem pod wrażeniem, bo do tej pory to raczej heretycy zdobywali coraz to nowych wyznawców. Czyżby oto zaczęło się coś zmieniać? Obranie rektorem Glicjusza stanowiło czytelny sygnał, że uniwersytet zamierza utrzymać dotychczasowy kurs propapieski. Czyżby działalność Bractwa Trójcy też była oznaką bardziej radykalnych działań, dotąd jakby uspiionych sił katolickich? Teraz dopiero dotarło do mnie, że o ile biskup-humanista Padniewski nie zezwalał na żadne antykacerskie ekscesy, to już jego następca Franciszek Krasieński, zaabsorbowany dyplomatyką i polityką, nie zajmował się tymi sprawami

wcale i do głosu doszli nuncjusze papiescy: Lippomano i Commendoni. Chyba nie przypadkiem ostatnimi czasy przybyło prawowiernych apologii, postylli, kazań, dogmatycznych traktatów czy dewocyjnych pisemek. Wypadało się modlić, by nie doszło u nas do tego, co się stało łońskiego roku w Paryżu.

– Dziękuję waszej miłości, lecz nie mogę przyjąć tak cennej nagrody...

– A na cóż mi dwa chronometry? Bierz i niechaj ci służy. Aha, pewnie ucieszy cię wieść, że już nikt ani nie przeczci owych zakazanych ksiąg, które odnalazłeś, w tym *Liber magnus*, ani ich nie ukradnie, bowiem ukryliśmy je z mistrzem Marencjuszem w nam jeno znanej skrytce pod kamieniem [62]. A teraz wybac, lecz naprawdę musimy już iść.

Dał znak Marencjuszowi i podniósł się z krzesła. Koniec audiencji. Znów się skłoniłem i wyszedłem, mając jasność, że w akademii nie znajdę sojuszników przeciw Grotowi i jego zwolennikom. Jeżeli żywiłem jeszcze jakiegokolwiek *dubia* co do intencji Bractwa Trójcy, to wyzbyłem się ich w następnych dniach.

Z końcem kwietnia nawet wieści z Warszawy, gdzie wciąż trwała elekcja, musiały ustąpić miejscowym nowinom. Wpierw nieznanymi sprawcami sprofanowali cmentarz kacerski, „ogród zmarłych”, założony przed czterema laty naprzeciw Celestatu, za broną Mikołajską. Powyrywano i połamano krzyże, potrzaskano nagrobki, zagnojono ziemię. A niedługo potem za pomocą zapalających strzał usiłowano podpalić drewniany zbór ariański ulokowany przy ulicy Szpitalnej. Nie wykryto, kto i skąd strzelał, ale gaszącego ogień dziarskiego ministra, Jerzego Szomana, wystrzelona z ukrycia strzała ominęła ledwo o włos. A sprawców nie tyle nie znaleziono, ile w ogóle nie szukano, bowiem arianie byli powszechnie znienawidzeni.

Były oczywiście różnice między lutrami, kalwinami czy braćmi czeskimi, ale trzymali się razem i mieli wspólnego zwierzchnika wszystkich małopolskich zborów, superintendenta Feliksa Crucigera zwanego Krzyżakiem, ucznia Jakuba z Iłży. Dla nich, podobnie jak dla katolików, największymi wrogami byli arianie, czyli antytrynitarze nieuznający Trójcy Świętej, bowiem nie uważali Chrystusa za Syna Bożego i tym sposobem wykluczali się sami ze wspólnoty chrześcijańskiej, idąc w ślady herezji biskupa Ariusza z czwartego bodaj wieku. Byli także anabaptystami, jako że nie praktykowali chrztu niemowląt, a dorosłych chrzcili po starochrześcijańsku przez zanurzenie, stąd zwano ich pogardliwie „nurkami”. Wszystkich członków zboru nazywali braćmi i od tego poszło ich kolejne miano – braci polskich. Uznawali równość, wszystkim się dzielili, hołowali pracy rąk własnych na roli lub w warsztacie, potępiali gromadzenie bogactw i namawiali do rozdawania dóbr, nie uznawali przemocy i wojen, chadzając z drewnianymi mieczami u boku. Słowem, byli to dziwacy, nienawidzeni po równo przez katolików i protestantów. I jeżeli coś mnie dziwiło, to że nie ich zbór był głównym celem Bractwa Trójcy, lecz Bróg zajmowany spółem przez kalwinów i lutrów, a wiara zwłaszcza tych ostatnich nie różniła się znów aż tak bardzo od katolickiej.

I tak to wyglądały sprawy religijne w naszym mieście – wystarczyła iskra, by całe wyleciało w powietrze. Ponieważ dobrze mi się w nim mieszało i lubiłem je takie, jakie było, tedy udałem się z wizytą ekumeniczną do Brogu, na róg Szpioglarskiej i Świętego Jana. Była to okazała, wysoka, dwupiętrowa budowla z faktycznie bardzo szpiczastym dachem, dużymi okratowanymi oknami i wchodem od Świętego Jana. Zakołatałem do zawartych z ostrożności wrót umieszczonych nie na środku, lecz z lewego boku kamienicy. Po długiej chwili usłyszałem echo kroków, po czym w judaszu błysnęło spoglądające badawczo oko.

– Musimy być ostrożni – sumitował się ów, który mnie nareszcie wpuścił; rozpoznałem znanego mi z widzenia diakona Szymona Zacjusza.

– Pojmuję – odparłem.

Wiedziałem, że w zborze przechowywano nie tylko majątek gminy, ale też, niejednokrotnie bardzo cenne, prywatne depozyty wiernych. Był to równie dobry, albo i lepszy powód do napaści niż różnice religijne. Bardzo możliwe, że Sodalitas Trinitatis właśnie dlatego obrało za cel Bróg, a nie ubogi zbór antytrynitarSKI na Szpitalnej.

Gwoli ścisłości – nie lubiłem kacerzy. Nieraz wszczynali awantury w mieście, zwłaszcza kalwini szlacheckiej proveniencji, którzy uwierzyli w predystynację, to jest jakoby z racji dobrego urodzenia mieli zagwarantowane zbawienie. O ile wszyscy szlachcice wyносили się ponad niższe stany, to kalwini wręcz dubeltowo. Zdarzyło się w ostatnich latach kilka napaści heretyckich na kościoły i klasztory krakowskie i wcale nierzadkie przypadki turbowania przygodnie napotkanych katolików.

Nie byłem nabożnisiem, co ciotuchna i *pater*, który mnie wychował, nierzadko mi wytykali. Mało tego – za młodu, gdym uciekł z domu i błąkał się po świecie w zakazanej kompanii, zerwałem nie tylko z opiekunami, ale i z wiarą, w duchu której zostałem wychowany. I choć potem wróciłem na łono matki naszej, Kościoła katolickiego, to już nigdy tak ufny jak wprzódy. Niemniej, poznawszy co nieco ateistów i innowierców, odtąd nie buntowałem się, choć znajdowałem, osobliwie u lutrów, kilka interesujących nowinek. Było to wszak o wiele za mało, by nadstawiać karku za kacerzy. Czemu więc to robiłem? Pewnie dlatego że ogień z Brogu snadnie mógł przerzucić się na naszą gospodę. Podzieliłem się zatem z Zacjuszem swymi obawami i podejrzeniem, iż tego roku coroczne żakowskie obchody święta Wniebowstąpienia Pańskiego nie zakończą się, jak zazwyczaj, pogromem Żydów, ale próbą spalenia Brogu.

– *Praemonitus, praemunitus* [63]. Niech ci Bóg nagrodzi – dziękował mi wylewnie. – Dobry z ciebie człowiek, bracie. Jak na papieżnika – zastrzegł szybko.

Ponieważ w grodzie pośród urzędników królewskich kacerze przeważali nad katolikami, tedy zapewnienie sobie ochrony ze strony starosty i wojewody zostawiłem ministrowi. Problem polegał jedynie na tym, że Wawel był prawie pusty – niemal wszyscy udali się na elekcję. Grot dobrze to sobie wykoncypował.

Odwiedziłem jeszcze ratusz, gdzie spotkałem się z hutmanem Bartłomiejem Trojanem i jego surogatem, rotmistrzem *alias* podhutmanim i moim dobrym druhem, Matysem Szarskim. Dobrze mnie znali i potraktowali poważnie ostrzeżenie, nie pytając, jak do tego doszedłem. Wolałem im nie mówić o Bractwie Trójcy, bo sprawy uniwersytetu leżały poza jurysdykcją miasta i tylko niepotrzebnie zaogniłbym i tak mocno napięte stosunki między ratuszem a akademią. Nie chciałem, by scholarzy zruderowali miasto i pokrzywdzili jego obywateli, choćby i kacerzy, ale tak samo nie życzyłem sobie, by pachołki miejskie zmasakrowały żaków.

Udałem się jeszcze na róg naszego Kącika i Floriańskiej, do domu Prospera Provany, ekspoczmistrza, hetmana włoskich antytrynitarzy, alem go nie zastał, przekazałem jedynie ostrzeżenie jego majordomusowi. O ile bowiem kalwini i lutrowie mogli liczyć na pomoc urzędu miejskiego czy grodzkiego, to arianie byli pozostawieni samym sobie. Provano zaś był dostatecznie wpływowy, by z pomocą przyjaciół obronić współwyznawców, choć na przykład na pomoc katolickiego Bractwa Włoskiego pod wezwaniem Świętego Jana Chrzciciela nie mógł liczyć, jako że Włosi byli nacją nie mniej rozdartą religijnie niżli Polacy. Ponieważ nic więcej nie mogłem już uczynić, pozostało mi jedynie czekać na święto Bożego Wstąpienia.

Następnego dnia rano miałem już pewność. Oto Maciek odwiedził mnie o świcie z wieścią, że nocą na Błoniu Zwierzynieckim za Garbarami, z inicjatywy Bractwa Trójcy nastąpiła „konwokacja scholarska”, to jest sekretne zebranie żaków ze wszystkich szkół krakowskich, którym nakazano zebrać się pod bronią popołudniową porą w farze Mariackiej na niesporach.

Latoś Wniebowstąpienie Pańskie wypadło na samym początku maja. Dzień był ładny i ciepły, zachęcający do spędzenia go w spokoju i weselu. W sam raz na majówkę za miastem, w którymś z „Rajów” lub „Piekieł”, z muzyką i tańcami. Istniało „Piekiło” między Piaskiem a Biskupim, „Piekiełko” opodal Górnych Młynów, „Piekiło” na Stradomiu, między klasztorem Bożogrobców [64] pod wezwaniem Świętej Jadwigi a Wisłą; po sąsiedzku, za kościołem Świętej Jadwigi znajdował się „Raj”, a drugi „Raj” – w bliskości Dolnych Młynów [65]. Były to podmiejskie ogrody, w których w pogodne, wolne od pracy dni w posadowionych tam tancbudach, pełniących także funkcję karczem i noclegowni dla bezdomnych, bawiono się wesoło, od lasciwii, a jakże, nie stroniąc.

Ale że ten dzień taki nie będzie, to już wiedziałem, dochodząc popołudniową porą do fary Panny Marii, uprzedziwszy Niziołka, by doma czekał na mnie pod bronią. Zewsząd ciągnęli ku kościołowi młodzi ludzie: scholarzy z akademii, żacy ze wszystkich szkół parafialnych i katedralnej oraz sporo młodzieży rzemieślniczej. Każdy dźwigał ze sobą już to jakieś sakwy, już to całe naręcza kijów, które zostawiali przed wchodem, a wszyscy byli uzbrojeni, niektórzy wcale się z tym nie kryjąc. Sam nieszpór, owszem, udał się. Chór żakowski śpiewał bardzo pięknie, podobnie kapłański, zaś ludzie w kościele, a był nabity, ochotnie się przyłączyli.

Po nabożeństwie wysoko pod powałę świątyni zaczęto wciągać figurę Chrystusa Zmartwychwstałego... Przypomniało mi się, jak wyczytałem u Bielskiego (a może u Kromera?), że zaraz po koronacji król Jagiełło pojechał do Poznania i tam, także po uroczystej mszy, na sznurach podciągano ku sklepieniu posąg Jezusa, a szatan pod postacią smoka był strącany na posadzkę. Wtedy król, poganin do niedawna, spytał zdziwiony, o co w tym *spectaculum* chodziło. „To Bóg wstępuje w Niebo”, odpowiedziano. „Postawcież mu świeczkę – rzekł Litwin, po czym na widok spadającego szatana znów zapytał: – A to co?”. „To diabeł strącony z Nieba”. „Postawcież mu dwa ogarki”, poradził Jagiełło, a gdy chciano poznać przyczynę takiego postępowania, odparł ruskim porzekadłem: „Służ Bogu, a diabła nie gniewaj”. Stąd poszło nasze: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”.

Kiedyś bawiła mnie ta historia, lecz nie dziś. Zwłaszcza gdym pojał, że tym razem to nie rzeźbę wciągano do góry, ale żywego człeka przebranego za Pana Jezusa! Będąc już pod samą powalę, gdy wszyscy z głowami uniesionymi zamarli w oczekiwaniu, człek ów machnął trzymaną chorągwią ku zgromadzonym i krzyknął wielkim głosem:

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Poznałem go po głosie. To był Grot. Wyszedł z kosza i stanął na poprzecznej belce ogromnego krucyfiksu tęczy, w białym całunie spowijającym nagi tors i z koroną cierniową na głowie, jedną ręką trzymając się liny, w drugiej dzierząc czerwoną chorągiew z białym krzyżem. Spoglądał z góry na tłum, napawając się zapewne swoją rolą, po czym, ryzykując upadek i pewną śmierć, puścił linę i uczynił gest błogosławieństwa. Zawsze lubił hetmانيć, a oto był hetmanem nad hetmanami, samym Bogiem, panem życia i śmierci. Nic nie mówiąc, delektował się swą władzą nad zgromadzeniem. Wszyscy umilkli, padając na kolana i nastała cisza jak makiem zasiał. Wtedy zagrzmiał niczym surma bojowa:

– Pomścijcie mnie! Na zbory!

Z okrzykami niegodnymi uświęconego miejsca, zebrani porwali się na równe nogi i jęli cisnąć do wyjścia. Przewidując to, stałem niedaleko drzwi i jako jeden z pierwszych wydostałem się na cmentarz okalający farę. Ale to jeszcze nie był koniec widowiska. Z wyjątkiem mnie nikt się bowiem nie oddalał. Byłem już daleko, gdy odwróciwszy się, ujrzałem, jak wysoko na wieży kościelnej, tej niższej (kościół miał dwie wieże; wyższa – hajnalica należała do miasta), otworzyło się okno i pojawiła się w nim wypchana słomiana kukła na kształt człeka wyrobiona, mająca udawać Łotra *vel* Judasza.

– Judasz! – zawył tłum, a ów ryk rozległ się echem po całym Rynku. – Zdrajca!

– Łotr bezecny! Precz z nim!

– Strącić łotra! Niechaj szczeźnie!

Pchnięta niewidzialną ręką kukła wychyliła się z okna i runęła w dół, roztrzaskując się na kamieniach przed kościołem, resztę zaś rozszarpała na strzępy rozwścieczona tłuszcza. Nagle scholarzy, wśród których z pewnością nie brakło

członków Bractwa Trójcy, jęli podburzać i tak niespokojną cizbę, wznosząc okrzyki:

- *Ad idem!* – było to bojowe zawołanie żaków, na które spieszył kto żyw.
- Na zbory! Tam są prawi Judasze, co Pana naszego na śmierć wydali!
- Nieprzyjaciele Boga w Trójcy jedyne! Precz z kacerzami!
- Zabić ich! Gorze łotrom!
- Łotr, szatan, antychryst i heretyk to jedno!
- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, naprzód, kto w Boga wierzy!
- Na zbory! Do Brogu! *Ad idem!*

Dłużej nie czekałem, co sił w nogach zdążając do domu. Kazałem nielicznym gościom opuścić gospodę i czym prędzej wracać do domów, a Niziołkowi zamknąć karczmę i czekać pod bronią w gotowości. Obojętnie z jakiego powodu wybuchał tumult, zawsze kończył się tak samo – motłoch usiłował rabować co popadło. Niziołek o nic nie pytał, gdy patrzył, jak zakładam za pas nabite pistolety, biorę worek z kulami i prochownicę, ani gdy zamykał za mną drzwi, ale w oczach miał zatroskanie.

Po drodze do Brogu pomyślałem sobie przelotnie, że strącenie kukły Judaszowej, mające prezentować pogwałcenie złego ducha, stanowiło początek czegoś zgoła odmiennego. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu masywne drzwi nie były zawarte. Znalazłem się w wąskiej i długiej jak kiszka sieni, ciągnącej się na przestrzał i zakończonej oknem. W ścianie po prawej były dwa wejścia, dla mężczyzn bliżej bramy i dla niewiast w głębi. Przez to pierwsze z ciekawością zerknąłem do wielkiej świetlicy pełniącej funkcję kościelnej nawy. Naprzeciwko znajdowała się kazalnica, z przodu ławki i to wszystko. Ściany były gołe i niczym nieozdobione z wyjątkiem wielkiego krucyfiksu. W sumie, jak dla mnie, było tu ponuro i nieprzytulnie, ale: *de gustibus non disputandum* [66]. Ku mojemu osłupieniu miast przygotowań do obrony, ujrzałem... ceremonię ślubną. Panna młoda, piękna jak malowanie młódka w białej sukni, właśnie ślubowała dożgonną wierność i miłowanie postawnemu młodzieńcowi.

– Czyście poszaleli?! – sycząc mu do ucha, szarpnąłem za rękaw diakona Zacjusza, na szczęście siedzącego niedaleko wejścia. – Przecie was ostrzegałem! Tumultantów jeno czekać!

– Ślub zaraz się skończy – odparł – i wtedy przygotujemy zbór do obrony.

Szepnął coś do sąsiada, patrzącego na szlachcica, jak się pokazało opiekuna zboru, imię Stanisława Iwana Karnińskiego. Zaraz też pan Karniński, człek energiczny, chciał zbierać mężczyzn uczestniczących w ceremonii, zakładać antaby na żelazne wrota i podpierać je dodatkowo grubymi belkami, a okna na dole zabijać deskami. Ale było za późno.

– Tak mi Panie Boże dopomóż! – rzekł minister Maciej Gilowski, kończąc obrządek zaślubin młodej pary.

– A czemu Pannę Maryję i Wszystkie Święte opuszczasz? – wrzasnął na cały zbór

jeden z żaków, którzy, jak się okazało, wśliznęli się cichaczem do świątyni w ślad za młodym państwem i innymi uczestnikami uroczystości; poznałem go, był to Hieronim Orzechowski, sodalis Bractwa Trójcy, ów kędzierzawy.

Stojący najbliżej kalwin wyciął zuchwałego scholara w gębę i wytarł mu włosy, ów zaś wybiegł przed świątynię, gdzie już przybyli jego towarzysze i wszyscy zaczęli wzywać przechodniów do wspólnego ataku na zbór, wznosząc żakowski okrzyk bojowy: *Ad idem!* Jako i zaraz zgromadził się tłum chłopiąt, hultajów, mendików, gnojników i innego motłochu. Dowodzeni przez Orzechowskiego i innych przywódców studenckich, oblegli budynek, bombardując go cegłami i kamieniami rwanymi z burku.

Opuściłem Bróg w ostatniej chwili. Nie pomagałem przecież napadniętym z życzliwości do herezji, jeno z miłości do ksiąg. Każdy, kto czynił im krzywdę, wielce mi się narażał. Wcale nie miałem ochoty umierać za kaczerzy, pragnąłem jedynie załatwić własne porachunki. Dlatego już wcześniej przygotowałem sobie wytrych, którym bez trudu otworzyłem drzwi do zawartego na głucho kościoła Świętego Jana na wprost zboru. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Oto bowiem z dwóch stron, od Floriańskiej i Rynku, niemal równocześnie, pojawił się zbity i wyjący tłum, nieuchronnie przybliżając się ku nam. Już niedługo można było rozpoznać poszczególne twarze. Na przodku, jak należało się spodziewać, kroczyli konfratry Bractwa Trójcy, zagrzewając resztę do boju. Pośród cizby przeważali scholarzy i żacy, ale nie brakowało uczniów i czeladników, a także pospolitego motłochu i jawnego hultajstwa, które przywiodła pod Bróg nie sama nienawiść, lecz przede wszystkim żądza mordy i łupów. Miałem na wszystko wyborny prospekt, bom wdrapał się na kościelną wieżę. Wydało mi się, że rozpoznałem kilku podwładnych Króla Żebraków, w tym moich dobrych znajomych, Kubraka i Dziurę.

Tym bardziej irytowała mnie obecność w takim gronie kolegów ze studiów. Co to się porobiło ostatnimi czasy! Efektem powszechnego uzbrojenia się młodzieży i gotowości w każdej chwili do walki było dzikie rozpasanie i nieznająca granic swawola, krwawe wybryki i akty gwałtu, liczne zabójstwa. Pospolitych występków, jak namiętna gra w karty i kości, pijaństwo po karczmach, nocne włóczęgi, kurewstwo, gwałcenie dziewczek, bójki i kradzieże, nikt nie rachował. Z biegiem lat scholarzy i żacy działali coraz sprawniej i solidarniej, nabierając wprawę we wszczynaniu tumultów. Wystarczyło jeno uderzyć w szkolny dzwonek na alarm, a zaraz zbiegało się kilkaset młodzieży ze wszystkich szkół. Coraz częściej zdarzały się też wypadki podszywania się rozmaitego hultajstwa pod miano studentów i wyzyskiwania tumultów i rebelii dla własnych celów. Z kolei wybryki studenckie często budziły żywą reakcję w postaci napadów na bursy: Ubogich, Kanonistów, a nawet Kolegium Większe.

Za moment Bróg został otoczony z obu stron. Tłum był tak wielki, że tłoczył się na całej szerokości ulic. Zaczęło się od rozgrzewających okrzyków w rodzaju:

– Otwierać wrota! Matkę Boską i Wszystkich Świętych niesiemy wam, antychrysty zatracone!

– Precz z heretykami! Spalić budę i obwiesić Judaszów!

– Ludzie! – zawołał z góry Zacjusz. – Odstąpcie! Tacy sami my dobrzy chrześcijanie jako i wy!

– Bluźnisz, Judaszu! – odkrzyknął ktoś; poznałem głos Grot. – Naprzód, kto wierzy w Trójcę Świętą, Najświętszą Panię i Wszystkich Świętych Pańskich! Bij łotrów!

W tej chwili rozpoczął się szturm, a pierwsza wystrzelona kula utkwiała w okiennicy tuż obok głowy ministra, który szybko cofnął się w głąb izby, poblady na licu. Rozpętało się piekło. Tumultanci wyjmowali z tłumoków i sakw siekiery, topory, flinty, głązy, ale także księgi. Ci, którzy się zawczasu nie przygotowali, rwali burk z ulicy. Podczas gdy jedni strzelali do obrońców Brogu i kamieniami wybijali szyby w oknach lub siekierami i toporami usiłovali dostać się do bramy, druga grupa rzucała pod murem na kupę kije i bierwioną, wyrwane skądś deski i belki, na wierzchu układając przyniesione księgi i oblewając wszystko łatwopalną smołą.

– Ejże, heretycy! – wrzasnął Grot, przekrzykując bitewną wrzawę. – Patrzcie, jak płoną wasze obmierzłe księgi, bo za niedługo i wy będziecie się tak smażyć! Wpierw w owej budzie, potem w piekle przez cały wieczny żywot!

Gdy się schylił, by skrzesać ogień i podpalić pochodnię, których także mieli ze sobą spory zapas, po starannym celowaniu wpakowałem mu kulę w ramię. Wrzasnął i odstąpił na bok, krzywiąc się z bólu. To była moja zemsta za tyle myśli ludzkiej, choćby i kacerskiej, przelanej na papier, którą oto uśmiercała ta dzicz. Niczemu to jednak nie zapobiegło, bo zaraz stos zapłonął wielkim płomieniem, który jał lizać ściany budynku. Równolegle nasiliła się palba, zarówno ze strony tumultantów, jak i kacerzy, którzy wreszcie zaczęli się odgryzać. Ja zaś wybierałem dokładnie cele, starając się ranić, nie zabijać i dbając o to, by nie dać się poznać atakującym. Nie miałem bowiem najmniejszej ochoty zyskać miana przyjaciela heretyków i narazić Bogu ducha winną ciotkę na spalenie gospody „U Balcera” przy okazji następnego pogromu, albo i bez okazji. Zresztą wkrótce okolicę wypełniły kłęby gryzącego dymu i celowanie stało się niemal niemożliwe. Miało to jednak tę dobrą stronę, że i moje wystrzały oraz towarzyszące im chmury spalonego prochu nie rzucały się w oczy.

Jakieś kupie szturmujących udało się przez okno na parterze wtargnąć do wnętrza, bo wnet dobiegły stamtąd przejmujące krzyki. Zobaczyłem małe dziecko, niesione przez jakiegoś smolucha do okna. Malec darł się wniebogłosem i wierzał z całych sił, lecz oprawca trzymał go mocno i szykował się do wyrzucenia dziecka na ulicę. Nie zdzierżyłem. Celowałem w ucho, a trafiłem w łeb, lecz czym uratowałem dziecko, tego nie wiem.

Chwilę potem w oknie na wtórym piętrze pojawiła się panna młoda, której krasę tak niedawno miałem okazję podziwiać; widać aż tam zapędzili ją napastnicy. Suknia

na niej zajęła się od płomieni liżących lico zboru. Coś krzyczała, czego nie słyszałem w panującym hałasie. Płonąc jak pochodnia, rzuciła się w dół. Upadek na burk ugasił suknię, która jednak już nie była biała, jeno czerwona od krwi.

Wtem ujrzałem Chrzastowskiego, któremu niedawno przetraciłem rękę, jak stanął nad ciałem dziewczyny. Cóż, niektórym mało jednej nauczki. Wszak, jak rzekł Pan, miotać w drugich kamieniami może jeno ten, co sam jest bez winy. Z niemałą satysfakcją, doprawdy niegodną prawego chrześcijanina, której powinienem się wstydzić, lecz jakoś nie potrafiłem, wycelowałem, by strzaskać mu kolano. Akurat dym nieco się rozwiął i mogłem starannie przymierzyć. Odjąłem palec od cyngla w ostatniej chwili, własnym oczom nie wierząc. Bo oto rabuś ksiąg i zabójca fura, stojący dotąd jak słup, pochylił się nad martwą dziewczką, wziął ją na ręce i poniósł w spokojniejsze miejsce. Po czym usiadł z trupem na kolanach i kołysał go w ramionach, a z oczu płynęły mu łzy jak groch, widoczne nawet z tej odległości.

Dałem mu zatem pokój, wypatrzyłem za to składającego się do strzału białasa Walawskiego, miłośnika strzelania z pistoletu do przypadkowych przechodniów i mordowania bezbronnych zecerów. Wziąłem ze sobą znakomity pistolec, wyrobiony na francuską modłę przez mojego szwagra Michała. Miał gwintowaną lufę i z dwudziestu kroków trafiałem zeń w środek tuza czerwienego. Teraz odległość była nieco większa, więc musiałem się skupić. Ale z rezultatu byłem bardzo zadowolony. Moja kula trafiła w arkebus, akurat gdy łotr trzymał broń przy gębie, i wyrwała zamek, który grzmotnął go w pysk, obalając na ziemię. Szedłem o zakład, że prędki do strzelania Foltyn, obojętnie, czy zamek wybił mu zęby, czy oko, już na zawsze będzie skazany na sprzedajne dziewczki, bo żadna cnotliwa panna nie zechce go z takim paskudnym charakterem i pokiereszowaną na dodatek gębą. Nie dane mi było jednak wyeliminować z walki całej starszyny Bractwa Trójcy, bowiem od ulicy Szpiglarskiej pojawili się strażnicy miejscy z hutmanem Bartkiem Trojanem na czele. Było ich zaledwie dwudziestu paru, bynajmniej nie uzbrojonych lepiej od tumultantów, dlatego ci ostatni, co najmniej dziesięciokrotnie liczniejsi, wcale się nie ulękli i z wyciem uderzyli na pachołków. Owi z najwyższym trudem odparli atak, ale naciskani, jęli się cofać. Tryumfujący motłoch zaczął wznosić zwycięskie okrzyki, gdy wtem rozległ się na burku stukot kopyt i wielu podkutych butów – to od Rynku nadciągała piechota zamkowa z podstarościem i kilku jeźdźcami na przodku. Na rozkaz dowódcy starościńscy oddali salwę, po czym runęli na tumultantów. Przybycie posiłków z grodu dodało otuchy drabom miejskim, którzy natarli śmieiej. Tumultanci opierali się krótki czas, po czym podali tył.

– Jeszcze tu wrócimy! – odgrazali się na odchodnym.

Nie chcąc się pokazywać, odczekałem, aż w pogoni za warchołami odeszli i strażnicy, i starościńscy i plac boju opustoszał, po czym wymknąłem się z kościoła. Na ulicy nie zauważyłem żywego ducha. Rannych i zabitych zabrali swoi. Jednak ślady walki widoczne były także w naszym Kąciku, a w powietrzu unosił się smród spalenizny. Gospodę zastałem nienaruszoną i choć wiedziałem, że pod opieką

Niziołka należało się tego spodziewać, odetchnąłem z ulgą. Stukając do wciąż zaryglowanych drzwi, ujrzałem skrawek papieru, który przylepił się do progu, i schyliłem się, by go podnieść. Był to nadpalony fragment Biblii, co prawda kacerskiej, lecz mimo wszystko Pisma Świętego. Nim zdążyłem go pochwycić, świstek oderwał się i odfrunął niesiony wiatrem. I to był najlepszy komentarz do tego, co się dzisiaj stało, i dobre zakończenie osobliwej historii, która zaczęła się od znalezienia trupa w bibliotece. Nawet marnego kęsa nie powiodło mi się ocalić z zaginionych ksiąg, które miał z zem nadzieję odzyskać.

Następnego dnia od rana znów trwał szturm Brogu, a my siedzieliśmy pod bronią, zabarykadowani w gospodzie. Tym razem podstarość nie przybył obleżonym w sukurs. Wycofał się na Wawel i zatoczył armaty na stanowiska, ponieważ musiał pilnować zamku, jako że cała szlachta wyjechała na elekcję. Energiczny burmistrz, luteranin Stanisław Fogelweder młodszy, mimo bierności rady miejskiej zorganizował naprędce oddział ochotników, którzy jednak sromotnie przegrali w starciu ze sprawnie władającymi bronią i zaprawionymi w podobnych awanturach scholarami. Kiedy rozbici wolontariusze umknęli, a nieliczni obrońcy zboru ulegli przeważającym siłom, scholarzy i hultajstwo wdarli się do Brogu. Protestanci uciekali, jak i gdzie mogli, minister salwował się ucieczką po dachach. Dziki tłum wywalił żelazne drzwi, powyrywał kraty, zniszczył nawet kamienne odrzwia, potłukł piece i błony w oknach. Zrabowano masło, sery i wino z piwnic. Spustoszone i zdemolowane wnętrza – kazalnicę, ławy, stoły i drzwi zburzone i potrzaskano. Dachówki niemało zrzucano, piętra zdziurawiono tak, że cały budynek od ziemi aż do wierzchu można było przejrzeć. Rozbito skrytki i ukradziono klejnoty i pieniądze zdeponowane w zborze, naczynia liturgiczne, a o zmroku rozpalono ognisko i ciskano doń sprzęty, księgi i dokumenty wyniesione z Brogu, do wtóru pieśni śpiewanej na całe gardło przez rozochoconych żaków:

– *Te Deum laudamus, Conterre Domine fortitudinem inimicorum ecclesiae Tuae.* Prosimy Świętego Ducha, wygnaliśmy z Brogu złego ducha!

Trzeciego dnia do pracy wzięli się rzemieślnicy, metodycznie niszcząc świątynię. Wówczas rabusiów najechał ze swymi ludźmi pan Mikołaj Dłuski, kalwin, ratując zbór przed całkowitym unicestwieniem i chwytając prowodyrów, z których pięciu ciesielczyków i murarczyków dało potem głowę przed ratuszem. Ale ukarano tylko winowajców spośród pospólstwa, gdyż władze akademii, jak zwykle, nie pozwoliły osądzić głównych sprawców – scholarów, mimo iż sam biskup krakowski i kanclerz uniwersytetu, Franciszek Krasieński, potępił tumult i zaofiarował pomoc w odbudowaniu zboru.

Kiedym trzy dni po zamieszkach przechodził mimo zruderowanego Brogu, zgłiszcza jeszcze dymy, ale wierni już uwijali się przy odbudowie zboru. Osłupiałem, widząc pośród pracujących harującego w pocie czoła Andrzeja Chrzastowskiego, jednego z głównych sprawców najścia na zbór. On też mnie poznał. Kiwnął głową i rzekł:

– Wczoraj odmieniłem wiarę na kalwińską.

Po czym znów z zapalem wrócił do roboty. Wyglądało na to, że teraz z równą pasją, jak wprzód walczył po stronie katolików, będzie krzewił kacerstwo. Niektórzy tak mają.

Tydzień później już nie mówiono w mieście o próbie spalenia Brogu, umysły wszystkich zajęła wieść, która nadeszła z Warszawy – oto jedenastego dnia tegoż miesiąca maja *interrex* prymas Uchański ogłosił wszem i wobec, że królem Polski i Litwy obrano królewicza francuskiego, Henryka Andegaweńskiego z rodu Walezjuszy. A niedługo potem dowiedzieliśmy się, iż wybrano posłów, którzy wyruszyli do Francji po króla elekta. A mnie zmartwiła nowina, że pośród delegatów znalazł się pan Zamojski, a skoro on, to i Staszek Żółkiewski pewnie razem z nim. Tedy przed jesienią z pewnością nie mieliśmy się spotkać. Pozostało tylko rachować, że przynajmniej Janka zjedzie wcześniej do Krakowa razem z dworem królowny Hanny i ciałem zmarłego króla Augusta. Ale chyba też nie tak rychło, jakbym sobie wieszował, bowiem pochówek starego króla nie mógł nastąpić prędzej, nim nowy nie stanął w granicach Rzeczypospolitej. Jak na razie, po pogrzebaniu na miejscu w Knyszynie wnętrzności królewskich, ubrane zwłoki zostały przewiezione do Tykocina, gdzie dotąd czekały na wyznaczenie terminu pochówku. I mnie także na powrót bliskich przyszło czekać, jak szacowałem, najmniej trzy do czterech miesięcy. Najgorsze były noce. Każdej śniła mi się Janka. Otoczona przez postawnych paziów i dworzan, niemogąca się od nich opędzić i przebijająca w nich jak w ulegawkach. Albo napastowana przez Zborowskiego, który z resztą łotrowskiej rodziny wyjechał na elekcję i dotąd nie wrócił. Doprowadzało mnie to do szału.

Gdybym wówczas wiedział, jak bardzo termin naszego niewidzenia się wydłuży, chyba popadłbym w rozpacz, a tak pochłoneły mnie codzienne sprawy. Pilnie jak rzadko chodziłem na wykłady uniwersyteckie, zyskując sobie u mistrza Foksa równie dobrą opinię, jaką już wyrobiłem sobie u profesora Pika Zawadzkiego. Doktor Fox objął także ustanowione z fundacji Piotra z Poznania stanowisko lekarza ubogich w domu na Wiślniej i obiecał mi posadę swego pomocnika, jak tylko zdam egzamin licencjacki. Dlatego przykładałem się do nauki, chcąc jeszcze w tym roku uzyskać bakalaureat. Nachodziłem także szwagra Michała, który jako czeladnik kilka lat spędził we Francji, by i mnie uczył francuskiego, jak wprzód Jankę. Równocześnie usiłowałem wtłoczyć do głów zaczątkom ze szkoły duchackiej rudymenta gramatyki łacińskiej, ale skutki mego pedagogicznego trudu były nadzwyczaj mizerne. Cóż, odkrywałem przykrą prawdę, że nikt nie jest doskonały. Zawsze po tych lekcjach zaglądałem do ojca Rocha.

Któregoś dnia po powrocie do domu czekała mnie mała siurpryza. Może i nie taka mała, bowiem Matusz Szarski niemal dorównywał mi wzrostem. Lubilem go nie tylko dlatego, że jako podhutmani był moim okiem i uchem w ratuszu, ale i podrzutkiem jak ja.

– Długo czekasz?

– Pół godziny. Właśnie miałem wychodzić – wysączył resztkę piwa z cynowego kufla.

– O co chodzi? – Zazwyczaj to ja miewałem sprawy do niego, alem dobrze płacił, więc nie miał powodu do narzekania.

– Morderstwo. Hutman Trojan chce, żebyś ze mną poszedł.

– Najpierw coś zjem.

Zamówiłem pieczyście, które przepłukaliśmy piwem. Byłem głodny jak wilk i nie miałem ochoty na pogwarki, zatem zjedliśmy w milczeniu i wyszliśmy.

– Dokąd idziemy?

– Niedaleko.

Jako i po paru chwilach już byliśmy na Floriańskiej, pod domem sąsiadującym z Pod Etiopy. Znałem tę kamienicę. Byłem w niej kiedyś z racji prowadzonej wówczas inwestygacji. Mieszkał tu z córką rajca Polak, nowobogacki, kreatura wszechmocnego burmistrza Czeczotki, z którym zadarłem w swoim czasie. Otworzył nam na wpół głuchy służący, którego dobrze pamiętałem, ale on mnie chyba nie. Skierowaliśmy się do zadzi, więc zapytałem:

– Chodzi o wdowę Waliszewską? – wiedziałem, że ojciec wyrzucił córkę do oficyny z powodu jej prowadzenia się, a nie było ono przykładne.

– Znałeś ją? – Matusz posłał mi znaczące spojrzenie.

– Nie tak, jak ci chodzi po głowie.

Stary służa wpuścił nas do gmachów wdowy i oddalił się. Sypialnię Waliszewskiej, *de domo* Polakówny, też znałem, tylko teraz była jeszcze bardziej zagracona i brudna, niż przed ponad trzema laty, gdym tu jeden jedyny raz zaglądnął razem z Niziołem. W zatechłym powietrzu śmierdziało zastarzałym potem, gnijącymi resztkami jadła na talerzu stojącym wprost na pawimencie, duszącym zapachem juchy i nieuchwytną wonią śmierci. Ohydne brzęczenie much wwiercało się w uszy. Łóżko, rozmamłane jak wtedy, różniło się jednym szczegółem – spoczywająca na nim kobieta była niewątpliwie martwa.

– Nareszcie! Długo kazaliście na siebie czekać – mruknął hutman na nasz widok.

– To ja już pójdę – rzekł niechlujny staruch, rajca Polak we własnej osobie, niesprawiający wrażenia pogrążonego w bólu ojca, czemu zresztą natychmiast dał wyraz: – Nawet umrzeć jak należy nie potrafiła ta wszetecznic! Wezwijcie Jana, jak będziecie wychodzić.

Wyszedł, kłapiąc rozczłapanymi pantoflami i trzaskając drzwiami.

– Kochający papcio – westchnąłem.

– Nieutulony w żalu – dodał Matys.

– Też nie chciałbym takiego epitafium – zgodził się z nami Trojan. – A teraz do roboty. Podejdź sam, Kacprze, i powiedz, co o tym sądzisz.

W gmachu paliły się wszystkie świece. Hutman wziął jeden z lichtarzy i przyświecał mi, podczas gdy oglądałem zwłoki. Nieboszczka leżała na brzuchu w poprzek łóżka, zupełnie naga, z szeroko rozrzuconymi rękoma i nogami. Na środku

pleców, całkiem gładkich, miała niedużą plamę krwi, lecz lepka od brudu pościel nie była pokrwawiona. Skąd więc ten zapach? Może cała krew spłynęła pod brzuch ofiary. Głowa zwisała z łoża tak, że rude sploty opadały na zagnojoną podłogę. Włosy były jeszcze gęste i głęboko miedziane, ale na czubku głowy jaśniała siwizna. Walek tłuszczu zamiast talii też był dowodem, że od naszego poprzedniego widzenia wesoła wdówka jeszcze bardziej straciła na ponętności. Zrobiło mi się jej żal. Już nigdy nie zanuci mi ani nikomu drugiemu: „Oj, dałabym ci, dała, kosmatego ciała...”.

– Tak ją znaleźliście? – spytałem.

Hutman potaknął.

– Ktoś ruszał ciało?

– Ja. I lekarz, doktor Siennik, którego kazałem sprowadzić.

Stary doktor Siennik już nie praktykował. Prowadził aptekę w domu Pod Etiopy, niegdyś swoją, a teraz Delpacych, którą obsługiwał. Ale wciąż znał się na rzeczy, a przed z górą trzema laty pomógł mi uratować Jankę postrzeloną przez Kettlera, zabójcę maga Twardowskiego.

– I co rzekł?

– Potem ci powiem. Teraz chcę, byś i ty dokonał prezenty ciała. Dlategośmy ułożyli ciało z powrotem, jak było.

Nie bardzo pojmowałem, po co poddaje mnie temu egzaminowi, ale nie protestowałem, bo był mi życzliwy i patrzył przez palce na naszą zażyłość z Szarskim. Dlatego, kiedy już dokładnie obejrzałem zwłoki w pozycji na brzuchu, poprosiłem, by pomogli mi przewrócić je na wznak. Matowe, martwe oczy nie wyrażały niczego. A pamiętałem, jak potrafiły rzucać zaczepne i kokieteryjne błyski. Nieco obwisłe policzki i zwisające piersi sprawiały, że dałbym jej najmniej czterdziestkę, choć jeszcze ledwie trzy lata temu patrzyła na najwyżej trzydzieści, a kiedy przed pół rokiem przysłała do naszej gospody – na trzydzieści pięć. Śmierć co prawda zawsze postarza i ujmuje urody, lecz nie do tego stopnia. Miała małą, schludną ranę dokładnie na wysokości serca. Nie było prawie krwi. Skąd więc ten zapach? Rozkład ciała nie postąpił jeszcze aż do tego stopnia, by to usprawiedliwić. Rozejrzałem się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłem narzędzia zbrodni, tylko dzieńne odzienie nieboszczki rozrzucone niedbale przy łożu i nocne giezło przy kominku. Obejrzałem wnikliwie każdą sztukę odzieży.

– Ruszaliście coś?

– Nic. Tylko ciało. I co? Kiedy i jak umarła? – siedząc na skraju łoża, Trojan rozcierał chromą nogę.

– *Rigor mortis* następuje zazwyczaj cztery do sześciu godzin po śmierci. Ponieważ jest dość ciepło, stawiam na tę drugą możliwość. Ustępuje zaś po kilkunastu kolejnych godzinach. Najwcześniej, powiedzmy, po szesnastu do osiemnastu... Sądząc po stanie zwłok, rzekłbym, że zginęła jakieś trzydzieści sześć godzin temu. Kiedy ją znaleziono?

– Przed dwoma godzinami.

– Czyli około czwartej... A kiedy i kto widział nieboszczkę po raz ostatni?

– Ojciec. Przedwczoraj w południe. Przyszła do niego i pokłócili się.

– O co poszło?

– O pieniądze. Straciła możnego opiekuna i brakowało jej na życie. Wrzeszczeli tak, że nawet głuchy Jan wszystko słyszał.

– Ale od starego wyszła żywa?

– Niewątpliwie. I wróciła do siebie. Potem jeszcze Jan posłał do niej służkę, jedną z dwóch obsługujących starego, by jak co dzień zaniósła jej jadło i ogarnęła izbę, ale wdowa nie wpuściła owej za próg, odebrała jedynie spyżę. Wczoraj drzwi były zawarte od rana. Dziś też. Dopiero Matusz je wyłamał, bo nie było zapasowych kluczy. Wezwano nas, kiedy nikt nie odpowiadał na łomotanie. Poza tym Jan, który jest półgłuchy, ale wzrok i węch ma dobry, wyczuł dziwny zapach dobywający się z kownaty.

– To by się zgadzało... – myślałem na głos. – Wedle mojej rachuby zginęła wczorajszej nocy. Od jednego ciosu narzędziem podobnym do chirurgicznego lancetu, w każdym razie o równie wąskim ostrzu. Umarła od razu. Polepione włosy łonowe i wybroczyny wokół kiepa wskazują na odbycie stosunku miłosnego przed śmiercią. Brak otarć i drugich śladów w odbycie sugeruje, że nie uprawiano sodomii. Za to otarcia sromu i niemal odgryzione sutki są oznaką gwałtu, może nawet wielokrotnego. Albo ją zaskoczył i nie zdążyła narobić rabanu, albo go znała. Sprawdziliście zamki tutaj i u bramy?

– Owszem, my też czasem myślimy – uśmiechnął się Szarski. – Nie ma żadnych śladów włamania.

– Zatem morderz miał swoje klucze i po popełnieniu zbrodni zabrał je ze sobą, zamykając zarówno drzwi, jak i bramę.

Hutman łypnął na mnie swym jedynym okiem (drugie było zasnutę bielmem) i stuknął laską.

– Chciałem zobaczyć cię przy robocie. I nie zawiodłeś mnie, synu. Ale też jak dotąd nie powiedziałeś nic, do czego byśmy sami nie doszli albo nie powiedział nam doktor Siennik.

– W takim razie wiecie też, gdzie została zabita?

– Jak to? – Trojan wytrzeszczył oko i rozdziawił usta.

– Bo na łożo przeniesiono już martwą. Mniemałem, że to oczywiste.

– Tedy gdzie zginęła? – spytał zmęczony staniem Matys, siadając po drugiej stronie zwłok, naprzeciw Trojanu; justycjariusze i medycy, obcując na co dzień ze śmiercią, jednaką żywią wobec niej obojętność.

– Tam. – Pokazałem kominek.

– Skąd wiesz?

– Bo na łożu powinny być jakieś ślady krwi, a nie ma żadnych. Widzicie ten jaśniejszy kęsek podłogi przed kominkiem? To ślad po jakiejś skórze lub kobiercu.

Tu z nią baraszkował, tu ją zabił, a potem przeniósł ciało na łożo.

– Po co zadawał sobie tyle trudu? – spytał hutman.

– Myślałem o tym. I sądzę, że znam odpowiedź – pokazałem drzwi. – Dziurka od klucza znajduje się dokładnie naprzeciwko. Chciał, by ciało odkryte jak najpóźniej.

– No dobra, mądralo, gdzie zatem jest to futro, czy też kobierzec? – spytał Szarski.

– Pewnie nad nim siedzisz.

Podskoczył jak oparzony i jedynie o mgnienie szybciej od hutmana, któremu przeszkadzała sztywna noga. Schyliwszy się, wyciągnął spod łożka rulon, z którego po rozwinięciu uniosła się chmara much i potworny smród. Wzór na cennym dywanie był mocno zamazany, i to bynajmniej nie z powodu brudu, który grubą warstwą pokrywał wszystko w tej izbie. Zastygła krew i kał, usunięty przez organizm, gdy puścił zwieracz, dały doprawdy piorunującą mieszankę. Zatkaliśmy nosy i wstrzymaliśmy oddech, podczas gdy Matusz na znak Trojana pospiesznie z powrotem zwinął kobierzec, otworzył okno wychodzące na podwórze i wyrzucił rulon. Stłoczyliśmy się przy oknie i zaczerpnęliśmy powietrza.

Gdy izba się nieco przewietrzyła, podszedłem jeszcze raz do zmarłej i odgarnąłem jej włosy z twarzy. Nie zaskoczyły mnie siniaki na obu skroniach ofiary i odcisnięte palce na szyi.

– Widzicie? – pokazałem im. – Przyszedł, gdy przebierała się do snu. Ogłuszył ją, porwał na niej gieżło nocne i zniewolił.

– Siniaki mogły powstać podczas przenoszenia zwłok – zauważył hutman.

– Na szyi? Poza tym po śmierci na ciele nie odcisnęłyby się żadne ślady. *Ergo* rzekłbym, iż zamordował ją ktoś, kogo znała, lecz nie gach. Spędził z nią noc, na przemian to bijąc, to chędożąc, zadźgał biedaczkę nad ranem, zapewne wciąż nieprzytomną, bo chyba się nie broniła, i spokojnie opuścił dom. Powiedziałbym, że nie pierwszy raz tu bawił.

Sięgnąłem po wywróconą szklanicę z zaschniętymi pozostałościami czerwonego wina i dwie próżne flaszki. Na szkle ślady były zamazane, ale na butelkach pięknie odcisnęły się tłuste odciski palców.

– Szukacie krzepkiego mężczyzny o dużych dłoniach i grubych palcach. Mańkuta albo chytrze udającego leworękiego, żeby zmylić tropy. Wskazują na to siniaki na obu skroniach ofiary i rana pod sercem, także nieco bardziej z prawa, no i te odciski na flaszkach. Jedną trzymał lewą ręką, a drugą prawą. Szkoda, że nie potrafimy przymierzać odcisków do podejrzanych, bo wtedy nie potrzebowalibyśmy drugich dowodów – rozmarzyłem się. – Sprawdziliście to? – Wskazałem zamczystą skrzynkę pod ścianą.

– Tak – odparł hutman. – Nie była zamknięta. Trzymała tam pieniądze od klientów i precjoza. Pieniądze już dawno wydała, a z klejnotów nic nie zginęło. Tak przynajmniej utrzymuje służka, która tu czasem sprzątała.

– Zatem nie szło o rabunek – rzekłem. – A skoro nie znamy pobudek, jakimi

kierował się zbrodzeń, tedy trudno będzie go wysledzić. Nie zażrę wam. A teraz – dodałem, spoglądając na nich z powagą – może wreszcie się dowiem, po co zostałem wezwany? Oprócz niewątpliwej przyjemności oglądania mnie przy robocie.

– Nie uwierzysz – powiedział hutman – ale to burmistrz Tłokiński kazał nam zwrócić się do ciebie. Jeśli pomożesz nam znaleźć mordercę, dostaniesz swoją podwójną lafę. Idzie o to, że wszyscy wiedzą, iż Waliszewska była kochanicą burmistrza, choć to już z dawna rzecz miniona...

– Jak to? – przerwałem mu.

– A tak. Gdzieś tak zaraz po Wielkiej Nocy burmistrz Tłokiński ostatecznie zerwał z nią wszelkie stosunki. Nie wiem, co robiła potem i z kim się zadawała, lecz sądząc po tym – ogarnął ręką nieporządek w izbie – rozstanie jej nie posłużyło i ciężko to odchorowała. Służący Jan upiera się, że od tamtej pory nie wpuszczał do niej żadnego gacha.

– A gdzie pan burmistrz był poprzedniej nocy?

– U nowej kochanki. Przynajmniej tak utrzymuje – głos hutmana zabrzmiał nieprzekonująco, bo też alibi Czeczotki *alias* Tłokińskiego do najlepszych nie należało. – Ja mu wierzę – dodał lojalnie.

To, że Czeczotka zerwał ostatecznie z Waliszewską, aż tak mnie nie zaskoczyło, nie po tym, co nieboszczka mi wyznała, ale dla drugich mogło stanowić nowinę. Nikomu bowiem nie było tajno, że wesoła wdówka od lat cieszyła się przywiązaniem naszego rozwiązłego burmistrza, mając status jakby oficjalnej żalownicy. Miewał rozliczne miłostki z młódkami, lecz zawżdy do niej wracał. Podobnie ona – nie gardziła innymi klientami, zawsze wszak gotowa przyjąć burmistrza. Może żywiła nadzieję, że tak już zostanie na zawsze? Pewnie też coraz trudniej przychodziło jej zarabiać ciałem przy ogromnej konkurencji ze strony o wiele młodszych i urodziwych małą, których w mieście nie brakowało. Właściwie nie powinienem jej żałować, bo przecież z zazdrości przywiodła do śmierci mego druha, Franka Wolskiego, była kochanicą mojego najgorszego wroga – Czeczotki, a chodziły słuchy, że razem z nim otruli swego męża.

– Dla Czeczotki nie kiwnę nawet palcem w bucie. Powinien to wiedzieć.

– Jest w trudnym położeniu – wyjaśnił Trojan. – Stary Polak może i nie cierpiął córki, albo i sam wepchnął ją do łóżka burmistrza, lecz choćby dla przyzwoitości i pod naciskiem opinii publicznej musi nastawać na ujęcie zbrodniarza. A najbardziej podejrzanym chwilowo jest pan burmistrz Tłokiński. Każde dziecko w mieście wie przecież, że miał swobodny dostęp do tego domu we dnie i w nocy.

– Kiedy zaniósłem na ratusz wieść o mordzie – wtrącił się Mateusz – rajca Słoński od razu rzekł na głos w przytomności drugich rajców i burmistrza Fogelwедера do pana Tłokińskiego: „Znudziła się, a odejść nie chciała, tedy trza się było pozbyć ciężaru, co Rozmus?”. Dlatego panu Tłokińskiemu tak zależy na rychłym wyjaśnieniu sprawy i pochwyceniu sprawcy. Nie mówiąc o tym, że w nowym roku będziemy już mieli nowego króla, a może i nowego wojewodę, bo jego miłość pan Firlej mocno

kwęka, zaś wybory do rady urzędującej nie takie znów odległe...

Tu był pies pogrzebany! Naszym miastem trzęsła nieduża grupa najbogatszych patrycjuszy z najgodniejszych rodów, często nobilitowanych, którzy stanowili dwudziestoczeroosobową radę miejską. Zasiadanie w niej było dożywotnie i jedynie śmierć rajcy zwalniała miejsce dla drugiego. Rada opanowała w Krakowie całe sądownictwo, ponieważ ławników i wójta wybierali rajcy, zresztą ławie pozostawiając jedynie mało istotne sprawy cywilne. Z całej rady wojewoda corocznie powoływał wedle uznania ośmiu rajców do działającej na bieżąco rady urzędującej, podczas gdy szesnastu pozostałych tworzyło radę starą. Pełny skład zbierał się jedynie w sprawach najważniejszych. Zaś każdy z ośmiu rajców urzędujących był burmistrzem kolejno przez półtora miesiąca. Akurat w radzie urzędującej zasiadał murator zawołany Gabriel Słonki, przyszedł burmistrz, który postawił dom Czeczotce, ten z kolei nie zapłacił mu całej sumy i odtąd z przyjaciół stali się wrogami. Nie ulegało wątpliwości, że jeżeli Słonka zdoła oskarżyć Czeczotkę o zamordowanie kochanki, eksburmistrz będzie miał poważną turbację. Już i tak od dwóch lat nie powoływano go do rady urzędującej. Jeszcze rok, dwa niełaski i popadnie w zapomnienie. A wówczas będzie skończony, bo wrogowie i fałszywi przyjaciele (innych nie miał), nie omieszkają skorzystać z okazji, by rozerwać go na strzępy.

– Powiem wam coś – oznajmiłem. – Jesienią zeszłego roku Waliszewska przyszła do mnie. Bała się. Przeczuwała, że Czeczotka chętnie by się jej pozbył. Spytałem, czy jej groził. Odparła, że nie, a dokładnie: „nie on”. Po czym wyszła, ostatecznie nie przyjmując mojej pomocy.

– Więc ty także podejrzewasz, że burmistrz Tłokiński kazał ją zabić lub zlecił komuś zgładzenie? – spytał Trojan.

– Nie wiem, co o tym sądzić – odparłem. – Wówczas nie odniosłem wrażenia, żeby bała się Czeczotki, a nawet podejrzewałem, że jej strach był udawany, ale teraz...

Szarski wymienił ze swoim pryncypałem spojrzenia, po czym rzekł:

– Jest jeszcze coś. Nie rozgłaszaliśmy tego, nie chcąc, by bładny strach padł na miasto, osobliwie niewiasty, a zwłaszcza ładacznicę, ale ten *casus* Waliszewskiej bardzo przypomina dwa inne przypadki. Jeden sprzed półtora roku, drugi sprzed paru miesięcy. Obie ofiary to dziewczki wszeteczne. Jedną znaleźliśmy w jej własnym mieszkaniu, drugą w sieni zruderowanego domu. Obie nagie, pobite i zgwałcone, z niewielką raną w okolicy serca.

– Cóż – wzruszyłem ramionami. – Sprawa jest prosta. Pan burmistrz Czeczotka, w dzień przykładowy obywatel, w nocy grasuje po mieście jako *constuprator* i wielokrotny morderca. Na miejscu Słonki nie omieszkałbym tego tak właśnie zaprezentować. Tuszę, że to uczyni, a ja będę mu sekundował, z przyjemnością obserwując, jak Rozmus wije się niby robak na haku.

Trojan zacisnął zęby.

– Skoro tak stawiasz sprawę... Tedy sami postaramy się ją rozwikłać. Ciebie zaś proszę jeno o jedno: byś nikomu nie mówił, co tu dziś widziałeś.

– To mogę obiecać. A także, iż niezwłocznie przekażę wam, gdybym przypadkiem na coś się natknął.

W milczeniu zesliśmy na dół. Mam bardzo dobry wzrok, żeby nie rzec – sokoli. Toteż coś uderzyło mnie w pokrwawionym kobiercu, który wyrzucony przez okno, rozłożył się na podwórku. Przykłęknąłem i pochyliłem się nad nim z uwagą, po czym przyzwałem tamtych gestem. Z brzegu dywanu, w grubym kożuchu zakrzepłej krwi widniał pięknie odcisnięty czubek buta z blaszką z odłamanym jednym końcem, w której na dodatek brakowało środkowego gwoźdźca. Widocznie zabójca nieostrożnie nadepnął na skraj dywanu i nie spostrzegł tego. Obejrzałem jeszcze zamek (w samej rzeczy nienaruszony), gdy Jan zamykał za nami bramę, i powiedziałem do moich towarzyszy na pożegnanie:

– Wiecie o mordercy całkiem sporo: że ofiara go znała, że miał klucz do bramy, a teraz zapewne ma także klucz do jej drzwi i jeśli go nie wyrzuci, zanim go dopadniecie, tedy samo to wystarczy, by oddać go katu, wy zaś macie jeszcze odcisk jego podkówki i wiecie, iż jest mańkutom lub oburęczny. Aha, jeszcze jedno. Zdaje mi się, że uciął ofierze kosmyk włosów. Może to jakiś zboczony kolekcjoner. Pomyślnych łowów. Darzbór!

ROZDZIAŁ 7 | SIURPRYZA

Paryż, sierpień 1573 roku

Czeladnik masarski Guillaume Donnet uparcie przepychał się przez zbitą ciżbę ludzką, by choć napaść oczy, skoro żołądek burczał mu z głodu. Nie obłowił się ani rok temu podczas „nieszporów paryskich”, jak nazywano noc świętego Bartłomieja na pamiątkę „nieszporów sycylijskich” z 1282 roku, kiedy to na Sycylii wymordowano Francuzów, którzy zajęli wyspę; ani nieco wcześniej, podczas masakry znienawidzonych Lombardów, czyli paryskich kupców i bankierów włoskiego pochodzenia.

Opodal Donneta stał pan du Thou, dziejopis. Chłonał widowisko oczyma rozszerzonymi z podziwu, by po powrocie do domu wszystko opisać. Polskie poselstwo, strojne i bogate, pod przewodem biskupa poznańskiego Adama Konarskiego i kasztelana międzyrzeckiego Andrzeja Górki, które dotarło do Paryża 19 sierpnia, zaiste uczyniło w stolicy Francji wstrząsające i niezapomniane wrażenie.

– Mój Boże – rzekł Zamojski do jadącego obok kuzyną, Stanisława Żółkiewskiego. – Już zapomniałem, że nigdzie nie widział brudniejszego miasta!

– I żałośniejszych mieszkańców – mruknął Żółkiewski, wodząc wzrokiem po zbitej ciżbie ludzkiej, wypełniającej ciasne, byle jak zabudowane uliczki, których środkiem spływały w kierunku rzeki wszelkiego rodzaju nieczystości; jeśli nawet nie całe sto tysięcy paryżan witało przybyszy, to niewiele mniej. – Długoś tu bawił?

– Eee, tyle co nic – Zamojski machnął ręką lekceważąco; mimo to biegle acz niedoskonale zdołał nauczyć się języka. Rozumiał wszystko, mówił gorzej; kuzyn, choć nie opuszczał nigdy kraju, przewyższał go pod tym względem. – Nie powiadałem ci o tym? Studiowałem odróbkę w Strasburgu i Paryżu. Aleć wiedz jedno: *Patavium virum me fecit* [67]. – Była to prawda, dopiero tam ostatecznie

zmienił wiarę, z kalwińskiej na katolicką, zdobył solidne wykształcenie, a wybrany rektorem zasmakował w przywództwie.

Bliżej Luwru pojawiły się łuki tryumfalne, posągi i napisy uczynione na cześć poselstwa. Więcej także spotykało się zamożniej odzianych mieszczan oraz szlachty, ciekawej egzotycznych przybyszy. Posłowie próbowali ich zagadywać w różnych językach, bez skutku. Bo też szlachta francuska w owym czasie wyznawała dewizę: „Wojownik nie potrzebuje nic umieć z wyjątkiem własnego podpisu”, zaś tylko dwu na stu polskich szlachciców nie znało łaciny, włoskiego lub niemieckiego. Na szczęście kilku delegatów biegle mówiło po francusku, a najlepiej Łaski, który we Francji spędzał sporo czasu.

Polscy posłowie, jak przystało na „złoty wiek”, który właśnie trwał w ich ojczyźnie, kazali podkuć kopyta końskie złotymi podkowami, celowo tak kiepsko zamocowanymi, że odpadały na koślawym paryskim bruku, ku uciechu licznie zgromadzonej gawiedzi oraz ku chwale polskich ambasadorów i najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Zaś służba poselska ciskała w tłum garście złotych monet. Pan du Thou, zbyt zajęty notowaniem wrażeń w pamięci, by uwiecznić je dla potomności, nie zdołał pochwycić żadnego, ale aż dwa złote skudy stały się łupem Guillaume’a Donneta, czeladnika masarskiego, który wykupił się za nie z długów.

Paryż, sierpień 1573 roku

Najmilsza memu sercu Panno Joanno!

Tuszę, iż poprzednie moje pisanie, które wysłałem przed dwiema niedzielami z przydrożnego zajazdu w jakowejś niemieckiej mieścinie opodal francuskiej granicy, doszło do Waćpanny. A oto i my dotarliśmy do celu naszej peregrynacji. Paryż nie uczynił na mnie dobrego wrażenia, choć to miasto bez porównania rozleglejsze od Warszawy, a nawet Krakowa. Nasze kwatery – pożał się Boże. Roi się w nich od robactwa, a cuchnie niby w kloace. Gospoda imć Balcerowej jawi się przy nich niczym pałac. Cóż, kiedy tutaj nawet pałace nie prezentują się lepiej pod tym względem.

Wczoraj nareszcie dostąpiliśmy audiencji w Luwrze. Kownata audiencyjna pękała w szwach. Czekał na spóźniającego się króla i jego rodzeństwo, my i Francuzi przyglądaliśmy sobie wzajem z wielką ciekawością. Francuzom, o czym w głos prawili, imponowało bogactwo polskich strojów, Polakom – uroda Francuzek. Bo też tutejsze panny urodzive są nad podziw, choć, oczywista, żadna nie mogłaby się mierzyć z Waćpanną, której wdzięczną postać i piękne liczko nieustająco mam w pamięci. Jednakowoż obyczaj ich są lekkie, co mię mocno razi i mierzi. Acz poniektórzy z naszych chętnie zapuszczali żurawia w głąb biustów najbliższych stojących panien, które noszą się na wpółobnażone,

zgodnie z najnowszą modą zaprowadzoną przez królową Katarzynę i jej córkę Małgorzatę. Nie wątpisz zapewne, Luba Przyjaciółko, że niżej podpisany się do owych niecnotliwych spectatorów nie zaliczał.

Jako rzekłem, kęs czasu przyszło nam czekać na Ich Królewskie Mości. Jużem mniemał, iż nie zdzierzę. Przez woń perfum, którymi nawet mężowie radzi się tu zlewają, przebijał się albowiem smród niemytych ciał, ale przede wszystkim dojmujący, zwłaszcza pod ścianami i przy kominkach, fetor, za przeproszeniem, moczu i fekaliów. W antyszambrach Jego Ekscelencja ksiądz biskup Konarski pośliznął się nawet, stąpając nieostrożnie w ekskrementy, i byłby niepolitycznie usiadł w owym ludzkim łajnie, walając nie tylko ciżmy, gdyby go silną ręką nie wsparł kasztelan międzyrzecki Andrzej Górka, luter. Ponoć nasze przybycie opóźniło przeprowadzkę całego dworu do letniej rezydencji w Fontainebleau, co czyni się każdego roku, aby w tym czasie służba mogła doprowadzić Luwr do porządku.

Nareszcie przybyli długo oczekiwani król z braćmi i siostrą. Rzuciło się w oczy, że cała czwórka miała szaty w nieładzie, a pod okiem królowej Nawarry widniał siniak, szybko nabierający tęczowych barw, również szminka grubą warstwą pokrywająca usta, wedle ichniejszej mody maksymalnie je pomniejszając, była rozmazana.

Pan Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, patrząc z zachwytem na Małgorzatę, która rwała oczy swą suknią z incarnat d'Espagne, wyszytą w barwne kosztowności, na kształtnej głowie mającą berecik z takiegoż aksamitu przystrojony piórami i klejnotami, przyrównał ową do Minerwy, zarówno pięknej, jak mądrej, dodając, iż po oglądnięciu takiej krasoty człek winien chętnie naśladować owych Turczynów, peregrynujących do Mekki, co to naoglądawszy się tamtejszych cudów, nie chcą już nic widzieć na świecie i każą sobie oczy wypalić rozżarzoną żelazem.

A bo też imć Łaski, przykro mi to mówić, to człek rozwiązły i lekki. Żonaty z o dwadzieścia lat starszą, ponad pięćdziesięcioletnią księżną Beatą Ostrogską, naturalną acz nieślubną córką króla Zygmunta Starego, uwięził żonę w swoim zamku w Kieżmarku, aby zagarnąć jej olbrzymi majątek, wyjechać do Francji i ożenić się z Sabiną de Sève, „podfruwajką” Katarzyny Medycejskiej, która, jak mię oświecono, trzyma takowych na dworze ponad dwieście, zarówno by uprawiać z nimi swadźbienie na modłę niepoczciwej Safony lesbijskiej, lecz głównie by podsuwać odpowiednim mężczyznom dla zdobycia wpływów i cennych informacji.

Mnie bynajmniej owa krasawica Margotka nie zachwyciła, zwłaszcza gdy mi się dowiedział o jej upodobaniu do lasciwii. Zaś swój niechędogi tego dnia wygląd zawdzięczała ponoć temu, że ją (jak szepnął mi do ucha pan wojewoda sieradzki, dobrze poinformowany o stosunkach na dworze) bracia rodzeni (ohyda!) srogo wychędożyli za karę, że folgowała sobie z księciem Gwizjuszem.

Du Guast, totumfacki Monsieur'a [68], przechwycił bowiem list, który kompromitował królową Nawarry. Ponoć piękna Margot, mimo iż to nie Henryk de Guise ją ostatnio zajmuje, lecz urodziwy pan de la Môle, poprzysięgła Du Guastowi straszliwą zemstę, chociaż z natury, jakoby jedyna z rodziny, nie jest ani okrutna, ani mściwa.

Wybacz, Waćpanna, że piszę Ci o takowych bezceństwach, które przechodzą wszelką imaginację i o których, uczciwszy uszy, żadnej cnotliwej pannie słuchać się nie godzi, lecz nie mogę się powstrzymać, bo do teraz jeszcze cholera i obrzydzenie mię trzęsie i spokojność ducha odbiera, a pożalić się nie ma komu, nawet Jankowi Zamojskiemu.

Takie tu bowiem obyczaje i trza się akomodować, a nie gorszyć jak jaki parafianin, jak pouczył mnie bigamista Łaski, lecz ja go słuchać nie chcę i zamiaruję rychło odłączyć od delegacji i samopas ruszyć do Wiednia, by w szerokim świecie uczyć się sztuki wojennej. Tu zaś nauczyć się mogę zgoła czegoś inszego, czego wcale nie chcę, gdyż przy francuskich mores Sodoma i Gomora jawią się przyjemnymi miejscami. Powiadam Ci, Paryż obrzydł mi już do cna i rad go opuszczę.

Na koniec, bowiem jesteś tego pewnie najbardziej ciekawa, wyznam w zaufaniu, iż Henryk d'Anjou, nasz przysły pan, prezentuje się w moich oczach równie osobliwie jak my w oczach Francuzów. I nie idzie mi nawet o kuse szatki, obciste spodnie, wielką kryzę pod szyją i ni to biret, ni kapelusz z wysoką główką i małym rondem, ale ufryzowane jak u kobiety włosy, grubą warstwę szminki na twarzy i uszy ozdobione podwójnymi kolczykami ze zwisającymi z nich drogimi kamieniami i perłami. Otaczają go zaś jak on sam podobne do niewiast indywidua, które zowią się mignons. Tfu, na psa urok! Im dłużej tu bawię, tym większe mam obawy, zali dobry uczyniliśmy wybór w kwestii nowego króla. Ale trudno, stało się.

Łącząc serdeczności od Janka Zamojskiego, do nówek Waćpanny padam i cudne rączki całuję, zawsze pamiętający i na wieki oddany servus observantissimus

Stanisław Żółkiewski

Dan w Paryżu, 30 sierpnia A.D. 1573

Zawahał się. Czuł, że nie tak powinno się pisać do panny, że należało dopisać coś bardziej osobistego. Bieda w tym, iż właściwie sam nie wiedział, co czuje do Janki, i lękał się użyć niewłaściwych słów. Po namyśle zostawił zatem wszystko, jak było, i zapieczętował list.

Paryż, listopad 1573 roku

Podlejszą tawernę trudno sobie było wyobrazić. Pełna szpar rudera z dziurawym dachem, ulokowana nad samym błotnistym brzegiem Sekwany w najgorszej dzielnicy Paryża, gościła największe paryskie męty, ludzi niezasługujących na to miano i tylko z grubsza człekokształtnych – flisów, przemytników, rzezimieszków, pospolitych morderców i portowe dziewczki najgorszego sortu.

Zakazane gęby, otaczające go zewsząd, nie napawały go bojaźnią, przeciwnie – tylko w takich miejscach czuł się w miarę bezpiecznie. Przynajmniej do czasu aż obmyśli, dokąd się udać, bo Francja była dlań za ciasna. Tu prędzej niż później dopadnie go królowa matka, którą zawiódł, nie zabijając Coligny’ego, albo Gwizjusze, których zdradził, albo hugenoci. Musi się stąd wyrwać. Tylko jak, skoro pieniądze już mu się prawie wyczerpały?

Dopijał właśnie podłego cienkusa, gdy czwórka zbirów, których od dłuższego czasu obserwował spod przymkniętych powiek, podniosła się z miejsca i podeszła doń, widać zwabiona jego mocno już sfatygowanym, lecz pamiętającym lepsze czasy odzieniem. Ponad rok ukrywania się zrobił swoje. Podupadł na duchu i ciele, ale miał jeszcze wystarczająco sił, by bez trudu poradzić sobie z takimi jak ci czterej. Najwyższy z nich, prawdziwy olbrzym z gębą pociętą bliznami, wychrypiał, pochylając się nad nim i zionąc mu w twarz odorem taniego wina:

- Ej ty, panie szlachcic, nie wspomógłbyś potrzebujących?
- Ile chcecie? – spytał, udając, że sięga do sakiewki przy pasie.
- Wszystko – zarechotał wielkolud, a jego towarzysze mu zawtórowali.

Krzywy uśmiech utrwalił się przywódcy na wieczność, gdy z przeciętym gardłem walił się na zaplute klepisko. Na niego osunął się drugi zbir ze sztyletem wbitym w serce, pozostała dwójka zaś chwilę stała jak skamieniała, bez śladu uśmiechu na przerażonych gębach i z paniką w wytrzeszczonych ślepiach zwróconych na wymierzone w siebie lufy pistoletów, po czym czmychnęła, aż się zakurzyło.

– Do rzeki z tymi ścierwami – rzucił gospodarz swoim pomocnikom, wskazując trupy, sam zaś, cały w lansadach, zbliżył się do straszliwego gościa, pytając przymilnie: – Co podać?

– Wina – odparł, chowając pistolety za pas i wbijając w stół zakrwawiony sztylet; inni klienci oberży natychmiast odsunęli się jak najdalej.

- Ale nie tego sikacza. Najlepszego – rozległo się od progu.

Zza posługaczy, którzy świeżym piaskiem zasypywali ślady krwi na polepie, wyszło trzech ludzi, jakich w tym obskurnym miejscu jeszcze nie widziano. Wszyscy mieli głęboko wciśnięte na oczy kapelusze z barwnymi piórami i czarne opończe, spod których wystawały klingi rapierów. Dwóm wyższym kołysały się w uszach kolczyki, zaś najniższy z nich, o twarzy zasłoniętej maską, niechybnie patrzył na wielkiego pana. To on rzucił na blat złotego pistola, natychmiast pochwyconego

chciwie przez gospodarza. Jego towarzysze usiedli po obu stronach gościa tak sprawnie robiącego bronią, przystawiając mu pod stołem do brzucha sztylety, zaś ów niższy – naprzeciwno.

– Świat jest mały, nieprawdaż panie de Maurevel? Poznajesz mnie waść? – głos miał nieco przytłumiony przez naperfumowaną chustkę, którą przytykał do nosa, chroniąc nozdrza przed zawieszistą i smrodliwą aurą panującą w speluncie.

Odparł ponuro:

– Diuk d’Alençon.

– Tak jest, a to panowie de la Môle i Coconasse.

Byli to najwierniejsi *mignons* młodszego brata królewskiego, mimo zniewieściałego wyglądu znani z odwagi i braku skrupułów rębacze.

– Hmm... Wino Beaugency, całkiem niczego – rzekł Franciszek, próbując przyniesionego przez karczmarza trunku, rozlanego do czterech prawie czystych szkieł. – Skąd je macie?

– Ze szmuglu – odparł gospodarz, wyszczerzając bezzębne usta, po czym odszedł, cofając się tyłem jak rak i wciąż kłaniając uniżenie.

– Pewnie jesteś ciekaw, *sieur*, czemu zadałem sobie trud odszukania ciebie i fatygę przybycia tutaj własną osobą? – spytał książę, sącząc wino, a gdy Maurevel milczał, ciągnął: – Że nie po to by wydać cię królowej matce, Gwizjuszom lub Kondeuszowi, choć ich wdzięczność miałyby pewnie wysoką cenę, toś już się pewnie domyślił. Chcę, byś coś dla mnie uczynił w Krakowie. To stolica Polski.

– Wiem – odparł, bo i któż w tych dniach we Francji nie słyszał o Polsce i Krakowie. – Cóż miałbym tam zrobić?

– Widzisz – Franciszek ściszył głos – mój brat Karol jest ciężko chory, niebożę, a męskiego potomstwa nie ma. Choć więc Henryka obrano królem polskim, z pewnością wolałyby panować we Francji, gdzie katolicy już nie mówią o nim inaczej jak *notre grand duc* [69]... – w głosie d’Alençona zabrzmiała nietajona zawiść.

– Dlatego jak sęp czekał na śmierć króla, wyruszając do Polski dopiero teraz. I to uległszy błaganiom matki po zamachu na swego sekretarza Villequiera, na którego, oskarżając go o opóźnianie wyjazdu Henryka, w napadzie furii rzucił się ze sztyletem Karol IX – zaśmiał się jeden z towarzyszy księcia.

– ... Gdyby więc mojego drogiego brata Henryka – ciągnął królewicz – spotkał na obczyźnie, pośród zdolnych do wszystkiego barbarzyńców, nie daj Boże, śmiertelny wypadek, tedy cóż... Ja zostałbym królem Francji.

– Ale przecież książę Henryk ma panować w Polsce. Jakże zatem mógłby waszej miłości przeszkodzić w objęciu tronu Francji? – wtrącił przytomnie Maurevel.

– On tu wróci, jak tylko się dowie o zgonie Karola – odparł Franciszek. – Znam go jak zły szeląg. Rzuci wszystko i wróci. A nawet gdyby nie chciał, już ta suka, moja matka, go do tego przekona.

Skinął na jednego z *mignonów*, który spod płaszcza wyjął pękata sakiewkę i

położył ją na blacie.

– Panie de Maurevel, oto pięćset hiszpańskich dublonów na podróż i wydatki na miejscu. Po wykonaniu zadania otrzymasz dziesięć razy więcej. Co waść na to?

Nie wahał się ani chwili. We Francji był skompromitowany, przynajmniej teraz, zadanie go nie przerażało, poza tym wiedział, że gdyby odmówił, nie opuściłby żywej oberży. A tak zrobi co należy i z małą fortunką gdzieś się bezpiecznie urządzi, może w Nowym Świecie?

– Zgadza się – nakrył worek ze złotem dłonią. – Choć nie będzie to łatwe. Nie znam kraju ani języka.

– Z tym – książe pokazał pieniądze – na pewno sobie jakoś poradzisz. Pomoże ci mój człowiek w otoczeniu króla polskiego. Od drugich Francuzów trzymaj się z dala. Jest w Krakowie przy Rynku, jak się wywiedziałem, okazały kościół Najświętszej Marii Panny, a w nim ponoć cudnej urody wielki ołtarz. Bywaj przy nim w każdy wtorek po wieczornym nabożeństwie. Mój człowiek cię tam odnajdzie i rozpozna, a w swoim czasie wypłaci nagrodę. Lecz jeśli Karol umrze, a Henryk tu wróci, odnajdę cię, choćbyś się skrył w mysią dziurę.

Skinął na swoich „pieszczochów” i wszyscy trzej podnieśli się z miejsc. Podążając mrocznymi zaułkami do Luwru, Franciszek był podniecony i czuł się wspaniale. Król Francji! To marzenie z dzieciństwa, do niedawna tak nieprawdopodobne, nareszcie miało realną szansę się ziścić.

– La Môle – rzekł po drodze – jak najprędzej pogadasz z Kosmą Ruggierim i ustalicie, jak przyspieszyć zgon mego ukochanego brata Karola. Biedaczysko tak się męczy, że aż mi go żal.

– Ruggieri to człowiek królowej matki. Nie obawia się wasza książecka mość, że...

– Teraz to także mój człowiek, choć wiele mnie to kosztowało. Poza tym ponoć się przyjaźnicie, tedy z jego strony zdrada ci nie grozi.

– A jeżeli Maurevel zawiedzie lub zdradzi? – wtrącił Coconasse. – A nawet jeśli wykona robotę, będzie wiedział zbyt wiele.

– O to się nie trap. Już wydałem odpowiednie dyspozycje – uśmiechnął się krzywo Franciszek.

Patrząc na atletyczne postacie przed sobą, poczuł przypływ pożądania i przez resztę drogi zastanawiał się, którego z nich wybrać na dzisiejszą noc. Pod samym Luwrem olśniła go myśl – a czemu nie obu naraz?

Paryż, grudzień 1573 roku

Kosma Ruggieri ostrożnie postawił na stole przyniesioną kasetę.

– Zależy, czego waszej królewskiej mości potrzeba... Belladona, czyli wyciąg z wilczej jagody, nadaje się zarówno do powolnego podtruwania, jak i zadania nagłej

śmierci. Niestety, wprawny medyk rozpozna jej działanie po rozszerzonych źrenicach otrutego, halucynacjach i ogromnym pragnieniu, które go wcześniej nękało. Mniej śladów zostawia arsenik. Umiejętnie podany zabija powoli, lecz pewnie, powodując rozstrój jelit. Zwykle mylą jego działanie z gorączką obozową. Jeśli zaś idzie o nagłą i niezawodną śmierć, nie masz nad akonitynę, czyli ekstrakt z tojadu. Gdyby zaś ofiara miała cierpieć niewysłowione katusze, tedy zalecam jad ropuchy, choć ma powolne działanie. – W trakcie wykładu wydobywał z kasety kolejne fiołki i układał je przed królową matką, która każdą brała w dłoń i uważnie oglądała.

Teraz, gdy Henryk bezpiecznie zdążył do Polski, będąc poza zasięgiem wszystkich wrogów, postanowiła przystąpić do ich eliminacji, poczynając od Henryka Nawarskiego. Nie traciła nadziei, że uda jej się odmienić przeznaczenie. Karol co prawda cesarzem raczej już nie będzie, ale czyż Henryk nie został właśnie królem Polski? Jeśli Franciszek ożeni się z Elżbietą angielską, a Burbon zginie, wtedy będzie mogła z satysfakcją napluć na grób Nostradamusa. O klątwie ostatniego mistrza templariuszy nic nie wiedziała; dawno o niej zapomniano nawet we Francji, a ona przecież była Włoszką.

– Aż tak mi się nie spieszy. Chcę, by to wyglądało zgoła naturalnie.

– Tedy zalecam arsenik.

– Zatem do dzieła – podsunęła mu otwartą butelkę wina z Anjou, co uważała za doskonały dowcip.

Zamówiła już wierną kopię bukłaczka Bearnieńczyka, który ten zawsze zabierał ze sobą na łowy. Niechłuj nie dbał o to, co je i pije, tak samo jak o odzienie. Spragniony, z pewnością nie zwróci uwagi ani na gatunek, ani na zmieniony smak wina. Wystarczy tylko dwukrotnie podmienić bukłaki, czym miał się zająć przekupiony sługa króla Nawarry.

– Lepsze byłoby coś z jada. Na przykład kiełbasa. I bez arseniku łatwo się nią zatruć. Ale wedle życzenia. Jednak nie mogę do wina wsypać za dużo trucizny, bo będzie wyczuwalna, a osad widoczny. W takim zaś razie śmierć nastąpi po tygodniach, a może nawet miesiącach.

– Wybornie. O to właśnie mi idzie.

Ledwo truciciel wykonał zadanie, potrząsając zatkaną palcem flaszką, by szybciej rozprowadzić truciznę, gdy nagle wtargnął do komnaty Karol IX, a razem z nim dwa wielkie psy myśliwskie *greffiers* z rasy, którą sam wyhodował.

– Matko...

– Słucham, Karolu.

Nieszczęsny szalenciec potarł czoło. Psy biegały po komnacie, węsząc.

– Zapomniałem, po co tu przyszedłem... W każdym razie zaraz jadę na łowy...

Zaniósł się suchotniczym kaszlem, który go zabijał, i zgiął wpół. Kasłał dłuższą chwilę, po czym wyprostował się i otarł usta chustką, na której wykwitły plamy krwi.

– Idę już... O, wino! Jakże chce mi się pić...

Porwał flaszkę ze stołu i przytknął do ust. Ruggieri zrobił ruch, jakby chciał mu

przeszkodzić, lecz spojrzawszy na Katarzynę, zatrzymał rękę w połowie drogi, a po chwili ją opuścił. Włos zjeżył mu się na głowie, bo nawet jemu, choć widział niejedno, widok matki, spoglądającej z kamiennym spokojem na wyrok śmierci na własnego syna, wydał się odrażający.

– Niedobre – rzekł Karol, odstawiając w połowie opróżnioną butelkę. – Poza tym nie gustuję w winie z Anjou – zaśmiał się złośliwie i wyszedł tak samo bezceremonialnie, jak się pojawił, a jego wielkie psiska za nim.

– To nie było dla niego, lecz widać tak chciało przeznaczenie – wyjaśniła wciąż wstrząśniętemu Kosmie, niezbyt wzruszona losem syna, którego nigdy nie lubiła. – Zresztą i tak by już długo nie pociągnął. Może nawet lepiej się stało...

Po czym odprawiła truciciela i wezwała sekretarza, by podyktować list do Henryka, w którym nakazywała mu szykować się do rychłego powrotu do ojczyzny i ostrzegała, by nie czynił pochopnych kroków mogących go na zawsze zatrzymać w dalekiej Polsce. Nie myślała przy tym o niebezpieczeństwie, na które naraża rzekomo ulubionego syna. Lata poniewierki w sierocym dzieciństwie i pogarda, jaką otaczano ją w nowej ojczyźnie, gdzie miała tylko jedną życzliwą duszę – dawno zmarłego teścia, Franciszka I – sprawiły, że dbała wyłącznie o siebie. Ale żeby cieszyć się prawdziwą władzą, potrzebowała parawanu w postaci męskiego przedstawiciela Walezjuszy, a najmłodszego Franciszka nie brała pod uwagę. Gardziła nim, brzydziła się i nienawidziła go szczerze. Pozostawał więc tylko Henryk.

Paryż, grudzień 1573 roku

– Znów uczestniczyłeś w zebraniu tej zgrai głupców.

Karol de Guise, kardynał de Lorraine, nie uczynił żadnego ruchu, zresztą był znany z tego, że nie gestykulował wcale, jak nie Francuz. Również dlatego książęta lotaryńscy uchodzili bardziej za Niemców niż prawych Galów. Patrząc w jego ostre rysy, które starość jeszcze pogłębiła, i twarde jak kamienie oczy, Henryk de Guise poczuł się jak żak besztany przez preceptora. Nie dziwota, bo stryj, wyśmienity teolog, acz nie bez kozery podejrzewany o sprzyjanie herezji, nawet z papieżem pertraktował jak równy z równym. Prawdziwy *Le pape Transalpin*. Maskując zmieszanie, poprawił swój ulubiony kaftan z białego ałasu i rzekł:

– To nie zgraja, jeno zakon – zaprotestował. – A ja jestem jego Nawigatorem. Przypominam ci, że założył go nie kto inny, tylko sam Gotfryd de Bouillon, nasz krewniak, książę Lotaryngii, podczas pierwszej krucjaty w 1099 roku, rok po zdobyciu Jerozolimy. *Prieuré de Sion* [70] ma strzec ciągłości dynastii, *Sang Real*, Świętej Krwi, Królewskiej Krwi, Prawdziwej Krwi. Krwi Merowingów. Naszej krwi. Nie myślisz chyba o rozwiązaniu Zakonu Syjonu?

– Nie, przynajmniej dopóki Święta Krew nie zapanuje we Francji. Choć twoi

konfratry wydają mi się zgoła bezużyteczni i nieudolni. Jak ty – zagadnął złośliwie, bowiem uważał Henryka za marną kopię jego ojca. – A te wasze diabelskie praktyki to już doprawdy gruba przesada, żeby nie rzec: jawne bluźnierstwo.

– Ale to działa – upierał się młodzieniec. – Wiesz przecież, jak wielu ludzi uwielbia spiski i tajne bractwa, zwłaszcza jeśli towarzyszą temu osobliwe obrządkie o religijnym zabarwieniu...

– I to powiesz inkwizycji, gdy wszystko się wyda? – zadrwił kardynał.

– Przecież to ty jesteś Wielkim Inkwizytorem Francji, więc do tego nie dopuścisz – uśmiechnął się ironicznie, poprawiając blond lok, który opadł mu na czoło, i pieszczotliwie go gładząc; był dumny ze swej kształtnej sylwetki, urodzivej twarzy i bujnych jasnych włosów, którym zawdzięczał szalone powodzenie u kobiet.

– A co po mojej śmierci? – spytał starzec. – Kto wówczas was ochroni?

– Tym się nie trapię, do tego czasu Prawdziwa Krew w mojej osobie zasiądzie na tronie – rzucił beztrąsco młodzieniec. – Karol ledwie zipie, z Franciszkiem nikt się nie liczy, a Henrykiem zajmą się moi ludzie, członkowie Zakonu Syjonu, przez ciebie uważanego za bezużyteczny. Posłałem ich do Polski już pół roku temu, jak tylko Henryk został obwołany królem polskim. Do tego czasu pewnie zdążyli się zadomowić.

I chępliwym tonem opowiedział stryjowi o swoim planie. Kardynał, dumny i chciwy, ale przede wszystkim okrutny i zbrodniczy, z powodu bezlitosnego prześladowania hugenotów nazywany „Tygrysem Francji” i budzący strach nawet u katolików, docenił perfidię bratanka, o którego bystrości dotąd miał niskie mniemanie.

– Gdy Henryk z podkulonym ogonem wróci do ojczyzny okryty niesławą w całej Europie, rozprawimy się z nim bez trudu. Sam chcę go zabić tą ręką – potrząsnął prawicą – która zgładziła Coligny’ego, lecz wprzód także nadepnę mu na twarz i napluję w oczy. – W noc świętego Bartłomieja wpierw polecił rannego admirała wyrzucić przez okno, potem przydepnął dogorywającemu twarz, po czym kazał obciąć głowę, którą posłano papieżowi. – I wówczas Święta Krew zatryumfuje we Francji!

– Pięknie, lecz czy twoi ludzie w Polsce podołają temu zadaniu? – powątpiewał kardynał.

– Właśnie dziś, po naszym spotkaniu, wyruszył do Krakowa człowiek, który nimi pokieruje. Najlepszy z najlepszych. Lepszy nawet od Maurevela. Niezawodny. I ma smykałkę do języków. Od miesiący pobierał lekcje polskiego od Domina, a dziś mówi tą ich dziwaczną mową jak indygen.

– Dobrze. Jednak życzę sobie, by Zakon Syjonu zaprzestał praktyk niegodnych chrześcijan. To po pierwsze. Po drugie, masz natychmiast zerwać z tą ladaczną Margot. To rozkaz. Ta krew jest przeklęta.

– I kto to mówi! – zaśmiał się urągliwie. – Ten, co sypia z jej matką! Zresztą z Margeritą już dawno skończyłem – dodał pospiesznie, widząc iskry w oczach stryja.

Kiedy Henryk z ulgą opuścił komnaty kardynała, spiesząc do swojej nowej kochanki, Karol westchnął ciężko. Jakże żałował, że jego siostrzenica nie dała syna Franciszkowi II. Piękna Maria Stuart – której matka, Maria de Guise, księżniczka lotaryńska, została poślubiona królowi Szkocji Jakubowi V – wychowywała się na francuskim dworze, po czym wydano ją za młodego króla francuskiego. Po jego rychłej śmierci wyjechała do Szkocji [71]. A mogło być tak pięknie! Prawdziwa Krew, krew Merowingów, zasiadałaby już na tronie Francji bez żadnych komplikacji, on zaś w imieniu małoletniego władcy sprawowałby funkcję regenta...

Kraków, styczeń 1574 roku

Była zmęczona. Dopiero co dwór infantki po uciążliwej podróży zainstalował się w domu Starościńskim na Wawelu. Właśnie miała się rozdziać do spania, z przerażeniem myśląc o ablucji w cebrzyku z zimną wodą stojącym w kącie równie zimnej i małej izby, gdy zapukano do drzwi. Przekonana, że to ochmistrzyni jeszcze czegoś od niej chce, uchyliła drzwi, przez które wśliznął się Jan Żaliński.

– Cii... – przyłożył palec do ust, zamykając za sobą drzwi. – Mam do aśki sprawę niecierpiącą zwłoki. Myślałem o tym przez całą drogę z Warszawy...

– O czym? – spytała bardziej wystraszona niż zaintrygowana, bo wizyta gościa o tej porze mogła ją nabawić niełychych turbacji i zniszczyć reputację.

– O tym – porwał ją w ramiona i przycisnął swoje usta do jej, aż zabrakło jej tchu i nie zdołała z siebie wydobyć głosu protestu.

Całował z żarem i umiejętnie i nie wiadomo kiedy poczuła, że zaczyna jej to sprawiać przyjemność i że mu się poddaje. Równocześnie popychał ją w kierunku łoża, aż padli na nie. Od wywołanego podmuchuomal nie zgasła świeca paląca się na stoliku. Jedną ręką zaczął jej rozwiązywać sznurki od gorsetu, drugą sięgając pod suknię. Wtem poczuła coś twardego pod plecami. Był to modlitewnik w sakwowej oprawie, który Kacper przysłał jej do Warszawy i który rzuciła na łóżko, by pomodlić się przed snem. Przypomniała sobie dedykację: „Lubej Jance ku wiecznej pamięci – Kacper”, i poczuła, że się czerwieni. Oto była w Krakowie i ani razu dotąd nie pomyślała o ludziach, którym tyle zawdzięczała. Miłosne zapawy natychmiast ją odeszły. Odepchnęła silnie Żalińskiego i usiadła.

– Co to za maniery? Puszczaj waść natychmiast, bo zacznę krzyczeć.

Wstał, zaskoczony i urażony.

– Przecież podobało ci się, widziałem.

– Wyjdź.

Obciągnął kaftan i posłusznie poszedł ku drzwiom, ale nim za nimi zniknął, rzucił na odchodnym:

– Do następnego razu. Jeszcze mnie sama będziesz błagała, zobaczysz.

Nadeszły tygodnie – ba! miesiące całe – kiedy nie działo się nic interesującego. W dzień ziewałem z nudów, w nocy śniłem o Jance, chodziłem na wykłady, miałem lekcje z żakami. Tak minęło lato i kęś jesieni. Na koniec października, już w nowym roku akademickim, miałem wyznaczoną obronę bakalaureatu z medycyny. Temat był dość ambitny, gdyż dotyczył anatomii. Dysertację postanowiłem oprzeć na dziele Wesaliusza, który ostatecznie obalił niektóre błędy Galena i wywiódł bez *dubium*, iż tamten oparł się na anatomii małpy i świni, nie człowieka. Obaj profesorowie, Fox i Pikus, a nawet *pater* Roch odradzali mi ten temat ze względu na przywiązanie akademii do starych autorytetów, ale się uparłem.

Żeby całkiem nie zardzewieć i nie zetrzeć do cna kamiennego tretu na drodze dom – Collegium Maius, zaglądałem do szwagra, usiłując bez wielkiego skutku nauczyć się francuskiej mowy, do *messera* Giacomo Ventury z domu Włoskiego pofechtować nieco i do brata Andrzeja w tym samym celu. Zazwyczaj przypadało to w środowe wieczory. Nie przypuszczałem, że całe miasto o tym wie, dopóki Grot mi tego nie uświadomił. Wyszedł z bramy Collegium Iuridicum, akurat gdym do niej dochodził, wracając od Michała, i stanął mi na drodze, po bokach mając Dąbrowskiego i Walawskiego.

– Miło was widzieć w takim stanie – rzuciłem wesoło. – Cóż to, kopaliście się z koniem?

W szarości nadchodzącego zmierzchu zdołałem zaobserwować, że Dąbrowski utykał, Walawski miał pokiereszowaną połowę twarzy, Grot zaś masował się po ramieniu. Niezły rezultat, więc byłem z siebie rad.

– Bardzo śmieszne. – Grot zmarszczył brew. – Przyjemny jak zawždy. I niebaczny.

– A to czemu? Macie coś do mnie? – Gdyby jakimś sposobem dowiedzieli się, kto do nich strzelał, miałbym się z pyszna; no, ale wtedy powitałaby mnie znacznie większa kompania.

– My nie. Ale ktoś może by dał wiele za wieść, że niemal zawsze o tej samej porze odwiedzasz szwagra. O ile już tego nie wie.

– Kto?

Uśmiechnął się przebiegle.

– Łacno się domyślić. Rozeszło się bowiem po mieście, że wystarczy dostarczyć twą głowę do kamienicy Szarej, żeby odebrać sto dukatów. Rozważyłeś moją propozycję? Jako dobry katolik powinienes przyłączyć się do nas.

– Czyli do kogo?

– Do Sodalitas Trinitatis. Zruderowanie Brogu w maju to nasze dzieło. A to dopiero początek. Nie spoczniemy, póki ze szczeniem nie wyrzucimy herezji z miasta. Mówiłem ci, że nie poradzisz nam zaszkodzić, i co, na czyje wyszło? Pytam zatem po raz ostatni: przystaniesz do nas?

– Dlaczego ci tak na tym zależy?

To było podejrzane. Nie wierzyłem, by Grot szczerze za mną tęsknił; przez wiele

lat rywalizowaliśmy o przodek na wszechnicy i mir między scholarami. Nie zabiegałem o to, lecz jakoś samo wyszło. Teraz nareszcie wiódł prym, robił za hetmana i z pewnością nie potrzebował drugiego do pary. Wytłumaczenie mogło być tylko jedno...

– Nie mnie. Ale komuś, kto wiele może. *Ergo* dobrze się zastanów. Zwłaszcza że temat twojego bakalaureatu, jak słyszałem, nie nazbyt fortunnie został obrany...

No, proszę. Ciekawe, co by uczyniły władze uniwersyteckie i Bractwo Trójcy, gdyby się dowiedzieli o moim udziale w obronie Brogu?

– I jak będzie? – spytał, widząc moje wahanie.

– Nijak.

– Cóż, zatem my umywamy ręce – bynajmniej nie wyglądał na strapionego. – Uczyniłeś głupstwo, Ryksie. Sodalitas Trinitatis mogło cię ocalić, dać ci ochronę, a tak twój żywot funta kłaków niewart.

– Grocie, a czemu właściwie to nie my mielibyśmy podjąć nagrodę za tego łotra? – spojrzał na mnie łakomie Dąbrowski. – Sto dukatów od Zborowskiego samo wpada nam w ręce.

– Zabijmy go – zawtórował mu Walawski, który być może ucierpiał na urodzie i bystrości spojrzenia, lecz jego krwiożerczość nic na tym nie straciła, a słownictwa nigdy nie miał bogatego.

– Już raz próbowaliście – sucho stwierdził Grot i gestem wskazał mi drogę. – Żegnaj. Swego czasu zadarłeś z Czeczotką, ale przy Zborowskich to osesek. Od tej pory żywy trup z ciebie, Kacprze. Sto dukatów to duża pokusa.

W ten sposób dowiedziałem się, że Samuel Zborowski albo przyjechał już z Warszawy, albo wróciła mu pamięć o mnie i wydał stosowne rozkazy, bo nadal mnie nie lubił i był gotów odzłować marne sto florenów, by sprawić sobie drobną uciechę. A mnie dać okazję do poczucia się jak łowna zwierzyna. Odtąd nie ruszałem się z domu bez rapiera, lewaka i obu pistoletów. Wkrótce któryś z klientów, kończąc w naszej gospodzie pracowity dzień spędzony na kosztowaniu piwa we wszystkich tawernach na drodze do domu, nieco się zacinając, przyniósł wieść, którą zasłyszał podczas tej peregrynacji, choć nie pamiętał gdzie – ktoś już podjął się zabicia mnie. Ponoć to cudzoziemiec, znający się na rzeczy, pewny swego, który zażądał połowy sumy z góry. Od razu przyszedł mi do głowy Reinhold Kettler, Prusak, czy też Kurlandczyk, z którym miałem sprawę przed laty, gdy Mniszchowie wynajęli go do zgładzenia mistrza Twardowskiego. Nie zapobiegłem zbrodni, lecz prawie udało mi się zastrzelić zabójcę. Czyżby szukał okazji do zemsty? Po czterech latach? Z drugiej strony był profesjonalem i pracował dla pieniędzy, tyle że od dawna o nim słychać nie było. Zresztą on czy kto drugi – nie wyglądało to dobrze. Za każdym razem, wychodząc z domu, mało sobie nie oderwałem głowy, tak nią kręciłem na wszystkie strony. Strapiony Niziołek chciał mi stale towarzyszyć jak wierny pies, lecz nie mogłem go wszędzie ciągać ze sobą. I tak nie obroniłby mnie przed dobrze wymierzoną kulą zza węgła, a jeśli dałbym się zabić w starciu na białą broń, nigdy

bym sobie tego nie darował. Nie powiem, przemknęło mi tchórzliwie przez głowę, aby odszukać Grota, wstąpić do Sodalitas Trinitatis i zapewnić sobie pomoc bractwa. Alem odrzucił zaraz tę myśl. Bractwo było zgrają dyletantów, ja zaś miałem przeciw sobie mistrza, więc zdaliby mi się jak psu na budę. Tymczasem, o dziwo! minął tydzień i nikt nie zgłosił się po nagrodę. Za to *messer* Giacomo Ventura miał dla mnie miłą siurpryzę.

– Spójrz, przysłano mi to z Italii. Przyszło wczorajszą pocztą.

Podszedłem do pulpitu i zobaczyłem gruby manuskrypt, gęsto zapisany i zaopatrzony w odręczne ilustracje, niezbyt wprawne, ale czytelne. Przewróciłem karty na początek i przeczytałem sporządzony zamasztysem tytuł: *De lo Schermo overo scienza d'Arme*, i imię autora: Salvatore Fabris [72]. Był to traktat szermierczy od pierwszego spojrzenia wyglądający na o wiele solidniejszy od wierszowanego dziełka mistrza Nicole Prumeta z Paryża, które specjalnie dla mnie Michał sprowadził z Francji i z którego usiłował mnie uczyć francuskiego. Co i nie dziwota, bo o ile włoska szkoła fechtów na rapiery przodowała w świecie, to francuska dopiero raczkowała. Giacomo nie miał o żabojadach i ich sztuce szermierczej najlepszego zdania.

– Walczą miękko, z jakąś taką kocią zwinnością, a przy tym lekko i wdzięcznie, jakby tańcowali... – z pogardliwego krzywego uśmieszku wywnioskowałem, co myśli o takowej metodzie, w sam raz pasującej do nacji, którą posądzano o zniewieszczenie.

Praktycznie nie znałem inszej szkoły niżli włoska, zarówno dlatego że pierwiastkowe nauki pobierałem u Giacomu, jak i z tej przyczyny, iż większość znanych mi traktatów szermierczych wyszła spod pióra mistrzów włoskich.

– ... Francuzi prowadzą broń delikatnie i dokładnie, po ichniemu *doigté*, z wielką precyzją manipulując palcami niby muzyk grający na klawikordzie. Doskonale też obchodzą żelazo przeciwnika, co zwą *dérobement*, termin *sentiment du fer* rezerwując na czucie żelaza. Nacierając, wcześniej prostują ramię i lubią atakować fintą. Walcząc z Francuzem, nie możesz sobie pozwolić na oddanie inicjatywy. O tu, spójrz. – Wskazał mi odpowiedni fragment w rękopisie. – Zwertuj to sobie, przyda ci się.

Na tyle radziłem sobie z włoszczyzną, że zdołałem przeczić to, co mistrz Fabris zalecał w pojedynku „przeciwko mocnym i słabym, wielkim i małym, cholerykom i flegmatykom”.

– Aha – dodał Ventura. – Długo myślałem nad naszymi lekcjami i wymyśliłem, że powinniśmy do nich wprowadzić element siurpryzy. Od tej pory staramy się wzajem zaskoczyć.

Do tego czasu ćwiczyliśmy z góry ustalone sekwencje działań, powtarzając je do znudzenia, co wprawdzie doskonaliło poprawność ruchów, czucie żelaza i rytmu, ale nie rozwijało szybkiej orientacji i zmysłu taktycznego. Rzucił mi ćwiczebny rapier, nieco krótszy od bojowego, przytępiony i zakończony ochronną gałką, który

pochwyciłem skwapliwie, natychmiast przyjmując szermierczą postawę.

Opuściłem gościnny dom Włoski już dobrze po zmierzchu. Jak na październik pogoda była raczej podła. Dzień chłodny, mglisty, nieprzyjemny, wieczór nie lepszy i na domiar mroczny, że choć oko wykol. Wymarzona aura na zasadzkę. Pożałowałem, że nie wziął ze sobą latarki, lecz nie spodziewałem się zasiedzieć tak długo. Lubiłem szermierkę i nawet teraz, choć w głowie zapaliło mi się ostrzegawcze światełko, pod wpływem arcyciekawego traktatu i zmienionej metody ćwiczeń, wciąż nie przestawałem o niej myśleć.

Każdy naprawdę dobry szermierz ma sobie tylko właściwy, niepowtarzalny styl, po którym równie łatwo go rozpoznać jak mistrzów pędzla. Miałem zbyt mało doświadczenia i mówienie o stylu Kacpra Ryksa byłoby przesadą i samochwalstwem (a nic mnie tak nie brzydzi), ale prawda, że wprowadziłem pewne nowinki do tego, co przeczytałem i co przekazał mi Ventura. Wszyscy stosowali kroki przestawne, ja zaś, przyznaję – przypadkiem, odkryłem, że równie dobry, albo i lepszy *effectus* dają kroki dostawne. W ataku wpierw niewielki ruch prawej stopy i natychmiastowe sprężyste dostawienie lewej, zakroczonej nogi; przy cofaniu – na odwrót. Niedużo, lecz zawsze coś. Powiadają, że prawym mistrzem zostaje ten, komu udało się wynaleźć nieznane dotąd a śmiertelnie skuteczne pchnięcie. Mnie było jeszcze do tego daleko.

Przechodząc obok bramy cmentarnej na wprost fary Mariackiej, mimo ciemności kątem oka zarejestrowałem dwie sylwetki, które oderwały się od cmentarnego muru i ruszyły za mną w ślad. Może mi się zdawało, lecz było w nich coś znajomego. Nie odwracając głowy, nastawiłem uszu, jednak zgrany stuk ich podkutych buciorów brzmiał wciąż w tej samej, bezpiecznej odległości.

Skręcając z Floriańskiej w nasz Kącik, gdzie ciemność była niemal całkowita, trzymałem już wydobyty z pochwy rapier w garści, ale ruch w mroku gęstym jak breja raczej wyczułem, niż zobaczyłem. Odbiłem cios instynktownie. Brzęknęła stal, sypnęły się iskry. Akurat gdy wzrok przyzwyczył mi się i zacząłem coś widzieć, oślepiło mnie światło latarki. Ach, pojedynek przy latarni! Nie byle kto potrafił bić się w ten sposób, do tego trzeba było znać sztukę fechtów na wylot. Dotąd tylko czytałem o takim sposobie walki. W monomachii z latarnią przeciwnicy walczyli blisko siebie. To wymagało wyjątkowej przytomności umysłu, chytryści, stosowania rozmaitych sztuczek i nierzadko bywało śmiertelne dla obu stron. Zatem miał sięgnąć po lewak, jednym ruchem zerwałem z grzbietu opończę, którą założyłem dziś z powodu brzydkiej aury, i owinałem ją wokół lewego ramienia. I całe szczęście, bo wymierzony w pierś sztych ugrzązł w materii. Po tym dubeltowym niepowodzeniu napastnik odskoczył i półkolistym ruchem żelaza złożył spóźniony ceremonialny ukłon.

– *Bien* – rzekł z uznaniem, po czym znów natarł bez ostrzeżenia, chowając za siebie latarkę; miałem więc do czynienia z Francuzem, zapewne jednym z tych, którzy przyjechali do nas z biskupem Montlukiem i zostali z chudnącymi sakiewkami, czekając na przybycie króla.

Staralem się związać jego żelazo swoim, by wyczuć zamierzenia zabójcy, lecz nie było to łatwe, bo co rusz odskakiwał, to oslepiając mnie błyskiem płomienia, to pogrążając w zupełnych ciemnościach. Światło raz ogarniało go całego, to znów jeno głowę lub ramię albo bok. Był równocześnie wszędy i nigdzie, niemożliwy do trafienia. W jego zabójczym szarmie nie było ani krzty zniewieściałości. Musiałem coś uczynić, jeśli nie chciałem za chwilę skończyć w rynsztoku z brzeszczotem w wąpłach. Do tej pory odsuwałem od siebie tę ewentualność, która nagle stała się całkiem realna, aż przeszły mnie ciarki.

Aby więc utrudnić mu oszacowanie odległości, jałem stosować szybkie a drobne skoki w przód i tył, niepozwalające na błyskawiczne natarcie z wypadem lub z rzutem. W samej rzeczy, zdeorientowało go to, czułem też, że zaskoczyły go moje kroki dostawne. Gdy stracił pewność siebie, wykonałem ostatni ruch. Odwinąłem opończę i zatoczyłem nią koło nad głową. Podmuchił omal nie zgasił latarni, co wystraszyło zabójcę. Ale to był tylko pozór, na który dałem się nabrać. Odbił mój cios, nawet nie lewakiem, tylko dłonią w rękawicy, i wymierzył w moją odsłoniętą pierś, a ja nic nie mogłem uczynić. Wtem rozległ się przeraźliwy gwizd. Francuz drgnął i zastygł na moment, który mi wystarczył. Pchnąłem go w szyję, borując ją na wylot. Zacharczał i runął ciężko na kamienie, wypuszczając z martwej dłoni latarnię, która potoczyła się ku moim stopom i jakimś cudem wciąż paliła. Podniosłem ją i unosząc nad głową, zawołałem do dwóch cieni kryjących się pod murem:

– Wyłaźcie!

Wyszli z ociąganiem.

– Bliżej.

Zrobili dwa nieśmiałe kroki.

– My niewinni, jasny panie! – zaskomlał mniejszy, lecz jakby ciut bardziej obdarty.

– Nie mamy z tamtym nic wspólnego – zawtórował mu większy i mniej obdarty, za to bardziej śmierzący.

– Ujrzelim wpierw owego, jak wyszedł z kamienicy Szarej o zmierzchu i poszedł w tę stronę – dodał pierwszy.

– A potem wasza miłość opuścił dom Włoski...

– To i my ruszyliśmy w ślad.

Poznałem ich. Kubrak i Dziura z dziadowskiej kompanii. Uwierzyłem, że mówili prawdę i istotnie nie chcieli mnie zabić. Usłyszeli o nagrodzie za moją głowę, rozpoznali profesjonalnego zabójcę i bez trudu odgadli, co się wydarzy. Chcieli jedynie obrabować trupa, obojętnie którego, i nie musieli mi pomagać, a jednak to uczynili. Opacznie pojęli moje milczenie.

– Nie przyszlism tu uczynić krzywdy waszej wielmożności – zajęczał Dziura, składając ręce jak do modlitwy.

– Nie ośmielilibyśmy się. Król Żebraków zakazał tykać jasnego pana choćby palcem – skwapliwie potwierdził Kubrak.

To dlatego żaden z miejscowych łotrów nie pokusił się o nagrodę! Oto co znaczą stosowne znajomości. Końcem rapiera zdarłem czarną maskę z oblicza zabójcy i rozciąłem miasek, który miał u pasa. Spod maski wyjrzało zarośnięte lico, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Z sakiewki wypadły złote monety, rzucając złote błyski w świetle latarki.

– Który gwizdnął? – spytałem.

– Oba – rzekł Kubrak i wsadził brudne paluchy do ust, żeby znów zademonstrować swój kunszt.

– Wystarczy! – zawołałem pospiesznie. – Dzięki. Zratowaliście mi żywot. Porachujcie mińce – rzuciłem, wycierając ostrze o kaftan Francuza i chowając broń do pochwy.

Padli na kolana i pełzając jak robaki, zajęli się wyławianiem złotych krążków ze szpar między kamieniami burku.

– Mam dziewięć dukatów! – pochwalił się Dziura.

– Ja jeno sześć... – zmartwił się Kubrak.

Wtem z niedowierzaniem przybliżył do oczu jednego mińca, po czym zgryzł w jedynych dwóch zębach, które (być może właśnie w tym celu) zostały mu na przodzie, i zapał z zachwytem:

– Wciórności! Toż to portugalski!

Jeśli mój niedoszły zabójca, jak fama niosła, otrzymał już zaliczkę w wysokości pięćdziesięciu dukatów, to została mu mniej niż połowa tej sumy. Zatem albo był wielce rozrzutny, albo z kimś się podzielił. Widząc tęskne spojrzenia łotrzyków utkwione w monetach na wyciągniętych ku mnie dłoniach, powiedziałem:

– Możecie je zatrzymać. Ale pod jednym warunkiem... – Już rzucali mi się do stóp, wtem zastygli w oczekiwaniu. – ... Że zabierzecie trupa i podrzucicie pod Szarą kamienicę.

To im się spodobało. Odeszli, dźwigając ciało, błogosławiąc mnie pod niebiosa i wyśpiewując na cały głos wcale udaną przeróbkę (dzieło Garbusa?) łacińskiego oryginału:

*Jesteśmy rzezimieszki,
Znane są nasze grzeszki
W ojczystym narodzie,
Ojciec kołem łamany,
Brat zaś torturowany
W krakowskim był grodzie [73].*

Udałem się do domu, w dłoniach ściskając jedyną rzecz, którą wziąłem zabitemu. Był to srebrny medalion. Na awersie miał krzyż z rozdwojonymi ramionami, na rewersie – pędy winorośli i ciało węża układające się w inicjały PS, i łaciński napis

dookoła: *Et in Arcadia ego* [74].

Nie obroniłem bakalaureatu w październiku. Najpierw w gospodzie zjawił się Antoś, ogródkami i dość mętnie usiłując mnie przekonać do zmiany tematu obrony. Dopiero przy drugim gąsiorku znacznej gorzałki język mu się rozwiązał i wyznał, że właściwie to przysłał go Marencjusz. Nie bezpośrednio, ale rozmawiając z Glicjuszem w przytomności Antka, jakoby rzekł z celowym naciskiem: „Jeśli Ryx będzie się upierał, nie zdą; dobrze, gdyby ktoś mu to wbił do tej upartej głowy”. Najbardziej lubię, kiedy kto mnie naciska. Antkowi nic nie odparłem, ale tym bardziej zaciął się w uporze. Do czasu aż wezwał mnie profesor Pikus. Suchym tonem, bez dania racji i nie patrząc mi w oczy, oznajmił, że moja promocja jest odwołana dopóty, dopóki nie zmienię tematu, na przykład na ziołolecznictwo. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł, zanim zdołałem coś powiedzieć. Zatem miast anatomią zająłem się ziołarstwem, które mnie okropnie nudziło. Powtarzałem sobie w kółko to, co wiedziałem od dawna: czosnek i skrzyp – na turbacje z oddychaniem, podbiał – na apetyt, koper – na wzdęcia, żywokost – na złamanie kości, krwawnik – na krwotoki, majeranek – na katar, *et cetera, et cetera*. Dlatego tym bardziej tęskniłem za Janką.

A tymczasem wciąż czekaliśmy na orszak pogrzebowy, a przede wszystkim na przyjazd nowego króla. A o tym nadal było cicho. Nawet Zborowski nie nasyłał nowych zabójców. Na domiar jesienna plucha wprawiała mnie w najpodlejszy z nastrojów. Gdzieś z końcem listopada wszystko to zrzuciłem z siebie razem z wierzchnim odzieniem, gdy wchodząc do gospody, przemoknięty do nitki, ujrzałem go siedzącego na moim zwykłym miejscu, obok rozpromienionej ciotuchny.

– Mistrz! – ryknąłem i rzuciłem się witać.

Zawahał się na moment, widząc taką zmokłą kurę, ale gdym w biegu zrzucił ociekającą wodą oponcę, wstał, rozpostarł ramiona i przyciągnął mnie do piersi. Gdyśmy się już wyściskali do syta, a ja zaspokoilem pierwszy głód, ciotka zostawiła nas samych, przysyłając Marychnę z najlepszym winem węgierskim, jakie trzymaliśmy jeno dla ekstrordynaryjnych gości.

Kiedy dziewczka zabierała się z powrotem, mistrz Jan, będąc w krotochwilnym nastroju, uszczypnął ją w jędrny zadek i wyrecytował:

*Daj, czegoś nie ubędzie, byś nawięcej dała;
Daj, czego próżno dawać potym będziesz chciała,
Kiedyć zmarski twarz zorzą, a gładkie zwierciadło
Okaże to na oko, że cię siła spadło...* [75]

Pomylił się wszak szkaradnie, bo służka zachnęła się, spojrzała nań z wyrzutem i odbieżyła, jakby się paliło albo nastawał na nią sam okrutny smok Holofagus ze Smoczey Jamy.

– A czemuż to dziewczę takie dzikie i nieużyte? – zagadnął mnie zdziwiony. –

Drzewiej inaczej u was bywało. Gdzież panna Magda, a osobliwie dubeltowego miana Kasia-Anusia o oczetach jak chabry i rozkosznie sterczących cycuszkach?

Rozłożyłem ręce.

– Nie ma ich. Ciotuchna oddaliła owe na życzenie Janki. Teraz mamy same takie jak Marysia, jeno szpetniejsze i więcej niedotykałskie.

– Szkoda... – mina mu się wydłużyła. – Jako że nie piastuję już na dworze żadnego urzędu i na kwaterę na zamku rachować nie mogę, jejmość Balcerowa wspaniałomyślnie oferowała mi u was gościnę na czas koronacji księcia Andegaweńskiego. Miał żem cichą, acz płonną jak się okazało, nadzieję, że któraś z dziewczek od czasu do czasu umili mi chłodne nocki... – mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Ha, trudno. Trza będzie urządzić sobie dalsze wycieczki. Może to i dobrze dla mojego żywota, jak się nieco wytrzęsie – z uśmiechem poklepał się po ciut wystającym brzuchu.

Niewiele się zmienił w ciągu minionych paru lat. Może jedynie, w samej rzeczy, przybrał na wadze, o co nietrudno na wiejskim wikcie, i lico mu wyokragłało. W brodzie i czuprynie pojawiło się więcej srebrnych włosów (ostatecznie przekroczył czterdziestkę), które sztucznie usiłował zaczernić, a kaftan był niemodny. Zauważył, na co patrzę, oczy mu się zaśmiały i rzekł:

Nowy to fortel a mało słychany:

Na srebrną brodę grzebień ołowiany [76].

Pomijając drobiazgi, wciąż był to ten sam wesół i życzliwy ludziom mistrz Kochanowski, którego tak lubiłem. Pisałem doń mniej więcej co pół roku, on zaś odpisał mi dwa razy, ale ostatni list był sprzed ponad roku. Spytałem zatem, jak mu się powodziło w Czarnym Lesie, z dala od dworu i miejskiego gwaru.

– Jak u pana Boga za piecem – upił potężny łyk i mlasnął z ukontentowaniem, nie wiadomo, czy z uznania dla wina, czy na wspomnienie sielskiego wiejskiego żywota. – Powiadam ci, Kacperku, nie masz to jak na prowincji. Tam dopiero, otoczony przyrodą i prostym ludem, człek widzi świat w należytych proporcjach.

– I niczego nie żałujecie, mistrzu?

– Nie. Dwór obrzydł mi ze szczeniem i na zawsze – odparł szybko, na mój gust zbyt szybko, i wyrecytował:

*A bych ci miał wyliczać i głębsze przyczyny,
Czemu imo się puszczam wielkie dziesięciny,
Pierwej by w morzu zagasł krąg lotnego słońca,
Niżbych ja w swej powieści przebił się do końca.
To tylko krótko powiem: dochody szczuplejsze,
Ale myśl bezpieczniejsza i serce wolniejsze [77].*

– Bo widzisz – skinął z podziękowaniem, gdym dolał mu trunku – zrezygnowałem z probostwa poznańskiego tudzież zwoleńskiego, z których czerpałem dochód jako cichy ksiądz w kapitule, wyręczając się opłacanym przez się księżulem. Jako i na dworze, tak i w Kościele kariera mi widać niepisana – w jego głosie wyczułem skrywaną gorycz. – Poznałem za to miłą i stateczną pannę z sąsiedztwa, Dorotę Podlodowską. Nie rozgłaszaj tego, bo na razie chcę rzecz trzymać w sekrecie, lecz wiem, że jest mi przychylna. Po powrocie z Krakowa poproszę ją o rękę, a ślub na wiosnę lub najdalej jesienią przyszłego roku. *Ergo* masz przed sobą najszczęśliwszego z ludzi.

Rozpogodził się na te słowa i trącił swym szkłem moje, ale nie zwiódł mnie, stary lis. Poznałem, że w głębi duszy wciąż tęskni, jeśli nie za dworskim blichtrzem, to na pewno za swobodą, którą może dać wyłącznie miasto. A przyczernianie siwiejących włosów świadczyło o próżności, której, mimo stwarzanych pozorów, zacny hreczkosiej wcale się całkiem nie wyzbył. Podejrzywałem, że przybył na koronację nie tylko przyciągnięty niebywałą uroczystością, ale by po raz ostatni skorzystać z uciech wielkiego miasta i zabawić się ile sił, nim na dobre ugrzęźnie na wsi u boku statecznej małżonki. Dlatego był tak rozczarowany, że nie zatrudniamy już miłych dziewczek, jeno same cnotliwe brzydule. Do licha! Przy okazji, teraz to poczułem, obudził uśpionego diabła w moich lędźwiach. A może by tak razem z mistrzem poszukać któregoś dnia porządnego zamtuza z urodziwymi i chętnymi dziewczkami? Odpędziłem kusiciela, ale wciąż wracał, łotr bezwstydnny...

– Napisaliście coś nowego, mistrzu? – spytałem, żeby zmienić temat.

– Ee, nic zgoła – machnął ręką. – Przeglądam jeno moje dawniejsze pisanie a porządkuję, bo mię przyjaciele naciskają, bym wreszcie złożył do druku to, co w odpisach po świecie krąży. A co u ciebie?

Przed moim przyjściem cioteczka, korzystając z wybornej okazji, nie omieszkała opowiedzieć Kochanowskiemu o wszystkich nowinach, więc jedynie uzupełniłem jej relację, a niewiele pominęła. Nie powiedziałem tylko o wyjeździe Janki, ale i o tym już wiedział.

– Tęsknisz za nią? – zerknął na mnie z ukosa.

– Niby za kim? – udałem głupiego, alem go nie zwiódł, więc przyznałem: – Tęsknię akuratnie tak, jakeście to opisali, mistrzu:

A co wiedzieć, gdzie chodzisz, moja dziewczko śliczna,

A mnie tymczasem trapi tęskność ustawiczna.

Jakoby słońce zaszło, kiedy nie masz ciebie,

A z tobą i w pół nocy zda się dzień na niebie [78].

– Wyznałeś jej to? Napisales w liście?

– Nie.

– To błąd. Napraw go czym prędzej albo wstrzymaj się jeszcze i przemyśl sobie,

zali to prawe miłowanie.

Po czym dolał mi wina w myśl zasady: na frasunek dobry trunek. Przy trzeciej flaszcze przyznał się nareszcie, dlaczego przyjechał do Krakowa zawczasu, choć było już powszechnie wiadome, że król przybędzie do Polski najwcześniej w styczniu nowego roku, a może nawet dopiero w lutym. Toteż i wówczas dopiero sejm koronacyjny, na który posłował, mógł rozpocząć obrady.

– Ratusz zamówił u mnie subskrypcję na bramę powitalną, a że płacą godziwie, tędym się zgodził. A skoro tak, to muszę dopilnować, by prezentowała się należycie.

Był już nieco podpity, ja bardziej, alem pojął, że po rezygnacji z prebend finanse mistrza musiały być w bardziej opłakanym stanie, niż chciał się do tego przyznać. Zaczął się macać po piersiach, mrużąc: „Gdziem ja to schował?”, w końcu wydobyl zza pazuchy pomietą kartę.

– Masz, zwertuj.

Trochę mi buksztaby latały przed oczyma, alem jakoś zdołał w końcu całość poskładać do kupy:

*Augurii mater, volucrum regina vagarum,
Corde enata tuo quid spondent liliae?*

Spondent, Sarmatiam Henrico florentem rege futuram [79].

– No i jak ci się widzi?

Milczałem, bo nie widziało mi się wcale. Za to pojąłem, że wcale nie przybył do Krakowa, bo zateśnił za miejskimi uciechami ani żeby zarobić parę dutków za napisanie pochwalnej subskrypcji. Przybył tu, ponieważ wcale jeszcze nie zdecydował ostatecznie, czy zagrzebać się na wsi i uwiązać węzłem małżeńskim do gospodarstwa i rodziny na resztę żywota. To była ostatnia próba zawiedzionego w swych nadziejach dworzanina, by u nowego króla zyskać takie fawory, jakich odmówił król stary. Na szczęście nie musiałem się silić na odpowiedź, bo Kochanowski wpierw czknał, po czym rzekł:

– Nic nie mów. Nalej. *Nunc est bibendum* [80], jak mawiał Horacy.

Ochoczo wypełniłem polecenie i szklenice. Gadaliśmy o wszystkim i o niczym. I piliśmy. Piliśmy i gadaliśmy. Po północy, sam ledwo trzymając się na nogach, odstawiłem mistrza na jego kwaterę, tę, którą wprzód zajmował Staszek Żółkiewski. A potem, pijany w sztok, zwałem się jak kłoda na swoje łóżko na poddaszu. Byłem jakmiarz uchłany, ale po raz pierwszy od wielu miesięcy szczęśliwy. Sprawilo to przybycie niewidzianego od lat przyjaciela, a także nadzieja, jaką mnie natchnął w sprawie Janki.

Nazajutrz nie zrobiliśmy nic, bośmy do niczego nie byli zdolni, tyle że upiekło mi się, bo wobec dostojnego gościa ciotka nie ośmieliła się mnie rugać, gdyż uważała, iż stan upojenia jest stanem przyrodzonym poetom i osobom im towarzyszącym.

O ile listopad był paskudny, to grudzień ładny i bezśnieżny. Całe miasto ogarnęła gorączka i to nie tylko przedświąteczna jak co roku, lecz przede wszystkim związana z rychłymi ekstreordynaryjnymi wydarzeniami: godnym pożegnaniem starego i hucznym powitaniem nowego króla. Na gwałt czyszczono zagnojone ulice i fasady domów, rozbierano drewniane klecie szpecące zabudowę, łapano i usuwano z miasta włóczęgów. Gorączka nie ominęła także uniwersytetu. Z tego powodu ferie świąteczne zaczęły się wcześniej niż zwykle. Mając dużo czasu i nic do roboty, mogłem towarzyszyć mistrzowi w spacerach po mieście, na razie dziennych.

Przy okazji spełniłem obietnicę daną Jankowi Januszowskiemu i odwiedziliśmy drukarnię Łazarzową. Obaj moi druhowie przypadli sobie do gustu i odtąd często tam zachodziliśmy z mistrzem na dobre wino i pogwarki o literaturze. Już przy pierwszej wizycie Januszowski wymógł na Kochanowskim rychłe uporządkowanie twórczości, zaś poeta obiecał opublikować je nie gdzie indziej, jeno w drukarni Łazarzowej. Wyszliśmy stamtąd grubo po zmroku, zaopatrzeni przez troskliwego gospodarza w latarkę. Kochanowskiemu nie umknęło, że przed opuszczeniem bramy rozejrzałem się uważnie po ulicy.

– O co chodzi, Kacper? Wždy widzę, że nie ruszasz się z domu bez oręża, a na ulicy cały czas kręcisz głową, jakbyś wszędy węszył niebezpieczeństwo.

– W istocie, mistrzu. Wyznaczono nagrodę za moją głowę.

Wiedział już, wpierrw od ciotki, potem ode mnie, o naszym zatargu ze Zborowskim, ale teraz powiedziałem mu o tym, z czego dotąd zwierzyłem się jedynie Niziołkowi, czyli jak w naszym zaułku przyszło mi stoczyć bój na śmierć i życie z zabójcą wynajętym najpewniej przez Samuela.

– Wątpię, by poprzestał na jednej próbie. To człek mściwy, pamiętliwy i do gruntu zły. Póki żyw, póty mnie nie poniecha. Tedy albo ja, albo on. Gdyby przyjmowano zakłady, postawiłbym na niego wszystkie pieniądze i wam, mistrzu, też to doradzam.

– Jak możesz sobie z tego dworować? – zdumiał się, wyraźnie wstrząśnięty i zaniepokojony; teraz on rozglądnął się dookoła.

– A co mi pozostało?

Do domu doszliśmy w milczeniu, nie niepokojeni. Muszę też przyznać, że mistrz wykazał się odwagą zadziwiającą jak na niewojennego człeka. Kupił sobie mianowicie u mego brata Andrzeja solidny kord, przypasał do boku i gdziekolwiek się udawaliśmy, potrzasał nim groźnie i marsowym spojrzeniem mierzył każdego, kto wydał mu się podejrzany. Bawiło mnie to, ale i wzruszało.

Nic się wszak złego nie wydarzyło aż do Godów, a i święta minęłyby zupełnie spokojnie, w rodzinnej aurze z miłym gościem na dokładkę, gdyby nie to, że jak wszystkim, tak i nam udzielił się nastrój niecierpliwego wyczekiwania. Z tym, że o ile drudzy czekali przede wszystkim na nowego króla, ja nie mogłem się doczekać Janki. Dlatego mistrz Jan ze dwa razy musiał samotnie wymykać się za róg, do pobliskiego zamtuza imć Warkowskiego na Świętojańskiej ulicy. Po drugiej wizycie w lupanarze

tak humor mu dopisywał, że usiadł do stołu i raz-dwa machnął cztery zwrotki *Kolędy*, którą, ponieważ Głupi Jasio dorobił do niej melodię i pięknie przygrywał na lutni, odśpiewaliśmy w Wigilię pod podłóżnikiem:

*Tobie bądź chwała, Panie wszego świata,
Żeś nam doczekać dał Nowego Lata.
Daj, byśmy się i sami odnowili,
Grzech porzuciwszy, w niewinności żyli!* [81]

Zaraz po Nowym Roku przyszła wieść, że król Henryk dotarł już do Saksonii i u granic polskich jeno go czekać. Roboty nad przystrojeniem miasta ruszyły z kopyta, zwłaszcza że pogoda wciąż sprzyjała – ani nie napadało dużo śniegu, ani nie było siarczystego mrozu. Tedy niemal codziennie wychodziliśmy z mistrzem doglądać stawiania bram na królewski ingres, czyli uroczysty wjazd. Nie szczędzono kosztów, by powitanie wypadło jak najokazalej. Na granicy Rynku i Grodzkiej budowano łuk tryumfalny. Któregoś dnia zdało mi się, że śledzi nas człowiek z cienkimi, obwisłymi jak u suma wąsami, ale chyba byłem przewrażliwiony, bom już go potem nie zobaczył.

Jeszcze nieraz przychodziliśmy ku tej i drugiej bronie, stawianej na ulicy Kanonnej, bowiem przyszła wieść, iż z końcem stycznia król wjechał do Polski i zaraz rozkazał pogrześć poprzednika, więc z Warszawy już wyruszyli żałobnicy z trumną królewską. Całe szczęście, że krakowskie przygotowania zostały praktycznie ukończone, gdyż na przełomie stycznia i lutego chwycił siarczysty mróz.

9 lutego orszak żałobny przybył do dworu rajcy Hochlera na Promniku. Zaraz tam popędziłem, ale nie dopuszczono mnie przed oblicze królowy i jej fraucymeru, musiałem zatem zrezygnować z zobaczenia Janki. Dopiero dwa dni potem kondukt ruszył *Via Regia* [82] z Kleparza przez bronę Floriańską w stronę Wawelu. Wpierw szli żacy ze wszystkich szkół krakowskich, za nimi zakonnicy i wikariusze, kanonicy, doktorowie, magistrzy i cała Akademia Krakowska na czele z rektorem Glicjuszem. Za uniwersytetem postępowali opaci, biskupi i sześciuset ubogich odzianych w żałobny kir niosących zapalone czarne świece. Za nimi jechali chorążowie poszczególnych ziem i dworu (ostatni dwaj dzierżyli chorągwie Korony i Wielkiego Księstwa), za którymi prowadzono trzydzieści koni nakrytych jedwabnymi oponami i niesiono trzydzieści mar przykrytych całunami.

– To Jerzy Mniszech, krajczy koronny – Jan Kochanowski pokazał jeźdźca w królewskiej zbroi, za którym jechał człowiek w królewskich, czarnych szatach. – A ten za nim to dworzanin Stanisław Garnysz.

Staliśmy obok domu Pod Etiopy, gdzie Floriańska wpadała w Rynek. Tutaj ciżba ludzka była mniejsza niż w ciasnych ulicach. Nie przyłączyłem się do gromady akademickiej, bom chciał ujrzeć Jankę, a mistrz, choć mógł dołączyć do delegacji

szlachty lub rady miejskiej, postanowił mi towarzyszyć.

Za tymi dwoma na piechotę podążali senatorowie, zaś przed samą trumną miecznik koronny Andrzej Zborowski niósł miecz, jego brat, wojewoda sandomierski, Piotr Zborowski jabłko, wojewoda krakowski Jan Firlej berło, kasztelan krakowski Sebastian Mielecki koronę. Wóz z ciałem spoczywającym w ołowianej trumnie otaczali dworzanie w żałobnych kapturach z płonącymi czarnymi pochodniami w dłoniach. W pewnej chwili do jednego z nich przybliżył się człowiek z sumiastym wąsem, a ów podwinął kaptur, żeby coś mu rzec. Rozpoznałem Samuela Zborowskiego. Ale nie poświęciłem mu więcej czasu, gdyż co inszego mnie zajęło.

– To ona – wychrypiałem, bo coś ścisnęło mi gardło.

Za wozem szła królowna Hanna podtrzymywana przez legata papieskiego i posła weneckiego, za nimi pozostali posłowie oraz dworzanie i dwórki, wszystkie w dziwacznych czarnych okryciach z najgrubszego płótna. Janka, najpiękniejsza ze wszystkich nawet w tak szpetnej odzieży, była druga z kraja. Zawołałem, ale nie usłyszała mnie, tak głośno zawodzili żałobnicy i biły wszystkie dzwony. Pomachałem. Także na próżno.

– Kto im kazał się tak odziać? – nie mogłem wyjść ze zdumienia.

– Słyszałem o tym – rzekł Kochanowski. – To koncept królowny, wzorowej dewotki. Ponoć cały fraucymer od dnia śmierci starego króla nosi takowy przyodziewek ku podziwowi swoich i obcych.

– Od półtora roku?

– Ano. Nie widziałeś Łukasza Górnickiego? Powinien gdzieś tam być...

– Nie, ale go nie wypatrywałem.

Kiedy przeszli posłowie i pojawili się rajcy, mistrz Jan włączył się do pochodu, a ja za nim. Z tyłu kłębiła się wielka ciżba ludzi płci obojga, nie samych krakowian, ale także przybyszy z okolicznych wiosek. Wolno przemierzaliśmy Rynek. Usiłowałem przedostać się do Janki, ale gapie po bokach tak cisnęli, że było to niemożliwe. Gdzieś na wysokości kościoła Wszystkich Świętych poczułem nieokreślony niepokój. Nie będę udawał, jako czasem nieskromnie czynią to drudzy, że mam to, co zwą szóstym zmysłem. A jeśli nawet go mam, to często śpi albo wyjątkowo leniwie wypełnia swą powinność, bom nieraz dostał niespodziewanie po łbie i żaden sekretny głos wewnętrzny mnie nie ostrzegł. Niemniej czasem to działa w rzeczy samej, choć nie wiem na jakiej zasadzie. Pożałowałem raptem, że miał przy sobie jedynie sztylet. Rozglądnałem się w tył i na boki. Zewsząd otaczały mnie nieznanne twarze, lecz wszystkie skupione, rozmodlone, zapłakane albo po prostu smutne stosownie do okoliczności. Nic podejrzanego. Zaraz... W mózgu zapaliła mi się ostrzegawcza lampka. Człowiek z obwisłym wąsem. Ten, który rozmawiał ze Zborowskim. Ten, którego widziałem już wcześniej, jak za mną szlakował. Szedł gdzieś w piątym rzędzie za mną. Odczekałem chwilę i znów zerknąłem przez ramię. Był już tylko trzy rzędy z tyłu i gapił się na mnie. Pochwyciwszy mój wzrok, szybko odwrócił głowę.

Odczekałem jeszcze chwilę, a gdy skręciliśmy w ulicę Świętego Michała i

znaleźliśmy się na wysokości Malowanego Dworu, pchnąłem mocno idącego po mojej prawicy poetę. W tym samym momencie z tyłu, ocierając się niemal o mój bok, wystrzeliła zbrojna w nóż ręka i ugodziła w płuca idącego przede mną człeka, który padł z jękiem. Tłum zafalował i jakby zastygł.

– Ludzie, ratujcie! On zasłabł, odsuńcie się!

– Niech go ktoś odciągnie na bok! Dajcie mu odetchnąć!

Aż nagle przebił się przez wszystko przeraźliwy krzyk:

– Krew! Ktoś go zabił!

Pochwyciłem wzrok mordercy, który cofał się rakiem, póki nie zniknął w gromadzie. Tymczasem objawił się strażnik miejski i odciągnął trupa pod mur, a znieruchomiła na chwilę ciżba ruszyła dalej w niepowstrzymanym marszu.

– O co chodzi? – mistrz Jan zmarszczył brwi. – Masz taką minę, jakby to ciebie chcieli zabić.

– Nie powiem nie – odparłem, czym prędzej zmieniając minę.

Postanowiłem wrócić do domu, a Kochanowski uparł się mnie nie odstępować, więc odczekaliśmy, aż cały pochód przejdzie, po czym zawróciliśmy do gospody, gdzie czekała złakniona nowin cioteczka, której zdrowie nie pozwoliło wziąć udziału w pogrzebie. Była wielce strapiona, bo dziwnym trafem nic tak nie raduje ludzi starszych, jak udział w cudzym pogrzebie i miłe poczucie, że to kto drugi wyprzedził ich w drodze do lepszego świata. Ale tuszyła, iż do koronacji wydobrzeje. Nic jej nie powiedzieliśmy o kolejnym zamachu na moje życie. Ze spojrzenia mistrza, z którym natychmiast uciekał, gdy sądził, że patrzę, wyczytałem, jak bardzo się o mnie trapi.

W drugim dniu o dziesiątej godzinie odprawiono egzekwie w kościołach Świętego Franciszka, Wszystkich Świętych, Świętej Anny, Świętego Szczepana i Świętej Trójcy, czyli u dominikanów. Trumna królewska pozostała w katedrze, obok grobu świętego Stanisława. Do kościołów wnoszono przeto same mary, którym towarzyszyły procesje i jeszcze większe tłumy gapiów niżli poprzedniego dnia, gdyż na marach były mińce, z których garściami czerpali czterej kasztelanowie i ciskali w tłum. Ale ani ja, ani Kochanowski nie wyszliśmy tego dnia z domu, dotrzymując towarzystwa ciotuchnie pod pozorem zmęczenia dniem poprzednim. Sam wszak nakłoniłem mistrza, by poszedł na Wawel nazajutrz, kiedy odbył się właściwy pogrzeb, spróbował dotrzeć do Janki, przekazał jej od nas uściski i namówił do odwiedzenia domu.

Jako i pod wieczór wrócił setnie zmęczony, lecz napełniony nowinami, którymi przy winie chętnie się podzielił. Mszę świętą celebrował sam prymas Jakub Uchański, a kazanie wygłosił opat mogiński Marcin Białobrzeski.

– Dobrze prawil – pochwalił. – Wszyscy wiemy, jaki był król August. Dojutrek ^[83], kiedy należało powziąć szybkie postanowienie, pod koniec żywota pogrążony w kurewstwie... – w jego głosie pobrzmiwała uraza rozczarowanego dworaka do zmarłego monarchy. – A tymczasem ksiądz Białobrzeski wołał: „Nie

złorzeczcie! Nie szkalujcie! Nie szczypcie na poczciwości pomazańca bożego, pana i dobrodzieja naszego”. Za czym, podczas śpiewania *Pater Noster*, Jerzy Mniszech siedzący na koniu w zbroi królewskiej jako Osoba, wjechał do katedry i u trumny spadł z trzaskiem na pawiment. Po *Agnus Dei* senatorowie złożyli insygnia królewskie na ołtarzu, Jan Firlej złamał laskę marszałkowską, kanclerz Walenty Dembiński skruszył pieczęcie koronne, a Andrzej Zborowski złamał miecz zmarłego, który był ostatnim z rodu. Przy dźwięku dzwonów i śpiewach żałobnych wyniesiono trumnę na zewnątrz przez rzadko używane południowe wejście i tu przez otwór na dziedzińcu senatorowie na sznurach spuścili trumnę do grobu do wtóru jęków i płaczów zgromadzonej przed katedrą gawiedzi, której wzbroniono wchodu do świątyni.

– A... A czy udało wam się, mistrzu... Czyście spotkali Jankę?

Westchnął ciężko.

– Niestety. Przykro mi, chłopcze.

Zwarzył mi humor dokumentnie. I nawet zabiegi cioteczki go nie przywróciły. A nawet miałem jej za złe rozradowane lico, chociaż specjalnie dla mnie na pociechę, widząc mój frasunek, kazała upiec w kominie całe prosię, mimo iż protestowałem, widząc takie marnotrawstwo, a przed wieczorem wyprosiła gości i zarządziła zamknięcie gospody.

– Matuchno – pocałowałem ją w policzek, gdy ujrzałem, jak zapędza służki do zaślania wielkiego stołu śnieżnobiałym obrusem i zastawienia go rozlicznymi smakołykami – to doprawdy już przesada.

Pogłaskała mnie czule po głowie.

– Nie marudź. Mamy zapusty. Lepiej dopilnuj prosięcia. A potem zmień przydzwiewek na bardziej chędogi, bo wyglądasz jak dziad proszalny.

Po krótkiej chwili zostawiłem pieczenie prosięcia Grubemu Stachowi, który był wyśmienitym kucharzem (gotował na przemian z ciotką), i Niziołkowi (stał za szynkwasem, gdy Stach był zajęty w kuchni – cioteczka była oszczędna i nie zatrudniała ludzi ponad potrzebę), który uwielbiał asystować przy przygotowywaniu jadła, bo zawsze wówczas coś udawało mu się uszczknąć, a jeść mógł bez przerwy. Poszedłem na górę przebrać się wedle życzenia, a kiedym schodził, zdało mi się, że ktoś dobija się do drzwi.

Cioteczka, wystrojona jak na Boże Ciało, ubiegła mnie i gdy tam dotarłem, już się ścisnęła z jakowąś białką, której towarzyszył postawny, patrzący na przyjemnego młodzieniec, a z góry schodził odziany w swój najlepszy strój imć Kochanowski. Niewiasta rozpięta spiętą pod szyją złotym guzem, niesięgającą do ziemi szubę ocieplaną watą, pikowaną w pionowe fałdy, z dużym futrzanym kołnierzem i niesłychanie długimi, rozciętymi rękawami, swobodnie zwisającymi po bokach. A potem zdjęła wysoki czarny kołpak futrzany z wąską podwiką okrywającą policzki i brodę i potrzęsła głową. Bujne, kruczoczarne, wijące sploty rozsypały się na kołnierzu szuby. Lśniące jak diamenty oczy w zarumienionej od mrozu,

najpiękniejszej na świecie twarzy spoczęły na mnie, usta rozchyliły się w uśmiechu. Stałem jak wryty, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Pierwszy zareagował mistrz Jan. Zbiegł ze schodów, wciągając brzuch i przeskakując po dwa stopnie naraz z zadziwiającą chyżością.

– Przebóg, panna Janeczka! Pójdź w me ramiona, dziewczeczko kochana!

Przysiągłbym, że puściła do mnie oko, zanim dała się zamknąć w ojcowskim... hmm, uścisku. Musiałem przyznać, że choć bardzo lubiłem mistrza, to czasem bywał niezwykle irytujący. Młodzian czekający przy drzwiach zmarszczył brwi i zrobił ruch, jakby chciał powstrzymać poetę. Tym razem przyglądałem mu się lepiej i okazał się bynajmniej nie takim miłym, jednak wciąż przystojnym blondynem, niestety. Miał najwyżej dwadzieścia lat, pewną siebie minę, mały wąsik nad pełnymi wargami i takąż brodę, ledwie wystającą znad niewielkiej kryzki. Nosił krótką, rozpiętą na piersiach szubę bez rękawów za to z ogromnym futrzanym kołnierzem, perłowej barwy kaftan z połami do połowy bioder, krótkie bufiaste spodnie – marynały, rajtuzy i nacinane trzewiki. U boku miał krótki mieczyk, na głowie wysoki aksamitny biret, a wszystko w papuzich barwach. Sam bym się lepiej nie ubrał, gdybym był fircykiem.

Ani on, ani ja nie zdążyliśmy uczynić kroku, gdy frontowe drzwi rozwarły się z hukiem i do gospody wpadła gromada zbrojnych z zapalonymi pochodniami. Jedni wymierzili do nas z pistoletów i odcięli od drugiego wejścia od zadzi, drudzy rozbiegli się po całym domu. Wkrótce usłyszeliśmy łomotanie w drzwi, krzyki zaskoczonych dziewczek i hałasy dobiegające z kuchni. Wnet w izbie na dole zebrano całą czeladź, przerażoną i szlochającą, łącznie z Grubym Stachem, który milczał ze zwieszoną głową. Tylko Niziołka nie było, widać zdołał się jakoś ukryć. Jedyna pociecha. Teraz, tak jak ja, z pewnością rozmyślał nad jakimś wyjściem z obieży. I dałby Bóg, by coś wykoncypował, bo jam chwilowo miał tak pusty czerep, że aż w nim dzwoniło. Jeden z napastników przyniósł nasze upieczone już prosię, śmiejąc się i wołając z daleka:

– Wasza miłość, patrzcie, co przygotowali na naszą cześć!

Ich hetman postąpił krok naprzód i szarpnięciem zdjął z wysoko podgolonej na najnowszą modłę głowy obszyty futrem kołpak z kitą z czaplich piór, niedbale rzucając go na najbliższą ławę. O ile towarzysz Janki patrzył na dworaka, to ten przybysz samą postawą zdradzał żołnierza. Zuchwałą twarz ze sterczącymi na boki wąsami szpecił ponury wyraz i groźne spojrzenie. Spod wciętej w pasie i zapiętej na piersiach szkarłatnej delii z odrzuconymi rękawami wyglądał niebieski żupan długi do kolan. Nogi, opięte wąskimi czarnymi spodniami wsuniętymi w wysokie żółte buty, były szeroko rozstawione. Lewa dłoń wsparta na biodrze, druga ścisnęła czekan.

– Nie ruszać się, bo wszyscy zginiacie! – warknął przez zaciśnięte usta.

– Jakim prawem waść nam grozisz?! – czerwony z oburzenia młody panek wydobył miecz i postąpił ku nowo przybyłemu, może jako jedyny nie pojmując, z kim zadziera. – Bacz, z kim masz sprawę!

– No, z kim?

Młodzian nie wyczuł ironicznego tonu, nadał się z pychy i rzekł dumnie:

– Kasztelan Jan Żaliński, dworzanin jej książęcej mości, królowy Hanny. I powiadam ci: natychmiast odstęp i zabierz swoich ludzi!

– A jak nie, to co mi zrobisz, kurczaku? Skaleczysz tym rożenkiem, co go trzymasz w garści jak wykałaczkę?

Nagłym uderzeniem czekana wytrącił dworakowi miecz, po czym zaczepił ostrzem o kark nieboraka, przyciągnął go ku sobie, wolną ręką ucapił za szyję pod kryzą i pchnął wstecz, już się o nieszczęśnika nie troszcząc. Nawet z daleka widziałem łzy w oczach upokorzonego chłopca i mimo iż nie darzyłem go sympatią, odwróciłem wzrok, bo nie był to przyjemny widok.

– Idź do drzwi, synku, a nic ci się nie stanie.

Z płonąca ze wstydu twarzą młodzian opuścił izbę, nie patrząc na nikogo i nie usiłując nawet odzyskać miecza.

– A co ze mną, mój panie? – mistrz Kochanowski zastawił sobą Jankę i po raz kolejny mogłem podziwiać jego odwagę, bo głos mu nawet nie zadrżał; no, może odrobinę.

W oczach tamtego pojawił się błysk; rozpoznał sławnego poetę.

– Chcę tylko ją i jego – gwałtownik wskazał Jankę i mnie. – Pozostali mogą odejść. Jeno szybko, bo za chwilę spalimy tę budę.

Bezbronny jak oserek myślałem rozpaczliwie o jakimś sposobie ratunku, ale na szczęście nie musiałem się tym razem posuwać do czynów desperackich i pewnie z góry skazanych na niepowodzenie, choć nigdy w życiu nie poddałbym się bez walki.

– Hola, mości Zborowski! Nie tak prędko – rozległo się od progu i w drzwiach pojawiła się zażywna postać, roślejsza od napastnika i jeszcze dostatniej od niego odziana.

Pan Zamojski! To ci siurpryza! A zatem to wcale nie na moją cześć miało być prosię i drugie delicje, które widziałem w kuchni, jenó Janki i Zamojskiego. Widać pan Kochanowski przyniósł z Wawelu świeże nowiny i razem z cioteczka postanowili się zabawić moim kosztem. Mimo to dziwnie nie czułem się urażony. Za Zamojskim do izby wszedł szlachcic równie świetnie wyglądający, potem drugi, mniej dostatnio odziany, pan Górnicki i wyglądający znajomo młody panek, a na końcu kilkunastu uzbrojonych po zęby żołnierzy obcego autoramentu, pchając przed sobą paru unieszkodliwionych ludzi Zborowskiego, których tamten zostawił na zewnątrz.

– Król jegomość dotarł już do Balic, gdzie zażywa gościny u pana wojewody Firleja, a jak ci zapewne wiadomo, wszelki gwałt dokonany w jego przytomności jest bezwzględnie karany na gardle – ciągnął Zamojski, nie zważając na wściekłość malującą się na obliczu watażki. – Dlatego radzę ci po dobroci: oddal się stąd niezwłocznie i w pokoju, razem ze swoimi zbirami, a może ujdzie ci to jeszcze płazem.

Zborowski zmagął się z sobą. Żył na szyi nabrzmiały mu, krew omal nie trysnęła

z twarzy, dłoń zacisnęła na czekanie tak, że aż dziw, iż stalowe ostrze nie stopiło się z gorąca. Wyglądał strasznie, ale na Zamojskim nie uczyniło to wrażenia. Spokojnie spoglądał mu w oczy i czekał. Wreszcie tamten gwałtownym gestem nasadził kołpak i dał znak swoim ludziom, którzy jak zbite psy z podwiniętymi ogonami ruszyli do wyjścia.

– Prosię! – zawołałem, a Gruby Stach pospiesznie odebrał piecyste i zaraz poszedł z nim do kuchni.

– Do rychłego zobaczenia! – syknął Zborowski, patrząc na mnie nienawistnie.

– Mości Zborowski – odezwał się Zamojski. – Zanim znów podejmiesz jakieś pochopne kroki, poradź się wprzód swego brata Jana, któremu już szepnąłem o twoich sprawkach.

Zborowski nic na to nie odparł. Przechodząc mimo Zamojskiego i pozostałych, spoglądał na nich spode łba, tak jakby chciał dobrze wyryć sobie w pamięci ich rysy. W drzwiach wyładował rozpierającą go wściekłość, z całej siły waląc obuchem czekana we framugę, aż dom zadrżał w posadach. Usłyszeliśmy jeszcze jego wrzaski, gdy rugał swoich ludzi, a potem nareszcie nastąpiła błoga cisza.

– No i po wszystkim – rzucił wesoło Zamojski. – A teraz pora na powitanie.

Ale dopiero gdy Jance udało się uspokoić spazmującą ciotuchnę, mogliśmy przystąpić do powitalnego obrządku, który przeciągnął się aż do pory, kiedy służba wniosła na stół parujące półmiski. Żołnierzy, którzy okazali się sławnymi gaskońskimi muszkietnikami i ani w ząb nie pojowali po polsku, uczęstowano jadłem i napitkiem przy osobnej ławie. Akurat wracałem z piwnicy, gdzie odnalezionemu Niziołkowi pokazywałem, jakie wino ma podać na stół, gdy wpadł prosto na Jankę, która szła na górę.

– Cóż to, Kacperku, nie przywitasz się ze mną? – spytała, patrząc mi w oczy filuternie.

Rzadko traciłem rezon, zgoła nigdy, ale tym razem język nieco mi się plątał.

– Ja... Takaś odmieniona, że nie mam śmiałości. Wyglądasz jak jaka królowna...

– Widać, żeś naszej królowny nie widział – rzuciła kpiąco. – Lecz nic straconego. Już wkrótce będziesz miał sposobność. A teraz pocałuj mnie, jak przystało na dobrego brata po takim długim niewidzeniu.

I wdzięcznie podała mi policzek, bym na nim złożył zaiste braterski pocałunek. Po czym pobiegła po schodach jak fryga, oburącz wdzięcznie podciągając szubę i suknię i pokazując zgrabne kostki w cienkich pończoszkach, a ja wróciłem do zgromadzenia, starając się jak najdłużej zatrzymać w nozdrzach i pamięci oszałamiający zapach jej ciała.

– Aleśmy w samą porę nadciągnęli wam w sukurs, co Kacper? – cieszył się Zamojski, klepiąc mnie zamasyście w plecy. – Przyjechalim, bo Jan – kiwnął głową w kierunku Kochanowskiego – spotkał na zamku Łukasza, a że usłyszeli o przybyciu orszaku królewskiego do Balic, tedy umyślili uczynić ci siurpryzę i Łukasz kopnął się zaraz ku mnie z dwojgiem towarzyszy. Ja zaś, dostawszy od króla jegomości permisję

do jutra, wziąłem imć Heidensteina, kilkunastu Waskonów na wszelki wypadek i w drogę. Jechalim sobie spokojnie, pókiśmy nie dostrzegli owych zbirów u wejścia do waszej gospody. Oho! pomyślałem zaraz, Kacper i zacna jejmość Balcerowa są w srogiej obieży, zatem trza im, nie omieszkając, ruszyć ku pomocy. No, a dalej co było, to już wiecie. Grunt, że wszystko dobrze się skończyło, tedy na bok smutki! Moja jejmość kochana – pochylił się do dłoni ciotki Balcerowej – poznajże starego mego przyjaciela i krajana, senatora Jędrzeja Wapowskiego, kasztelana przemyskiego. Ten zaś przyjemny młodzian to starosta kazimierski Mikołaj Firlej, zaś ów – mój druh i sekretarz, imć Reinhold Heidenstein, Prusak spod Gdańska, lecz szczyry katolik.

Starostę kazimierskiego poznałem już dawniej i byłem rad, że nie założyłem dziś „jajca norymberskiego”, które nosiłem jeno do wyjściowego stroju, bo musiałbym tłumaczyć, jakim sposobem jego dar trafił w moje ręce. Będący w wieku pomiędzy Kochanowskim a Zamojskim, czyli trzydziestoparoletni Heidenstein wyglądał poważniej dzięki krótkiej acz gęstej brodzie. Starosta przemyski, mniej więcej równolatek Kochanowskiego, patrzył na wielkiego pocziwca. Coś mnie uderzyło w jego przystojnej twarzy, coś znajomego, ale nie mogłem dociec co.

– Nie da się opisać, jak radzi jesteśmy waszmościom. Dank wam winniśmy najserdeczniejszy za zratowanie od tego gwałtownika Zborowskiego – odparłem, kłaniając się wszystkim gościom z uszanowaniem, a cioteczka znów się rozpląkała.

– Już tam Jan Zborowski natrze bratu uszu, tedy zapomnijcie o nim, bo na dal żadnej turbacji wam nie sprawi. A teraz dość o tym. Napijmy się. Za miłe spotkanie! – zadysponował Zamojski i nikt się nie uchylił, nawet ciotunia, której otarłem łyzy, zdobyła się na blady uśmiech i spełniła toast.

– A czemuż to pan Stanisław Żółkiewski nie przyszedł z waszymi miłościami? Nie podobało mu się u nas? – spytała.

– Nachwalić się nie mógł! – zaprzeczył gorąco Zamojski. – Jeno że odłączył się w Paryżu, bo mu dojadła francuska lasciwia, i pojechał do Wiednia, by na dworze cesarza Maksymiliana Wtórego uczyć się sztuki wojennej. Aleć jeszcze nim zem Paryż opuścił, już doszedł mnie list od lubego Stachniczka, że i w Rakuzach wcale mu się nie widzi. Z czego tuszę, iż jeno go patrzeć.

Zamojski wiedział, że nie tylko cioteczka i ja, lecz i mistrz Jan byliśmy ciekawi nowin tyczących wielkiego świata i osoby nowego monarchy, ledwie zatem pięknie przyrumienione prosię wjechało na stół, między jednym kęsem a drugim i jednym a drugim łykiem wina ze swadą opowiedział, co wydarzyło się we Francji od chwili, gdy polscy posłowie dotarli do Paryża, aż potąd, jak orszak królewski stanął pod miastem.

– I jak się królowi jegomości widzi u nas? – spytał Kochanowski.

– Bardzo sobie chwali i kraj, i ludzi – odparł Zamojski. – Po prawdzie zraziło go nieco to, że kilka godzin w nadgranicznym Międzyrzeczu przyszło mu stać na mrozie i wysłuchiwać mów powitalnych, ale już hufce witających go magnatów, zaś każda chorągiew inszej była barwy, na inszych koniach i z inszą bronią u boku, zachwyciły

go wielce, bowiem wojenny to pan. Samem słyszał, jak jadąc wśród wiwatujących szpalerów, rzekł: „Zaczynam rozumieć i czuć, że jestem królem”. Jedno co mu się u nas nie widzi, to luty mróz, a bo też te Francuzy w tak kusych szatkach chadzają, że to i nie dziwota, iż zadki im marzną – zaśmiał się, pomijając uwagę, jaką trzęsący się z zimna i śmiertelnie znudzony polskim gadulstwem król wymienił z Gonzagą: „*Sale pays*” [84].

– Nieco racji w tym jest – przyznał młody Firlej – boć dopiero w Poznaniu królowi dano ciepłą szubę i futrzaną czapkę, a drugim Francuzom wcale.

– A czyjaż to wina? – obruszył się pan Wapowski. – Samem słyszał, jak owi wyśmiewali się z naszych szatek. No to mają za swoje.

Cioteczka koniecznie chciała wiedzieć, jak się nowy pan prezentuje.

– Młody jest, ledwie dwadzieścia dwa roki z okładem liczący, i pięknej postawy – rzekł szybko Zamojski, uprzedzając Wapowskiego, który już otwierał usta.

– Powiadają, że miłościwy pan kolczyki w uszach nosi jak niewiasta – dociekała ciotka, skromnie spuściwszy oczy – i obyczajów surowych nie jest...

– Król jegomość kolczyków nauczył się nosić od heretyckich kaprów z Roszelli – uciał dysputę na temat nowego władcy Zamojski. – Obyczajów zaś jest wcale przyjemnych. Lecz o tym za dni parę każdy na własne oczy przekonać będzie się mógł. Powiadaj lepiej, Łukaszu, cóżś robił ostatnimi czasy, boś zagrzebał się w Tykocinie jako jaźwiec w jamie, znaku życia nie dając...

– A bo i nie było o czym powiadać – machnął dłonią Górnicki, w ostatnich latach nie tylko bibliotekarz królewski, ale i starosta tykociński. – Siedzę sobie w Lipnikach pod Tykocinem, pilnując librarii królewskiej z Wilna przeniesionej, a zwłaszcza skarbcza królewskiego złożonego w tamecznym zameczku, trocha nad tłumaczeniem z Seneki ślęcząc, trocha o opisaniu dziejów naszych za panowania króla Starego i jego syna zamyślając, ale z braku czasu nic żem jeszcze nie napisał.

– A u ciebie, Janie, co słyhać? Takoz zniknąłeś przyjaciołom z oczu, żem już się trapić zaczął, czyś się aby w tym swoim Czarnym Lesie żywcem nie pogrzebał...

– Zbytek troski. Moi panowie, wypijmy zdrowie imć Balcerowej, naszej zacnej gospodyni – zadysponował poeta i pierwszy wznosił puchar w górę.

Służba wniosła comber barani w śmietanie, którego zapach dorównywał wybornemu smakowi, toteż wszyscy bez żalu pożegnali wzrokiem wynoszone szczątki prosięcia. Siedzący obok mnie Prusak Heidenstein, mówiący po polsku bardzo dobrze, jeno z nieco twardym akcentem, zdążył mi jedynie rzec, iż słyszał od pana Zamojskiego o moich przypadkach w roli inwestygatora i zainteresowaniu historią, co czyniło nas bratnimi duszami, bo on właśnie powziął postanowienie, by spisywać najnowsze dzieje Polski, od skonu króla Augusta począwszy. Po czym rzucił się na jadło, aby nadrobić spóźnienie spowodowane wyznaniem. Dopiero gdy resztki pieczystego zniknęły z talerzy niczym kamfora, goście, całkowicie zaspokoiwszy głód, poluzowali pasy i mogli pomyśleć o czymś innym. Mistrz Jan

rozglądnał się wokół zdumiony i zapytał:

- A gdzie to podziewa się panna Janeczka?
 - Przebiera się w swojej izbie – wyjaśniła ciotka.
- W tejże chwili dobiegło nas z góry:

*Płyną jasne źródle,
Potem w Dniestrze giną,
Tak w tobie, dziewczyno,
Ginie serce moje.*

- U-ha! – huknął Zamojski.
- Co to jest? Co to znaczy? – Wapowski tak gwałtownie odstawił niesiony do ust kielich, że wino bryznęło na stół szeroką strugą, lecz on tego nawet nie spostrzegł.
- To właśnie Janeczka wyśpiewuje. Prawda, że piękny ma głos? – rzekła z dumą cioteczka.

*Ginie, lecz nie zginie
Na przekór Dniestrowi,
I jeszcze w głębinie
Pierścionek wyłowi!*

– U-ha! – znów zawtórował Zamojski i zwrócił się do senatora: – Czemu nie przyłączysz się do nas, Jędrzeju? Toć to piosnka z naszych stron.

– Przebóg! Ten głos, ta piosnka... – Wapowski potarł czoło drżącą ręką; w zdenerwowaniu zaciągał z ruska bardziej niż zazwyczaj. – Kimże jest owa dziewczeczka?

W nagłym olśnieniu domyśliłem się prawdy, a kiedym pochwycił spojrzenie Zamojskiego, pojąłem, że on też już wiedział. Tylko ciotuchna, niczego nieświadoma, odparła z dumą:

- To moja córuchna najmłodsza, od łońskiego roku dwórka królowej jejmości.
- Ile ma lat? – dociekał senator.
- Siedemnaście – uprzedziłem ciotkę. – Chyba. Nie wie ona dokładnie, bo to znajda. Ośm lat chowała się u Cyganów, nim do nas trafiła.
- I ma na imię Janka?
- Tak jest.
- Dobry Jezu... – na czole Wapowskiego pojawiły się krople potu wielkie jak groch; tym razem wszyscy, ciotki nie wyłączając, zauważyli jego zdenerwowanie. – Czyżby...

W tej chwili na schodach rozległy się kroki i z góry spłynęła do nas raczej, niż zesłała (Boże, jak ta dziewczka nauczyła się ruszać!) Janka. Wdziała na się suknię bez rękawów, zwaną kształtem lub kształcikiem, ponieważ miała czarny, głęboko wycięty

stanik doszyty do białej fałdzistej spódnicy z naszytymi potrójnymi galonami, do tego białe gieszło z bufiastymi rękawami i małą krezą pod łabędzią szyją, a na czarnych splotach – toczenicę z kwiatkami. Był to strój prosty, prawdziwie polski, lecz ona wyglądała w nim zarówno wdzięcznie, jak świeżo. Słowem tak, że zapierało dech. Z bliska dostrzegłem, że nie zmarnowała czasu – liczko lśniło barwiczką, brwi były sztucznie przyciemnione, a rzęsy – wydłużone. Wiedziała, diabolicznie, że w takiej oprawie jej zielone oczyska jaśniejają bardziej niż szmaragdy.

– Cóż tak na mnie patrzycie, waszmościowie? – spytała, niespecjalnie speszona.

– Ee, nic, usiądź, moje dziecko – cioteczka wskazała jej miejsce między sobą a Zamojskim. – Spóźniłaś się na pieczyste.

– Nie jestem głodna.

– Właśnie była o tobie mowa.

– Tak? A cóż w takiej skromnej osobie jak ja może zajmować tak wielkich panów? – omiotła zebranych spojrzeniem spod długich rzęs, że nie tylko mnie ciarki przebiegły po ciele od tej fałszywej skromności.

– Nie może to być... Ja oszaleję – senator złapał się za głowę. – To liczko, ten głos, te oczy...

Oczy mieli tej samej barwy, sprawdziłem. I już od dłuższej chwili wiedziałem, dlaczego rysy Wapowskiego od początku wydały mi się znajome.

– Czy waszmość się dobrze czujesz? – zatroszczyła się Janka, patrząc na senatora ze współczuciem. – Kacper uczy się na medyka. Kacprze, mógłbyś zbadać pana Wapowskiego?

– Nie trzeba. Nic mi nie jest – Wapowski opanował się z trudem. – Daruj ciekawość, waćpanna, lecz skąd znasz tę piosnkę? Tę, którą przed chwilą śpiewałaś.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Znam ją bodaj od zawsze.

– Imć Ryx powiadał, że chowałaś się pośród Cyganów? Czy to oni nauczyli cię tej pieśni?

– Chyba nie... Nigdy jej u nich nie słyszałam. A czemu waszmość pytasz?

Nie odpowiedział. Zamiast tego znów zapytał:

– A znasz panna to:

Oj, cei lubosti

Hirsze od słabosti!

Słabost' perebudu,

Zdrowże ja budu...

Podchwyciła natychmiast:

Wirnoho kochania

Po wik ne zabudu.

– Nie wiem, skąd to znam... – potoczyła zdziwionym wzrokiem dookoła. – Nigdy dotąd tego nie śpiewałam...

– A ja nie słyszałam – potwierdziła ciotka, nie mniej od drugich ciekawa celu, w jakim senator indagował Jankę.

Wapowski chyba ich nie słyszał.

– Miałem córkę – rzekł jakby do siebie, choć na głos. – Byłaby dziś w leciech waćpanny.

– Co się z nią stało? – Janka zmarszczyła brwi i z natężeniem wpatrywała się w umęczoną twarz starosty przemyskiego.

– Zaginęła. Przed trzynastu laty.

– Jak miała na imię?

– Joanna. Ale wołaliśmy ją Jania.

Moim zdaniem to przesądzało sprawę. Co powiedział stary Cygan na pytanie: „Czemu nazwaliście ją Jankiem”? „Bo sama mówiła o sobie: Jania”. Janka znieruchomiła i pobladła. Zapanowała cisza, bo wszyscy już pojęli, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Wszyscy z wyjątkiem cioteczki.

– Pokaż medalion, waćpanna – powiedział cicho Zamojski.

Zdjęła z szyi klejnot, otworzyła wieczko i przez stół podała Zamojskiemu, a ten – Wapowskiemu. Senator długo wpatrywał się w miniaturę. Nic nie mówił, tylko wielkie łzy skapywały mu z oczu.

– Miała na imię Helena. Z Mohylów – rzekł wreszcie przez łzy. – Poznaliśmy się, gdym posłowałem na Wołoszczyznę. Nie chcieli mi jej dać, więc uciekła ze mną. Ledwośmy przekroczyli granicę, wzięliśmy ślub w jakiejś cerkwi. Potem urodziła nam się córka i byliśmy szczęśliwi. Helena dobrze mówiła po rusku, potem nauczyła się polskiego i lubiła śpiewać dla mnie i dziecięcia. Lecz gdy Jania miała niespełna cztery latka, pod Dynów, w którym naonczas mieszkaliśmy, popadli Tatarzy. Zdało się, że nie masz ratunku, toteż Helena, za nic nie chcąc mnie opuścić, zawiesiła dziecku na szyi swój konterfekt, który dla niej kazałem wykonać, i z zaufanym sługą wyprawiła podziemnym przełazem do lasu. Niespodzianie nadeszło wojsko i pogromiło pohańców, wzdry wcześniej od strzały zginęła Helena, a na skraju lasu znaleźliśmy trupa sługi, który miał wyprowadzić dziecko. Co ja się naszukałem! Lata całe. Wszystko na próżno. Owszem, słyszeliśmy o Cyganach, którzy w owym czasie przeciągali mimo, ale nie udało się ich odnaleźć.

– Przemykali szybko lasami w obawie przed napaścią Tatarską – wyjaśniłem. – Janko, może pokażesz jego wielmożności ową błękitną sukienkę, w której cię znaleziono, tę z wyhaftowanym herbem. Czyś zdołała dojść, co to za herb?

– Pan Żółkiewski do tego doszedł. To Nieczuja – odparła. – Już idę po suknię...

– Zaczekaj – powstrzymałem ją. – Mości senatorze, jakim herbem pieczętują się Wapowscy?

Nic nie odrzekł. Nie musiał, odpowiedź miał wymalowaną na twarzy. Błady jak trup wstał, nie spuszczać oka z dziewczki.

– Czy to... – cioteczka miała oczy jak spodki; do niej także dotarło, czego byliśmy świadkami. – Czy to znaczy, że...

– Tak, matuchno – potwierdziłem, w duchu płacząc nad sobą i swymi utraconymi na dobre złudzeniami. – To właśnie to znaczy.

Senator rozpostarł ramiona.

– Pójdź do mnie, córko.

Ale Janka siedziała sztywno, jakby połknęła kij, z twarzą, z której odpłynęła cała krew. Wapowski obszedł zatem stół i stanął obok niej.

– Jesteś jak skóra zdjęta z Heleny. I nie potrzeba mi żadnych drugich dowodów. Jak tylko usłyszałem cię, a potem ujrzałem, wyzbyłem się wszelkich dubiów. No, Janiu, obejmij mnie. Proszę.

Kiedy wstała i rzuciła mu się w ramiona, miała twarz zalaną łzami i rozmazaną barwiczkę. Trwali w uścisku i ryczeli jak bobry, a cioteczka razem z nimi.

– Polej, Kacper – rzekł Zamojski. – Tego się nie da rozebrać na trzeźwo.

– Święta racja – poparł go Górnicki.

– To rzecz warta wiersza. Bogać, całej epopei! – pokiwał głową Kochanowski.

– Niesłychane – westchnął Heidenstein.

– Niebyswałe – potwierdził młody Firlej.

Do czasu aż ojciec z córką i cioteczką na doczepkę wypłakali się do syta, my zdążyliśmy opróżnić dwie flaszki, przesiadłszy się tak, by odnaleziona rodzina mogła się połączyć.

– Zaraz po koronacji pójdziemy do rejenta – powiedział Wapowski na poły do Janki, na poły do nas, gdy na powrót zasiedli za stołem. – Należy ci się nie tylko nazwisko, lecz udział w majątku. Masz bowiem brata. Ożeniłem się po raz drugi dziesięć lat temu.

– Muszę się ochędożyć. Okropnie wyglądam. Przepraszam – zapłonila się Janka, dotykając twarzy, i porwawszy się z miejsca, pobiegła do balneoli.

– Zaczekaj! – zawołała cioteczka i podążyła za nią.

– Zdrajco! – z udawanym gniewem zwrócił się starosta przemyski do Zamojskiego. – Czemuś mnie nie uprzedził, przecie sam żeś mnie wypytywał o utraconą córkę.

– Abo to mało dzieci ginie w dzisiejszych czasach? – bronił się Zamojski. – Chciałem wam obojgu oszczędzić rozczarowania. Alem cię przecie tu przywiódł.

– To prawda i wdzięczny ci jestem dozgonnie. Panowie! – rzekł uroczyście Wapowski. – Biorę oto Boga i was na świadków, że po latach odzyskałem swoją zaginioną umiłowaną córkę, Joannę Wapowską herbu Nieczuja, starościankę przemyską, bez żadnego *dubium* rozpoznawszy ją w przybranym dziecięciu jejmości...

– Balcerowej – podpowiedziałem.

– Właśnie – potwierdził senator i rzucił na stół pękaty mieszek. – Tedy chcę, by wszyscy weselili się wraz ze mną. Wina i gorzałki dla wszystkich! Na mój koszt! To

od lat najpiękniejszy dzień w moim żywocie!

Czeladź, którą też objęła hojność imć starosty i która dowiedziała się już o niesłychanej nowinie, podniosła radosny rwetes, tak samo Waskonowie radzi przyjęli traktament, choć powodu do wesela nie pojmowali.

– Jędrusiu kochany, przyjmij powinszowania – lekko podпиты Zamojski pochylił się ku Wapowskiemu z rozczuleniem – i daj pyska!

– Niech żyje Jędrrek Wapowski i jego piękna córka! – huknął Łukasz Górnicki.

– Co za historia... – rozczulił się Prusak.

– To ci nowina, ep! – bąknął młody Firlej, ułożył głowę w próżnym półmisku i zachrapał smacznie.

Mistrz Kochanowski, też mający nieco w czubie, niepomny poprzedniego doświadczenia, znów zaczepił Marychnę nalewającą mu wina, chwytając ją za toczony ramię i szepcząc do ucha:

*... Nie uciekaj przede mną, dziewczko urodziwa,
Serceć jeszcze niestare, chocia broda siwa.
Choć u mnie broda siwa, jeschcem niezganiony,
Czosnek ma głowę białą, a ogon zielony [85].*

O dziwo, tym razem dziewczka nie fuknęła jak rozwścieczona kotka i choć wywinęła się jego zręcznym palcom, to coś mówiło mi, że niedługo mistrz nie będzie musiał wieczorami przebierać się do Warkowskiego. Kiedy zaś niewiasty wróciły do stołu, i to nie z próżnymi rękoma, lecz z wetami w postaci kręconego ciasta, znów spełniono toasty za szczęśliwie połączoną rodzinę. Firlej ocknął się na chwilę tylko po to, by znacznie wygodniej umościć głowę w miękkim cieście. Na prośbę ojca Janka, przepraszam – panna Joanna, zaśpiewała jeszcze raz *Płyną jasne zdroje...* a także ową drugą piosenkę, którą w dzieciństwie śpiewała jej matka, a Wapowski znów się wzruszył i rozryczał w głos, po czym obsypał pocałunkami rączkę córki i wymalowany na medalionie konterfekt żony. Zwłaszcza że Głupi Jasiek grał na lutni tak cudnie, że łzy same z ocz płynęły.

– Tak w tobie, dziewczyno, ginie serce moje, u-ha! – zanucił rozochocony Górnicki i zawołał do mnie: – Kacper, toć pamiętam, żeś ułożył wcale zgrabną pieśń *O ślachetnym trunku*. Dopisałeś do niej jakie nowe strofy?

– A owszem – potaknąłem i wyrecytowałem:

*Wzięła wielkie mocarstwo,
Bo jest święte lekarstwo.
Odejmuje obzarstwo
I łakomstwo.*

Królestwa zachowuje,

W Moskwi, w Litwie panuje,
Miasta w Polszcze buduje
Mocne wino [86].

Strofy owe bardzo się towarzystwu spodobały, wkrótce więc nauczyli się ich na pamięć i śpiewali tak, że obawiałem się interwencji pachołków miejskich. Obyło się wszak bez tego, może dlatego że nie był pijany i jeno markował śpiewanie. Za to mistrza Kochanowskiego tak rozczuliło Jaśkowe granie, że rzucił chłopcu czerwońca i rzekł:

– Po prawdzie sam żeś napisał te słowa: „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutniej” [87], aliści to rzec muszę, iż kunszt tego młodzika niemal Bekwarkowemu dorównywa.

Byłem pewien, że Głupi Jasiek nigdy nie słyszał o sławnym węgierskim lutniście, ale i tak ochotnie i bez ponaglenia przygrywał nam do białego rana, bo aż potąd trwała biesiada. Skoro świt pół pijane towarzystwo rozeszło się – jedni wracali do Balic, drudzy na Wawel, umawiając się z nami na spotkanie przy okazji uroczystego przejazdu króla przez miasto. Na odchodnym Zamojski napał się, bym zabrał go do swej izby, bo koniecznie chciał pożyczyć z mojego księgozbioru *Consilium rationis bellicae* hetmana Tarnowskiego. A wiedział od Staszka Żółkiewskiego i zapamiętał, że mam tę księgę. Zatonął się ze dwa razy i już bałem się, że zdemoluje mi izdebkę, na szczęście obyło się bez strat. Nie rachując wina z sekretne go schowka, o którym też wiedział. Najdłużej żegnał się senator Wapowski z córką, a gdy i on sobie poszedł, nareszcie zostaliśmy sami.

Mniemałem, że upiję się tego wieczora do nieprzytomności, a tymczasem byłem niemal trzeźwy i tak przeraźliwie smutny jak nigdy dotąd. Zostawiwszy czeladzi uporządkowanie izby, odprowadziłem niewiasty na górę. Ciotuchna jeszcze raz się wzruszyła i dobry kwadrans ścisnęła na progu z Janką, nim wreszcie udała się na spoczynek.

– Nic mi nie powiesz? – spytała dziewczka, otwierając drzwi do swej izdebki.

– Mogę ci jeno kolejny raz ze szczerego serca powinszować fortunnej losu odmiany.

– Tylko tyle?

– A co jeszcze mógłbym rzec? Co urodzona panna Joanna Wapowska chciałaby usłyszeć od takiego chudopachołka jak ja?

Pobladła, choć z pewnością nie była tak blada jak ja. Zmarszczyła brwi.

– Zmieniłeś się, Kacper.

– Na pewno. Rok z okładem to mnóstwo czasu. Ale ty zmieniłaś się bardziej – omiotłem ją wzrokiem, znów czując ból w sercu. – Prawa dama z ciebie. Twoje miejsce jest na królewskim dworze.

– Ach tak. A ja myślałam, że tu jest mój dom i czekają na mnie. Widać się omyliłam.

– To nie tak! – zaprotestowałam. – Idzie mi o to, że...

– Wystarczy – ucięła zimno i pierwszy raz w jej głosie zabrzmiały naprawdę wielkopańskie tony. – Usłyszałam już dość. Nie trap się, jutro wracam na Wawel i prędko mnie nie ujrzysz. Żegnaj.

Zniknęła za drzwiami i zatrzasnęła je za sobą tak szybko, że nie zdążyłem zareagować. Byłem w tak fatalnym nastroju, że ujrawszy na stole nabity pistolet, miałem przez krótki moment chęć wypalić sobie w łeb. Wnet wziąłem się w garść, ale usnąć mi się nie udało. Wydawało mi się nawet, że przez ścianę słyszę urywany szloch, lecz z pewnością się przesłyszałem.

W czwartek 18 lutego nastąpiło uroczyste powitanie króla przez krakowian, kazimierzan i kleparzan wszystkich stanów w Bronowicach, na tamtejszym błonię ciągnącym się aż do Krowodrzy. Cioteczka zmusiła mnie, abym ją po południu zabrał na Rynek, bo do Bronowic iść nie miała sił. Cała służba też się napierała, by witać króla, i ciotka wyraziła zgodę, bo przecie było to zdarzenie u nas dotąd niewidziane, ale kazałem zostać Niziołkowi i Jaśkowi, obiecawszy im, że za to dostaną wolne na koronację.

Staliśmy w takim tłumie, że ruszyć się było ciężko, mimo to wszyscy przytupywali, podskakiwali i zabijali rękoma, tak było zimno. Tymczasem orszaku nie było widać; pewnie powitalne mowy jak zwykle się przeciągały. Podziwiałem cioteczkę, że bez słowa skargi trwała w miejscu, tym bardziej że wiedziałem, iż ma kiepski wzrok i mało co widzi, ciesząc się samym uczestnictwem w wielkopomnym zdarzeniu. Ale jeszcze bardziej podziwiałem (a raczej im współczułem) Francuzów, gdy ich nareszcie zobaczyliśmy zbliżających się od brony Floriańskiej późną nocą, w świetle pochodni, latarek i lampionów. Król w samej rzeczy był okutany, a futrzaną czapkę miał tak głęboko wciśniętą na uszy, że ledwo go było widać. Lecz pozostali kulili się w swych kusych, do pośladków sięgających płaszczkach, ni to biletach, ni kapeluszach na głowach, krótkich marynalach i cienkich pończochach na nogach, trzęsąc się z zimna jak osiki.

Król, odziany w czarny płaszcz rysiami podszyty, w otoczeniu wspaniałej świty jechał na białym koniu ze złotym rzędem. Po bokach, oddzielając swego pana od gapiów, maszerowało czterdziestu pięciu Waskonów z rusznicami i kopa Helwetów w zielonym aksamicie z alabarty. Miasto było wspaniale iluminowane, tysiące świec i pochodni jarzyło się w oknach i na ulicach. Było jasno jak w dzień, a na fasadach domów wywieszono barwne opony i kobierce. Na ulicach – szpalery czterotysięcznej rzeszy zbrojnych mieszczan, piechoty i jazdy. Na Rynku – głowa przy głowie. Ludziska wiwatowali, dzwony biły, armaty huczały, mroźne powietrze aż wibrowało. Łuk tryumfalny na Grodzkiej ulicy przywitał monarchę wiernopoddańczą inskrypcją mistrza Kochanowskiego, siedzącymi na szpalerach i wygrywającymi skoczne melodie muzykantami oraz wielkim, wysrebrzonym i lśniącym w sztucznym świetle

orłem na czubku, z piersiami naszytowanymi liliami, który poruszał się, skrzydłami trzepocząc i głową wodząc na wszystkie strony.

Druga brama była przy ulicy Kanonnej. Ta stanęła cała w zimnych ogniach, a umieszczony na niej orzeł, rozwinąwszy skrzydła, nisko pokłonił się nadjeżdżającemu królowi. Podobne orły powitały go na bramie zamkowej, a na jednej z baszt stał posąg rycerza na koniu z tarczą i kopią, przed przejeżdżającym królem miotający ogień. W pewnej chwili sam rycerz zajął się od płomienia i zgorzał ku niemałej uciesze gawiedzi.

Był to jeden z tych nielicznych dni (choć było już dobrze po trzeciej w nocy), kiedy swobodnie można było wejść na Wawel, acz do katedry – dokąd król wstąpił na krótkie nabożeństwo, a także by złożyć hołd szczątkom świętego Stanisława – już nie. Wnet stamtąd wyszedłszy, król do wtóru salw armatnich podążył na zamek, powitać królową Hannę w jej komnatach w domu Starościńskim, spożyć wieczerzę i nareszcie udać się na spoczynek.

Kiedy po czwartej zbliżaliśmy się do domu, z daleka poczułem swąd spalenizny, ujrzałem kłęby dymu i nagle serce podeszło mi do gardła w przeczuciu nieszczęścia. Ścisnąłem mocniej dłoń cioteczce.

– O Boże! – zawołała, widząc przed naszym domem gromadę gapiów i sąsiadów, patrzących na nas to z ciekawością, to ze współczuciem. – Co się stało? – złapała się za pierś, a towarzysząca nam czeladź poczęła lamentować.

– Już wszystko dobrze – przez tłum przecisnął się Niziołek, umorusany jak nieboskie stworzenie. – Był pożar, ale nie sięgnął domu. Zgorzały jedynie klecie na zadzi, ałem w porę wyprowadził gadzinę. Sąsiedzi nam przechowują zwierzęta, póki nie odbudujemy szop i stajen. Ejże! Koniec widowiska, rozejść się!

Męczący udział w ingresie i dodatkowe wzruszenie osłabiły cioteczkę do cna. Chciałem się nią zająć, lecz Niziołek pociągnął mnie za rękaw i szepnął:

– Musisz ze mną pójść. Niezwłocznie.

Kazałem Grubemu Stachowi zaprowadzić ciotkę na piętro, a Marysi i drugim służącym ułożyć ją do spoczynku.

– Gdzie Jasiek? – rzuciłem do Niziołka, idąc za nim na zadź.

Nim zdążył odpowiedzieć, sam zobaczyłem chłopca. Leżał w na wpół otwartych tylnych drzwiach, twarzą do dołu.

– Spozrzegł ich w porę, widać poszedł z marchwią do swoich króli. – Biedny chłopiec ze skażoną głową kochał króliki, które pozwalaliśmy mu hodować w osobnej klatce. – Dlatego zdążył kopnąć się do twojej izby po pistolce i spłoszyć łobuzów, a potem zażegnać pozogę w zarodku. To cisnęli obok niego, żebyś wyzbył się dubiów.

Podał mi tani, srebrny pierścień z herbem Jastrzębiec. Zborowski! Wtem usłyszałem cichy jęk i natychmiast rzuciłem się ku Jaškowi, klękając i przewracając chłopca na plecy.

– M... mój j... jegomość – szepnął tak cicho, że musiałem niemal przytknąć ucho

do jego ust. – N... nic m... mnie n... nie b... boli. Ch... chyba w... wyjdę z... z t... ego, p... prawda?

Niziołek uniósł brwi w górę, patrząc na mnie pytająco. Niemal niedostrzegalnie pokręciłem głową. Jasia pchnięto w trzewia, wprost tonął we własnej krwi i nie było dlań ratunku.

– Pewnie, że wyjdiesz – odparłem, głaszcząc go po płowej czuprynie. – Jeszcze z Niziołkiem zatańcujemy na twoim weselisku. Masz moje słowo.

Złapał moją dłoń i ścisnął w swojej, a na bezkrwistych wargach pojawił się cień uśmiechu. Potem jeszcze rzekł:

– Z... zimno m... i – zadrżał i umarł mi na rękach.

Zamknąłem mu powieki i delikatnie złożyłem zwłoki na zimnym pawimencie. Już nigdy nie zagra nam na lutni prawie jak sam Bekwark, już nigdy jego radosny, dziecinny pisk nie powita gwiazdy wigilijnej. Nigdy nie płaczę i teraz też nie zapłakałem, choć wielka klucha utkwiła mi w gardle, gdym patrzył na drobne ciało leżące u mych stóp. Alem sobie w duchu poprzysiągł, piekło i szatany biorąc za świadków, że nie spocznę, póki Samuela Zborowskiego do śmierci nie przywiode.

ROZDZIAŁ 8 | MEŻOBÓJSTWO

Kraków, luty 1574 roku

Tej nocy, pierwszy raz od wielu dni, nieco się ociepliło. Nie była to jednak zmiana na lepsze. Z nieba leciały wielkie płaty mokrego śniegu. Równocześnie zerwał się wicher, tuż przed północą przekształcając się w potężną zawieję. Wiatr dął i wył potępieńczo, wciskając się we wszystkie szczeliny i oblepiając wszystko grubą warstwą śniegu.

Podhutmani Matusz Szarski klął w żywy kamień, że jego służba, którą pełnił wraz z młodym pachółkiem, Szymkiem, wypadła akurat w porze największego natężenia zawieruchy. Oblepieni śniegiem niczym bałwany, posuwali się z trudem ulicą Bracką, nim służbista Szarski wreszcie dał za wygraną. Płytką wnęka bramna dawała marne schronienie, lecz lepsze niż nic. Gospody były już pozamykane i pożałował, że nie zabrał ze sobą butelczyny z okowitą. Nie mogli nawet rozgrzać zgrabiących rąk od płomienia latarki, gdyż ledwie udawało im się zapalić świecę, zaraz gasił ją podmuch wiatru.

– Przynajmniej mamy pewność, że żaden zbrodzień w taką psią pogodę nie wyściubi nosa z legowiska – szcękając zębami, pocieszał siebie i towarzysza.

Widać powiedział to w złą godzinę, bo nagle coś wielkiego i czarniejszego od nocy przemknęło obok.

– Jezu, widziałeś? Co to było? – wyjąkał młody pachółek.

– Nie wiem. Chyba jeździec – odparł podhutmani, zdziwiony i niepewny na równi z chłopcem. – Ale kto by wyruszał w miasto o tej porze i przy takiej aurze?

– Może to duch? – wyraźnie słyszał, jak chłopcu zadzwoniły zęby, tym razem raczej nie z powodu zimna.

– Nie pleć bzdur! – fuknął, choć wcale nie czuł takiej pewności, jaką starał się nadać swemu głosowi. – Wszyscy wiedzą, że duchy są białe, a to było czarne jak,

jak...

– Słyszałeś? – przerwał mu Szymon.

Teraz i on usłyszał dziwny chichot, przebijający się przez wycie wichury, ale z powodu kurzawy nic nie było widać dalej niż na wyciągnięcie ręki.

– On tu jest – stęknął pacholek, trzęsąc się z przerażenia i usiłując wtopić w bramę.

Pojął, że musi podjąć decyzję, zanim i jego strach sparaliżuje. Przełknął głośno ślinę i szepcząc do podwładnego: „Dobądź korda”, sam sięgnął do pasa po pistolet i dodał cicho:

– Idziemy. Trzymaj się z tyłu i osłaniaj mnie.

Sapnął, przeżegnał się i uczynił krok naprzód. Drugiego nie zdołał, zatrzymał go przerażający widok. Dokładnie przed nim, oddalony ledwie o parę stóp i dobrze widoczny mimo zawiei, stał pozbawiony głowy, a i tak wyższy od przeciętnego człeka, stwór w niewątpliwie czarnej, acz obsypanej śniegiem powłóczystej szacie, dosiadający ogromnego karego rumaka. Gdzieś z głębi trzewi potwornej istoty dobiegał ów mrozący krew w żyłach śmiech. Jeździec trzymał coś w ręku, jakiś kulisty przedmiot, trudny wszak do rozpoznania.

– Szafraniec! Upiór! – wrzasnął Szymek spoza pleców Szarskiego i nie przestając krzyczeć, kopnął się w stronę Rynku.

Instynktownie, bo i jemu rozum odmawiał posłuszeństwa, podhutmani podniósł broń do oka i zacisnął palec na cynglu. Ale wystrzału nie było. Ze strachu zapomniał odwieść kurek. Jeździec zarechotał, cisnął pod nogi justycjariusza tym czymś trzymanym w dłoni, czarnej jak wszystko inne, spiął konia i za chwilę bezszelestnie rozplątał się w powietrzu, jakby go nigdy nie było. Szarski, któremu mimo zimna pot całymi strugami lał się z czoła i ściekał pod gieżło, przez chwilę był gotów uwierzyć, że obaj z Szymkiem ulegli jakiemuś niewytłumaczalnemu majakowi. Dopóki się nie schylił i przemógłszy lęk i odrazę, nie odgarnął śniegu z owej kuli. Zaraz jednak odskoczył jak oparzony. Rzekoma kula okazała się bowiem skrwawioną ludzką głową.

Kraków, luty 1574 roku

W sobotę 20 lutego wyruszyła z Wawelu na Skałkę procesja. Otoczony biskupami i możnymi świeckimi szedł na piechotę, starym obyczajem odbywając ekspiacyjną pielgrzymkę do kościoła Świętego Michała, aby tam przez spowiedź, rozdawanie jałmużny i modły przebłagać Boga za zbrodnię, którą w tym miejscu popełnił ongi król Bolesław Śmiały na osobie biskupa Stanisława, późniejszego świętego. Polacy z jego otoczenia długo tłumaczyli mu znaczenie tego obrzędu. Niepotrzebnie. Nie zdradzał się z tym, ale od dwóch lat przygotowywał się do roli

króla polskiego i wiedział o Polsce i Polakach wszystko co trzeba. Od agentów, ale nie tylko. Całą drogę do Polski w jednej karocy z nim jechali Gonzaga i uczonego Pibrac i czytali mu (bo nie umiał po łacinie) *Polonię* znanego pisarza, biskupa Marcina Kromera. Miał swój plan postępowania w tym dziwnym kraju i z tymi nieobliczalnymi ludźmi i zamierzał stopniowo wcielać go w życie. Im dłużej będą go brali za nieznaną rzecz, tym później zorientują się w jego prawdziwych zamysłach, a wtedy będzie po wszystkim. Od dziecka, otoczony przez szpiegów matki i agentów hiszpańskich patrzących mu na ręce i kontrolujących każdy jego krok, przyzwyczał się tać wszystkie myśli i zamierzenia, aż stało się to jego drugą naturą. Dlatego obecna sytuacja nie była niczym dziwnym, a oszukiwanie łatwowiernych Polaków stanowiło doskonałą rozrywkę. Nie znał łaciny, lecz to porzekadło Ludwika XI akurat zapamiętał: *Qui nescit dissimulare, nescit regnare* [88]. Łaskawie skinął dłonią wzywającemu na jego cześć ludowi. Halabardnicy z trudem odpierali napór tłumu żadnego widoku nowego króla i srebra, rzucającego w ciżbę w jego imieniu.

Nazajutrz, w niedzielę zapustną, do koronacji ubrany przez *magistra caeremoniarum* w szaty kapłańskie, poprzedzany przez senatorów (na czele z marszałkiem z wielką laską) niosących insygnia i dwie chorągwie państwowe: z Orłem Białym i Pogonią, opuścił zamek i zdążył do katedry. Tym razem był autentycznie wzruszony i przejęty. Także i z tego powodu, że nareszcie zostanie królem, choć czymże była korona polska wobec francuskiej? bardziej jednak wspaniałością widowiska. Od dziecka kochał teatr, publiczne występy i przebieranie się za rozmaite postacie, zwłaszcza kobiece. To upodobanie wyniósł z dzieciństwa – matka długie lata ubierała go w dziewczęce suknie. Uśmiechnął się w duchu. Ciekawe, co powiedzieliby jego nowi poddani, wiedząc, że jako otrok (a było to w czasach gdy rodzina królewska lawirowała między protestantami a katolikami, skłaniając się ku temu pierwszemu wyznaniu, ponieważ miało chwilową przewagę) biegał po komnatach Luwru przebrany za kardynała i wyśmiewał się z katolickich obrzędów, hostię nazywając „białym Jasiem”? Inna rzecz, że potem z równą gorliwością przedrzeźniał pastorów hugenockich... Odgonił wspomnienia, ponieważ w całości pochłonęła go uroczystość, w której grał pierwszorzędną rolę.

Bił sławny dzwon „Zygmunt”, a ciżba przed katedrą wznosiła okrzyki, chłonąc wzrokiem monarchę, bowiem była to jedyna chwila, gdy prostaczkowie mogli na własne oczy ujrzeć największą świętość Królestwa Polskiego, koronę *palladium*, czyli koronę Bolesława Chrobrego, której monarcha nigdy potem nie zakładał. Poza tym znów rzucono w tłum drobne pieniądze. Kiedy orszak skręcił do południowego wejścia, uważanego za główne, choć zachodnie było zdecydowanie częściej używane, nie tylko gawiedź straciła władcę z oczu, bowiem w świątyni pomieścili się zaledwie senatorowie, ambasadorzy, dworzanie i urzędnicy, i jedynie z największym trudem udało się Firlejowi, który jako marszałek wielki koronny odpowiadał za przebieg

uroczystości, ulokować niektórych posłów szlacheckich tak, by widzieli całą ceremonię.

Kraków, luty 1574 roku

Ma chérie...

Zawahał się i połaskotał piórem po nosie. Był trochę zmęczony, przecież koronacja dopiero co się skończyła i przed uroczystą biesiadą miał zaledwie chwilę dla siebie. A już zdążył napisać tuzin listów. Przede wszystkim do kochanek, a także krewnych, brata-króla i matki. Potrafił w ciągu dnia sporządzić i pięćdziesiąt listów, i to dwu-, trzystronicowych. Teraz miał wszak mało czasu, tak wiele wrażeń w tak krótkim czasie znużyło go, choć uwielbiał wszelkie widowiska i rad w nich uczestniczyć, mimo to czuł rozpaczliwą potrzebę kontaktu z bliskimi. W tym paskudnym kraju, istnym *Royaume de Poulogne* [89], wszystko zdawało mu się obce, dziwaczne lub zgoła śmieszne i z trudem zachowywał powagę, wiedząc, jak drażliwi są tubylcy. Poza tym ten list był wyjątkowy.

– Miron! – zmiął kartkę, cisnął ją na pawiment i zawołał stojącego w gotowości, lecz i pełnym szacunku oddaleniu lekarza, wyciągając ku niemu lewą rękę.

Marc Miron, najlepszy po Parém medyk we Francji i najrozsądniejszy spośród królewskich kompanów nazywanych przez złośliwców „Priapami zapędzonymi do ogródka rozkoszy”, mitygował go podczas największego zapamiętania w zabawie, zalecał powstrzymywanie się od wina, za to jak najczęstsze ćwiczenia w jeździe konnej i szermierce. Teraz pochylił się i ostrym skalpelem otworzył mu ranę na palcu, jak zawsze gdy Henryk przystępował do pisania listu do swej ukochanej, Marii de Condé, jednej z trzech pięknych sióstr de Clèves, z których Katarzyna wyszła za Henryka Gwizjusza, a Henrietta była żoną diuka Ludwika Gonzagi de Neversa, doradcy Henryka, i zaufaną dwórką jego siostry Margot.

Podczas gdy serdeczny inkaust skapywał do srebrnej czarki, z półprzymkniętymi oczyma śnił na jawie, wspominając swoje miłostki. Kochanków męskich nie liczył – to było zaspokojenie chuci, nie prawdziwe miłowanie. Pociąg do swojej płci poczuł chyba zaraz po bierzmowaniu, gdy nie tylko na dobre zmienił imię z Aleksandra na Henryka, lecz przez szparę w ścianie podejrzwał, jak dwie dwórki matki naśladowały uczoną Safonę lesbijską. Retz, kochanek matki, podsunął mu pierwszą miłośnicę, gdy Henryk miał siedemnaście lat. Była nią Ludwika de la Béraudière de Rouet, wesoła wdówka po panu de Combaut, „podfruwajka” Katarzyny, potem młoda i piękna blondynka Renée de Rieux pani na Châteauneuf i wiele innych, aż wreszcie miłość jego życia, Maria... Ach Maria, to zupełnie co innego! Czemu jej tu nie ma – tyle rzeczy chciałby jej powiedzieć, z tyłu turbacji się zwierzyć. Jak tylko wróci do Francji, znajdzie jakiś sposób na pozbycie się Kondeusza i ożeni z nią... Otworzył oczy,

pochylił się nad białą kartą i jął ją zapępniać równymi rzędami liter.

Opisał przyjazd, siarczasty mróz (*sale pays*) i horrendalne gadulstwo Polaków, ale pochwalił czapki; mieli tu ich zadziwiający wybór, gustował w nich jego poprzednik, a i jemu przyniosły ulgę w migrenach, na które żaden lekarz dotąd nie znalazł sposobu. Przerwał pisanie, z lubością przytykając dłonie do futrzanych nauszników ciepłej czapeczki. Potem znów chwycił za pióro.

Korona, którą od niedawna noszę na głowie, jakby była z kamienia. Marzyłem kiedyś o jakiegokolwiek, ale już wiem – żadna nie smakuje jak francuska. Moja, pożałuj Boże, „narzeczona” – horrible! Spodziewałem się brzydkiej, doletniej dziewicy, ale nie aż takiej szkarady! Jej nieporadna zalotność budzi we mnie pusty śmiech, który muszę starannie ukrywać pod maską obłudy i dobrych manier, bo indygeni bardzo są do niej przywiązani. Moi nowi poddani, istni dzicy Scyci, nie tylko wzorem Niemców galonami żłopią ohydne piwsko i gadają długo i od rzeczy, ale potrafią też być kłótlivi i groźni. A co gorsza – heretycy u nich mają wszelkie prawa i nie wahają się z nich korzystać!

Imaginuj sobie, moja droga, że podczas koronacji, która zakończyła się może przed godziną, Polacy znów skoczyli sobie do oczu. I to gdzie? W katedrze, przy głównym ołtarzu! Nie wiedząc nic, że prymas Uchański odczytał mi dawną formułę przysięgi, a nie tę ustaloną w Paryżu, powtórzyłem ją za nim jak za panią matką. Aż tu porwał się marszałek Firlej, kacierz, i położył dłoń na koronie, koronacji wzbraniając! Dopiero, gdy za radą pana Chodkiewicza potwierdził, że pokój między różniącymi się w wierze zachowam, Firlej ustąpił i spytał przytomnych, zali chcą, bym był koronowany. Wszyscy odkrzyknęli: „Chcemy i rozkazujemy!”, a potem: „Niech żyje król!”. Teraz dopiero prymas nałożył mi ich starodawną koronę i wraz z drugimi insygniami posadził pośrodku kościoła na majestacie. Płaszcz był tak ciężki od złota i długi, że wstępując na stopnie tronu, zawadził nogą za płaszcz, tak że się nazad ze stopni cofnąć musiał, co głupcy niechybnie za złą wzięli wróżbę...

– Ruzé! – zawołał, zły, że mu przeszkadzają pukaniem. – Zobacz, o co chodzi.

– *Sire* – wracając od drzwi, sekretarz zgiął się w ukłonie. – Ambasadorzy i senatorowie już się niecierpliwią. Uczta gotowa i wszyscy jeno czekają na waszą królewską mość.

– To jeszcze poczekają. Muszą się przyzwyczajać. A ty masz odtąd mówić do nas: *Majesté*.

Był to zwrot we Francji używany jedynie w nadzwyczajnych okazjach, natomiast powszechny w Hiszpanii, której pompa bardzo mu imponowała. Sekretarz nic nie rzekł, skłonił się jedynie jeszcze niżej niż wprzódy, Miron znów upuścił Henrykowi nieco krwi, a ten wrócił do listu:

Muszę już kończyć, bo wzywają mnie na kolejną nudną ucztę, a obżarstwo ich jeszcze gorsze jest od gadulstwa. Miron co dzień niemal aplikuje mi pigułki i lewatywę. Wystaw sobie jednak, ma chérie, że okrom ciepłych czapeczek są dwie rzeczy, które mi się tu nadzwyczajnie podobają. Pierwsza to wyborna wódka, naszemu cognac nieustępująca, zwana starką. A czyni się ją tak: ojciec dziewczki przy jej urodzeniu zakopuje w ogrodzie świeżą wódkę w dębowej baryłce, sięgając po nią dopiero, gdy panna ma iść za mąż. A druga to osobliwe widełki do jedzenia, które ponoć przywiozła tutaj z Italii królowa Bona ze Sforzów, matka mego poprzednika. Dziwne to, ale i użyteczne narzędzie, warte przeniesienia na nasz dwór, co Twojej pamięci na dal polecam.

Zakończył tysięcznymi zapewnieniami miłości, zakrwawionym palcem narysował serce przebite strzałą Amora, zapieczętował list i oddał sekretarzowi do wysłania umyślnym, nie chciał bowiem korzystać z poczty. Medykowi kazał zasklepić ranę i uczynił trzecią nieznaną we Francji rzecz, która mu się spodobała – poszedł za potrzebą do wychodka.

Kraków, luty 1574 roku

Zamojski siedział na uczcie jak na szpilkach. Nie dlatego że jak zwykle tłumaczył królowi wszelkie mowy na francuski, po czym uczony Guy de Faur de Pibrac przekładał słowa króla na łacinę. Nie, coś wisiało w powietrzu, a on już nauczył się to wyczuwać, jak na rasowego dworzanina przystało. Od początku nie spuszczał oka ze Zborowskich, którzy coś knuli, popatrując ukradkiem w kierunku przeciwnego stronnictwa. Tworzyli je społem Firlej (zawzięty kalwin), Tęczyński (szczyry katolik) i Mielecki, sprzymierzeni z Mniszchami. Zborowscy koniecznie pragnęli dla siebie marszałkostwa Firleja, który dzierżył je w samej rzeczy bezprawnie, będąc przy tym zarówno wojewodą, jak starostą krakowskim, a wszak nie lza było łączyć stanowisk.

Nie miał ochoty opowiadać się po żadnej stronie, chyba że byłby zmuszony. A wnet będzie, czuł to przez skórę. Był jedynie ciekaw, z której strony Zborowscy uderzą. Nie czekał długo.

Jerzy Mniszech, z łaski króla Augusta marszałek dworu i stołu, pełniący również funkcję krajczego, pokrajał mięso i podsunął królowi. Ten z podziwem oglądał wciąż nowy dla siebie widelec, po czym wbił go w jadło. W tej chwili Piotr Zborowski wymienił porozumiewawcze spojrzenie z asystującym królowi Janem Zieleńskim, dworzaninem poprzedniego króla Augusta.

– Powstrzymaj się, wasza królewska mość! – zawołał tamten po włosku, w jedynym obcym języku, którym nowy król posługiwał się jako tako.

Trochę potrwało, nim przy stole zapanowała cisza, za to była ona absolutna. Król

milczał ze zmarszczonymi brwiami i nabitym kęsem mięsa niesionym do ust. Wszyscy przenosili wzrok z Zieleńskiego na Mniszcha, który stał spąsowiały, i z powrotem.

– Ten człowiek – Zieleński wyciągnął oskarżycielsko rękę – i jego brat zostali niedawno oskarżeni nie tylko o zagarnięcie lewem klejnotów zmarłego pana i gotowizny idącej w dziesiątki i setki tysięcy dukatów, ale i otrucie poprzedniego króla, by nie wydały się ich łotrostwa. Kto wie, co ów gotuje waszej królewskiej mości, pełniąc obowiązki swego urzędu.

– Było także oskarżenie o omamienie zmarłego pana za pomocą czarów, w czym miał Mniszchom pomagać magik Twardowski, który potem zniknął – wtrącił Andrzej Zborowski.

– Pan Drohojowski na konwokacji obiecał dostarczyć nam własnoręczne zeznanie pana Twardowskiego, dobrze pamiętam – przypomniał Krzysztof Zborowski.

– Tak jest – przyznał Jan Drohojowski. – Mam te papiery i mogę zaprezentować choćby zaraz.

– Wystarczy jutro. Proponuję do tego czasu odsunąć imć Mniszcha od jego powinności, a urząd powierzyć imć Mikołajowi Firlejowi, który jako jedyny z rodziny nie siedzi na dwóch stołkach naraz – rzekł Samuel Zborowski, patrząc złośliwie na wojewodę Firleja i siedzącego przy nim syna.

– Piękne dzięki! – warknął wojewodzic. – Sam pan go sobie weź i udław się nim!

– Panowie! – mitygował towarzystwo Zamojski, bowiem król coś mu rzekł półgłosem, co umknęło w ogólnej wrzawie, wywołanej przez wystąpienie dworzanina i starcie dwóch potężnych stronnictw. – Jego królewska mość jutro oczekuje dowodów, a pojutrze wyda wyrok w tej przykrej sprawie.

Przerwana uczta potoczyła się dalej.

– Panie Zamojski, cóżeś taki smętny? – zatroszczył się o niego król.

– Chyba mi coś zległo na żywocie, wasza królewska mość...

Nie mógł dłużej zwlekać. I tak odkładał to, jak długo się dało. Wymówiwszy się niestrawnością, uzyskał zezwolenie i wyszedł przed końcem biesiady. Czuł się podle.

Kraków, luty 1574 roku

– Ponieważ pan Jan Zieleński wytoczył panu Jerzemu Mniszchowi sprawę o otrucie poprzedniego króla w niewłaściwym czasie i bez dostatecznych dowodów, które miał przedstawić pan Jan Drohojowski, lecz tego nie uczynił, nie możemy na tak wątej podstawie ukarać oskarżonego. Wzywamy wszelako Jerzego Mniszcha do całkowitego uniewinnienia się na sejmie koronacyjnym, który rychło rozpoczyna obrady. Do tego zaś czasu uważamy i drugim także uważać zalecamy zarówno pana Zieleńskiego, jak i Mniszcha za ludzi dobrej sławy i poważania godnych. A teraz

wszyscy przytomni tu waszmościowie proszeni są na wielki turniej, który za niedługo rozpocznie się na dziedzińcu zamkowym. Przy okazji jego królewska mość uprasza panów Zborowskiego i Tęczyńskiego, by swój spór załatwili po rycersku i jak się należy szlachetnie urodzonym.

Niesprawiedliwy acz rozsądny wyrok spotkał się z powszechnym uznaniem i chwilowo zapobiegł starciu dwóch wrogich frakcji. Mniszchowie zostali postawieni w stan oskarżenia, lecz wyrok nie zapadł, tedy o żadnej karze nie było mowy i to zadowalało Firleja i Tęczyńskiego. Z drugiej strony odtąd każdy mógł bezkarnie ciskać w twarz Mniszchom zarzuty, a o to szło Zborowskim. Jawnie niezadowolony był jedynie Zieleński, prawdziwie oddany zmarłemu królowi, i Drohojowski, który nie mógł sobie darować utraty cennych papierów.

– Nie frasuj się – podszedł do niego Zamojski i po przyjacielsku objął ramieniem.

– Łacno ci gadać – Drohojowski miał łzy w oczach – bo nie tobie wykradzono dowody i nie ty wyszedłeś na błazna.

– Ale mogłem. Każdy mógł się znaleźć na twoim miejscu i dziś świecić oczyma. Co ma wisieć, nie utonie. Jeszcze przyjdzie kryska na Matyska. No, daj pokój i chodź do mnie na wino. Na frasunek nie masz jak trunek – przekonywał.

– Dokąd to? – zaczęli ich Łukasz Górnicki. – Czemu nie na turniej?

– Wprzód idziemy się napić. Idziesz z nami?

– Chętnie. Czy to prawda, żeś omal nie pochwycił tego zuchwałego fura, co wtóremu Jankowi wykradł zeznanie mistrza Twardowskiego?

– Prawda. Jeden drabant też go spostrzegł, ale tamten był szybszy i zręczniejszy od nas obu – przyznał i pokazał guza na głowie. – Dobrze, że na tym się tylko skończyło.

– Aleś go widział?

– Zaśby tam! Ledwie kątem oka, gdy mi dawał po głowie, a i to niewyraźnie, bo na korytarzu było dość ciemno.

– Jak myślicie, kto go wysłał? – pisarz ściszył głos. – Firlej czy Tęczyński?

– Co za różnica? – wzruszył ramionami wciąż rozgoryczony Drohojowski.

– Hej, Janku! – w gromadzie oczekującej na dziedzińcu na rozpoczęcie turnieju Górnicki dostrzegł Kochanowskiego. – Prosimy do kompanii!

– Nie mogę! – odkrzyknął poeta. – Idę po Ryksa!

– Słuchajcie, nie dałoby się wykroić dla Janka Kochanowskiego jakiegoś urzędu? – spytał Górnicki, dogoniwszy przyjaciół. – Zwłaszcza ty, Janku, jesteś tak blisko króla, że gdybyś mu szepnął na ucho...

Przerwał mu.

– To daremne. W sprawach obsadzenia urzędów do króla mają przystęp jeno Zborowscy...

– Ale chodzą słuchy, że i tobie kroi się niezgorszy kęs konfitur w postaci starostwa knyszyńskiego, które wszak prawem trzyma pan Bielawski? – wbił mu szpilkę pisarz.

– Nic mi nie mówiłeś – zdziwił się Drohojowski.

– Bo nic o tym nie wiem! – Zamojski obruszył się, udając zagniewanego, choć Górnicki był dobrze poinformowany. – Co zaś się tyczy Janka Kochanowskiego, to bieda w tym, że król mówi tylko po francusku i włosku. Sam do poduszki wertuje sobie wiersze hultaja, który się zwał Franciszek Villon, a diuk Nevers i du Guast co dzień czytają mu na głos księgę pewnego Italczyka niecnoty, *Il principe*, która, wystawcie sobie! znajduje się na indeksie ksiąg zakazanych. A ponadto ma u boku niejakiego Filipa Desportesa, poetę, który jest o niego zazdrosny jak o kochanicę i co rusz królowi kadzi, że ów jest dlań „Marsem i Wenerą”, „wojownikiem i kochankiem” zarazem – splunął ukradkiem. – Gdzie tu miejsce dla naszego mistrza Jana?

– Tedy, w samej rzeczy, nic tylko się napić – przyznał pisarz. – I to szybko, bo wypada pokazać się na turnieju. Zresztą ciekaw jestem, co wyniknie ze zwady Zborowskiego z Tęczyńskim. Za nic bym takiego widowiska nie ominął.

Kraków, luty 1574 roku

– Musisz już iść? – tuląc się do jego piersi, patrzyła mu w oczy błagalnie. – Zostań jeszcze... Tak się lękam, że ledwom cię odzyskała, zaraz na powrót utracę.

– Nie mogę teraz zostać, czekają na mnie – przerwał jej Wapowski i pocałował w czoło. – Ale wrócę tu natychmiast po turnieju. I odrzucić próżne obawy, nie rozstaniemy się już nigdy.

Odsunął ją od siebie, ale za to pogłaskał czule. Przypuszczał, że jej niepokój wiązał się z przyjęciem zgotowanym przez macochę. Katarzyna powitała pasierbicę gorzej niż chłodno. Rozumiał ją i też kochał ich jedyne synka, lecz nie miał zamiaru pozwolić, by z tego powodu córka została skrzywdzona. Podjął już stosowne kroki i przyszłość malowała mu się w jasnych barwach.

Ledwo za ojcem zamknęły się drzwi, zaraz do komnaty wśliznął się młody Żaliński.

– A waść czego tu szukasz? – powitała go chłodno.

– Panno Joanno – z dziwnym jak na niego zmieszaniem miał w dłoniach zdjętą z głowy czapkę i patrzył jej w oczy prosząco. – Nie mogłem dłużej zdzierżyć bez twego widoku, bez dotyku twego boskiego ciała, bez smaku twych słodkich ust... Pojąłem bowiem, że kocham panią nad życie i zamierzam starać się o twoją rękę... I co ty na to, Joanno?

Jeszcze przed miesiącem pewnie by mu uwierzyła, ba! – nawet przed paroma dniami, kiedy nikt, nawet ona sama, nie wiedział, z jak zacnego rodu pochodzi. Ale wczoraj wypadkiem usłyszała rozmowę matki z synem. „Omotaj tę dziewczkę, Janku, bo lepsza partia nierychło ci się trafi. Wapowscy wiele znaczą, przydadzą ci się ich

koneksje”. „Jak sobie życzysz, matko. Uczynię to z ochotą, bo dziewczka gładka i bez tego warta grzechu”. „Tylko się nie poszkap”. „Spokojna głowa. To gąska. Raz-dwa owinę ją sobie wokół palca”. Nawet teraz rumieniła się na myśl, za kogo ją mieli. A co gorsza, zasłużyła sobie na takie mniemanie. Ale to się już skończyło. Stadnicki wiele ją nauczył. Zmądrzała i nauczyła się lepiej oceniać ludzi. To co niegdyś brała za prawdziwe miłowanie ze strony przystojnego dworaka, okazało się zwykłą żądzą, teraz podszytą jeszcze interesownością, a on sam – wstrętną kreaturą i na domiar tchórzem, czego dowody dał nieraz, jeno ona w swoim zaślepieniu tego nie dostrzegała.

– Wybacz waść, lecz nie myślę o zamążpójściu – odparła stanowczo, nie dbając, czy kto usłyszy za drzwiami; pani stara pewnie i tak przytykała do nich ucho. – Ani z waszmością, ani z kimkolwiek drugim. Na razie cieszę się z odzyskania ojca.

– Przebóg, Joanno – wymamrotał zbity z pantaląku; przyszedł tu jak po swoje, a oto spotkała go odprawa. – Nie odbierajże mi choć nadziei...

– Nie odbieram, ale... – nie chciała psuć sobie stosunków na dworze bardziej niż to konieczne, ale już wiedziała, że do Żalińskiego nie czuje nic z wyjątkiem niechęci (z odrobiną żalu) i że to się nigdy nie zmieni. Stanowczo wyprosiła go za drzwi. Wyszedł jak zbity pies, mamrocząc coś o swoim dozgonnym przywiązaniu, lecz nawet nie chciało jej się tego słuchać.

Z powodu mrozu nie sposób było pogrzebać Jasia od razu, dlatego na drugi dzień odstawiliśmy jedynie obmyte i ochędożone ciało do duchackiej kostnicy, by czekało sposobniejszej pory. *Pater* Roch obiecał odprawić nabożeństwo za duszę chłopca, a przy okazji polecił do gospody innego swego chowańca, Tomka. Tomek był w wieku Jaśka, mądrzejszy od tamtego, ale na lutni grać nie umiał wcale, jeno na piszczałce. Cioteczka, której powiedzieliśmy tylko, że Jasio zginął, gasząc pożar, przepłakała cały dzień, a mistrz Kochanowski oddał chłopcu hołd, pijąc za spokój jego duszy i wypowiadając te słowa:

*By lutnia mówić umiała,
Tak by nam w głos powiedziała:
„Wszyscy inszy w dudy grajcie,
Mnie Bekwarkowi niechajcie!”* [90].

Tyle że w ostatnim wersie zamienił „Bekwarkowi” na „Jasieńkowi”. Ja zaś biłem się z myślami. Pragnąłem ukatrupić Zborowskiego, nie ukrywam. Po raz pierwszy od czasu przysięgi złożonej ojcu Rochowi, kiedy nauczył mnie robić mieczem, że nie użyję broni inaczej, jak w wypadku konieczności, chciałem popełnić morderstwo z zimną krwią. Wziąłem lepszy ze swych pistolców, na dwadzieścia kroków celnie bijący i cały dzień włóczyłem się między kamienicą Szarą a pałacem Zborowskich wedle kościoła Wszystkich Świętych, polując na Samuela. Było mi

wszystko jedno. Straciłem Jankę, mogłem stracić i życie, byle puścić przodem w zaświaty tego arcyłotra.

Doczekałem się przed samym zmierzchem. Zborowski, w asyście Ruskiego i drugiego sługi, którzy kroczyli za nim jak wiernie psy, wyszedł z pałacu, zdążając na Rynek, z którego właśnie nadchodziłem. Tych co nie zdołali w porę zejść im z drogi, brutalnie roztrącali na boki. Kiedy Samuel mnie dostrzegł, zdążyłem już wymierzyć mu w głowę. Z tak małej odległości nawet gorszy strzelec ode mnie nie mógł chybić. Zborowski wpierw stanął jak wryty, po czym, kiedy wszystko pojał, skoczył za swoich ludzi. Był szybki, lecz nikt nie jest szybszy od kuli. Tyle że mój pistolet nie wypalił. Zamókł albo wykruszył się proch na panewce, a jam z nerwów wcześniej tego nie sprawdził. Pierwszy raz w życiu mi się to przygodziło. Odwróciłem się na pięcie i nienapastowany przez nikogo odszedłem, znów spojrzawszy Zborowskiemu w twarz i upewniając się, że poprzednio wzrok mnie nie omamił – z jego ślepiów wзираł strach. Kiedy tak szedłem, świadkowie tej sceny, a było ich całkiem sporo, rozstępowali się przede mną, a w ich szeroko rozwartych oczach widziałem trwożne niedowierzenie.

Po powrocie do domu przyszło opamiętanie. Usiadłem na łożu roztrzęsiony, dziękując Bogu za interwencję. Przecież gdybym zabił Zborowskiego, nie tylko sam przypłaciłbym to śmiercią. Zemsta jego braci z pewnością nie ominęłaby całej mojej rodziny, a z gospody nie zostałaby kamień na kamieniu. Nie miałem prawa narażać cioteczki i mojego mlecznego rodzeństwa bardziej, niż to już się stało. Poza tym – nie byłem mordercą. Wiedział to nawet mój przysięgły wróg, Czeczotka zwany Krwawym Burmistrzem *vel* Małym Borgią. Poszanowanie dla prawa wysłałem chyba z mlekiem mamki (choć cioteczka w swoim czasie święta nie była), a raczej wpoił mi je najbardziej prawy człek, jakiego znałem, ojciec Roch. Nawet gdy przed laty uciekłem z domu i włączyłem się z podejrzaną kompanią, nie popełniłem żadnej zbrodni. Chyba to na równi wrodzone i nabyte umiłowanie prawa i porządku popchnęło mnie do zostania inwestygatorem. A to znaczyło, że jestem justycjariuszem. Prywatnym, lecz wszak stróżem prawa. Niedoskonałym, bo czasem je naginałem. Być może nadużywałem forsy. Ale nie wolno mi było zabić Zborowskiego ot tak, bo wtedy stałbym się taki jak on i nie mógłbym spojrzeć do lustra, i bez tego nic dobrego tam nie widząc. Nie mówiąc o tym, że Janka ani by spojrzała na morderza, a w związku z nią kołatała się jeszcze we mnie iskierka nadziei, jako że wbrew rozsądkowi jakoś nie umiałem jej całkiem zgasić. Z drugiej strony jednak więcej od prawa znaczyła dla mnie sprawiedliwość. Zaczna cioteczka wypomniała mi kiedyś, że więcej od miłowania. Może miała rację, bo mimo wszystko nie potrafiłem się do końca przełamać. Poczucie sprawiedliwości kazało mi bowiem położyć kres gwałtom czynionym przez Samuela, nawet z naruszeniem prawa. *Per fas et nefas* ^[91]. Nie powinienem jednak zabijać go na zimno.

Coś się ze mną działo. Zniknął gdzieś ten szalony, beztroski chłopiec, który

jeszcze niedawno uważał się za najmądrzejszego i najlepszego i chciał głową sięgnąć chmur, dokonywać wielkich czynów, pławić się w chwale i ludzkim podziwieniu i z góry spoglądać na maluczkich. Gonilem omamy, nie doceniając tych skarbów, które miałem pod bokiem. Przypomniałem sobie wiersz mistrza:

*Nie to mądrość mądrym być albo wielkość świata
Rozumem chcieć ogarnąć: krótkie ludzkie lata.
Gonić w nich wielkie rzeczy, a dać gotowemu
Upływać, podobno to barzo szalonemu [92].*

Teraz już wiedziałem, co jest w życiu najważniejsze, ale było za późno. Straciłem Jankę i okazję do szczęśliwego życia w otoczeniu kochającej rodziny i dobrych przyjaciół. Poszedłem się wyspowiadać. Nie do ojca Rocha, ani nawet zaprzyjaźnionego proboszcza świętojańskiego, zbyt mi było wstyd, tylko do zupełnie nieznanego księżulka u fary Mariackiej. Potem wziąłem udział w mszy świętej i przyjąłem komunię. Prosiłem Boga, by pozwolił mi spełnić dwa cele: odzyskać Jankę i uchronić rodzinę przed Zborowskim. Wyszedłem z kościoła pokrzepiony.

Na koronację nie poszedłem. A mistrz Jan tylko wstawiennictwu pana Zamojskiego zawdzięczał, że wojewoda Firlej umieścił go w katedrze razem z zaledwie garścią z całej gromady posłów szlacheckich, co na sejm koronacyjny do stolicy zjechali. Pozostali wraz z gapiami z niższych stanów musieli się tłoczyć przed kościołem, a ja już miałem dość ścisaku, zresztą czekało mnie towarzyszenie ciotce podczas *homagium*.

Ale o wszystkim, zwłaszcza o kłótni przy ołtarzu i stanowczym wystąpieniu naszego wojewody, dowiedzieliśmy się dokładnie od Kochanowskiego i kilkorga posłów, którzy ku ucieście cioteczki stanęli u nas kwaterą. Był to bowiem złoty czas dla właścicieli wszystkich zajazdów i gospód w mieście. Ludzi z całej Rzeczypospolitej i drugich krajów nazjeżdżało tyle, że nawet najpodlejsze przybytki pękały w szwach. Najgorzej mieli przybysze z Francji, co przyciągnęli do nas za królem całymi setkami, a teraz nie mieli się gdzie podziąć, bo pieniędzy nie posiadali, a kwatery i wikty wojewoda Firlej, twardy kacerz, mszcząc się za „nieszpory paryskie”, im wzbronił. Część tej cudzoziemskiej zbieraniny płci obojga król przygarnął na zamku, alec dano im *locum* w piwnicach, czego skutek był taki, że niemal całe wino z piwnic królewskich wyżłopali. Ci wszak przynajmniej mieli dach nad głową, w przeciwieństwie do licznych gromad nieszczęśników, którzy trzęsąc się z zimna, koczowali wprost na ulicach lub pod murami, żebrząc o kromkę chleba. A i tego często im odmawiano, bo po polsku nie umieli się rozmówić ani w ząb.

W naszym Kąciku też zagnieździła się gromada obdartusów w kusych szatkach. Ciotka zakazała ich wpuszczać za próg, żeby gości nie odstręczali, ale litując się nad ich niedolą, co rano kazała im wynosić resztki z poprzedniego dnia i gorącym barszczem poić za darmo.

W poniedziałek po koronacji odbyło się tradycyjne od czasów króla Łokietka *homagium* mieszczzańskie. Król przyjechał konno z orszakiem z zamku na Rynek. W ratuszu przebrał się w strój koronacyjny i koronę homagialną, po czym wstąpił na *theatrum*, podwyższenie umieszczone na Goldzie, czyli miejscu u wylotu Brackiej na Rynek, gdzie zasiadł na majestacie, przyjmując hołd od mieszczan, klucze od miasta i gotowiznę w darze, a także... wannę, czyli balię z blachy miedzianej misternie uczynioną, a później nobilitował najbardziej zasłużonych. Dopiero teraz kto chciał, mógł przyrzec się do woli królowi w blasku majestatu.

– Ale nóżki to ma cieniutkie – kręciła nosem cioteczka, bowiem król Henryk pod rozchylonym płaszczem królewskim był odziany na modłę francuską.

Nic jej na to nie odparłem, bom się właśnie wpatrywałem z zazdrością w uszlachconych szczęśliwców – jeszcze przed godziną równych mi stanem, a teraz stojących nieskończenie wyżej. Wiedziałem, że to diabelski podszept, bo przecież jako szlachcic nie stałbym się lepszym człowiekiem, wszak rzekomo: *virtus nobilitat* [93], lecz było to ode mnie silniejsze. Nagle rozpaczliwie zapragnąłem nobilitacji, i to nie z próżności (może tak było kiedyś, tylko wtedy nie chciałem się do tego przyznać) a z potrzeby, bo wówczas stałbym się równy Jance, a i Zborowski nie mógłby uchylić się od wyzwania. Ale wiedziałem przecież, że jeżeli, przy dużej dozie szczęścia, w ogóle uda mi się to osiągnąć, to wyłącznie ciężką, trwającą wiele lat i do tego owocną pracą w charakterze medyka lub inwestygatora, obojętne. Tylko że tak długa perspektywa straciła dla mnie cały swój powab, bo nie pomagała mi w rozwiązaniu obecnych turbacji.

Król nie od razu wracał na Wawel. Wpierw udał się, podobnie jak królowna Hanna, do Piotra Zborowskiego, który w kamienicy Szarej wyprawiał weselisko bratu Andrzejowi. Znów ciskano w tłum pieniądze, a na Rynku na koszt miasta rozpoczął się festyn – odpalano ognie sztuczne, przed farą Mariacką pieczono całego wołu, a wedle ratusza piwo łało się z kadzi strumieniem. Lecz jam się nie weselił. Jawny fawor królewski okazywany Zborowskim wróżył jak najgorzej nie tylko mnie. Przeciskaliśmy się przez rozbawioną ludzką ciżbę do naszego Kącika. Francuzów, którzy się tu ostatnio niemal zadomowili, już nie stało, widać poszli szukać pożywienia na Rynku. Okrom dwojga, których żem wcześniej nie widział – umorusanej, obdartej dziewczki, tulącej do piersi tobołek, i młodzieńca, który zachował jaką taką schludność odzienia. On chyba był na Rynku i zdobył kawał pieczystego, którym dzielił się właśnie z towarzyszką, gdy wtem zza węgła wyskoczyło kilku obszarpańców. W plugawej mowie odmalowali wdzięki dziewczki, po czym dwóch rzuciło się na nią, a trzech pozostali skoczyli z dobytymi kordami na Francuza.

– Kacperku, pozwolisz im na to?! – oburzyła się cioteczka, która zazwyczaj nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Ale nim zdołałem interweniować, było po wszystkim. Łotry uciekały aż się kurzyło. Z tym, że jeden ciągnął nogę za sobą, a drugiego kompani ponieśli na

rękach. Zanim podeszliśmy do Francuzów, młodzieniec już zdążył schować do pochwy rapier, którym posłużył się z niezrównaną biegłością.

– Może by tak niebożęta przygarnąć w gospodzie, co Kacperku? – spytała cioteczka.

– Nie mamy miejsca – odparłem; była to prawda, bo nawet nad stajnią, którą odbudowaliśmy w dwa dni z pomocą wynajętych robieńców, kwaterowali słudzy owych szlachciców, których gościliśmy.

– Coś się znajdzie – nie ustępowała. – Uczyłeś się ichniej mowy, spytaj ich, co za jedni, zali prawi chrześcijanie czy heretycy.

Zanim wszak zdołałem wyszperać w głowie jakieś odpowiednie słówka, Francuz zdjął z głowy biret z bardzo wysoką główką i pękiem piór i zamiótł nimi pokryty brudnym śniegiem tret w dwornym ukłonie.

– Kawaler Étienne de Lansac, szlachcic francuski. A to moja siostra, Arletta – panna dygnęła wdzięcznie. – Katolicy najszczeri. Do usług wielmożnych państwa.

Ponieważ cioteczka z wyraźną dezaprobatą kontemplowała mocno wydekoltowaną suknię trzęsącej się z zimna Francuzki, widoczną spod podartego szala, ja zatem zdziwiłem się za nas oboje:

– Waszmość wybornie mówisz po polsku. – W rzeczy samej, tylko akcent wskazywał na obcokrajowca, choć równie dobrze mógłby uchodzić za Prusaka albo Ślązaka; prędzej zdradzał go strój niżli mowa.

– Miałem dobrego preceptora. Chciałem bowiem poznać wasz język, jako że jestem dziejopisem z zamiłowania, sekretarzem i przybocznym imć Theveta, historyka i kosmografa królewskiego, który wnet ma zjechać do waszej stolicy, by dać jej rzetelne opisanie. Przybywam przodem, by zawczasu się rozejrzeć, siostra zaś była ciekawa Polski, tom i wziął ją ze sobą, bo rodziciele nas dawno odumarli i sami jesteśmy na świecie.

No, proszę, niemal kolega po fachu, choć profesjonal, a ja jeno skromny miłośnik historii. Tymczasem ciotka już ochłonęła i jak należało oczekiwać, jej dobrotliwość przeważała nad zgorszeniem.

– Zapraszam do naszej gospody – rzekła, z dumą pokazując wiechę i szyld nad wejściem: „U Balcera”.

– Kiedy ukradziono mi mieszek i jesteście bez grosza – sumitował się kawaler.

Cioteczka tylko westchnęła ciężko, bowiem od początku brała taką ewentualność pod uwagę, i rzekła:

– Nie szkodzi.

Tylko ja wiedziałem, ile ją to oświadczenie kosztowało i za to, między innymi, ją kochałem. Z okropnej biedy doszła do dostatków, lecz wciąż umiała współczuć tym, którym się w życiu nie wiodło.

– Kacper – rzekła do mnie już rzeczowym tonem – położymy ich w izbie Janeczki, która na razie jej nie potrzebuje, tylko każ zmienić pościel i dostawić drugie łóżko. I znajdź pośród starych rzeczy Janusi coś dla tej pannicy. Niechaj się jakoś po

ludzku ochędoży. Lecz wprzód Marysia niech dla nich napali w łaźni i nagrzej wody do mycia, niepotrzebne nam tu francuskie wszy i pchły – dodała ściszym głosem. – Dopilnuj tego. Ja idę się położyć, bom wielce zdrożona. Zjem, jak wstanę.

– Z całego serca dank waćpani składamy – Francuz przyłożył dłoń do serca i zagadał szybko do siostry, która złożyła, jak mi się zdało, przepisowy dworski ukłon. – Chodzi o kilka dni zaledwie, póki nie zaczepimy się przy dworze.

I tym sposobem zyskaliśmy nowych lokatorów, którzy wnieśli wiele ożywienia naszą, i tak w tych dniach nienudną, egzystencję. Pokazało się to już wieczorem, przy wieczerzy, na której rodzeństwo pojawiło się umyte i przebrane w rzeczy moje i Janki. Mimo iż łaszki były nienowe, nikt nie zwrócił na to uwagi. Krasa obojga rwała bowiem oczy, tak byli piękni, choć zupełnie do się niepodobni i nie wiedząc o tym, nigdy bym ich nie wziął za brata i siostrę. On był smukłym szatynem w moim wieku, lecz o wiele przystojniejszym ode mnie, o licu ozdobionym małym wąsem i takąż bródką w szpic, przyciętą na niemiecko-hiszpańską modłę. Nawet Marysia dostrzegła jego urodę, bo krzątała się wokół niego jak fryga. Ona zaś była skończoną pięknnością, co umieli docenić nie tylko szlachcice zgromadzeni przy stole i wyborny znawca wina i niewiast, pan Kochanowski, ale nawet ja, choć z wyjątkiem wieku w niczym nie przypominała Janki. Janka miała włosy czarne jak skrzydło kruka, ta była blondynką o włosach barwy dojrzałej pszenicy. Janka cerę miała smagłą, ta – rozkosznie różową. Janka miała twarz pociągłą i szczupłą sylwetkę, ta była pełniejsza, i to w każdym miejscu, dokąd sięgało oko. Ale najważniejsza różnica tkwiła gdzie indziej. Janka miała żywe usposobienie i była trochę dzika. Ta przeciwnie – powolna w ruchach i zmysłowa. Mimo skromnych szatek sprawiała wrażenie, jakby była naga. Janka wzbudzała sympatię, ta – żądzę. Toteż panowie adorowali ją cały wieczór, choć nie rozumiała ani po polsku, ani po łacinie i prawie wcale nie otwierała ust. Pełniący funkcję tłumacza brat był o nią zazdrosny lub niespokojny, nie byłem pewny, o które z tych uczuć chodzi, choć starał się tego nie okazywać, tak jak ja starałem się nie gapić na jego siostrę jak wygłodzony pies na kość. Z tego powodu nie przejąłem się jak należało niemłą nowiną, którą przyniósł mistrz Kochanowski. Mianowicie zniknęło wyznanie, uczynione *manu propria* przez mistrza Twardowskiego, kompromitujące braci Mniszchów, który to papier zdobyłem ongi z narażeniem życia. A teraz Drohojowski dał je sobie odebrać jak otrok. Ponoć Zamojski był bliski pochwycenia fura, lecz ten zdołał umknąć, a z nim dowody na Mniszchowe matactwa. Kiedy indziej żał byłoby mi zmarnowanej roboty, lecz w natłoku nowin tamta sprawa wydała mi się jakby wyblakła i mało ważna. Poszliśmy spać późno.

Nazajutrz wybrałem się na Wawel. Początkowo nie chciałem, ale uległem namowom mistrza Jana, który obiecał mi załatwić miejsce na widowni. A sprawiły to słowa, które usłyszałem poprzedniego dnia podczas wieczerzy. Kiedy bowiem panowie szlachta do syta napaśli oczy urodą Francuzki, wrócili do tematu, który ekscytował wszystkich dworzan, posłów, senatorów w biskupich fioletach nie wyłączając.

– Gdy tylko ucichła awantura z Mniszchami i ogłoszono na zamku, że odbędzie się wielki turniej rycerski, w którym zawodnicy potykać się mają konno na kopie – żywo gestykulując, opowiadał mi jeden z posłów, rad, że znalazł słuchacza, który jeszcze o niczym nie wiedział – a służba piaskiem wiślanym wysypała dziedziniec, żeby rycerze nie poturbowali się podczas upadku, zaraz młodzież rzuciła się zatykać w piach swoje kopie, których było dwadzieścia cztery dla dwunastu par zawodników. Był wśród nich imć Samuel Zborowski, młodzieniec żwawy i płochoy, niemający innego chwalebego przymiotu oprócz zręczności w jeźdźeniu na koniu i w robieniu kopią... Ten przyczepił do kopii wyzwanie, dla wszystkich równych mu rodem i walecznością, do stanięcia mu na cześć nowego pana.

– Onże – wpadł mu w słowo drugi szlachcic – jako znany z odwagi i wprawy w rycerskim rzemiośle, jak i zarówno z niepohamowanej dumy rodowej, nie znalazł z początku chętnych do potykania się. Napis ten wiele osób czytało, lecz nikt nie chciał się poważić na tę walkę. Wszyscy wiemy, jacy są Zborowscy, a Samuel w szczególności...

Mnie to mówił!

– Imaginuj sobie, wasze – wtrącił trzeci – że wreszcie niejaki Janusz Kroat, sługa Jana hrabi Tęczyńskiego, kasztelana wojnickiego, ale szlachcic, odprowadziwszy swego pana z zamku do dworu, mrokiem już wracając, wyrwał kopię Samuela i wziął ją ze sobą do miasta w chęci spotkania się ze Zborowskim...

Boże mój! Jakże chciałbym być w skórze tego Janusza, nie dość, że obcego, z Kroacji, to jeszcze sługi, a jednak szlachcica. I to stawiało go nieskończenie wyżej ode mnie. Ja nawet nie wiedziałem, jak trzeba trzymać kopię. Z czułością pomyślałem o swoim rapierze, stworzonym właśnie po to, by tacy jak ja mogli wrazić żelazo w szczeliny zbroi takich jak Zborowski i strącić ich zarazem z konia i piedestału, na którym panoszyli się dzięki zasługom przodków.

– Samuel się rozeźlił – korzystając z okazji, znów włączył się pierwszy poseł – mniemając, że kasztelan wojnicki na jego wzgardę i pośmiewisko podmówił owego cudzoziemca rodem jemu nierównemu, wysłał do walki z Kroatem sługę swego, szlachcica Moszczyńskiego, sam zaś przez posłów i przyjaciół wyzwał kasztelana do pojedynczego potykania się na kopie...

– Tęczyński z początku usiłował uchylić się od walki – rzekł drugi szlachcic – przecząc jakiemukolwiek złemu zamysłowi ze swej strony, lecz wyzwany publicznie, przyjął wyzwanie i obiecał stanąć nazajutrz na placu.

– Stawi się na pewno. Toporczyki to jeden z najstarszych rodów w Koronie. Toć wywodzą się jakoby od Walgierza Wdalego z Tyńca z rodu Popiela, co panował jeszcze przed Piastem Kołodziejem. Zborowscy przy nich to dorobkiewiczze. Stąd tak zapiekła między nimi nienawiść. Za wszystkie skarby Indyj nie poniechałbym obaczenia na własne oczy tego starcia – zakończył trzeci.

Ja również, dlatego z wdzięcznością przyjąłem zaproszenie mistrza Kochanowskiego, który rankiem poszedł na Wawel spotkać się z drugimi posłami, ale

przed południem wrócił po mnie.

– Szybko. Król teraz radzi z senatory, ale jak tylko skończą, zaraz rozpocznie się turniej.

Byłem przygotowany, więc w niespełna pół godziny znaleźliśmy się na Wawelu, po drodze mijając możnego pana z małą asystą, zmierzającego w przeciwnym kierunku.

– To pan Tęczyński! – rzekł Kochanowski. – Widać senat już zakończył obrady. Spiesz do domu, by przywdziać zbroję. Pospieszmy się i my.

Strażnicy bramni poznali mistrza i przepuścili mnie bez turbacji, ale i bez tego pewnie udałoby mi się jakoś przemknąć, podszywając się pod sługę któregoś z rycerzy. Tylu ich bowiem wraz z orszakami ciągnęło na zamek. Przepychaliśmy się pośród zgiełku, chrzęstu żelaza, wzajemnego przekrzykiwania się, ciżby ludzkiej i końskiej, aż wreszcie dotarliśmy na dziedziniec, gdzie było nieco luźniej.

Bywałem tu ongi parę razy i zawsze uderzała mnie wszechobecna czerwień. Czerwone były pałacowe mury z gołej cegły, tej samej barwy farbą wymalowano kolumny krużganków. Na tle czerwonych ścian odbijały się obramienia okien z jasnego kamienia, zaś górą biegł kraniec z medalionami cesarzy i cesarzowych, malowany w błękitach [94]. Ale już wysoki, spadzisty dach pokrywała zwykła (czerwona rzecz jasna) karpiówka, a także różnobarwne dachówki układane we wzory. Na co dzień dziedziniec był wysypany tłuczoną, czerwoną cegłą, ale tym razem przykrywała ją warstwa piachu. Wkrótce jednak piach miał się zboczyć krwią, aby kolorystyka się zgodziła. Na wieży Senatorskiej, obok czerwonej z Orłem Białym, powiewała chorągiew królewska – niebieska ze złotymi liliami.

Spóźniliśmy się nieco. Fanfary skończyły rozbrzmiewać jakiś czas temu. Królewna z fraucymerem już zasiadła po lewej stronie krużganków. Wypatrzyłem Jankę i pomachałem do niej, ale mnie nie zauważyła. Król w otoczeniu dworzan i senatorów, wśród których nie dostrzegłem Wapowskiego, stał w krużgankach naprzeciwko bramy i nas, którzyśmy w niej utknęli, bowiem pierwsze starcie już trwało.

– Tego poznaję – zawołał mi do ucha mistrz, a i tak ledwo usłyszałem, taka panowała wrzawa – to Kroat. Tedy tamten to musi być pan Moszczyński.

Przy niezliczonym tłumie ludzi, spiąwszy konie, obaj rycerze uderzyli na się w największym pędzie, przy czym Moszczyński przebił środek tarczy przeciwnika. Tłum jęknął, lecz ja widziałem, że cios nie doszedł Kroata, który miał więcej szczęścia, a może umiejętności. Wycelił bowiem kopią niżej, przeszył nagolennik Moszczyńskiego i kulbakę i trafił tamtego w lędźwie. Konie rozjechały się w przeciwne strony, ale człowiek Zborowskiego wypuścił kopię z ręki i chwiał się w siodle, widocznie rana była poważna. Tymczasem sługa Tęczyńskiego, odrzuciwszy kopię, już zawracał z dobytym mieczem.

Szczęściem przytomni Węgrzyni jęli krzyżeć i zawzięty Kroat poniechał

pokonanego przeciwnika. Z kolei, wściekły z powodu porażki swego sługi, Samuel Zborowski z rykiem rzucił się ku zwycięzcy, wymachując czekanem. Uczynił się tumult, wszyscy krzyczeli równocześnie, wielu doskoczyło mitygować Zborowskiego. Zanim go utemperowano, król udał się do swojej partii zamku, królowna z fraucymerem przeszła mimo nas, zdążając do Grodu *vel* domu Starościńskiego (udało mi się pochwycić wzrok Janki i pozdrowić ja dłonią), marszałek koronny Firlej ukradkiem wyprowadził Kroata, wprzód ogłaszając, że wszyscy mają natychmiast opuścić zamek. Taki był koniec krotchwili, która się nawet na dobre nie rozpoczęła i z zabawą niewiele miała wspólnego.

Rycerze z przybocznymi powoli opuszczali dziedziniec i uczyniło się luźniej. Na końcu wyjeżdżał ze szranków Samuel Zborowski. Jechał w otoczeniu sług i przyjaciół, wciąż miotając groźby na Tęczyńskiego i Kroata:

– Nie stawiał się, pies tchórzliwy! Chudopachołka na mnie nasłał, hetkę-pętelkę, hołysza! Na mnie, Zborowskiego! Niedoczekanie wasze, chodzące padliny! Pasy zedrę z obu, niech tylko spotkam!

Uskoczyliśmy na bok, boby nas stratowali. Szczęście, że w zacierzewieniu nie rozpoznał mnie, bo miałbym się z pyszna. Pojąłem, że nawet szlachectwo nie chroniło przed takimi jak Zborowski. Kroat był szlachcicem, a mimo to Samuel czuł się pohańbiony jego wyzwaniem. Pycha Zborowskiego była bezgraniczna. W swoim czasie stawiałem czoło burmistrzowi Czeczotce, człekowi potężnemu i nobilitowanemu jako Tłokiński. Ale ów arcyłotr Zborowskiemu mógłby co najwyżej czyścić ciżmy. Doprawdy, nie widziałem żadnego sposobu, w jaki można by się dobrać Samuelowi do skóry, zwłaszcza teraz, gdy miał na sobie zbroję turniejową, choć bez hełmu.

Gdy przejechali, ruszyliśmy za nimi. Wtem, gdyśmy byli akurat przy dziedzińcyku oddzielającym zachodnią partię zamku od katedry, w sieni bramnej uczynił się rumor.

– Toporczyki idą! – Tęczyńscy byli odłamem starego rodu pieczętującego się herbem Topór, choć zostawszy niedawno z łaski cesarskiej hrabią, Jan Tęczyński dodał sobie dwugłowe *alias* płatane orły do herbu.

– Patrzcie, to on!

– W samej rzeczy, to Tęczyński!

– Ździebko się spóźnił!

– Ale przybył!

Jako i z naprzeciwka nadjeżdżał zbrojny rycerz w znacznym orszaku dworzan i druhów, wśród których ujrzałem senatora Wapowskiego w lamparczej skórze usarską modą zarzuconej na kirys, aczkolwiek bez szyszaka i miecza u boku.

– Tchórz! – wrzasnął Zborowski.

– Z drogi!

– Po moim trupie!

– Niech tak będzie!

Spiąwszy konie, ruszyli na siebie z wściekłością, ten z mieczem, ów z czekanem,

roztrącając stojących najbliżej. Naraz Wapowski, w pośpiechu gubiąc kołpak, odważnie wpadł pomiędzy nich, wieszając się u końskich pysków za wędzidła i wołając wielkim głosem:

– *Pax, pax!* Opamiętajcie się, waszmościowie! Nie godzi się nastawać na się w przytomności króla!

– Precz! – ryknął Zborowski i zamierzył się czekaniem na rozjemcę.

Przewidziałem to, lecz spóźniłem się o włos. Roztrącając stojących mi na drodze, rzuciłem się ku senatorowi. Samuel był szybszy. Dwa błyskawiczne ciosy, raz po raz, spadły na odsłoniętą głowę Wapowskiego, który z jękiem zwałił się w brudny śnieg wymieszany z końskim łajnem. Zborowski wychylił się z siodła, by zadać kończący cios, ale m pochwyił go za uzbrojoną dłoń. Nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. Poznał mnie. Nie wiem, czy tak jak on miałem oczy przekrwione, lecz z pewnością pałały taką samą nienawiścią. Na chwilę jakby czas stanął w miejscu, a potem rozpętało się piekło. Tęczyński napał koniem i rozdzielił nas. Ludzie Zborowskiego rzucili się nań, widziałem, jak ranny spada z konia giermek kasztelana, Laso, lecz piechota Toporczyka wymierzyła w tamtych rusznice i dała ognia. Zborowski zachwiał się w siodle i złapał za zranioną nogę, krzywiąc z bólu. Na górze, w komnatach królowej, otworzyło się okno i rozległ rozpaczliwy krzyk: „Ojczy!”. Na odgłos strzałów od strony miasta zaczęli nadbiegać ci, którzy rozeszli się po przerwaniu turnieju, a także przygodni gapie. Zaś od strony dziedzińca zamkowego nadciągnęli drabanci i gaskońscy gwardziści króla, zapewne obawiającego się jakiegoś buntu, i na głucho zawarli bramę zamkową.

Tymczasem między zamkiem a katedrą bój rozgorzał na całego. Miecze szczękały, chrzęściły zbroje, wrzeszczeli ranni, padali zabici. Żadna strona nie zdołała wszak osiągnąć przewagi. Nie brałem udziału w awanturze. Razem z Kochanowskim odciągnęliśmy na bok ranionego senatora. Był przytomny. Mocno broczył krwią, jednak rany nie wyglądały na śmiertelne. Łacno wszak mogły się takimi okazać. Z ciosami w głowę nie było żartów.

– Pójdźmy do domu Starościńskiego, na pewno nas wpuszczą – zaproponowałem. – Trzeba rany obmyć i opatrzyć, pajęczyną z chlebem ugniecioną obłożywszy. A może i zeszyć. Im wcześniej, tym lepiej.

– Za nic się stąd nie ruszę – uparł się senator. – Trza iść do króla ze skargą. I to zaraz.

Nawet mistrz nie zdołał przekonać uparciucha, więc tylko oddałem spód swego giezła i zatamowałem krwawienie, po czym podniosłem jakąś bepańską pikę i zająłem się zasłanianiem naszej trójki przed padającymi zewsząd razami. W późną noc trwało zamieszanie, zanim je uśmiercono. Zborowski i jego ludzie ustąpili do miasta. W tym samym kierunku również udał się Kochanowski. Przypadkowy cios obuszkiem w ramię odebrał mu animusz, co było mi na rękę, bo w domu pewnie niepokojono się o nas. Mnie bowiem imć Wapowski za nic nie chciał puścić, koniecznie napierając się iść do króla. Zezwolił tylko, bym mu zdjął kirys, który powierzyłem któremuś ze sług

kasztelana wojnickiego. Na żądanie Tęczyńskiego strażnicy bramni udali się do króla, który zgodził się natychmiast przypuścić przed swoje oblicze poszkodowanego i kilkoro świadków. Sam hrabia Tęczyński, rzuciwszy mi jedynie baczne spojrzenie, podsadził się pod drugi bok ranionego i tak wspólnymi siłami dotaszczyliśmy Wapowskiego przed oblicze króla.

Przyjął nas w Izbie Poselskiej, zwanej też Pod Głowami, bowiem za króla Starego cały strop ozdobiono rzeźbionymi głowami. Odszukałem wzrokiem tę, która prezentowała niewiastę z zawiązanymi ustami. Jak fama niosła, była to sławna „gadająca głowa”. Ponoć gdy kiedyś król August, odprawując sądy, miał już wydać niesprawiedliwy wyrok na białogłową niesłusznie oskarżoną o kradzież, gadająca głowa rzekła z góry: „*Rex Auguste, iudica iuste!*” [95].

Król siedział na tronie w towarzystwie kilkorga najbliższych dworzan, naszych i obcych, wśród których był Jan Zamojski. Pod ścianami stały w gotowości dwa szeregi Gaskończyków. Nie musiałem ich rachować, wszyscy już wiedzieli, że w kwestii ochrony swej osoby król Henryk ufał jedynie swoim zabijakom, sławnym Czterdziestu Pięciu.

Nowy pan zupełnie nie przypominał dawnego, którego poznałem jednak, gdy był już mocno schorowany i sterany życiem. Sposób ubierania się i wyszukane stroje sprawiały, że zdawał się delikatnym i zniewieściałym, gdyż poza bogatymi sukniemi, które miał na sobie, pokrytymi całkowicie złocistym haftem, drogimi kamieniami i perłami najwyższej ceny, okazywał jeszcze nadzwyczajną dbałość o swą bieliznę i o ułożenie długich włosów. Na szyi nosił podwójną kolię z oprawionego w złoto jantaru; chwiała się ona na jego piersi i wydawała słodki zapach, który wyczuwałem nawet z tej odległości. Lecz to, co najwięcej – moim zdaniem – odbierało mu dostojeństwa, to uszy przekłute jak u niewiasty, w których nosił po dwa kolczyki ozdobione zwisającymi z nich drogimi kamieniami i perłami. Był wszak słusznego wzrostu, nawet wysoki, o szlachetnym wejrzeniu, łaskawym obejściu, dłoniach tak pięknych, jakich nie widziałem u żadnego mężczyzny ani kobiety, okazując zarazem wiele godności w zachowaniu. Tylko nogi miał cienkie, jak to już zauważyła ciotka.

Kiedy król wypielegnowaną dłonią dał przyzwolenie, kasztelan przemyski wyrwał się z naszego uścisku i upadł do stóp monarchy, pokazując pokrwawioną lamparcią skórę i swoje rany, które podczas tej demonstracji zaczęły obficie krwawić.

– Mości królu, stała się rzecz niesłychana! Oto pod okiem i w przytomności waszej królewskiej mości niepoczciwy pan Samuel Zborowski poranił mnie, pobił i omal do śmierci nie przywiódł, choćem bez broni był i żadnych złych zamiarów względem niego nie żywiąc, pojednać chciał jedynie zwaśnionych...

Jak na ciężko rannego, Wapowski przemawiał długo i kwiecicie. W pewnym momencie przestałem go słuchać, łowiąc uchem odgłosy z komnaty.

– Gardło dać winien, bezecnik!

– A gdzież był marszałek nadworny Opaliński, któren z urzędu „na gorącym”

winien pochwycić zbrodniarza i areszt na nim położyć? Skoro tego nie uczynił, tedy teraz gwałtownik będzie odpowiadał z wolnej stopy. – Za Jagiellowych czasów szlachta uzyskała przywilej *neminem captivabimus*, niezezwalający uwięzić szlachcica bez wyroku skazującego, chyba że winowajcę pochwyciono na licu.

– Cóż się waść dziwisz? Toć Opaliński trzyma ze Zborowskimi.

Ogólnie rzecz biorąc, miał Samuel dużo więcej przeciwników niżli obrońców. Widać było, że szczególne fawory okazywane przez króla Zborowskim, których aż trzech stało u tronu, budziły zawiść i niechęć u większości pozostałych posłów i senatorów. Wtem, kiedy nie tylko poszkodowany, ale i zebrani zaczęli na głos domagać się sprawiedliwości, pośród wrzawy posłyszałem szept, syk raczej i mogłem sprawdzić swą znajomość francuszczyzny. To Piotr Zborowski, nachyliwszy się do ucha najjaśniejszego pana, przemówił groźnym tonem:

– Bacz, komu zawdzięczasz tron!

Aż mnie zmroziło. Zatem do tego już doszło. A co będzie na dal? I jak ja, nędzny pyłek, miałem mierzyć się z Samuelem, skoro wszystko na to wskazywało, że prawo jest wobec łotra bezsilne, choć pod bokiem króla popełnił ciężką zbrodnię. Tymczasem król uspokoił zgromadzenie, odłożył sprawę do wyjaśnienia w dniu następnym i opuścił izbę. Odchodząc z panem, Zamojski posłał mi pożegnalny gest. Próbowałem przekonać Wapowskiego, by legł do łóża i dał się dobrze opatrzyć, zwłaszcza że mój prowizoryczny opatrunek przesiąkł krwią, która nadal się sączyła, ale odepchnął mnie, perorując z przejęciem, gdyż znalazł wdzięcznych słuchaczy. Moim zdaniem gorączkował, jednak nic nie mogłem na to poradzić. Nie miałem tu już nic do roboty; byłem intruzem.

W krążgankach wpadłem na Jankę w towarzystwie mistrza Górnickiego i jeszcze kogoś, kogo nie znałem. Obecności pisarza u boku dwórki z fraucymeru nie dziwowałem się, bowiem Górnicki uchodził za zaprzyjaźnionego z królową, która, jak powszechnie wiedziano, nie miała zbyt wielu przyjaciół.

– Co z nim? – rzuciła mi się w ramiona ze szlochom i przez krótką chwilę było jak dawniej, jak powinno być zawsze. – Widziałam wszystko z okna – dodała, odsuwając się ode mnie i ocierając oczy – ale pani Żalińska kazała zamknąć drzwi Grodu i nikogo nie wpuszczać.

– Żyje.

– Bardzo z nim źle? – spytał drugi mężczyzna, w czarnym stroju, ze schludnie przyciętą brodą.

– To jest doktor Sylwester Reguski, przyboczny lekarz królowy Hanny i kolega Janka Kochanowskiego ze studiów na naszej Almae Matris, który już wiele dobrego od nas usłyszał o tobie, Kacprze – wyjaśnił mistrz Górnicki.

– Jest ciężko ranny, acz może, jeśli Bóg da, nie śmiertelnie. Otrzymał dwa tęgie ciosy w głowę – odparłem. – Co prawda chodzi i mówi dorzecznie, lecz to może być skutek wstrząsu. Nie wiadomo zresztą, czy nie ma wstrząśnienia mózgu. Może nawet będzie potrzebna trepanacja. Ale nie pozwala dokonać dokładnych oględzin ani

porządnie się opatrzeć i w tym cały ambaras. Na dziedzińcu było pełno brudu i gnoju, łącno może wdać się gangrena...

– Ejże – wtrąciła Janka z rozbudzoną nagle nadzieją – toć wiem, że zapowietrzonych zakopuje się w gnoju dla ozdrowienia...

– To prawda – potaknałem – alem jeszcze nie widział żadnego uzdrowionego *eo modo* [96]. Za to wielu zmarłych od zapaskudzonych i nieoczyszczonych w porę ran.

– Chodźmy zatem do chorego, nie zwlekając. Może waćpannie uda się nakłonić ojca do poddania się oględzinom – medyk skinął mi łaskawie na pożegnanie.

Górnicki uniósł rękę, tylko Janka pobiegła naprzód, całkiem o mnie zapominając, alem tym razem nie miał do niej o to żalu. Już miałem ruszać w swoją stronę, kiedy zza kolumny wyszedł schowany za nią do tego czasu imć Jan Żaliński, synal wszechwładnej ochmistrzyni, na którą Janka skarżyła się w listach. Jeszcze bardziej fircykowaty i stubarwny niż poprzednio.

Nie byłem wyznawcą dawnego wykładowcy naszej akademii, doktora Jana z Głogowa, choć ciekawie pisał o nerwach wiodących od oka do mózgu czy drugich, w języku, pozwalających czuć smak. Był on jednak znany głównie z wydanego na początku wieku w Krakowie dzieła *Physionomia*, w którym powiązał wygląd człeka z jego charakterem. Dotąd razem z ojcem Rochem śmialiśmy się z tego. Ale im dłużej wpatrywałem się w Żalińskiego, tym bardziej zgadzałem się z Głogowczykiem: duży nos – lubieżnik, duża głowa – głupiec... Zdecydowanie stawałem się fizjonomistą, i to bynajmniej nie dlatego że jako posiadacz lekko spiczastego nosa byłem rzekomo zazdrośnikiem, a jako choleryk z usposobienia – obdarzony gorącą naturą i bystrym umysłem.

Tym razem miał obrzydliwie pewną siebie minę. Pewnie dlatego że nie było w pobliżu Zborowskiego, a mnie jeszcze nie znał, choć tak mu się zdawało.

– My się już znamy – rzekł, muskając wąsika. – Chcę dać waszeci dobrą radę.

– Niechybnie wielce mi się przyda – postarałem się o takie szydercze niedowierzanie, na jakie było mnie stać, lecz to dla niego było zbyt subtelne; takich jak on należy walnąć po łbie, by coś pojęli. – Jakąż to?

– Abyś trzymał się z dala od panny Wapowskiej. Wiem, żeś jest jakby jej bratem, ale teraz ma ona nowego opiekuna. Mnie.

– A czy ona o tym wie? – zadrwiłem.

– Oczywiście – uśmiechnął się z zadowoloną miną zdobywcy niewieścich serc, znów usiłując podkręcić niemal nieistniejącego wąsa. – Żalińscy sroce spod ogona nie wypadli i wybornie pasują do Wapowskich. A już bez porównania bardziej od takich, co swoich przodków nie znają. Jak sądzicie, mości Ryksie?

Chętnie przypasaowałbym swoją pięść do jego nosa i podziwiał uderzający efekt, ale jeśli, pomijając moje pochodzenie, była choć odrobina prawdy w tym, co gadał, tedy był dla mnie nietykalny, niestety.

– Jeszcze nie jesteśmy po słowie, ale to jeno formalność – dobił mnie na koniec. –

I co acan na to?

– Źle mówić hop, aż się przepłynie – porzekadłem maskując ból, który mi sprawił, odwróciłem się na pięcie i odszedłem, nie oglądając się za siebie; niech diabli porwą dworne maniery!

Wlokłem się noga za nogą w drodze powrotnej do domu, nie tylko z powodu zmęczenia – a było już około północy, albo i lepiej – lecz w związku z przygnębieniem i złością. Byłem przybity, ponieważ spełniły się moje przewidywania co do Janki; koło pięknej dwórki z równie pięknym nazwiskiem, jak ómy wokół światła, musieli się kręcić wytworni kawalerowie. A zły byłem dlatego, że spośród wielu wybrała akurat takiego... takiego dupka żołądnego. Gdzie ona miała oczy? Gdyby wybrała Tęczyńskiego, młodego, postawnego i do rzeczy, nie zdziwiłbym się. Albo Staszka Żółkiewskiego. Ale nadętego wymoczka Żalińskiego? Poczuję się dubeltowo urażony.

Już miałem wstąpić na kładkę nad Rudawą, gdy posłyszałem szepty i delikatny stuk metalu o metal. Zasadzka! Natychmiast zaprzestałem niewesołych rozmyślań. Wątpiłem, by tym razem zasadzono się na mnie. Gotów byłem za to postawić wszystkie pieniądze, że to Zborowski ze swymi ludźmi przyczał się na Tęczyńskiego. Błogosławiąc to, że nie zabrałem latarki, wycofałem się na palcach, po czym pod osłoną muru pogałem co sił w nogach z powrotem na Wawel, starając się czynić to bez hałasu.

Strażnicy trochę się zdziwili, że wracam tak prędko, lecz nie czynili wstretów. Tęczyńskiego spotkałem w połowie drogi do zamku. Uwierzył mi od razu.

– Co waść proponujesz? – spytał, obrzucając mnie baczny spojrzeniem; twarz miał zmęczoną i zafrasowaną.

– Są dwa wyjścia: przebić się lub ominąć zasadzkę. Nie wiada, jaką siłą dysponuje Zborowski. Ponadto potyczka postawiłaby na nogi całe miasto, a taka awantura w początkach panowania byłaby złą wróżbą dla najjaśniejszego pana, zaś odium spadłoby na obie strony. *Ergo* wybrałbym drugie rozwiązanie.

– Słusznie. Tak uczynimy. Choć w innych okolicznościach z ochotą zmierzyłbym się z tym łotrem – odparł.

Pół godziny później w kilkanaście koni, bo i dla mnie znalazł się jeden, wyjeżdżaliśmy z zamku południową furta, tą samą, którą próbowała uciekać królowa Jadwiga, byle nie wychodzić za Litwina Jagiełłę. Minęliśmy uspione przedmieścia u stóp Wawelu, po grobli przemierzyliśmy Na Stróży, potem Smoleńsko z drewnianym kościółkiem Bożego Miłosierdzia, a gdy zatoczywszy duży łuk, widzieliśmy już bronę Szewską, milczący ponuro całą drogę Tęczyński wreszcie się odezwał:

– Co teraz? Do świtu sporo czasu. Będziemy sterczeć u bramy na pośmiewisko gawiedzi i kmiotków zdążających do miasta? – wciąż nie mógł przeboleć, że musi unikać starcia ze Zborowskim, przez co ktoś mógłby go wziąć za tchórza; cóż, szlachetne urodzenie miało swoje minusy.

– Bez obawy.

Wysforowałem się naprzód i powiodłem oddział. Zjechaliśmy z traktu w prawo, po czym kazałem wszystkim zsiąść z koni i wiodąc je za uzdy, przeprowadzić się przez opasującą miasto zamrażającą Rudawkę oraz zasilaną przez nią fosę. Wdrapaliśmy się na brzeg w miejscu, gdzie widniała w murze solidna, żelazna furta, zamykająca wylot ulicy Świętej Anny. Była to pozostałość po czasach, gdy ulica zwała się jeszcze Żydowska, a Żydzi chodzili tędy na kirkut, czyli cmentarz, położony poza murami.

– Zawarta na głucho – stwierdził Tęczyński z kwaśną miną.

– Jedna chwilka.

Wyjąłem z zanadrza kilka spiętych ze sobą wytrychów, które całkiem niedawno kazałem zrobić memu szwagrowi, Michałowi. Przed paru dniami zginął mi bowiem dużo lepszy zestaw darowany przez starego włamywacza, bardzo użyteczna pamiątka z niechlubnego okresu w moim życiu. Zachodziłem w głowę, gdzie się podział, ale do niczego nie doszedł. Zniknął jak kamfora. Trochę niepokoiłem się, czy nowe narzędzia podołają zadaniu, lecz niepotrzebnie się trapiłem. Zamek był prosty i łatwo ustąpił już za drugą próbą. Okute drzwi zgrzytnęły przy otwieraniu; miały prawo – na co dzień furty nie używano.

Tęczyński nic nie rzekł, obrzucił mnie jedynie dziwnym spojrzeniem, a gdy ostatni z jego ludzi zniknął w otworze, zatrzymał mnie i rzekł:

– Wiele słyszałem o twoich talentach, mości Ryksie. Ale mimo to udało ci się mnie zadziwić. Często tego używasz? – wskazał wytrych, który trzymałem w dłoni.

– Tylko w słusznej sprawie – uspokoilem go, przepuściłem przodem i zamknąłem za nami furte.

Przemierzaliśmy uspioną ulicę, nie napotykaając żywego ducha; jedynie stukot kopyt końskich zakłócał niemal idealną ciszę. Zapomnieliśmy jednak o niebezpieczeństwie czyhającym z zupełnie innej strony. Pierwsza i ostatnia godzina nocy to zwyczajowe pory wylewania pomyj przez okno do rynsztoka. Nie zawsze towarzyszyło temu ostrzegawcze: „Leje się!”. I taka właśnie mokra i cuchnąca siurpriza spotkała kilku ludzi Tęczyńskiego. Otrzeptywali się i klęli w żywy kamień, lecz przyciszonymi głosami. Rozstaliśmy się przy przeczni Żydowskiej.

– Bywaj, wasze – rzekł Tęczyński. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Zaszczycem było móc usłużyć waszej miłości – odrzekłem grzecznie, zeskakując z konia i kłaniając się dwornie; coraz lepiej mi to wychodziło, jeszcze trochę, a nabiorę manier prawego dworaka.

Oddałem komuś wodze i kiwnąłem ręką na pożegnanie, gdy odjeżdżali w jaśniejącą z wolna czerń nocy do Malowanego Dworu albo nowszego dworu Tęczyńskich, na rogu przeczni Żydowskiej i ulicy Gołębiej [97]. Ja zaś skręciłem w Szewską, w porannym powietrzu mocno woniejącą piwem nie tyle z racji znanej karczmy [98], ile licznych browarów w oficynach. Nie spotkałem po drodze rontu, a to z tej prostej przyczyny, że czekali na mnie pod drzwiami naszej gospody.

– Nareszcie! Długo kazałeś na siebie czekać! – z pretensją w głosie powitał mnie

Matys Szarski.

– Byłem na zamku.

– Wiem, Nizioł mi powiedział. Cóż tam robił do tej pory? Byłeś przy tym, jak Zborowski rozszczepił głowę Wapowskiemu?

– Owszem, a ty skąd to wiesz?

– Już całe miasto o tym huczy. I co z panem Wapowskim, trup?

– Jeszcze dycha.

– To dobrze, bo ta, do której idziemy, nie. Idziesz z nami?

– A mogę nie?

– Hutman byłby rozczarowany.

Cóż, prywatny pies posokowiec nie może sobie pozwolić na zrażanie do siebie urzędowych posokowców. Obiecałem, że zaraz wrócę, otworzyłem drzwi i na palcach, by nikogo nie obudzić, poszedłem po schodach do siebie. Przed drzwiami do izby Janki, chwilowo zajętej przez Francuzów, przystanąłem, gdyż usłyszałem coś, co mnie zaskoczyło. Były to bowiem odgłosy, których nigdy nie spodziewałbym się w izbie zajmowanej przez rodzeństwo. Odruchowo przystawiłem ucho do drzwi, ale dźwięk już się nie powtórzył. Może mi się zdawało. Może zmęczone zmysły płatały mi figle. Miałem taką nadzieję, bo inaczej dwoje Francuzów nie byłoby tymi, za których się podawali. Chyba że zwyczaje francuskie aż tak bardzo różniły się od naszych. Zachowując ciszę, odnalazłem wino w skrytce i duszkiem wypilem pół flaszki. Ostatecznie od wielu godzin nic nie jadłem ani nie piłem. Zaszumiało mi w głowie, lecz przemogłem się – nie była to pierwszyna. Porwałem puginał, bez którego czułem się nagi, nabity pistolet zatknąłem z tyłu za pasek i zszedłem do Matusza i jego drabów.

Poszliśmy na ulicę Psią do dość podejrzanego zaułka, zabudowanego różnymi kłeciami i szopami, zamieszkanymi przez najgorszy plebs, niestroniący od nierządu i zbrodni. Ale dom, do którego weszliśmy, był na oko wcale porządny i piętrowy. Wždy nie kamienica murowana, ale dom właśnie – o drewnianym szkielecie wypełnionym murem pruskim albo tylko słomą wymieszaną z gliną i pobieloną. Na klatce schodowej panował istny chlew, śmierdziało moczem i zestarzałymi rzygowinami, drzwi do izb były odrapane. Dom wyglądał na wyludniony.

– Co tu tak pusto? – spytałem.

– Wszyscy uciekli, ledwo nas zobaczyli. Sami łotrzy spod ciemnej gwiazdy, pijaki, alfonsy i kurwy.

– Pozwoliliście im zbiec? Przecież wśród nich mógł być morderca.

– Raczej nie. Widzisz, pełniąc wachtę, nocny ront natknął się na wychodzącego z bramy tego domu mężczyznę, który na ich widok zaczął uciekać. Dwóch pacholków goniło go aż do rogu Świętej Anny i Wiślnej, gdzie zniknął im z oczu, jakby się rozwiął w powietrzu. Pozostali dwaj weszli do domu i znaleźli trupa, ale w tym czasie drudzy lokatorzy zdążyli się wynieść.

– A to co za jeden? – wskazałem coś, co leżało zwinięte na podeście i chrapało

donośnie.

– Mąż ofiary. Szwiec. Akurat wrócił do domu, pijany w sztok, jak to ma codziennie w zwyczaju, minęli się z mordercem w bramie, o czym poinformowała nas sąsiadka, wywabiona z sąsiedniego domu hałasem.

Nieboszczka leżała we własnym łóżu. Jeszcze ciepła. Blondynka, która jasne włosy zawdzięczała sztuce, nie naturze, jeszcze niestara, lecz już nie młódka, o urodziwej, choć pospolitej twarzy, na której miała wymalowaną profesję. Jak Waliszewska. Wszystko wskazywało na gwałt: siniak na skroni, ślady duszenia, porwane i porozrzucane wszędy jak w napadzie szału odzienie, zmaltretowane łono, a nade wszystko – mała, śmiertelna rana w okolicy serca, zadana wąskim ostrzem podobnym do lancetu. Cios znów był zadany od przodu, lecz z prawej strony, zatem zabójca był leworęczny.

– Niewątpliwie mordercą jest ten sam człowiek, co zabił Waliszewską – rzekłem, zakończywszy oględziny. – Nawet kosmyk włosów obciął jej jak tamtej. Kiedy wasz patrol napotkał podejrzanego mężczyznę?

– Gdzieś przed dwoma godzinami – odparł Matys.

– *Ergo* to był mordercz, bo ofiara zginęła mniej więcej wtedy. Szkoda, że nie udało się go złapać. Jak ona się nazywa... nazywała? – poprawiłem się.

– Ewa Walczak. Dom należał do niej... Chłopcy – zwrócił się do swoich ludzi – zejździe na dół wypatrywać pana hutmana.

Posłusznie wykonali rozkaz. Zostaliśmy sami.

– Nieboszczka, wtedy Szeferówna, jeszcze niedawno pracowała w łaźni burmistrza Tłokińskiego...

Zerknął na mnie z ukosa, lecz jakoś ta nowina mnie nie zaskoczyła.

– Przez pewien czas uchodziła za jego faworytę. Musiała być dobra, skoro odprawiwszy ją, kupił jej ten dom. Ponoć odwiedzał ją jeszcze z raz czy dwa, nim się ustatkowała i wyszła za Walczaka. Ale ciągnie wilka do lasu, tedy urządziła na dole tancbudę z wyszynkiem, a na górze zamtuż. Sama już nie dawała, chyba że wybranym klientom. Lecz i to było zbyt wiele dla tej żalösnej łajzy, jej męża, który pił coraz więcej, i to poza domem, do którego wracał nad ranem. Potem trzeźwiał i znów szedł pić, i tak w koło Macieju.

– Skąd tyle o nich wiesz? – spytałem ze szczerym podziwem.

– Od sąsiadki. Wścibskie i zawistne babsko, ale mało co jej umyka. Aha, powiedziała jeszcze, że ostatnio dwa razy tuż przed ciszą nocną przychodził do nieboszczki jakiś człek w opończy, lecz zaraz wychodził, a za wtórym razem Walczakowa otworzyła okno i zwymyślała go od najgorszych...

– To znaczy? – zaciekałem się.

– No, wiesz. Ponoć najłagodniejsze wyzwisko brzmiało: impotent.

– Ciekawe...

– Myślisz, że to ma znaczenie? – teraz on się zaciekał.

– Możliwe, że tą modą wyrównuje rachunki z dziewczkami, które mu dopiekiły za

życia, pewnie wyśmiewając i podając w wątpliwość jego męskość, odpłaca im za to, gwałcąc je i mordując...

Przerwałem, bo co innego mnie zajęło. Zastanowiły mnie trzy przykurczone palce prawej dłoni trupa. Odgiąłem je. Jeszcze dało się to uczynić, choć z trudem. Na moją dłoń spadł jakiś przedmiot.

– Co tam masz? – zaciekał się.

Podeszliśmy do okna, za którym już świtało. Rozwarłem garść. Spoczywał na niej guzik. Rogowy, pospolity, jakich tysiące, tyle że z kęskiem wydartej materii sukiennej.

– To może być dowód. Jeśli go złapiemy – rzekł Matys.

– I jeśli nie pozbędzie się kaftana. Ale może go na to nie stać albo będzie mu żal. Materia jest zacna.

Dalsze rozważania przerwały nam kroki na schodach. Stuk. Stuk. Stuk. Ciągnąc za sobą chromą nogę, dołączył do nas jednooki dowódca straży. Zrzucił z krzesła jakieś niewieście łaszki i usiadł, ciężko wspierając się na lasce.

– Jesteś – rzekł do mnie. – To dobrze.

Kiedy sobie odsapnął, podjął watek.

– Domyślasz się, dlaczego po ciebie posłałem. Od początku było jasne, że tę zbrodnię popełnił ten sam łotr, który zabił Waliszewską, a wcześniej dwie inne dziewczki. Tym razem jednak byliśmy o włos od pochwycenia go.

– Słyszałem – odparłem i dodałem złośliwie: – Ponoć zgubiono go pod domem Czeczotki.

Spojrzał na mnie ostro.

– Wiem. I nie mogę zamknąć ust moim ludziom, którzy go ścigali, a przedtem asystowali w odkrywaniu kolejnych zwłok. Jutro całe miasto będzie gadać o tym, że burmistrz Tłokiński morduje swoje dawne kochanki, a pojutrze tłuszcza wystraszonych i rozwrzeszczanych białek zwali się na ratusz, żądając jego głowy. Tak, bo to prawda: wszystkie cztery ofiary były wcześniej jego miłośnicami. Sprawdziłem.

– I cóż – spytałem – czy to nie najprostsze rozwiązanie? I czy jak ulał nie pasuje do kogoś, kogo zwą Małym Borgią albo Krwawym Burmistrzem?

Huknął końcem laski w podłogę, aż ze szpar podniósł się kurz.

– Za proste! I nie odpowiada prawdzie! Ja to wiem, czuję to przez skórę! Byłem u burmistrza zaraz, gdy powiadomiono mnie, co się stało. Owszem, był ubrany – spojrzał na mnie wyzywająco i groźnie swoim jedynym okiem – bo właśnie wrócił od Warkowskiego.

– Który oczywiście to potwierdzi – podsunąłem uczynnie.

– Do kaduka! – wrzasnął. – A czemu nie, skoro to prawda? Warkowski ma w swoim lupanarze cudnej urody dziewczkę, trzynastoletnią, którą Tłokiński nawiedza niemal co noc i chce wykupić od Warkowskiego. Ot co! A mordy popełniane są na zlecenie kogoś, kto pragnie skompromitować burmistrza.

– Na przykład burmistrza Słońskiego? – wtrąciłem niewinnie; Słoninka, wróg Czeczotki, właśnie objął urząd.

– A choćby – burknął.

Dłuższą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, przy czym mój był ironiczny, jego twardy jak stal.

– Słuchaj, Kacper – rzekł ugodowym tonem. – Chcę złapać tego zbrodniarza, obojętnie kto się nim okaże, i chcę, żebyś mi pomógł. Wiem, że nienawidzicie się z Tłokińskim, ale nie będziesz się chyba przyglądał, jak zostanie ukarany za coś, czego nie popełnił, podczas kiedy prawdziwy morderz wodzi nas za nos? U licha, jesteś przecież inwestygatorem, a to do czegoś obliguje. Jesteśmy po tej samej stronie: prawa i sprawiedliwości.

Westchnąłem.

– Pięknie powiedziane. Prawie mnie wzruszyliście, hutmanie. Chętnie bym zobaczył Czeczotkę obwieszoną za rzecz, której nie popełnił, bo mu się to słusznie należy za inne zbrodnie, ale macie słuszność. Bycie inwestygatorem obliguje. A poza tym, widzicie, ja niestety wiem, że Czeczotka nie zabił tej kobiety – wskazałem denatkę – *ergo* pozostałych również nie.

– Wiesz? – obaj zrobili okrągłe oczy. – Skąd?

– Bo jeśli wasi ludzie ścigali sprawcę, a mniemam, że tak, i on im zbiegł, to nie mógł być Czeczotka. Ten tłusty wieprz nie uciekłby nawet ślimakowi.

– Racja! – stwierdził Szarski.

– Dla sądu to żaden dowód – mruknął Trojan, podnosząc się z krzesła. – Najwyżej poszlaka. Potrzebne są niezbite dowody. Masz koncept, jak je zdobyć?

– Nie i niczego nie obiecuję, choć takż nie powiadam: nie – zastrzegłem. – Wpierw muszę się wyspać.

Zanim opuściliśmy miejsce zbrodni, zmoczyłem pierwszą z brzegu znaną szmatę w stojącym w kącie cebrzyku z niezbyt czystą wodą i przystąpiwszy do trupa, obmyłem okolice rany klutej. I odkryłem, iż pierwsze wrażenie było mylne, pewnie dlatego że w przypadku Waliszewskiej krew była zaschnięta, a nie miałem okazji dokonać szczegółowej prezenty ciała. Rozcięcie skóry owszem było niewielkie, ale nie zadano go lancetem. Rana miała kształt półkolisty, księżycowaty. Hutman, jak przystało na eksstolarza, pierwszy rozpoznał narzędzie zbrodni.

– Przebóg! – zawołał. – Ten łotr posługuje się dłutem!

Schodząc na dół, znów natknęliśmy się na męża nieboszczki. Wciąż leżał w połowie schodów i gdyby nie donośne chrapanie, i jego można by wziąć za trupa.

– A może szukamy Bóg wie gdzie, a to on jest mordercą? – rzekł Matys z nadzieją. – Najciemniej jest wszak pod latarnią.

Trojan jedynie popatrzył nań z politowaniem. Ja zaś czubkiem buta, ostrożnie, bo buty były nowe i nie chciałem ich powalać, przewróciłem obrzyganego pijaka na wznak. Zamruczał i spał dalej. Z kącika zarośniętych ust sączył mu się obrzydliwy strumyczek śliny. Ale przód kaftana miał wybrudzony krwią, a w garści ścisnął...

zakrwawione dłuto.

– I co na to powiecie?! – tryumfalnie zapytał Szarski. – Nie mówiłem?

– W tym stanie nie zabiłby nawet muchy – potrzebowałem nieco czasu, by ochłonać, ponieważ i mnie zaskoczyło odnalezienie narzędzia zbrodni, które Matusz zabrał ze wstrętem i zawiązał w facelet podany mu przez Trojana. – Zresztą sąsiadka stwierdziła pono, że omal nie zderzyli się w bramie z głównym podejrzanym, nieprawdaż? Ponadto nie brak mu żadnego guzika.

– Jakiego guzika? O czym mówicie? – zainteresował się hutman.

– Ofiara urwała zabójcy guzik, czego nie spostrzegł albo spostrzegł za późno – wyjaśniłem i rzekłem, gdyśmy już znaleźli się na zewnątrz i mogli odetchnąć świeżym powietrzem: – Moim zdaniem nadejście oźralca spłoszyło morderza. Nie stracił wszak przytomności umysłu i sprytnie skorzystał z okazji, jaką był powrót męża nieboszczki, wycierając sobie zakrwawione dłonie w jego kubrak i wpychając mu w garść dłuto. Jak zamierzacie go pochwycić?

– Nie wiem – odparł szczerze Trojan. – Wzmocnię nocne wachty, ale mam jedynie dwudziestu ludzi. Nie mogą być wszędzie. Dlatego liczę na twoją pomoc.

– Pomyślę o tym – rzekłem niezobowiązująco.

Widocznie przyjęli mój punkt widzenia, bo nie kazali aresztować szewca. Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

– Odprowadzę cię kęsek – zaproponował Matusz, a ja nie miałem nic przeciwko temu. – Posłuchaj, Kacper – rzekł po drodze. – Jest jeszcze coś, o czym chciałem z tobą pogadać – umilkł na chwilę, po czym nagle wyrzucił z siebie: – Czy wierzysz w duchy?

– Trudne pytanie. A o co chodzi?

– Widzisz... Przed paru dniami stało się coś dziwnego. Pamiętasz tę okropną noc, kiedy szalała zadymka? Otóż właśnie wówczas, jakoś zaraz po północy, nocny ront natknął się na Brackiej na ducha. Ogromnego, mimo braku głowy i tak wyższego niż ty czy ja, czarnego jeźdźca na karym koniu...

– To brzmi jak bajka o bezgłowym upiorze rycerza Szafránca – przerwałem mu.

– Właśnie – odparł.

Zerknąłem nań z niedowierzaniem. Kogo jak kogo, ale jego nie podejrzewałem o dziecinne strachy, a jednak mówił ze śmiertelną powagą. Oczywiście, jak wszyscy tak i ja słyszałem tę bajkę, którą w Krakowie straszono niegrzeczne dzieci. Bezgłowy upiór był to rzekomo duch łotra i raubrittera bez czci i wiary, Krzysztofa Szafránca herbu Sarykoń z Pieskowej Skały pod Krakowem, który grasował na gościńcu, łupiąc i bezlitośnie mordując kupców, za co przed niespełna stu laty król Kazimierz Jagiellończyk kazał go ściąć przed wieżą Senatorską pod Wawelem. Ciało bez głowy pochowano u dominikanów. Ponoć od tamtej pory co noc bezgłowy upiór w czarnej oponczy pędzi ulicami miasta aż do Pieskowej Skały, o pianiu koguta wracając do grobu.

– Żartujesz sobie.

– Bynajmniej. Kacper, ja tam wtedy byłem. On stał ode mnie nie dalej niż ty teraz. Takem się bał, że zapomniiał odwieść kurka u pistolca, na co on jeno się zaśmiał jakimś takim grobowym głosem i odjechał, a raczej odleciał chyba, bom żadnego stukotu kopyt nie usłyszał, wprzód cisnąwszy we mnie czymś, co trzymał w ręku.

– Co to było?

– Ludzka głowa. Odcięta równo jednym ciosem i jeszcze świeża.

Milczałem.

– Śnieg mógł wytłumić stukot kopyt – odezwałem się wreszcie.

Pokręcił głową.

– Nie do tego stopnia. Byłem tak blisko, że musiałbym coś usłyszeć. Teraz mi wierzysz? – spytał. – Nikt o tym jeszcze nie wie, bo hutman nie chce wywołać w mieście paniki i dlatego kazał trzymać gębę na kłódkę Szymkowi, który wówczas był ze mną i też widział upiora. Zresztą chłopak do dziś drży jak osika na samo wspomnienie i gadać o tym nie ma chęci, zwłaszcza iż drapnął aż się zakurzyło.

– A głowa? Rozpoznaliście ją?

– Nie, acz baliśmy się wypytywać, bo zaraz by się rozniosło. Mężczyzny w średnim wieku, tyle wiemy. Co więcej, powiem ci, że to nie pierwszy taki przypadek. W listopadzie łośńskiego roku, akurat noc też była wtedy paskudna, około pierwszej godziny po północy pacholki natknęły się na Stolarskiej na znanego oźralca i fura, Michnika Lepką Rączkę, jak zupełnie zbawion rozumu kiwał się wte i wewte, tuląc do piersi uciętą głowę, nie swoją rzecz jasna, ale też męską. Ponieważ nie szło się z nim dogadać i do dziś nie idzie, tedy nie udało się nic wyświecić, szczególnie iż tamtej głowy także nikt nie rozpoznał. I co ty na to?

Nic dorzecznego nie przychodziło mi na myśl, zapewniłem go zatem jeszcze raz, że mu wierzę, i rozstaliśmy się. Wracałem do domu, gdy dzień wstawał na dobre, a mieszkańcy miasta razem z nim. O sprawie ducha nie chciało mi się myśleć, poza tym absorbowało mnie co innego. Coś nie dawało mi spokoju w związku z zuchwałą próbą obarczenia winą za mord męża ofiary. Gdyby nie dostrzeżono zabójcy, szewc niechybnie zawisłby jako winowajca. Coś mi to przypominało, tylko co? Jakbym kiedyś się już spotkał z czymś podobnym. Ale kiedy? Za nic nie mogłem sobie przypomnieć.

W dwóch miejscach natknąłem się na grupki Francuzów, koczujących wprost na burku i żebrzących o jadło. Rzuciłem im parę miedziaków. Pomnąc na ich ziomka, który usiłował mnie zabić, przelotnie pomyślałem, że może to któryś z nich jest tajemniczym mordercą niewiast, alem zaraz odrzucił tę myśl jako nedorzeczną. Z kilku względów: obcy zbyt rzucali się w oczy i ktoś by zapamiętał takiego kręcącego się koło którejś z kobiet, zaś ofiary dobrze znały mordercę. Ale przede wszystkim pierwsze morderstwo tego rodzaju zdarzyło się, nim zjechało do Polski poselstwo pana Balagny'ego i karła Krasowskiego. Choć ostatecznie minęło od tamtej pory już półtora roku z okładem, jeśli nie dwa... Jak ten czas leci! Niemniej jakoś nie

wierzyłem w winę cudzoziemca. Za to przypomnieli mi o czymś innym. Wyjąłem zza pazuchy osobliwy medalion, mając przecucie, iż klejnot to niezwykajny, i pokazałem go kilkorgu oberwańcom, lecz żaden nic o nim nie potrafił powiedzieć. Może z powodu mojej koślawej francuszczyzny.

Świętowanie na akademii już się zakończyło (choć Wielkanoc i ferie zbliżały się wielkimi krokami) i powinienem być na wykładach, ale nie byłem w stanie. Wstałem późno i nawet nie zdążyłem z mistrzem Kochanowskim pójść na Wawel, za to miałem wizytę francuskiego rodzeństwa w swojej izdebce. Ona po prostu się kręciła i, o ile się na tym znałem, a nie często miałem okazję do takich doświadczeń, po prostu mnie uwodziła. A nie było to nieprzyjemne. Niby nosiła na głowie i piersiach chustę, którą nazywała mantylą, ale nie dość, że była ona z półprzezroczystej materii, to jeszcze rozsuwała się, gdy dziewczka pochylała się nad czymś, przez co jej kształtne piersi, niemal wyskakujące z sukni (wdziała na siebie nie starą suknię Janki, lecz swoją, widocznie przyniesioną w tobołku, który miała ze sobą), były doskonale widoczne. Do tego czarne brwi i rzęsy oraz karminowe małe usta przy jasnych włosach robiły piorunujące wrażenie. Nie była nastołąką – miała niewiele lat mniej ode mnie, ale gdy zrobiła niewinną minę, wyglądała na młodszą nawet od Janki; to było niesamowite. Otarła się o mnie dwakroć, niby wypadkiem, a mnie uczyniło się gorąco, co nie umknęło jej uwadze – uśmiechnęła się lekko i niemal niedostrzegalnie.

Jej brata zajmowało co inszego.

– *Mon Dieu!* Ile ksiąg!

Najbardziej ze wszystkich zainteresowała go wielotomowa historia Polski Kromera.

– Miałem w rękach to samo wydanie – pochwalił się. – Znam je niemal na pamięć.

Mówił po polsku naprawdę wybornie, w przeciwieństwie do siostry, która po naszymu nie pojmowała ani w ząb, toteż zaraz pożegnała się i wyszła, ledwośmy zaczęli oglądać doskonale mapy pomieszczone w dziełach Bernarda Wapowskiego.

Zainteresował go mój rapier, przewieszony przez oparcie krzesła. Wyjął żelazo z pochwy. Gwizdnął z uznaniem.

– Piękna broń. Hiszpańska. Uczyłeś się szermierki u Hiszpana?

– U Włocha. I sam, z traktatów.

– Ciekawe. Może pofechtowałibyśmy trochę na podwórku dla rozruszania?

Przystałem na propozycję chętnie, bowiem odkąd inny Francuz omal mnie nie zabił, pojąłem, że brak mi doświadczenia i należy wykorzystywać każdą nadarżającą się okazję, by poznać odmienne szkoły szermierki. Lecz wprzód pokazałem mu medalion z inicjałami PS.

– Należał do pewnego Francuza, tyle mi o tym wiadomo. Tuszę, że kryje się za tym jakaś zagadka. Może to *signum* jakowejś konfraterii profesjonalnych zabójców?

– Nie wiem, co to jest – odparł, oglądając rzecz dokładnie.

Ledwie znaleźliśmy się na zadzi domu, zawołał:

– Baczość! *En garde!*

Z początku bił się nonszalancko, jakby chciał mnie wypróbować i nie wierzył, bym zdołał dotrzymać mu kroku. W rzeczy samej, szło mi ciężko. Był bardziej gibki i zwinniejszy ode mnie i miał ów francuski wdzięk, którego także mi brakowało. A jednak to, co mogło stanowić atut, raczej przeszkadzało mu w osiągnięciu przewagi. Ja nie biłem się tak pięknie i wiedziałem o tym. Ale byłem szybszy i bardziej zdecydowany. Im dłużej się fechtowaliśmy, tym mniej się uśmiechał, potem był wyraźnie zły, lecz starannie się z tym skrywał. Poznawałem to jedynie po nachmurzonym czole. W końcu, gdym odbił wyjątkowo paskudne pchnięcie w pierś, odstąpił, opuścił żelazo i rzekł kwaśno:

– Wystarczy. Dobrze się biłeś, ale metodę masz osobliwą, a postawę, prawdę mówiąc, okropną – podczas gdy on trzymał się prosto jak struna, ja byłem lekko pochylony, jak przyczajony zwierz. – No i te twoje kroki... *Horrible!* Gdyby to był pojedynek na śmierć i życie, ostatni atak zakończyłbym *coup d'allonge*. I byłbyś zimny trup.

– Co to jest *coup d'allonge*?

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Chłuba i duma Francji. Kwintesencja francuskiej szkoły fechtów. Kiedyś może wyjawię ci ten sekret.

Podaliśmy sobie dłonie i poszliśmy do izby karczemnej napić się wina. Podczas wieczery, na którą rodzeństwo Francuzów nie zeszło, podobnie jak ciotka, którą kłuło w boku, głównym tematem była sprawa Wapowskiego, dlatego przysłuchiwałem się ze zdwojoną uwagą, zwłaszcza że jeden z posłów należał do delegacji, która na czele z referendarzem koronnym, imć Stanisławem Sędziwojem Czarnkowskim, udała się ze skargą do króla i senatu.

– I wonczas – prawil szlachcic – pan referendarz koronny ozwał się w te słowa: „Jeżeli tego przestrzegamy, by gwałty i wszelkie bezprawie najuboższym nawet popełnione nie uchodziły bezkarnie, to co powiemy, gdy do zabójstwa senatora przyszło? Zanosimy zatem prośby o słuszne za zbrodnię wymierzenie kary! Na gwałtowniku, co zbezczescił i zlekceważył świętość miejsca, powagę senatu i osobę króla, któregośmy zaprosili, ukoronowali i na tronie posadzili”.

– Dobrze rzekł!

– Na pohybel Zborowski!

– Niech da gardło Samuel zbrodzień!

Raptem w drzwiach stanął niezapowiedziany acz zawždy mile widziany gość, Jan Zamojski. Posłowie powitali go z radością i rewerencją. Widać było, że ma u nich wielki mir.

– *Vivat pan Zamojski! Vivat!*

– Na zdrowie! Niech żyje imć Zamojski, prawy obrońca stanu szlacheckiego i jego ozdoba!

– Co u Wapowskiego? – zapytał Kochanowski, wyjmując mi to z ust.

– Dobrze. Jest słaby i febra go trzęsie, ale mówi do rzeczy. Pan Tęczyński był dziś u króla jegomości i w imieniu senatu zaniósł skargę, którą król obiecał rozpatrzyć i ukarać winnych z należytą surowością, wezwał także przed swoje oblicze Samuela Zborowskiego. Jeśli ów nie stawi się do trzech dni, będzie sądzon zaocznie.

– Na pień z nim! – krzyknął jeden z posłów, trzaskając w szablę u boku.

– Racja! – poparł go drugi.

– Oby zdechł jak wściekły pies! – trzeci był najbardziej zawzięty, być może miał już styczność ze Zborowskimi, którzy idąc do władzy po trupach, nie zwracali uwagi, kogo depczą po drodze.

– A ty, Janie, po czyjej jesteś stronie? – niespodziewanie spytał Kochanowski, patrząc do wnętrza kielicha, jakby tam widział coś szczególnie zajmującego.

– Jak to? Toć chyba nie żywisz w tym względzie żadnego *dubium* – zdziwił się Zamojski, a i drudzy posłowie popatrzyli na poetę ze zdumieniem.

– Pytam, bom wcześniej też mniemał, iż myślimy to samo i mówimy jednym głosem. A tymczasem w sprawie Mniszchów nie poparłeś Janka Drohojowskiego.

Zmieszany Zamojski upił spory łyk wina, a gdy odjął próżny puchar od ust, po zmieszaniu nie został ślad; być może istniało zresztą jedynie w mojej imaginacji.

– Bo było to wysoce niepolityczne, miotać takowe oskarżenia zaraz pierwszego dnia królowania nowego pana. Imć Zieleński wyrwał się jak filip z konopi, a Janek Drohojowski razem z nim. Wystaw sobie, Janku, i wy, waszmościowie, co pomyślał sobie o nas najjaśniejszy pan, jeśli na powitanie miast zgody zaprezentowaliśmy mu wyciąganie najohydniejszych spraw i miotanie wzajemnych oskarżeń i żalów?

– Prawda! Dobrze mówi! O, nasz pan Zamojski to prawy statysta! – ozwali się posłowie, jeden Kochanowski nie wyglądał na przekonanego.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie – rzekł cicho, patrząc druhowi w oczy.

– Po stronie sprawiedliwości, rzecz jasna. A coś myślał? – odparł Zamojski, tym razem bez żadnego wahania. – Jeśli Samuel winny jest zarzucanej mu zbrodni, tedy musi dać gardło, ale...

– Byłem tam i widziałem na własne oczy, jak zadał cios, który obalił na ziemię nieszczęsnego Jędrzeja – przerwał mu poeta.

– ... ale wpierw trza udowodnić, że nie był to wypadek, jeno chciał zabić i do śmierci przywieść – ciągnął niewzruszony Zamojski. – No i imć Wapowski, chwalić Boga, wciąż żyje i, w Bogu nadzieja, żyć będzie. Gwałt, i to w przytomności króla, był niewątpliwy i temu nikt nie przeczy. Atoli podczas gdy u nas liczy się *factum*, we Francji i Niemczech, idąc w ślad nauk Lutera, bierze się pod uwagę także zamiar. Jak powiadali starożytni: *In maleficiis voluntas spectatur, non exitus* [99]. Dlatego jego królewska mość ma trudny orzech do zgryzienia. Nie zapominaj, zem studiował prawo i wiem, co mówię.

W istocie, Zamojski należał do chlubnych wyjątków, bo choć sporo szlachciców studiowało na uniwersytetach, to mało któremu chciało się przystępować do

końcowych egzaminów. Tymczasem Zamojski mógł się poszczycić tytułem doktora obojga praw, uzyskanym z wyróżnieniem, i to na padewskiej wszechnicy. Przekonał wszystkich, nawet zagorzałych wrogów Zborowskiego, w tym także mnie, jednak chyba nie powiodło mu się w zupełności rozwiać wątpliwości Kochanowskiego.

– Mówisz bardzo politycznie – przyznał ów; jak mi się zdało, z ledwie wyczuwalną ironią w głosie.

Zamojski też ją chyba wyczuł i poczuł się urażony, bo zaraz zaczął się żegnać, a przy okazji przypomniał sobie o moim istnieniu.

– Byłbym zapomniał, a przecież po tom przyszedł – klepnął się w czoło i sięgnął za pazuchę. – Odniosłem traktat hetmana Tarnowskiego, lecz chciałbym pożyczyć coś drugiego. Mogę, Kacprze? Panowie... – skinął głową i nie czekając na moją odpowiedź, ruszył w stronę schodów.

– Proszę – odparłem, bo co mi pozostało.

W mojej izbie czuł się już zadomowiony. Usiadł na jedynym krześle, odłożył traktat na pulpit i spojrzał znacząco, tak że od razu poszedłem po wino do schowka.

– Masz może *Il principe* Włocha Makiawela? – spytał, gdyśmy sęczyli najwyborniejszego węgryzyna, perłę moich sekretnych zasobów.

– Niestety. Nawet o tym nie słyszałem.

– I nie dziwota, bo od piętnastu lat jest na indeksie ksiąg zakazanych. Niemniej szkoda, bom miał nadzieję, że jakimś osobliwym trafem znajdę go u ciebie. Widzisz, nasz nowy pan prawie nie puszcza tej książki z rąk i rad cytuje stamtąd maksymy, chciałem zatem i ja rzucić na nią okiem. – Całkiem zrozumiałe pragnienie; gdybym ja był dworakiem i miał robić karierę, też chciałbym znać upodobania swego pana. – No, ale skoro jej nie masz, tedy już sobie pójdę. Do następnego widzenia! Nie odprowadzaj mnie do wyjścia, sam trafię. Aha, byłbym zapomniał. Pisał mi niedawno Stachniczek Żółkiewski, że Wiedeń obrzydł mu do cna jak wcześniej Paryż i póki mróz trzyma, a drogi nie rozmiękły, zamiaruje przebrać się do ojczyzny. Zatem tylko go patrzeć. A przy okazji śle pozdrowienia jejmości Balcerowej, pannie Janeczce i tobie.

Podziękowałem i ucieszyłem się, bo zdążyłem zatęsknić za obraźliwym weredykiem.

– I jeszcze jedno, Kacper – wstał, położył mi rękę na ramieniu i spojrzał w oczy z niezwykłą u niego powagą. – Jesteś rozumnym młodzieńcem, prawym i lojalnym wobec przyjaciół, co wielce sobie cenię. Byłeś dziś świadkiem, jak moje postępowanie rozczarowało Janka Kochanowskiego, który nie ukrywał swego żalu. Bo też przez parę lat odwykł od spraw światowych i zapomniał, że na dworze czasem musimy robić rzeczy, z których nie zawsze jesteśmy dumni. Wiesz, podsłuchałem, jak du Guast, swoją drogą okropna i zarazem niebezpieczna kreatura, czytał królowi z owego *Księcia* takie urywki: „Sposób, w jaki się żyje, jest tak różny od tego, w jaki się żyć powinno, że kto, chcąc czynić tak, jak się czynić powinno, nie czyni tak, jak

inni ludzie czynią, ten gotuje raczej swój upadek niż ostanie się” [100]. I ten: „Człowiek, który pragnie zawsze i wszędzie wytrwać w dobrem, paść koniecznie musi między tylu ludźmi, którzy nie są dobrymi” [101]. Trzeba mieć umysł zdolny do zwrotu, stosownie do tego, jak wiatry i zmienne koleje losu nakazują; nie powinno się porzucać dobrego, gdy można, lecz umieć czynić zło, gdy trzeba. To również z Makiawela. I co ty na to?

– Nie powiem, żeby mi się to podobało. Acz przypomina sławne rady, udzielane także przez Włocha, Kallimacha, królowi Janowi Olbrachtowi.

– To prawda. Makiawel, jak wcześniej Kallimach, był mądry, wiedział, że człowiek jest z natury zły, i nie wahał się pisać tej gorzkiej prawdy. Ja jednak mimo wszystko wierzę, że nawet będąc na samej górze, można próbować być przyzwoitym, choć czasem przyjaciele mogą mieć odmienne zdanie. Pewnie zastanawiasz się, po co ci to wszystko mówię? Ano, może i tobie kiedyś nie spodoba się moje postępowanie. Chciałbym, byś wtedy nie potępiał mnie w czambuł, a spróbował zrozumieć, pamiętając, iż przyjaźń bywa niekiedy niełatwa. I na koniec: źle uczyniłeś, mierząc do Samuela z nienabitego pistoletu. Ciężko o większe głupstwo. Sprawa stała się głośna, bo isćce zaświadczyli, że naprawdę się zatrwożył, a to wręcz niemożliwe. Ty zaś na domiar go ośmieszyłeś. Już lepiej trzeba było łotra zabić, bo on ci tego nigdy nie daruje. Szczęście w nieszczęściu, że przygodziła się ta sprawa z Jędrkiem Wapowskim i to go teraz zajmuje, ale i tak musisz baczyć na siebie jak nigdy.

Ani się spodziewałem, że mój nieudany zamach zyska aż taki rozgłos, a tym bardziej że nie mnie wystawi na pośmiewisko. Tymczasem to Zborowski poczuł się upokorzony, mniemając, iż celowo zeń zadrwiłem. Imaginowałem sobie jego wściekłość. Jednak nie przejąłem się tym, nie byłem drobiazgowy – jeden więcej czy mniej gwóźdź do trumny nie miał znaczenia. Nie przyznałem się zatem Zamojskiemu, że chciałem zabić Samuela, tylko sfuszerowałem robotę. Zrozumiałem za to pełne podziwu ukradkowe spojrzenia, jakie posyłali mi czasem nasi szlachetnie urodzeni goście, i szacunek brzmiały w ich głosie, kiedy się do mnie zwracali.

Po wyjściu Zamojskiego schowałem z powrotem ledwo napoczętą flaszkę i wówczas przypomniałem sobie dźwięk, jaki usłyszałem albo mi się zdawało, gdy ją wyjmowałem. Coś jakby brzęk. Schyliłem się pod łóżko. Leżał tam sobie, jakby nigdy nic, mój stary pęk wytrychów, który miał żem za zaginiony. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że z pewnością ich tu nie było, gdym szukał poprzednio.

Teraz dopiero naprawdę pojąłem, co oznaczała wizyta Zamojskiego i dlaczego tak obficie uraczył mnie cytatami z Makiawela. Wcale nie potrzebował traktatu Tarnowskiego i dziś nie przyszedł po żadnego *Księcia*. Potrzebował pretekstu, aby najpierw zabrać mi wytrychy, a następnie podrzucić z powrotem. A były mu niezbędne, by wykraść Drohojowskiemu obciążające Mniszchów wyznanie mistrza Twardowskiego, którego zdobycie niegdyś sam u mnie zamówił. Wiedział, że się

wszystkiego domyślę, a może nawet pragnął, bym wiedział. Nie mógł tego wyznaczyć ani Drohojowskiemu, ani Kochanowskiemu, swoim druhom. Mógł mnie, z którym nie był tak związany. Miałem zrozumieć, że gdy występował trzy lata temu przeciwko niegodziwośćom Mniszchów, sytuacja była odmienna niż dziś; wówczas dla dobra państwa należało ich jak najszybciej odsunąć od władzy, dziś dla dobra państwa należało wywlekać na wierzch starych brudów. Nie podobało mi się to, ale mogłem sobie na to pozwolić, bo nie ja odpowiadałem za państwo. Spróbowałem uwierzyć, że Zamojski musiał zdradzić nas, swoich przyjaciół, bo tego wymagała racja stanu, że to tylko polityka i że w sprawach prywatnych nadal można na nim polegać jak na Zawiszy. Prawie mi się udało. Wiedziałem bowiem, że uczyni to znów, jeśli uzna, że tak trzeba postąpić. Pokazał, że potrafi być twardy i bezwzględny. I że, jak na prawego statystę przystało, nie wystąpi przeciwko Zborowskim, póki są wszechpotężni, bo oznaczałoby to polityczne samobójstwo. Pozostawało mi tylko wierzyć, że mówi szczerze i zamierza wypełniać swój fach tak przyzwoicie, jak to tylko będzie możliwe.

Zawsze coś. Mimo to czułem się kiepsko, jakbym utracił bezpowrotnie coś cennego, jakiś kęs szczęśliwego, beztroskiego dzieciństwa, w którym wszystko jest jak należy. Cóż, to nieuniknione, ale zawsze nieprzyjemne. Dlatego musiałem się napić czegoś mocniejszego od wina. Zszedłem na dół, gdzie zastałem samotnego mistrza Kochanowskiego, smętnie pochylonego nad kubkiem gorzałki, co wyczułem po zapachu.

– Siadaj i napij się! – ucieszył się na mój widok.

Odesłałem Grubego Stacha do spania i dosiadłem się do poety. Był podпиты, lecz nie pijany. I okropnie smutny. Nawet bardziej ode mnie.

– Wiesz, Kacper, coraz częściej myślę o Czarnym Lesie. Im dłużej przebywam na dworze, tym więcej mnie mierzi to, co widzę. Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym tam wrócić...

Potem milczał tak długo, że myślałem, iż zasnął z otwartymi oczyma, gdy rzucił znienacka:

– Sam się domyśliłeś czy ci powiedział?

Odparłem machinalnie:

– Powiedział, choć nie wprost.

– Wiedział, że się domyślisz, jak ja się domyśliłem.

– Nie dlatego tak uczynił...

– Nie łudź się.

– Chciał, żebym zrozumiał... żebyśmy zrozumieli, iż zrobił jeno to, co musiał, i że nadal jest naszym przyjacielem.

– Do następnego razu – Kochanowski wzruszył ramionami. – Choć zapewne szczerze w to wierzy. Wiesz co, Kacper? Zamojski wysoko zajdzie, aż na sam szczyt. Wspomnisz moje słowa. Znam się z Jankiem jeszcze z czasów studiów w Padwie. Z woli scholarów został tam rektorem, wiedziałeś o tym? Już wówczas był ambitny, a

od tej pory nauczył się owej bezwzględności w dążeniu do celu, która cechuje prawych statystów.

– A co my mamy zrobić?

– Nic. Musimy go dalej lubić, bo inaczej musielibyśmy znienawidzić. Tylko Jankowi Drohojowskiemu ani mru-mru. On by nie zrozumiał, to człek bez skazy.

Nazajutrz dopiero po południu mogliśmy pójść na Wawel, chcąc zobaczyć się z senatorem Wapowskim albo z Janką. Uprosiłem nawet ojca Rocha, by poszedł z nami, bowiem niepokoiła mnie gorączka u rannego. W jego stanie i z urazem głowy rokowało to bardzo źle. Ale zapewniono nas, że ma najlepszą opiekę z możliwych, i grzecznie, lecz stanowczo wzbroniono dostępu. Jeśli zaś chodzi o widzenie Janki, to jejmość Żalińska osobiście i kategorycznie nam to wyperswadowała, choć bynajmniej nie grzecznie. Jej syn był przy tym i patrzył na mnie ze wstrętnym uśmiechem na gładkim licu. Odczekałem godzinę i samopas cichaczem spróbowałem się przemknąć, ale znów natknąłem się na tego piekielnika Żalińskiego, który zapewnił mnie, że Janka stanowczo nie życzy sobie mnie widzieć, i zaczął wołać straż, więc oddaliłem się pospiesznie jak niepyszny.

To było 1 marca. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ledwie skończył się luty, minęły srogie mrozy i wybuchło nawet nie przedwiośnie, lecz wiosna na całego. W ciągu trzech dni spękał lód na Wiśle, przyszedł roztok i zniknął śnieg z ulic, odkrywając sterty śmieci, które pospiesznie usuwano. Jasne słońce po ciężkiej zimie sprawiało, że chciało się żyć.

W nocy 5 marca umarł senator Andrzej Wapowski.

ROZDZIAŁ 9 | WILKOŁAKI

Kraków, marzec 1574 roku

– Nareszcie ciepło – cieszył się złodziej Nóżka, pociągając z dzbana, który udało mu się wynieść niepostrzeżenie z szynku.

W istocie, noc, ciemna choć oko wykol, naprawdę była ciepła, co po ostatnich mrozach, kiedy musieli się kulić z chłodu i żebrać o noclegi w klasztornych kruchtach, było miłą odmianą. Siedzieli sobie we trójkę na szerokiej desce pod okapem dachu kościółka Świętej Marii Magdaleny, wygodnie wsparci o mur kościelny, stopy opierając o najbliższy położony grób, i było im przyjemnie.

– Sam będziesz pił? – zaniepokoił się kompan Nóżki, niejaki Zachariaszek.

– Naści, ino łyczek!

– A ja? – upomniała się żebraczka Choroba.

– A tobie damy, jak i ty nam dasz – zarechotał Nóżka, rad z udanego konceptu.

Choroba, z twarzą straszliwie zeszpeconą przez ospę, zasadniczo nie uprawiała nierządu, odstraszała bowiem klientów swym wyglądem, chyba że jak teraz okoliczności i ciemność jej sprzyjały. Nie gardziła bowiem najmniejszym zyskiem, gdyż córka uczyła się na krawcową i Choroba oddawała jej wszystkie pieniądze, nie chcąc, by dziecię poszło w ślady matki.

– O wa! Niegłupiam, chyba że macie jakieś mińce – odparła.

– Coś może by się znalazło.

– Tedy dajcie się napić i zaczekajcie.

Pociągnęła solidny haust, czknęła, otarła usta rękawem i potykając się ze dwa razy o mogiły na drodze, poszła za potrzebą w gęste krzaki rosnące pod murem cmentarza okalającego kościół. Zadarła kiece, których miała na sobie z pół tuzina, i kucnęła. W tym momencie na tle cmentarnej bramy zamajaczyły jakieś postacie. Wpierw myślała, że to nowi włóczędzy dołączyli do kompanii, ale wrzaski jej towarzyszy, szybko

ucięte w zarodku, i odgłos głuchych uderzeń wyprowadziły ją z błędu. Zmartwiała ze strachu.

– To na pewno wszyscy? Tylko dwóch? – usłyszała nawykły do rozkazywania głos.

– Na pewno, panie.

Błysnęło światło skrywanej dotąd latarki, którą ktoś uniósł w górę. Przerażona Choroba skuliła się, klepiąc bezgłośnie modlitwy i pragnąc zapaść się pod ziemię.

– W istocie – usłyszała wreszcie po chwili, która wydała jej się nieskończenie długa. – A szkoda, bo cholera mię trzęsie i sprawienie tych dwóch łachmytów nie ukoi mego gniewu. Chętnie zamieniłbym ich na jednego żabojada. Ha, trudno. Nie ma czasu, kończymy łowy. Brać ich i w drogę!

Jeszcze długo po tym, jak na cmentarzu zapanowała cisza, Choroba nie odważyła się wyjść z kryjówki, ba, nawet drgnąć. Nie czuła, że pocięło jej po nogach.

Kraków, marzec 1574 roku

– Wymaga sądu i sprawiedliwości od senatu i ciebie, miłościwy panie, niewinna krew zamordowanego współtowarzysza naszego, wymagają tego obfite łez strumienie pozostałej wdowy i niewinnych osieroconych dzieci, wymaga też krwią zbroczona twa sypialnia i łóżce, wymagają na koniec wszystkie prawe i cnotliwe serca, którym okażesz w tej sprawie odwagę i sprawiedliwość królewską! – dobitnie zakończył odczytywanie skargi Stanisław Maciejowski, szwagier zabitego, tocząc okiem po zebranych.

Odpowiedział mu szmer potakujących głosów:

– Dobrze prawi! Na gardle pokarać gwałtownika! Na pień z łotrem!

I wszystkie oczy spoczęły na wdowie w czerni, Katarzynie z Maciejowskich, która nic nie rzekła, tylko wyciągnęła do króla ręce, na których trzymała małego synka. Chłopczyk zaczął płakać. Król odczekał, aż Jan Zamojski przetłumaczy mu skargę, po czym przez Pibraca po łacinie wezwał do stawiennictwa oskarżonego. Wówczas odezwał się miecznik Andrzej Zborowski, mówiąc zuchwale i kłamliwie:

– Najjaśniejszy panie, brat mój Samuel, rotmistrz królewski, czując się niewinnym i ponaglany ważnymi sprawami, opuścił Kraków przed czterema dniami. – Samuel ukrywał się w kamienicy Szarej i miał tam siedzieć cicho, aż do uniewinnienia go przez króla; innego wyroku Zborowscy nie brali pod uwagę.

Obrzucił pogardliwym spojrzeniem zebranych, nic sobie nie robiąc z wrzawy i nieepochlebnych okrzyków pod adresem swoim, brata i całej rodziny.

Stała z boku, osamotniona i zrozpaczona, tłumiąc łzy. Czuła wielki żal do losu, który wpierw obdarował ją ponad spodziewanie, by zaraz potem wszystko odebrać. Nie zauważyła, że śledzą ją czyjeś pożądlive oczy.

Kraków, marzec 1574 roku

W antyszambrach królewskich kłębił się cały tłum faworytów zwanych *mignons*, a przez Polaków z obrzydzeniem „pieszczochami”, których Henryk zabrał ze sobą z Francji niemałą gromadę. Jedni siedzieli na wielkiej zamczystej skrzyni okutej metalowymi taśmami wyciętymi w heraldyczne lilie, drudzy przechadzali się, trzeci rozmawiali w grupkach. Oprócz cynicznego i amoralnego szambelana René de Villequiera, który większość tych młodych i krzepkich młodzieńców wynalazł i podsunął Henrykowi, był tu mistrz garderoby Gilles de Souvray, pokojowiec Jan du Halde, sekretarz Martin Ruzé, wyrachowany Normandczyk Franciszek d’O pan de Fresnes, świętoszkowaty Franciszek d’Epinay pan de Saint-Luc, piękny Livarrot, przypochebny poeta Filip Desportes, dowódca gwardzistów kapitan Mikołaj de Larchant, Roger de Bellegarde; na koniec, ale nie ostatni, okrutny i bezwzględny Ludwik de Clermont, szerzej znany jako Bussy d’Amboise, gwałciciel kobiet i morderca, który w noc świętego Bartłomieja ubroczył się w krwi hugenotów po łokcie.

Nawet we Francji byli oni nieoświeconemu ludowi mocno obmierzli, tak przez swój zwyczaj wszczynania swawoli i wynoszenia się, jak przez dziwaczne, zniewieściałe stroje i dary niezmiarzone, które otrzymywali od króla. Ci piękni pieszczoszkowie nosili włosy przydługie, fryzowane i podkulone, zawijając je ponad aksamitnymi birecikami, kobiecym obyczajem, oraz niewieście giezła płócienne z kryzami nakrochmalonymi i długimi na pół stopy. Śmiano się, że ich głowy ponad kryzą przypominały głowę świętego Jana na półmisku. Nawet dzieci szkolne szydziły z mignonów, ubierając papierowe kryzki i naśladując napuszone miny i postawę pieszczochów. Lecz nikt nie odważyłby się zaśmiać mignonowi w twarz. Bo owszem, odziewali się, malowali twarze jak kobiety i kochali wedle włoskiego obyczaju, gorszącego niektórych niepomnie, ale równie dobrze potrafili także wygodzić niewieście co mężowi, a ponadto byli zapalczywi i skorzy do chwytania za broń, którą władali wybornie.

Jacques de Lévis hrabia Caylus *alias* Quélus wyszedł z sypialni królewskiej, krocząc sztywno i poprawiając na sobie wymięte odzienie. Na ustach miał rozmazaną szminkę, w oczach zaś wyraz tryumfu. Niedbałym gestem poprawił długie włosy wymykające się z kunsztownego upięcia, po czym pieszczotliwie pogładził przepiękne i niezwykle kosztowne diamentowe kolczyki, których wcześniej nie miał. Uśmiechając się drwiąco i nic sobie nie robiąc z wściekłych i zazdrosnych spojrzeń wszystkich obecnych bez wyjątku, powiedział:

– Du Guast, jego królewska mość cię wzywa.

Ludwik de Béranger pan du Guast, starszy o parę lat od Henryka, był mu zarazem przyjacielem, powiernikiem, kochankiem i mentorem. Miłował go tak bardzo, jak nienawidził reszty Walezjuszy, z wzajemnością zresztą. Królowa matka nie cierpiała

go za to, że nie chciał się jej kłaniać, zaś Margot twierdziła, że „urodził się, by czynić zło” i zdemoralizował Henryka, „nabijając mu głowę tysięcznymi tyrańskimi maksymami: że należy kochać tylko samego siebie i ufać tylko samemu sobie, że nie należy z nikim wiązać swego losu, nawet z bratem lub siostrą, a także innymi pięknymi makiawelskimi zaleceniami”. Odpłacał jej równą nienawiścią i nazywał kurwą. Ale za Henryka dałby się posiekać, a mało kto dorównywał mu w szermierce.

– Usiądź tu – półożąc na łożu, król poklepał miejsce przy sobie – i poradź, co mam uczynić z tym utrapieńcem Zborowskim.

– Samuel sam jest sobie winien – rzekł, przysiadając na brzegu łoża.

– To prawda, lecz pamiętaj, ile zawdzięczam Zborowskim.

– Oddałeś im już większość swoich klejnotów, *sire*.

– Ale to wszystko mało. Domagają się więcej. Gotowizny albo stanowisk, no i uwolnienia Samuela jako *conditio sine qua non* [102]. Przy tych chciwcach zrobię się niedługo niezgorszym łacinnikiem – Henryk chciał zakląć, lecz w porę się zmytygował, bo nigdy tego nie robił, co go wyróżniało na dworze francuskim, gdzie przeklinanie było w modzie, a celowały w tym niewiasty.

Faworyt zastanawiał się chwilę, po czym odparł:

– „Książę, zmuszony posługiwać się dobrze naturą zwierząt, powinien spośród nich wziąć za wzór lisa i lwa, albowiem lew nie umie unikać sideł, a lis bronić się przed wilkami. Trzeba być lisem, by wiedzieć, co sidła, i lwem, by budzić postrach wśród wilków” [103].

– Machiavelli?

Skinał głową i ciągnął:

– Co do możliwych, to są ich dwa rodzaje. Tych, którzy stają się zależnymi, powinno się honorować i miłować, zwłaszcza jeśli nie są chciwi. Co do drugich trzeba uważać; gdy z wyrachowania i przez ambicję nie przywiązują się do ciebie, należy ich traktować jak otwartych wrogów. To też z Makiawela.

– Cóż zatem radzisz?

– „Dobre rady, od kogokolwiek bądź pochodzą, powinny wynikać z mądrości księcia, a nie mądrość księcia z dobrych rad” [104]. Ponieważ wiem, żeś już podjął decyzję, panie, przeto nie powiem ci nic nowego: wyrokuj tak, aby wilk był syty i owca cała. Zamojski jest doktorem obojga praw, na tutejszym prawie zna się wybornie, on ci doradzi.

– Właśnie tak zamierzałem uczynić – uśmiechnął się Henryk i położył dłoń na jego udzie. – Ależ ty mnie znasz, Ludwiku... *À propos*, nie wiesz, czy Domino już urządził nam dyskretne gniazdko, w którym moglibyśmy czuć się swobodnie i pofolgować sobie jak ongi w Luwrze, z dala od wścibskich oczu tych dewotów, co mi nieustannie patrzą na ręce i nie tylko?

– Wiem, że wynalazł zamek myśliwski gdzieś pod miastem, który wszak z dawna nie był używany i wymaga ochędożenia. Poza tym potrzeba nieco czasu, by ściągnąć

doń nasze niewiasty rozproszone po całym mieście – od dotyku palców króla poczuł mrowienie, które wędrowało w górę, w kierunku łędźwi.

– Widziałem dziś na posłuchaniu dziewczkę. Kruczoczną, o oczach jak szmaragdy. Chcę, byś mi ją wkrótce sprowadził – dłoń króla ożyła. – A może urządzimy sobie *Fête des Innocents* [105]?

Na dworze francuskim, gdzie nieustannie krążyły sprośne żarty i spółkowano na potęgę, w noc przed Dniem Niewiniątek panowie zakradali się do dam dworu, które tej nocy spały nago po dwie, trzy, i usiłowali wpaść do sypialni upatrzonych panien, by uderzyć taką śpiącą *l'innocente* w kształtny tyłeczek i wymacać do woli lub choć do syta napaść oczy jej krasą; dlatego co cnotliwsze lub przebieglejsze zmieniały miejsce spania albo zrywały się grubo przed świtem.

– Z tym może być kłopot. Raz, że do Dnia Niewiniątek daleko, a dwa, ci parafianie na pewno nie znają takiego zwyczaju, zaś królowna, chodząca cnota, ponoć bardzo jest na takowe zbytki wyczulona, odkąd brat porwał jej sprzed nosa dwórkę, niejaką Zaja... Zaję... Zajęzkowską. A jej ochmistryn timer Żalińska czujna jest i groźna jak Cerber. Zrobię, co się da, lecz to może potrwać...

– Tedy przekaz Małemu Polacron, żeby na tę noc wyszukał mi jakąkolwiek tutejszą dziewczkę znającą się na rzeczy, bo nasze wychodzą mi już bokiem, a teraz... – długie, ruchliwe palce Henryka dotarły do celu.

Kraków, marzec 1574 roku

Wyłonili się z mroku nagle, jak duchy nocy albo diabły z piekielnych czeluści. Było ich trzynastu. Czarne sylwetki na tle ciemności nocnych, z daleka stapiające się z tłem. Szybko rozbiegli się i utworzyli półksiężyc, jak wilki albo Tatarzy. Posuwali się ostrożnie, ale pewnie i bezszelestnie. Ich krótkie peleryny powiewały niczym skrzydła nietoperzy. Przywódca przytknął do ust świstawkę i wydał cichy gwizd. Skupili się wokół niego, przylegając do muru kościelnego i nasłuchując. Sprzed przyklejonej do cmentarnego muru kościoła Świętego Idziego „Drewnianej Klety”, na wpół podłej oberży, na wpół jeszcze podlejszego zamtuza z tanimi gamratkami, dobiegał szmer rozmów, piski i śmiechy. Piękna wiosenna aura sprzyjała łasciwii na powietrzu. Jedna z czarnych postaci wychyliła się za załom muru, po czym wystawiła w kierunku ukrytych towarzyszy cztery palce. Czwooro! Wciąż milcząc, przywódca wskazał czterech ludzi, którzy wyjęli sztylety i skoczyli naprzód.

Dwie pary, które migdały się u wejścia do spelunki, nie zdążyły zareagować. Mężczyźni zresztą z reguły, mając opuszczone spodnie, reagują z opóźnieniem. Śmierć była dla nich łaskawa, zaskakując ich w momencie najwyższej rozkoszy. Sprzedajne dziewczki jak zwykle bez emocji oddawały się swojej profesji, lecz i tak tylko jedna zdołała otworzyć usta do krzyku. Mimo to żaden dźwięk nie zdążył

wydobyć się z przeciętego gardła.

Przywódca dał znak i pozostali dołączyli do kompanów, odzierających nierządnicę z odzienia. Wtem, skrzypiąc, otworzyły się drzwi gospody i jakiś pijak wytoczył się na zewnątrz. Na widok czarnych, zamaskowanych postaci natychmiast wytrzeźwiał.

– Do pioruna! Co jest?!

Celnie rzucony nóż urwał jego ostrzegawczy wrzask w zarodku, ale to wystarczyło, by w speluncie uczynił się ruch.

– Naprzód! – zawołał herszt. – Nie żywić nikogo!

Wpadli do środka i zaczęła się rzeź. Wpierw wymordowali gości pijących na dole, w głównej izbie karczemnej, potem poszli na górę, gdzie mieścił się lupanar. Po dwóch wpadali do klitek i zabijali kochających się lub uśpionych. W parę minut było po wszystkim – przed chwilą jeszcze tętniąca życiem gospoda spłynęła krwią. Rannych dobito. Zapanowała śmiertelna cisza. Niektórzy z zaatakowanych mieli broń i umieli się nią posługiwać, ale nie z taką niezrównaną biegłością jak napastnicy, poza tym byli pijani i zaskoczeni. Nie padł ani jeden strzał. Wszystko odbyło się w mrozącej krew w żyłach ciszy, jeśli nie liczyć przedśmiertnych wrzasków mordowanych. Ale gospoda cieszyła się złą sławą i nawet jeśli w sąsiedztwie coś usłyszano, nikt nie zareagował.

– Zapalcie pochodnie! – polecił; nie brał udziału w rzezi, jedynie dowodził. – Wiecie, co czynić.

Kraków, marzec 1574 roku

Siedziały kręgiem w szóstkę i na drogocennej, błękitnej materii jedwabnej pilnie wyszywały złotogłowie francuskie lilie. Wkrótce dzięki tej pracy miała powstać wspaniała ślubna suknia dla ich pani. Janka nienawidziła tej roboty, podobnie jak większości typowo niewieścich zajęć, którym tutaj oddawano się z upodobaniem.

Chcąc nie chcąc, słyszała, o czym *Infans Regni Poloniae* rozmawiała ze swoimi przyjaciółkami i rowiennicami, damami dworu, przez jej siostrę Zofię nazywanymi „sekretarkami”: krajczyną Zofią Łaską, Elżbietą Świdnicką i Katarzyną Orlikową. Wszystkie trzy, jak kwoki dziobiące ziarno, kiwały potakująco głowami i uśmiechały się przypochlebnie, gdy królowna po raz nie wiadomo który, chichocząc jak nastolka, chwaliła się, że król w tym miesiącu odwiedził ją już trzy razy, rozmawiali ze sobą po włosku i ślubu tylko patrzeć. Rzadko bywała tak wesoła jak dziś, zresztą w każdej chwili nastrój mógł jej się odmienić aż do ponurej dewocji, gdyż była humorzasta. Łatwo się wzruszała i często płakała. Wmawiała sobie różne choroby i chorowała naprawdę: na nieustanną newralgię, na bóle w głowie i lewym oku ze strzykaniem, aż się z tego febra brała, nękała ją fluksja, bóle zębów, kolka, morzenie żywota, krzyża

łupanie, żołądka wielkie palenie. Najgorzej było jesienią zeszłego roku, gdy do febrji tercjanij przyłączyły się bóle wewnętrzne i mdłości, królowna nie mogła jeść i siedzieć i wiele tygodni przeleżała.

Choć nie miała w tej materii zbytniego doświadczenia, domyślała się, że właśnie wówczas u infantki zaczęło się to, co dotyka wszystkie niewiasty około pięćdziesiątki. Nie lubiła swojej pani, lecz współczuła jej, albo raczej żałowała i tylko z tego powodu nie zdecydowała się jeszcze odejść. Dlatego nie mogła słuchać jej radosnego szczebiotu. Patrząc chłodnym okiem, widziała bowiem, że wszystkie trzy wizyty króla nie trwały dłużej niż kwadrans każda, a król z trudem hamował zniecierpliwienie. Była jakmiarż pewna, że do żadnego ślubu nie przyjdzie i królowna przeżyje ogromne rozczarowanie. I właśnie dlatego nie mogła jej teraz opuścić. Gdy skończyły robotę na dziś i otrzymały pozwolenie odejścia, z ulgą pobiegła do swej izby i książek.

– Ejże, panie, obcy tu nie mają przystępu!

Jan Żaliński zastąpił tamtemu drogę. Znów za nią łąził! Zagadnięty nic nie odparł, pewnie nawet nie zrozumiał pytania. Spojrzał tylko z góry na kasztelanica, po czym przyłożył mu otwartą dłoń do twarzy i pchnął silnie. Młodzieniec stracił równowagę, padł w tył, nakrywając się nogami i uderzając głową o pawiment. Znieruchomiał.

– *Mademoiselle...*

Bardziej zdumiona niż rozgniewana, spoglądała na dłoń zaciśniętą na jej ramieniu. Poznała intruza. Był to du Guast, faworyt królewski, nie tylko ze względu na szramę na twarzy odrażająca postać, jak większość z nich. Zaprzyjaźniła się jedynie z karłem, Janem Krasowskim, zwanym przez tamtych Dominem albo Małym Polacronem, wszak bardziej Polakiem niż Francuzem. Dużo słyszała o francuskiej galanterii, lecz to były widać łąże. Ci, którzy przyjechali z nowym panem, z reguły patrzyli na nią i drugie dwórki z góry i traktowali z ostentacyjnym lekceważeniem, maniery zaś mieli grubsze niż polscy stajenni.

– Słucham – zdecydowanym gestem strząsnęła jego dłoń.

– Masz panna pójść ze mną.

– A to z jakiej racji?

– Bo tak sobie życzy ktoś, czyjego imienia nie mogę wymieniać, ale któremu się nie odmawia.

– Tedy powiedz temu komuś, *sieur*, że przyjmuję rozkazy jedynie od jej wysokości królowny Hanny i od nikogo innego.

– Pożalujesz. I wiedz, że mój pan nie uznaje słowa nie, jeśli ma na coś oskomę. Jeśli nie dają po dobroci, zabieramy siłą.

Próbował ją pochwyć, twarz miał groźną, szrama podbiegła krwią. Nie wąpiła, że mimo nieco zniewieściałego wyglądu był bardzo niebezpieczny. Poczwała silną woń perfum i jeszcze silniejszą ostrego, męskiego potu. Ech, ci Francuzi. Często zlewali się pachnidłami, ale myli rzadko. Zerknęła za siebie. Tu, na końcu korytarza, nikt się nie kręcił. Nawet krzyku prędko by nie usłyszano. Dwór Anny Jagiellonki z braku środków był mizerny, zaledwie dwudziestoparosoobowy. Mimo to nie ulękała się.

Odskoczyła i zrobiła ręką gwałtowny ruch. Nie wiadomo skąd dobyty nóż, drgając, wbił się w drewnianą okładzinę o włos od głowy mignona, który pobladł i zamarł w bezruchu.

– To twoje ostatnie słowo? – warknął.

– Nie. Mam jeszcze cztery podobne, jeno celniejsze.

Obrócił się na pięcie i odszedł bez słowa. Oparła się o ścianę. Drżała. Wiedziała, że nie może nikomu powiedzieć o tym, co się zdarzyło. Królowa bez pamięci, pierwszą miłością w wieku pięćdziesięciu lat była zakochana w królu i nie dałaby wiary, ochmistryni Żalińska uznałaby ją za wszetecznicę mamiącą mężczyzn wyzywającym zachowaniem, a przyjaciółki... Nie miała przyjaciółek. W ogóle brakowało tutaj kogokolwiek bliskiego, kto by się o nią troszczył i jej bronił. Zaczęła doceniać to, co miała do zaoferowania skromna gospoda „U Balcera”. Pod powiekami poczuła łzy.

– Kacper, Stachnik, gdzie jesteście? – szepnęła ledwo słyszalnie; od niedawna znów myślała o Ryksie i przekonała się, że nie tak łatwo wyrzucić go z pamięci.

Otarła oczy, schyliła się i zaczęła cucić Żalińskiego. W nocy najpierw długo nie mogła usnąć, a potem coś ją obudziło grubo przed świtem. Nie wiedziała co, lecz była niespokojna. Chwilę leżała z otwartymi oczyma, potem wstała, zapaliła świecę i próbowała czytać, ale niepokój jej nie opuszczał. Podeszła do okna. Noc była wyjątkowo jasna, księżyc oświetlał plac przed katedrą i zaglądał do jej izby. Już miała zgasić świecę, wtem zamarła bez ruchu. Jakaś ciemna sylwetka wymknęła się z bramy zamkowej i szybkim krokiem przecinała plac, trzymając się katedralnego muru. W pewnej chwili mężczyzna odwrócił głowę i wówczas zobaczyła jego twarz. Nie znała go, należał do licznej gromady Francuzów, wskazywały na to kuse szaty. Nagle zorientowała się, że on również patrzy na nią. Szybko zdmuchnęła świecę, a on oddalił się prędko. Zaintrygowana przyglądała się, jak znika w mroku przed wieżą Złodziejską, i wciąż trwała przy oknie, gdy może kwadrans po tamtym, zamek opuściła następna dwójka, kobieta i mężczyzna. Ona miała jasne włosy i było coś znajomego w jej ruchach, jego spowijała opończa. Poszli w ślad za pierwszym nocnym markiem, zaś Janka już nie usnęła tej nocy.

„Bacząc na przeciwne zdania senatorów oraz zawłości statutów, stanowimy, iż Samuel Zborowski, niechcący stawić się w sądzie, na zawsze z Królestwa Polskiego, Wielkiego Księstwa Litewskiego i innych państw koronnych wywołanym ma być z zabranem na skarb majątku jego, bez utraty jednak czci i sławy. Rozkazujemy także, aby niniejszy wyrok nasz do skutku przywiedziono, tegoż Samuela Zborowskiego w miejscach publicznych przez woźnych za wygnańca i banitę ogłoszono, uniwersały stosowne do starostów posłano. Do którego to wyroku dla większej wiarygodności pieczęć naszą przyłożyliśmy”.

Ten iście Salomonowy wyrok nie zadowolił nikogo. Zborowscy spodziewali się uniewinnienia i wdzięczni królowi bynajmniej nie byli. I to pomimo iż rzekomo

skonfiskowane mienie banity zostało natychmiast oddane jego braciom. Z kolei ich przeciwnicy oprotestowali wyrok od strony formalnej. Wdowa po zabitym wołała: „Jeżeli tak na mężobójców masz być sprawiedliwym, niechże ten twój wyrok będzie ostatnim!”. Zawilości prawne wyłuszczył nam Zamojski, który zawitał do gospody kilka dni potem.

– Prawo nasze drzewiej znało termin proskrypcji *alias* wywołania, które czyniło z wywołańca groźne zwierzę „na kształt wilka”, które każdy miał prawo i obowiązek zabić. Atoli w dzisiejszych czasach rozróżniamy banitę od infamisa. Banit może być zarówno *simplex*, czyli cywilny, co nie powoduje skutków karnych, jak i *in criminalibus*, co grozi za niestawienie się w sądzie w sprawie karnej i skutkuje wieczystym wygnaniem, a także przypadkiem mienia i wszelkich praw. W razie powrotu do kraju starosta ma prawo wykonać na takim wyrok śmierci. Z kolei infamis traci na domiar cześć, a jako bezecny może być bezkarnie zabity przez kogokolwiek. Zresztą jak pamiętacie, waszmościowie, nikt inny, jeno ojciec Samuela, Marcin, zabił banita Dymitra Sanguszkę i włos mu z głowy nie spadł. Z czego płynie nauka: nie czyni drugiemu, co tobie niemiło.

– Zatem, jeśli dobrze pojąłem, na Samuela nie nałożono infamii, jeno banicję. Tylko którą: *simplex* zali *in criminalibus*? – zapytał Kochanowski w imieniu tych przy stole, którzy jak ja pogubili się w prawnych zawilościach, czyli wszystkich.

– Prymas Uchański ujął to tak: „Pierwszy raz zdarzyło mi się słyszeć, aby w sprawie kryminalnej wydano dekret cywilny”. Jednak zdaniem moim i drugich jurystów wyrok nie pozostawia *dubium*: Samuel jest *bannitus in criminalibus*. Koniec kropka. Zresztą on wie to dobrze i ponoć już zbiegł do Siedmiogrodu.

Słuchałem uważnie. Zabicie zarówno infamisa, jak banita było praktycznie bezkarne, i to tak w kraju, jak i poza granicami, jak tego dowodził przykład Sanguszki. Przez chwilę przeszło mi przez myśl, by zapolować na Samuela, który nie był księciem jak Sanguszko. Lecz ja z kolei nie byłem Marcinem Zborowskim i ciekawe, czy i mnie uszłoby to na sucho. Mimo to miałem ochotę spróbować i uczyniłbym to, gdyby Samuel nie uciekł. Na Węgry nie zamierzałem się za nim udawać, przynajmniej nie zaraz. Tak czy owak korzyść była niewątpliwa – przestał zagrażać mnie i moim bliskim.

– Są już pierwsze efekty wyroku – Zamojski wyjął zmiętą kartę papieru i rozprostował ją na stole. – To król jegomość znalazł dziś w rano w łożu, a ponoć podobnych paszkwilusów krąży znacznie więcej. Masz, Kacprze, przeczuj na głos.

Podał mi kartę, którą odczytałem wedle życzenia:

Czemuż Francuz liliją na swym herbie słynie,
Stawszy się darniem w pańskim z lilijej dziardynie?
W jeden zapach się kwiaty chrześcijańskie zgodzą,
Sami tylko Francuzi i kolą, i smrodzą.

– Ja też słyszałem dziś ucieszne wersy – odezwał się jeden z posłów. – Jeśli dobrze pomnę, szło tak:

*Wzrostu małego,
Statku lekkiego,
Czarny włos mają,
Nauk mijają.
Są uszczypliwi
I skokotliwi.
Zbytecznikowie,
Lubo starcowie,
Przedawczykowie
I gamratowie.*

– I ja wiersz przyniosłem z miasta – wtrącił drugi i pokazał papier. – Zwie się *Odpowiedź przez Polaka wszetecznemu Francuzowi* i idzie tak:

*A nasz Polak nie cierpi pysznego Francuza,
Hardemu hardy będzie, by mu dostać guza.
Toć mi jest prawy barbar, co hardy, złośliwy
I cokolwiek z nim poczniesz, odmienny a lżywy.*

– Hola, mości panowie – mitygował towarzystwo Zamojski. – Nie godzi się takich rzeczy powiadać o naszym panu i jego krajanach.

– A bo też co to za król? – rzekł pogardliwie trzeci poseł. – Na posiedzeniach sejmowych siedzi, jakby kij połknął, i ani słowa nie wypowie. Istny „malowany król”, ot co!

– Co racja to racja – poparli go pozostali. – Sejm na niczym szczeźnie, jak tak dalej pójdzie.

– Jak tak dalej pójdzie – włączyłem się do rozmowy – służby miejskie nie nadążą z uprzątnieniem trupów z ulic. Nie ma dnia, a zwłaszcza nocy, by nie dochodziło do zwady z Francuzami, co włóczą się po ulicach. Co rano po kilku nieboszczyków naszych i obcych znajdują na ulicach. A co dopiero teraz się będzie dziać, to aż strach pomyśleć.

– Niedługo ten niegodny proceder ustanie – oznajmił Zamojski. – Albowiem wielu cudzoziemców już opuściło Kraków. A niedawno król kazał wyszykować stary zameczek myśliwski na Zwierzyńcu i do niego ściąga swoich rodaków rozproszonych po mieście.

– Osobliwie rodaczki. Też słyszałem o tym – krzywo uśmiechnął się Kochanowski.

– Oto co nam rządy Francuza przyniosły: francuskie obyczaje, lekceważenie

przysięgi, prześladowanie uczciwych ludzi, łudzące obietnice królewskie oraz wiele innych zdrożności – narzekali posłowie; Jan Zamojski próbował lojalnie bronić króla i jego postępowania, lecz z mizernym raczej skutkiem.

Pogrzeb senatora Wapowskiego zgromadził tłumy. Zarówno magnaci, szlachta, jak bogaci mieszczanie i prosty lud manifestowali swą wrogość wobec Zborowskich i współczucie dla wdowy z małym dzieckiem, idącej na czele konduktu w towarzystwie brata i reszty rodziny. Nieboszczyk wracał w ojczyste strony wieziony w ołowianej trumnie na wozie okrytym kirem i zaprzężonym w kare konie. Próżno wypatrywałem Janki. Rozpoznałem ją za późno w niewieście z zasłoniętą czarnym kapturem twarzą. Uciekła, zanim się zorientowałem, że to ona, wmieszawszy się między zawracających żałobników, gdy pochód, już tylko z wdową i jej krewnymi, opuścił miasto.

Przyszła do gospody następnego dnia. W żałobnej czerni, wymizerowana, ze śladami łez na licu. Oczywiście, w asyście nieodstępnego Żalińskiego, na którego nie mogłem patrzeć bez zgrzytania zębami. Nigdy nie podejrzewałem, że będę zdolny do takiej zazdrości. Zelozus! I to z powodu mizeraka, którego mógłbym zdusić jedną ręką. Też sobie supiranta wybrała, a dla mnie szampiera! Koń by się uśmieł! Tyle że nie byłem koniem i jakoś mi się nie chciało śmiać. Co on miał w sobie takiego, czego mnie nie dostawało? Ogładę? Modne stroje? O wa! też mi ważne rzeczy. Tytuł i pochodzenie? Zapewne tu był pies pogrzebany. I nic na to nie mogłem poradzić. A jednak co popatrzyłem na te przylizane włosy i pewny siebie uśmieszek, szlag mnie trafiał i miałem ochotę skopać mu zadek ukryty w bufiastych marynalach. Ale dopóki uchodził za narzeczonego lub prawie narzeczonego Janki, nie wolno mi było tknąć go nawet małym palcem, a co dopiero przymierzyć bota do jego pośladków, choć noga sama się wrywała, a bot skrzypiał prosząco: „Dozwól mi, dozwól!”.

Akurat tego wieczora mistrz Kochanowski zabrał gdzieś pozostałych posłów (domyślałem się gdzie, alem wolał cioteczki nie oświecać), rodzeństwo Francuzów też dokądś poszło, za to niezapowiedzianie przybyli panowie Zamojski, Górnicki i Drohojowski, więc wyściskaliśmy się serdecznie i aura była iście familijna (jeśli nie liczyć Żalińskiego). Janka zaledwie się przywitała, zaraz poszła na górę, a za nią pobiegła ciotka, do której izby chwilowo przenieśliśmy rzeczy Janki.

– Co ją ugryzło? – przemogłem niechęć i zapytałem Żalińskiego.

Wzruszył wąskimi ramionami.

– Nie wiem. Jakoweś panieńskie fummy.

– Ale ja wiem – odezwał się mistrz Górnicki, dobrze poinformowany, bowiem, jak mi było wiadomo, jako jeden z nielicznych cieszył się zaufaniem infantki i często bywał na jej dworze. – Nie żadne to fummy, jeno prawa krzywda spotkała pannę Joannę. Oto macocha w oczy zwyzywała ją od awanturnic i zarzuciła, iż omotała Jędrka Wapowskiego, by przywłaszczyć sobie nazwisko i wyłudzić nienależny spadek.

– Nic mi o tym nie wiadomo! – zdumiał się Żaliński.

– Ani mnie – dodał Zamojski, a Drohojowski tylko pokiwał głową.

– Bo też jejmość kasztelanowa przemyska poprosiła o rozmowę na osobności, jeno w przytomności królowy, a jam się tam akurat znalazł wypadkiem. Pani Wapowska dodała jeszcze, że nigdy nie uzna w pannie Joasi swojej pasierbicy, i wzbronila jej udziału w grzebaniu ojca. Znając co nieco pannę Joannę, jestem pewny, że nie tylko opłakuje nagłą śmierć ojca, ale boleje nad tym, że przypisuje się jej tak niskie pobudki.

– Szanuję jejmość Wapowską i pojmuję jej rozpacz po zgonie męża, niemniej w kwestii panny Joanny będzie musiała odmienić zdanie, już moja w tym głowa – rzekł twardo Zamojski, lecz nie wyjawiał, jak zamiaruje tego dopiąć.

Z góry zeszła ciotka i poprosiła mnie, bym wziął Niziołka i dwa duże kosze, poszedł do spiżarni i nappełnił je wiktuałami z naszych najlepszych zapasów. Nie wyjaśniła po co, a ja nie spytałem. Kiedyśmy się uporali z robotą, a Janki wciąż nie było, pod lada pozorem wymknąłem się na górę. W komnacie ciotki jej nie znalazłem, była w swojej izbie. Stała przed lustrem z grzebieniem w dłoni i krytycznym okiem wpatrywała się w swoje odbicie.

– Okropnie wyglądam, prawda? – spytała, nie odwracając głowy.

– Dla mnie nigdy nie wyglądasz okropnie – odparłem z przekonaniem. – Ja...

– *Indicia Cracoviensia!* [106] – wpadła mi w słowo. – Jak mam sobie tłumaczyć to? – zdjęła z grzebienia długi pozłocisty włos i uniosła w górę, trzymając z obrzydzeniem w dwóch palcach jak zdechłą mysz. – Widzę, żeś szybko się pocieszył po moim odejściu. Słyszałam, że ta francuska wywłoka jest bardzo piękna. Powinszować. Skoro znów gustujesz w blondynkach, to ci powiem, że wczoraj spotkała na zamku tę dziewczkę dwojga imion, co tu drzewiej pracowała. Kazała wszystkim pozdrowić, zaś ciebie w szczególności. O jedno cię wszak proszę: nie rozdawaj swoim nałożnicom moich rzeczy! – odrzuciła grzebień ze wstrętem.

– To nie tak jak myślisz. A grzebień ci odkupię.

– Nic od ciebie nie chcę. Zawiodłeś mnie. Czemuś nie przyszedł zapytać o zdrowie mojego ojca, albo i spróbować mu pomóc?

– Jak to nie? Chciałem, lecz mnie nie dopuszczono.

– Trzeba było wpięć do mnie.

– Też próbowałem. Dwakroć, za każdym zostałem odprawiony.

– Nie łżyj! – zacisnęła usta, a z oczu sypnęły się błyskawice. – Przecież specjalnie przysłałam pana Żalińskiego, żeby cię przywiódł na zamek, rachując, iż zabierzesz ze sobą także ojca Rocha. A tyś mu odrzekł, że nie poradzisz przyjść, bo masz pilniejsze sprawy!

Zamurowało mnie i długo nie mogłem odzyskać mowy.

– To nieprawda... – zacząłem, żałując, że akurat teraz nie ma mistrza Kochanowskiego, żeby potwierdził moje słowa, lecz nie pozwoliła mi dokończyć.

– Wiem dobrze, że już ci na mnie nie zależy, a śmierć mojego ojca wcale cię nie

obeszła.

– To nie tak... – próbowałem jej przerwać, ale znów nie pozwoliła mi nic powiedzieć.

– Mniemałam, żeś mi bratem. Ale gdybyś naprawdę nim był, wpierw uczyniłbyś wszystko, by ocalić mego ojca, a potem pomścił jego śmierć. Bardzo się na tobie zawiodłam.

– Oczekiwałaś, że zabiję Zborowskiego?

– A czemu nie? Teraz to banit i infamis. Każdy może go bezkarnie ubić jak psa. Sama wyruszę za nim w pogoń, jeśli nie znajdzie się nikt odważny.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem.

– Chyba żartujesz. Jak myślisz, dlaczego Samuel nie stawiał się na sąd królewski, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że nigdzie nie wyjechał, jeno siedział u siebie w Szarej kamienicy, pewien uniewinnienia? Gdzie wonczas był starosta? A gdzie jest teraz i on, i drudzy justycjariusze, a także gromada tych, co nienawidzą Zborowskich jak zarazy? Czemu nikt nie ściga Samuela? Powiem ci: boją się, bo wiedzą, że mieliby do czynienia z całą potężną rodziną, której wpływy u króla bynajmniej nie osłabły. Ja zaś już i tak zrobiłem głupstwo po śmierci Głupiego Jasia, kiedy...

– Mówisz tak, bo sam się boisz! – odparła z pogardą, ponownie mi przerywając.

– Dobrze, obejdzie się bez twojej pomocy. Na szczęście są jeszcze drudzy, co w żyłach mają krew, nie wodę.

Tym razem przebrała miarękę. Z usposobienia jestem wszak cholerykiem i właśnie sobie o tym przypominałem.

– Być może jestem tchórzem. Ale muszę także myśleć o ciotce i tym domu, któremu oboje zawdzięczamy co nieco, bo w przeciwieństwie do ciebie nie urosłem tak, żeby nad starych i wypróbowanych przyjaciół przenosić takich jak Żaliński, byle szlachetnie urodzonych! Wiesz, jak ciotka wypłakiwała sobie oczy z tęsknoty za tobą? A ty co? Ile razy do niej napisałaś przez rok z okładem? Raz czy dwa, nie więcej, do mnie zaś wcale. I chcesz, bym cię pomścił. A gdzie są twoi szlachetnie urodzeni nowi znajomi teraz, kiedy ich potrzebujesz?

– Ach, więc to moje szlachectwo stoi ci ością w gardle? – ona też nie należała do natur flegmatycznych albo melancholicznych, dlatego tak często między nami iskrzyło. – Tedy w istocie nie mamy o czym gadać.

Dumnie uniosła głowę i minęła mnie jak nieświeże powietrze, rzucając w przelocie:

– Zarzucasz mi, że nie pisałam do ciebie. A tyś do mnie pisał? Przyganiał kocioł garnkowi!

Odczekałem chwilę, by ochłonać, i też zszedłem na dół, akurat w porę, by usłyszeć, jak Janka mówi:

– Wybaczcie, waszmościowie, ale muszę już iść. Czekają na mnie. Mości Żaliński... Mateczko, czy Niziołek mógłby pomóc mi to zanieść do zamku? – wskazała przygotowane kosze.

– Oczywiście, córuś – ciotka dała znak olbrzymowi, który zaczął się zabierać do wyjścia. – A zaglądam, jak często chcesz, i bierz jak swoje.

– Dziękuję, mateczko. A waszmościowie winni się wstydzić! Jej wysokość wszak nieraz błagała panów senatorów i posłów, by dopuszczono ją do spadku po bracie albo wyasygnowano sumy na utrzymanie. I co? I nic! A królewna i dwór cały nieomal głodują!

Drohojowski i Górnicki spuścili głowy, zawstydzeni niczym żacy, jeden Zamojski wytrzymał pełne wyrzutu spojrzenie Janki.

– Dopilnuję, by sprawa dziedzictwa po królu nieboszczyku i sieroctwa królewny stanęła na porządku obrad sejmowych jak najrychlej – obiecał. – A skoro o spadku mowa... – wyjął z zanadru jakiś papier. – Oto jest poświadczony rejentalnie uznaniem waćpanny za córkę przez Jędrzeja Wapowskiego, kasztelana przemyskiego i senatora Rzeczypospolitej wraz z przypuszczeniem do herbu Nieczuja i udziałem w dziedzictwie po rzeszonym Jędrzeju. Miał żem przyjemność być jednym z iszczów podpisanych na owym papierze. Proszę.

Podał dokument Jance. Oglądała go chwilę.

– Z tego powodu dawni znajomi nie chcą mnie znać. Tymczasem macocha mnie nie uznaje i nigdy nie uzna. Rodzina ojca nie pozwoliła mi nawet odprowadzić go w ostatnią drogę. Nie chcę od nich niczego. Nie opuszczę jak drudzy infantki, póki jestem jej potrzebna, ale potem wrócę tutaj, jeśli mateczka dozwoli. Oto co myślę o wszelkich tytułach, splendorach i legatach! Żegnam!

Patrząc na mnie wyzywająco, na naszych zdumionych oczach przedarła papier, skinęła czekającym Żalińskiemu i Niziołkowi i wszyscy troje wyszli, zostawiając nas z rozdziawionymi ustami.

– Przebóg, co za dziewczka! – oddał powszechne odczucie mistrz Górnicki.

– Moja krew... – rzekła ciotka, puchnąc z dumy, lecz uświadomiła sobie absurdalność takiego stwierdzenia i umilkła zawstydzona.

– To było dumne, ale nierozsądne. Kacprze – powiedział Zamojski, podnosząc z podłogi rozdartą kartę – sklej to i przechowaj. Z pewnością jeszcze się przyda.

Następne dni były nieciekawe. Chodziłem na zajęcia na uniwersytecie i prowadziłem lekcje z żakami u duchaków. Niby przygotowywałem się do bakalaureatu, lecz szło mi niesporo. Jakoś nie potrafiłem jak należy zająć się zielarstwem. W mieście wciąż wrzało i polowano na Francuzów, niemniej trup nie ściełił się już tak gęsto, jak zaraz po wyroku na Zborowskiego. Z tej prostej przyczyny, że większość cudzoziemców jeśli nie wyjechała na dobre, to wyniosła się poza mury miejskie, na Zwierzyniec. Plotkowano, że nocami król jegomość wymyka się z Wawelu i w ogrodach królewskich na Półwsiu Zwierzynieckim tudzież w tamecznym zamku myśliwskim oddaje się niesłychanej lasciwii z francuskimi ladacznicami. Szeptano, że król i jego świta zażywają z owymi dziewczkami swadźbienia na modłę grecką. Znów zaczęły się szerzyć paszkwily i prześmiewcze wiersze nieznanego autorstwa.

Miało to związek z tym, iż sprawy sejmu koronacyjnego nie posuwały się naprzód. Senat spierał się z posłami, którzy upominali się o zatwierdzenie swych praw i przywilejów. W samym senacie też nie było zgody. Biskupi wadzili się z senatorami protestanckimi, tak jak w sejmie skakali sobie do oczu posłowie kacerscy z katolickimi. Prusacy chcieli oderwać się od Rzeczypospolitej, Litwa to samo, o ile nie zostaną im zwrócone ziemie włączone do Korony na pamiętnym sejmie lubelskim. Do tego wciąż co rusz odżywała sprawa Zborowskiego, także dzieląc posługujących. Wykorzystywał to król i jego doradcy, Retz, Nevers i Opaliński, przewlekając obrady, byle tylko nie zaprzysięgać niewygodnych dla siebie artykułów. Za to gorliwie uczestniczył w nabożeństwach i nieszporach. A kiedy znudziło mu się wysiadywanie na posiedzeniach senatu, zaczął udawać chorobę, po to by uniknąć uciążliwych powinności i nie przyjmować u siebie natrętnych delegatów. A równocześnie właśnie wówczas zaczął przekradać się nocami na Zwierzyniec, a ponoć także, *incognito*, do zamtuzów w mieście. O tym wszystkim dowiadywałem się od przyjaciół i posłów goszczących w naszej karczmie, którzy nie kryli swego oburzenia i z wolna razem z innymi szykowali się do powrotu do domów, nie wierząc już, żeby sejm cokolwiek uskutecznił. Odgrażano się, że jeśli król ostatecznie nie zatwierdzi artykułów henrycjańskich, jego prawo do korony i królewski tytuł zostaną zakwestionowane. Czekano jedynie na najważniejszy moment, wieńczący każdy sejm: rozdanie wakujących krzesel i starostw. Schyłek obrad oznaczał zbliżanie się końca złotych żniw dla miasta.

Tego dnia przed południem, po zakończeniu porannych zajęć, spotkała mnie siurpryza, bo oto zaraz za bramą Collegium Maius czekało trzech ludzi w barwach Firlejów, ze złotym lewartem na czerwonym polu, oraz sam starosta kazimierski Mikołaj. Słyszałem, że staremu Firlejowi parę dni temu urodził się z trzeciej żony syn Henryk, którego trzymał do chrztu król. Wzruszenie tak osłabiło zatwardziałego kacera, że zległ w łóżu.

– Byłem u waszmości w domu – rzekł Mikołaj – ale powiedziano mi, że tu cię zastanę.

– Czym mogę służyć?

– Mój ojciec chciałby, abyś mu pomógł. Chodzi o mord, i to dubeltowy. Jeśli masz pan czas, tedy siadaj na koń i w drogę.

Nie miałem wykładów po południu, zatem dosiadłem podanego mi luzaka i ruszyliśmy z kopyta, ku niezmiernemu zaciekawieniu moich kolegów, którzy byli tego świadkami. Opuściliśmy miasto broną Wiślną i groblami dojechaliśmy pod zamek, ale nie skręciliśmy ku niemu, tylko nad Wisłę, w kierunku ni to osady, ni ubogiego przedmieścia Rybaki. Tu zeskoczyliśmy z wierzchowców. Okolica wyglądała na wyludnioną, nawet dzieci nie kręciły się nad wodą. Lecz ze wszystkich okien śledziły nas dziesiątki ciekawych i wylęknionych zarazem oczu. Mikołaj Firlej jednemu ze swoich ludzi kazał pilnować koni, po czym zaprosił mnie do najbliższego z czółen wyciągniętych na brzeg, a pozostałej dwójce polecił wiosłować.

– Dokąd płyniemy? – spytałem, coraz bardziej zaintrygowany.

– Na Ostrów Tatarski.

Co oznaczało, że niedaleko, bowiem Ostrów Tatarski leżał o rzut kamieniem, w widłach, które tworzyły dwie odnogi Wisły: Stara i Nowa. Jeszcze niedawno kawałek dalej z biegiem Zakazimierki, na wprost doskonale stąd widocznego kościoła Na Skalce, stała tama, lecz przed trzema laty wielka powódź zniosła ją ze szczętem. Wyspa była duża, gęsto porośnięta krzakami, a nawet sporymi drzewami: olchami, grabami, a nade wszystko wierzbami, łoziną i tatarakiem. Nazwa poszła od tego, że trzymano tu, a i grzebano, gdy zmarli, brańców tatarskich wziętych w pęta przez księcia Konstantego Ostrogińskiego w potrzebie, która zdarzyła się w 1512 roku między wsią Łopuszną a zamkiem Wiśniowcem na Wołyniu. Usieczono wówczas aż pięć tysięcy pohańców, jeszcze więcej poszło w czymbor, zdobyto wielkie łupy i odzyskano mnóstwo jasyru. Po czym brańców zapędzono do robót przy zamku, który akurat król Zygmunt Stary przebudowywał na włoską modłę. Przypomniałem sobie, co pisał o tym imć Rej:

Tatarmi zmurowano ów zamek w Krakowie,

A to już bez trudności pewni Tatarowie.

Nie trzeba się z nimi bić ni gonić, łapając,

Dobrowolnie wpadnie w sieć ten z rękami zając [\[107\]](#).

Tych nielicznych, co przeżyli budowę, wcielono później do straży zamkowej i asystowali przy zaślubinach króla Starego z królową Boną, co w herbie miała Węża *vel* Smoka pożerającego czerwonej barwy Saracena, wszak też bisurmana jak owi Tatarowie. Z zamyślenia wyrwało mnie smagnięcie nisko zwieszanej nad wodą gałęzi. Wpłynęliśmy bowiem w tor wodny uczyniony w gęstwie oczeretu i zaraz potem przybiliśmy do brzegu. Na nasz widok z krzaków wyszło dwóch drabantów.

– Nikt się tu nie kręcił? – rzucił Firlej.

– Nie, wasza miłość! – odparli chórem.

Niedaleko brzegu, na kępie trawy pod dużą wierzbą, zobaczyłem ciało i serce na moment mi stanęło, bom od początku, gdym tylko dowiedział się, o co idzie, miał przeczucie, że komuś bliskiemu coś się złego przygodziło, najpewniej Jance. Rozpoznałem ślad na udzie, wysoko, pod samym łonem, ukryty przed niepowołanym spojrzeniem, znajomą piękną twarz, już nie tak piękną, bo zielonkawą z bezkrwistymi wargami, drugimi, większymi, uczynionymi na gardle, i wysadzonymi oczami, których już właściwie nie było. No i włosy, niegdyś długie i błyszczące, teraz mokre i zabrudzone mułem. Starosta kazimierski spostrzegł, co się ze mną dzieje, i raczej stwierdził, niż spytał cicho:

– Znałeś ją?

Stanęły mi w oczach jej uściski i odparłem:

– To Anna Grzybówna, córka rękodzielnika ze Skawiny. Pracowała u nas kiedyś.

Nazywaliśmy ją Kasią-Anusią.

– Dziś rano znalazło ją dwóch otroków, co poważyli się pływać w rzece, mimo iż woda jeszcze zimna. Najpierw ujrzeli to – pokazał to, co ja także już zobaczyłem, zawieszona dość wysoko na drzewie białe gieżło, łopoczące na wietrze niczym chorągiew – a potem nagie ciało, które leżało tak jak teraz, zaś ptaki właśnie klwały nieboszcze oczy. Uciekli z wrzaskiem i zaraz dali znać na zamek. Ojciec złożony niemocą, więc zabrałem kilku ludzi i przyplłynąłem sam. Ale gdym ujrzął to, od razu pomyślałem o waszmości. Wszak jesteś inwestygatorem królewskim i mimo młodego wieku cieszysz się niejaką sławą. A tu chodzi o kolejny mord popełniony niemal na oczach króla. Dość było turbacji z poprzednim. Cóż zatem o tym sądzisz?

Uklęknąłem przy zwłokach, nie dotykając ich. Najpierw rozejrzałem się po otoczeniu, lecz wokół ciała ziemia była tak zdeptana, że nawet jeśli morderca zostawił ślad, to już nie do wyodrębnienia od drugich. Po czym sięgnąłem do otwartych ust i wepchnąłem palec jak najgłębiej, ale niczego nie udało mi się wygarnąć z jamy ustnej. Kątem oka zobaczyłem, jak Firlejowi zbiera się na womity, lecz jakoś zdołał się opanować.

– Ciało nie przyplłynęło tu samo – rzekłem. – Nawet gdyby główny pław nie omijał ostrowa, to trzciny stanowią raczej nieprzebytą przeszkodę dla bezwładnych zwłok. Poza tym w ustach nie ma ani wodorostów, ani niczego, co zazwyczaj pływa w wodzie – starałem się mówić pewnie, choć miałem dotąd do czynienia tylko z jednym topielcem, dawno temu. – *Ergo* zwłoki zostały tu przywiezione łodzią, bo chyba nie zamordowano jej sam.

– Owszem. Znaleźliśmy już tę łódź.

– Brawo – nie spodziewałem się tak szybkiego efektu.

– A czemu sądzisz, że nie tu została zabita?

– Bo poderżnięto jej gardło i nacięto nadgarstki, upuszczając z nieszczęsnej niemal całą krew. A tu nie ma żadnych krwawych śladów. Gdy ją sam przywleczono, nie miała w sobie ani kropli krwi. Chyba że wyjuszyła się w łodzi?

– Nie, czółno nie jest umazane krwią.

– Właśnie. A gdzie reszta odzienia?

– Było tylko to gieżło – pokazał koszulę powiewającą na wietrze.

– Zatem została zamordowana tam, gdzie ją rozdzielano lub sama się rozdziela.

– A to – krzywiąc się z odrazą, wskazał łono ofiary, całe czarne i spękane, bo przypalone pochodnią czy czymś podobnym – zrobiono jej za życia czy po śmierci?

– Tuszę, iż po – odparłem, gestem prosząc, by pomógł mi odwrócić ciało na brzuch.

– Chwała Bogu! – westchnął z ulgą.

– Ale to bez ochyby powstało za życia – pokazałem mu rany przy odbyciu, wskazujące na swadźbienie na modłę grecką.

– Tfu – splunął. – Tedy mamy do czynienia z jakowąś bestią.

Skinął, bym poszedł za nim. Przeszliśmy na drugą stronę ostrowa, tę od zamku.

Tu także leżało ciało kobiety, lecz w dużo gorszym stanie. Proces gnilny postąpił już znacznie, robactwo i dzikie zwierzęta nie próżnowały. Przykro było patrzeć na to, co zostało z zapewne młodej i pięknej niewiasty, a jeszcze przykrzej wachać. Dlatego ograniczyłem się do pobieżnych oględzin. Nieboszczka niegdyś była lisowata, teraz włosy miała wyblakłe, matowe i pełne zeszlórocznych liści. Poza tym – nie do rozpoznania. Nieopodal leżał strzęp materii. Białej.

– I co waść na to powiesz? – spytał Firlej, gdyśmy wracali do pierwszej ofiary.

– Obrażenia u obu wyglądają na tożsame.

– *Summa summarum...*

– Oto, co wiemy: obie ofiary były młodymi i ładnymi niewiastami, obie zamordowano nie wiada gdzie, upuszczając wprzód całą krew i rozdziewając albo na odwrót, po czym przewieziono na ostrów...

– Po co ktoś zadał sobie tyle fatygi? No i wystawiał się na hazard. Łacno wszak mógł go ktoś zobaczyć.

– Zapewne czynił to nocą. W przypadku Kasi-Anusi tej nocy, w wypadku tamtej – dwie, a raczej trzy noce nazad.

– Ale po co, skoro ich nie zakopał? Czemu zresztą nie wrzucił po prostu do wody, byłoby prościej.

– Bo wcale nie chciał ich ukryć, przeciwnie. Dlatego wieszał gieźła, żeby przywabić ciekawskich. Pragnął jedynie nieco opóźnić odnalezienie ciał, żeby oddalić od siebie podejrzenie. Nie przewidział tylko, że przez ostatnie dwa dni mocno wiało; wicher zerwał pierwsze gieźło, łodzie nie wypłynęły na rzekę i dlatego nie odnaleziono wcześniejszej nieboszczki. Być może dlatego druga musiała zginąć... Dzisiejsza noc była wreszcie spokojna, znów mógł powiosłować, a rano chłopcy znaleźli ciało. A swoją drogą, skąd wiadomo, której łodzi używał?

Sięgnął do taszki i coś z niej wyjął, ale mi nie pokazał.

– Zauważyłeś, wasze, urznięty palec owej Grzybówny?

– Owszem.

– Wedle mego rozeznania nosiła na nim to – rzucił mi jakiś przedmiot.

Był to kosztowny pierścień, wyrobiony ze złota na kształt lilii. W kunsztownym kielichu na cieniutkich słupkach były osadzone żółtawe diamenty. Zwróciłem klejnot.

– Mniemam, że został znaleziony w łodzi.

– Niejakiego Chrisa *alias* Krzycha Żeglarza. Już położono na nim areszt. Siedzi *in fundo* ^[108] Złodziejskiej na Wawelu.

Dostrzegł coś w mojej twarzy, bo spytał:

– Jego też waść znasz?

– Przelotnie. Spotkaliśmy się raz i nie patrzył mi na morderza.

– A na kogo?

– Obieżyświata. *Vir animosus* raczej niż zabójca, a już na pewno nie bestia, która ohydnie kaleczy ofiary. Chciałbym z nim pogadać.

– A ja chciałbym przy tym być.

Parę minut później płynęliśmy z powrotem.

– Co z ciałami? – zapytałem; jakoś nie uśmiechała mi się myśl, że pogrzebią piękną Kasię-Anusię na ostrowie, w mokrej ziemi, obok sprośnych pohańców...

– Zabierzemy i na koszt grodu pochowamy przy kościele Świętego Michała na Wawelu.

– To dobrze.

Ledwo się oddaliliśmy, zaraz mieszkańcy Rybaków wylegli na zewnątrz i gapili się za nami w ślad. Gdy jechaliśmy konno do zamku, podążając do furty Pobocznej i omijając „Smoczą Jamę”, w której parę miesięcy temu spotkałem Krzycha, starosta kazimierski wyjaśniał mi prawne komplikacje związane z jurysdykcją na Wawelu. Jan Firlej był (wbrew prawu) zarówno marszałkiem wielkim, jak i wojewodą krakowskim, i jeszcze starostą krakowskim w jednej osobie. Do niego jako wojewody należała zwierzchność nad wszelkimi sprawami w ziemi krakowskiej. Jako starosta miał jurysdykcję nad szlachtą i tą częścią zamku jej wyznaczoną, nad załogą i bramami, ale sam zamek i budynki oraz wsie podległe zależały od wielkorządcy. Oprócz tego było sześciu burgrabiów mieszkających przy zamku, do pilnowania go. Wielkorządca, jeszcze z nadania króla Augusta, Niemiec z pochodzenia, Ludwik Resius, sprzyjał Zborowskim i żył w nieprzyjaźni z Firlejami.

– Resius dopomina się wydania Żeglarza, a Zborowscy mu sekundują. Jako głównego i jedyne podejrzanego chcą go wydać katu jak najszybciej. Ma być wzięty na męki, prędko osądzony i stracony.

– Ciekawe skąd ten pośpiech? – zastanawiałem się w głos.

Zerknął na mnie spod oka.

– Myślisz, waść, że wiedzą lub domyślają się, kto jest prawdziwym sprawcą tych ohydnych zbrodni, i chcą go tym sposobem osłaniać?

– Przemknęło mi przez głowę.

Straże zamkowe rozpoznały wojewodzica i przepuściły nas bez zatrzymywania. Na wprost głównego wchodu do katedry skręciliśmy w prawo, między dom wikariuszy, czyli dom kapitulny, a mur cmentarza przy kościele Świętego Jerzego. Chwilę potem zeskakiwaliśmy przed wieżą Złodziejską, kędy złoczyńców sadzano.

– Próbował ktoś dostać się do więźnia? – spytał Firlej dwóch harcerzy przed wejściem.

– Ludzie wielkorządcy. Aleśmy im wzbronili przystępu – odparł starszy z nich.

– Dobrzeście się spisali – pochwalił go starosta kazimierski. – A teraz prowadź do lochu.

Halabardnik odpiął klucze od pasa, otworzył kute drzwi, zabrał pochodnię zatknętą u wejścia do lochu, zapalił ją i powiódł nas stromymi schodami w dół, do kazamatów. Nie było tu drugich więźniów, okrom jednego, który na nasz widok rzucił się ku kratom i jął je szarpać, wołając:

– Jestem niewinny, wypuście mnie!

– Stul pysk! – wrzasnął strażnik.

Porozumieliśmy się wzrokiem z Firlejem, który odprawił drabanta. Przejąłem od niego pochodnię, a od wojewodzica inicjatywę w indagacji.

– Poznajesz mnie? – chwalić Boga, jeszcze nie wzięto go na męki, bo nie miał widocznych śladów tortur.

Zmarszczył brwi, po czym oczy mu błysnęły.

– Poznaję. Tyś pokonał mnie na rękę, ale potem to ja zadałem ci bobu!

– Zgadza się. A teraz mogę cię stąd wyciągnąć pod warunkiem, że będziesz mówił prawdę i samą prawdę. Zabiłeś dziewczki znalezione na Ostrowie Tatarskim?

– Nie. I nic o tym nie wiem.

– Jedna z nich nazywała się Kasia-Anusia. Biała, o pięknym licu i kształtnej figurze. Lat około dwudziestu. Znałeś ją?

– Być może – odparł ostrożnie. – Musiałbym ją zobaczyć, by mieć pewność, lecz to może być mała o imieniu Kasia, najładniejsza i najdroższa dziewczka w „Smoczej Jamie”. Nie widziałem jej od paru dni.

To trzymało się kupy. Odchodząc od nas, miała wrócić do ojców, dostała nawet pieniądze na posag, lecz widać ciągnęło wilka do lasu, bo zaczęła jako dziewczka łąziebna, a w gruncie rzeczy ładacznicą.

– Coś robił zeszłej nocy?

– To samo co w poprzednie. Pił żem „Pod Skałką” na umór, grałem w kości i karty, siłowałem się na rękę, chędożyłem i znów piłem. Nad ranem Mały Janek wyrzucił mnie z tawerny, chyba zdrzemnąłem się nieco w krzaczach nad Wisłą, po czym wrócił żem do domu, a tam już czekali drabanci...

– Kto może potwierdzić twoje słowa?

– Wszyscy, co byli wóczas w „Smoczej Jamie”, z Małym Jankiem na czele.

– W twoim czólnie znaleziono pierścień przypuszczalnie należący do zamordowanej Kasi. Wiesz coś o tym?

– Nic. Co to za pierścień?

– Na kształt lilii.

– Nigdy nie widziałem. U niej też. Musiała dostać go niedawno. Albo to nie jej. Zerknąłem na Firleja, ale pokręcił głową.

– To wszystko.

– Powiedziałem prawdę, jak na spowiedzi! Wypuście mnie.

– Wierzę ci. Ale muszę sprawdzić to i owo. Uzbrój się w cierpliwość. I nie trać nadziei.

Gdyśmy wyszli na zewnątrz, spytałem Firleja:

– I co waść o tym sądzisz?

– Patrzy mi na niewinnego, ale... w takim razie, kto jest mordercem?

– Tego jeszcze nie wiem. Muszę powęszyć. Waszmość zaś proszę, byś pokazał więźniowi ofiary do rozpoznania, gdy je przywiozą pogrzebać.

– Dobrze. Nikogo nie wpuszczać – przykazał drabantom, a potem potrzęsął

kluczami i schował je w zanadrze. – W razie czego powiedzcie, że zabrałem klucze.

Wziął mnie pod ramię i poszliśmy w stronę zamku.

– A więc zajmiesz się tym?

Zawahałem się.

– O co chodzi? – spytał. – Ojciec załatwi waści glejt. Będziesz mógł wchodzić na Wawel kiedy wola i pytać, kogo zechcesz.

To była okazja, która mogła się nie powtórzyć, i dlatego nie mogłem jej zmarnować.

– Wystarczyłoby, aby nowy pan potwierdził mój serwitoriat na uprawianie profesji inwestygatora.

– Dobrze. Porozmawiam z ojcem. Zobaczmy, co da się zrobić. Co waść teraz zamierzasz?

– Wpierw wybiorę się do gospody „Pod Skałką”. Jutro lub pojutrze odszukam waszmość i zdam relację, czegom się wywiedziało.

– Jeśli ja dowiem się czegoś nowego, wiem gdzie acana naleźć – podał mi dłoń, którą uściskałem.

Po powrocie do domu odszukałem Niziołka. Kiedy mu powiedziałem, do czego będzie mi potrzebny, aż podskoczył z radości. Spodziewałem się takiej reakcji, mimo to uznałem za stosowne ostrzec:

– To nie przelewki. Pamiętaj, że nie idziemy się tam bić, więc nie szukaj awantury. Biorę cię na wszelki wypadek, lecz jeśli się zdarzy, nawet taki dziewięsił jak ty może mieć turbację.

– Tym lepiej. Dawno nie miałem sposobności do porządnej bitki, aż się lękam, żem całkiem zardzewiał – przeciągnął się, rozpościerając małpie łapska, aż mu chrupnęło w krzyżu. – Kiedy ruszamy?

– Zaraz, jeno coś zjem.

Kiedyśmy stanęli pod „Smoczą Jamą” albo „Pod Skałką” i usłyszałem dzikie wrzaski dobiegające ze środka mimo zamkniętych drzwi, jakoś odeszła mnie skoma na prowadzenie indagacji.

– Może przyjdziemy jutro z rana? – zaproponowałem. – Będzie mniejszy tłok.

– Coś ty! Im więcej luda, tym większa uciecha – zaprotestował i zdecydowanym ruchem pchnął drzwi.

Zanurzyliśmy się w kłębowisko oźralców, kosterów, macherów, rozpustników i dziewczek sprzedajnych, jakiego próżno by szukać w najgorszych spelunkach w mieście, a to dlatego że tu prawo miejskie nie sięgało. Z tej przyczyny karczma stała otworem przez całą noc, aż do białego rana. Nikt też nie niepokoił i nie wypędzał z niej gości, stąd byłem pewien, że niejeden łotr, w tym głównicy cudem urwani ze stryczka, tutaj chronili się przed sprawiedliwością, ukrywając się w czeluściach skały całymi tygodniami i miesiącami. Zresztą wystarczyło popatrzeć na większość gęb, by pojąć, że specjalnie się nie kryli. Byłem rad, iż okrom rapiera i lewaka zabrałem ze sobą także pistolety ukryte pod kubrakiem. Z trudem przedzieraliśmy się przez zbitą

ciżbę i powietrze tak gęste, że można by je kroić nożem, w stronę szynkwasu, za którym królował Mały Janek zwany Smokiem.

– Czego? – warknął, wywnioskowałem więc, że nas pamiętał; acz może zawżdy bywał taki uprzejmy dla bywalców.

– Chcemy pogadać! – zawołałem, przekrzykując panujący gwar.

– O czym?

– O dziewczkach, które tu pracowały, a niedawno zniknęły bez śladu.

– Nic o tym nie wiem.

– Czyżby? Spróbuj sobie przypomnieć – rzuciłem dukata na blat.

Nawet na niego nie spojrział.

– Zabierajcie tego dutka i swoje dupska i wynoście się stąd, pókim dobry.

– Znasz Chrisa Żeglarza? Zdawało mi się uprzednio, że to twój druh. Jutro może dać głowę za zbrodnie, których nie popełnił, jeśli nam nie pomożesz.

Chwilę gapił się na mnie bazyliszkowatym spojrzeniem, po czym dał nam znak, byśmy poszli ku oponie zawieszanej w głębi i zasłaniającej otwór w skale, zaś jakimś osiłkowi, by zastąpił go za kontuarem, i ruszył za nami. Znaleźliśmy się w mrocznym świecie, rozjaśnionym zaledwie dwiema płonącymi pochodniami. Zewsząd napierały na nas skalne ściany.

– Nizioł, baczność! – wrzasnąłem, uskakując, gdy Mały Janek ruszył niczym szarżujący niedźwiedź.

Olbrzym odwrócił się w samą porę, by odbić uderzenie pięścią w skroń, które mogło go zabić albo co najmniej pozbawić przytomności. Zdradliwy cios ześliznął się nieszkodliwie po ramieniu, a mimo to zatrząśł dziewięsiem, któremu zwiśla lewa ręka. Zdołał wszak ulokować zwiniętą prawicę w wystającym żywocie Smoka, który stęknął i aż przysiadł z bólu. Jednak obaj szybko otrząsnęli się z chwilowego oszołomienia i pochwycili za bary, okładając kułakami i rycząc jak tury. Turlali się po śliskim podłożu wte i wewte, obalając ustawione tam i sam puste beczki i drugie statki, ja zaś tylko uskakiwałem z lewa na prawo, w przód i wstecz, jak świercz. Zasłona u wchodu uchyliła się i w powstałym otworze pojawiły się, zwabione hałasem, po równi zaciekawione i groźne twarze. Wymierzyłem w ich stronę pistolety, mówiąc grzecznie:

– Jesteśmy zajęci. Uprasza się nie przeszkadzać.

Jakiś natrętny gbur mimo to usiłował przepchnąć się naprzód, musiałem zatem walnąć go lufą między oczy. Zalał się juchą z rozbitego nosa i padł wstecz, w ramiona kompanionów, którzy zaraz go usunęli i znów mogłem oddać się kontemplowaniu niezwyklej monomachii.

Mały Janek był jeszcze większy od Niziołka, choć to niemal przechodziło imaginację, i być może silniejszy, lecz wyhodował sobie potężny kałdun, który przeszkadzał mu w walce. Dlatego Nizioł przewyższał go zręcznością. Smok już się zmęczył i tylko kręcił jak bąk, niczym dzik opędzający się od ogarów, zaś mój druh krążył wokół, doskakiwał i wymierzał szybkie ciosy, nim Smok nadążył z ripostą.

Czasem wszak któryś z szerokich zamachowych ciosów dochodził celu i wówczas Niziołkiem aż wstrząsało. Jednak to karczmarz odebrał więcej uderzeń, które z jego z natury niepięknej gęby uczyniły kawał zajuszonego mięsa. Takem się zagapił na to widowisko, żem dał się zaskoczyć jak dziecko. Ostatnie, com zobaczył, to biorącego potężny zamach okutą pałą owego draba, któremu rozkwaśłem nos.

Kiedy się ocknąłem, wisiałem spętany na haku niczym uwędzona wielkanocna szynka, głową w dół, zresztą w towarzystwie prawdziwych szynek, mięs, kiełbas i serów, a Niziołek koło mnie. Smok, z naszą bronią zatknietą za pas, patrzył na nas złowrogo jednym ślepiem, bo drugie miał tak podbite, że aż niewidoczne spod opuchlizny. Widząc, że oprzytomniałem, wyjął mój własny puginał i przybliżył się do nas, wyrzaskując niewyraźnie coś, co z trudem udało mi się przetłumaczyć jako obietnicę: „Pasy będę z was darł!”, uzasadnienie: „Przyszliscie tu węszyć, łobuzy? Ratusz was przysłał, szkolniki przekłete?”, i znów obietnicę: „Rodzona matka nie pozna waszych truchel, jak skończę”. Po czym jednym ruchem rozciął mi gieżło na piersiach. Pojąłem, że to nie żarty.

Szkolnicy byli to szpiedzy na usługach instygatora miejskiego lub pisarza miejskiego albo syndyka. Z początku mieli jedynie tropić Żydów lewem mieszkających i handlujących w mieście, ale z czasem zaczęli pełnić funkcję justycjariuszy działających sekretnie i infiltrujących środowisko złodziei i paserów. A tych z pewnością w „Smoczej Jamie” nie brakowało, podobnie jak skradzionych towarów. Nie wątpiłem też, że nie jeden szkolnik przypłacił swe wścibstwo życiem, a ich kości spoczywały w którymś z zakamarków jaskini. Nie chciałem, by i nasze do nich dołączyły, dlatego przywołałem całą siłę perswazji, do jakiej byłem aktualnie zdolny.

– Może pogadamy jak ludzie rozumni, Waligóro? – zaproponowałem Małemu Jankowi, stękając, gdyż nie łącno jest się wysławiać i negocjować w odwrotnej pozycji, gdy krew uderza do głowy, na domiar obolałej po silnym ciosie, a adwersarz ma w ręku wszystkie argumenta.

Odwołanie się do jego rozumu widocznie zaskoczyło osiłka, bo nóż, którym właśnie godził w mój pępek, zatrzymał się zaledwie pół cala od celu. Smok wyglądał na solidnie pokiereszowanego i chyba nas o to winił, bo od niechcienia pchnął Niziołka, który wpadł na mnie. Dyndaliśmy sobie tak dłuższą chwilę, kołyszając się oba tam i nazad, a czasem trykając głowami, iście jak barany, którymi się okazaliśmy, ku wyraźnej satysfakcji naszego dręczyciela, wciąż się namyślającego. Przy ogromnym cielsku miał zadziwiająco małą głowę, tedy nie wyzbyłem się jeszcze obaw.

– Gadaj – rzucił wreszcie, nasyciwszy się w końcu naszym poniżeniem i chowając nóż.

– Nazywam się Ryx. Kacper Ryx. Inwestygator królewski. A to mój pomagier i przyjaciel, Niziołek. Nic do ciebie nie mamy, chcemy jeno pomóc Żeglarzowi.

– Zamau mi sceke – zaseplenił wielkolud z wyrzutem i tak niewyraźnie, żem go

ledwo zrozumiał.

– Nie szczękę, jeno żuchwę. I nie złamał, tylko wywichnął – orzekłem, dokonując fachowych oględzin na odległość. – Odwiąż nas, to ci nastawię.

– Ino bez zadnych stucek – ostrzegł i szarpnął za wiązanie sznura.

Zwaliliśmy się na dół, omal nie łamiąc sobie karków, a on przeciął mi więzy na skrępowanych z tyłu dłoniach. Kiedy wróciło mi do nich czucie, szarpnąłem bez ostrzeżenia.

– Au! – zawył i złapał się za nastawioną kość. – Co chcesz wiedzieć? – spytał mnie, masując żuchwę. – Owszem, w ostatnich dniach przepadły dwie pracujące u mnie dziewczki, lisowata i biała, ale co Żeglarz ma do tego?

– Podejrzewają, że to on je zamordował, a zwłoki wywiózł na Ostrów Tatarski.

– Łeż wierutny! Toć Chris od tygodnia nie trzeźwiął, wszystkie noce i dni spędzając w karczmie, ażem dopiero dziś z rana go stąd wykopał.

– To pewne?

– Żebym tak zdrów był! Zresztą zaraz mogę zawezwać z gospody ilu jeno chcesz iśćców...

– Nie trzeba – rzekłem pospiesznie, bo nie uśmiechało mi się indagowanie cuchnących gorzałką i rzygowinami oźralców, zwłaszcza że ich świadectwo i tak nie miało wielkiej wartości; ja wszak wierzyłem Małemu Jankowi.

– A ponadto – łypnął na mnie chytrze – skąd pewnośc, że to były moje małpy?

– Lisowatej nie znałem, lecz ta druga, Anna Grzybówna ze Skawiny, niegdyś pracowała u Czeczotki w jego łaźni, potem u mojej ciotki w gospodzie „U Balcera”. Zwaliśmy ją Kasia-Anusia. Białe włosy sztucznie uczynione, znamię wysoko na udzie i cudne lico...

– To ona – potaknął ponuro. – Ta druga zwała się Basia, ale wołali na nią Marchewa. Nie wróciła do gospody trzy albo cztery dni nazad. Dlatego Kasia nie chciała z nimi iść, gdy ją wybrali. Bała się. Widać coś przeczuwała.

– Kto ją wybrał?

– Dwóch takich z zamku. Jeden żabojad, ten się nie odzywał, drugi nasz, jeno konus, istny piędzimężyk. Francuz wołał nań: Domino.

– Pan Krasowski, karzeł – odgadłem.

– Być może – zgodził się ze mną.

– A kiedy już je wybrali, co potem?

– Chodźcie za mną – poleciał, wstając ciężko.

Dopiero teraz przeciął pęta Niziołowi, który aż jęknął z ulgi. Nie dając mu czasu na dojście do siebie, Smok zdjął ze ściany pochodnię, drugą na jego znak pochwycił Niziołek i poszliśmy w głąb pieczary. Pomieszczenie, gdzie nas zawieszono, był to w istocie skład trunków i spiżarnia. Stały tu ogromne kufy i mniejsze beczki, antałki, sąsięki i skrzynie z Bóg wie czym, półki uginające się od spyży, umocowane do ścian drewniane drągi i haki ze zwisającymi z nich wielkimi szynkami i pościami wędzonego mięsa.

Nizioł oblizał się na ten widok, lecz Mały Janek niewzruszenie szedł dalej. Teren stale się wznosił. Wejście do następnej pieczary zagradzało małe jeziorko zasilane z płytkiego strumyka, który wypływał z przeciwległej skały, biorąc początek nie z jej wnętrza, ale z wody spływającej po ścianie i po naciekach zwisających ze stropu. Drugie, stojące nacieki, na kształt stożków ciągnęły się szeregiem wzdłuż strugi niczym uliczne pachołki. Nadmiar wody uchodził gdzieś po drugiej stronie kałuży, zapewne do jakiejś szczeliny skalnej. Ostatnia część jaskini była najbardziej dzika ze wszystkich i pełna mrocznych zakamarków, do których nie sięgało światło pochodni. Instynktownie poświeciłem w górę i ujrzałem stado gacoperzy uwieszonych pod stropem. Skąd się tu brały? Tajemnica wydała się, gdy w głębi zwężającej się pieczary ujrzałem dzienne światło, mizerne ale jednak.

– Tam w górze – rzekł Smok – są dwa otwory na powierzchni. Jeden wpuszcza światło i nim wlatują i wylatują gacki, a także ciecze woda, gdy na górze pada...

– A drugi?

– A drugim spuszcza na dół kosz uwiązany do liny. Od tygodnia, jak było umówione, w pierwszej godzinie nocy dziewczka wsiadała do kosza, a w ostatniej godzinie, tuż przed świtaniem, spuszczano ją z powrotem. Dostawały za noc dziesięć dutków, z czego połowę mi oddawały. Ale i tak na teli piniądz inaczej musiałyby robić z miesiąc – sumitował się.

– Piniądz – poprawił go Nizioł.

– Co?

– Nic – rzekłem pospiesznie, uśmiechając się w duchu; byłem świadkiem, jak Stachnik Żółkiewski kiedyś przy winie pouczał Niziołka, że powinien się wyrażać poprawnie. – Co miały robić za takie piniądze?

– Dogadzać francuskim panom na rozmaite sposoby – skrzywił się. – Także te świńskie i o sodomie zatracające – dodał świętoszkowato. – I milczeć o tym. Dziewki płakały po powrocie, ale szły znów, bo... – ściszył głos – ponoć chędożył je sam król, lubo w masce! Tak mi powiadały w zaufaniu, choć może i łgały, by się uczynić ważniejszymi – zastrzegł. – Wszak kiedy Baśka nie wróciła którejś nocy, Kasia nie chciała iść na zamek, lecz skusili ją pięknym pierścieniem.

– A ciebie zaginięcie Marchewy nie obeszło, nie pytałeś o nią?

– A jakże, pytałem tego karła, gdy przyszedł wtóry raz i wybrał Kasię.

– I co ci odrzekł?

– Był tak samo jak ja zdumiony, a przynajmniej na takiego patrzył. Spytał nawet tego drugiego, owego żabojada, ale tamten też ino kręcił głową. Potem karzeł rzekł, że odesłali dziewczkę jak zawždy. I że przyszli po drugą, skoro Basia nie zjawiła się poprzedniej nocy, jak było umówione.

– To znaczy, że nikt w nocy nie odprowadzał dziewczek?

– Nie. Jam im jeno otwierał o umówionej porze i zamykał za nimi drzwi do składu, bo nikomu doń klucza nie daję – z przebiegłą miną poklepał się po pęku kluczy u boku.

– Co tam jest? – zapytał Nizioł, pokazując gęstą i solidną żelazną kratę w kącie jaskini.

– Nieużywany korytarz – odparł karczmarz. – Tędy spływa woda ściekająca z góry. W głębi łączy się z kanałem, którym odprowadzają z Wawelu nieczystości. Zalatywało smrodem i przychodziły stamtąd szczury, tom kazał wstawić tę bronę.

– Niezamknięta? – zauważyłem, wskazując zwykły gwóźdź służący za zatyczkę.

– A po co? – zdziwił się. – Wždy nikt tędy nie chodzi. Zresztą zgubiłem klucz do kłódki.

Z naszych pochodni już niewiele zostało, jednak podjąłem decyzję.

– Idziemy!

Mały Janek skrzywił się, lecz posłusznie poszedł naprzód, za nim ja, a pochodź zamykał Niziołek. Ta jaskinia była długa i wąska, niczym prawy korytarz. Po kilkudziesięciu krokach poczuliśmy smród, potem jakiś wielki szczur smyrznął nam pod nogami, na koniec dotarliśmy w miejsce, gdzie do korytarza wpadał kanał niosący nieczystości. Chcąc iść dalej, musielibyśmy zatkać nosy i kroczyć po kostki w cuchnącym ścieku. Ale nie było takiej potrzeby. Na brzegu kanału leżały zajuszone niewieście fatałaszki i widniały wielkie kałuże zaschniętej krwi.

– Tu obie zostały zamordowane – powiedziałem. – I stąd powleczone na brzeg rzeki, a potem przewiezione na Ostrów Tatarski. Możemy wracać.

Po minach moich towarzyszy, zaprawionych w niejednej ohydzie, których mało co dziwiło, poznałem, że tym razem byli wstrząśnięci tak samo jak ja i skwapliwie wykonali polecenie. W samej rzeczy tylko jakaś bestia (lub bestie) mogła zaciągnąć w takie miejsce bezbronne dziewczki i zaszlachtować je jak... jak... Zabrakło mi słów, a w oczach stanęła Kasia-Anusia, nie ohydnie pokaleczona, tylko taka piękna jak wówczas, gdy przysłała do mnie pewnej nocy przed laty...

Spizarnię odgradzało od przedniej części jaskini przewężenie zabudowane dylami i zaopatrzone w masywne drzwi z dużą kłódką, którą Smok otworzył z klucza przy pasku. Wyszliśmy na dość obszerną grotę, w której do ścian z obu stron dobudowano drewniane klecie. Dobiegały z nich śmiechy, piski, stękania i drugie odgłosy, a przez szpary także mizerne światło, dzięki czemu pojąłem, że oto miałem przed sobą sławny na całą Rzeczpospolitą zamtuż w „Smoczej Jamie”:

Kto nowicjat odprawił w Lublinie

Na Czwartku, kto wie, jakie gospodynie

W Warszawskiej Baszcie, na Mostkach we Lwowie,

Co za szynk w Smoczej Jamie przy Krakowie [\[109\]](#).

Było tu zadziwiająco ciepło.

– Tam jest kanał, przez który dochodzi tu ciepło z komina w izbie karczemnej, tak iż nawet w zimie dziewczki ani klienci nie marzną – Smok domyślił się, co mnie zajęło i pokazał otwór w skale. – A tu była izba Kasi, tę Baški zajęła już druga dorotka –

otworzył niezamykaną na klucz małą komorę, której głównym sprzętem była szeroka prycza.

Obejrzałem ją pobieżnie, nie znajdując nic zajmującego oprócz paru niewieścich łaszków. Mój Boże! W porównaniu z izbami w naszej karczmie ta tutaj to była nora. Jakże nisko upadła Kasia-Anusia po rozstaniu z nami!

Przez tak ciasny otwór, że moi wielcy towarzysze z trudem się przecisnęli, przeszliśmy do przedsionka, czy też kruchty, pełniącej funkcję podręcznego składziku, już uporządkowanego po niedawnej bójce, która tu właśnie się rozegrała. Mały Janek oddał nam naszą broń. Kiedyśmy wrócili do izby karczemnej, witani zaciekawionymi spojrzeniami, chciałem dać Smokowi dukata za fatygę, ale odmówił, a żegnając, życzył mi rychłego odkrycia morderców nieszczęsnych dziewczek. Chciał nam postawić gorzałkę, ale z kolei ja odmówiłem, bom pragnął czym prędzej wrócić do domu i przemyśleć sobie to i owo. W drodze powrotnej Niziołek był wesół jak szczygieł i pogwizdywał radośnie, utrzymując, że dawno nie trafiła mu się równa gratka jak dzisiejsza bijatyka. Przynajmniej jeden z nas miał dobry humor. W nocy dłużej niż zazwyczaj czytałem przy świeczce i zdało mi się, że ktoś wchodził po schodach i zaskrzyphiały otwierane po sąsiedzku drzwi. Odruchowo spojrzałem na mój norymberski półzegarz zajmujący honorowe miejsce na półce przy łóżku. Księżyc świecił tak jasno, że bez trudu odczytałem godzinę – trzecia w nocy. Po co ktoś miałby się włóczyć po domu o tej porze? Uznałem, że ze zmęczenia i nerwów mam zwidy. Ale parę minut potem to już nie było przywidzenie – znów usłyszałem przez ścianę odgłosy, co do których ostatecznie wyzbyłem się wszelkich dubiów, a ponieważ nałożyły się na wspomnienie o słodkiej Kasi-Anusi, zatem przeżywałem katusze i rano byłem jak z krzyża zdjęty.

Darowałem sobie wykłady i wcześniej z rana zjawiłem się na Wawelu, zapomniawszy, iż wielcy panowie nie wstają z kurami. Toteż wystąpiłem u bramy dobrą godzinę, a gdy młody Firlej wreszcie się zjawił, z trudem tłumiał ziewanie i maskował zły humor. Powiedziałem mu, co odkryłem w „Smoczey Jamie” i czego dowiedziałem się od Małego Janka. To go ożywiło. Obiecał, że zaraz weźmie pacholków i sprawdzi wszystko naocznie, a także porozmawia z Karłem Krasowskim. Co do mego serwitariatu, to w imieniu wojewody dziś jeszcze miał przedstawić sprawę miłościwemu panu. Umówiliśmy się, że zagładnę na Wawel nazajutrz po południu.

Korzystając z okazji, żem był akurat w tej części miasta, wstąpiłem do dawno niewidzianego szwagra Michała, rusznikarza, który miał dom na Grodzkiej, opodal brony i cekhauzu królewskiego. Jadwiga, moja mleczna siostra, z miejsca rzuciła mi się na szyję. Okazało się, iż nareszcie była przy nadziei. Taką nowinę koniecznie musieliśmy oblać. Michał miał jeszcze wtóry, nieco tylko mniejszy powód do radowania. Oto bowiem spełniało się jego wielkie marzenie – było jakmiarz pewne, że z uwagi na nowego pana nareszcie odmienią się czerwcowe zawody o królestwo, strzelanie do kura odbędzie się ze strzelb i tym razem wezmą w nim udział i panowie

szlachta, i dworzanie, w tym francuscy. Zapowiadały się zatem zawody nad zawodami. Michał zaś przymierzał się do zostania Królem Kurkowym po raz wtóry. Z tej okazji zaczął nawet robić sobie wyborny sztuciec. Zeszliśmy do oficyny, gdzie uwijali się czeladnicy i uczniowie, bo koniecznie chciał mi pokazać to cacko. Gwintówka była w rzeczy samej tak piękna i tak dobrze leżała w dłoniach i przy ramieniu, że nagle zapragnąłem mieć taką samą.

– Nie stać cię. Sama inkrustacja na kolbie kosztuje krocie, nie mówiąc o mechanizmie, który udoskonaliłem – mruknął.

W naszym mieście nie brakowało wybornych rusznikarzy, jak na przykład Jan Behem z Ulmu, Jerzy Alger, Szymon Hauwicz z Brun czy Serwacy Arcz z Brukseli, zaś wielki kram z bronią prowadził w Sukiennicach Ślązak Jan Topschelnis, *bombardarum mercator*. Ale to Michał był prawym naleźcą w swoim fachu i to zaczęło przynosić owoce: ostatnio dobrze mu się powodziło, miał dużo zamówień, cieszył się coraz większą sławą i dlatego zatrudniał tylu ludzi.

– Ale wkrótce będzie – opowiedziałem mu o najnowszej sprawie; zmartwiło go zamordowanie Kasi-Anusi, dobrze ją pamiętał, bo pomogła Hedwiźce wziąć pomstę na burmistrzu Czeczotce, który zbałamucił naszą młodszą siostrę Dorotę.

Ledwo wyszedłem z gościnnego domu, wpadłem wprost na moich starych znajomych: hutmana Trojana i jego surogata Matysa Szarskiego, których ludzie otaczali podłą karczmę „Drewniana Kleć”, stojącą przy kościele Świętego Idziego, i nikogo tam nie dopuszczali. A zebrał się wcale spory tłum gapiów tarasujących ulicę. Słyszałem powtarzane stłumionymi głosami pojedyncze słowa: „mord”, „niesłychane”, „upiór”, „bestia”, „niedźwiedź”, a nawet „wilkołak” czy „wampir”. Przedarłem się przez ciżbę i zawołałem Matusza.

– Spadłeś nam jak z nieba! – ucieszył się na mój widok i kazał drabom przepuścić.

Wziął mnie pod ramię i zaprowadził do gospody. Już w drzwiach uderzył mnie duszący i słodkawy zapach posoki, który znałem aż za dobrze, ale rzadko w takim natężeniu. Pierwsze trupy leżały zaraz za progiem. Mężczyźni i kobiety. Parami. Dalej było gorzej. Nie tak schludnie. Ofiary spoczywały w takich pozach, w jakich zastała je śmierć, nikt się nie trudził układaniem ciał. Jucha była wszędy: na pawimencie, ścianach, ławach, w pościeli. Istna jatka. W życiu nie widziałem czegoś podobnego. W największej trupiarni, izbie karczemnej, stał pośrodku hutman, ciężko wsparty na lasce.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – spytał.

– Nigdy.

– Ja też, a żyję na świecie dłużej niż wy obaj pospołu.

– Ci ułożeni u drzwi zostali tam przywleczeni z zewnątrz?

– Skąd wiesz? – uniósł brwi.

– Widziałem plamy krwi pod cmentarnym murem, naprzeciw wchodu do „Kleci”.

– Wedle mojego rozeznania zabili ich na początku, a wciągnęli na ostatku, gdy

już było po wszystkim, żeby opóźnić wykrycie zbrodni. I w rzeczy samej, dopiero przed godziną ktoś spostrzegł owe zajuszenie na placu, zaglądnął do karczmy i podniósł larum.

– Ilu było morderzy?

– Zatem też uważasz, że było ich kilku, jeśli nie parunastu?

– A ktoś w to wątpi?

– Kilka osób widziało trupy i to, co im uczyniono. Więc się rozniosło. Dlatego ludziska powiadają, że to robota Upiora bez Głowy, drudzy że wilkołka lub wampira – wtrącił Szarski. – Szymek, który był w onczas ze mną, gdyśmy się nocą natknęli na czarnego jeźdźca, dotąd siedział cicho, lecz teraz rozpuszcza ozór na całego, a słuchaczów ma nader wdzięcznych.

Kiedy byłem mały, też okropnie bałem się powiastki o Szafrancu, choć nigdy nie słyszałem, by upiór mordował tych, co mu stanęli na drodze. Nie mówiąc o tym, by zaglądał do karczem i mścił za podłą gorzałkę (zwłaszcza że z piciem mógł mieć turbację) albo niedbałą obsługę.

– Niektórzy zaś upatrują winowajcę w kimś zgoła innym, posłuchajcie tylko – westchnął Trojan.

Z zewnątrz dobiegały nas głośnie okrzyki:

– Morderz Czeczotka! Krwawy burmistrz! Mały Borgia!

– Czeczotka-wilkołak! Precz z wilkołkiem!

– Jeśli szybko nie znajdziemy sprawców, wkrótce dojdzie do tumultu – hutman patrzył na mnie poważnym wzrokiem. – A tego byś chyba nie chciał, obojętnie jak bardzo nienawidzisz burmistrza Tłokińskiego.

– Wszyscy mają takie ślady? – wskazałem pierwsze z brzegu półnacie zwłoki poharatane okrutnie; od twarzy przez cały tors ciągnęło się pięć krwawych bruzd, jakby jakieś dzikie zwierzę szarpało ofiarę pazurami.

– Nie, ale większość – odparł Mateusz. – To stąd wzięła się historia o wściekłym niedźwiedziu, który uciekł z jakiegoś pałacowego zwierzyńca i grasuje nocami po mieście, albo nawet o wilkołku.

– A ty co o tym sądzisz? – spytał mnie Trojan.

– Niedźwiedź nie uczyniłby tego – wskazałem przyżegniete pochodnią łono jednej z dziewczek, a takich jak ona było tu więcej, jeśli nie wszystkie. – Poza tym ci, których widziałem, zginęli od sztyletu lub rapiera. Myślę, że sprawcy mieli coś na kształt żelaznych rękawic z pazurami, bowiem chcą wzbudzić jak największą trwogę w mieście, tylko nie pojmuję po co. Czemu lub komu ma to służyć?

– Ja też nie wiem ani się domyślam. Kiedy twoim zdaniem to się stało?

– Około północy, a może nieco później, lecz niewiele. Dziwne, że o tej porze nikt nie słyszał krzyków mordowanych. Chyba nie wszyscy w okolicy spali jak oseski?

– Sam wiesz, co to za okolica. W tych kleciach i szopach dookoła mieszka sam plebs lub zgoła hultajstwo. Tacy wolą nic nie słyszeć. Masz jakiś koncept, czyje to dzieło?

Przelotnie pomyślałem o Bractwie Trójcy, ale zaraz odrzuciłem to podejrzenie. Grot mógł zabić, ale nie mordować z zimną krwią i do tego w tak okropny sposób.

– Nie. Coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło w naszym mieście.

– Właśnie – hutman pokiwał siwą głową. – Ja też nie widzę nikogo, nawet wśród najgorszych łotrów, kto byłby zdolny do czegoś podobnego, a co dopiero paręnaście takowych bestyj. Chociaż to przypalanie sromów dziewczkom wszetecznym nieco przypomina mi tamtą nierozwiązaną sprawę, no, wiesz, z Waliszewską i drugimi...

– Ale tamten – przerwałem mu – nie okaleczał dziewczek w ten sposób i zawsze zabijał po jednej. Nawet jeśli sprawców było kilku, a nie jeden, metoda zawsze ta sama.

– I to mnie trapi – przyznał Trojan. – Dużo już widziałem, także wielokrotnych zabójców. Ale każdy z nich trzymał się swoich upodobań jak pijany płotu.

– Powiem wam więcej – rzekłem. – Oto nie dalej jak wczoraj na Ostrowie Tatarskim odkryto zwłoki dwóch młodych i ładnych ładacznic pracujących dla Małego Janka ze „Smoczej Jamy”. Obie zarżnięto i wypuszczono im całą krew, zaś łona opalono jak tym tutaj. Zajmuję się tą sprawą na prośbę pana wojewody Firleja.

– Jeszcze i to! – Matys wzniósł oczy do powąły. – Chwalić Boga, to nie nasza jurysdykcja. Myślisz, że twój morderz i tutejsi to jedni i ci sami?

– *Modus operandi* na pozór podobny, lecz są i różnice – zastanawiałem się na głos. – Rzekłbym, jakkolwiek to może się wydać niemożliwe, że dziewczki z ostrowa zabił kto inny, Waliszewską i tamte kto inny, a tych tutaj jeszcze drudzy, choć niewykluczone, że wszyscy oni się znają. Na waszym miejscu zwróciłbym uwagę na Francuzów koczujących po ulicach. Może to ich zemsta za złe traktowanie? Tylko dyskretnie, bo i bez tego ludzie gotowi im skakać do gardeł.

– Przebóg! – jęknął hutman. – Tylko mi nie mów, że powstała w mieście partia morderzy, naszych i postronnych, którzy ścigają się, kto zabije więcej i na ohydniejszą modłę!

Ponieważ na razie nic mu na to nie mogłem odrzec, zostawiłem ich z całym ambarasem, zapewniwszy na odchodnym, że przy okazji własnej inwestygacji będę miał także na względzie tę sprawę. Przedarłem się przez ciżbę, która wciąż gęstniała, przy okazji poznając najpopularniejszą z ludowych wersji objaśniających jatki: oto Krwawy Burmistrz, przeklęty od Boga i ludzi, przemienia się nocami w wilkołaka i napastuje niewinnych. Jeszcze trochę, a znajdą się iście, gotowi zaświadczyć pod przysięgą, że naocznie widzieli takową przemianę.

Przebiegłem Rynek i wszedłem do księgarni Jana Thenauda. *Bibliopola Gallus* był heretykiem i z tej racji rzadko tu zaglądałem, acz ostatnio, gdy się wziął do nauki francuskiego, zaszedłem tu kupić wokabularz i wówczas pogadałem sobie z właścicielem, który okazał się bardzo przyjemnym człkiem, czytany i mądrym, a przy tym gadułą wybornie posługującym się naszą mową. Tym razem przyszedłem nie po księgi, lecz z powodu konceptu, który zaczął mi nieśmiało świtać, choć jeszcze nie przybrał konkretnej postaci, dlatego nie zwierzyłem się hutmanowi. Akurat gdy

wszedł do wnętrza, jakiś wytwornie odziany na zachodnią modłę mężczyzna żegnał się z gospodarzem.

– *Adieu!* – rzekł, otwierając drzwi i omiatając mnie spojrzeniem krótkowidza.

– Imć Ryx! Witam, witam – *bibliopola* zostawił drugiego kupującego swemu pomocnikowi i kopnął się ku mnie promiennie uśmiechnięty. – A wiesz pan, kto wyszedł ode mnie przed chwilą? Sławny dziejopis i kosmograf królewski, pan André Thévet, który niedawno przybył z Paryża, by opisać nasze miasto. Z pewnością mielibyście o czym od serca pogwarzyć...

– Thévet! – krzyknąłem. – Toć u nas mieszka z piękną siostrą jego sekretarz, Étienne de Lanssac, urodziwy młody człowiek, mówiący po naszymu z biegłością dorównującą waszej, mistrzu!

– A to ci traf – zdumiał się księgarz.

Wtem brzęknął dzwonek u wejścia i do księgarni wszedł sam mistrz Thévet we własnej osobie. Powiedział coś, z czego zrozumiałem słowo „kan” [110]. Jako i faktycznie *bibliopola* rzucił się ku krzesłu, na którym widać wcześniej spoczywał gość i przyniósł mu opartą o nie laskę ze srebrną rękojeścią, po czym zagadnął go o coś. Tamten odpowiedział, lecz rozmawiali tak szybko, że z tego wyłowiłem jedynie nazwisko Lanssac po kilkakroć powtórzony oraz *impossible*. Po czym dziejopis niedbale przytknął laskę do ronda modnego biretu i wyszedł.

– Dziwna sprawa... – mruknął księgarz, patrząc na mnie nierozumiejącym wzrokiem. – Pan Thévet nie zna nikogo o nazwisku Lanssac. Jego sekretarz zwie się zupełnie inaczej, nie ma żadnej rodziny i nie pojmuje po polsku ani w ząb. To musi być jakaś pomyłka, która bez ochyby się wyjaśni...

– Niewątpliwie – uciałem, bo dla mnie ta sprawa już była dostatecznie jasna. – Mistrzu, przyszedłem do ciebie, ponieważ dzieje się ostatnio w mieście coś osobliwego, co dotąd nigdy się nie zdarzało, więc pomyślałem, że może mieć związek z cudzoziemcami, którzy tak licznie nas nawiedzili...

I z grubsza opowiedziałem mu o okaleczonych trupach na Ostrowie Tatarskim i w „Drewnianej Kleci”. Słuchał uważnie, potem długo się zastanawiał, zaczął, aż ostatni klient załatwi sprawunki, grzecznie go pożegnał, po czym odesłał pod byle pozorem na zadź pomocnika i dopiero wówczas rzekł przyciszonym głosem:

– Nie będę przed waścią udawał, że poważam obecnego króla polskiego, bo za dobrze wiem, jak szpetną rolę odegrał w niesławnej nocy świętego Bartłomieja, której echa aż tu doszły. Szkoda jeno, iż nie miały wpływu na elekcję. No, ale to nie moja sprawa... Powiem waści jedynie, że tamtej nocy i za dnia, 24 sierpnia, zginęło w samym Paryżu trzy tysiące protestantów, a co najmniej drugie tyle potem na prowincji. Zaiste piękny rezultat jak na kraj szczyjący się mianem „najstarszej córki Kościoła”, pod przewodem „arcychrześcijańskiego króla”, nieprawdaż? – nie taił goryczy, a po chwili dodał: – Król zaś, stojąc w oknie Luwru, palił do umykających kalwinów jak do łownej zwierzyny, wrzeszcząc: „*Tuez! Tuez!*”, czyli: „Bij, morduj!”.

– A co wówczas robił nasz pan? Biskup Montluc twierdził, że ze wszystkich sił starał się zapobiec rzezi – zaciekałem się.

– A juści! – aż zaczerwienił się z przejęcia. – Razem z królem, gdy ów już się znudził zabijaniem, i szwagrem Henrykiem Nawarskim, którego oszczędzono, bo dokonał pospiesznej abiuracji, urządzili sobie we trzech ucztę i wesoło zabawiali się ze sprowadzonymi nierządnicami... – zmarszczył brwi. – W związku z owymi dziewczkami, z których wypuszczono krew, coś mi się teraz nasunęło... Nie chciałbym szkalować króla Henryka, lecz jest we Francji *un secret de polichinelle*, pewna tajemnica publiczna, o której wie każde dziecko, niekoniecznie hugenockie, jak się u nas nazywa kalwinów. Oto całkiem niedawno, bo za panowania Franciszka II, brata obecnego króla Francji i króla Henryka także, krążyły wśród ludu wieści, że król Franciszek cierpiał na trąd i dla przywrócenia zdrowia kąpano go w krwi małych dzieci, i że królowa Katarzyna wysyłała swoich zaufanych, by po wsiach chwyтали najpiękniejsze i najzdrowsze dzieci w wieku od czterech do sześciu lat i dostarczali na dwór. Wybuchła panika. Przerażeni chłopci uciekali z dziećmi do lasów. Okolice Blois i wioski nad Loarą wyludniły się całkowicie...

Przeprosił i poszedł w głąb księgarni, po czym wrócił z jakimiś manuskryptami, które położył przede mną.

– Proszę. Oto rękopis dzieła pana de la Planche *Historie de l'estat de France* [111], w którym stoi o tym czarno na białym. A to anonimowa broszura *Le Tocsain contre les massacreurs*, opisująca, jak motłoch paryski niedługo przed „nieszporami” urządził rzeź Włochów, rodaków królowej Katarzyny, oskarżając ich o to, że skupowali i dostarczali jej małych dzieci, by mogła utoczyć z nich krew i albo używać do czarnej magii, albo kąpać się w niej sama dla zachowania zdrowia i urody lub by kąpał się w niej książę andegaweński, dzisiejszy król polski, dla wyleczenia się z choroby włoskiej, którą w Polsce przymiotem nazywacie...

Brzmiało mi to zupełnie jak bajda o żelaznym wilku i jakoś trudno mi było dać temu wiarę, zwłaszcza iż autorami owych rewelacji byli zapewne heretycy jak mój gospodarz. Moje niedowiarstwo musiało się uwidocznic, bo księgarz zrobił urażoną minę i prawil dalej z zapalem:

– Waśc myślisz, że to ambaje. A to dlatego że u was takie rzeczy się nie zdarzały. Lecz u nas od czasów Barbe-bleue, po waszemu Sinobrodego, to nie dziwota. Nie słyszałeś pan o Sinobrodym? Żył naprawdę, sto pięćdziesiąt lat temu, zwał się Gilles de Rais, był hrabią, marszałkiem Francji i towarzyszem sławnej Dziewicy Orleańskiej świętej pamięci Joanny d'Arc, z którą razem walczył przeciw Anglikom. Ale potem splamił się wyjątkowym bestialstwem. Udowodniono mu paranie się nekromancją, porwanie i zamordowanie ponad setki dzieci, głównie chłopców, i stracono. Ponoć mordował także swoje żony... Pamiętam, że kiedym był młody, powiadano, iż metresa króla Henryka II, stara Diana de Poitiers, przywiązała go do siebie dzięki temu, iż podarowała mu zaczarowany pierścień, skąpany w juszce niechrzczonego

oseska. O czym zwiędziawszy się, królowa Katarzyna sprawiła sobie zaraz talizman także moczony w ludzkiej krwi, który nosiła zawieszony na szyi... Tak, mój panie, we Francji podobne praktyki są na porządku dziennym.

Przerwał na moment, żeby sprawdzić efekt swoich słów, ale ponieważ słucałem uważnie i już nie dałem się przyłapać na okazywaniu niedowierzania, ciągnął:

– A teraz co do dziewczek o przypalonych łonach. Niedawno, nim Karol IX został królem Francji, on i jego brat Henryk prześcigali się w wyuzdanych zabawach, włączając się w kompani akolitów, ten protestanckich, ów katolickich, po ulicach Paryża i wdając w bójki między sobą lub urządzając łowy na mieszczańskie córki, które gwałcono, albo ladacznice, które rozdziewano i podpalano im włosy w miejscach wstydlivych. Zwano to „polowaniem na damy”. Księżę andegaweński oddawał się tym praktykom do samego wyjazdu do Polski, jednak gwoli prawdy trza rzec, iż on sam nie niewolił owych wszetecznic, bo nie gustuje w niewiastach, zadowolając się jedynie zadawaniem im bólu.

Skończył i patrzył na mnie wyczekująco. Wstałem. Wysłuchałem już wystarczająco, by zawisnąć za zdradę stanu, gdyby ktoś to podsłuchał i doniósł gdzie trzeba.

– Dziękuję, mości Janie, bardzoś mi pan pomógł. Wstrzymałbym się wszak przed wyciąganiem zbyt daleko idących wniosków. – Sam zamierzałem sobie wszystko gruntownie przemyśleć, zdając sobie sprawę, że oto napotkałem beczkę prochu i każdy nieostrożny ruch wysadzi mnie, i nie tylko mnie, w powietrze.

– Jeszcze jedno, jeśli łaska – zatrzymał mnie. – Na Stradomiu jest od niedawna gospoda „Pod Kogutem”, byłeś pan tam kiedy?

– Nawet o niej nie słycałem.

– Prowadzą ją Francuzi. Z początku myślał żem, iż hugenoci jak ja. Ale to bez *dubium* katolicy. Nie przyjęli mnie zbyt serdecznie i byłem rad, żem stamtąd uszedł cały. Może tam znajdziesz użyteczne informacje?

– Możliwe. – Wyjąłem tajemniczy medalion i zadałem sakramentalne pytanie: – Wiesz pan, co znaczą te inicjały?

Potrząsnął głową.

– A słycałeś o *coup d'allonge*? To termin szermierczy.

Rozłożył ręce i uśmiechnął się przeproszająco.

– Niewojenny ze mnie człek. Na koniec, mości Ryksie... Ja wiem, że trudno ci uwierzyć, by takie rzeczy, o jakich powiadałem, zdarzały się naprawdę. A to dlatego że żyjesz w dziwnym kraju, w którym panuje pokój boży, a skrytobójcze mordy, otrucia, strzały z za węgła, prawie się nie zdarzają. Jak waść myślisz, dlaczego uciekłem z ojczyzny i czemu siedzę tu tyle lat? Wasi królowie to anioły w porównaniu z naszymi. Nawet to, co robił król August pod koniec życia, to nic takiego, biorąc pod uwagę to, co potrafili i potrafią nasi monarchowie. A ród de Valois jest ze wszystkich najgorszy. Nie ma takiej zbrodni, do której nie byliby zdolni. Ale już niedługo... Nadchodzi dzień rozrachunku! Wiedz waść, że wszyscy

oni są przekłeci. Aż po trzynaste pokolenie przeklął ich ostatni mistrz templariuszy, de Molay, gdy niewinnego palili na stosie. I wszyscy potomkowie Hugona Kapeta marli przedwcześnie, weź kogo chcesz. Karol IX jest jedenastym z kolei i wróble na paryskim bruku ćwierkają, że umrze lada dzień, jak nie na suchoty, to otruty przez własną matkę, która chce zwolnić tron francuski dla Henryka. Powiadam ci, dzień sądu już się zbliża! Wspomnisz moje słowa...

Podziękowałem mu za wszystko i czym prędzej poszedłem do domu, przestraszony nieco mistycznym zapachem, w który popadł zacny *bibliopola*, i czując potężny głód. Po drodze przypomniałem sobie, że wszak boczna linia francuskich Kapetyngów, Andegawenowie węgierscy, którzy panowali także u nas: król Lois i jego córka Jadwiga, umarli przedwcześnie... Mimo to uwierzyłem najwyżej w połowę tego, o czym z taką swadą prawił Francuz. Ale i to wystarczyło, by pojąć, że gdy sprawa się nagłośni (a heretycy, nie tylko francuscy, od początku przeciwni elekcji Francuza zamieszanego w rzeź ich współwyznawców, nie omieszkają o to zadbać), zostanie wykorzystana przeciw królowi. Zaś następstwa podobnego oskarżenia mogły być niewyobrażalne... Był jeszcze jeden problem: czy Thenaud powiedział mi o wszystkim w dobrej wierze i był to dowód, że ani on, ani drudzy krakowscy kalwini nie byli w to zamieszani, czy wprost przeciwnie? Aż mnie ciarki przeszły z powodu odpowiedzialności, jaka na mnie spoczęła. Poczuję się niby maleńki trybik, który może zniszczyć wielką maszynę państwowej albo utrzymać ją w ruchu. Raptem przyszło mi coś do głowy i zamiast do domu, poszedłem do drukarni Łazarzowej.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Januszowski. – Owszem, przed ledwie paroma dniami był tu ktoś. Chciał zamówić ulotne druki w liczbie tysiąca i dobrze zapłacić, ale był to tak ohydny paszkwilus na naszego króla, coś o morzu przelanej okrutnie krwi, sodomii, lasciwii z ladacznicami poddawany mi potem ohydny gwałtom i okaleczeniu, żem mu kazał iść precz.

– Jak wyglądał ów człek?

– Młody, postawny. Patrzył mi na postronnego, lecz po naszymu mówił doskonale. I jeszcze ci powiem na koniec: w Krakowie nikt nie poważy się wydrukować żądanych przez niego paszkwilusów, wystawiając na hazard nie tylko interes, lecz i głowę. Jeśli ów człek koniecznie chce mieć takie druki, musi po nie posłać do Pragi, albo nawet Wiednia, a to wymaga czasu i zachodu.

Po drodze odniosłem niemiłe wrażenie, że ktoś podąża za mną w ślad. Zacząłem kluczyć między kramami, aż przyczałem się za jednym z nich. Lecz czekałem na próżno, nikt mnie nie śledził; byłem po prostu przewrażliwiony.

Pod kościołem Świętego Jana wpadłem na Garbusa *vel* Ślepcę. Już się przestraszyłem, że uraczy mnie następnym fragmentem swej *Peregrynacji dziadowskiej*, ale na szczęście jemu też było dokądś pilno. Mimo to ucieszył się na mój widok.

– Hola! Bacz, jak chodzisz. Odkąd to paraduje się po ulicy z głową wstecz

obróconą?

– Zdało mi się, że ktoś za mną łązi.

– O! Żeby ci tylko nie przeszkodził w wyszlakowaniu owych wilkołków.

– A czemu to cię trapi? – nawet mnie nie zdziwiło, że zawsze wiedział, czym się aktualnie zajmowałem.

– Bom jest tym żywotnie zajęty. Od niejakiego czasu, gdzieś od lutego tego roku, giną mi ludzie.

– W jaki sposób?

– Po prostu znikają bez śladu. Wpierw myślałem, że to robota żabojadów, co tak liczną hurmą zjechali do naszego miasta. Poderżnęliśmy paru gardziele, wprzód wzięwszy na spytki, lecz nawet pod groźbą śmierci nie przyznali się do niczego, utrzymując, że to nie robota ich krajanów, boby o tym słyszeli. Nareszcie kilka nocy temu żebraczka, niejaka Choroba, zabawiająca się z dwoma towarzyszami na cmentarzu pod kościołem Świętej Marii Magdaleny, podejrzwała, jak na jej kompanionów napadnięto, porwano i uniesiono nie wiadomo dokąd.

– A czemu owej Choroby też nie zabrali? – spytałem powątpiewająco.

– Bo się skryła w krzaczach. Powiedziała jeszcze, że hetman owych porywaczy to jakiś wielki pan, poznała po głosie.

– Marne to *testimonium*. Odkąd to żebraczki potrafią po głosie rozpoznać wielkiego pana? A trzeźwa choć była ta twoja Choroba?

– Śmieję się, lecz ja jej wierzę. Ktoś w mieście porywa moich ludzi i zapewne gdzieś ich po kryjomu morduje, a ja nie potrafię go wyszlakować. To mnie złości. A teraz ta jatka w „Drewnianej Kleci”. Kilka zamordowanych tam dziewczek robiło dla mnie. Może to robota tych samych sprawców? Tak dłużej być nie może. Zajmij się tym, Ryx. Złap mordercy, a ja już zadbam, by ci nikt w robocie nie przeszkadzał. Aha, Kubrak i Dziura donieśli mi, że od paru niedziel w każdy wtorek na wieczornym nabożeństwie spotyka się w farze Mariackiej dwóch Francuzów i coś do się szepczą. Może to nie ma żadnego znaczenia, a może ma. Ty to winienesz lepiej wiedzieć, bo się obracasz przy dworze.

– Jak wyglądali?

– Jak to żabojady. Jeden nosi maskę na gębie, drugi kapelusz wciśnięty aż po szyję. Jak się dowiem czegoś więcej, dam ci znać. Bywaj zdrów.

Kiedy wróciłem do domu, nikogo z gości jeszcze nie było, rodzeństwa francuskiego także. Włamałem się zatem do ich izby, co nie stanowiło dla mnie najmniejszej turbacji. Wszystko zastałem w największym porządku, statki obojga popakowane, jakby zamierzali opuścić gospodę dziś jeszcze lub najdalej jutro. Mimo iż przeszukałem gmach starannie, nic ciekawego nie znalazłem. Z jednym wyjątkiem. Był on za to tak zajmujący, iż poświęciłem mu sporo uwagi, starając się postępować z najwyższą ostrożnością. Wodę przy tym zużytą wychlusnąłem przez okno, dolewając świeżej ze swego ceberka. Skończyłem robotę na długo przed powrotem obojga Francuzów, którzy bynajmniej nie przybyli razem. Ale społem zasiedli do wieczerzy,

która upłynęła wyjątkowo miło, ponieważ Kochanowski był nastrojony krotochwilnie i sypał facecjami jak z rękawa, a pozostali dostroili się do żartobliwego tonu.

Późną porą poszliśmy spać. Nie rozdziewałem się i nawet nie sięgnąłem po książkę, siedząc na łożu w ciemnościach i czekając na dogodny moment do działania. Chciałem zaskoczyć, tymczasem sam zostałem zaskoczony, bo oto cicho zapukano do drzwi.

– Proszę – rzekłem, biorąc w dłoń krzoskę i zapalając świecę stojącą w lichtarzu na półce.

Była w samym gnieźle, z tak cienkiego płótna lub muślinu, półprzezroczystym, że zdawała się niemal naga. Przełknąłem ślinę, nie mogąc oderwać oczu. Uczyniła kilka kroków w moją stronę, tak kręcąc kształtnym kuperkiem, że serce mi niemal stanęło. Kiedy dzielił ją ode mnie już tylko krok, zatrzymała się i jednym płynnym ruchem zrzuciła zwiewną materię. Szczeka mi opadła i wyszło w gardle. Wychrypiałem z trudem:

– Arletto, ja...

Nie dała mi dokończyć. Pchnęła mnie w pierś, padłem na łożo, ona zaś dosiadła mnie jak ogiera i zaczęła mi rozpinąć odzienie. Gorąco buchnęło mi do głowy i rozlało się po całym ciele, gdy jej zręczne i ruchliwe jak jaszczurki palce znalazły moją męskość. Uniosła się lekko, równocześnie ściągając mi spodnie. Pochyliła się w przód, jej rozpuszczone włosy rozsypały się na mojej twarzy, przyłgnęła ustami do moich, a długi język wśliznął mi się do gardzieli. Po chwili wsparła się na jednej ręce, gdyż drugą wciąż trzymała na moim podbrzuszu i usiadła, ja zaś wreszcie mogłem zaczerpnąć tchu, którego bardzo mi brakowało. Równocześnie poczułem chłodny wiew na rozgrzanym ciele, ujrzałem upierścienioną dłoń zbliżającą się do mojej piersi i pochwyciłem ją za nadgarstek. Stygłem chyba jeszcze szybciej, niż zostałem rozpalony.

– Widzisz, moja panno – odezwałem się, choć nie było łatwo, gdyż siedziała mi na przeponie. – W twoim pierścieniu nie ma już trucizny. Znalazłem ją, wylałem i wypłukałem klejnot. A ot, siurpryza!

Byłem z siebie tak dumny, iż udało mi się rozpoznać i zneutralizować śmiertcionośne narzędzie, że zapomniałem, iż Arletta nie mówi po polsku. Pierścień miał postać żuka zwanego rohatyńcem, któremu z głowy sterczał w górę wygięty róg. Spodnia część klejnotu, wykonana ze złota, była zbiorniczkiem zawierającym truciznę, natomiast grzbiet żuka, wyrobiony z dużego granatu, uginał się na sprężynie umieszczonej wewnątrz, tłocząc jad do owego kolca na nosie żuka, który był wydrążony. Po ukłuciu ofiary trucizna dostawała się do krwi i uśmiercała. Sprytne, lecz ja byłem sprytniejszy. Przynajmniej tak mi się przez chwilę zdawało.

– Brawo – rozległo się nade mną i ujrzałem brata dziewczki, jeśli nim był, w co od niejakiego czasu mocno wątpiłem; teraz wiedziałem, skąd wzięło się chłodne powietrze: weszło razem z nim, równie bezszelestnie. – Niestety, *mon cher*, muszę cię

zmartwić – ciągnął uprzejmym, by nie rzec, gawędziarskim tonem. – Zorientowaliśmy się, żeś usunął jad z pierścienia, i napełniliśmy go na powrót. A tyś jedynie się zdradził, że wiesz za dużo. Cóż, dlatego musisz zginąć, *mon ami...* *Excusez-moi* [112] dubeltowo, bom cię polubił, zaś w pierścieniu jest nie jakaś pospolita trucizna, lecz jad ropuchy, gorszy znacznie od żmijowego. Pewnie jesteś ciekaw, jak działa? Powoli, powodując straszliwe męki: wpierw światło zacznie ci drażnić oczy, potem oślepniesz, a całe ciało pokryją bąble, z których w miarę pękania pocznie wyciekać żółta cuchnąca ciecz, twarz ci obrzęknie i szernieje, mózg obumrze do poziomu zwierzęcia, bóle jak sztylety będą przeszywać całe ciało, osobliwie zaś te partie – wskazał moje obnażone krocze.

Dał mi czas, bym sobie zdołał imaginować, co mnie czeka. Ochłodziłem tak, iż nawet siedzące na mnie okrakiem piękne dziewczę nie było w stanie mnie rozgrzać, a podejrzewałem, że nawet tuzin takich jak ona też nic by nie wskórało. Ścięta lodem Wisła w porównaniu ze mną wydzielala o wiele więcej ciepła.

– Jad ropuchy ma wszelako tę niedogodność, że nie działa od razu, więc miałbyś czasu pod dostatkiem, by wrzaskiem pobudzić cały dom, albo i samemu spróbować uniemożliwić nam ucieczkę. Nie radzę. Wymalowałem jadem oba żelaza – pokazał rapier i lewak u boku – więc każdy, kto stanie nam na drodze i zostanie choćby lekko draśnięty, umrze w mękach jak ty, bowiem na tę truciznę nie ma antidotum. Chyba nie narazisz bliskich, nie jesteś taki, dobrze cię poznałem.

– A wy, kim naprawdę jesteście? – spytałem. – Mogę się chyba tego dowiedzieć przed śmiercią?

Uśmiechnął się z lekką drwiną.

– Nie tymi, za których się podajemy, to już wiesz. Bratem i siostrą też nie jesteśmy i tegoś również się domyślił zapewne, ściany są sam bardzo cienkie. Mamy w Krakowie coś do zdziałania, dlatego wybac, lecz musimy się już pożegnać... Szkoda, że nie możemy twojej szacownej ciotce podziękować jak należy za gościnę, osobiście zamierzałem powiedzieć jej: *Merci pour votre hospitalité* [113], ale za to na stole zostawiam dziesięć skudów. Może nie wynagrodzą jej utraty przybranego syna, lecz zawsze jakoś pocieszą...

– Powiedz mi tylko jeszcze, czemu mordujesz ludzi w tak okropny sposób, czemu w ogóle ich mordujesz, ty i drudzy?

– Ach, usłyszałeś mnie w nocy wracającego albo zauważyłeś brak jednego wytrychu w swojej kolekcji, pojmuję – zagryzł wargi, nierad ze swej nieostrożności. – Ja nikogo nie morduję.

– Ale przewodzisz ludziom, którzy to robią?

Stracił cierpliwość.

– Za dużo chciałbyś wiedzieć. Po co ci to, skoro niedługo staniesz przed Stwórcą? Od Niego dowiesz się wszystkiego, także tego, co znaczy PS i co to jest *coup d'allonge*. Zabij go szybko i przyjdź się ubrać, zaraz musimy wychodzić! – rzucił

Arletcie swój sztylet, który złapała w locie, i tak cicho jak wszedł, tak zniknął za drzwiami.

Tylko na to czekałem. Wierzgnąłem, rzucając zadem tak wysoko, jak poradziłem w takich okolicznościach. Na szczęście nic mi nie wystawało już od dobrej chwili, toteż niczego sobie przy okazji nie uszkodziłem. Za to Arletta (jeśli było to jej prawdziwe imię) spadła ze mnie niczym kiepski jeździec z narowistej kobyły. Jej upierścieniona dłoń minęła moją twarz o cal, zaś cios sztyletem odbiłem, uderzając pięścią w nadgarstek dziewczki i wybijając jej broń z dłoni. Lecz niczym lewart rzuciła się natychmiast po sztylet, ja zaś nie mogłem jej przeszkodzić, bom właśnie rzucał się w przeciwną stronę, po rapier zwisający z oparcia krzesła. Wyszarpnąłem go z pochwy w sam czas, by odbić zdradliwe pchnięcie zatrutym puginałem. Dziewka syknęła jak źmija i znów zaatakowała. Sparowałem. Krążyła wokół mnie jak rozwścieczona kocica, nawet parskając tak jak ona, dając mi jednak czas na podziwianie swoich niczym nieosłoniętych wdzięków i podciągnięcie spodni lewą ręką. Nareszcie poczułem się swobodniej, bo jednak nic tak nie deprymuje mężczyzny jak opuszczone gacie, toteż bez trudu odbiłem kilka gwałtownych sztychów, gdy skoczyła na mnie niczym furiatka, zadając ciosy na oślep.

– No, panienko, możemy tak walczyć aż do świtu – rzekłem.

Nie wiem, czy mnie zrozumiała, czy raczej sama pojęła bezużyteczność swych usiłowań, bo nie spuszczać ze mnie źmijowatego spojrzenia, wycofała się ku drzwiom i po chwili już jej nie było. Na wszelki wypadek odczekałem, aż na schodach dały się słyszeć ciche stapania, po czym wyjrzałem z izby.

– Pamiętaj, com ci rzekł. Jest zatrute, a ja nie zawaham się go użyć – Francuz przystanął na stopniu i pokazał mi nagie żelazo.

– Tylko zamknij za sobą dokładnie drzwi, nie chciałbym obudzić się rano z gardłem podezrniętym przez jakiegoś opryszka – odparłem półgłosem jak on.

Przytknął broń do ronda kapelusza w pożegnalnym salucie.

– W innych okolicznościach moglibyśmy zostać przyjaciółmi, Kacper.

– Wątpię. Z morderzami nigdy nie było mi po drodze.

– Zatem: *Au revoir*. Spotkamy się w piekle.

– *À bientôt* [114]. Tuszę, że pošlę cię tam przodem – mruknąłem i wróciłem do izby; jeszcze tego brakowało, by ciotka lub kto drugi wyjrzał na schody i zobaczył mnie półnagiego, trzymającego w jednej garści opadające furynały, w drugiej obnażony rapier.

ROZDZIAŁ 10 | W SAKU

Kraków, marzec 1574 roku

Czekała w krużgankach zamkowych, nerwowo przechadzając się tam i z powrotem. Nareszcie sejm zakończył obrady i posłowie opuścili izbę Pod Głowami, w której debatowali.

– Mości Zamojski! – zawołała.

Rozpromienił się na jej widok i ohotnie pocałował w rękę.

– Panna Joanna jak zawsze urocza. Czemu zawdzięczam przyjemność oglądania waćpanny?

Od razu przeszła do rzeczy.

– Idzie mi o Samuela Zborowskiego. Czy został już pochwycony?

Zamojski rozejrzał się niespokojnie, po czym pociągnął ją na kamienną ławkę w zacisznym końcu dziedzińca.

– Lepiej, by nie słyszano, o czym mówimy – wyjaśnił. – Samuel ma wielu wrogów, ale i sporo przyjaciół. Nie, nie pochwycono go. Wątpię nawet, by usiłowano. W tej chwili jest już pewnie w połowie drogi do Siedmiogrodu.

– I waść też nie podjąłeś żadnych kroków, aby sprawiedliwości stało się zadość? Przecież kmotrzyliście się z moim ojcem!

– *Qui gladio ferit, gladio perit* [115]. Obiecuję, że Samuel zapłaci za tę i za inne zbrodnie – odparł poważnie – ale nie teraz. Cierpliwości. Jeśli nie prawo, to *vindicta hominem sceleratum aliquando consequetur* [116].

– Łacno waści gadać! Sama pójdę ze skargą do króla.

– To nic nie da, wierzaj mi.

– Zresztą dobrze: mam nieco gotowizny, cioteczka Balcerowa na pewno pożycz mi resztę, a waszmość proszę jedynie, byś znalazł kogoś, kto, jak ongi Marcin

Zborowski za Sanguszką, ruszy za Samuelem Zborowskim i skróci go o głowę.

Pokręcił przecząco głową.

– Żądasz niemożliwego. Nikt i za żadne pieniądze nie podejmie się tego. Sanguszko wprawdzie był księciem, lecz znaczył niewiele, a Zborowscy są potężni i stoją tak blisko tronu, że już bliżej nie można.

– Czy otaczają mnie sami tchórze?! – zawołała z rozpaczą. – Najpierw odmówił mi Janek Żaliński, potem Kacper, a teraz waść... Szkoda, że nie masz tu pana Żółkiewskiego!

– To nie tchórzostwo, to rozwaga – obruszył się zaczerwieniony. – Stachnik owszem, gorąca głowa, być może i by się pokusił, lecz ja uczyniłbym wszystko, by go powstrzymać. A już z pewnością twój zarzut nie dotyczy Kacpra, który jako jedyny ze znanych mi żyjących ważył się stawić czoło Samuelowi. Nie zabił, ale ośmieszył i wystraszył łotra śmiertelnie, a to już, rzekłbym, nieomal cud. Stało się to zaraz po pożarze gospody i śmierci tego waszego lutnisty, o co Kacper zapewne obwiniął Samuela. Co za głupota mścić się za skon nic nieznaczącego pólidioty! I co? Teraz Ryx jest chodzącą padliną, jak mawia Samuel, i ani ja, ani nikt drugi nie możemy mu pomóc. A to dlatego że żaden szlachcic, a już na pewno żaden Zborowski, nie ścierpi takowego spostponowania ze strony przedstawiciela *humilis loco*. Taką zniewagę można zmazać jedynie krwią. Dlatego dni Ryksa są policzone. Możesz zatem, jak i ja to czynię, nazwać go głupcem, lecz nie tchórzem, bo z pewnością nim nie jest. A teraz wybacz, muszę już iść.

Odszedł poruszony i, jak jej się zdało, rozgoryczony zarówno nią, że nazwała Ryksa tchórzem, jak i Kacprem, że się nim nie okazał, Janka zaś siedziała tam, gdzie ją zostawił, dopóki nie spłoszył jej wieczorny chłód. Do tego czasu wiele sobie przemyślała.

Kraków, kwiecień 1574 roku

Sprzedawszy za niezłą cenę wyczerpanego wierzchowca, który go tu przywiózł i nie był na razie potrzebny, zjadł porządną wieczerzę i udał się do wynajętej uprzednio izby. Jeszcze niedawno zdobycie nie tylko izby, lecz zwykłego kąta do spania graniczyłoby z cudem. Jednak teraz pierwsi posłowie, zniechęceni fiaskiem debat sejmowych, z wolna wracali do domów, zwłaszcza że zbliżały się święta Wielkiej Nocy. Czuł się, jakby po długiej nieobecności wrócił w domowe pielesze, choć nie było go prawie dwa lata i nie znał żadnego miejsca na świecie, które mógłby nazwać domem. Polubił jednak to miasto, do którego los rzucił go przed czterema laty, mimo iż spotkała go tu jedna z dotkliwszych porażek. Wyjechał potem za granicę w poszukiwaniu intratnych zleceń, godnych jego talentu, a teraz oto powracał, ponieważ obecność królewskiego dworu komuś takiemu jak on gwarantowała dostatek pracy,

gdyż zawsze znajdowali się ludzie potrzebujący jego usług. Wolał Kleparz od Krakowa, bo tu zawsze roiło się od podróżnych i łatwiej było zniknąć w anonimowym tłumie.

Nikt się go nie spodziewał, nikt tutaj nie wiedział, czym się zajmuje. Żyjących wrogów, których mógłby się obawiać, praktycznie nie miał, jednak zachowywał ostrożność, ponieważ była jego drugą naturą. *Ut vivas, igitur vigila* [117]. Dlatego od razu spostrzegł brak piórka, które wychodząc z kwatery, zawsze zostawiał wetknięte między drzwi a futrynę. Na palcach wycofał się na schody, potem na zadź zajazdu, zręcznie i cicho jak kot wdrapał się na dach szopy przytykającej do budynku i wytknąwszy jedno oko, zapuścił żurawia w głąb izby. Poznawszy intruza, zastukał w szklaną gomółkę, aby go wpuszczono. I o ile w swoim fachu nie mógł ufać nikomu, nie miał powodu, by się tamtego obawiać – rozstali się w zgodzie. Na pewno szło o jakieś zlecenie. Przestał się także dziwić, że został wyszlakowany niemal natychmiast po przyjeździe do miasta, i to zatłoczonego bardziej niż zazwyczaj – człowiek naprzeciwno wiedział wszystko, co działo się w Trójmieście [118]. Podszedł do niewygodnego zydła i usiadł na wprost importuna, który zajął jego łóżko. Widział w ciemności jak sowa, lecz wiedział, że gość pod tym względem bije go na głowę. Miał uderzający wygląd, lecz i w tym nie mógł się równać z przybyszem. To ich do siebie ongiś zbliżyło. Darowali sobie powitania.

– Wróciłeś w sam czas.

– O co chodzi tym razem?

Słuchał uważnie. Sprawa była prosta, nagroda szczodra.

– Kto to ma być?

– Ryx – rzekł przybysz; po chwili milczenia, jakby chcąc dać mu czas na zastanowienie, dodając: – nie wadzi ci to?

– Nie mam uprzedzeń – odparł bez wahania.

Kraków, kwiecień 1574 roku

Grał na małym dziedzińcu, między zamkiem a katedrą, w grę zwaną we Francji *jeu de paume* [119], tu zaś nieznaną wcale. Toteż większość jego polskich dworzan i doradców gapiała się na grających ze zdumieniem i jakby zgorszeniem, że oto monarcha tak postępuje swą godnością, uganiając się za piłką i starając się ją jak najmocniej uderzyć rakieta podobną do śnieżnej. Tak by grający z nim Bussy d'Amboise nie zdołał odbić piłki. Przywykł już do parafiańszczyzny tych Polaków i nawet go bawiła, lecz teraz czuł tylko złość. Być może dlatego, że Bussy wcale nie zamierzał przegrać, co było w najwyższym stopniu irytujące. Pomyślał, że nie pierwszy to raz niedawny faworyt zachowuje się niestosownie, i poczuł, że zaczyna

doń tracić sympatię. A im bardziej ją tracił, tym szerzej się uśmiechał do współzawodnika, w sercu gotując mu niemiłą siurpryzę. Syknął, bo znów zaboląła go głowa, a już mu się zaczęło zdawać, że ciepłe polskie czapeczki uleczyły go z tej dolegliwości na dobre. Z ulgą powitał du Halde'go, który przybiegł zdyszany i kłaniając się z uszanowaniem, zakomunikował:

– *Majesté!* Przybył umyślny z Paryża!

Natychmiast przerwał grę, rzucając rakiety Quéłusowi i mówiąc:

– Dokończ za nas.

Wróciwszy do swych komnat, nawet się nie przebrał, rzucił na łożo, jak stał, i z niecierpliwością rozrywał pieczęcie, pochłaniając listy, wśród których brakowało tych najbardziej oczekiwanych – od Marii de Clèves, po mężu de Condé. Ale i tak wieści były dobre, nawet bardzo dobre, zaś niektóre tak zabawne, że roześmiał się w głos, po czym kazał wezwać du Guasta i rzekł:

– Przeczytam ci coś, co cię z pewnością ucieszy, jako i nas ubawiło. Posłuchaj tylko, co pisze nasz wierny Cheverny...

Filip de Cheverny de Hurault był zaufanym sekretarzem Henryka, który pozostał we Francji, by tam pilnować spraw swego pana.

... Wasz młodszy brat, sire, zaraz po Waszym odjeździe sprzymierzył się z panem de Montmorency przeciw Jego Królewskiej Mości Karolowi IX, zakładając partię les politiques [120] i okkurentem swym czyniąc pana Bonifacego de la Môle'a, Prowansalczyka, piękniśia, uwodziciela, a zarazem bigota, o którym Wasz królewski brat powiada, że kto by chciał ułożyć registr stosunków miłosnych de la Môle'a, ten by potrzebował zliczyć jedynie msze, na które ów chadza. Pan de la Môle został kochankiem Waszej siostry królowej Margot, sire. Ale ponieważ miał także romans z panią Charlottą de Sauve, która wszelako dzieliła swe łaski między niego, księcia d'Alençon a króla Nawarry i o wszystkim donosiła królowej matce, ta zwiedziła się o knowaniach diuka d'Alençon.

Drugim zaufanym człowiekiem księcia był Piemontczyk, pan Coconasse, który miał stosunek z księżną Nevers...

Przerwał i spojrzał złośliwie na swego doradcę.

– Słyszysz, de Nevers, co czyni twoja małżonka pod twą nieobecność?

Księżę, który studiował jakieś papiery, słuchając jednym uchem, tylko machnął lekceważąco ręką.

– Nudzi się, biedactwo, to i nie dziwota – po czym znów zagłębił w aktach.

... Powiadomiony zatem o spisku przez królową matkę, król Karol nakazał wtrącić de la Môle'a i Coconasse'a do Bastylji – kontynuował, trochę rozczarowany, ponieważ nie udało się dopiec Neversowi. – Wkrótce parlament, pod

naciskiem króla i królowej matki, zasądził obu na śmierć. Do wyroku mimowolnie przyczynił się przyjaciel de la Môle'a, Cosma Ruggieri, czarnoksiężnik, który podczas aresztowania spytał, czy król aby nie miał boleści. Królowa matka natychmiast nakazała przejrzeć rzeczy de la Môle'a i oto znaleziono pośród nich figurkę z wosku w koronie, a w niej dużo nakłuc i obtłuczeń główki. Mimo tortur de la Môle nie przyznał się, by tym czarnoksiężkim sposobem chciał spowodować śmierć Jego Królewskiej Mości, a utrzymywał, że jedynie przychyłność w miłości pewnej damy, której imienia nie chciał wyjawić...

Wiara w czary była we Francji powszechna, a czarownice i wróżbiarki bardzo modne. W samym Paryżu doliczono się ich trzydziestu tysięcy, radzono we wszystkich ważnych sprawach, przed bitwą lub pojedynkiem dawały rycerzom kartki z kabalistycznymi znakami dla ochrony. Sam czasem korzystał z ich usług.

... Choć diuk d'Alençon wstawiał się za skazańcami, obu ścięto na placu de Grève, ciała poćwiartowano i porozwieszano na czterech szubienicach u głównych bram Paryża, zaś głowy wystawiono na placu de Grève. Owe głowy królowa Margot i księżna de Nevers wykradły w nocy, kazały zabalsamować, przybrały klejnotami i w ołowianych puszkach pochowały na cmentarzu Montmartre, po czym, ku zgorszeniu całego dworu, rozpaczając wielce, przywdziały na znak żałoby brunatne suknie, a na swych bransoletach i wisiorach kazały wyryc trupie główki...

– Paradne, co, du Guast? – z uciechy uderzył się po udach, przerywając czytanie i rzucając list w kąt.

– Dokładnie czegoś podobnego należało po tej głupiej kurwie oczekiwać.

– Uważaj, przyjacielu – pogroził ulubieńcowi palcem. – Nie lekceważ mojej łagodnej siostry. Obyś się boleśnie nie przekonał, do czego jest zdolna urażona do żywego niewiasta. Słyszałeś, Nevers, o czym czytaliśmy?

– Słyszałem.

– I co ty na to?

– Ee, komedia i tyle – niewzruszony Nevers nie raczył oderwać wzroku od papierów. – Mam tu ważniejszą sprawę: jak obejść polskie prawa, żeby wzmocnić władzę waszej królewskiej mości...

– Nie nudź i nie psuj mi humoru, stary marudo. Jest też w liście dobra nowina, która i ciebie powinna zaciekawić: oto mojemu królewskiemu bratu znacznie się pogorszyło, tak pluje krwią, jakby lada dzień miał wypluć całe płuca...

– Doskonała nowina, ale może tak plwać jeszcze długo, a tu sejm się kończy i trzeba powziąć decyzję, komu powierzyć wakaty – upierał się diuk.

– Du Guast, co radzisz?

– To proste. O ile „książę nie potrafi nigdy zabezpieczyć się przed nieprzyjaznym ludem, bo ma do czynienia ze zbyt wielu ludźmi, przed możliwymi może się zabezpieczyć, bo tych jest niewielu” – faworyt jak zwykle zacytował Makiawela. – „Skoro potężny cudzoziemiec wkracza do prowincji, natychmiast łączą się z nim wszyscy ci, co są w niej mniej potężni, kierowani zawiścią przeciw potężniejszemu od siebie (jak Zborowscy przeciw Tęczyńskiemu i Firlejowi); tak że on nie będzie miał żadnych trudności, aby ich pozyskać, gdyż ci wszyscy od razu złączą chętnie swe siły z rządem zdobywcy. Ma tylko uważać, aby nie zyskali zbyt wielu i zbyt wielkiego znaczenia, a łatwo będzie mógł własnymi siłami, tudzież za ich poparciem poniżyć potężnych, aby niepodzielnie stać się samowładnym panem tej prowincji”.

– Nie ma się czym przejmować: *Novus rex, nova lex* [121]. Albo inaczej: *Princeps legibus solutus* [122]. Trzeba tylko – wtrącił Nevers, równie dobry znawca *Księcia* – „zostawić im ich własne prawa, czerpiąc stamtąd pewne dochody i stwarzając wewnątrz rząd oligarchiczny, który by ci je utrzymał w przyjaźni. Albowiem taki rząd, utworzony przez księcia, wie, że nie może obejść się bez jego przyjaźni i potęgi i że trzeba czynić wszystko, aby go podtrzymać. I łatwiej trzyma się miasto, przyzwyczajone do wolności, za pośrednictwem jego obywateli niż w jakikolwiek inny sposób” [123]. Myślę...

Nie dowiedział się, co myśli doradca, bo do drzwi zapukał du Halde.

– *Majesté*, pan Krasowski prosi o posłuchanie. Mówi, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Niech wejdzie.

Karzeł wszedł śmiało jak ulubieniec, który jest pewien łask swego pana, po złożeniu niskiego ukłonu z ręcznie wdrapał się na krzesło i rzekł bez wstępu:

– Katastrofa, *sire*. Obie dziewczyny, któreśmy z du Guastem sprowadzili na zamek, znaleziono martwe, pozbawione krwi i z opalonymi łonami. A znów w mieście doszło do masakry w pewnym burdelu i tamtejsze ładaczniczki też zostały *eo modo* [124] okaleczone. Nie muszę chyba nikomu w tej komnacie mówić, po co to zostało uczynione i na kogo ma paść oskarżenie za te ohydne zbrodnie? Zwłaszcza teraz, gdy wśród posłów wrze, może to mieć nieobliczalne skutki.

Henryk zbladł i chwycił się za głowę, którą znów przeszył ostry ból. Nawet Nevers przestał zgłębiać dokumenty, a Guastowi nabrzmiała blizna na twarzy.

– Co proponujesz, mości Domino?

– Rozmawiałem z panem starostą Firlejem. Poleca nam usługi pewnego zmyślnego młodzieńca, którego zna jego syn, i ręczy zarówno za biegłość w rzemiośle inwestygatora, jak ów każe się nazywać, jak i jego dyskrecję.

– Tedy na co czekasz, trzeba go wezwać!

Kraków, kwiecień 1574 roku

– Joanno! – ostry głos pani starej sprawił, że wzdrygnęła się gwałtownie i odskoczyła od okna, jakby rzeczywiście zrobiła coś złego, a nie przystanęła jedynie na chwilę nie wiadomo po co, a raczej wiadomo – za oknem była wolność, za którą coraz bardziej tęskniła; jeszcze do niedawna nie wyobrażała sobie życia poza dworem, od pewnego czasu miała jednak nieprzewartą ochotę wrócić do gospody cioteczki Balcerowej i coraz cieplej wspominała dawne czasy.

Ten odruch ocalił jej życie. Kula roztrzaskała szybę, o włos ominęła głowę dziewczyny i nieszkodliwie ugrzęzła w ścianie. Teraz to ochmistrzyni wrzasnęła ze strachu i podskoczyła, niedoszła ofiara zachowała spokój, jedynie nieco pobladła.

Kraków, kwiecień 1574 roku

– Po coś mnie tu wezwał? To głupie i nieostrożne.

Przyparł mignona do muru, bo akurat przez dziedziniec zamkowy przechodził karzeł Krasowski. Na szczęście tak zaafierowany, że nie zwrócił na nich uwagi.

– Musiałem – pięknie otarł zroszone potem czoło, biła od niego ohydna woń strachu, przytłumiona przez zapach perfum, którymi tamten się zlewał. – Coś podejrzewają. Ten karzeł z piekła rodem i ów okropny du Guast węszą wszędy jak psy myśliwskie. Ktoś grzebał w moich rzeczach.

– Spokojnie. Chyba nie znaleźli niczego?

– Nie, ale... widziano mnie. Nie przy robocie, lecz to wystarczy, by po nitce dojść do kłębka.

– Kto cię widział?

– Pewna dziewczka z fraucymeru infantki. Próbowałem ją zgładzić, jednak nie udało się.

– To spróbuj jeszcze raz.

– Tak uczynię, niemniej na tym koniec. Umywam ręce i tobie też radzę.

– O mnie się nie trap, będę robił swoje – odparł, zastanawiając się, czy nie zabić mignona już teraz, ale wokół kręciło się zbyt wielu ludzi; postanowił zaryzykować i odłożyć sprawę na potem. – Spotkamy się za tydzień. Tym razem u mnie. Wiesz, gdzie – niestety, uczynił ten błąd i dlatego tamten musiał umrzeć. – I, na miłość boską, opanuj się! Jeśli zachowasz spokój i pozbędziesz się dziewczki, nic ci nie grozi.

Zostawił „pieszczocha” znacznie spokojniejszego.

Kraków, kwiecień 1574 roku

– Panno Wapowska...

– Tak, mości Żaliński?

Niemal przyciskał ją do muru w odległej części domu, ale nie obawiała się go, choć jego umizgi i natręctwo były jej wstrętne. Boże, jakże mogła kiedykolwiek myśleć o związaniu się z kimś takim?

– Proszę mi mówić Janku, Joasiu... Chyba żem ci niemiły?

– Lubię waćpana, ale... – skłamała i próbowała się wymknąć, lecz zagroził jej drogę.

– Tedy bądź dla mnie milsza, a ja cię uchronię zarówno przed przypadkowymi, jak umyślnymi zamachami. – Już wszyscy na dworze wiedzieli, że cudem uszła z życiem, jednak uznano to za wypadek, ona jedna domyślała się prawdy: chodziło o to, co zobaczyła tamtej nocy.

Próbował ją przygarnąć, ale wywinęła się. Tylko jeden człowiek mógłby ją niemal przed wszystkim i wszystkimi ochronić – Kacper Ryx. Od niego jednego przyjęłaby pomoc, gdyby nie był taki głupi i ślepy. Dlatego Staś Żółkiewski byłby jeszcze lepszy. Ale na pewno nie ten tutaj, który nadawał się w sam raz do uwodzenia pokojowych.

– Dziękuję. Potrafię obronić się sama.

Odepchnęła go bezceremonialnie i odeszła. Patrzył na nią zmrużonymi oczyma. Złość zniekształciła mu przystojną twarz.

– To twoje ostatnie słowo?! – rzucił za nią, a gdy nie odpowiedziała, zamruczał wściekle: – Pożalujesz...

Miałem okropną noc. Przyśnił mi się upiór rycerza Szafranca. Gonił mnie w ciemności po wymarłym mieście, wymachując trzymaną w ręce ludzką głową. Kluczyłem zaułkami, lecz zawsze mnie dopadał, nim wreszcie cisnął głową w zgonionego niemal na śmierć i oddalił się, rechocząc w głos. Podniosłem wzrok i skamieniałem ze zgrozy. To była moja głowa. Obudziłem się złany potem, z mocno bijącym sercem.

Trzeba przyznać, że pierwszy raz w życiu byłem tak skołowany, czując się iście jak dziecię we mgle. W ciągu niewielu miesięcy zdarzyło się w mieście tyle niewytłumaczalnych zbrodni, że całkiem się pogubiłem. W przytomności Trojana nadrabiałem miną, lecz wcale nie byłem mądrzejszy od niego. Ba, zacząłem powątpiewać w możliwość racjonalnego wyjaśnienia wszystkich osobliwych wypadków. I to ja, który zawsze wyśmiewałem się z głupców wierzących w duchy, upiory i drugie nadprzyrodzone zjawiska, wymykające się logicznemu rozumowaniu!

Potrzebowałem rady i, jak zwykle w takiej potrzebie, wymknąwszy się cichaczem z gospody, skoro świt udałem się do ojca Rocha. Mimo wczesnej pory, posłyszałem donośny rwetes dobiegający z Rynku i postanowiłem sprawdzić, co też tam się działo. Już z dala dostrzegłem mnogi tłum otaczający ratusz i wznoszący okrzyki w rodzaju:

– Pokażcie nam morderzów!

- Dość trupów i krwi niewinnie przelanej!
- Powstrzymać bezgłowego upiora!
- Pochwycić wilkołków!
- Gdzie hutman, gdy miasto spływa krwią?!
- Dawać burmistrza i całą radę! Za co wam płacimy?!

Podszedłem bliżej. O dziwo, tym razem w ciżbie nie przeważała rozmaita hołota, jak zwykle w takich przypadkach bywało, lecz zacni, dostatnio odziani obywatele, a nawet matrony. Wszyscy jednako wzburzeni, z lękiem i złością malującymi się w oczach i na wykrzywionych obliczach. To nie był zatem zwykły tumult, ale w każdej chwili mógł się w taki przerodzić. Posłyszałem, jak ludziska w podnieceniu opowiadają sobie najróżniejsze wersje ostatnich wypadków. Były dwie główne partie. Jedną, w której widziałem kilku duchownych patrzących na egzorcystów, utrzymywała, że sprawcą mordów, które wstrząsnęły miastem, był mściwy upiór Szafrança, z towarzyszącą mu gromadą żądnych krwi wilkołaków z piekła rodem. Wedle drugiej winowajcą miał być Czeczotka, który, niesyt dotychczasowych łajdactw, postanowił zabawić się, udając legendarnego upiora i biorąc sobie ku pomocy w nowej zbrodni największych złoczyńców w mieście.

Nikt nie wyszedł do zgromadzonych, bramy ratusza pozostały zawarte na głucho. Wkrótce zatem co bardziej zdecydowani i zniecierpliwieni zaczęli rwać burk i ciskać w okna budynku. Zanim jednak strażnicy pospieszyli z interwencją, ktoś, zapewne jakiś żak, bo oni mieli z eksburmistrem na pieńku od dawna, wrzasnął:

– Precz z Krwawym Burmistrem!

– To sprawka Małego Borgii! – zawtórował mu inny. – Ubić bestię w ludzkiej skórze!

– Trza skończyć ze strachami raz na zawsze! Upieczmy upiora w jego gnieździe, z wilkołkami pospołu!

Natychmiast tłum zmienił obiekt swej nienawiści i odpłynął w kierunku domu Czeczotki, na rogu Rynku i Świętej Anny, skąd wkrótce doszły do mych uszu odgłosy wybijanych szyb, a nawet pistoletowej palby. Bardzo to przypominało tumult sprzed paru lat, kiedy to żacy już raz omal nie zabili Czeczotki i nie zrównali z ziemią jego domu w pomście za bezprawne skazanie na śmierć magistra Wolskiego. Wówczas zamieszki trwały dziesięć dni i zakończyły się zruderowaniem połowy miasta. Dzisiejsze wystąpienie łącno mogło przerodzić się w podobną zawieruchę. Trzeba było działać, dlatego odszedłem stamtąd i pospieszyłem do szpitala duchaków.

– Jak to, czy istnieją duchy? – zdziwił się *pater* Roch, gdym go o to zapytał. – Masz na to w Biblii dostatecznie wiele dowodów. Gdybyś częściej zaglądał do Pisma Świętego miast do tych swoich nowomodnych poezyj, nie przeszkadzałbyś mi teraz w porannym obchodzie.

– Ale mnie, ojcze, idzie o co innego. O upiory, widma ożywione diabelską mocą, nawiedzające ludzi i krzywdę im czyniące...

– Aa. O wampiry, wilkołaki, strzygonie i takie tam. Pewnie chcesz wiedzieć, czy

owe niesłychane zbrodnie, o których już nawet tutaj doszły słuchy, mogły być ich dziełem?

– Właśnie.

Dumał chwilę, po czym rzekł:

– Powiem tak: wierzę w dobre i złe duchy nawiedzające ludzi, bom nieraz doświadczył ich obecności, a zdarzyło mi się widzieć opętanych przez diabła pod postacią złego ducha. Ale żeby owe przyjmowały ludzką postać, tegom nigdy nie widział i nie bardzo w to wierzę, acz nie wykluczam. Kimże bowiem jestem, by negować ustalenia rady najmędrszych teologów, która zwołana w ubiegłym stuleciu przez cesarza Zygmunta Luksemburczyka potwierdziła istnienie wilkołaków, albo spierać z jedną z moich pacjentek, zarzekając się, że jej zmarły mąż pod postacią strzygonia nawiedzał ją po nocach, straszył i próbował udusić – zdało mi się, że w jego głosie wyczuwam ironię.

Gdy milczałem, przetrawiając jego słowa, które bynajmniej nie rozwiały moich wątpliwości, obserwował mnie bacznie, a po chwili, widać pojawiwszy moją rozterkę, położył mi rękę na ramieniu i powiedział:

– Zawždy zalecałem ci, byś kierował się w życiu rozumem, wiary nie zarzucając, albowiem wiele jest na świecie rzeczy, które wymykają się nawet najtęższemu umysłom. Oto moja rada: chcesz zniszczyć upiora odpowiedzialnego za te straszne zbrodnie, tedy pochwyć opętanego przezeń człeka, który za tym stoi.

Wróciwszy do domu, zaraz poszedłem na kwaterę, padłem na łożo i zacząłem rozmyślać. Idąc za radą ojca Rocha, odrzuciłem ingerencję sił nadprzyrodzonych i uporządkowałem sobie nareszcie (co powinienem uczynić już dawno) wszystko, co wiedziałem o tajemniczych zabójstwach. Teraz byłem już niemal pewny tego, co wcześniej jedynie podejrzewałem – to co na pierwszy rzut oka tworzyło jeden ciąg zbrodni (popelnianych zawsze nocą i z wyjątkowym okrucieństwem), po bliższym przyjrzeniu dało się podzielić na cztery odrębne sprawy: mordów na nierządnicach z użyciem dłuta (najstarsza, sięgająca być może nawet kilku lat wstecz); występów rzekomego upiora (trwających mniej więcej od półtora roku), który co prawda nie zabijał napotkanych ludzi, lecz skądś przecież brał w miarę świeże głowy nieboszczyków, a nikt nie zgłaszał rozkopywania grobów na cmentarzach i dekapitowania zwłok; niedawnego zabójstwa dwóch ladacznic znalezionych na Ostrowie Tatarskim oraz całkiem świeżego mordu na gościach „Drewnianej Kleci”. *Modus operandi* w każdym z czworga przypadków różnił się, choć w dwóch ostatnich zdradzał wyraźne podobieństwo (przyżeganie łon wszetecznicom). Dlatego nie sposób było zastosować jednego *modus procedendi*, każdą sprawę należało traktować odrębnie, acz niewykluczone, że sprawcy dwóch ostatnich zbrodni współpracowali ze sobą i kierowała nimi chęć skompromitowania i zohydzenia osoby króla, a wówczas zbrodniarzy należało szukać wśród francuskich kacerzy, niewykluczone iż tworzących jakieś bractwo (Bractwo Trójcy wykreśliłem z rejestru podejrzanych) o inicjałach PS. Z kolei pierwszy morderz patrzył na bestię w

makabryczny sposób leczącą jakieś swoje kompleksy, zaś „upiór” (jego ofiary jako jedyne były jak dotąd wyłącznie mężczyznami) tylko się zabawiał okrutnie. W związku z wyznaniem owej Choroby, z osobistych pobudek chętnie przypisałbym ten przypadek Samuelowi Zborowskiemu. Lecz w mieście mieszkało wielu możnych panów, sporo patrycjuszy było uszlachconych, niektórzy charakterem niewiele różnili się od Zborowskiego, więc i kandydatów na upiora nie mała gromada. Czekał mnie zatem ogrom roboty, która na domiar wymagała pośpiechu, bo miasto stało na granicy wybuchu niewyobrażalnej paniki o nieprzewidywalnych skutkach.

Głodny jak wilk i mocno spóźniony zszedłem na śniadanie, które pochłonałem w mgnieniu oka. Niepotrzebnie tak się spieszyłem, bo i tak nie poszedłem na uniwersytet. Biorąc pod uwagę sympatię, jaką ostatnio darzyły mnie uczelniane władze, z powodu absencji groziło mi nie tylko niedopuszczenie do egzaminu bakalarskiego, lecz i relegowanie z akademii. No, ale kiedy ma się takiego gościa...

– Witaj, Rozmus. Schudłeś – wskazałem mu miejsce, unosząc się lekko, by nie uchybić nakazowi grzeczności.

Erazm Czeczotka *alias* Tłokiński, eksburmistrz, faktycznie zmienił się w ciągu minionych czterech lat, przynajmniej na ciele.

– Czego się napijesz?

– A ty co pijesz? – spytał, ciężko opadając na ławę naprzeciwko; może i schudł, lecz ława wygięła się i niemal słyszałem, jak zajęczała pod ciężarem.

– Piwo wareckie.

Skrzywił się.

– Białawe, szczypiące, z koloru i smaku dość podobne do wina. Znam, lecz nie gustuję. Wolałbym gdańskie, jeśli można.

Skinąłem na Marysię i wydałem polecenie. Sam dla odmiany nie gustowałem w piwie gdańskim, które było tak ciemne, że jakmiarz czarne, i z korzeniami. Cóż: o gustach się nie dysputuje.

– Gdzie twój cień Siekiera?

– Myślałem, że przynajmniej tu nic mi nie grozi – odpalił.

– Ale mile widziany także nie jesteś. Biorąc pod uwagę, coś uczynił naszej familii.

– Znieprawił i przywiódł do śmierci moją siostrę Dorotę, choć nie on ją zabił.

– I kto to mówi? A kto chciał mnie zabić i omal mu się nie udało? Doceń, zem nie szukał za to pomsty, choć mogłem.

– *Touché!* – odparłem, bo faktycznie cios był celny; próbowaliśmy z Jadwigą, z pomocą Kasi-Anusi, zgładzić łobuza, co nam się, chwała Bogu, nie powiodło, acz przypłacił to ciężkim udarem mózgowym, co mu się słusznie należało.

– Widzę, żeś nauczył się francuskiego. Bardzo przezornie.

– Odróbkę. Chcesz, żebym cię uczył?

Uśmiechnął się półgębkiem i umoczył grube wargi w piwie.

– Nieźle – mlasnął. – Nie, nie przyszedłem tu uczyć się francuskiego. Przyszedłem, żeby skorzystać z twych usług jako inwestygatora. Nie powinienes być

zdziwiony, bom już raz ci składał propozycję za pośrednictwem hutmana Trajana. Podtrzymuję ją.

– Odśwież mi pamięć. Wysłucham z grzeczności – zastrzegłem. – Nie, żebym miał chęć ją przyjąć.

– Byłeś dziś na Rynku?

– Wiem, co tam się działo.

– Więc wiesz, o co mnie oskarża głupi motłoch. Całe szczęście, żem noc spędził u Warkowskiego, dlatego mogłem tu przyjść, bo spora gromada pomyleńców wciąż waruje pod moim domem, hałasując i miotając obelgi. Powtarzam propozycję: ty odnajdujesz winowajcę ohydnych zbrodni, które wstrząsnęły miastem w ostatnich dniach i miesiącach, zdejmując ze mnie tym samym niedorzeczne podejrzenie o sprawstwo, ja wypłacam ci dubeltową nagrodę. Zda się, że zazwyczaj bierzesz sto dukatów plus koszty? Proszę, oto sto dukatów z góry – położył na ławie przed nami pękatą pacharynę. – Drugie sto i zwrot kosztów po robocie. Jest tylko jeden warunek: musisz się uwinąć, zanim puszcza mnie z dymem. I co ty na to?

Przesunął kiesę w moją stronę.

– *Pecunia non olet* – mruknąłem sentencjonalnie, nie robiąc żadnego ruchu, a po zmieszanej minie tłuszciocha zrozumiałem, że nie pojął, co powiedziałem. – Już zobaczyłem, jaki kiepski z ciebie łacinnik, mości Tłokiński, więc ci przetłumaczę: pieniądze nie śmierdzą. Nawet twoje. Ale nie dlatego rozważam twą propozycję...

– Zatem ją przyjmujesz? – wpadł mi w słowo z ożywieniem.

– Na razie rozważam – zgasilem jego entuzjazm. – I to wyłącznie dlatego że przeszedłem duchową przemianę...

– Ty? – znów mi przerwał, tym razem z niedowierzaniem. – Zawždy myślałem, że w tym jednym oba jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody: nie mamy serca.

Spojrzałem nań z wyrzutem.

– Mów za siebie. Twe posądzenie o brak ludzkich uczuć dotknęło mnie boleśnie, Rozmus. A jeszcze bardziej, wybacz: szczerść za szczerść, porównanie z twoją osobą – splukałem gorycz piwem. – Lecz z pokorą przyjmuję krytykę mego wcześniejszego postępowania, ponieważ, jak rzekłem, jestem nowym człowiekiem; po przejściach i mądrzejszym – gestem uciałem kolejny wtęt, bo znów otwierał usta, a ileż można znosić kalumni i przytyków, i ciągnąłem: – A jako taki pojąłem, że próba wcześniejszego odesłania do piekła nawet takiego podleca i heretyka jak ty nie tylko jest niegodna prawego katolika, ale i nie licuje z profesją inwestygatora. Rumienie się z tego powodu i chęć ekspiacji jest jedną z przyczyn, dla których wezmę tę sprawę. Drugą jest dobro naszego miasta. A trzecia to taka, żem spotkał niedawno, a w życiu się nie spodziewałem, iż to możebne, jeszcze większą kanalię od ciebie, acz szlachetnie urodzoną, a nie świeżo nobilitowaną jak ty...

– Więc pomożesz mi czy daremnie zezwalam się obrażać? – zniecierpliwil się.

– Pomogę, lecz pod dwoma warunkami: *primo*, zaniesiesz te pieniądze –

wskazałem mieszek – do szpitala duchaków i osobiście doręczysz hospitalariusowi, ojcu Rochowi, jako skromne zadośćuczynienie za to, żeś będąc prowizorem szpitala Świętego Rocha, bezwstydnie okradał ubogich żaków z należnych im sum.

Przerwałem.

– Niech będzie – rzekł pospiesznie. – A drugi warunek?

– Będziesz się bezwzględnie stosował do poleceń.

– Zgoda. Mów.

– Niezwłocznie, powtarzam: niezwłocznie zerwiesz wszelkie stosunki z ową nastołą od Warkowskiego, z którą cię ostatnio widywano. Wszyscy dookoła mają się dowiedzieć, że już ci się znudziła. Po czym kupisz jej czy wynajmiesz dom, tak jak poprzedniej. I nie wolno ci się do niej zbliżyć na krok. Aha, dom musi mieć drugie, dyskretne wejście. Ja sam zajmę się zatrudnieniem służby. I uprzedź dziewczkę, że ją rychło nawiedzę...

– Czyżbyś...

– Głupiś. Ona też musi mnie słuchać, jeśli nie chce skończyć jak poprzedniczki.

Rozstaliśmy się bez podania rąk, na takie uprzejmości żaden z nas nie miał oskomy i pewnie już nigdy nie nabierze. Stojąc w drzwiach, widziałem, jak tłuścioch oddala się w asyście swego cyngla i arcyłotra, Praszki zwanego Siekierą, oraz czworga ludzi obstawy. Każdemu burmistrzowi z urzędu przysługiwała taka ochrona (mało tego – gdyby chodził po mieście bez eskorty, musiałby zapłacić karę), ale Czeczotka nie tylko był eksburmistrzem, lecz nawet znów nie wszedł w tym roku do ośmioosobowej rady urzędującej. A mimo to jakoś miałem dziwne przekonanie, i dałbym sobie za to obciąć paznokcie, że usługi owych czterech osiłków finansuje miasto. Cóż, przyzwyczajenie jest drugą naturą, a Czeczotka od dawna nie odróżniał kasy miejskiej od własnej. W sumie nie byłem pewny, dlaczego zgodziłem się mu pomóc. Czyżbym miękł? Może zamiast inwestygatorem powinienem zostać księdzem? W każdym razie natychmiast udał się w kierunku szpitala duchaków i tylko to mnie w tym momencie interesowało.

Jeszcze stałem w progu, gdy przyszedł posłaniec z ratusza. Odprawiłem go, obiecując stawić się niedługo. Jako i narzuciłem tylko coś na grzbiet, uspokoiłem ciotkę, że wizyta Czeczotki tym razem nie zwiastowała nam żadnych przykrości, i poszedłem. Z wyjątkiem paru wybitych szyb, budynek zbytnio nie ucierpiał. Ku swemu zdziwieniu zostałem przyjęty w paradnej Izbie Pańskiej, w której na co dzień rajcy odbywali posiedzenia i sądy, a od święta gościli królów. Gdybym o tym nie wiedział, przypomniałby mi znakomity murator, Gabriel Słoński zwany Słoninką, w tym miesiącu urzędujący primas, który na mój widok poderwał się z krzesła ozdobnego niczym tron.

– Imaginuj sobie, młodzieńcze – szerokim gestem ogarnął całą bogato wyposażoną komnatę – że to tu zacni panowie rajcy krakowscy urządzili w 1402 roku ucztę poweselną królowi Jagielle i królowej Annie Cylejskiej, a przed dwudziestu laty wydali dla miłościwie wonczas panującego Augusta obiad

dziękczynny, który kosztował, bagatela! aż 444 złote i 15 groszy, jak to akuratnie zapisano w księgach.

– Pojmuję – rzekłem. – Zostałem tu zaproszony miasto króla Henricusa, jako że też jestem *rex*, za to przystępniejszy.

Roześmiał się, podał mi rękę i wskazał miejsce, po czym znów umościł się w owym paradnym krześle, spoważniał i natychmiast przeszedł do rzeczy:

– Wczoraj w nocy zmarł pan wojewoda krakowski Jan Firlej. Dziś, może nawet w tej chwili, król jegomość wyznacza nie tylko jego następcę, ale obsadza i drugie wakaty. Lecz dla nas najważniejsze jest, kogo mianuje nowym wojewodą krakowskim, bo od tego zależy skład urzędującej rady. Fatalnie się złożyło, zwłaszcza biorąc pod uwagę poranny tumult, o którym żeś zapewne słyszał. W związku z tymi dwoma pożalowania godnymi przypadkami może miałeś już nawet wizytę Czeczotki...

Więc to między innymi z powodu śmierci wojewody stary przechera Rozmus odwiedził mnie tego pięknego poranka! Słoński musiał wyczytać odpowiedź z mojej twarzy, bo pokiwał domyślnie głową.

– Zatem miałeś! Szybko działa, chytry lis. Wie dobrze, że jeśli prędko nie oczyści się z zarzutów, nowy wojewoda, oby nareszcie katolik, także nie włączy do rady urzędującej człowieka, którego od dawna przezywają Małym Borgią i Krwawym Burmistrzem, a ostatnio także Bezgłowym Upiorem, Wilkołakiem i Morderzem Nierządnic!

– Bóg mi świadkiem, że go nie lubię, ale on raczej tych zbrodni nie popełnił. Te oskarżenia są niedorzeczne.

– Może tak, może nie... Powiem bez osłonek: ani ja, ani wielu drugich rajców nie zmartwiłoby się, gdyby ktoś wykazał, że eksburmistrz Tłokiński jest jednak zamieszany w te paskudne sprawy w jakikolwiek sposób. Błoto raz ciśnięte przylega do niewinnego równie dobrze jak do winowajcy... – spojrzał na mnie znacząco i dodał: – Za coś takiego gotowi bylibyśmy hojnie nagrodzić.

– Nie zajmuję się preparowaniem dowodów – rzekłem ani zaskoczony, ani jakoś specjalnie zgorzony; może ongi poszedłbym nawet na ten układ, byle dopiec wrogowi, jednak teraz stawiałem sobie wyższe wymagania. – Można mnie kupić, lecz nie za każdą cenę. Interesuje mnie głównie prawda, mości burmistrzu, a obliguje lojalność wobec klienta. Czeczotka jest zaś moim klientem... Ale – dodałem szybko, nie chcąc go do siebie zrażać – niewykluczone, iż w tej sprawie prawda okaże się dla niego przykra i nie będę mógł go ochronić przed jej konsekwencjami...

– Coś podejrzewasz? – spojrzał na mnie spod oka.

– Może... – Owszem, miałem pewne podejrzenia, lecz nie zamierzałem ich tu roztrząsać.

– Propozycja pozostaje otwarta. Zwłaszcza że naprawdę zależy nam na złapaniu sprawcy lub sprawców tych ohydnych mordów, zaś mówił mi hutman Trojan, iż już obiecałeś mu pomoc. Miasto ogarnia coraz większa panika i trudno się ludziskom

dziwować, grozi nam zatem potężny tumult, który dziś udało się jeszcze uśmierzyć, ale na dal aż strach myśleć, co może się zdarzyć. Zaś co do nagrody...

– Nie chcę pieniędzy – rzekłem. – Co nie znaczy, że nic nie chcę.

– Mów zatem, czego chcesz, słucham.

– Wasza miłość byłeś wraz z panem rajcą Urbankowiczem prowizorem szpitala duchackiego, który podupadł, bowiem zdefraudowano wyznaczone sumy.

– Wiem. To nie moja wina. To Urbanek zmarnotrawił fundusze. Ale dobrze, osobiście poprę skargę prepozyta Regiomontanusa, która już wpłynęła do sądu radzieckiego. Masz moje słowo. Wystarczy?

– W zupełności.

Widziałem, że moje zaufanie mile połechtало jego próżność, zresztą po to włożyłem w to zapewnienie tyle uczucia; w rzeczywistości dawno wyrosłem z dziecinnej ufności w przyrzeczenia i obietnice możliwych tego świata, a jeśli coś zostało, wyzbywałem się tego ostatnimi czasy w przyspieszonym tempie.

– Tedy powiem ci, że dziś rano znów znaleziono zabite i ohydnie pokaleczone dziewczki. Tym razem na wiertelu sławkowskim, w pobliżu baszty Katowskiej. Trojan i Szarski właśnie tam są. Na pewno chętnie przyjmą twą pomoc, jeśli zechcesz jej im udzielić. Ratusz jest tą masakrą zainteresowany bardziej, niż krwawymi jatkami w „Drewnianej Kleci”.

Dobrze pojmowałem dlaczego. Tamten zamtuz był prywatny, zaś w okolicy baszty Katowskiej i baszty Ceklarzy, na odcinku ulicy Psiej pomiędzy murem cmentarza Świętego Szczepana a broną Sławkowską, znajdował się zakątek [\[125\]](#), który bez przesady można było nazwać kurewskim. O ile w Krakowie działało pono piętnaście legalnych zamtuzów, to spora ich część znajdowała się właśnie tutaj. Zawszy, o każdej porze dnia, a szczególnie nocy, dochodziły stąd krzyki, śpiewy i głośna muzyka. Nie brakowało tu drewnianych bud, niektórych jak gniazda jaskółcze przylepionych do miejskich murów, a większość była lupanarami, i to nie prywatnymi, ale poniekąd należącymi do miasta. Prowadził je bowiem kat miejski, który dziewczki rekrutował na ogół z przestępczyń. Miały one tę głównie zaletę, że były tanie – zwykle kosztowały sześć groszy, z czego musiały miastu odprowadzać co tydzień jeden grosz, zaś zyskiem dzielić się z katem. Dlatego ratusz był żywotnie zainteresowany kurewskim procederem uprawianym pod egidą miasta i pieczęią małodobrego. Masakra tam oznaczała panikę wśród małop, odpływ klientów i wymierne straty dla ratusza. Jeśli zaś idzie o gamratki pracujące na własny rachunek, jak na przykład wdowa Waliszewska, takie brały i po parę talarów, zależało to od ich wieku, urody, biegłości w sztuce kochania i hojności klientów. Każde zatem uderzenie w zorganizowaną lasciwieć, rykoszetem uderzało w stan kasy miejskiej, nie mówiąc o nastrojach wśród mieszkańców.

Kiedy zaszedłem do nieszczęsnego zaułka, było w zasadzie po wszystkim. Po trupy zgromadzone w jednym miejscu i przykryte płachtą właśnie podjeżdżał duży

wóz, a strażnicy miejscy rozpędzali gapiów.

– Co tym razem? – spytałem po przywitaniu z hutmanem i jego substytutem. – Byłem akurat w ratuszu i burmistrz Słoński prosił, bym do was zaglądnął.

– Pięć zasztyletowanych dziewczek, odartych z odzienia, z poszarpanymi ciałami i okropnie przypalonymi łonami. Chcesz zobaczyć?

– Nie, dank serdeczny – wzdrygnąłem się. – Wystarczy mi to, com widział na Ostrowie Tatarskim i w „Drewnianej Kleci”.

– Tu było podobnie, jeno dziewczki zaskoczono na ulicy, gdy szukały klientów. Jeden zresztą się napatoczył, na swoje nieszczęście. Ta sama metoda, ci sami sprawcy.

– Skąd pewność?

– Widziano ich. Około tuzina czarnych postaci, z rogami, pazurami i pyskami pełnymi wielkich kłów, z których skapywała krew. Wypisz, wymaluj: wilkołki – sarknął Trojan ponuro. – Ktoś nawet krzyknął, przyzywając nocny ront.

– I co?

– Tam leżą, obok gamratek – wtrącił Matusz z goryczą. – Pan hutman, jak obiecał, wzmocnił nocne patrole, które od czasu tamtych jatek w „Drewnianej Kleci” chodzą po czterech. Niewiele im to pomogło, tamci rozprawili się z naszymi w mig, jak prawdziwe diabły wcielone.

– Myślisz, że ktoś ruszył im w sukurs? – dokończył hutman, widocznie poruszony; nie dałbym głowy, czy w jego zasnutym bielmem oku nie błysnęła łza. – Nie, gapili się jeno ukryci za oknami albo przez szpary w budach, jak owe bestie rozszarpują moich ludzi i dziewczki, a potem je opalają niby jakie gęsi na świętego Marcina. Tfu, tchórze przekłęci! Dopiero skoro świt odważyli się wyleźć ze swych nor i podnieść larum. Do tego czasu tamci rozplłynęli się w powietrzu jak dym. Powiedz mi, Kacper, jak mam ich złapać? Ludzie są tak zestrachani, że nikt palcem nie kiwnie, a niedługo pacholki miejskie też nie zechcą wychodzić na nocne wachty i ja im się będę dziwował ostatni...

– Trzy dni temu nasi chłopcy zdybali paru takich, w czarnych kapturach na łbach, co w nocy próbowali podpalić zbór ariański na Szpitalnej, i spuścili im srogie lanie – pochwalił się Szarski, dodając z żalem: – Żadnego nie udało się jednak pochwycić, ale raczej nie patrzyli na wilkołków...

– Od naszego ostatniego widzenia dowiedziałem się co nieco – odciągnąłem ich na bok i półgłosem przekazałem część tego, com się dowiedział od francuskiego księgarza.

– Wciórności! – nie mógł się powstrzymać Matys. – To znaczy, że król...

– Ciii – rzekłem. – Bardzo wątpię. Raczej ktoś chce, aby tak sądzono. Na razie wersja z wilkołakami im dogadza, bo zwiększa rozgłos i panikę w mieście, ale wkrótce niepostrzeżenie zaczną rozsiewać plotki szkalujące osobę króla jegomości, albo raczej rozrzucać druki o stosownej treści, wspomnicie moje słowa.

– To się trzyma kupy, choć nie przybliży nas do sprawców ani o cal – przyznał Trojan. – Nadal mniemasz, iż to sam i w „Drewnianej Kleci”, mord na Waliszewskiej

i drugich oraz twoje nieboszczki na Ostrowie Tatarskim, to trzy różne sprawy? No to niezgorsza nas czeka robota. Daj znać, jak znów się czegoś dowiesz.

Na Rynku wpadłem wprost na Grotę.

– Samopas? – zdziwiłem się. – A gdzież sławetne Sodalitas Trinitatis?

– Nie ma już Bractwa Trójcy.

– Jaka szkoda – zadrwiłem, choć mnie mocno zaciekawił.

– Chcesz się bić czy pogadać? – zniecierpliwił się. – Jeśli to pierwsze, to dziś nie jestem w nastroju, a skoro drugie, to chodź na piwo, ja stawiam.

Zeszliśmy do „Piwnicy Świdnickiej” pod ratuszem, gdzie dawali wyborne piwo śląskie.

– Wpierw mój substytut Jędrzek Chrzastowski doznał objawienia i odmienił wiarę, a niedawno kupa głupców, co beze mnie wybrała się spalić zbór ariański, dała się poturbować drabom miejskim. To przelało czarę i bractwo musiało zawiesić działalność – łyknął potężnie, splukując gorycz. – Niech ich diabli porwą!

– Czemuś związał się z takimi ludźmi?

– Dostałem ultimatum. Wiesz, że mój ojciec dopiero na łożu śmierci odmienił wiarę na katolicką, choć czując pismo nosem, wcześniej odebrał mnie ze szkoły kalwińskiej i kazał przekabacić na papieżnika. No więc gdzieś na początku zeszłego roku akademickiego przyszedł do mnie Chrzastowski, którego znałem wprzód i który właśnie podsunął arcykatolickiemu doktorowi Janeczce pomysł podbierania z librarii zakazanych ksiąg, bym im pomógł w tym procederze. W przeciwnym razie miano mnie oskarżyć o skryte sprzyjanie herezji i wydalić z uniwersytetu. Tedy nie tylko się zgodziłem, ale także obmyślił dalsze kroki i zaproponował utworzenie sekretnego bractwa. To im się spodobało. A co było dalej, to już wiesz.

Uwierzyłem mu połowicznie. Może i działał pod presją, lecz bez ochyby hetmanienie podobało mu się, a teraz wylewał krokodyle łzy nie tyle z żalu nad rozpadem Bractwa Trójcy, ile prędzej nad utratą przodka i władzy, którą dawało przywództwo. Mogłem wykorzystać tę jego słabość w lepszej sprawie niż prześladowanie innowierców, a przynajmniej spróbować.

– Słyszałeś o rzekomych wilkołkach, co nocami napadają na lupanary i mordują gamratki? Albo o upiorze bez głowy?

– Kto nie słyszał? – wzruszył ramionami, dopił piwo i zamówił następne.

– A gdybyś tak reaktywował Sodalitas Trinitatis, tym razem do walki z owymi bestiami? Pachołki miejskie same sobie z nimi nie poradzą. Uprzedziłbym hutmana i pomoglibyście im, a w razie powodzenia kęs chwały dostałby się i wam. Przemyśl to sobie i daj mi znać, coś postanowił.

Zostawiłem go zamyślonego, acz już znacznie mniej przygnębionego, nad pełnym kuflem, i po powrocie do domu wpadłem akurat w sam środek zamętu, bowiem nasi goście-posłowie wrócili z Wawelu rozeźleni, gdyż sejm właśnie został rozwiązany, na co się od dawna zanosilo, i postanowili natychmiast wracać do domów na święta wielkanocne, które istotnie zbliżały się milowymi krokami. Służba

uwijała się jak w ukropie, aby na jutrzejsze przedpołudnie przygotować swych panów do odjazdu. Okazało się, że razem z mistrzem Kochanowskim przyszli też panowie Górnicki i Zamojski i wszyscy po to, by się pożegnać. Większość gości nie ukrywała swego rozgoryczenia, dlatego wieczerza nie przebiegała w zbyt wesołej aurze.

– A zatem sejm szezł na niczym, jak się na to zanosilo niemal od początku! Król nie zatwierdził paktów konwentów i artykułów henrycjańskich i wcale nie powinien królować! O małżeństwie z królowną też ani słowa! A weźmy sprawę wakujących krzesel i starostw: większość wakatów obsadzili Zborowscy i ich poplecznicy! Dobra królowny rozdrapano bezwstydnie, a gdy się biedaczka poskarżyła, taką ponoć usłyszała odpowiedź od króla: „Nie chcę dać, lecz moja ręka podpisuje wbrew mnie”! Król hojną ręką rozdaje pieniądze, nadania, starostwa, często cudze! Oto pan Łaski dostał bezprawnie Lanckoronę, a bankier Karol Soderini wieś należącą do wielkorządców krakowskich! – przekrzykiwali się wzajemnie.

– A właśnie, mości Zamojski, przecież waćpan też dostałeś Knyszyn, który prawem dzierży pan Stefan Bielawski, dobry i zasłużony żołnierz... – zauważył któryś.

Zamojski, który rzadko tracił koncept, zarumienił się i milczał. Byłem ciekaw jak ten, który chlubił się, że reprezentuje ogół szlachty, i na początku sejmku, jak slyszalem, był jednym z przywódców opozycji antykrólewskiej, a potem zmienił front (właśnie wyszło na jaw, za jaką cenę), wytłumaczy się z tego.

– Moi panowie – rzekł po namyśle. – *Rex lex* [126], lub inaczej rzecz ujmując: *Voluntas regis suprema lex* [127]. Nadto król jest młody i nie zna naszych praw. Potrzebuje jeno nieco czasu. Zdażymy jeszcze powrócić do spornych spraw na najbliższym sejmie zwyczajnym i z pewnością zostaną one załatwione ku powszechnemu zadowoleniu. A to, żeście teraz niekontenci, to wina nie króla, lecz panów senatorów, ich pychy i kłótności. Co do mnie: wziął żem starostwo knyszyńskie, bo jak nie ja, wziąłby drugi, znów jakiś klient albo pociotek Zborowskich...

– To prawda – potwierdził jeden z posłów. – Należało się panu Zamojskiemu, bo kto przez cały sejm trudził się, objaśniając królowi jegomości z naszego na tę ichnią dziwaczną mowę, w sam raz dla żab pasującą?

– Racja! – walnął w stół drugi poseł.

– *Vivat* pan Zamojski! – zawtórował mu inny.

– Napijmy się! – zaproponował kolejny i nikt nie odmówił.

– I to wam jeszcze powiem, waszmościowie – ciągnął Zamojski – że oto na naszych oczach coś się zmienia w Rzeczypospolitej, i to na lepsze. Bo czyż ja i drudzy będziemy w stanie utrzymać nasze nadania, skoro wygaśnie łaska królewska? Tym sposobem zniknie w Polsce i na Litwie dziedziczne trzymanie stanowisk, a często ich łączenie. A czyż nie przeciw temu protestowaliśmy za króla Augusta, dopominając się egzekucji praw? To, co dziś jest z krzywłą dla jednych, jutro obróci się na

powszechny pożytek.

– Prawda! Dobrze mówi! Pijmy!

Podziwiałem, z jakim misterstwem Zamojski odwraca kota ogonem i to, co było przejawem jego ambicji i prywaty, prezentuje jako rozwiązanie lepsze i sprawiedliwsze, co poniekąd istotnie chyba takie było, a równocześnie zrobiło mi się jakoś nieswojo. To samo zdaje się nurtowało mistrza Jana, bo pił milczkiem. Pożałowałem go, gdyż bodaj ja jeden wiedziałem, z jakimi nadziejami przybył do Krakowa, a najwidoczniej znów przeżył rozczarowanie. Nie wiedziałem tylko, czy nie wziął cudzego jak jego przyjaciel, czy mu nic nie zaproponowano.

– A ty, Janie, nic nie powiesz? – zwrócił się doń Zamojski.

– A co mam rzec? Rzucam dwór i wracam do domu. Jam już wybrał, tym razem ostatecznie i nieodwołalnie. Jak chcecie, to posłuchajcie:

*... Inszy niechaj pałace marmórowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniaździe ojczystym,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystym,
Pożywieniem uściwym, ludzką życzliwością,
Obyczajami znośnymi, nieprzykrą starością [128].*

– Byłbym zapomniał – ucałowawszy z uszanowaniem dłoń ciotki, która udawała się na spoczynek, Zamojski klepnął się w głowę i zwrócił do mnie: – Kacprze, pan Krasowski, karzeł królewski, prosił mnie, bym cię zabrał ze sobą, wracając do zamku.

– Teraz? – osłupiałem, bo pora była późna.

– Właśnie teraz król jegomość wstaje z łoża i pracuje do białego rana.

Nie uszło mej uwagi, że przy słowie „pracuje” mistrz Górnicki uśmiechnął się leciutko.

– Nie wiesz waszmość, o co idzie?

– Nie, ale na pewno o coś ważnego, stąd ten pośpiech.

– W takim razie muszę się jakoś stosowniej przyodziać...

– Nie trzeba, na pokojach królewskich o tej porze odzienie nie jest potrzebne, przekonasz się – rzekł Zamojski z powagą, a na ustach Górnickiego znów pojawił się dziwny uśmieszek.

Tedy wymieniłem jeno kubrak na nowszy, zabrałem broń i społem poszliśmy na Wawel akurat, gdy do północy brakowało godziny, co biciem obwieszczał zarówno kunsztowny zegar na wieży ratuszowej, jak i trębacz na wieży mariackiej.

– Pewnie jako i drudzy, ty także źle oceniasz przyjęcie przeze mnie starostwa knyszyńskiego? – Zamojski spojrzał na mnie spod oka; mimo wszystko musiało mu to zalegać na sumieniu, skoro widział potrzebę tłumaczenia się wobec przyjaciół.

– Nie mnie oceniać postępowanie waszej miłości – odparłem politycznie, bo i ja czegoś się nauczyłem ostatnimi czasy. – Poza tym podług mnie rozdawanie i

odbieranie urzędów wedle uznania wzmacnia władzę królewską, co jest dobre dla kraju.

– Diabła tam dobre, skoro zgodnie z tą metodą to, co dziś zostało dane, jutro może być odjęte – sarknął Górnicki. – Kto ci zaręczy, Janie, że nim dojedziesz do Knyszyna, nie dostanie go ktoś, kto nie ma twoich zasług, ale za to jest gotów dużo zapłacić jego królewskiej mości? Przecie już trwa w najlepsze frymark dostojeństwami. Francuzi sprzedają swoje nadania krajowcom w myśl zasady: kto da więcej. Mnie tam te nowe francuskie porządki wcale się nie widzą.

– To prawda, taki azard trzeba mieć wkalkulowany – potwierdził świeżo upieczony pan starosta knyszyński. – I jest na to jedna tylko rada: robić wszystko, by być niezastąpionym; nie troskać się o utratę jednego, jeno myśleć, jak dostać następne.

Nie sposób jaśniej wyłożyć filozofii prawego dworaka i miło mi było, że Zamojski zechciał mnie oświecić w tym względzie, lecz wcale nie miałem pewności, czy chcę kroczyć tą drogą. A właściwie to byłem jakimś pewien, że nie chcę. Przepuszczeni bez turbacji przy bramie na dole, dochodziliśmy do domu Starościńskiego, zwanego też Grodem, gdyż mieszkał tam starosta krakowski. Teraz jednak dom został oddany na użytek infantki i jej dworu. Ze względu na późną porę dom był jak wymarły, nie świeciła się w nim ani jedna lampka, panowała absolutna cisza; od razu rzuciło się w oczy, że tu żyło się, jak Pan Bóg przykazał.

– Wczoraj pod wieczór panna Wapowska stała w tym oknie – pisarz wskazał palcem – gdy padł strzał i roztrzaskał szybę. Królowna Hanna jak się o tym dowiedziała, zaraz dostała potwornych zębowych boleści, od których spuchła, po czym jęła spazmować jeszcze bardziej...

– Przebóg! – zawołałem wstrząśnięty. – Strzelano do Janki?

– Nie wiadomo, czy do niej – wtrącił Zamojski. – Badanie, które przeprowadził nowy starosta i wojewoda krakowski w jednej osobie, Piotr Zborowski, wykazało, iż strzelano stamtąd – pokazał jedno z okien w komnatach na przewiązce ponad sienią wjazdową na zamek. – Okno było otwarte, ale nikogo nie pochwycono, co i nie dziwota, bo jest tam dużo sekretnych korytarzy między murami zamku dawnego, Kaźmierzowskiego, a nowego, zbudowanego przez króla Zygmunta Starego.

– Ale dlaczego ktoś miałby dybać na życie Janki? – dociekałem.

– Nie wiadomo, czy w ogóle dybał – ciągnął Zamojski. – Może ktoś strzelał po pijaku albo z pustoty, niektórzy z tych Francuzów są do tego zdolni, albo zgoła wypadkiem ruszył cyngla.

Przypomniałem sobie coś, co usłyszałem od Janki. To mogło być powodem, dla którego chciano i ją zamordować. Musiałem się z nią jak najprędzej rozmówić.

– Mości Górnicki, pan jesteś ponoć w konfidencji z królowną, czy mógłbyś mnie polecić infantce? Tak się składa, żeśmy się ostatnio z panną Wapowską powadzili i nie wiem, czy zechciałaby mnie widzieć z własnej woli, a tymczasem być może grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Dobrze, przed wyjazdem porozmawiam z królową – zapewnił pisarz; obaj spojrzeli na mnie ciekawie, lecz o nic nie pytali.

Rozstaliśmy się pod komnatami królewskimi pilnowanymi przez Szwajcarów, kiedy powiadomiony przez jednego z drabantów wyszedł karzeł Krasowski i zabrał mnie przed oblicze jego królewskiej mości.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale to, com ujrzał, przechodziło wszelką imaginację. Trudno o większy kontrast, jak między uśpionym domem królowy a gmachami zajmowanymi przez króla; to tylko potwierdzało, jak niedorzeczny byłby związek między nimi. Obszerna komnata była zatłoczona do niemożności, a życie w niej kwitło na całego, jakby był środek dnia, a nie nocy. Zresztą paliło się tyle świec, że panowała jasność jak w słoneczny dzień, zwłaszcza na środku, bo pod ścianami było ciemniej i tam się wręcz kotłowało. Uprawiano wszelkie odmiany lasciwii, jakie znałem lub o jakich słyszałem i parę zupełnie nowych. Z wyjątkiem bestialstwa *alias* sodomii ze zwierzętami było tu chyba wszystko, co ludzkość wymyśliła w tym względzie. Do tego czasem nie dało się rozróżnić mężczyzn od niewiast, chyba że paradowali półnagimi lub zgoła gołi, a takich nie brakowało. Wszędzie królowała francuska mowa i nie dostrzegłem nikogo znajomego, co poniekąd tłumaczyło panującą swobodę. Zgromadzili się tu sami swoi i czuli się jak u siebie, to ja byłem importunem. Może drzewiej przynajmniej niektóre dziewczki bywały tutejsze, lecz po morderstwach ograniczono się wyłącznie do Francuzek. Jednak, choć szukałem pilnie, nigdzie nie dostrzegłem tej, którą znałem jako Arlettę. Nie wiadomo czemu, spodziewałem się bowiem ją sam spotkać. Oprócz chędożenia na różne sposoby, oddawano się namiętnie grze w karty i kości, gęsto krążyły puchary z winem, ktoś brzdąkał na lutni, kto inny na piszczałce, jakaś para zapamiętała tańczyła sprośny taniec.

Króla poznałem z trudem. Długie włosy miał rozpuszczone, twarz z lekka nalaną, gieżło i kubrak rozpięte, rajtuzy tak obcisłe, że przyrodzenie rysowało się niemal tak wyraźnie, jakby był nagi. Siedział przy stoliku i grał w karty, we flusa *vel* tryszaka lub straszaka, co poznałem, gdy rzucił z tryumfem karty na blat, wołając:

– Trynka!

Dziewka, która rozdawała karty, w sukni tak wyciętej, że piersi wyskakiwały jej za każdym razem, gdy się pochylała, pisnęła z radości, bowiem na stole leżały licami do góry trzy króle, zwycięski układ. Dlatego trynka znaczyła potrójne szczęście i gwarantowała wiktoryę. Chyba że...

– Ha! – zawołał młodzian w rozchełstanej koszuli o brutalnym wyrazie zuchwałej twarzy, z osobliwym pasmem białych włosów na czarnej czuprynie, patrząc wyzywającym wzrokiem w oczy króla i rzucając na stół swoje karty: trzy tuzy.

Zatem też trynka i wynik nierozstrzygnięty. Trzeci gracz, poblížniony na gębie, spojrział na drugiego takim wzrokiem, jakby chciał go ubić na miejscu. Słyszałem, że król Zygmunt Stary, grając pewnego razu z dwoma senatorami w tryszaka, ogłosił trynkę, choć miał tylko dwa króle, gdyż zartem porachował i siebie. Król Henryk

chyba o tym nie słyszał, nie wyglądał także na rozbawionego. Cofnął rękę, wyciągniętą już do zagarnięcia pieniężnej puli leżącej na stole, zmełł w ustach jakieś przekleństwo i gwałtownie wstał z krzesła, strząsając dłoń drugiej dziewczki, którą ta wsunęła w rozcięcie gieźła, pieszcząc jego pierś, i poszedł do kominka. Osłupiałem i początkowo nie wierzyłem własnym oczom. Uwierzyłem dopiero, gdy odwrócił się do nas, poprawiając furyną w kroku, a po komnacie rozniósł się smród ciepłych szczyn. Doprawdy, pod względem obyczajów ci Francuzi bili nas, parafian, na głowę.

Chyba dopiero teraz, wracając na miejsce i przechodząc obok nas, dostrzegł mnie stojącego obok karła.

– Gaspar Rex? – spytał.

– *Oui, sire* – odparłem, przyklękając i podczas całowania podanej dłoni, starając się ukryć obrzydzenie (zdało mi się, że jeszcze widzę na niej kropelki moczu), a równocześnie z mozołem odszukując w pamięci odpowiednie słowa. – *Je m'appelle*

Rex. Gaspar Rex [129].

– *Quel âge as-tu?*

– *J'ai vingt quatre ans.*

– *Tu fais tes études?*

– *Oui, sire.*

– *Quelles études fais-tu?*

– *J'étudie la médecine.* [130]

Tym razem zagadał do mnie tak szybko, że nic nie zrozumiałem. Za to zauważyłem coś ciekawego – król nigdy nie patrzył w oczy swemu rozmówcy. Zorientował się jednak, że moja znajomość francuszczyzny znajdowała się na wyczerpaniu, i gestem nakazał mi powstać, a karzeł przetłumaczył:

– Jego królewska mość słyszał, iż oprócz studiowania medycyny, zajmujesz się także czymś zgoła odmiennym.

– *Je suis* – zastanowiłem się chwilę, jak to może brzmieć po francusku – *investigateur* [131].

I to już naprawdę był niemal koniec tego, czego z mozołem zdołałem się nauczyć od szwagra Michała, nie chcąc być o wiele gorszy od Janki i przewidując, iż może mi się przydać w sytuacji takiej jak ta. Ale mój trud został doceniony, bo imć Krasowski tak przełożył następną dłuższą przemowę króla, który teraz patrzył na mnie, gdyż mówił do niego:

– Jego królewska mość pragnie cię pochwalić za znajomość języka francuskiego; chciałby tak znać łacinę, jak ty jego ojczystą mowę – skłoniłem się królowi nisko, co odwzajemnił skinieniem, znów omijając mnie wzrokiem. – Pragnie także, byś mu opowiedział, na czym polega twoja profesja.

Opowiedziałem zatem, jak to przypadkiem wykoncypowałem sobie fach dotąd nieznaną i chyba przez nikogo innego nieuprawianą, o odzyskaniu pieczęci królewskiej i drugih sprawach. Wysłuchali cierpliwie, po czym zagadali do się i

karzeł powiedział:

– Jego królewska mość chce wiedzieć, czy na twojej dyskrekcji można polegać takż jak na twej biegłości w rzemiośle inwestygatora, którą nam zachwalano.

Zapewniłem, że tak i że moi przyjaciele: Zamojski, Drohojowski czy Górnicki, mogą to potwierdzić.

– Bo widzisz waść – rzekł karzeł już z własnej inicjatywy – sprawa wygląda następująco...

Opowiedział mi w skrócie to, o czym wiedziałem lepiej od niego, kończąc tak:

– Kłopot polega na tym, że jego królewska mość za młodu miewał podobne sprawy z paryskimi nierządnicami... Ale czynił to jeno z pustoty młodości przynależnej i dla żartu – zastrzegł pospiesznie. – I nigdy nie kończyły się skutkiem śmiertelnym. Tutejsze ohydne bestialstwa, zarówno to dokonane na Ostrowie Tatarskim, jak i w mieście, niewątpliwie zostały przeprowadzone po to, aby skompromitować najjaśniejszego pana. Tymczasem mogę ręczyć honorem, i nie tylko ja, że kiedy dokonywano owych okropnych zbrodni, jego królewska mość nie opuszczał tych komnat i...

– Nie trzeba mnie przekonywać – zapewniłem pospiesznie; jeszcze tego brakowało, by król przypomniał sobie kiedyś, jak się przede mną tłumaczył; nikt tego nie lubi, a już królowie szczególnie, ten zaś, jak słyszałem, był wyjątkowo pamiętliwy i mściwy. – Wiem to dobrze. I wielkie to szczęście, że sejm zakończył obrady, bo gdyby rzecz rozniosła się nieco wcześniej, skutki mogłyby przejść wszelką imaginację. Lecz i teraz, odpowiednio nagłośniona, może wywołać dużo szkód...

– Właśnie – teraz on przerwał mi skwapliwie. – Król ma wielu wrogów. I tutaj, i we Francji, i w drugich krajach. Łacno pomyśleć, jak uradowałby ich podobny skandal i jak potężną dałby im broń do ręki. Toteż należy sprawę uciąć w zarodku, jak najszybciej znajdując winowajców. Czy podejmiecie się tego, mości Ryksie?

Błyskawicznie dokonałem kalkulacji. Gdyby mi się nie udało, zapłaciłbym drogą cenę, ci obcy nie wyglądali na takich, którzy darowałiby porażkę. Z drugiej strony miałem w ręku kilka nici lub zdawało mi się, że mam, dzięki którym zamierzałem dotrzeć do kłębka. Poza tym: *audaces fortuna iuvat* [132]! To była moja dewiza. Kto się nie azarduje, ten nic nie zyskuje.

– Podejmę się – odparłem. – Zaraz jutro rozpocznę inwestygację.

Niech się dzieje, co chce! Potem będę się trapił, jak wytłumaczyć się z absencji na akademii. Krasowski zagadał do króla, ten mu odpowiedział (patrzac na mnie, czyli w bok), po czym karzeł rzekł:

– Jego królewskiej mości podoba się twoja gotowość, młodzieńcze. Zapewnia cię, iż nie pożałujesz jej, o ile uwiniesz się z robotą i doprowadzisz ją do pomyślnego skutku, i pyta, czego ci potrzeba do wykonania zadania.

– Niczego okrom serwitariatu na uprawianie swojej profesji. Dostałem takowy, otwierający mi wszystkie drzwi, od starego króla, ale stracił już ważność.

Karzeł skinął na jednego z dworzan, który podał mu jakiś rulon.

– Proszę, oto on – odebrał rulon i wręczył go mnie. – Świętej pamięci pan wojewoda Firlej tuż przed śmiercią poprosił jego królewską mość, by ci ów papier wyrobił, i najjaśniejszy pan przychylił się do jego prośby.

Ze wzruszeniem rozwinąłem dokument, który niemal słowo w słowo brzmiał jak poprzedni, przyznając mi tytuł inwestygatora królewskiego i zapewniając pomoc i współpracę wszystkich służb i urzędów królewskich na obszarze całej Rzeczypospolitej, a królewskiego miasta Krakowa w szczególności. Pod spodem widniały podpisy króla Henryka, ministra Neversa i kanclerza Dembińskiego wraz z przyłożoną wielką pieczęcią. Wszystko jak należy. Zwinąłem papier i z niekłamaną wdzięcznością przypadłem do królewskiej dłoni, tym razem całując ją bez obrzydzenia. Zwłaszcza że mocz już dawno obsechł.

– Odprowadzę waszmość – karzeł podał mi małą rękę i wyprowadził z komnaty, gdy król wrócił do przerwanej gry; posłuchanie było zakończone.

Gdyśmy przemierzali dziedziniec, Krasowski spytał:

– Kiedy zamierzasz zabrać się do roboty? Chciałbym przy tym być.

– Około południa – wiedziałem, że na dworze nikt nie zrywał się skoro świt, zwłaszcza na tym dworze. – Sam chciałem prosić, byś mi pomógł. Wiem, że waść i jeszcze ktoś wybieraliście dziewczki w zamtuzie przy karczmie „Smocza Jama”.

Starąłem się robić jak najmniejsze kroki, aby nadażyć.

– Sporo wiesz – mruknął po krótkim milczeniu. – Ale to znaczy, że nasz wybór był właściwy. Zgoda, pomogę waści. Jeśli już teraz mogę być w czymś pomocny, mów śmiało.

– Zdobądź pan nakaz uwolnienia z wieży Złodziejskiej niejakiego Chrisa Żeglarza. Został oskarżony o mord na owych dziewczkach znalezionych na Ostrowie Tatarskim. On tego nie uczynił, ale łącznie może komuś przyjść do głowy, by go zrobić kozłem ofiarnym i zgładzić po cichu. – Teraz, gdy wojewodą i starostą krakowskim został Piotr Zborowski, za życie Żeglarza nie dałbym funta kłaków; sądząc po uczynkach Samuela, Zborowscy znali tylko jeden sposób rozwiązywania turbacji: ostateczny.

– Zgoda. Coś jeszcze?

– Czy wiesz, co to jest? – wyjąłem tajemniczy medalion i podałem mu. – Albo co znaczy szermierczy termin: *coup d'allonge*?

– Nie wiem, lecz popytam tego i owego – odparł, chowając medalion w zanadrze. – Zaś co do szermierki – klepnął się w dziecinną szabelkę u boku – tutaj do miejscowego stroju noszę szablę, zaś we Francji krótki rapier, lecz szermierz ze mnie marny. Niemniej spróbuję się dowiedzieć. Zatem do zobaczenia jutro!

Pożegnaliśmy się u pilnie strzeżonej dolnej bramy i podjazdem zszedłem nad Rudawę, a potem po kładce ruszyłem w wymarłą o tej porze, a była chyba pierwsza, lub nawet druga po północy, ulicę Kanonną. Nie taką wymarłą. Na wysokości kaplicy Świętej Magdaleny skoczyłem za mur cmentarny i natychmiast zerknąłem w

tył. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce – byłem śledzony. Od razu przyszedł mi na myśl Kettler, albinos-zabójca, ale odrzucił to domniemanie jako niedorzeczne. Gdyby to był on, zginąłbym niczego nieświadom. Albo co bardziej w jego stylu – wyszedłby z naprzeciwka cicho jak duch i dając się poznać, ustrzelił niechybnie lub spróbował usieć w pojedynku. Zatem kto inny. Ale kto go nasłał? Kto, jak nie Zborowski?! Gdy ja, jak głupiec, cieszyłem się, że ów jest daleko i przynajmniej na razie mam od niego spokój, on uczynił najbardziej oczywistą rzecz pod słońcem – puścił moim tropem kolejnego najętego morderza.

Jednak cały wróciłem do domu, ale reszta nocy, którą przeznaczyłem na sen, nie przyniosła mi wytchnienia; obudziłem się zlany potem i wcześniej, niż zamierzałem, gdyż wyjeżdżająca szlachta czyniła wielki harmider w całym domu. Wypadało się pożegnać, więc zszedłem na dół. Zaraz potem nadjechali panowie Górnicki i Zamojski, ten ostatni z imć Heidensteinem, swoim sekretarzem, oraz z licznym poczem, który był mu potrzebny do odbicia Knyszyna z rąk Bielawskiego. Pomogłem się spakować mistrzowi Kochanowskiemu, który udawał się z druhami zapewne także z tej przyczyny, że Czarnolas leżał w ziemi radomskiej i czekał ich szmat wspólnej drogi. Usiedliśmy jeszcze społem na chwilę do stołu, aby wypić toast za rychłe następne spotkanie, życzyliśmy udanych świąt Wielkiej Nocy, zapewniliśmy wzajem, że będziemy do siebie pisać, i odjechali. Ja zaś poszedłem do najbliższego rejenta, zrobić dwie kopie serwitoriatu. Odniosłem oryginał do domu i zaraz znów wyszedłem z jedną kopią do ratusza; drugą mając za pazuchą. Potem udałem się do duchaków, odwiedzić ojca Rocha. Opowiedziałem mu najnowsze nowiny, a potem przedstawiłem sprawę, która mnie przywiodła.

– Do tego się chcesz brać? – zdziwił się. – To raczej rzecz kowali lub cyrulików. No, ale niech będzie. Sam wbijałem ci do głowy, że dobry medyk musi umieć wszystko, co jeno z medycyną ma związek.

Wyjął skrzynkę z narzędziami chirurgicznymi. Wiele z nich kazał wykonać na wzór zalecanych i opisanych przez sławnego Francuza, Ambrożego Paré, z którym korespondował i wymieniał doświadczenia.

– O to ci szło? – pokazał wydobyte narzędzie. – A pamiętasz jeszcze, jak tego używać?

– Pamiętam – odebrałem od niego przyrząd, dobrałem dodatkowo dwa inne, zawiązałem w czystą chustkę i schowałem obok kopii serwitoriatu.

– A pamiętasz, że po zabiegu należy upuścić krew, jama zębowa winna być ściśnięta palcami, a jama ustna wypłukana rozcieńczonym octem, bo inaczej może dojść do powikłań? – zrzędził dobrodusznie.

– Pamiętam o wszystkim – zapewniłem go na pożegnanie i spytałem jeszcze o pewien specyfik, lecz akurat mu się skończył; poradził mi sprawdzić u Pipanów, którym dał recepturę.

– Kacper – rzekł na koniec, a w jego głosie posłyszałem lekkie wzruszenie albo jeno mi się tak zdawało. – Miałem tu wpierw niespodzianą wizytę burmistrza

Czczotki, a niedługo potem rajcy Urbankowicza. Każdy nie dość, że przyniósł po sto dukatów, to jeszcze gęsto się sumitował. To z pewnością twoja sprawka, choć nie mam pojęcia, jakieś zdołał poruszyć sumienia tych łobuzów. Ale dzięki w imieniu ubogich i chorych.

– Nie ma za co – i w istocie nie było o czym gadać; mojego obligu wobec szpitala i zacnego ojca Rocha nigdy i żadnymi pieniędzmi nie zdołam spłacić.

Przeciąłem Rynek, dom Pod Żłotą Głową znajdował się bowiem u wylotu ulicy Grodzkiej. Należał do zamożnej i ambitnej rodziny Pipanów, z których Jan doszedł do wysokich godności miejskich, będąc w swoim czasie zarazem rajcą i przysiężnikiem wyższego prawa saskiego. Od niepamiętnych czasów w domu tym mieściła się najstarsza w mieście [\[133\]](#), a bodaj w całej Polsce, *officina sanitatis*. Obecnie prowadzący ją Joannes Pipanus uchodził słusznie za najlepszego farmaceutę w mieście, u którego zaopatrywał się nawet królewski dwór. Syn mistrza, Jerzy, na sławnym padewskim Uniwersytecie Artystów i Medyków kształcił się zarówno w medycynie, jak i farmacji, gdyż już nie obowiązywał dawny, jeszcze wieków ciemnych sięgający, rozdział medycyny od farmacji.

Uwielbiałem odwiedzać apteki. Doskonale pamiętałem dzień, w którym ojciec Roch pierwszy raz przyprowadził mnie do jednej z nich, żebym wybrał sobie smakołyk. Smak biszkoptu w lodowatym cukrze pamiętałem do dziś. Apteczny zapach również zapadł mi wtedy w pamięć na zawsze. Teraz także wciągnąłem go do nozdrzy z lubością.

Aptekarze nie tylko wydawali leki, na życzenie stawiali bańki lub aplikowali lewatywę tym, których przyparła nagła potrzeba, ale można było także na miejscu, przy osobnym stole, napić się wina lub napełnić słodkościami. Na półkach stały słoje mieniące się od różnobarwnych pigulek, pudra z proszkami, flaszki z dekoktami, nalewkami i likworami, pęki suszonych ziół wisiały u stropu. Nie brakowało słodkości przepysznych i owoców z krain dalekich: konfektów, daktyli, limonów, pomarańczy, musztard, korzeni, kaparów i marcepanów, moich ulubionych biszkoptów w lodowatym cukrze, kandyzowanych pigw, cukrów przyprawnych sokiem (po groszu srebrnym za pudełko), aż po wódkę różaną i inne pachnidła, mydło, świece woskowe i trociczki do kadzenia. Od przeróżnych woni aż kręciło w nosie. Obok lekarstw, fruktów i słodkości stały mniejsze i większe moździerzki do ucierania ingrediencji i rozmaite wagi do ich odważania.

Pośród tego bogactwa królował sam imć Jan Pipan we własnej osobie. Zażywny, uśmiechnięty, o krótkiej, starannie przyciętej brodzie i życzliwym spojrzeniu ciemnych oczu. Poczekałem, aż marudna hipochondryczka zakończy sprawunki, zapłaci i wyjdzie, po czym przystąpiłem do kontuaru.

– Czym mogę usłużyć, młodzieńcze? – zagadnął mnie aptekarz, rozpoznając natychmiast. – Co słyhać u ojca Rocha?

Opowiedziałem mu i przeszedłem do rzeczy. O leku, którego potrzebowałem,

niewielu nawet bywałych medyków czy cyrulików słyszało, lecz szczęśliwie miał ów rzadki i nietani specyfik. Na odchodnym zostałem poczęstowany małmazją i biskopem w lodowatym cukrze. Wino było wyborne, ale biskopt nie smakował tak, jak to zapamiętałem z dzieciństwa. Zawsze tak bywa.

Powlokłem się na Wawel niewyspany, setnie zmordowany i w dość podłym humorze. Poprawił mi się trochę przy bramie zamkowej, kiedy straże przepuściły mnie po okazaniu kopii serwitariatu. Dobrze było znów cokolwiek znaczyć. Karzeł czekał na mnie w towarzystwie ponurego dworaka z blizną, ledwo widoczną spod bielidła i szminki, pokrywającymi mu twarz grubą warstwą, i uszami ozdobionymi okazałymi wisiorami, którego widziałem w nocy grającego w karty razem z królem.

– To pan du Guast, który chodził ze mną do „Smoczej Jamy”, a potem odstawiał dziewczki na miejsce – Francuz nie uczynił żadnego powitalnego gestu, mierzył mnie jedynie świdrującym spojrzeniem czarnych oczu; nie pozostałem mu dłużny, aż wreszcie odwrócił wzrok.

– Wiem, jak dziewczki trafiały na zamek. Chciałbym teraz zobaczyć, w jaki sposób wracały do siebie.

– Spodziewałem się tego – odparł karzeł, machając latarką. – Chodźmy więc.

Ominęliśmy wieżę Złodziejską z prawa. Tam, gdzie mur zamkowy łączył ją z ciągiem kamienic książowskich, znajdowała się żelazna furta. Francuz wyjął klucz i otworzył ją.

– Można? – wyciągnąłem dłoń i dla pewności dodałem: – *Clé*.

Podał mi bez słowa, obejrzałem i oddałem w taki sam sposób. Karzeł uniósł brwi, więc mu odpowiedziałem:

– Sprawdzam na wszelki wypadek. Klucz jest bardzo prosty. Łatwy do podrobienia.

Wyszliśmy na zewnątrz, pomiędzy wysoki mur wewnętrzny a dobudowany później niższy mur obronny, czyli przedmurze. Rozciągał się stąd wspaniały widok na zachodnie okolice Krakowa i wijącą się w dole rzekę. Widać było doskonale klasztor Norbertanek nad Wisłą, kościół Najświętszego Salwatora łyskający bielą ścian pośród zieleni gęstego lasu, który za Zwierzyńcem gęstniał coraz bardziej, zaś na prawym brzegu – wieże kościoła przy klasztorze Benedyktynów w Tyńcu. Stałem i podziwiałem niezwykle widok, który miałem okazję kontemplować po raz pierwszy, po czym udałem się za moimi towarzyszami. Czekali na mnie przy fragmencie przedmurza przypominającym niską basztę albo niewielką kaplicę w starodawnym stylu [\[134\]](#), bowiem zbudowaną z wapiennych kostek, a nie z cegły. Nie miała drzwi, okienka wąskie jak strzelnice i dziurawy gontowy dach, w środku zaś znajdowała się dziura w skale, głęboka jak studnia i zaopatrzona na górze w kołowrót z nawiniętym solidnym powrozem i uwiązany na jego końcu głębokim koszem.

Domyśliłem się, że tędy wciągano i spuszczano dziewczki; drugi otwór, ten którym do jaskini dostawało się światło i woda deszczowa, musiał znajdować się poza basztą.

– Proszę spytać, czy kiedykolwiek, gdy odprowadzał dziewczki, coś go uderzyło, coś niezwykłego? – spytałem Karła.

Cierpliwie odczekałem, aż skończą rozmowę.

– Owszem. Gdy dziewczka już była na dole, szarpnięciem dawała znak i wówczas nawijał linę na powrót. Dwukrotnie zastał powróż rozwinięty, a kosz spuszczonej i musiał go wpierw podciągać.

– Czy ktoś jeszcze korzysta z tej drogi?

– Nie. Wątpię nawet, by ktokolwiek o niej wiedział. Gdy szukałem jakiegoś sposobu, by w sekrecie sprowadzać dziewczki na zamek, waść pojmujesz, iż sprawa była delikatna i wymagała dyskrecji, dopiero po długich poszukiwaniach znalazłem starego świątnika z katedry, jedyne, który pamiętał o tej dziurze tutaj. Bo trzeba ci wiedzieć, że była przykryta wielką kamienną płytą, którą musieliśmy wprzód odwalić, po czym zamocować ten kołowrót.

– Tedy sprawa jest jasna. Ktoś na zamku, i to stojący blisko króla, wyszlakował, dokąd pan du Guast odprowadza dziewczki, dorobił klucz do furty w murze, dwakroć uprzedził ich, zjeżdżając na dół przed dziewczkami, i tam czekał na nie. Może nawet wcześniej się z nimi umawiał, dlatego nie krzyczały, a może czaił się w mroku, nim pan du Guast nie wciągnął kosza i nie poszedł sobie, a następnie zaciągał je do bocznego kanału i tam mordował.

– Pokażesz mi pan to miejsce?

Du Guast zapalił latarkę i podał Krasowskiemu, po czym najpierw ja spuściłem na dół Karła, a potem Francuz mnie. Mały człowiczek dzielnie zniósł widok krwi i smród fekaliiów, ale w świetle latarki widziałem, że był poruszony.

– *C'est horrible!* [135] – szepnął.

Wracaliśmy razem, bo karzeł wskoczył na krawędź kosza i chwycił się liny, a du Guast wciągnął nas obu bez trudu. Wyszliśmy z baszty.

– Wiemy już jak i dlaczego, nie wiemy tylko kto – rzekłem.

– A jak wracał do zamku po wszystkim?

– Tą samą drogą, wspinając się po linie. Musi być silny, sprawny i śmiały do szaleństwa, toć łącznie mógł go zauważyć ktoś na zamku lub jakiś rybitwa. Może po tym da się go rozpoznać.

– Nie łudź się, każdy z tych *mignons* jest taki. Nie daj się zwieść ich zniewieściałemu wyglądowi. Nadal jesteś pan ciekaw, co znaczą te inicjały? – karzeł sięgnął w zanadrze, wyjął medalion i oddał mi. – Prieuré de Sion, Zakon Syjonu. Ponoć bratni templariuszom. Rzekomo założono go, by strzegł Świętej Krwi Merowingów, pierwszej dynastii frankijskiej, wywodzącej się jakoby z żydowskiego plemienia Beniamina. Oświeciła mnie w tej materii pierwsza osoba, którą o to spytałem, i zarazem ostatnia, po której byłbym się tego spodziewał: główny doradca króla, diuk Gonzaga de Nevers. Jego i moja pani, królowa matka Katarzyna Medycejska, przed laty dowiedziała się skądś o istnieniu Prieuré de Sion, kazała mu

doń przystąpić i udawać, że w sekrecie przeszedł na stronę rodu de Guise. Bo musisz waść wiedzieć, że potomkami Merowingów są Gwizjusze, główni rywale Walezjuszy, potomków Hugona Capeta, których ci mają za nędznych uzurpatorów, zaś na czele Bractwa Syjonu stoi nie kto inny, tylko Henryk Gwizjusz. Zapewne, podejrzewając Gonzagę o podwójną grę, wyczekał on, aż de Nevers opuścił Francję z królem, i wysłał do Polski swoje wierne psy. Nie po to nawet, by zabić, lecz by zohydzić i skompromitować w oczach świata osobę mego pana...

– Szatański plan – powiedziałem z lekka oszołomiony.

– Makiawelski – potwierdził, a ja dzięki panu Zamojskiemu wiedziałem, co miał na myśli. – Dlatego należy jak najprędzej znaleźć zaprzedanego Gwizjuszom zdrajcę i morderza zarazem i pokrzyżować mu szyki.

– Zdaje mi się, że wiem o kimś, kto może rzucić światło na osobę sprawcy.

– Kiedy się z nim spotkasz?

– Zaraz. Mieszka na Wawelu.

– Wybornie. Wciąż pragniesz wiedzieć, na czym polega *coup d'allonge*? Du Guast – zwrócił się do milczącego jak głaz Francuza. – *Coup d'allonge, s'il vous plaît* [136].

Francuz nic nie rzekł, tylko wyjął rapier i złożył się do żądanej figury. Uczynił to tak zręcznie, z takim wdziękiem i zabójczą szybkością równocześnie, że zmieniłem zdanie o nim i jemu podobnych, jakich wielu widziałem przy królu. Może wyglądali na zniewieściałych, może nawet nimi byli, ale bić się z pewnością umieli. Zagadał coś szybko do karła, a ten mnie spytał:

– Wiesz, co to jest *imbrocata*? Jeśli tak, tedy pan du Guast prosi, byś dobył rapiera i natarł nań *imbrocata*.

Zrobiłem, jak sobie życzył, on zaś sparował moją *imbrocata* dolną zastawą i zbił pchnięcie w połowie ostrza, następnie napał swą klingą na moje żelazo, pochwycił lewą dłonią rękojeść mego rapiera i oto byłem rozbrojony.

– *Voilà!* - rzekł, oddał mi broń i znów zagadał do karła.

– To się nazywa *botte secrète*, a obmyślił go fehmistrz z Italii, Franciszek Altoni, i nie każdemu wyjawia, albowiem tylko nieliczni potrafią go wykonać dobrze, zaś źle wykonany może kosztować życie. *Sieur* du Guast ofiarował waści ten sekret jako swój prywatny zadatek w poczet nagrody za wykrycie zdrajcy lub zdrajców w szeregach najbliższych towarzyszy króla.

– *Merci* [137] – ukłoniłem się grzecznie Francuzowi, ale nie odwzajemnił mi się, ani nawet nie zmienił wyrazu twarzy, która pozostała ponura i nieprzenikniona niczym maska.

Kiedy dochodziliśmy do wieży Złodziejskiej, spytałem:

– Czy Żeglarz został już uwolniony?

– Jeszcze nie, mniemałem, iż sam zechcesz to uczynić.

Poprosiłem zatem strażników, by przyprowadzili więźnia, a karzeł poparł to

swoim rozkazem. Jako i po chwili, mrużąc oczy od blasku dnia, w bramie ukazał się Krzych, wymizierowany, lecz z grubsza nieuszkodzony.

– Jestem wolny? – spytał, niedowierzając.

– Tak. Zawdzięczasz to panu Ryksowi – potwierdził Krasowski.

Żeglarz kiwnął niedbale łysym łbem, co zapewne miało oznaczać podziękowanie.

– Odtąd możesz mnie pan pokonywać na rękę, ile razy zechcesz – rzekł łaskawie.

– Co planujesz ze sobą uczynić na dal? – spytałem.

– Chyba rzucę w diabły to miasto, pójdę na flis, a potem zaciągnę się do kaprów.

– Powiadałeś, żeś był na angielskim okręcie kucharzem...

– I to dobrym! – przerwał mi z dumą.

– Tedy jeśli zmienisz zamiar, zgłoś się do mnie.

– Czyli?

– Do gospody „U Balcera” w Kąciuku. – Ciotuchna z coraz większym trudem kucharzyła, miała wszak swoje lata, zaś Grubego Stacha też nie zawsze dawało się oderwać od obsługiwanie gości, zatem dobry kucharz z pewnością by nam się przydał.

– Pomyślę o tym, lecz wprzód muszę się czegoś napić i wychędożyć parę dziewczek – odparł i odszedł w swoją drogę.

Pod kamienicą Starościńską zatrzymałem się.

– Tu mieszka mój domniemany iściec – wyjaśniłem Krasowskiemu. – Jeśli tylko dowiem się czegoś istotnego, pozwolę sobie niepokoić waszmość.

– Będę czekał.

Chwilę spoglądałem za nimi, bo przedstawiali sobą doprawdy osobliwy widok – postawny Francuz kroczący na obciążonych ciasnymi spodniami nogach niby bociek i truchtający u jego boku mały człowieczek z powiewającymi rękawami długiego kontusza – po czym zakołatałem do głównych drzwi i kazałem staruszkowi odzwiernemu zapowiedzieć Kacpra Ryksa, inwestygatora królewskiego. Miło było odzyskać prawo do wykonywania swego zawodu. Wyszedł do mnie postawny, nieco wyniosły jegomość, który przedstawił się jako Jan Koniecki, marszałek dworu infantki, i napuszczonym tonem zechciał powiadomić, iż owszem, pan Łukasz Górnicki zapowiedział moje przybycie, lecz spotkanie z panną Wapowską inaczej niż w przytomności królowej jest wykluczone, jednak mam szczęście, gdyż jej wysokość *Infans Regni Poloniae* akurat ma wolną chwilę między modlitwą a czytaniem Ewangelii, raczy więc mnie przyjąć i wolno mi będzie zadać pannie Wapowskiej kilka pytań, o ile nie uwłaczają czci niewieściej i nie godzą w dobre obyczaje, które na tym dworze darzy się należną rewerencją. Niewiarygodne, ale to wszystko zdołał wypowiedzieć na jednym wydechu, monotonnym głosem. Z równie kamiennym i poważnym wyrazem twarzy zapewniłem, iż dołożę wszelkich starań, by zachowywać się obyczajnie. Wbrew naturalnym skłonnościom i narażając się z tego powodu na udar mózgowy i skręt kiszek wesołek, ale tego już mu nie powiedziałem, bo nie wyglądał na takiego, który znalazłby się na żartach. Omiótł jeszcze krytycznym

wzrokiem moje odzienie, ale, choć na tę okazję wdziałem najlepsze swoje rzeczy, widać uznał, iż wyglądam wystarczająco skromnie i schludnie, i nareszcie powiódł mnie do gmachów zajmowanych przez królową i jej fraucymer.

– Imć Kacper Ryx, inwestygator królewski – ogłosił, otwierając drzwi do dość sporej komnaty.

Izba była obszerna, lecz urządzona więcej niż skromnie. Jedyne na głównej ścianie widniał samotny obraz przedstawiający małego chłopca lat może czterech. Wypadkiem wiedziałem, kto to był – siostrzeniec królowy, królewicz szwedzki Zygmunt. Infantka musiała przywieźć ze sobą owo malowidło, darowane jej przez szwagra, króla Jana III Wazę, z Warszawy. Z każdego kąta wyzierał niedostatek, doskonale widoczny nawet gdybym od Janki nie wiedział, jak skromnymi funduszami dysponowała infantka. Również osoby tu obecne nie patrzyły kwitnąco; przeważały ziemiste twarze z pełnymi namaszczenia lub nabożności wyrazami. Jedna Janka, stojąca przy pulpicie, która na mój widok i gest ochmistrzyni przerwała czytanie, wyglądała zdrowo i pięknie. Poczujęm się trochę jak w kościele podczas nabożeństwa żałobnego, zwłaszcza gdy na mój widok groźna jejmość, pani Żalińska, rzucając pod moim adresem surowe spojrzenie, niczym kwoka zagarnęła nieduże stadko nieopierzonych młodek i wyprowadziła je pospiesznie drugimi drzwiami.

– A więc to acan jesteś Kacper Ryx, przybrany brat Joasi. Pan Górnicki siła dobrego mi o tobie prawił – infantka skinęła mi łaskawie głową i wysunęła dłoń do pocałowania; głos miała miły, mówiła uprzejmie.

Siedziała na szerokiej i chyba niewygodnej ławie, z dwoma starszymi dworkami po bokach, wyglądającymi jak siostry bliźniacze, z takimi samymi ustami w ciup i złożonymi na podołku dłońmi w małdrzyk, zaś wszystkie trzy – jak kury na jednej grzędzie. Zgiąłem się w niskim ukłonie, co wychodziło mi coraz lepiej (co znaczy wprawa), przyklęknałem i ucałowałem podaną dłoń, wreszcie powstałem, wciąż jednak zachowując postawę pełną uszanowania.

Królowna Hanna, bardziej warszawianka niżli krakowianka, była chodzącą ilustracją popularnych powiedzonek: „Do Warszawy po buty, do Krakowa po żonę” i drugiego: „Warszawski trzewik, toruński piernik, wódka gdańska i panna krakowska najlepsze w Polsce”. Zaiste, choć się do tego szczerze przyłożyłem, za nic nie mogłem się w niej dopatrzeć choć śladu urody. Wprost przeciwnie – wyglądała zupełnie jak jej praszczur Jagiełło, którego fizyrunek znałem z pomnika grobowego w katedrze: czoło nazbyt wysokie, oczy trochę skośne, usta wąskie, zacięte, twarz jakmiarz trójkątna, podbródek wydłużony i spiczasty, wzrok nieufny, taksujący, wzrost mierny. Płeć za to miała białą i nie wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat, lecz o dobre dziesięć mniej, a jednak przyznawałem rację tym, którzy uważali, że dekada w tę czy w ową stronę z punktu widzenia króla nie czyniła żadnej różnicy. To małżeństwo było niedorzeczne, acz ona najwidoczniej o tym nie wiedziała i wciąż czepiała się nadziei, choć...

– Spójrz waść – wskazała mi jeden srebrny pucharek i kilka glinianych kubków

stojących na pustym poza tym stole – nie mam czym poczęstować swoich gości, ani nawet w czym. Ten srebrny kubek jest ostatnim, jaki mi ostał, i stąd zwę go Sierotką, bo zaiste jest biedną sierotą jako i ja.

– Żli, niecnotliwi ludzie, którzy królownie jejmości siła przedtem obiecywali, teraz ją zdradzili! – grobowym głosem wtrąciła herod-baba Żalińska, wchodząc do izby zamaszystym krokiem drabanta.

– Wielka niesprawiedliwość, krzywda wielka mi się dzieje od króla i od rady. Biorą wszystko mienie, a komu innemu dają nasze własne, co nam rodzice dali, i ruszają rzeczy, jako srebro biorą, do Tykocina chcą posłać wszystko bez woli naszej. Chwalić Boga imć Górnicki wraca tam, to przypilnuje – ciągnęła infantka monotonnie, patrząc na mnie wzrokiem skrzywdzonego dziecka; wiedziałem, że prawie nikt jej nie odwiedza, pojmowałem jej rozżalenie, ale czemu zwracała się z tym do mnie?

– Ludzie rzucają na królownę jejmość potwarze, dochodzi do tego, iż szepcą królowi, jakoby struła brata i że jest czarownicą – chuda dama, siedząca po prawicy królowny, wbiła we mnie oskarżycielskie spojrzenie, że omal nie zawołałem: Jam niewinny, czego ode mnie chcecie?!

– Król nasz nie ma się ni ku czemu dobremu, sprawiedliwości nikomu nie czyni, prawa gwałci. Obiecać, bardzo rad obiecuje, potem żadnej obietnicy ni przysięgi nie dotrzymuje. Cokolwiek pieniędzy z sobą przywiózł, to w karty a kości przegrał, w Krakowie już się sam niemało zadłużył. Wierę, o małżeństwie mało myśli, bo od niego z okien nie wiem, co za ludzie wyglądają; do miasta też rad wyjedzie o północy – pociągnęła nosem infantka.

– Król obiecał królownie jejmości dobrym słowem królewskim nikomu jej dóbr nie dawać, a przedsię rozdał, jedne wiecznością, drugie dożywociem. I Tykocin się przed nim nie wybiega, a tymczasem królowna jejmość jeść nie ma co – zakończyła z mocą szkieletowata dama po lewicy królowny i wszystkie cztery wbiły we mnie spojrzenia, pod których ciężarem nogi się pode mną ugięły i zapomniałem języka w gębie.

Chciałem szukać ratunku u Janki, ale nie odważyłem się na nią popatrzeć. Pamiętałem bowiem, jak powiadano, że królowna ciężko odchorowała wpierw wyzywające zachowanie Gizanki, która ze swym bękartem, rzekomą córką króla Augusta, celowo wystawała w oknie naprzeciw okien królowny, by ją upokorzyć. Ale jeszcze gorsze upokorzenie królowna przeżyła, gdy bratu wpadła w oko jej hoża dwórka, Anna Zajączkowska. Podstawiony szlachcic, niejaki Mikorski, zaczął się rzekomo ubiegać o rękę panny, a gdy królowna wyraziła zgodę na małżeństwo, wywiózł „narzeczoną” z Warszawy do zamku Bugaj pod Witowem, gdzie została nałożnicą królewską, zaś naiwna królowna pośmiewiskiem. Odtąd urodziwych dwórek w jej fraucymerze było jak na lekarstwo. Nie chciałem, by z mego powodu Jankę spotkały przykrości, a przecież jakoś musiałem się z nią rozmówić. Na szczęście królowna wybawiła mnie z kłopotu.

– Do tego bolą mnie zęby i męczy fluksja – poskarżyła się.

Odetchnąłem z ulgą, bo na to byłem przygotowany dzięki uwadze rzuconej przez imć Górnickiego; fortunie należy pomagać. Wydobyłem z zanadru flakonik, w który przezornie zaopatrzyłem się w aptece „Pod Złotą Głową”.

– To olejek goździkowy, wybornie usuwający ból zębów – mało kto wiedział o tym specyfiku, ja wiedziałem dzięki ojcu Rochowi, który podczas swych peregrynacji po świecie podpatrzył wiele tym podobnych sekretów medycznych. – Jeśli dostanę nieco wody do obmycia palców, chętnie zademonstruję jego skuteczność.

Wystarczyło, by pani stara kiwnęła głową, a Janka natychmiast odłożyła książkę i wyszła z komnaty; wróciła po chwili z konewką i wańtuchem. Obmyłem starannie dłonie, wytarłem i przystąpiwszy do infantki, wpierw obmacałem jej delikatnie żuchwę i szczękę, potem kazałem otworzyć usta i przyjrzałem się zębom, a nie był to przyjemny widok. Następnie maczałem palec we flaszeczce i zwilżałem miejsca, gdzie widział ubytki i całe dziury.

– Olaboga, co za ulga! – zawołała królowna, gdy odstąpiłem. – Nie do wiary! A powiadali mi, że kości zębowe muszą boleć, bo taka ich natura. Acan jesteś cudotwórcą!

Prawdę ludzie mówili – łącno zmieniała nastroje. Przed chwilą ponura i zasmucona, teraz była radosna i podniecona.

– Ledwie adeptem medycyny – sprostowałem, spuszczać skromnie oczy. – Zęby nie są kośćmi. Tak twierdził Galen, lecz się mylił. Są odrębnymi narządami, co niedawno wykazał pewien Włoch, Bartolomeo Eustachi w traktacie *Libellus de dentibus*.

Na moje niedoświadczone oko co najmniej jeden ząb trzonowy wymaga natychmiastowego usunięcia, zaś drugi da się uratować, należy jedynie wyborować go małym świdrem, następnie skauteryzować gorącym żelazem, a na koniec wypełnić złotem. Uczyniłbym to sam, lecz nie jestem wyrywaczem zębów ani cyrulikiem i zalecałbym kogoś wprawniejszego.

– Siedzi pod Wawelem od strony Kurzej Nogi kowal, który zna się na tym. Korzystaliśmy już z jego usług – oznajmiła ochmistrzyni, patrząc na mnie łaskawszym okiem.

– Na wszelki wypadek przyniosłem potrzebne narzędzia. Panna Wapowska odniesie je, gdy przestaną być potrzebne – wyjąłem przygotowane zawiniątko i rozwinąłem.

Zwłaszcza przyrząd do ekstrakcji uczynił na damach wielkie wrażenie ze względu na swój osobliwy kształt.

– Och, a cóż to takiego?! – wykrzyknęła królowna.

– To „pelikan” do rwania zębów. Nazywa się go tak, ponieważ jest wewnętrznie uformowany jak dziób pelikana, i opiera się podstawą o wiele zębów, a ów dziobowato zakrzywiony haczyk służy do podważania uszkodzonego zęba. Wykonano go wedle wskazówek bodaj najlepszego chirurga naszych czasów,

Francuza Paré, i jest o wiele lepszy od koziej nóżki, kęsa zakrzywionego żelaza zazwyczaj używanego przez kowali i wyrywaczy zębów.

Oglądały świder, dłubak, szczypce, a zwłaszcza pelikana z wielkim ożywieniem, co rusz nabierały olejku goździkowego i nawzajem smarowały sobie nim dziąsła i zęby, bawiąc się jak dzieci i czyniąc tyle samo hałasu. Królowna oderwała się na chwilę od zabawek, aby rzec do mnie łaskawie:

– Możesz acan porozmawiać z panną Wapowską – po czym znów wróciła do zabawy.

– Witaj, ozdobo tutejszej kostnicy – powiedziałem cicho, zbliżywszy się do Janki, która stała skromnie w kącie.

– Nie spodziewałam się ciebie sam ujrzyć – odparła, podnosząc na mnie wzrok. – A tym bardziej iż takie wrażenie uczynisz na królownie jejmości.

– Nie doceniałaś mnie.

– Czego chcesz?

Najchętniej bym ją objął i przytulił, taka mi się wydawała samotna i niepasująca do tego osobliwego otoczenia pustych ścian, starszawych dziewczyc, atmosfery dewocji i żalów wszelakich, lecz *primo* – nie zachęcała mnie do tego ani gestem, ani spojrzeniem, a *secundo* – w tych warunkach było to niemożliwe. Ale przynajmniej nie wyglądała na zagniewaną na mnie, czego się obawiałem. A to już było coś.

– Słyszałem, że strzelano do ciebie.

– To był wypadek.

– Śmiem wątpić. Czy wiesz, że niedawno popod zamkiem w okrutny sposób zamordowano i okaleczono ciała dwóch ladacznic, z których jedną była Kasia-Anusia Grzybówna, ongi pracująca w naszej gospodzie? Wspomniałaś kiedyś, żeś ją spotkała na zamku i że prosiła, byś pozdrowiła znajomych. Może mówiła coś jeszcze?

– Nie... – zawahała się. – Alem ją widziała wtóry raz. W środku nocy. Przed – porachowała na palcach – czterema dniami. Nie mogłam spać i wyglądałam przez szybę. Szła pod rękę z jakimś Francuzem. Zdążali w stronę wieży Złodziejskiej...

– Wiem. To był du Guast. Wszystko się zgadza. Dziewka zginęła właśnie tej nocy. Przypomnij sobie dobrze, może widziałaś jeszcze kogoś?

– Kwadrans, może mniej, przed nimi w tę samą stronę udał się, a raczej przekradał pod katedralnym murem inny Francuz. Na chwilę zatrzymał się i spojrzał w górę...

– Widziałaś jego twarz?! – podniosłem głos, podekscytowany. – To był morderz!

– Widziałam – odparła. – Księżyc świecił jasno. Ale nie na tyle jasno, poza tym stał nieco w cieniu, a odległość była zbyt duża, bym go rozpoznała. Przykro mi, lecz nie mogę ci pomóc. Bóg mi świadkiem, bardzo bym chciała, choć nie lubiłam tej dziewczki, tom jej śmierci nie życzyła, tym bardziej tak nagłej i okrutnej, jak powiadasz.

Wyglądała na szczerze zmartwioną, lecz ja martwiłem się o wiele bardziej.

– Jeśli ty go widziałaś, może on widział ciebie? – nie ustępowałem.

– Widział – potaknęła. – Tym lepiej ztem miała w ręku świecę.

– To wyjaśnia sprawę. Ty nie potrafisz go rozpoznać, ale on o tym nie wie i od

kilku dni drży ze strachu, że go zdemaskujesz. Dlatego próbował cię zabić i z pewnością nie poprzestanie na jednej próbie...

– No, moi mili, pora kończyć te rozmowy – przerwała nam królowna. – Coś mnie gniecie w żywocie i muszę lec do łoża, a Joasia mi poczyta coś budującego. Nieprawdaż, moja droga?

Janka dygnęła wdzięcznie, zadając mi ostatnie pytanie:

– Co zamierzasz uczynić?

– Muszę go zdemaskować, zanim ponowi zamach.

Posłała mi pożegnalne spojrzenie, którego nie potrafiłem dokładnie zinterpretować, i podeszła do infantki. Wszystkie damy już wstały na znak zakończenia audiencji. Podziękowałem za łaskę, polecając na dal swoje usługi, ale nim odszedłem, zatrzymałem się jeszcze na chwilę. Już wcześniej spostrzegłem, że królowna często trzepocze powiekami i mruży oczy, więc spytałem, co jej dolega.

– Drażnią mnie. Doktor Czeszer leczył je przed paru laty, ze znikomym effectusem.

Ach ci lekarze królewscy! Każdy medyk marzył o tytule *physicus regius*, lecz bynajmniej nie wszyscy, którzy ją osiągnęli, zasługiwali na tę godność. Choć z drugiej strony, oddając sprawiedliwość, Czeszer mógł być całkiem dobry w swoim fachu, lecz upływ czasu zrobił swoje. Nie zauważyłem jęczmienia, który leczyło się przykładaniem ziaren jęczmienia, ani nie były ciekące, bo wówczas najlepsza byłaby żółć osłowa; może były nadwrażliwe na światło.

– Pewien Włoch, doktor Montani, w traktacie z 1554 roku zaleca cierpiącym używanie zielonych szkieł w okularach. Warto spróbować.

Żegnano mnie tak serdecznie, nawet jędzowate spojrzenie ochmistrzyni złagodniało, i zapewniano, iż zawsze będę sam mile widziany, że zachwiało to kiepską opinią, jaką miałem o sobie jako potencjalnym dworaku. Może oceniałem się zbyt surowo? Zamiast odźwiernego u wyjścia czekał na mnie wzorzec dworzanina, imię Jan Żaliński, równie fircykowaty jak zawsze, a może nawet bardziej.

– Nie jesteś tu mile widziany, Ryksie – rzekł z krzywym uśmiechem. – Mniemałem, iżes to pojął. Ale widać jesteś jeszcze głupszy, niżli przypuszczałem.

– Ja też się cieszę, widząc cię, mości Żaliński, bowiem w istocie musimy coś sobie wyjaśnić raz na zawsze – odparłem i swoim botem przydepnąłem jego lekki, wycinany trzewik.

Syknął z bólu i uniósł dłoń, chcąc mnie odepchnąć, alem ją pochwycił w swoją prawicę i ścisnął. Jęknął i otworzył usta niczym ryba wyjęta z wody.

– Posłuchaj mnie pan uważnie, bo nie będę się powtarzał – szepnąłem mu do ucha uprzejmym tonem. – Po pierwsze, panna Wapowska prosiła cię, byś wezwał mnie do jej rannego ojca, lecz tyś o tym zapomniał. Ale nie mam ci tego za złe, zapominalstwo ludzka rzecz, jeno to, żeś kłamliwie powiedział jej, iż ja odmówiłem przybycia, rzekomo z powodu ważniejszych spraw. Nieładnie, mości Żaliński, tak mijać się z prawdą, to bywa bardzo niezdrowe, a czasem grozi nawet śmiercią lub

kalectwem...

– P... puść m... mnie, b... bo p... pożałujesz – wystękał.

– ... Po wtóre – ciągnąłem niewzruszony – z woli najjaśniejszego pana, miłościwie nam panującego Henricusa Pierwszego, jestem inwestygatorem królewskim i jako taki mam prawo bywać, gdzie zechcę, i nachodzić, kogo zechcę, pojmujesz wasze? Zaś jeśli idzie

o infantkę, to właśnie zostałem jej ulubionym doradcą w kwestiach dotyczących zdrowia, więc nawet nie próbuj się jej poskarżyć, bo nie pozwoli rzec na mnie złego słowa. Nie wierzysz mi, to spytaj matki. Tyle o sprawach urzędowych. Jeśli zaś idzie o nasze prywatne stosunki, to wyznam, iż korci mnie, by połamać ci wszystkie kości bez znieczulenia. Nic nie sprawiłoby mi większej uciechy, lecz nie uczynię tego z tego samego powodu, dla którego chętnie bym cię zmiażdżył. Nie znasz go, lecz on wciąż istnieje i skutecznie cię chroni. Ale lepiej nie przeciągaj struny i nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Puściłem go i poszedłem sobie. Po drodze rozpaczliwie szukałem w głowie sposobu, który pozwoliłby mi wykryć mordercę ladacznic. Najprościej byłoby zaczekać, aż znów spróbuje pozbyć się domniemanego świadka, czyli Janki, i zastawić nań pułapkę, ale nigdy bym nie poważył się na taki hazard. Można też było sprowadzić psy. Morderz musiał bowiem, brodząc w ścieku, w drodze powrotnej ubabrać sobie boty. Jeśli nawet nikt tego nie zauważył, zajęło mu trochę, zanim doprowadził je do porządku, psy mogły więc to wywęszyć. Lecz nie na pewno, poza tym brakowało czasu. Nim doszedłem do królewskich komnat, ukował mi się pewien koncept.

Król dopiero co wstał i jadł posiłek, musiałem zatem poczekać w przedpokojach, wystawiony na ciekawskie spojrzenia kręcących się tam francuskich dworaków, owych udających kobiety *mignons*, „pieszczochów”, z których się powszechnie wyśmiewano. Ja jednak widziałem dyndające im u boku rapiery, a nie była to broń do parady, co du Guast już mi dowodnie wykazał. Wreszcie doczekałem się. Du Guast gestem wezwał mnie do gabinetu, gdzie czekał król w towarzystwie Karła Krasowskiego.

– Mości Krasowski, chciałbym, aby z kuchni przyniesiono okopcony garnek lub kociołek – poprosiłem po wstępnych ukłonach i powitaniach.

Uniósł brwi w górę, lecz nic nie rzekł i nakazał jednemu z dwóch paziów spełnić moje życzenie. Ja tymczasem zdałem relację z tego, czego się dowiedziałem, nie wyjawiając jedynie imienia Janki. Kiedy wrócił paź, ze wstrętem trzymając jak najdalej od siebie osmolony gar i wzbudzając ogólne poruszenie, wyjaśniłem piędzimeżykowi, o co mi szło:

– Należy wstawić kocioł do antyszambru dnem do góry, po czym zapowiedzieć tam zgromadzonym, że szukamy mordercy dwóch kobiet i że w związku z tym wszyscy mignonowie, przy zasuniętych oponach w oknach i zgaszonym świetle, mają

dotknąć dna kotła obiema dłońmi.

– Po co? – wyrwało mu się.

– To się pokaże – odparłem tajemniczo.

Król niecierpliwie domagał się tłumaczenia, o czym mówimy, a kiedy się dowiedział, wyglądał na bardzo podnieconego. Poszliśmy we cztery do przedpokoju, gdzie paż z ulgą pozbył się na chwilę swego brzemienia, karzeł przedstawił zdumionym mignonom, o co są podejrzewani i co mają uczynić, du Guast uciał w zarodku wszelkie głosy oburzenia i sprzeciwu i zgasił światło. Oczekałem chwilę, po czym trąciłem karła, a ten kazał paziowi najpierw zapalić świecę, potem odnieść gar, zaś całemu towarzystwu przejść do gabinetu. Poszliśmy za nimi. Stanęli szeregiem, celowo lub odruchowo chowając ręce za plecami. Zaciekawiony król dołączył do naszej trójki i rozpoczęliśmy powolną wędrówkę wzdłuż szeregu, a mignonowie po kolei wystawiali w przód ręce z otwartymi dłońmi skierowanymi wnętrzem ku górze. Podejrzanych był równy tuzin, du Guasta z nich wyłączyłem. Pierwszych ośmiu miało poczernione opuszki palców, a niekiedy całe dłonie. Ci mnie nie interesowali. Przy dziesiątym król spojrzał na mnie i uniósł brwi. Lekko wzruszyłem ramionami, starając się nie tracić rezonu, lecz w serce zakradło mi się zwątpienie. Czyżby morderca był ode mnie sprytniejszy? Ale jedenasty ręce miał czyste. Może znał łacińskie powiedzonko: *Tangentem caccabi maculat fuligo vetusti* [138]? Mimo to sprawdziliśmy jeszcze dla porządku ostatniego, który wszak wystawił czarne dłonie. Wówczas cofnąłem się nieco, aby *effectus* był większy, wystawiłem oskarżycielsko palec i wskazując przedostatniego mignona, zawołałem:

– Oto zabójca!

– „Piękniś” Livarrot! – zawołał Krasowski, z oburzenia nie zdając sobie sprawy, że mówi po polsku. – Przeszedłeś na stronę Henryka de Guise’a, łotrze!

Ale oskarżony widocznie rozpoznał znajome nazwisko, bo wyprostował się i wypowiedział zuchwałe zdanie, które nawet ja zrozumiałem:

– *Si, je suis l’homme de Guise et j’en suis fier!* [139]

– *Péris, le traître!* [140]

Zdemaskowany zdrajca błyskawicznie sięgnął po sztylet u pasa, moim zdaniem raczej by się nim pchnąć, niż kogoś zaatakować, lecz jeden z mignonów, ten z pasemkiem zupełnie białych włosów pośród kruczonych pozostałych, rzucił się na niego. Du Guast próbował go zatrzymać, lecz nie zdążył i tamten zatopił rapier w piersi Livarrota, który osunął się na pawiment. Martwy. Du Guast pochylił się nad ciałem i zerwał z szyi medalion, który uniósł w górę, pokazując mnie, karłu i królowi. Było to *signum* Zakonu Syjonu.

– Bussy d’Amboise! – zawołał król i jął besztać tego, który zabił zdrajcę, lecz ów jedynie wzruszył demonstracyjnie ramionami, wycierając oręż w szaty zabitego.

Za czym na królewski rozkaz wszyscy „pieszczochowie” musieli zdjąć kryzy, rozpiąć giezła i pokazać nagie szyje i piersi. Na żadnej nie wisiał medalion z inicjałami

PS. Odprawieni, gęsiego opuścili gabinet, a gdy paziowie usunęli zwłoki i ślady krwi i też wyszli, karzeł rzekł:

– Jego królewska mość, a i ja także, przyznaję, chcielibyśmy wiedzieć, jak wpadłeś na ów koncept z sadzą?

– To nie mój koncept – wyznałem zgodnie z prawdą. – Mój piastun i preceptor, *pater* Roch, opowiadał mi kiedyś historię zasłyszaną podczas swoich peregrynacji po szerokim świecie. Oto pewien mądry sędzia z Bagdadu wykrył złodzieja tym sposobem, że kazał dziesięciu podejrzanym dotknąć zabłoconego brzucha osła. Wszyscy niewinni uczynili to śmiało i bez wahania, jeden winowajca pomyślał, że to podstęp, i udał tylko, iż wykonuje polecenie. Zdradziła go zbytnia przebiegłość. Ja nie miałem osła do dyspozycji, stąd osmolony kociołek.

– A gdyby twój koncept zawiódł?

– Tedy musiałbym wymyślić coś innego. Szkoda, że ów Bussy zabił morderza, bo mógłby nam wydać swoich socjuszów. Dziewki w mieście i drugich nie on zabił, a przynajmniej nie sam.

– Domyślasz się, waść, gdzie ich szukać?

– Być może, lecz nijak nie potrafię dopatrzeć się w tym sensu.

– Więc na co czekać? Aresztujmy ich i weźmy na tortury albo od razu zabijmy.

– Ja tak nie działam, mości Krasowski. Na razie mam jeno podejrzenia, a potrzebuję niezbitych dowodów. Z drugiej wszak strony stawką jest życie następnych Bogu ducha winnych, choćby i ulicznic. Zatem zgoda, jutro postaram się zdobyć pewność i opracować plan, a najdalej pojutrze ci go zaprezentuję i poproszę o pomoc, bowiem nie wiada, ilu ich jest.

Zniecierpliwiony naszą rozmową król zagadnął karła, po czym ten rzekł:

– Jego królewskiej mości podobają się wasze koncepty, mości Ryksie, i pragnie cię nagrodzić za ów dzisiejszy, gdyż dawno nic go równie nie ucieszyło.

Nagle doznałem olśnienia i nie miałem żadnego *dubium*, o co prosić.

– Wasza królewska mość – skłoniłem się nisko – największym marzeniem moich profesorów jest ugościć króla na uniwersytecie, a osobliwie w bibliotece i uzyskać wpis do księgi na wieczną rzeczy pamiątkę. Jeśli miłościwy pan uczyniłby mi tę łaskę i przyjął zaproszenie akademii, nie pragnąłbym niczego innego.

– Jego królewska mość się zgadza – karzeł przełożył wprzód pytanie, potem odpowiedź. – Jeśli zaś będziesz potrzebował pomocy w ujęciu pozostałych sodalisów Pieuré de Sion, dostaniesz dwa tuziny królewskich Gaskończyków pod kapitanem de Larchantem.

Kiedy karzeł uprzejmie odprowadzał mnie do wyjścia, a wylęknione spojrzenia mignonów mile łechtały mą próżność (to znaczy łechtałyby, gdybym był zdolny do tak niskich uczuć), opisałem mu rzekome francuskie rodzeństwo. Jej nie spotkał, był tego pewny.

– Czemu pytasz?

– Bo nie przybyli tu w dobrych zamiarach; on na pewno, ona zapewne też.

Uważaj pan na cudnej urody blondynkę z pierścieniem na kształt żuka rohatyńca na palcu.

– Zaraz... Powiadasz, że on dobrze mówił po polsku? Miałem niedawno zdolnego ucznia, który pobierał u mnie naukę naszej mowy. Ale nie nazywał się Étienne de Lanssac, tylko Ives de Plantard... Wszystko się zgadza! – wykrzyknął. – Plantardowie podobnie jak Gwizjusze wywodzą się z Merowingów!

Nie wróciłem prosto do domu. Zaszedłem na Wendetę do mlecznego brata, Jędrka, bowiem ostatnie wypadki wykazały, iż muszę lepiej zadbać o swoją skórę. Nie miał tego, czego potrzebowałem, lecz obiecał rychło się wystarać.

– Ale to droga rzecz, jeśli ma być naprawdę pierwszorzędna, mocna a równocześnie lekka – uprzedził.

– O to się nie trap, stać mnie.

Posiedziałem u nich chwilę, pobawiłem się z bratankami, bo ostatnio nie miałem czasu nie tylko na studiowanie, lecz i na życie rodzinne. Na szczęście Wielkanoc była za pasem, więc obiecaliśmy sobie solennie nadrobić wszelkie zaległości i poszedłem do domu.

Było już ciemno, co natychmiast przypomniało mi o wiszącym nad mą głową mieczu Damoklesa w postaci prześladowcy. Klucząc bocznymi ulicami, szedłem czujny, napięty jak struna, z dłonią położoną na kolbie pistoletu ukrytego pod kaftanem, wiedząc, że i tak nie ma ochrony przed dobrze wymierzonym strzałem zza węgła. Nie zdziwiłem się, skonstatowawszy, że ktoś podążał w ślad za mną, co rusz uskakując do wnek bramnych. Przed „Gospodą Hultajską”, na rogu Mikołajskiej i Szpitalnej, stało kilku łapserdaków spozierających spode łba, ale usunęli mi się z drogi, widać nie wyglądałem na łowną zwierzynę; drapieżca zawsze pozna swego.

Na Floriańskiej, wcale nie lepiej oświetlonej od bocznych ulic, szlakujący po moich śladach człowiek przyspieszył; starał się iść bezszelestnie, lecz tak strzygłem uszami, że usłyszałem, jak się przybliża. Wydobyłem pistolet i właśnie zdecydowałem się odwrócić i wypalić mu między oczy, gdy zza rogu Floriańskiej i Świniej wyłonił się następny przeciwnik. Tym razem bez ochyby Kettler. Wszędzie poznałbym te białe włosy i czerwone oczy. Pułapka! Wzięli mnie w kleszcze. Zawahałem się, do którego najpierw wystrzelić, i to mnie zgubiło. Już unosząc broń, wiedziałem, że jestem spóźniony, a za chwilę będę martwy. Z lufy pistoletu Kettlera trysnął płomień. Wciąż czekałem na uderzenie kuli rozrywającej tkanki, huk wystrzału razem ze świstem pocisku jeszcze mi dzwoniły w uszach, gdym pojął, że nie zostałem nawet draśnięty! Stała się rzecz niemożliwa – Kettler chybił! Błyskawicznie obróciłem się w tył, lecz już nie było do kogo strzelać; ten, który mnie tropił, leżał rozciągnięty na burku i nie ruszał się. Znowu odwróciłem się, zdezorientowany. Kettler zniknął, rozwiął się w powietrzu jak senna mara. Gdyby nie trup na ulicy, w istocie mógłbym mniemać, że wszystko mi się przyśniło. Ale kadaver był najzupełniej realny, z pistoletem, z którego nie zdążył wypalić, w jednej i puginałem w drugiej dłoni, z piękną okrągłą dziurką dokładnie pośrodku czoła (ach ten Kettler, pedant i

szczegółarz, jak na prawego Niemca przystało), z mózgiem wyciekającym z tyłu czaszki i wąsami jeszcze bardziej obwisłymi niż za życia. To był ten sam szczur, który mnie omal nie zasztyletował podczas pogrzebu króla Augusta. Jurgielnik Zborowskiego. A zatem Kettler wcale nie na mnie polował! Nic z tego nie pojmowałem... Zwabione strzałem zaczęły się gromadzić męty, niczym sępy gotowe oskubać nieboszczyka do cna. Nie przeszkadzałem im.

Następnego dnia wybierałem się na Wawel, zapytać Krasowskiego o coś, co w nocy dopiero przyszło mi na myśl, a mogło stanowić ostatni brakujący mi do całości element łamigłówki. Jednak wstałem dość późno, bowiem musiałem wreszcie solidnie się wyspać, a potem pojawił się Krzych Żeglarz z marynarskim workiem na plecach i swą łysą pałą, który nakłuciami na ciele i złotymi kółkami w uszach niemal śmiertelnie przestraszył ciotuchnę. A co dopiero gdy i jej, i całej zdumionej czeladzi zaprezentowałem go jako nowego kucharza. Cioteczka wpięrow dostała spazmów, lecz kiedy Chris, rzuciwszy worek w kąć i (na moje stanowcze polecenie) umywszy ręce, natychmiast zabrał się do roboty i wyszły mu takie zrazy, żeśmy oblizując palce, niemal je sobie odgryźli, Żeglarz otrzymał posadę i kąć do spania. Opuszczałem zatem gospodę z lekkim sercem, bo przybył nam nie tylko dobry pracownik, ale także w razie czego dzielny obrońca. Chociaż po śmierci najemnego zbira nie przewidywałem chwilowo turbacji ze strony Zborowskiego.

Przechodziłem akurat koło cmentarnego muru okalającego kościół Wszystkich Świętych, wokół było pusto i cicho. Za mną szedł jakiś człowiek, jednak tak daleko, że nie miałem powodu się go obawiać. Wtem właśnie on, bo nikogo innego wszak nie było, wrzasnął gromko: „Teraz!”. Nagle na szczycie muru pojawiło się kilka postaci i dosłownie spadło mi na głowę, zupełnie zaskakując. Bo o ile pilnie rozglądałem się na wszystkie strony, to napaści z góry nie spodziewałem się wcale. Ciekawe, ile dni musieli czekać na taką okazję, zdążyłem jedynie pomyśleć, zanim mnie ogłuszono. Ocknąłem się w zupełnym mroku. Bolała mnie głowa i rozkrzyżowane ręce, za które byłem podwieszony. Związane nogi nie dotykały podłoża. W pomieszczeniu panował przejmujący chłód i wilgoć zarazem. Odczuwałem to tym dotkliwiej, że byłem całkiem nagi, a plecami dotykałem zimnej, nierównej ściany. Śmierdziało stęchlizną i padliną. Za nic nie pamiętałem, jak się tu znalazłem. I za czyją sprawą. Wnet miałem się dowiedzieć. Z góry ktoś schodził. Słyszałem tupot wielu nóg, a potem ujrzałem pochodnie i obstała mnie gromada ludzi.

– Wyżej to światło! – rozkazał ktoś.

– Jest przytomny – zauważył drugi.

– To dobrze – odparł pierwszy.

Rozpoznałem tych dwóch, ale nie musiałem się wysilać.

– Poznajesz nas? – rzekł wyższy i starszy. – Jam jest Jędrzej Zborowski, a to mój brat Krzysztof.

Dwa największe łotry w łotrowskiej rodzinie. O ile Samuel mimo wszystko był

dobrym żołnierzem, to tym dwóm nie dostawało żadnych zdolności, a okrucieństwem jeszcze przewyższali ponoć Samuela, choć ciężko mi przychodziło to sobie imaginować. Zaś najgorszy ze wszystkich był najmłodszy Krzysztof, kreatura, której Zamojski nigdy nie nazywał inaczej jak „Krzychnikiem niecnotą”. Milczałem, nie chcąc im dawać więcej uciechy, niż sami sobie zamierzali wziąć.

– Nie chcesz gadać? To nic. Odpowiesz za zuchwalstwo, któregoś dopuścił się wobec naszego brata Samuela – znów odezwał się Andrzej. – Nikt bezkarnie nie wierzga Zborowskim, a zwłaszcza śmieć spośród *minorum gentium*. Przekonasz się.

– Zdechniesz w mękach, o jakich nawet ci się nie śniło. Samuel powierzył nam tę sprawę i nie zawiedziemy go. Nikt nie wie, gdzie cię szukać, i nigdy nie znajdzie – „Krzychnik niecnota” wyszczerzył ostre zęby w sadystycznym uśmiechu. – Skończysz jak twoi poprzednicy.

Wziął od pachołka pochodnię i przyświecił do kąta, gdzie oprócz sterty ludzkich kości zobaczyłem nagie zwłoki w różnym stopniu rozkładu. To stąd cuchnęło padliną. Nie było jednak ani jednej czaszki, a ciała, z wyjątkiem jednego, nie miały głów. Sądząc po poniewierającym się wokół odzieniu, byli to zaginionieni poddani Króla Żebraków i dwóch lub trzech Francuzów, a jedyna ocalała głowa łypała na mnie bielmem z lewego oczodołu. Teraz przynajmniej wiedziałem już, choć chętnie obyłbym się bez tej wiedzy, kto udawał zdekapitowanego rycerza Szafrança, rozsiewał głowy po całym mieście, miesiącami trzymając krakowian w szponach lęku, i dlaczego proceder ów ustał po ucieczce Samuela. Przecucie mnie nie zawiodło. Widać jego braciom nie dostawało upiornej fantazji, acz na mój gust zdawali się jej mieć i tak za wiele. Przy okazji ujrzałem bogaty zestaw przeróżnych narzędzi tortur i nie był to widok uspokajający. Nigdy jeszcze nie czułem się tak bezradny i poniżony. Mimo to wciąż milczałem, zmuszając jednak wyschnięte gardło do wytężonej pracy.

– Chodźmy już – powiedział Andrzej.

– Zaczekaj – Krzysztof zbliżył się ku mnie i przytknął pochodnię do mojej pachy; rozszedł się swąd palonego ciała, a ja przyciąłem sobie z bólu język, z całych sił powstrzymując się przed wyciem. – To na początek. Resztę na razie zostawiam fachmanom. I jak, podobało się?

Wiedziałem, co mnie czekało, i bałem się jak diabli – zwykłym, zwierzęcym strachem o własną skórę, co było dla mnie zgoła nowym doświadczeniem – lecz musiałem to uczynić. I teraz sobie ulżyłem, razem z lękiem wypluwając na jego wredny pysk zapas śliny, którą pracowicie przez cały czas gromadziłem. Niestety, nie uzbierało się tyle, na ile zasługiwałem, ani ja nie wyrzuciłem z siebie całej trwogi. Wpierw odruchowo sięgnął do miecza u pasa, potem opanował się. Otarł twarz rękawem i nie zaszczycając mnie już spojrzeniem, rzucił w kierunku pachołków:

– Wrócimy tu jutro o tej porze. Ma jeszcze żyć. Więc bez darcia pasów. I koniecznie ostawcie mu jajca, obetnę je osobiście. A poza tym róbcie z nim, co chcecie.

Zborowscy odeszli, a ich dwa sługusy o zakazanych gębach wzięły się ostro do

roboty, na której znały się zaiste wybornie, choć ja z pewnością nie potrafiłem należycie docenić ich kunsztu. Na przemian to szarpały mnie cęgami, to nakłuwały sztyletami we wrażliwe miejsca, to przyżęgały pochodniami. Z początku się powstrzymywałem, potem wrzeszczałem, wylem i jęczałem, na końcu się wypróżniłem, lecz było mi to obojętne. Przez głowę przebiegały mi różne obrazy i twarze, ale żadnej myśli nie byłem w stanie pochwycić na dłużej. Przeklinałem tylko bezgłośnie chwilę, w której zadarłem ze Zborowskim. Gdybym mógł cofnąć czas, na pewno bym nie powtórzył tego błędu. Wiedziałem, że to objaw słabości i tchórzostwa, lecz nic nie mogłem na to poradzić. Obraz twardego człowieka, który pielęgnowałem w sercu, rozpadał się na kęsy, jednak nie dbałem o to. Myślę, że gdyby w tej chwili stanął przede mną Samuel, błagałbym go o litość. Ale nie zjawił się ani on, ani nikt inny.

Gdy omdlewałem, oprawcy polewali mnie lodowatą wodą i wszystko zaczynało się od początku. Na koniec rozpalili ogień w palenisku i rozgrzaną cechą napiętnowali mnie niby cielaka lub złoczyńcę literą Z jak Zborowski na piersiach, zaśmiewając się przy tym do łez. Smród spalonej skóry, zmieszanego z krwią potu, którym wprost ociekałem mimo chłodu, oraz ból doprowadzały mnie niemal do szaleństwa. Wreszcie się zmęczyli i odeszli, po czym zorientowałem się, że jest pewnie środek nocy. Na odchodnym jeden zaproponował:

– Może wyrwać mu język?

– Ostaw to panu Krzysztofowi – odparł drugi. – On to lubi.

Ból przewiercał mnie całego. Miałem poczucie klęski i straciłem szacunek dla samego siebie. Szczęśliwie straciłem też przytomność. Gdy ją odzyskał, był chyba nowy dzień, lecz w mojej ciemnicy nic się nie zmieniło, a ciało rwało mnie jeszcze gorzej niż wprzódy. Mijały godziny, wisiałem, cierpiąc katusze, i nic się nie działo. W końcu posłyszałem rumor na schodach i nawet odczułem ulgę. Niedługo wszystko miało się skończyć. *Mors meta malorum* [141].

ROZDZIAŁ 11 | ROZPRAWA

Kraków, kwiecień 1574 roku

Znów błyskawica przecięła niebo. Burza cichła i oddalała się na południe. Po północy deszcz prawie ustał, grzmotów niemal nie było słychać, lecz rozbłyski, w nieregularnych odstępach, wciąż rozpały łunę nad uśpionym miastem.

Czarny jeździec galopem przemierzał wymarłe ulice. Był wysoki, wyższy od przeciętnego człowieka, mimo iż brakowało mu głowy. Kary koń sadził ogromne susy, czarna peleryna powiewała za jeźdźcem na kształt skrzydeł ogromnego nietoperza. Jeździec okrążył ratusz, potem cały Rynek, wreszcie wjechał w boczne ulice. Nigdzie żywego ducha. Żaden pijak nie wytoczył się z licznych szynków, żaden wagabunda nie szukał schronienia pod cmentarnymi murami, jak to zazwyczaj bywało. Nawet nocnego rontu ani śladu. W żadnym oknie nie świecił najmniejszy płomień, choć powinny palić się gromnice poświęcone w święto Matki Boskiej Gromnicznej, obdarzone jakoby mocą chronienia od uderzenia pioruna. Znał przyczynę takiego stanu rzeczy – miasto ogarnęła trwoga i nikt nie zamierzał zwracać na siebie uwagi. Jego uwagi. To jego tak się obawiano. To sprawiło mu satysfakcję. Ale z drugiej strony był zły i rozczarowany. Potrzebował widowni. Jak miał nadal trzymać miasto w strachu, skoro nie było nikogo, kto mógłby zaświadczyć, że oto powrócił po dłuższej przerwie i znów sieje grozę? Zawrócił pod ratusz. Przez moment rozważał, czy nie cisnąć dzierzonej głowy w okno Izby Pańskiej. Zachichotał, wyobraziwszy sobie miny dostojnych rajców, kiedy rano zbiorą się na posiedzenie i zastaną na pawimencie skrwawioną ludzką głowę. To było jakieś rozwiązanie. Acz wolałby jednak coś bardziej spektakularnego, więc postanowił jeszcze raz poszukać naocznego świadka.

Ojciec Hieronim, wyborny zielarz, zawiadujący klasztorną apteką, opuścił nareszcie pałac biskupi i podążył do nieodległego klasztoru Franciszkanów. Nigdy

dotąd nie wracał tak późno, ale wpiery ksiądz biskup Krasieński nie chciał go puścić wprzódy, nim poczuł ulgę po zaaplikowanych mu środkach na dolegliwości żołądkowe, potem poczęstowano go wyborym winem i obfitą wieczerzą, a na koniec sam zwłóczył, nie kwapiąc się wychodzić w deszcz i czekając, aż ustanie. Miał swoje lata, cierpiał na reumatyzm i nie zamierzał moknąć bez potrzeby. Nie zabrał latarki, nie była niezbędna, bo wystarczyło jedynie przeciąć Psi Rynek, a ponadto błyskawice co jakiś czas sprawiały, że robiło się widno jak w dzień. Zrzucił sakwę z ziołami na plecy i ruszył naprzód dziarsko, na dwa głosy podśpiewując pod nosem antyfonę do Matki Boskiej, bowiem było już dawno po komplecie.

Dotarł właśnie do połowy zaułka, gdy wpiery poczuł podmuch powietrza, a potem, kiedy znów błysnęło, ujrzał coś przed sobą i nogi wrosły mu w ziemię. Przed nim stał upiorny jeździec bez głowy! O dobry Jezu! Więc to prawda, a nie bajania zabobonnego ludu! Upiór nie uczynił żadnego ruchu i nie wyrzekł żadnej groźby, jednak zakonnikowi mimowolnie zaszczękały ostatnie zęby, kiedy poznał przedmiot trzymany przez jeźdźca pod pachą – ludzką głowę. Zachowując resztki przytomności umysłu, *pater* Hieronim uczynił szybko znak krzyża i wyrzucił ze ściśniętego gardła:

– *Apaga satanas!* Odejdź duszo pokutująca, skądś przyszła, a obiecuję, że razem z innymi braćmi będziemy się modlić za twoje zbawienie...

Odpowiedział mu drwiący, okropny rechot, dobywający się jakby wprost z czeluści piekielnych, aż mnich zadygotał. Lecz przemógłszy obezwładniający lęk, podkasał habit i jednym susem omijając straszliwego zawalidrogę, niezwykle rączo jak na sześćdziesięciolatka, popędził ku zbawczej furcie. Dopadł drzwi i jął w nie łomotać pięściami, rycząc w głos:

– Na Chrystusa, Jego Matkę i Wszystkich Świętych Pańskich, otwieraj, bracie furtianie! Szybko!

Czekano na niego, dlatego wnet furta rozwarła się, a *pater* Hieronim wpadł do środka, zatraskując za sobą z hukiem bramę ku zdziwieniu i zgorszeniu konfratra. Lecz zanim furta zdążyła się zamknąć, coś wpadło w ślad za Hieronimem i potoczyło się braciszkom do stóp, a z zewnątrz dobiegł upiorny śmiech. Podskoczyli i wrzasnęli ze strachu, ujrzawszy odciętą głowę, łuskającą ku nim jednym okiem.

Kraków, maj 1574 roku

Byli dobrze uzbrojeni i mieli wodza, który zawsze prowadził ich do zwycięstwa. Nie bali się ani wilkołaków, co grasowały nocami po ulicach, mordując głównie dziewczki uliczne, ani bezgłowego upióra, ani samego diabła. Przed upiorem, jak wierzyli, ochroni ich Bóg w trzech Osobach, a ludzie byli im niestraszni. Przeciwnie – marzyło im się rozprawienie z owymi strachami, co od tygodni trzymały miasto w kleszczach lęku. Jaką sławą by się okryli, jak pomogli swojej sprawie! Serca

przepelniała im radość i poczucie siły, gdy tak w środku nocy przecinali chyłkiem Szeroką, rozglądając się uważnie. Weszli do zaciszniejszej ulicy Stolarskiej. Byli na wysokości zadaszonych kramów dominikańskich, gdy z naprzeciwka pojawiły się czarne sylwetki.

– Baczość, upiory! – zdążył krzyknąć i rozpętała się zacięta, bezpardonowa walka, tym bardziej niesamowita, że toczona w ciemnościach i ciszy, bez użycia pistoletów, gdyż jednej stronie nie zależało na rozgłosie, a drudzy nie chcieli dzielić się chwałą z pacholkami miejskimi.

Siły były mniej więcej wyrównane, ale rzekome wilkołaki, które okazały się ludźmi z krwi i kości, tyle że w czarnych maskach, robiły bronią z wręcz nieludzką wprawą. Najpierw padł jeden z członków Bractwa Trójcy, potem drugi; trzeci, ciężko ranny, wczołgał się pod stragan. Udało mu się powalić jednego z tamtych, lecz sam przypłacił to raną. Kiedy już miał zawołać: „Strzelajcie, a potem ratuj się, kto może!”, od strony Wendety nadeszło wybawienie. Krzyki i tupot nóg cepaków, nadbiegających ze światłem, spłoszyły napastników. Zostawiając zabitego, zniknęli w mroku jak duchy.

– Co robimy? – spytał Maciek zwany Pajakiem.

– Ja zostanę, żeby pogadać z drabami i zająć się Hieronimem. Foltynowi i Jurkowi już nic nie pomoże – wskazał ciała leżące na burku nieruchomo. – Ty zaś pójdz po Ryksa. Co tak oczy wytrzeszczasz? Wiem, że się drużycie. Mieliście mnie za głupca?

Vincennes, maj 1574 roku

Podobna w swych czarnych szatach do samej śmierci stała obok łoża w zaciemnionej komnacie podparyskiej fortecy, *château de Vincennes*, i z góry patrzyła na umierającego. Był chudy niczym szkielet, wszystkimi porami oddawał krwawy pot, od którego zaczerwieniła się cała pościel i koszula; co jakiś czas krew buchała mu z ust. Nie czuła nic, z wyjątkiem obawy o swoją przyszłość. Nie poradzi sobie sama z Gwizjuszami. Henryk musi wrócić do Francji. To oznaczało wypełnienie się proroctwa Nostradamusa i poświęcenie ulubionego syna. Ale z drugiej strony dawało jej kolejnych piętnaście lat panowania w cieniu następnej marionetki. Opłacało się. Trzeba zaraz pchnąć gońca do Henryka z wezwaniem do natychmiastowego powrotu i aresztować tego głupca Franciszka d’Alençon, aby nie bruździł. Ruszyła do wyjścia, zanim jeszcze doktor Mazille powiedział:

– To koniec, dajmy mu umrzeć w spokoju.

Przy konającym została jedynie stara, wierna niania hugenotka, którą ocalił podczas rzezi, nie pozwalając jej opuszczać swojej komnaty. W ostatnich chwilach nie towarzyszyła mu dobra i szlachetna żona, Elżbieta Habsburżanka, której nie kochał,

ani kochanka z ludu, Maria Touchet, której nie dopuszczono.

– Ile krwi, ile krwi! – zajęczał, szeroko rozwartymi oczyma wpatrując się gdzieś w nieokreślony punkt na suficie. – Dano mi złe rady! Boże, przebacz mi, bo czuję, że jestem zgubiony...

– *Sire* – otarła mu czoło – morderstwa spadają na głowy tych, którzy cię do nich nakłonili. Bóg ci tych zbrodni nie policzy.

Nie wiadomo, czy jej uwierzył, bo już nie otworzył oczu i nic nie rzekł. Raz jeden jeszcze ocknął się, spojrzął przytomnie i spytał cicho: „Gdzie moja matka?”. 30 maja, o czwartej po południu, dzwony w Saint-Germain l’Auxerrois oznajmiły Paryżowi i całej Francji: *Le roi est mort, vive le roi!* [142].

Siedzieliśmy i czekaliśmy w bezruchu trzecią noc z kolei. Dłużyło nam się bardziej, niż podczas wyczekiwania na złodzieja ksiąg w Collegium Maius, tamto wydawało się teraz zabawką i chwilką zaledwie. W ogóle ostatnimi czasy nocne łowy stały się naszą specjalnością. Na szczęście nie musieliśmy spędzać w pułapce całych dwudziestu czterech godzin – jak dotąd morderca zawsze przychodził po zapadnięciu ciemności i bardzo by mnie rozczarował, zmieniając obyczaje. Aby skrócić sobie oczekiwanie, zacząłem wspominać ostatnie dni, nader obfitujące w wydarzenia...

Znów było ich czterech. Trzech podeszło do mnie, czwarty został przy schodach. Rozpoznałem Andrzeja i Krzysztofa, lecz trzeci był nowy i równie dostatnio odziany jak tamci.

– Odwiąż go – polecił młodszemu z braci.

– Ale...

– Odwiążuj!

Okrutnik posłusznie podsunął sobie pień, wlażł na niego i odciął mnie z haków. Byłbym upadł na twarz, gdyby ów trzeci, oddawszy swą pochodnię Andrzejowi, nie pochwycił mnie i nie oparł łagodnie o ścianę.

– Ustoisz acan? – spytał.

– T... tak – odparłem, gdy wreszcie udało mi się uruchomić zmaltretowane gardło.

– Jestem Jan Zborowski.

Słyszałem o nim, był to jedyny porządny przedstawiciel obmierzłej rodziny. Zdobył sobie sławę, gdy w Paryżu, w sławnej katedrze Notre Dame, wobec króla Karola IX i całego dworu oraz tłumu szlachty, kiedy król Henryk, podbechtany przez biskupa Konarskiego, wzbraniał się zaprzysiąc swobody dla innowierców, zuchwale rzucił mu w twarz na cały głos: „*Si non iurabis, non regnabis!*” [143].

– Przybyłem, jak tylko powiadomiono mnie, że mogę cię tu znaleźć. Mości Ryksie, natychmiast opuścisz to miejsce. Ale musisz mi dać słowo, że nikomu nie wyjawisz, co ci się sam przygodziło.

W ciągu minionych godzin imaginowałem sobie rozmaite sposoby uwolnienia: a

to że sam wyplątuje się z więzów i rapierem toruje sobie drogę, a to że Niziołek przybywa z odsieczą, a to że król jakimś sposobem dowiaduje się o wszystkim i każe mnie puścić, lecz że wolność będę zawdzięczał jednemu ze Zborowskich – nigdy.

– Daję.

– Ale to łyk! Znajda! – zaprotestował Krzysztof. – Jego słowo nic nie znaczy!

– Zamilcz! – warknął Jan. – Człek, który zdołał na śmierć wystraszyć Samuela i którego nasz brat uznał za wroga wartego zachodu, zasługuje na szacunek. Dlatego mu wierzę. Tobie zaś bym nie uwierzył, choćbyś się zarzekał na wszystkie świętości. Mości Ryksie, jesteś wolny.

Wtedy zbliżył się ów czwarty, dotąd skrywający się w cieniu.

– Stachnik!

– Przyjechałem wczoraj. Gdy nie wróciłeś na noc, od rana razem z Niziołkiem i tym nowym jeliśmy przetrząsać miasto, byłem nawet na Wawelu. A potem do gospody przybył jakiś garbus, powiadając, co cię spotkało. Wpierw mu nie uwierzyłem, ale Niziołek zapewnił, że można mu ufać. Zatem natychmiast poszedłem do imć Jana Zborowskiego... I oto jestem. Przepraszam, że tak późno.

– Wróciłeś w samą porę. A teraz zabierz mnie stąd.

– Jedna chwilka – zatrzymał nas stanowczy głos Jana Zborowskiego, który następnie zwrócił się do mnie, spoglądając surowo i cedząc słowa: – Wiedz, acan, że nie przybyłem tu uwolnić cię dlatego, że mnie o to prosił pan Żółkiewski, którego znam i cenię od czasu warszawskiej elekcji, ani dlatego, że obiecałem Jankowi Zamojskiemu powstrzymać Samuela od nękania ciebie i twojej rodziny i nie zdołałem temu zapobiec.

– Wobec tego dlaczego?

– Uznaję *ius talionis* przysługujące nawet ludziom podłej kondycji, takim jak ty. Ale tyś posunął się za daleko w swojej słusznej pomście. Nikt, a tycy to także urodzonych o wiele lepiej od ciebie, nie będzie bezkarnie drwił ze Zborowskich. Jednak ja mam słabość do ludzi odważnych, a o tobie słyszałem wiele dobrego. Byłby z ciebie dzielny żołnierz. Ojczyzna takich potrzebuje. Dlatego ten jeden jedyny raz ratuję ci życie, lecz nie próbuj nadużywać mej łaskawości. To wszystko. Możemy iść.

Stachnik narzucił na mnie przyniesiony pled i razem z Janem Zborowskim wyprowadzili mnie na górę, a potem do wyjścia z pałacu, bo tam byłem więziony. Tu czekali Niziołek i Żeglarz i bez słowa ponieśli do domu, zaś Żółkiewski odebrał od Zborowskiego moją broń i przyodziewek i ruszył za nami.

Nie pamiętałem ani drogi, ani wielu następnych dni, a raczej wszystko majaczyło mi jakby we mgle. Kiedy doszedłem jako tako do siebie, poowijany bandażami jak egipska mumia, leżałem na łóżku, przy którym krzątała się ciotuchna i Janka, a w nogach siedział Stachnik. Cioteczka popłakała się, widząc mnie przytomnym, Janka także wyglądała na wzruszoną. Dowiedziałem się, że było dawno po świętach Wielkiej Nocy, a przeżycie zawdzięczam głównie sztuce medycznej ojca Rocha, bom

już zaglądał do księżej obory.

Po paru dniach zdjęli mi część opatrunków i zacząłem wstawać. Nie czułem cielesnego bólu, lecz cierpiałem nowe męki, obserwując Jankę i Stachnika. Zabiegali wokół mnie, śmiejąc się przy tym, żartując i przekomarzając. Rzucano się w oczy, jak lubią swoje towarzystwo. Pewnego razu, gdyśmy zostali sami z Zubem, zebrałem się na odwagę.

– Miłujesz ją? – spytałem wprost.

Zarumienił się, jak tylko on potrafił.

– Nie wiem... Wciąż nie jestem pewny ani jej afektu, ani swego... ale chyba tak.
– Wtem widać zobaczył wyraz mojej twarzy, bo zawołał wstrząśnięty: – Przebóg, Kacper, nie zauważyłem! Wierzaj mi. Myślałem, że miłujesz ją jak brat siostrę...

Sam byłem sobie winien. Tak mściło się na mnie to, że nie okazywałem ludziom uczuć, przynajmniej tych lepszych. Być może nie tylko Stachnik, lecz i Janka nie domyślała się niczego.

– Nic to – odparłem; pewnie, mogło być gorzej: mogła w istocie wyjść za Żalińskiego, a tego bym nie zniósł. – Nie obwiniaj się. I tak wybrała ciebie, a ja mogę jedynie rzec, że uczyniła słusznie.

Gdy odszedł, strapiony, odwróciłem się do ściany. Nie płakałem, bom nie umiał. Żałowałem, że Staszek mnie wybawił od Zborowskich. Pragnąłem umrzeć.

Rozprawa z Bractwem Syjonu mogła przyjść do skutku dopiero w połowie maja, gdym całkiem wydobrzał. Po spotkaniu z braćmi Samuela zostało mi na ciele trochę blizn i nic więcej. Widziałem, że najbliżsi obawiali się o to, a Niziołek, jak zawsze bezceremonialny, spytał wprost: „Kacper, ale nie obcięli ci jajec?”, choć przecież naocznie mógł się przekonać, że nic mi nie brakowało. Poznałem, co to strach przed śmiercią w męczarniach, dowiedziałem się sporo o sobie, charakter mi się z pewnością nie polepszył, lecz nie upadłem na duchu. Miałem załamanie, ale już doszedłem do równowagi. Stchórzyłem w obliczu śmierci i choć nikt o tym nie wiedział, musiałem nauczyć się z tym żyć. Niepotrzebnie się jednak martwili – dawno postanowiłem, że nie spocznę, póki Samuel prędzej czy później głową nie zapłaci za swe zbrodnie, i nic tym postanowieniem nie mogło zachwiać. Jeśli trzeba, umiem być cierpliwy; moja zemsta mogła poczekać.

Janka nadal zaglądała często do gospody, a pocziwa cioteczka ohotnie zaopatrywała głodujący dwór infantki, przede wszystkim w kaszkę krakowską, ulubioną potrawę królowy, którą ponoć drzewiej kazała sobie przysyłać do Warszawy. Dziewce wciąż towarzyszył Żaliński. Jego wzrok robił się coraz bardziej ponury z powodu Stachnika, który z jednej strony rzucał konkurentowi piorunujące spojrzenia, z drugiej nie odstępował Janki ani na krok, niemal codziennie biegając na Wawel. Ja zaś schodziłem jej z oczu, nie chcąc bardziej niż to konieczne przydawać sobie boleści, a zarazem wchodzić w paradę Żółkiewskiemu, który i bez tego miał wobec mnie poczucie winy. Na szczęście naszej przyjaźni to nie zniszczyło, może jedynie odrobinę ją nadwątlilo.

Którejś nocy rozległo się łomotanie do drzwi uspiionej już gospody. Niziołek, śpiący najbliżej wejścia, zbudził mnie, mówiąc, że na dole czeka z kimś drugim wzburzony Maciek zwany Pajakiem i koniecznie żąda widzieć się ze mną mimo niezwyčajnej pory. Kiedy schodziliśmy na dół, zza drzwi wystawił głowę Żółkiewski i obiecał zaraz do nas dołączyć; na szczęście ciotuchna spała twardo.

Nalałem Maćkowi gorzałki na uspokojenie, bo cały aż się trząsał. Dopiero potem był w stanie wyrzucić z siebie, że na Stolarskiej doszło niedawno do spotkania Bractwa Trójcy z „wilkołakami”, co Walawski i Dąbrowski przypłacili śmiercią, a Orzechowski być może śmiertelną raną. Jakoś mnie to nie zmartwiło, alem zaraz poszedł do domowej apteki zabrać kilka potrzebnych rzeczy. Kiedy wróciłem, Stachnik był już gotów do drogi, a Maciek, znacznie spokojniejszy, poczęstował mnie następną nowiną.

– Grot od początku wiedział o nas i domyślił się, że był twoim okiem i uchem w bractwie. Cóż to, nie jesteś zaskoczony?

– Niespecjalnie. To ćwik szpakami karmiony. Nigdy do końca nie odsłania kart i lubi mieć atut w zanadrzu.

Kiedyśmy dotarli na miejsce potyczki, uwijali się już tam strażnicy miejscy, był Bartłomiej Trojan i Matusz Szarski. Grot z obwisłą ręką, z której skapywała krew i kilku członków Sodalitas Trinitatis zajmowało się ciężko rannym Orzechowskim. Opatrzyłem wpierw ranę Grota, potem zająłem się Orzechowskim. Skończywszy, powiedziałem:

– Będzie żył. Odnieście go tylko ostrożnie na kwaterę i trzymajcie w ciepłe, a jutro wezwijcie medyka.

Kiedy odeszli, zabierając także swoich poległych, przystąpiłem do hutmana i podhutmaniego i przedstawiłem ich Staszкови.

– Macie coś? – spytałem.

– To co zwykle. Pół tuzina zabitych dziewczek z opalonymi łonami w okolicy brony Mikołajskiej, drugie tyle obszarpańców usiłujących ich bronić i trzy trupy tutaj – Matys pokazał zwłoki u naszych stóp.

Obszar od brony Mikołajskiej po szpital Świętego Ducha należał do najpodlejszych w całym Krakowie, nie licząc terenu przy bronie Grodzkiej i między bronami Szewską a Sławkowską. Wszędzie tam królowały zamtuzy i podłe spelunki, na domiar na ulicę Świętego Krzyża, jedną z „gorszych”, wychodziły oficyny z nieco „lepszej” Szpitalnej, zajmowane przez warzelnie piwa, topnie łożu i wosku, rzeźnie i drugie warsztaty, w podwórzach zaś gnieździła się biedota i hultajstwo, podobnie jak w kleciach dostawionych do murów miejskich przy tamtejszym odcinku ulicy Okolnej.

– Zabójcy wracali zapewne do swojej kryjówki – dodał hutman, postukując w burk swą laską – gdy natknęli się na twoich znajomych i wywiązała się bitka. Gdyby nie nadbiegli moi ludzie, byłoby już po naszych, pożałuj Boże, pomagierach, których mi naraileś.

– Nie lekceważ ich waść – odparłem. – Wolałbyś, żeby to twoi ludzie leżeli tu zamiast nich?

Hutman kiwnął na człeka odzianego jak żebrak lub włóczęga, który stał z boku, zasłaniając twarz rąbkiem podartej opończy.

– To szkolnik. Powiada, że na Mikołajskiej spodziewano się ataku i tameczne hultajstwo czuwało pod bronią. A mimo to nie poradzili sobie z napastnikami. Ponoć to diabły wcielone, w walce niemające sobie równych.

Zaciekawiony, bo przecież z natury swego niebezpiecznego fachu szkolnicy nie rzucali się w oczy, uważniej przyglądałem się owemu. I niech mnie wciórności, jeśli nie rozpoznałem w nim, mimo iż tak się zasłaniał, Kulasa, prawej ręki (a może raczej nogi?) Króla Żebraków. Już miałem coś rzec, lecz on przyłożył ukradkiem palec do ust, i w ostatniej chwili, nie wiedzieć czemu, powstrzymałem się.

– Nareszcie wszak dostaliśmy jedną z tych bestii, więc w istocie pomoc twoich znajomych przydała się na coś – Matusz Szarski wskazał trzeciego nieboszczyka. – Miał to.

Pokazał stalową rękawicę zakończoną takimiż szponami, ostrymi jak sztylety i zbuczonymi świeżą krwią, już zasychającą, lecz jeszcze połyskującą.

– I to – dodał Trojan.

Na jego wyciągniętej dłoni widniała rzecz znana mi aż za dobrze – medalion z inicjałami PS: Prieuré de Sion. Nie widziałem powodu, by to taić, opowiedziałem im więc, czego się dowiedziałem o Zakonie Syjonu i jaką rolę mieli u nas do odegrania jego członkowie. Dla Szarskiego i Trojana było to jedynie potwierdzenie podejrzeń, którymi się z nimi wcześniej podzieliłem, lecz Żółkiewski wyglądał na oszołomionego.

– Zatem w tej całej awanturze chodzi o spisek na honor króla? – upewnił się.

– Nie inaczej – potwierdziłem.

– Co za ludzie! – odparł z obrzydzeniem, utwierdzony w przekonaniu, z którym się nie krył od powrotu z zagranicy: Francja to Sodoma, Cesarstwo – Gomora, a Rzeczpospolita to jedyna oaza cnót wszelakich w morzu niegodziwości.

– Od razu wiedziałem, że to żabojad, wystarczyło spojrzeć na te kuse szatki i capią brodę – rzekł hutman na koniec. – Domyślasz się, Kacper, gdzie szukać tych łotrów?

Przykucnąłem przy zabitym. Rozwiązana maska z czarnego płótna z dziurami na oczy leżała obok. Rysy twarzy, dość trudne do rozpoznania, bo na wszelki wypadek, gdyby spadła maska, celowo umazane sadzą dla niepoznaki, nic mi nie mówiły. Za to czarną opończę i szaty miał zupełnie mokre.

– Osobliwe, prawda? – stwierdził Matusz, widząc, co mnie zajęło.

Wyjąłem z włosów nieboszczyka rzesę wodną, kęs jakiegoś ziela spomiędzy gieźła a kubraka, zaś z rękawa wypadł ślimak. Wodny, ze spiralną muszlą.

– Właśnie – dodał Trojan. – Ciekawe, nieprawdaż? Ani nie padało, zatem w rynsztokach nie ma wody, nie został oblaný z okna pomyjami, bo nie ma śladu nieczystości, nie masz też pomiędzy bronią Mikołajską, Wendetą a kościołem

Dominikanów ani stawu, ani fontanny jak w Italii, ani nawet żadnego rzapia. Jakimż zatem sposobem umoczył się do suchej nitki?

Nie odparłem, bo intensywnie myślałem, dopasowując znane mi fragmenty łamigłówki, aż znalazłem satysfakcjonujące wyjaśnienie.

– Nie zamoczył się w mieście. Wpadł do wody, kiedy z drugimi przedostawał się do miasta.

– Jak to? – spytali mnie naraz wszyscy trzej.

– A tak: przeszli korytem Rudawy pod murem miejskim opodal brony Grodzkiej.

Ależ byłem głupi! Od dawna miałem w garści wszystkie nici tej sprawy, a zapomniałem o czymś tak oczywistym. Głowiłem się, jak ci, których z dawna uznałbym za głównych podejrzanych, gdyby nie jedna rzecz, mieliby nocą pojawiać w Krakowie i znikać bez śladu, a tymczasem zapomniałem o oczywistym sposobie, znanym wszystkim hultajom w Trójmieście. Oto Rudawka, obiegająca mury miejskie, zasilająca fosę i oddzielająca Wawel od miasta, koło brony Grodzkiej wypływała pod murem na zewnątrz. Odkąd Kraków zbudowano, istniało tu przejście korytem rzeczonym, którym złodzieje nocną porą wynosili łupy na Kazimierz [\[144\]](#), zwłaszcza gdy stan wody był niski.

– Nie wydaje mi się, by rzeka była obecnie głęboka. Mniemam, iż brodzili w wodzie do kolan, a co najwyżej do pasa. Ten tutaj musiał się pośliznąć i dlatego jest cały mokry.

– Zatem domyślasz się, gdzie szukać pozostałych? – hutman powtórzył pytanie.

– W gospodzie „Pod Kogutem” na Stradomiu.

– To poza naszą jurysdykcją – zmartwił się Szarski. – Stradom podlega Kaźmierzowi.

– Niestety – odparłem. – Ale mam zgodę króla na użycie jego Waskonów, czekałem jedynie na dowód lub mocną poszlakę, taką jak ta dzisiejsza.

– Nie uśmiecha mi się przyglądać beczynnemu, gdy kto inny będzie rozprawiał się z mordercami, którzy wiele tygodni trzymali to miasto w szponach lęku i wymordowali gromadę jego obywateli, choćby i nie najlepszej konduity – stwierdził hutman markotnie.

– A któż nam zabroni zastawić pułapkę i poczekać na łotrów u brony Grodzkiej, gdy będą się przemykać następnym razem? – rzucił Staszek Żółkiewski, zyskując przyjazne spojrzenia hutmana i jego substytutu. – Co ty na to, Kacprze? Mógłbym opracować plan...

– Stracili hetmana, niejakiego „Pięknisia” Livarrota, nie ma zatem pewności, iż znów popróbują – dumiałem na głos. – Lecz z drugiej strony, Livarrot nie żyje od dawna, a dziś mimo to zaatakowali... – pomyślałem o człowieku, którego znałem jako Étienne’a de Lanssaca. – Pośpiech jest wskazany, gdyż sprawcy zapewne chcą winą za zbrodnie obarczyć króla, inaczej to wszystko nie ma sensu, i już usiłowali zamówić odpowiednie paszkwily, by sprawę upublicznić. Żaden drukarz

krakowski nie wzięłyby takiego zamówienia, tedy zostali zmuszeni szukać wykonawcy za granicą. Mieli jednak na to dość czasu i ulotki są już pewnie w drodze do Krakowa. Zatem na wszelki wypadek opracuj swój plan, Stachniku, uwzględniając także Sodalitas Trinitatis. Na pewno zechcą pomścić śmierć kompanów, a nam przyda się wszelka pomoc. Ja zaś muszę jeszcze coś sprawdzić. Będziemy w kontakcie – rzuciłem tamtych i wróciliśmy do domu odespać straconą noc. Kulas zniknął grubo wcześniej, jakby go nigdy nie było.

Przed wieczorem tego samego dnia jakiś włóczęga podrzucił do gospody wiadomość dla mnie, wypisaną na kęsku papieru: „Bądź u wnijsia do Świętego Jana podczas wieczornego nabożeństwa”. Podpisu nie było, lecz i bez tego wiedziałem, kto mnie wzywa.

– Słyszałem, że robisz postępy w inwestygacji tyczącej rzekomych wilkołków – odezwał się szeptem z kąta Garbus zwany też Ślepcem, wypatrzywszy mnie w półmroku, jak tylko wszedłem do kruchty.

– Jak zwykle jesteś dobrze poinformowany.

– Muszę, zwłaszcza że zarówno dziewczki pomordowane w „Drewnianej Kleci”, jak i te zabite opodał brony Mikołajskiej, pracowały dla mnie. To były dobre dorotki. Nikomu nie uczyniły nic złego, a te bestie tak ohydnie je potraktowały. Zaś ja dbam o swoich ludzi. A kiedy nie mogę ich ochronić, przynajmniej biorę pomstę. Inaczej długo bym nie pożył w takim interesie, jaki prowadzę. Wiem, żeś czas jakiś słabował i to cię opóźniło, lecz wciąż zależy mi na ujęciu sprawców. I to szybko.

– Uczyniłbym to i bez twojego nacisku. Jestem twoim dłużnikiem. Jedno tylko mi wytłumacz: skąd wiedziałeś, kto mnie porwał i gdzie przetrzymywał? Jestem pewien, że jak okiem sięgnąć, okrom porywaczy żywej duszy nie było na ulicy.

– Zdawało ci się. Był tam ktoś, kto od dawna nie odstępował cię na krok, widział, jak cię porywano, i natychmiast mnie powiadomił.

Przebóg! Jednak męki, którym mnie poddano, miały większe skutki od ran, które się zagoiły – z myśleniem było u mnie jeszcze gorzej niż wprzód.

– Więc to ty wynajęłeś Kettlera! Kettler moim aniołem stróżem, paradne! – nie mogłem się powstrzymać od stłumionego śmiechu, który zwrócił na nas uwagę dwóch dewotek klęczących za przeszkłonymi drzwiami. – Musiało cię to słono kosztować. Czemuś to uczynił?

– Powiedziałem ci przecie. Giną moi ludzie. Tamtych jest zbyt wielu i są za dobrzy. Dziś w nocy zabili moich najlepszych chłopców, których przydzieliłem dziewczkom ku ochronie. Jeden Kettler takóž samopas sobie z nimi nie poradzi. Chcę, abyś prędko bestie wytropił i zniszczył, obojętnie jak i z czyją pomocą. Uczynić to, a będziemy kwita. Będę utrzymywał Kettlera, dopóki zyskamy pewność, że już ci nic nie grozi.

– Dzięki za troskę. Ale pokąd Samuel Zborowski nie wróci z wygnania, raczej nie przewiduję nowych turbacji ze strony tej rodziny. À propos: czy jeden z twoich zaginionych ludzi miał na lewym oku bielmo?

– Owszem, Jednooki. Niedawno Kulas miał okazję obejrzeć ucięte głowy, które trzymają w ratuszu w słojach ze spirytusem, i rozpoznał Jednookiego oraz drugiego z naszych. A czemu pytasz?

– Bom widział jego jeszcze kompletnego trupa w sklepach pałacu Zborowskich. Obok drugich ciał pozbawionych głów.

– To znaczyłoby, że...

– Że to Zborowscy zabawiają się w upiора bez głowy, wprzódy polując na wagabundów, których nikt nie zna ani się o nich nie upomni, poddając ich torturom, a potem pozbawiając głów. Tuszę, iż ów niecny proceder wymyślił Samuel, lecz któryś z braci, zapewne Krzysztof, uprawia go nadal, bo zwłoki Jednookiego patrzyły na niestare.

– Zniknął w kwietniu.

– Otóż właśnie.

Milczał ponuro, a ja domyślałem się o czym: nawet on nie widział sposobu, by osiągnąć Zborowskich. Byli nie do ruszenia ani prawem, ani *iure caduco*. Nareszcie rzekł:

– Widzę, że nie wykosztowałem się na próżno. Dobrześ się spisał, obmyśl jeszcze sposób, jak dobrać się do tych łajdaków, i rozpraw się z wikołkami, a nie pożałujesz.

– Uczynię, co się da. Czy owych dwóch Francuzów wciąż spotyka się w farze Mariackiej?

– Jak wprzódy, co wtorek.

Co to za jedni? Livarrot przecież nie żył. Czyżby jego wspólnicy? A może jeszcze drudzy? Niepokoiła mnie ta sprawa i rad bym ją wyjaśnił.

– Tedy mam do ciebie prośbę: nie spuszczaaj ich z oka.

– Dla ciebie wszystko.

– Skoro tak, to chciałbym cię ostrzec: bacz na swoich ludzi, nie wszystkim możesz ufać – nie chciałem wprost podawać imienia Kulasa, bo przecież to Król Żebraków stał poza prawem, a my obaj z Kulasem po drugiej stronie niekiedy cienkiej jak nić pajęcza linii.

– Ach, masz na myśli Kulasa? Wspominał mi, że cię dziś spotkał. Nie przejmuj się tym.

To też powinienem przewidzieć – Kulas wcale nie był śliwką-robaczywką w bandzie Garbusa, jeno pracował na obie strony, a niewykluczone, że po prostu był okiem i uchem Ślepca w ratuszu, a nie na odwrót, jak mniemał hutman. Nabożeństwo zbliżało się ku końcowi, dwie dewotki gapiły się na nas coraz namolniej, zebraliśmy się zatem do wyjścia. Na koniec, czego się obawiałem, Garbus rzekł:

– Wiesz co? Ostatnie wypadki natchnęły mnie do napisania kilku strof o tym, jak głupie baby przekonać, że się jest wilkołkiem i zmusić do sutego poczęstunku. Chcesz posłuchać?

I zanim zdążyłem zaprotestować, jął recytować:

*Będę sobie używał jako jakie księżę,
Ogon wilczy, kosmaty u zadku uwiążę.
A wszystko będę mówił: „Mięso by się jadło,
Miła matko, rychło daj, by mię nie napadło”.
Choć nie pójdę do izby, będę stał na dworze -
„Mięsa, matko, popsujęc bydło na oborze”.*

– Gdy zaś owa się próbuje sianem wykręcić i suchym chlebem chce mnie uczęstować, tedy...

*... ja grozę rzekomo, trzясając ogonem:
„A toć pójdę do bydła na pole wygonem”.
Aż ona osłę masła, krup, jagieł w podołku:
„Nie psujże mi dobytku, mój miły wilkołku.
Dam ci jeszcze i mleka słodkiego na kaszę”.
To ja też podziękuję, a więcej nie straszę... [145]*

Jak zwykle zniknął w jednej chwili, ledwieśmy wyszli na zewnątrz.

Zostało mi już tylko jedno do zrobienia, by można było zakończyć sprawę z wilkołakami.

– Panie Krasowski – przy najbliższej okazji zapytałem Karła o coś, co niedawno przyszło mi do głowy. – Zali Gwizjusze to kacerze, czy może katolicy?

– Katolicy! I uważający się za bardziej papieskich od Walezjuszy, a bodaj nawet od samego Ojca Świętego.

Nazajutrz zabrałem Niziołka i wymknęliśmy się cichaczem z gospody.

– Znów jakaś awantura? – zatarł łapska wielkie jak łopaty chlebowe.

– Być może, ale pewności nie ma – zgasilem jego zapał.

Poszliśmy za miasto, na Stradom, gdzie pośród rzadkiej i z reguły drewnianej zabudowy stał samotny dom, tawerna „Pod Kogutem”. Zamknięta mimo popołudniowej pory i bez oznak życia w środku, do którego próbowaliśmy zaglądać przez szpary w śniatach i solidnych okiennicach. Sąsiedzi albo nic nie wiedzieli o tym, co się dzieje w gospodzie, albo nie chcieli z nami rozmawiać. Nie chodzili do tej karczmy i nie znali nikogo, kto to robił, ale mogli nam polecić kilka niezgorszych spelunek w okolicy, gdybyśmy chcieli. Nie chcieliśmy i grzecznie podziękowaliśmy.

– Chyba trza zapukać jeszcze raz, jeno ciut mocniej – zaproponował Niziołek, patrząc na mnie prosząco.

Nie miałem serca odmawiać mu tej drobnej przyjemności, skoro ciągałem go taki kęs drogi. Kiwnąłem głową przyzwalająco. Fajtnął nogą i wymierzył solidnego kopniaka, od którego drzwi omal nie wyleciały z zawiasów, a cały dom zadrżał w posadach. Mimo to nie było odzewu, więc poprawił z lewej nogi z lepszym skutkiem.

– *Fermé!* [146] – wrzasnęło za drzwiami.

Niezrażony niezycliwym tonem, załomotałem kulakiem.

– *Qui est là?* [147] – spytało, już znacznie bliżej.

– My – odparłem odruchowo, po czym przypomniało mi się odpowiednie francuskie słówko: – *Nous*.

– Ja-kie *nous*? – dociekał ten za drzwiami, równie biegły w polszczyźnie jak ja we francuskim.

Niziołek stracił cierpliwość, zwłaszcza iż nic go bardziej nie irytowało niż obce albo co trudniejsze słówka i ryknął jak głodny lew:

– Do stu diabłów! Otwierać mi tu zaraz tę budę, zabojady przebrzydłe, bo jak nie, to nie ostanie sam dyl na dylu!

Drzwi otworzyły się i w progu stanął rosły drab z długimi włosami, małymi wąsami i brodą w szpic. Widać było, że nabrał w płuca powietrza, by puścić nam podobną wiązanę, jaką poczęstował go Niziołek, lecz na widok dziewięsła z wolna wypuścił nadmiar powietrza i rzekł wcale uprzejmie:

– *Dziś la auberge* być zamknięty. *Excusez-moi*.

– W takim razie przyjdziemy jutro – powiedziałem równie grzecznie.

– Jutro też być zamknięty.

– Wobec tego chcę mówić z właścicielem. Patron, *comprenez?*

– Patron nie być. Nikt nie być.

– Tylko ty?

– *Oui*.

– Daj pokój, Kacper, tak do niczego nie dojdiesz. Z nim trzeba inaczej – Niziołek pochwycił Francuza za kołnierz jedną garścią i uniósł w górę.

Gieżło pękło tamtemu na piersiach, pokazując zawieszony na szyi medalion z inicjałami PS, minę miał ni to przestraszona, ni to groźna. Zobaczyłem dość, pora była stąd iść, zanim zarobimy kulkę z ukrycia.

– Puść go – poleciłem olbrzymowi. – Idziemy. *Je vous remercie de votre information* [148] – rzuciłem Francuzowi na pożegnanie.

– *De rien* [149] – burknął i zatrzaskał drzwi.

Oddalałem się stamtąd z niemiłym uczuciem, że spojrzenia ludzi przyczajonych w niegościnnej karczmie wypalają mi w plecach dziury niczym pociski, i wysłuchując utyskiwań Nizioła, żem mu nie dozwolił udzielić bezczelnemu zabojadowi należytej nauzki. Wyraziłem nadzieję, iż przebyty zawód nie odbierze mu apetytu. A zatem oberża „Pod Kogutem” była jaskinią Zakonu Syjonu i wilkołaków zarazem. Podejrzewałem to, odkąd francuski księgarz powiadomił mnie o jej istnieniu. Lecz zakładałem, że to kaczerze usiłują skompromitować króla Henryka, zaś pan Thenaud upierał się, iż tawernę prowadzą katolicy, i to mnie zmyliło. Poszczególne kęski łamigłówek złożyły się dopiero wówczas, gdy dowiedziałem się, że Gwizjusze są katolikami. Właściwie nie musieliśmy tu przychodzić, lecz dzięki temu zdobyłem pewność, przy okazji zaspokajając ciekawość, i poznałem położenie tawerny. Teraz

mogliśmy opracować plan szturmu i zaczynać. Należało natychmiast wziąć oberżę pod obserwację na wypadek, gdyby nasza wizyta spłoszyła łotrów.

Przez kilka kolejnych nocy Bractwo Trójcy ofiarnie wystawiało czujki po stradomskiej stronie brony Grodzkiej. Ziewając, czyniłem to samo na murze po krakowskiej stronie, w kompanii strażników miejskich i Staszka Żółkiewskiego, w świetle księżycy (gdy świecił) któryś raz wertującego pożyczony ode mnie traktat *Consilium rationis bellicae* hetmana Jana Tarnowskiego. Wczuwając się w rolę przyszłego hetmana wielkiego koronnego (było to jego marzenie), Stachnik ułożył plan kampanii, który przedstawiłem do wiadomości kapitanowi de Larchantowi, dowódcy gwardii królewskiej (królowi zależało na dyskretym załatwieniu tej wstydlivej sprawy, dlatego nie zlecił tego wojewodzie), a następnie hutmanowi Trojanowi. Plan zyskał powszechne uznanie.

Po pięciu bezsennych nocach, będąc na skraju wyczerpania, doczekaliśmy się nareszcie nagrody. Gdy tylko członkowie Zakonu Syjonu opuścili gospodę i ruszyli na łów, jakiś sodalis Bractwa Trójcy dał umówiony znak, który wypatrzyłem ja z jednej strony, a strażnik na murach zamkowych z drugiej (przynajmniej miałem taką nadzieję). Było ich jedenastu. Czarne, przyczajone sylwetki skradające się niczym wilcza wataha i równie groźne. Poczekalem, aż zeszli do koryta dość płytkiej Rudawki i aż ostatni wyszedł pod murem z drugiej strony, i gwizdkiem dałem znak do szturmu. Czyhające w nocnych ciemnościach draby miejskie odsłoniły latarki i z wściekłością uderzyły na Francuzów. Miały przewagę zaskoczenia i liczby, i choć ustępowały tamtym ćwiczeniem, zmusiły ich do ucieczki tą samą drogą, którą złoczyńcy przybyli. Jeden napastnik zginął z rąk strażników, drugiego zastrzeliłem w wodzie; popłynął do Wisły, a kto wie, może i do Gdańska. Za murami czekali na morderców członkowie Bractwa Trójcy na czele z szalejącym Grotem, lecz nie zdołali powstrzymać walczących niczym diabły „wilkołaków”. Ale wykonali zasadnicze zadanie – odcięli zabójcom wszystkie drogi ucieczki. Tamci zatem przebili się do gospody i stamtąd skutecznie odgryzali oblegającym, dopóki z zamku nie nadciągnęli spóźnieni Gaskończycy. Nie patyczkowali się i nie próbowali szturmować rozjarzonej od wystrzałów fortecy, tylko ją podpalili płonącymi strzałami, a potem strzelali do każdego, kto usiłował się wydostać.

Czterem się ta sztuka udała, lecz tych dopadło Bractwo Trójcy. Łotry wszak łącznie nie sprzedały skóry. Wiedziały (a ja byłem przy tym, jak kapitan Larchant dostał rozkaz wybicia wszystkich do nogi, aby po szkaradnej intrydze nie został żaden ślad), że nie ujdą z życiem, i nie prosiły pardonu. Dlatego sodalisi bractwa, a nawet sam Grot, nie potrafili sobie z nimi poradzić. Musieli ich wesprzeć Waskonowie, odrzuciwszy muszkiety i chwyciwszy za rapiery, otaczając członków Zakonu Syjonu śmiertelnym kręgiem.

Nie zamierzałem uczestniczyć w tej przesądzonej z góry walce i dobrze, bom jako jedyny wypatrzyłem, że podczas całego zamieszania z płonącej tawerny bocznym wyjściem wymknęła się jeszcze jedna postać. Szarpnąłem za rękaw stojącego obok

Żółkiewskiego, podziwiającego wykonanie swego planu, wskazałem mu uchodzącego i pobiegliśmy naprzód, zabiegając tamtemu drogę.

– On jest mój! – uprzedziłem Stachnika, rozpoznawszy uciekiniera. – A jednak się spotkaliśmy, panie de Lanssac. A może powinienem raczej rzec: Ivesie de Plantard?

Mimo podartej i opalonej odzieży, w usmolonej twarzy zobaczyłem szeroki uśmiech.

– No, no. Sprytny imć Ryx we własnej osobie. Powinienem był cię zabić, kiedy miałem sposobność.

– Dostaniesz następną, lecz musisz mi coś wyjawić.

– Ty czegoś nie wiesz? – sarknął.

– Wiem, że należysz do Zakonu Syjonu. Wiem, po co tu przybyliście i na czyje zlecenie. Ale jaką funkcję w waszej robocie miała do spełnienia piękna Arletta, jeśli tak istotnie brzmi jej imię?

– Żadną. Poznaliśmy się wypadkiem podczas podróży do Polski. Naprawdę ma tak na imię, nazywa się zaś de Barry i jest córką Jana de Barry pana de la Renaudie, cieszącego się sławą męczennika pośród francuskich kacerzy. W sześćdziesiątym roku z kupą partyzantów zaatakował zamek w Amboise, gdzie akurat przebywała rodzina królewska, po to by zabić znienawidzonych powszechnie Gwizjuszy. Szturm się nie powiódł. Z rozkazu królewskiego został ścięty, jego towarzyszy powieszono, żonę zgwałcono i zamordowano, a dziewczynka poszła na poniewierkę. Arletta ma zabić króla na zlecenie Henryka Kondeusza, przywódcy hugenotów, któremu wasz król Henryk uwiódł żonę i który szuka pomsty na nim i całym rodzie Walezjuszy za śmierć swego ojca i rzeź w noc świętego Bartłomieja.

– Zatem wasze cele były odmienne. Zamierzałeś zamordować ją, zanim wykona zadanie?

– Masz mnie za potwora? Wcale nie podobała mi się robota, którą mi powierzono, ani rzeźnicy, których mi przydzielono, lecz jestem lojalnym sodalisem Zakonu Syjonu i robię, co mi każą. Co nie znaczy, że lubię Gwizjuszy. Nigdzie nie powiedziano, że to oni mają zastąpić Walezjuszy. Plantardowie także wywodzą się z Merowingów – sprawiał wrażenie zniecierpliwionego i co chwila zerkał w stronę walczących; zdumiewające, ale jego ludzie wciąż opierali się przeważającym siłom. – Wybaczcie, lecz spieszy mi się.

Skoczył na mnie bez ostrzeżenia. Nigdy dotąd nie biłem się z tak groźnym przeciwnikiem, ale wiedziałem o tym od początku i byłem przygotowany. Brzdęk, brzdęk, brzdęk. W ciągu pierwszej minuty starcia wykonaliśmy więcej błyskawicznych pchnięć, chytrych parad, zdradliwych cięć i sekretnych włoskich *bottes*, strzeżonych zazdrośnie przez mistrzów fechtu i ujawnianych jedynie wybrańcom, niż podczas wszystkich moich poprzednich monomachii razem wziętych. Brzdęk, brzdęk, brzdęk, brzdęk. Po przetrwaniu pierwszych gorących chwil nabrałem pewności siebie i sam przeszedłem do ataku. A mimo to zostałem celnie

trafiony, i to aż dwakroć. Raz w ramię, drugi – w bok. Saraceńska kolczuga, po złożeniu mieszcząca się w stulonych dłoniach, lecz nadzwyczaj wytrzymała, która kosztowała mnie krocie, a Jędrzeja sporo zachodu, doskonale się sprawowała. Jednak oberwałem w żebro, więc aż syknąłem z bólu.

Usłyszał to i mniemając, że jestem poważnie ranny, zaatakował ze zdwojoną energią, którą nie wiadomo skąd brał, zatem musiałem przejść do obrony. Brzdęk, brzdęk. Moje zasłony lewakiem, uniki (*in quartata* i *passato sotto*), obroty, półobroty oraz pchnięcia i cięcia zamykające (*stesso tempo*), czyli takie, które trafiając przeciwnika, jednocześnie parowały jego cios, okazały się dostatecznie skuteczne (błogosławiłem w myślach moich preceptorów w nauce szermierki), bym zdołał opanować sytuację i przejść do kontrnatarcia. *Tempo contra tempo*, *cavatione*, *contra-cavatione*, *botta lunga* [150], przeciwnatarcia pchnięciem lub cięciem zamykającym, wrzucenia i zwody. Lewak, rapier; lewak, rapier. Brzdęk, brzdęk, brzdęk. Dźwięczała stal, sypały się skry. Płomienie z gorejącego domu rzucały na nas niesamowite błyski.

Nareszcie zaczął słabnąć. Próbowałem to wykorzystać, by zastosować *botte secrète* mistrza Altoniego, której nauczył mnie du Guast, lecz mój przeciwnik nie dał się zaskoczyć, widać też ją znał. Ciężko dysząc, odskoczył wstecz i opuścił broń, lekko się nią podparłszy. Ja też opuściłem swoją. Kiedy przestał sapać jak miech kowalski, rzekł:

– ... *Tout le secret des armes ne consiste qu'en deux choses, à donner, et à ne point recevoir [...]. Il est impossible que vous receviez, si vous savez détourner l'épée de votre ennemi de la ligne de votre corps: ce qui ne depend seulement que d'un petit mouvement du poignet ou en dedans, ou en dehors* [151]. Pamiętasz, mówiłem ci to kiedyś, gdyśmy się fechtowali na podwórzu. Nie pamiętasz czy nie zrozumiałeś? A zresztą, wszystko jedno... Tak czy owak spisujesz się nad podziw dobrze. Na moje szczęście nie zdążyłem ci zdradzić, co znaczy *coup d'allonge*. Pokażę ci go teraz, ale będzie to ostatnie, co zobaczysz w tym życiu. Przykro mi. *En garde!*

Teraz bił się spokojniej, brzdęk, nie tak gorączkowo, brzdęk, nieznacznie, lecz stale zwiększając dystans. Brzdęk. Czuję, że coś knuje, ale udawałem, iż nie wiem, o co chodzi. Wyczekałem, aż odległość zrobiła się idealna, czego obaj byliśmy doskonale świadomi, tylko on nie wiedział, że ja wiem, i wtedy, wyciągnięty jak struna, uprzedziłem go. Nie zdążył się zasłonić ani sparować. Stał sztywno wyprostowany, z moim rapierem wbitym do połowy w jego pierś, i patrzył na mnie oczyma rozszerzonymi w bezmiernym zdumieniu. Z bezwładnej dłoni wypadł mu rapier.

– Widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, że już wiem, na czym polega *coup d'allonge* – powiedziałem, podnosząc się z wykroku i wyszarpując żelazo z jego piersi. – Przykro mi.

Nim mgła zasnuła mu oczy i zwałił się na burk, ujrzałem ostatni przeblysk zrozumienia w jego gasnących źrenicach i cień uśmiechu na wargach. Francuski *coup d'allonge* okazał się niezwykle długim, harmonijnym wypadem, który Włosi zastępowali równie skutecznym *attacco di balestra*, natarciem z doskokiem. Nieludzko zmęczony, wsparłem się na ramieniu Stachnika, który rzekł:

– Koniecznie musisz mnie nauczyć tej sztuczki.

Nasi sprzymierzeńcy już uporali się z pozostałymi „wilkołakami”. Z płonącej chaty buchnął w ciemne niebo snop iskier. Podmuch wyrzucił stertę druków. Płonąc i wirując w powietrzu, wolno opadały na ziemię. Podniosłem jeden z nielicznych, które nie zgorzały do cna. Był to paszkwilus obwiniający króla Henryka o mordowanie i okaleczanie wszetecznic. Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Waskonowie zajęli się wrzucaniem do ognia zarówno poległych wrogów, jak i niedopalonych ulotek. Bractwo Trójcy zabrało swoich zabitych i rannych i odeszło do Krakowa. Rozbudzeni bitwą mieszkańcy Stradomia uwijali się wokół swych domów, polewając je wodą w obawie przed przerzuceniem się ognia. Na szczęście wiatr był słaby, wiał w dobrą stronę i nie było takiego niebezpieczeństwa, zwłaszcza iż pożar z wolna dogasał. Hutman, Szarski i draby miejskie, którzy z murów oglądali zakończenie bitwy, poklepywali nas po plecach. Całą gromadą poszliśmy na Rynek, tam dopiero się rozdzielając.

Król przyjął potem nas i Grota (z obwiązaną bandażem głową) na prywatnej audiencji, a szczególnie gratulował Żółkiewskiemu (który, choć zatwardziały republikanin, urósł z dumy o kilka cali), darowując mu w nagrodę cenny pierścień. Z lilią francuską. Ciekawe, czy ten sam, który dostała nieszczęsna Kasia-Anusia? Pochwałę i inny pierścień otrzymał Grot i aż pokraśniał z zadowolenia. Co do mnie, to najjaśniejszy pan potwierdził, iż zamierza odwiedzić akademię, i chciał, bym przy tym był, dlatego miałem się stawić na uniwersytecie za trzy dni, w samo południe.

W samą porę, bo ledwośmy wrócili do domu, zaraz zjawił się mój druh Antoni z zasmuconą miną i poinformował mnie z żalem, iż mimo wstawiennictwa mistrza Marencjusza oraz doktorów Pikusa i Foksa, rektor Glicjusz postanowił nie tylko nie dopuścić mnie do egzaminu bakalarskiego, ale i relegować z akademii za uporczywe lekceważenie powinności związanych ze studiowaniem z jednej strony i nauczaniem żaków jako *magister artes* z drugiej. Co było prawdą, niestety, zwłaszcza zaniedbywanie żaczków od świętego Rocha wyrzucałem sobie sam, choć akurat lekcji z nimi starałem się nie opuszczać.

– Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze – rzuciłem z wesołą pewnością, której wcale nie czułem, i klepnałem zacnego druha w plecy, zachęcając do wspólnego osuszenia flaszki wina, niezawodnego remedium na wszelkie turbacje.

Zatem pięknego majowego dnia w odświeżonej todze i wypucowanym birecie zjawiłem się w Collegium Maius, gdzie panował podniosły nastrój związany z wizytą królewską. Król już wcześniej przywrócił uniwersytetowi utracone przywileje i nadał prepozyturę Świętego Floriana na Kleparzu, teraz zaś nawiedził akademię z całym

orszakiem. Nie chciano mnie wpuścić do librarii, którą król właśnie oglądał, składając własnoręczny podpis w księdze wpisów, ku wielkiemu ukontentowaniu rektora Glicjusza i nieodstępującego go na krok mistrza Marencjusza. Lecz karzeł Krasowski, widząc zamieszanie, interweniował, i dzięki temu mogłem wysłuchać nie tylko dziękczynnej mowy rektorskiej, ale i odpowiedzi króla, tłumaczonej na łacinę przez Pibraca, w której znalazła się także wzmianka o mojej skromnej osobie jako głównym sprawcy owej uroczystości, co było doprawdy grubą przesadą, lecz zwróciło na mnie oczy wszystkich obecnych, tak iż miałem ochotę zapaść się pod ziemię. Ale jakoś przeżyłem. Nie było też więcej mowy o usunięciu mnie z akademii, jednak aż do początku czerwca na wszelki wypadek starałem się nie omijać żadnych zajęć i znów byłem wzorowym scholarem. Do czasu...

Najnowsza kochanica Czeczotki była ładna, lecz głupia i mimo młodego wieku zepsuta do szpiku kości, w czym przypominała moją nieżyjącą siostrę Dorotę. Z trudem się powstrzymałem, by nie dać jej w bezczelną gębę, gdy puszczała mimo uszu to, co jej kładłem do pustej łepetyny... Tak, przyszedł do niej z propozycją. Oczywiście, że ją odrzuciła, za kogo ją mam! W ostatniej chwili ugryzłem się w język, by na to nie odpowiedzieć. Czy pojmuje, jak się ma odtąd zachowywać? Pewnie, że pojmuje, przecież nie jest głupia. Czy rozumie, że jeśli uczyni coś nie tak, to powyrywam jej nogi z... i pokiereszuję gorzej od morderza? Hi, hi, może zamiast straszyć, bym ją wychędożył? Tak dawno tego nie robiła, że da mi za darmo, byle się burmistrz nie dowiedział. Dopiero gdy jej zagroziłem, że mu wyjawię, jaką propozycję mi uczyniła, i że skończy się zbytek, jakim ją otacza, nareszcie poszła po rozum do głowy, spotulniała i obiecała, co do joty stosować się do wskazówek.

Sterczeliśmy tu zatem trzecią noc. Co dzień o zmierzchu młody odźwierny Tomek, nasz nowy chłopak do wszystkiego, którego tamten nie znał, zamknawszy drzwi wejściowe, wychodził, rzekomo na pijaństwo, i wracał dopiero nad ranem. Co wieczór, punkt dziesiąta, przy niezasłoniętym oknie, za to w dobrym oświetleniu, służąca w wielkim czepcu pomagała dziewczce się rozdziać, kładła ją do łóżka, gasiła świece i szła do siebie na pięterko, gdzie parę minut potem także gasło światło. To ja byłem tą służką. Powtarzaliśmy to *spectaculum* już po raz trzeci (odkąd dziewczka wyjawiała mi, że ją zaczepił podczas robienia zakupów na Rynku), a zapowiadało się, iż wcale nie ostatni. Siedziałem w ciemności na półpiętrze, oczy mi się kleiły i diabli brali. Ostatnimi czasy powziąłem przekonanie, iż profesja inwestygatora to jedno wielkie czekanie z paroma krótkimi przerwami pomiędzy. Czekając na łotrów z Zakonu Syjonu, przynajmniej mogłem się skryć za murem i trochę poruszać, tu bałem się nawet głośniej odetchnąć. Wiedziałem, że morderca jest niesłychanie czujny i przebiegły, każdy szelest mógł go spłoszyć, a wówczas musielibyśmy wszystko zaczynać od początku. Dlatego nie odważyliśmy się zostawić nikogo na zewnątrz w bliskości, bojąc się, że szósty zmysł ostrzeże naszą zwierzynę. Cóż, przynajmniej pozbyłem się idiotycznego czepca i niewieścich sukien, w których udawałem służkę;

zawszeć to coś.

Zegar na wieży wybił pierwszą po północy. Niedługo potem usłyszałem delikatny stuk na dole i strumień chłodniejszego powietrza dotarł do mojej kryjówki. W momencie odechciało mi się spać. Szarpnąłem cienką nić, która schodami i przez szparę w drzwiach biegła aż do łoża dziewczki, i wstrzymałem oddech. Był naprawdę cichy. Gdybym nie wiedział, że tam jest, nie usłyszałbym nic. I tak raczej wycucie niż słuch powiadomiło mnie, że otwiera drzwi do sypialni i pozostawia je niedomknięte. Zacząłem schodzić po schodach. Dziki ryk zastał mnie w połowie drogi. Ryzykując złamanie karku, przeskoczyłem ostatnie stopnie i wpadłem do izby...

Hutman Trojan właśnie wyszedł z wnęki na odzienie i zapalił latarkę. W jej słabym świetle ujrzałem burmistrza Czeczotkę gramolącego się z wielkiej staroświeckiej skrzyni z wiekiem na kształt oślego grzbietu. Początkowo nie godziłem się na jego udział w zasadzce, ale się uparł, więc teraz miałem zabawę, widząc, że utknął w skrzyni niczym korek w butelce. Lecz inny widok – dwóch ciał wrzeszczących i kotłujących się w śmiertelnych zmaganiach na wielkim małżeńskim łożu – nie nastrojał do zabawy.

Blond peruka przekrzywiła się Stachnikowi na ucho, nocne gieżło miał rozdarte na piersiach, nie wyglądał już ani na dziewczkę, którą udawał, ani nawet na Zubapięknisia i trzymał usiłujące go udusić ręce z dala od swej szyi, ale wyraźnie słabł, gdyż napastnik, siedzący na nim okrakiem, był od niego o wiele cięższy, większy i silniejszy. Rzuciłem się na pomoc, lecz na oślep i to był duży błąd. Zbrodniarz zerknął wstecz i wierzgnął okutym botem. Trafił mnie w środek piersi i odrzucił w stronę drzwi, w których ujrzałem zaciekawioną dziewczkę z lichtarzem w dłoni.

– Wynocha z powrotem na górę, ale już! – ryknąłem, ona zaś wrzasnęła z przestachu i pomknęła po schodach tak rączo, że aż pogasły jej świece.

Tymczasem burmistrz wygramolił się w końcu ze skrzyni i też zapalił latarkę. Uczyniło się jaśniej. Morderca, zorientowawszy się w naszej przewadze, podjął próbę ucieczki. Silnym ciosem w podbródek oszołomił Żółkiewskiego, po czym wyjął coś z cholewy, cisnął w moją stronę i rzucił się ku otwartym drzwiom. Mocne uderzenie w żebra odebrało mi dech, gdyż łotr trafił w to samo miejsce, co wprzód Plantard. Być może zbrodzień zdołałby zbiec, bo mogłem jedynie patrzeć bezradnie, jak bieży ku wyjściu, Staszek potrząsa obolałą głową, a burmistrz stoi w miejscu z rozdziawioną gębą równie żwawy i użyteczny jak żona Lota. Kulawy hutman nie miał możliwości dogonić zbiega, ale uczynił rzecz dziwną: trzymaną w dłoni laskę cisnął niczym oszczep. Trafił mordercę w środek pleców. Pod łotrem ugięły się kolana i upadł na progu. Co prawda zaraz pozbierał się, lecz Trojan już przy nim był, jak na kalekę, i to nie najmłodszego, poruszając się całkiem szybko i zwinnie. Podniósł laskę, która okazała się granatem (dlatego była taka ciężka i sposobna do rzucania), szarpnięciem wy dobył z niej długi sztylet bez jelca i przystawił do gardła zbrodniarza.

– Uspokój się albo zarznę jak bydlę, którym jesteś! – warknął z taką nienawiścią

w głosie, że chyba nikt, z łotrem na czele, nie wątpił, że stary justycjariusz tylko czeka na okazję, by spełnić groźbę.

– Mój Boże... Nie mogę dać wiary... – mamrotał Czeczotka, stojąc jak wryty z latarką uniesioną ponad głową i z niedowierzaniem patrząc w oczy mordercy.

– To nie tak... Wszystko wytłumaczę... – wymamrotał Praszka zwany Siekierą, pachoł Czeczotki, jego fagas i faktotum do specjalnych poruczeń.

Jęcząc i trzymając się za obolałą szczękę, gwałtownym gestem ściągnąwszy z głowy zwisającą perukę i rzuciwszy ją ze złością na pawiment, zbliżył się ku nam Żółkiewski. Schylił się i podniósł przedmiot, który Praszka we mnie cisnął.

– U licha! To dłuto! – zawołał zdziwiony. – Przebóg, jesteś ranny Kacprze?!

– Nie – odparłem, wstając i macając się po żywocie. – Choć chyba mam złamane zebro. To mnie ocaliło – uniosłem kaftan, by wszyscy zobaczyli kolczugę najprzedniejszej saraceńskiej roboty, którą za ciężkie pieniądze załatwił mi mój brat Andrzej. – Przewrotny zawždy ubezpieczony.

Staszek zapalił wszystkie świece w komnacie, wprzód podchodząc do okna i lichtarzem dając umówiony znak Szarskiemu, który wraz z pachołkami miejskimi czatował w oddali, mając całkowity zakaz interweniowania, zanim nie zostanie wezwany. Hutman szarpnął Siekierę za kołnierz i postawił do pionu, ten zaś natychmiast, patrząc na Czeczotkę, zaczął jęczeć i tłumaczyć, że to jakaś pomyłka, że trafił tu przypadkiem i...

– Ejże – zawołałem. – Łap!

Odruchowo wystawił rękę i pochwycił przedmiot, który mu rzuciłem.

– Widzicie, waść – rzekłem do hutmana. – Pochwycił go lewicą. My zaś szukamy morderza lewo lub oburęcznego.

– Coś mu dał? – zaciekał się burmistrz.

– Guzik. Wydarła go swemu zabójcy ostatnia zamordowana dziewczka – odparłem.

– Śmiało, Praszka, przymierz go, stąd widzę mamie zacerowaną dziurę w twoim kaftanie, do której przypasuje jak ulał.

Spojrzał na mnie tak, że gdyby wzrok mógł zabijać, właśnie wstrząsałyby mną przedśmiertne drgawki. Tymczasem podszedłem do skotłowanej pościeli na łóżku i wyjąłem stamtąd flaszkę wina.

– Oto kolejny dowód. Poszukiwany przez nas morderz zawždy przynosił ze sobą wino, po wszystkim wypijając je ze smakiem. Staszku, sprawdź podeszwy jego botów. Jeśli ich nie zmienił, na jednej powinna być blaszka odłamana na końcu.

Siekiera wierzgnął, gdy Żółkiewski przybliżył się ku niemu, ale Stachnik bez ceregieli kopnął go w kolano i już bez turbacji sprawdził, co należało.

– Na prawej. Na domiar brakuje w niej środkowego gwoźdźca.

– Zgadza się. *Demonstratio ad oculos* [152]. Taki sam ślad znaleźliśmy u Waliszewskiej. To przesądza sprawę. Mości hutmanie, bez żadnego *dubium* mamy właściwego człeka – rzekłem.

Pokiwał głową i dał znak Matuszowi oraz dwom drabom miejskim, którzy z nim właśnie przybyli, by zakuli więźnia w łańcuchy.

– Praszka! – zawołał Czeczotka, trąc czoło w niedowierzaniu. – Człowieku! Jak to może być?

– Wystaw sobie, Rozmus – odparłem za zbrodniarza, który nie podniósł głowy – że ten łajdak był ci do tego stopnia oddany, tak cię podziwiał i pragnął naśladować, iż zawsze miał oskome na dziewczki, które chędożyłeś. Cierpliwie czekał, aż ci się znudziły, i wtenczas zaczynał się im naprzykrzać. Ale one go wyśmiewały. Bo naszemu Praszce kuśka nie chciała stawać, nim wprzód nie skatował dziewczki. Wszystkie ladacznice o tym wiedziały i unikały go jak zarazy. Sprawdziłem to w wielu zamtuzach w Krakowie, jak tylko zacząłem go podejrzewać...

– Byłem głupi i ślepy – przerwał mi Trojan. – Sam powinienem się domyślić, jak tylko znaleźliśmy narzędzie zbrodni. Praszka był kiedyś moim czeladnikiem w czasach, gdy prowadziłem warsztat stolarski. Lubił rzeźbić figury z drewna, więc zamykając warsztat, podarowałem mu kilka dęt. A jak tyś na to wpadł, że to on?

– Sam waszmość odkryłeś, że wszystkie zamordowane w ten sam ohydny sposób były kochanicami Rozmusa – machnąłem w stronę Czeczotki – które ów porzucił. A kiedy podczas ostatniego mordu sprawca omal nie został złapany, zniknął w pobliżu domu burmistrza, jakby się zapadł pod ziemię. To dało mi do myślenia.

– Zabierzcie go do lochu! – polecił hutman swoim ludziom.

Milczący dotąd zbrodzień podniósł łeb i spojrzał na mnie pociemniałymi z nienawiści ślepiami.

– Może zaciekaw cię, kogo zabiłem najpierw, panie wszechwiedzący? Twoją siostrę Dorotę, ty przemądrzały łotrze!

Poczerwieniałem i doskoczyłem do niego, ale Szarski i Żółkiewski uwiesili mi się u ramion i powstrzymali.

– A tak! – ciągnął. – Wszystko zaczęło się przed laty, tej nocy, gdy razem z nim – kiwnął w kierunku Trojana – czekaliśmy pod domem magistra Wolskiego, szlakując za tą dziewczką na życzenie pana burmistrza. Potem hutman poszedł, a ja zostałem. Nie wiem po co, może aby sobie imaginować, jak oboje baraszkują... – uśmiechnął się obleśnie i przejechał językiem po wargach. – Już miał zębem się zbierać, gdy wtem ona wybiegła na zewnątrz, całkiem goła... Na mój widok wrzasnęła i cofnęła się do domu. Poszedłem za nią... Wolski leżał spity jak świnia, bez przytomności... Powiedziała, że rzucił w nią nożem, lecz chybił. I w rzeczy samej, taki osobliwy nóż leżał koło drzwi... Chciałem ją pocieszyć, objąłem... Ale ona odepchnęła mnie i zaczęła szydzić z mojej, z mojego... Jak każda z nich! – poczerwieniał. – Tom ją pchnął nożem podjętym z pawimentu. A potem zwyczajnie odszedłem.

– Jezus Maria! – wychrypiałem wstrząśnięty. – A biedny Franciszek dał za to głowę! A co gorsza, poszedł na śmierć w przeświadczeniu, że popełnił tę zbrodnię! Kazaleś stracić niewinnego, Czeczotko, ale i ja przyłożyłem do tego rękę... Zabierzcie go, bo nie ręczę za siebie!

Przez następne kilka dni dochodziłem do siebie, codziennie chodząc na cmentarz, modlić się u grobu Franciszka, a przy okazji Jaśka, którego pogrzebaliśmy w marcu; miałem wyrzuty sumienia, bom już nieco zapomniał o tej powinności. Nie mogłem oswoić się ze straszliwą wiedzą, że nieszczęsny magister został stracony nie tylko bezprawnie, lecz za zbrodnię, której nie popełnił. Dopuścił się innej, podczas wojaczki w Inflantach, także w pijanym widzie. Dlatego gdy nieco przetrzeźwiał i zobaczył trupa Doroty, przypisał sobie sprawstwo i usunął wszystko, co mogłoby ujawnić prawdziwego mordercę. Uczynił to tak skutecznie, że i ja uwierzyłem w jego winę. Dopiero wówczas nieco mi ulżyło, kiedy kilka razy dałem w kościele za spokój jego duszy. Miałem za co, bo Czeczotka wywiązał się z obietnicy i przez umyślnego przysłał mi setkę dukatów. Wziąłem je, połowę wdusiłem Staszкови za pomoc w pochyceniu mordercy, drugą zostawiłem u duchaków; za taką sumę świętej pamięci Franciszek miał zapewnione modły zacnych braciszków przez cały pobyt w czyśćcu.

Potem dowiedziałem się, że na kwaterze Siekiery znaleziono tyle przyszpilonych do drzwi łątek, ile dziewczek zamordował, a każda miała prawdziwe włosy ucięte ofiarom. Ostatnia figura leżała na stole niewykończona... Zabójstwo Doroty, odmienne od pozostałych, bo dokonane bez namysłu, odruchowo, obudziło w nim najgorsze instynkty i nakłoniło do późniejszych zbrodni, które dzielił od siebie coraz krótszy dystans czasowy, zaplanowanych i z powtarzającymi się elementami. Ciekawe, że jednym z nich było usiłowanie rzucenia podejrzenia na osobę bliską ofierze, tak jak było w przypadku szewca-pijanicy. Niewątpliwie koncept ów narodził się wtedy, gdy za mord na Dorocie odpowiedział Wolski. Wówczas był to przypadek, szczęsny (nie dla magistra) traf, potem zbrodniarz już rozmyślnie starał się pomóc fortunie i czynił to z dobrym skutkiem, skoro tyle czasu uchodziło mu to na sucho.

Praszka nie stanął przed sądem. Tuż przed rozprawą, a zaraz po wizycie burmistrza Czeczotki, znaleziono go martwego w kabatach. Popełnił samobójstwo. Przez obdarcie ze skóry. Trochę mnie to zdziwiło, ponieważ nieczęsto ludzie w ten sposób pozbawiają się żywota, nawet jeśli mają odpowiednie narzędzia. Zwłaszcza gdy bezskutecznie wysiłał imaginację, jak można zedrzeć sobie skórę z pleców, ale byłem ostatnim, który podawałby w wątpliwość oficjalne oświadczenie małodobrego, szczególnie iż pozostali zainteresowani wyglądali na zadowolonych.

– No, Kacper – powiedział Trojan, gdy na jego życzenie zawitał na ratusz, klepiąc mnie w plecy – możemy sobie wzajem powinszować. Już po wszystkim. Usunęliśmy z miasta dręczące je demony. Jednego wszak nie udało nam się wyświecić i już chyba nie uda. Sprawy z upiorem rycerza Szafránca. Widać zaiste nadprzyrodzona to rzecz.

– Mówcie za siebie, hutmanie.

– Jak to? – zdumiał się.

– A tak to – i opowiedziałem mu, com zobaczył w lochach pałacu Zborowskich, dodając na zakończenie: – Wpierw mniemałem, iż sprawa rzekomego upiора upadła z chwilą opuszczenia kraju przez Samuela, który rzecz całą, w co nie wątpię, obmyślił,

dlatego duch Szafrança po jego wyjeździe przestał nękać miasto. Ale ponoć niedawno znaleźliście urżnięty łeb niejakiego Jednookiego, bieguna. Tedy inny z braci podjął krotofilę, tuszę iż „Krzychnik niecnota”. A co do Samuela: ów makabryczny koncept, jak sądzę, przyszedł mu do łba po zamordowaniu chłopca Królika, gdy jego ludzie, a może i on sam, sponiewierali odciętą głowę nieszczęśnika. Potem zabawiał się polowaniem na bezdomnych, torturowaniem ich, pozbawianiem głów i podrzucaniem tychże przypadkowym przechodniom w ciemne noce.

Milczał, rozważając moje słowa, po czym rzekł:

– Chyba masz rację. Królik zginął, jak dobrze pomnę, gdzieś z końcem października siedemdziesiątego drugiego roku, a niedługo potem, jak pamiętasz, moi ludzie znaleźli w pewną paskudną noc fura Michnika Lepką Rączkę oszalałego i tulącego do piersi oberżniętą głowę jakiegoś nieboraka. Ponieważ wszystkie głowy wkładaliśmy do słoików ze spirytusem, licząc, iż kiedyś ktoś je rozpozna, w istocie tak się niedawno stało także i w przypadku tamtej głowy. Ponoć należała do odźwiernego Zborowskich, który, czymś im się naraziwszy, został rzucony niedźwiedziowi na pożarcie. Tuszę, iż tej samej bestii, której ścierwo nocny ront naszedł, bodaj w listopadzie siedemdziesiątego drugiego, przed kamienicą Szarą. Wszystko się zgadza.

W oczach stanęło mi raptem jak żywe starcie z rozszalałym zwierzem, Zborowskim i jego zbirami.

– I co z tego, że wiemy, kto udaje upiora? – hutman pomarkotniał. – Nawet jeśli dostarczylibyśmy niezbite dowody, zaśmieją się nam w nos. Ze Zborowskimi, z których jeden jest na domiar wojewodą, nie sposób wygrać, ty powinienes o tym wiedzieć najlepiej, więc nawet szkoda o tym wspominać burmistrzowi. Trudno, musimy czekać, aż im się to znudzi. Nie lza ich tknąć nawet palcem.

– Niekoniecznie – rzekłem. – Spróbuję coś wymyślić.

– Oby ci się udało, będę czekał niecierpliwie. Aż mnie ręce świerzbią do rozprawy z tymi łotrami, co tak szpetnie zadrwili sobie z nas wszystkich. Wyjaśnij mi tylko jeszcze, mądralo, bo nadzwyczajny wzrost rzekomego upiora łącno wytłumaczyć, czemu świadkowie zgodnie powiadają, że poruszał się bezgłośnie, jakby płynął w powietrzu. Jak to możebne?

– Zastanawiałem się nad tym. To proste. Zdjął koniowi podkowy i obwiązał kopyta szmatami. Na dodatek zawsze wyruszał w niespokojne noce, kiedy szum deszczu, wycie wiatru, plusk płynącej rynsztokami wody albo grzmoty piorunów zagłuszały inne odgłosy. Wszystko sobie dokładnie obmyślił. Jeśli chodzi o łajdactwo, Samuel jest niewyczerpaną skarbnicą konceptów.

Jeszcze tego dnia rozpocząłem przygotowania. Obgadałem sprawę ze Staszkiem, wysłałem Niziołka na Kleparz do znajomego roztrucharza Koniara, a potem do najbliższego lasu, od cioteczki wyłudziłem cztery najgorsze prześcieradła, dziewczki służebne zagoniłem do barwienia i szycia, po czym razem z Zubem poszedłem do ratusza pogadać z Trojanem i Szarskim. Mój koncept przypadł im do gustu. Na

szczęście nie wywieźli jeszcze truchła Praszki na niepoświęcony cmentarz złoczyńców poza miastem. Na koniec odwiedziłem szwagra i kupiłem u niego garść lontów i baryłkę prochu, który spreparowałem w swojej izdebce. Teraz pozostało jedynie wszystko detalicznie obmyślić i czekać na pierwszą bezksiężycową i brzydką noc. Miałem pewność, że „upiór” też na nią czeka, ponieważ Garbus powiadomił mnie o zniknięciu kolejnego wagabundy, niejakiego Siwego, i pytał, jak długo jeszcze potrwa ten proceder, bo jego ludzie tracą cierpliwość i gotowi uderzyć na Zborowskich, choćby mieli to przypłacić życiem. Pocieszyłem Króla Żebraków, że Siwy był już ostatnią ofiarą rzekomego ducha rycerza Szafrança, i w istocie taką miałem nadzieję.

Kiedy odpowiednia noc nadeszła, byliśmy gotowi. Poprzedził ją wyjątkowo skwarny dzień, dlatego nikogo nie zaskoczyło, że pod wieczór zaczęło padać i zanosło się na burzę. Gdy na godzinę przed północą zajmowaliśmy stanowiska, burza szalała w najlepsze, choć jeszcze nie dotarła do miasta. Błyskawice przecinały niebo, lecz odgłosy gromów dobiegały z daleka. Pół godziny później lało już jak z cebra, a pioruny waliły wokoło jak salwy armatnie. W jednej chwili przemokliśmy z Niziołkiem do nitki. Miałem nadzieję *primo*, że czarna farba nie zmyje się z prześcieradeł, pod którymi byliśmy ukryci razem z głowami, a *secundo*, iż pachółki miejskie nie dopuszczą do zawilgocenia woreczków z prochem i krótkich lontów, w które były zaopatrzone. Hubki i krzesiwa kazałem im wcześniej umieścić w nieprzemakalnych saczkach. Chociaż nie był mi dziś potrzebny, uznałem, że na dal to dobry koncept i sobie też sprawiłem taki mieszek. O pakunek, który ścisakałem pod pachą, byłem spokojny, bom go owinął natłuszczoną skórą. Przybliżyłem do dziury w prześcieradle moje „jajco norymberskie” i w świetle błyskawicy zerknąłem na cyferblat.

– Gotuj się – mruknąłem do Niziołka. – Na pewno mnie utrzymasz?

Siedziałem bowiem na jego ramionach. Jedną ręką dociskał do swej szerokiej piersi moje nogi, drugą miał powodować naszym rumakiem. A było to bydlę wielkie jak słoń, największe jakim dysponował Koniar i największe, jakie widziałem w życiu. Chwalić Boga równie łagodne jak ogromne i bez turbacji dało sobą powodować. Wabił się stosownie: Kum.

– Nie bój nic. Myśl o swojej robocie – odparł wielkolud z urazą.

– Baczość! – zawołałem półgłosem. – Zaczęło się!

Staliśmy u wylotu Brackiej ulicy, mając stąd dobry widok na bramę pałacu Zborowskich. Równo z biciem zegara na ratuszowej wieży, wierzeje, widać solidnie naoliwione w zawiasach, rozwarły się bez jednego zgrzytu i wypadł z nich czarny jeździec bez głowy. A raczej z głową, jak nasze, ukrytą pod czarną płachtą. W istocie patrzył na olbrzyma, ale my byliśmy o wiele więksi.

– Teraz! – szepnąłem do Niziołka.

Zniecierpliwiony długim staniem, nasz wierzchowiec ruszył z kopyta i popędził wprost na „upiora”. Celowo nie owinąłem karemu kopyt szmatami. Chciałem, by

tamten zoczył nas zawczasu i zdążył przerazić tak, jak wcześniej sam straszył drugich. I w samej rzeczy, mimo grzmotów usłyszał nas i obejrzał za siebie tuż przed tym, nim zabiegliśmy mu drogę. Wolną ręką uszczypnąłem Niziołka, który wydał z siebie mrozący krew w żyłach rechot, dziwnie zniekształcony przez materię, ja zaś odwinąłem pakunek, ostatni raz bez żalu spoglądając na szpetny pysk Siekiery umazany żywicą, posypany fosforyzującym próchnem i jarzący się nieziemskim blaskiem, po czym z rozmachem cisnąłem świecąca głową w „upiora”. W tejże chwili zaczęły wybuchać ładunki miotane przez poukrywanych w bramach i za murem cmentarza Wszystkich Świętych pachołków miejskich. Były nieszkodliwe, ale czyniły dużo huk, dymu i rozbłyskały nie gorzej od błyskawic, a o to chodziło.

W jeźdźca jakby piorun strzelił (żałowałem, że nie naprawdę). Wrzasnął dziko, tym razem jak najbardziej ludzkim głosem, w którym brzmiało nieludzkie przerażenie, upuścił rzecz trzymaną w ręku, spiął konia i galopem popędził w stronę zamykanej właśnie bramy, rycząc na całe gardło:

– Nie zawierać! Otwórzcie, na Boga żywego! Upiór mnie goni!

Brama otwarła się, a po chwili zatrzasnęła z łoskotem, skrywając zbiega. Niespiesznie odjechaliśmy z powrotem w Bracką, zatrzymując się na skrzyżowaniu z Gołębią. Tu zląłem z Niziołka, a on z karego, popatrzyliśmy na swoje przebrania przez dziury w materii i jednocześnie roześmialiśmy na całe gardło. Akurat, gdyśmy zrzucili z siebie czarne szaty okrywające nas razem z głowami, dołączyły do nas pachołki na czele z hutmanem i Stachnikiem, którzy dowodzili pospołu, i razem śmialiśmy się do rozpuku, choć burza bynajmniej nie ustała, wciąż hucząc wokół, a z nas wszystkich woda ściekała strumykami.

– Udało się! – radował się hutman, waląc nas obu z Zubem z rozmachem po plecach. – Mniemam, że upiór rycerza Szafranca szybko nas nie nawiedzi. Czmychał, aż miło było patrzeć. Spisaliście się wybornie, ale moi ludzie nie gorzej.

– Widzę, że wam wesoło – rzekł Matusz Szarski, który nadszedł dopiero teraz. – Nie ciekawi was, co zgubił nasz upiór?

Wyciągnął w naszą stronę trzymaną za długie kudły odciętą brodatą i kudłatą głowę o zupełnie posiwiałych włosach.

– Ja go znam – odezwał się jeden z pachołków. – To żebrak. Nie wiem, jak go wołali, alem go czasem widywał u fary Mariackiej.

– Siwy – odparłem. – Zaginął przedwczoraj.

– Chwała Bogu, żeśmy ukrócili ten niecny proceder – powiedział Trojan, poważniejąc. – Choć to jeno żebrak, a drugie ofiary też pewnie były nie lepsze, nie godzi się mordować ludzi z pustoty, a tym bardziej pastwić nad umarłymi.

Następne dni i noce upłynęły nareszcie spokojnie i ludzie powoli zaczęli zapominać o wilkołakach i upiorze bez głowy. Co innego ich zajęło. Jeszcze przed Bożym Ciałem rozeszła się wpierw po Wawelu, a potem po całym mieście wieść, jakoby małe ptaszę, *regulus* zwany strzyżykiem, obwiesił się na nitce, którą sam przyniósł do gniazda podwieszzonego u tragarza na ganku przed oknem królewskim.

Źle z tego wróźono i zaraz zaczęto szeptać, że brat króla Henryka, król francuski Karol IX, jest umierający, jeśli już nie umarł. Wielcy panowie nie dopuszczali do siebie myśli, by król Henryk miał rychło wyjechać do ojczyzny, lecz baby na Rynku gadały o tym otwarciu i traktowały jako pewnik. Na dworze królowy Hanny, wiedzieliśmy o tym od Janki, która wciąż zaglądała do gospody po zaopatrzenie dla dworu infantki, działa się jeszcze gorzej niż wprzód. Już nie tylko niedostatek, ale i rozpacz zaczęła gnębić królową, która nareszcie pojęła, że jej plany małżeńskie były pisane palcem po wodzie.

Aż tu raptem, jak grom z jasnego nieba, gruchnęła nowina, że król zdecydował się wydać w Ogrodach Królewskich na Półwsiu Zwierzynieckim wielki bal na cześć infantki, podczas którego nareszcie zamierzał się oświadczyć. Całe miasto mówiło już tylko o tym. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na dworze królowy zapanowało wesele i radosne ożywienie.

ROZDZIAŁ 12 | RAPT

Kraków, czerwiec 1574 roku

– Ejże, du Guast! Spójrz!

Karzeł Krasowski podał mu znaną rzecz. Od wielu dni myszkował po izbach, z racji mikrego wzrostu nie rzucając się w oczy i dlatego właśnie du Guast jego o to poprosił. Aż do teraz efektu wszak brakowało i już był gotów przyjąć, że zrobił się przeczulony. List od Cheverny'a, wzmianka o woskowej figurce znalezionej u de la Môla i nawroty bólów głowy króla kazały jego podejrzliwej naturze szukać kolejnego zdrajcy w najbliższym otoczeniu Henryka. Teraz zdobyli pewność.

– Który z nich?

– Bussy.

– *Par la mort Dieu!* [153] Czuję, że to będzie on! – obracał w rękach ukoronowaną kukielkę, pełną nakłuć na całym ciele i z poobijaną główką. – Sukinsyn przeszedł na stronę Franciszka d'Alençon!

– Co teraz? Powiemy królowi?

– Na razie nie, po co go niepokoić. Kto wie, co łotr knuje. Trzeba go śledzić. Tylko ostrożnie, bo jak się zorientuje, że został zdemaskowany, stanie się nieobliczalny.

– A co z figurką? Zniszczyć?

– Nie, bo się połapie. Trzeba ją odnieść z powrotem.

– Ale jego królewską mość głowa boli coraz bardziej. A jutro bal.

– Tedy zrób coś, by ta łątka już mu nie szkodziła. Ostatecznie jesteś czarnoksiężnikiem czy nie?

Kraków, czerwiec 1574 roku

Stała przed lustrem i szykowała się na jutrzejszy bal, równie podekscytowana jak inne dwórki, choć nigdy by się do tego nie przyznała; a jednak było to wydarzenie ekstraordynaryjne, podniecające i jakże odmienne od codziennej monotonii. Jak upiąć włosy? Co wdziąć? Które trzewiki wybrać? Tak ją to zajęło, że początkowo nie usłyszała pukania.

– Proszę.

Wszedł, zamykając za sobą dokładnie drzwi, wiedział bowiem od niej, że ochmistrzyni lubi wystawać z okiem i uchem przy dziurce od klucza. Ukłonił się, dworny jak zawsze.

– Staś! Jakem rada cię widzieć. Wybierasz się jutro na bal?

– Nie dostałem zaproszenia.

– Mogę się dla ciebie wystarać. I dla Kacpra też. Co się z nim dzieje? Odkąd wyzdrowiał, unika mnie w domu jak diabeł święconej wody. Tutaj też nie zaglądał od tamtej pory ni razu. A chciałam mu podziękować, dopiero niedawno od pana Krasowskiego dowiedziałam się wypadkiem, że doprowadził do ujęcia Livarrota, zdrajcy i mordercy, który chciał mnie zabić. Chyba się na mnie obraził, bo kiedyś niesprawiedliwie zarzuciłam mu, że stchórzył przed Samuelem Zborowskim. Usiądź, co tak stoisz?

– Postoję – wymamrotał, w zachwycie podziwiając jej odbicie w lustrze. – Ja poniekąd w tej sprawie... Bo widzisz, Kacper powiedział mi coś, co o ile odpowiada prawdzie, uczyniłoby mnie najszczęśliwszym z ludzi, lecz lękam się...

– Cóżś taki tajemniczy? – zdziwiła się, bo rumienił się bardziej niż zazwyczaj i przestępował nerwowo z nogi na nogę. – Wykrztuś to z siebie nareszcie.

– A więc Kacper powiedział... Wyznał mi, że choć miłuje cię z dawna nad życie, usuwa się, nie chcąc stawać na drodze twojej fortunie, gdyż jego zdaniem wybrałaś mnie i jest to słuszny wybór. Powiedz mi zatem – w zdenerwowaniu wyłamywał palce, a z twarzy tym razem odpłynęła mu cała krew – zali nie mylił się i naprawdę zechcesz dać mi szczęście?

Zamarła z grzebieniem w uniesionej dłoni. Kiedy zaś znaczenie jego słów doszło do niej, pobladła jeszcze bardziej niż on. Przebiegło jej raptem przez głowę, ile zawdzięcza Kacprowi i jak często ratował jej życie, nigdy niczego nie żądając w zamian. Nigdy też nie wyznał jej miłości, lecz tego sama powinna się domyślić, gdyby bardziej słuchała swego serca, do którego teraz, odłożywszy grzebień, przyłożyła dłoń, wyczuwając, jak mocno bije.

– Tak powiedział? Tak uczynił? Och... – wyszeptała.

Pojął wszystko, lecz musiał mieć pewność.

– Miłuję cię, Joasiu, i dawno powinienem ci o tym powiedzieć. A ty?

Spojrzała nań niewidzącym wzrokiem.

- Żywię do ciebie przyjaźń, Stasiu, chyba w to nie wątpisz?
- Pragnę czegoś więcej.
- Zawsze będę cię uważała za najlepszego przyjaciela, ale tylko przyjaciela.

Uklonił się i wyszedł przygnębiony, jednak prawie tego nie zauważyła. Teraz wszystkie jej myśli zajmował Kacper. Mieli sobie tyle do powiedzenia. Tyle nieporozumień należało wyjaśnić. Boże, jak mogła być taka zaślepiona?! Koniecznie musiała się z nim spotkać. Lecz tego dnia było to niemożliwe, gdyż musiała razem z innymi dwórkami przygotować swą panią do balu.

Kraków, czerwiec 1574 roku

Wieczorne nabożeństwo już się skończyło. Ale ostatnie dewotki jeszcze leżały krzyżem przed głównym ołtarzem w farze Mariackiej albo klęczały, kiwając się w przód i w tył, waląc czołami w pawiment i na głos mamrocząc modlitwy, co nie przeszkadzało im w przerwach rzucać ukradkowych spojrzeń dwom mężczyznom zajmującym miejsca w murowanych stallach z brzegu prezbiterium.

– To musi się odbyć w czwartek – szepnął, nic sobie nie robiąc z ciekawości bab; miał na twarzy maskę i choć pewnie to ona głównie wzbudzała zainteresowanie, z drugiej strony wszak uniemożliwiała rozpoznanie, a na tym zależało mu bardziej.

– Dlaczego? – spytał tamten, bez maski, za to z kapeluszem wciśniętym głęboko na oczy; to także zapewne gorszyło dewotki i od razu demaskowało ich jako obcych, bowiem nawet szlachta polska w kościele zdejmowała okrycia z głów.

Wyjaśnił mu szeptem, kończąc tak:

– To doskonała, a bodaj jedyna taka okazja, że nikt nie usłyszy strzału, a nawet jeśli, to nie zorientuje się, skąd padł. Będziesz całkowicie bezpieczny.

– Owszem. Tylko czasu jest diablo mało.

– Dwa dni.

– Niecałe. Na szczęście już jako tako mogę się porozumieć w tym ich barbarzyńskim języku. Znam pewnego rusznikarza na Grodzkiej, który dobrze mówi po naszemu i ma wyborne strzelby. Pozostaje zatem tylko jedno...

Zrozumiał. Spodziewał się tego. Wyjął z zanadru pękata kieskę.

– Proszę, masz pan. Pięćset dublonów. Na bieżące wydatki powinno wystarczyć.

– Obiecano mi dziesięć razy tyle.

– I dostaniesz, po wykonaniu zadania. Tutaj, w piątek o zwykłej porze.

„Czekaj tatka latka” – pomyślał; na Kleparzu od dawna trzymał śmigłego wierzchowca i wszelkiej gotowizny potrzebował do ucieczki. Czuł przez skórę, że od pewnego czasu mają go w podejrzaniu; dziś też ktoś szedł za nim, ale udało mu się go zgubić, przynajmniej miał taką nadzieję. Najchętniej nie dawałby mordercy nawet tyle, lecz bał się, że wówczas tamten zwęszyłby podstęp. Zresztą i tak mu wszystko

odbierze. Zamierzał go zabić zaraz, jak ów wykona robotę – zawsze to lepiej, gdy nie ma z kogo wydobyć zeznań. Poza tym tak zostało ustalone z diukiem d’Alençon.

– Niech i tak będzie. Zatem do piątku – odparł Maurevel.

Nie ufał Bussy’emu d’Amboise, którego rozpoznał za pierwszym razem, choć ów zawsze zakładał maskę przed wejściem do kościoła. Ale nie obawiał się o swoje pieniądze; mieszkał na Kleparzu i wypadkiem wiedział, gdzie Bussy trzymał wierzchowca w stałej gotowości, a za okrągłą sumkę właściciel zajazdu obiecał powiadomić go, gdyby *mignon* wybierał się w drogę. „Znajdę cię choćby w piekle” – pomyślał, uśmiechając się zimno.

Kraków, czerwiec 1574 roku

Mimo iż wstał późno, był jeszcze zmęczony po wczorajszym balu. I to raczej nie wysiłek fizyczny go wyczerpał, bo mógł chędożyć lub przetańczyć kilka nocy pod rząd, tylko udawanie miłości do tej głupiej zasuszonej dziewicy, infantki. Zaszkoziło mu też wstrętne miejscowe piwo, bodaj owsiane, którym mu się dotąd odbijało. Pił je i jeszcze wychwalał smak (ohydny!), aby ostatecznie przekonać Polaków, że na dobre tu wrósł i doskonale się między nimi czuł. Bolała go głowa i brzuch, jednak wysłańca cesarskiego (i szwagra Zborowskich), humanistę Andrzeja Dudycza, pół Madziara, pół Włocha, dawniejszego arcybiskupa Pięciu Kościołów [154] na Węgrzech, obecnie wyklętego przez papieża szlachcica polskiego, przyjął natychmiast. Niecierpliwie zerwał pieczęcie i podał list Pibracowi, ponieważ był napisany po łacinie.

– *Sire* – rzekł uczony, szybko przebiegłszy pismo wzrokiem. – Wasz brat, król Francji, nie żyje. Umarł z końcem maja.

– *Le roi Charles IX est mort, vive le roi Henri III!* – zawołał du Guast, przyklękając przed królem i po raz pierwszy tytułując: – *Majesté!*

Henryk odprawił wszystkich, łącznie z posłańcem, którego wynagrodził cennym złotym i wysadzonym kamieniami łańcuchem zdjętym z szyi, i rzekł z wahaniem niezwykłym nawet dla niego, bo przecież od tygodni czekał niecierpliwie na tę nowinę:

– Powiedz mi, du Guast, co mam czynić? Honor wymaga, abym wypełnił tu oblig, którego się podjąłem, godząc się zostać ich królem...

– Makiawel ma i na to gotową odpowiedź – przerwał mu bezceremonialnie faworyt, nie pozwalając, aby niewczesne skrupuły zachwiały postanowieniem Henryka: – „Kiedy bowiem chodzi o ocalenie ojczyzny, nie wolno kierować się tym, co słuszne lub niesłuszne, litościwe lub okrutne, chwalebne lub sromotne” [155]. I tę: „Książę, a szczególnie nowy, nie może przestrzegać tych wszystkich rzeczy, dla których uważa się ludzi za dobrych, bowiem dla utrzymania państwa musi częstokroć

działać wbrew wierności, wbrew miłosierdziu, wbrew chęci bycia ludzkim, wbrew religii” [156]. Twoja ojczyzna to Francja, najjaśniejszy panie, ona jest w niebezpieczeństwie i to wobec niej jesteście powinni, ci tutaj sobie poradzą.

– „Każdy rozumie, że byłoby rzeczą dla księcia chwalebłą dotrzymywać wiary i postępować w życiu szczerze, a nie podstępnie. Jednak doświadczenie naszych czasów uczy, że tacy książęta dokonali wielkich rzeczy, którzy mało przywiązywali wagi do dotrzymywania wiary i którzy chytrze potrafili usidłać mózgi ludzkie, a na końcu uzyskali przewagę nad tymi, którzy zaufali ich lojalności” [157]. – też zacytował Makiawela Gonzaga de Nevers, jedyny obok du Guasta pozostawiony w komnacie i jedyny, który tamtemu dorównywał w cynizmie.

– Zatem...

– Zatem trzeba się gotować do ucieczki, lecz do ostatka trzymać rzecz w sekrecie – rzekł zdecydowanym tonem du Guast. – Szczęśliwie wielu naszych ludzi odesłaliśmy, jak tylko przyszły pierwsze wieści o kiepskim stanie króla Karola. Niech diuk de Nevers też natychmiast rusza przodem razem z de Retzem i przygotuje godne powitanie w Austrii i Italii, bo radzę wybrać raczej tę drogę niżli przez kraje niemieckie.

– Co ty na to, de Nevers?

– Zgadzam się z du Guastem.

– Tedy postanowione. Odwołajcie nasz udział w jutrzejszym strzelaniu do kura...

– Nie, to byłby błąd – wtrącił *mignon*. – Aby odsunąć podejrzenia, zgodnie z nauką Makiawela należy „w określonej porze roku zająć lud uroczystościami i widowiskami; ponieważ każde miasto podzielone jest na cechy lub inne zrzeszenia, powinien liczyć się z tymi organizacjami, brać niekiedy udział w ich zgromadzeniach, dawać przykład bycia ludzkim i łaskawym” [158]. Mamy oktawę Bożego Ciała, wzięliście już, *sire*, udział w uroczystej procesji, musicie wziąć także udział w dorocznych zawodach o miano Króla Ptasiego, jak obiecaliście. Nie możemy zawieść starszych bractwa strzeleckiego i całego miasta. Przeciwnie, trzeba zezwolić na uczestnictwo naszym ludziom i drugim dworzanom oraz szlachcie, zwłaszcza że latoś na cześć waszej królewskiej mości po raz pierwszy strzelanie ma być z rusznic, a nie z tych ich barbarzyńskich łuków i przestarzałych kusz.

– Zgoda, tak uczynimy – odparł, bo widowiska, za jedno kościelne czy świeckie, uwielbiał ponad wszystko i tego jednego nigdy nie musiał udawać. – Jest jeszcze jedna sprawa, du Guast. Wczoraj na balu znów widziałem tę czarną dwórkę doletniej dziewczicy. Delicje nie dziewczka. Muszę ją mieć przed wyjazdem, obiecałeś mi to dawno.

– Będziesz ją miał, wasza wysokość...

Kraków, czerwiec 1574 roku

Odemknął drzwi i wśliznął się do środka, starannie przekręcając klucz w zamku. Jeszcze by tego brakowało, aby ktoś go zaskoczył podczas roboty. Baszta była pusta, tak jak było umówione. Bussy d'Amboise wynajął ją za sto dukatów rzekomo w imieniu wysoko postawionych dworzan królewskich, którzy w spokoju, nie będąc narażeni na bliskość gawiedzi, chcieli obejrzeć widowisko. Nikt nie negował słuszności takiego pragnienia. Nie dostał jedynie kluczy do sklepów pod basztą, gdzie zgromadzono proch, kule i oręż dla członków cechu czapników na wypadek potrzeby; ale on miał własną broń, prochownicę i gloty w ładownicy. Kosztowało go to sporo, zwłaszcza dwa wyborne arkebuzy, które kupił u majstra rusznikarskiego na Grodzkiej. Pogładził pieścotliwie lufy strzelb stojących w kącie, gdzie zostawił je zeszłej nocy. Wczoraj poznał nową broń, wyjechawszy kawałek za miasto na jakieś odludzie i cały dzień strzelając do rozmaitych celów, ale zawsze z tej samej odległości. Zabrał arkebuzy i wspinał się po schodach na najwyższą kondygnację baszty. Nabił strzelby wyjątkowo starannie, po czym otworzył małe okienko wychodzące na celestat i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Niezliczone tłumy obsiadły i obstały mury pomiędzy bramą Mikołajską, gdzie stali strzelcy, a basztą Barchanników, gdzie ulokowano cel, oraz samą bramę i zapewne basztę (miał ją za plecami, więc nie chciało mu się sprawdzać, nie miało to bowiem żadnego znaczenia). Na podwyższeniu, czyli majestacie, ustawiono tron dla króla. Zasiadał na nim w otoczeniu najbliższych dworzan oraz rajców miejskich na czele z burmistrzem. Wystawił pośliniony palec na wiatr i ocenił odległość. Miał do celu około pięćdziesięciu kroków, czyli dokładnie tyle, ile się spodziewał. Był tu wcześniej, gdy budowano *theatrum*, i sprawdził to, ponieważ niczego nie zostawiał przypadkowi. Broń też ostrzelał pod kątem takiego właśnie dystansu. Musiał jedynie wziąć lekką poprawkę na wiatr i pamiętać, iż ten sztuciec nieco znosił w lewo.

Oparł koniec lufy na parapecie i przymierzył. Dobrze, doskonale. Być może nie będzie trzeba poprawiać drugim strzałem. A potem – na łeb na szyję po schodach, na ulicę i szukaj wiatru w polu! Zanim zorientują się w zamieszaniu, skąd strzelano, i dobiegną do baszty, on będzie daleko. Praca w kraju, gdzie nigdy skrytobójczo nie zamordowano panującego i dlatego nikt nic nie podejrzewał i nie przedsiębrał środków zapobiegawczych, była prawdziwą gratką dla profesjonála. We Francji w podobnej sytuacji już dawno sprawdzono by wszystkie wysokie budowle w okolicy, po czym obsadzono wojskiem na wszelki wypadek.

Przyłożył oko do lufy i delikatnie ruszył cyngla, ale odjął palec, gdyż oślepił go błysk słońca. Powtórzyło się to jeszcze dwa razy, w tym raz ktoś zasłonił króla, lecz nie pozwolił sobie na irytację, która mogła go zdekoncentrować. Założył okulary o zielonych szklach. Teraz słońce mogło sobie świecić. Musiał trafić w głowę, bo z tak

daleka tylko takie trafienie gwarantowało śmiertelny skutek. Wreszcie doczekał idealnego momentu. Palec zaczął mu się zginać na cynglu...

Kraków, czerwiec 1574 roku

– Joanno! Bądź tak dobra i zanieś to mojemu synowi, który po balu coś niezdrów, nieborak...

Żachnęła się i już miała odburknąć, że nie jest służącą na usługach rodziny Żalińskich, lecz zdusiła w sobie bunt, zwłaszcza iż ochmistrzyni była wyjątkowo miła, wręcz przymilna, a nie opryskliwa jak zwykle. Wzięła więc brytfannę i zaniósła do wskazanej izby, po drodze wciągając w nozdrza smakowite zapachy wydobywające się z ciepłego naczynia. To ją znów zezłościło, gdyż wszystkie, łącznie z królową, wprost nie dojadły, ale pani starsza zawsze znalazła w spiżarni jakiś smaczny kąsek dla swego ukochanego synalka, który dzięki takiemu postępowaniu wyrósł na nicponia przeświadczonego, że wszystko mu się należy.

– Co tam? – rozległo się zza drzwi, gdy zapukała.

– Jadło – odparła, nacisnęła klamkę i weszła.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ktoś wyjął jej z rąk brytfannę, ktoś drugi wepchnął knebel do ust, a trzeci pochwycił od tyłu i unieruchomił. Nim narzucili na nią jakiś worek, związali ciasno i ponieśli w nieznane, kątem oka zdołała dostrzec, jak Janek Żaliński z zadowoloną miną liczył pieniądze, które wręczał mu zaufany króla i jego główny rajfur, Villequier. „Kacper, ratuj!” – pomyślała jeszcze i straciła przytomność.

Obaj ze Staszkiem dostaliśmy od króla zaproszenie na ów bal, acz prawie w ostatniej chwili. Dla Żółkiewskiego to był jeno zaszczyt i przyjemność, lecz dla mnie przede wszystkim turbacja. Ani nie miałem odpowiedniego stroju, ani dwornych manier, ani bladego pojęcia o tańcach obowiązujących na dworze. Jak ulał pasowała do mnie maksyma: *Nemo fere saltat sobrius nisi insanit* [159].

Mniemałem, że choć Stachnik będzie rad, ale w przeddzień balu wrócił z Wawelu przygaszony, po czym się upił, zdążywszy mi wprzód wyznać:

– Za parę dni wyjeżdżam. Nic tu po mnie, pora zaglądnąć w rodzinne strony, obaczyć, co słychać u ojca. Myliłeś się, Kacper. Ona mnie nie miłuje. Miłuje ciebie.

– Powiedziała ci to? – taki byłem wstrząśnięty, że aż rozlałem wino niesione do ust.

– Nie wprost, ale wystarczająco dobitnie.

Kiedy doszedłem do siebie, chciało mi się skakać i krzyczeć z radości. Z trudem się powstrzymałem, aby Stachnikowi nie przysparzać bólesci. W rezultacie spiliśmy się oba. I oba wybraliśmy się jednak na bal, który na szczęście zaczął się późnym

popołudniem. Wystroilem się w swoje najlepsze odzienie, by po przybyciu na miejsce poczuć się jak chudopachołek. Ogrody Królewskie, gdzie odbywał się bal, leżały poza miastem, na przedmieściu zwanym Półwsiem Zwierzynieckim, przy trakcie śląskim i zaraz za leniwie płynącą Niecieczą, która opodal wpadała do Wisły. Całe Półwsie było otoczone palisadą, miało dwie bramy i przecinała je na pół ulica zwana Wygodą, a to dlatego że tędy wiodła najkrótsza droga, jaką przemierzał orszak królewski, zdążając z Wawelu do letniego pałacu w Łobzowie. Tutejsze ogrody erygował król Kazimierz Wielki, lecz na modłę włoską rozbudowała i upiększyła przed półwieczem królowa Bona, między innymi po to by wyprowadzić z Wawelu cuchnący zwierzyniec, z lwami, lewartami i drugim dzikim zwierzem, założony jeszcze przez króla Jagiełłę, któremu parę lwów przysłali w darze Wenecjanie. Obecnie zwierzyniec zajmował jedynie nieznaczną część ogrodów, podobnie jak warzywnik, w swoim czasie oczko w głowie Bony, która z ojczyzny sprowadziła nieznaną dotąd w Polsce włoszczyznę.

Na północ od Półwsia ciągnęło się Błonie Zwierzynieckie, wielka podmokła łąka miejska, zaś na zachód należąca do klasztoru Norbertanek stara osada zwana Zwierzyńcem, gdyż kiedyś znajdowały się tu najbliższe łowiska królewskie. Pamiątką po tamtych czasach był drewniany zameczek myśliwski [160] położony w mocno przeredzonym już lesie i niszczący, gdyż królowie od dawna nie polowali w tych stronach, a w Puszczy Niepołomnej. Wszak jeszcze dalej na zachód, hen w górę Wisły aż po Śląsk, wciąż rozciągał się gęsty las zwany Facimiechem lub Chwacimiechem [161], dlatego że grasowali w nim zbójcy. Przekonał się o tym między innymi święty Jan Kanty, gdy napadli go wracającego od sióstr norbertanek i obrabowali. Pod klasztorem odbywał się sławny wielkanocny odpust Emaus i stamtąd wyruszał w oktawę Bożego Ciała pochód lajkonika na pamiątkę ocalenia Krakowa przed Tatarami przez zamieszkujących tutejszy brzeg Wisły włóczków *alias* flisaków.

Ledwo po okazaniu zaproszeń przepuszczono nas u bramy strzeżonej przez królewskich Szwajcarów i weszliśmy na Wygodę, ogarnął nas mnogi tłum płci obojga. Dobry Boże, takiego pokazu strojów wszelakich i przedziwnych nie widziałem, jak żyję! Było zupełnie, jak to opisał imć Łukasz Górnicki: „U nas tak wiele jest strojów, że im liczby nie masz, to po włosku, to po iszpańsku, po brunswicku, po uzarsku dwojako: staro i nowo, po kozacku, po tatarsku, po turecku drudzy; i drugie stroje są, których ja nie znam naprawdę” [162]. Albo jak w tym pisaniu pana Rejowym: „ony dziwne czuhy, ony falsaruchy, ony stradyjotki, ony z dziwnymi kołnierzami delije, ony żupany, ony rozliczne włoskie, iszpańskie wymysły, ony dziwne płaszcze, sajany, kolety, obercuchy, aż dziwno i straszno o nich mówić” [163].

Starsi, pamiętający jeszcze czasy Zygmunta Starego, radzi nosili włoskie sajany, czyli rodzaj kaftana przypominającego sięgającą do połowy uda fałdzistą suknię, z

szerokim kwadratowym wycięciem i bufiastymi rękawami. Do tego cienka biała koszula z małą kryzką koło szyi i dłoni, bufiaste spodnie, pończochy i płytkie pantofle. Matrony otaczające infantkę oraz panie rajcowe miały na sobie białe gieżła z wielkimi bufami na rękawach oraz suknie z usztywnionym stanikiem i doszytą fałdzistą spódnicą do ziemi z dodatkowymi poprzecznymi pasami wzorzystej tkaniny. Głowy okrywały dużymi czepcami, spod których wystawało zawicie *alias* podwika zakrywająca czoło, boki twarzy i podbródek. Na to zarzucony był biały rańtuch, to jest długi szal.

Młodzię, zwłaszcza francuska lub naśladowująca modę zachodnią, w tym sam król, najstrojniejszy ze wszystkich, nosiła się na wzór hiszpański. Ci mieli wamsy – sztywne, wutowane, obcisłe kaftany z krótkimi połami do połowy uda, zapinane na przodzie na szereg guzików, wykończone kryzami przy dłoniach i szyi (u mignonów ogromnymi); krótkie i nacinane marynasy z doszytymi do nich dzianymi pończochami oraz płytkie i ponacinane trzewiki, jak mawiali nasi szewcy: „botki siekane”. Na głowie wysokie birety ze strusim piórem. Było też paru zwolenników mody niemieckiej: w pludrach do kolan i kolistych płaszczkach.

Nasi młodzi szlachcice preferowali modę polską, która przysłała do nas z Turcji *via* Węgry. Owi mieli wysoko podgolone głowy z czubem i obwisłe wąsy, na gieżle długi do kolan jedwabny żupan z wąskimi rękawami, do tego wąskie sukienne spodnie, wpuszczone w wysokie boty lub „półbotki” na wysokim obcasie. Na wierzchu sukieny kontusz z rozciętymi rękawami, przepasany jedwabnym pasem perskim lub tureckim. Na wąskim metalowym pasku wisiała im u boku szabla lub ozdobna karabela.

Panny z fraucymeru infantki oraz bogate młode mieszczyki nosiły tradycyjne „kształty” i wianki lub toczenice z kwiatami na głowach. Infantka zaś miała pyszną dubeltową suknię na hiszpańską modłę, niesłychanie kosztowną, z najlepszych materii, poobszywaną klejnotami i koronkami droższymi od brokatu, sztywną, dołem rozpiętą na wszytej szerokiej obręczy z wikliny. Pierwszy raz patrzyła mi na prawą królownę.

Grupa Francuzek wyróżniała się od drugich niewiast wielkimi dekolami. Swoją profesję miały wypisaną na grubo umalowanych licach. Pewnie kilka z nich widziałem już w ów pamiętny wieczór u króla, ale nie rozpoznałem żadnej, być może dlatego, że człek nagi wygląda zgoła inaczej niż ubrany. Było ich znacznie więcej niż wówczas, widocznie plotka, że stary zameczek myśliwski opodal został lada jak odnowiony i zamieniony na królewski zamtuż, wcale nie była plotką. Ale Arletty nadal wśród nich nie dostrzegłem.

W tej gromadzie wspaniale odzianych kobiet i mężczyzn Janka w swym skromnym czarnym kształciku i tak rwała oczy. Mój strój był jeszcze mniej wytworny, lecz aż tak się nie wyróżniałem. Próbowałem się do niej zbliżyć, ale to było niemożliwe – przy fraucymerze kręciła się chmara kawalerów w papuzich szatkach, jednak nie mieli przystępu do żadnej z dwórek, bo ochmistrzyni Żalińska

strzegła ich niczym groźny smok.

Gdzieś w tłumie zgubiłem Stachnika. Ponieważ spóźniliśmy się na uroczystą biesiadę, więc skubnąłem tylko to i owo przy obficie na koszt miasta zastawionych stołach, wypilem kielich wina, po czym przespacerowałem się drózkami i alejkami, bo nigdy dotąd tu nie byłem. Ogród, albo raczej park bez wątpienia zaplanował jakiś Włoch. Były tu drzewa i krzewy, których nie umiałem nazwać, ale także rodzime graby formujące cieniste aleje i bukszpany w szpalerach tworzące geometryczne rysunki i otaczające rabaty z kwiatami albo fontanny tryskające wodą doprowadzaną drewnianymi rurami z pobliskiej Rudawy-Niecieczy. Tu i ówdzie pośród zieleni stały ocienione altany, jakby stworzone do lasciwii, którą też, sądząc po odgłosach, w niektórych uprawiano. Chodząc tak tam i sam, czułem się trochę jak Tezeusz w Labiryncie, tylko pozbawiony kłębka Ariadny.

Niespodziewanie wyszedłem na domki tych mieszkańców Półwsia, którzy utrzymywali ogrody w należyтым porządku, a dziś pomagali czeladzi zamkowej obsługiwać bal. A potem trafiłem, raczej kierując się węchem niż innym zmysłem, na zwierzyniec, gdzie w klatkach z solidnych bali trzymano drapieżniki: niedźwiedzie, lwy i lewarty. Lecz bardziej niż widok dzikich zwierząt zdziwiła mnie obecność przy klatkach króla i jego świty. A już nie mogłem uwierzyć własnym oczom, widząc, jak król śmiało wkłada rękę między śniaty i głaszczę po łbie lewarta, który nie dość, że na to pozwala, to jeszcze przestaje warczeć i posłusznie kładzie się na ziemi.

– We Francji dzieci królewskie uczą się jeździć konno, strzelać z łuku, pływać, grać w piłkę, polować z sokołami i nawet oswajać lamparty – niepostrzeżenie stanął przy mnie karzeł Krasowski.

– Mimo wszystko łacina wydaje mi się przydatniejsza – odparłem. – Ale jak powiadają: co kraj, to obyczaj.

Uśmiechnął się pod nosem, lecz nic nie odrzekł. W oddali rozległy się dźwięki muzyki i orszak królewski skierował się w tamtą stronę. Poszedłem za nimi. Pośrodku parku, na rozległym majdanie, znajdowało się zbite z desek *theatrum*. Muzykanci byli dwojacy: nasi i francuscy. Sowiecie opłaceni, aby grali całą noc. Rozpoczęto tańcami polskimi: cenarem i gonionym. Potem był dostojny padwan do wtóru miłosnej pieśni śpiewanej przez jakiegoś Włocha-kastrata. Ku powszechnemu zdumieniu królowna nie ociągała się, gdy król porwał ją w tany. Ona poruszała się z godnością, on z wdziękiem. Do moich uszu dobiegły strzępy rozmowy, jaką prowadzili ze sobą po włosku. On prawił jej dusery, ona się krygowała, zarumieniona, uśmiechnięta i widocznie szczęśliwa. Kiedy skończyli płaśać, w towarzystwie burmistrza z małżonką zasiedli na przygotowanych dla nich wyściełanych krzesłach, obserwując, jak bawią się inni.

Cały dwór, jeden i drugi, wpięrw zamarły, potem rozgadały się na potęgę, komentując to wydarzenie, a wreszcie też ruszyły do zabawy. Nie dopchałem się do tańczących, zbyt wielu było chętnych, czym się nie bardzo przejąłem, gdyż tancerz ze mnie marny. Zresztą Janka i beze mnie miała wystarczające powodzenie, choć z

powodu żałoby po ojcu nie tańczyła, mimo to z trudem opędzała się od adoratorów. Już, już zdało się, że jednak zdołam z nią zamienić kilka słów, lecz wówczas sam król, któremu nie mogła odmówić i który właśnie zakończył taniec z burmistrzową i odprowadził ją na miejsce, poprosił Jankę do tańca i nie spodobało mi się, jak na nią patrzył (a widziałem dobrze, bo swoim zwyczajem nie patrzył jej w oczy, tylko wprost na mnie). Wszystko jednak odbywało się bardzo przyzwoicie, gdyż jeszcze królowa Bona wprowadziła na dwór surowe obyczaje, więc dwórki nie pozwalały się obłapiać i obcałowywać w tańcu.

Kiedy się zmierzchno, rozpalono dookoła pochodnie i kolorowe lampiony, a wkrótce potem infantka z całym dworem opuściła ogrody, wymawiając się późną porą. Nie trudno było jednak dostrzec, że cała promieniała. Niewątpliwie ten bal i zachowanie króla, który z rewerencją odprowadził ją aż do bramy na końcu Wygody, przywróciły jej utraconą już nadzieję na rychły ślub. Ale ledwo orszak królowny zniknął w mroku, król dał znak muzykantom, tym razem francuskim. Na deski wskoczyli Francuzi i Francuzki, które dotąd trzymały się w cieniu i zaczęły się zgoła odmienne tany. Polacy wpiery tak jak ja przecierali oczy ze zdumienia, gapiąc się, jakie król i jego mignonowie wyczyniali w tańcu rzeczy z francuskimi ładacznkami, jak je obmacywali, przeginając i podrzucając tak, że niemal wszystkie ukryte wdzięki dziewczek ukazywały się patrzącym, zwłaszcza podczas owych podrzutów. Jak się dowiedziałem, ów sprośny francuski taniec zwał się *volta*. Po pewnym czasie jednym z Polaków (zwłaszcza tym bardziej podpitym i rozochoconym) tak ten ucieszny prospekt przypadł do gustu, że też ruszyli w tany, zaś drudzy, których była większość, zgorszeni, oddalili się czym prędzej. Jaostałem jeszcze chwilę, mając całkowitą pewność, że cały ten bal to jeno mydlenie oczu infantce i Polakom; król z pewnością nie zamierzał ożenić się z królowną, a być może, jak głosiła plotka, istotnie szykował się do wyjazdu z Polski.

Już miałem odejść, tym bardziej że nigdzie nie widziałem Stachnika, gdy wtem ją zobaczyłem. Arletta! Zanim zdążyłem zareagować, król skłonił się przed nią i zaczęli tańczyć. Dziewka bezwstydnie lepiła się do niego, kiedy tylko miała okazję, on zaś, rozogniony, nie zważając na otoczenie, obmacywał ją coraz śmieiej. Było to tak wyuzdane, że aż mnie przebiegł dreszcz. Król dyszał zaś tym głośnie, im bardziej perliście ona się śmiała. Wreszcie coś szepnął jej na ucho, Arletta skinęła jasną główką i nieznacznie zaczęli przesuwac się do zejścia z podwyższenia. W panice rozglądałem się wokół, szukając Krasowskiego, bowiem gdybym sam usiłował przedrzeć się do króla, niechybnie zabiliby mnie czuwający w pobliżu gwardziści. Wreszcie go zobaczyłem.

– Mości Krasowski! – pochyliwszy się, wrzasnałem mu do ucha, by przekrzyzcze muzykantów. – Ta dziewczka, z którą król teraz tańczy, nazywa się Arletta de Barry i jest córką pana de la Renaudie, straconego w Amboise przed laty. Szuka pomsty. Przysłał ją do Polski książę Kondeusz, żeby zabiła króla. Ma pierścień z jadem ropuchy. Wystarczy draśnięcie, by nastąpiła śmierć w straszliwych męczarniach...

– Skąd to wszystko wiesz, *sieur*? – rzucił ostro.

– Czy to teraz ważne? Spójrz!

Obaj ujrzelśmy, jak szykując się do zejścia z podwyższenia, piękna blondynka poprawia sobie na palcu okazały pierścień. Król, aż drżący z pożądania i rozglądający się za najbliższą altaną, już wyciągał ku niej dłoń, chcąc pomóc jej zejść.

– Nie zdążymy! – jęknąłem.

Z szybkością, o jaką bym go nie podejrzewał, Krasowski wydobył swoją miniaturową szablę i cisnął ją z całą siłą. Pobłyskując w sztucznym świetle, wirujące ostrze ugodziło dziewczkę w szyję. Kiedym do niej dobiegł, a karzeł w tym czasie powstrzymywał Gaskończyków od wysłania mnie w ślady dziewczki, już nie żyła. Mignonowie natychmiast porzucili swe towarzyszek i otoczyli króla ciasnym kręgiem, zaś ich partnerki zaczęły wrzeszczeć. Dłuższą chwilę zajęło Krasowskiemu wyjaśnienie sprawy, po czym oczy wszystkich spoczęły na mnie. A ja stałem, patrząc na umarłą. Wyglądała, jakby spała. Śmierć nie zniszczyła jej urody, zwłaszcza że twarzy nie szpeciły ślady krwi. Chciała mnie zabić, była bez wątpienia morderczynią, a jednak nie mogłem się powstrzymać od żalu nad unicestwionym pięknem. Oto do czego prowadzi żądza zemsty. Rozumiałem ją jednak, bo sam za nic nie potrafiłbym się wyrzec pomsty na Zborowskim, choćbym miał skończyć jak Arletta.

– Mości Ryksie, lepiej byłoby dla mnie, a zwłaszcza dla waści, abyś zdołał dowodnie wykazać, że to, coś mówił, odpowiada prawdzie – oznajmił karzeł.

Otrząsnąwszy się z zadumy, ostrożnie zdjąłem pierścień z palca zmarłej, uniosłem go w górę tak, by był dobrze widoczny, i nacisnąłem lekko grzbiet żuka. Na szpiczastym rogu pojawiła się kropla jakiejś cieczy.

– Jeśli jeszcze mi nie wierzycie, zawsze ktoś może tym nakłuć siebie lub którąś z bestii ze zwierzyńca – powiedziałem, a Krasowski przetłumaczył, po czym odebrał ode mnie pierścień.

Wszyscy naraz zaczęli jazgotać. Korzystając z okazji, oddaliłem się. Byłem znużony, a zresztą bal się skończył; przynajmniej na to wyglądało. Nazajutrz obudziłem się późno. I tak wcześniej wszak od Żółkiewskiego, który wczoraj zgorszony voltą wrócił wcześniej do gospody i dał się spać Niziołkowi; nie było mnie, więc nie miał kto go ostrzec, by nie stawał do zawodów z dziewięsiętem.

Pod wieczór zostałem wezwany do zamku. Kiedy tam przybyłem, nie było z kim rozmawiać, zaś służba biegała wkoło zdezorientowana i zaaferowana. Coś musiało się wydarzyć, to się czuło. W końcu gdy błąkałem się po korytarzach, odnalazł mnie Krasowski i zaprowadził do króla, który po dłuższej przemowie, wychwalając moją bystrość pod niebiosa i zezując przy tym na du Guasta, zdjął z uszu i podarował mi swoje diamentowe kolczyki jako podziękowanie za zratowanie żywota. Na szczęście nie kazano mi ich od razu zawiesić w uszach, więc w doskonałym nastroju, grubo po zmierzchu, wracałem do domu. Dotarłem do naszego zaułka, gdy z cienia pod kościelnym murem wychynął Garbus *vel* Ślepiec.

– Czemu przestał mnie dziwić twój widok? – spytałem na powitanie. – Może się

do nas sprowadzisz na stałe?

– Dziękuję. Z całym szacunkiem, ale wasza gospoda na razie nie spełnia moich wymagań. Ale jeśli powstanie tu pałac, kto wie... Tymczasem wszak mam wieść, która powinna zaciekawić ciebie lub twoich francuskich przyjaciół.

– Mów.

– Tych dwóch żabojadów, o których ci powiadałem, znów się wczoraj spotkało w murowanych stallach fary. Jeden z nich powiedział: „To musi się odbyć w ten czwartek”. A potem: „To doskonała, a bodaj jedyna taka okazja, że nikt nie usłyszy strzału, a nawet jeśli, to nie zorientuje się, skąd padł”. Ten drugi trochę marudził, że ma mało czasu, lecz w końcu obiecał kupić sobie strzelbę u jakiegoś rusznikarza z Grodzkiej i załatwić sprawę, na co dostał od pierwszego pieniądze. Próbowaliśmy go uwolnić od ich ciężaru, gdy wychodził z fary, ale to diabeł wcielony: dwóch ludzi mi ubił, a czterech poszczerbił. To pachnie jakąś grubszą awanturą, a ja mam do tych rzeczy nosa, więc pomyślałem, że i ciebie zainteresuje. Byłem tu wczoraj, lecz tyś wówczas balował.

– Powiedz mi, jakim cudem Kubrak i Dziura, którzy mi na uczonych nigdy nie patrzyli, zdołali podsłuchać tamtych, skoro, jak mniemam, żabojady mówili po francusku?

– Tak się składa, że tym razem to ja ich podsłuchałem. W poprzednim żywocie miał żem francuskiego guwenera – Król Żebraków, jak wiedziałem, pochodził ze szlacheckiej rodziny.

– To zmienia postać rzeczy. W takim razie pomyślę o tym. Tedy czego żądasz za tę nowinę?

– Niczego. Zrobiłeś swoje. Wyszlakowałeś i zniszczyłeś łotrów, którzy mordowali moje dziewczki. Rozprawiłeś się z upiorem bez głowy. Tuszę, że może kiedyś, gdy będziesz miał okazję, i ty nie zawahasz się oddać mi jakiejś drobnej przysługi.

Skinął mi dłonią i otworzył usta, zapewne by na pożegnanie uraczyć kolejnym kęsem swoich poezyj, więc zapytałem pospiesznie:

– Coś jeszcze?

– Jeden z tych dwóch żabojadów miał dziwne białe pasmo na czarnych włosach. Podpatrzyłem, bo mu wystawało spod maski. Mówi ci to coś?

Coś mówiło.

– Nie mógłbyś posłać któregoś ze swoich ludzi, by szlakował za tym z białym kosmykiem? Zwie się Bussy d'Amboise i obraca zbyt blisko króla, by lekceważyć jego sekretne schadzki. Dopiszesz to sobie do rachunku.

– Pomyślę o tym – odparł i znów chciał coś wtrącić, ja jednak już umykałem do gospody.

Najpierw pół nocy zajęło mi rozmyślanie nad znaczeniem podsłuchanych przez Garbusa zdań. „To musi być czwartek”, gdyż wówczas „nikt nie usłyszy strzału” znaczyło bez wątpienia, że chodziło o następny zamach na króla. Nie potrzeba było geniusza, by na to wpaść. Król miał bowiem zaszczyścić jutrzejsze strzelanie do kura, o

czym szumiało całe miasto. Zawody rozpoczynały się wcześniej rano, bo zgłosiło się mnóstwo chętnych, w tym szlachty i dworzan królewskich, a miały skończyć po południu, ponieważ król pragnął jeszcze zobaczyć harce lajkonika na Rynku. Było zbyt późno, by udawać się na Wawel. Musiałem więc radzić sobie sam, jednak potrzebowałem pomocy.

Grubo przed świtem zbudziłem Staszka Żółkiewskiego i powiedziałem mu, czego odeń oczekiwałem. Bardzo się wszystkim przejął i nie marudząc, przebrał raz-dwa, po czym wyszliśmy razem. Pożyczyłem mu swoje pistolety, sam zaś niosłem pod pachą piękną gwintówkę, którą jak obiecał, wykonał dla mnie mój szwagier Michał. Kłopot polegał na tym, że nie miałem jeszcze okazji jej wypróbować. Tym, że nie zadbałem, by ktoś ze starszyny cechowej lub z ratusza zarekomendował mnie do strzelania, nie przejmowałem się, wiedząc, iż wielu urodzonych z pewnością nie zawracało sobie głowy wcześniejszym wpisem do zawodów, zamierzając zgłosić się w ostatniej chwili. Jako i nie pomyliłem się. Na celestacie u brony Mikołajskiej już wszystko było przygotowane do zawodów, łącznie z *theatrum* i tronami dla królów: prawdziwego i kurkowego. Kręcił się także mnogi tłum kozerników, wszystko mieszczenie, którzy musieli wyłonić spośród siebie najlepszych, zanim z królem nadciągnie szlachta. Za chwilę miało się rozpocząć strzelanie, po raz pierwszy w historii miasta z broni palnej. Dlatego celem nie był drewniany kur podwieszony na wysokim maszcie, jak to drzewiej bywało, lecz tarcza z kogutem wymalowanym tak, iż oko kura stanowiło jej środek.

– Ha, jesteś jednak! – zawołał na mój widok Michał. – Myślałem, że nie będziesz strzelać.

– Zmieniłem zdanie.

– Niepotrzebnie. Nie przypuszczasz chyba, że dam ci wygrać?

Poprawił na nosie okulary, które dałem mu przed pięciu laty i dzięki którym zdobył wówczas tytuł ptasiego króla. Wyglądał na naprawdę szczęśliwego – od lat marzył o tym, by wygrać zawody w strzelaniu z rusznic, i nareszcie jego pragnienie mogło się spełnić.

– Ty na pewno nie, sobku. To ja ci dam, jeśli zechcę. Gdzie Hedwiżka?

– Doma. Rozwiązanie co prawda nierychło, ale coś wczoraj źle się poczuła. Teściowa miała po nią dziś przyjść i zabrać do gospody. Ale widziałem w tłumie Jędrzeja i Margotkę.

– Przypadkiem nie kupował wczoraj lub przedwczoraj u ciebie strzelby jakiś Francuz?

– Skąd wiesz? – oczy za szklami zrobiły mu się okrągłe jak spodki i ujrzałem w nich jakby cień lęku przed czarami. – Owszem, kupił dwa wyborne arkebuzy i po dwie pełne prochownice i ładownice, bo zamierzał jeszcze przestrzelać broń przed dzisiejszymi zawodami.

– Jak wyglądał?

– Jak oni wszyscy, nic szczególnego. Czemu pytasz?

– Tak sobie.

Znał mnie dobrze, więc tylko wzruszył ramionami.

– A jak się sprawuje twoja strzelba? – wskazał mój sztuciec.

– Nie wiem. Jeszcze z niej nie strzelałem.

Szczęka opadła mu ze zdziwienia.

– Dworujesz sobie ze mnie?

– Ani trochę. A ty lepiej się skup, bo teraz twoja kolej.

Gdy Michał zajmował stanowisko, Staszek, który pilnie rozglądał się dookoła, powiedział:

– Może być wszędy, lecz gdybym ja to miał zrobić, strzelałbym stamtąd – pokazał palcem basztę Czapników, odległą o jakieś pięćdziesiąt kroków, podczas gdy tarczę umieszczono o kolejne pięćdziesiąt kroków dalej, opodal baszty Barchanników; był to dystans w sam raz, by połowa zawodników odpadła w przedbiegach.

– Zgadzam się, ale, na Boga, nie pokazuj palcem, bo jeśli już tam jest, gotów zacząć coś podejrzewać – odparłem. – Pójdź i wybadaj sprawę, jeno tak, by go nie spłoszyć.

Eliminacje ciągnęły się kilka godzin. Do dalszego strzelania mistrz ceremonii, czyli cyler dopuszczał tylko tych, których kule choćby drasnęły malowanego kura, pozostali odpadali. Miałem obawy o swój pierwszy strzał. Niepotrzebnie, bo broń niosła znakomicie. Co prawda trafiłem w ogon, lecz po wzięciu poprawki drugą kulę ulokowałem w kogucim grzebieniu; trzeci strzał powinien być idealny.

– Nieźle – pochwalił mnie Michał, który także bez najmniejszego trudu zakwalifikował się do tuzina cechowych strzelców, mających wraz ze szlachtą stanąć do decydującej rozgrywki.

Było już po dziesiątej. Zaraz potem uczynił się ruch, ponieważ z całą świtą pojawił się niecierpliwie oczekiwany król, i to w polskim stroju, a z nim tłum gawiedzi wznoszącej radosne okrzyki. Uroczyście powitany przez rajców i starszego bractwa strzeleckiego, zasiadł na majestacie i skinął łaskawie głową. Strzelanie mogło się zacząć od nowa.

I do tej pory przeróżnej broni palnej nie brakowało, lecz teraz ta różnorodność jeszcze urosła. Byli wśród strzelców, choć w mniejszości, zwolennicy starodawnych ciężkich hakownic i nieco tylko lżejszych rusznic-półhaków, a także nowomodnych muszkietów o gładkich lufach i lontowych zamkach, nielekkich lecz niezawodnych, chętnie używanych w piechocie albo lżejszych od nich i krótszych arkebuzów o zamkach kołowych nakręcanych specjalnymi kluczami, zażywanych przez gwardię lub jazdę. Podobnie jak jeszcze od nich krótsze, niewiele dłuższe od pistoletów, gładkolufowe bandolety czy petrynały o kolbie zakrzywionej w dół pod kątem niemal prostym, aby siedząc na koniu, można je było wesprzeć kolbą o pierś. Niektóre strzelby pochodziły ze znanych warsztatów rusznikarskich, drudzy mieli samopały domowej roboty, Rusini i Litwini – prymitywne piszczele. Szlachta, którą było na to stać, rada zażywała fuzji i flint myśliwskich, w tym sztucców z

gwintowanymi lufami, zazwyczaj lżejszych od broni wojskowej, celniej bijących i bogato zdobionych. Tylko z nich dało się strzelać bez podpórki, pozostałe wymagały białego dolnym końcem w ziemię forkietu *alias* soszki *vel* koziej nogi.

Były strzelby toporne, z łożami i kolbami od siekiery, ale nie brakowało pięknych okazów stworzonych przez artystów: szyftarzy i snycerzy, sztycharzy-rytowników czy złotników, którzy potrafili ozdobić broń złoceniem, sztychowaniem, wszelkim hecowaniem, brunatno napuszczaniem, sadzeniem, polerowaniem, farbowaniem, kością, rozlicznymi farbami i perłową macicą sadzeniem. W takiej broni szczególnie gustowali Francuzi, zaś najpiękniejsze sztuki, jak podsłuchałem, pochodziły z warsztatu Étienne'a Delaune'a z Fontainebleau.

– Baszta jest zamknięta, klucz tkwi w środku – szepnął mi Staszek na ucho, przerywając moje rozważania nad wyposażeniem współzawodników. – Od starszego straży bramnej dowiedziałem się, że kilkoro francuskich dworaków podnajęło ją na dziś od cechu czapników na wyłączność. Moglibyśmy przestrzelić zamek i spróbować go wykurzyć, jeśli tam jest...

– Za późno – przerwałem mu. – Przyszedł tam przed świtem i jest już gotów, idę o zakład. To fachman. Zanim wyłamiemy zamek i dobiegniemy na górę, on zdąży wystrzelić. To na nic.

– Co mamy zatem zrobić?

– Spróbuj rozejrzeć się po gapiach i wypatrzyć Francuza o białym kosmyku na czarnym łbie – nie dostrzegłem go w otoczeniu króla. – To wspólnik zabójcy. Nie chciałbym, by z jego strony spotkała nas niemiała siurpriza. W razie potrzeby zastrzel go bez wahania. A ja w tym czasie, z Bożą pomocą, zajmę się resztą.

Klepnąłem go w ramię i odszedłem szybko, bo nadeszła moja pora strzelania. Uporałem się z tym w samą porę, gdyż zaraz potem małe okienko u szczytu baszty Czapników otworzyło się. Pospiesznie nabiłem broń, by była gotowa do natychmiastowego użytku.

Po tym strzelaniu zostało nas równo dziesięciu, z tego połowa mieszczan, dwoje szlachty i trzech Francuzów, w tym du Guast i kapitan królewskiej gwardii de Larchant. Zmieniono tarczę na nową, jak po każdej kolejce, i wprowadzono nowe zasady – do ostatniej rundy przechodziło pięciu kozerników, których kule utkwily najbliżej środka celu. W okienku baszty ujrzałem błysk. To słońce odbiło się na lufie strzelby. Błyskawicznie uniosłem swoją do oka. Szczerbinka pokryła się z muszką...

– Oszalałeś! Jeszcze nie teraz! – Michał zbił mój sztuciec w dół.

Wyrwałem mu się wściekle. Na szczęście lufa w oknie zniknęła. Widocznie morderca został oslepiiony przez słońce. Mimo to czekałem w gotowości.

– Na co czekasz, twoja kolej! – Michał pchnął mnie naprzód. – Co się z tobą dzieje, Kacper?

Strzeliłem pospiesznie, prawie nie celując, i sam byłem najbardziej zdumiony, gdy znalazłem się pośród pięciu najlepszych strzelców. Natychmiast zacząłem ponownie nabijać broń, gorączkowo popychając przybitkę pobojczykiem. Obok

mnie do ostatniego strzelania stanęli Michał, znajomy drab miejski oraz du Guast i Larchant. Miałem strzelać ostatni, lecz jeszcze pierwszy do tego wyznaczony, Larchant, nie zajął stanowiska, gdym znów ujrzał lufę wysuwającą się z okna w baszcie i zarys twarzy strzelca. Zanim ktokolwiek zdołał mnie powstrzymać, przyłożyłem sztuciec do ramienia i wypaliłem.

– Za wczas! Sławetny Kacper Ryx zostaje wykluczony z zawodów! – usłyszałem donośne orzeczenie cylera, Michał klepał mnie pocieszająco po plecach, ale nie dbałem o nic, wszystkimi nerwami czekając na wystrzał od strony baszty, lecz nie padł; ani zaraz, ani nigdy.

– Jak mogłeś się tak poszkapić... – szwagier kręcił głową z niedowierzaniem. – Strzeliłeś Panu Bogu w okno i teraz święty Piotr ma frasunek, jak wstawić stłuczoną gomółkę.

– To być może był mój najlepszy strzał w życiu.

Ignorując jego zdumione spojrzenie, nabiłem gwintówkę, postąłem jeszcze trochę dla pewności, a potem nie czekając na ostateczny rezultat zawodów, przedarłem się przez ciżbę do miejsca, gdzie wypatrzył stojącego na murze karła Krasowskiego. Dałem mu znak, by zlął, i stanąłem pod murem, by miał po czym.

– Czego pan chcesz? – nie wyglądał na zadowolonego. – Zaraz koniec strzelania. Chcę zobaczyć, kto wygra.

– To nieważne. Chodź waść ze mną, to ci powiem dlaczego.

Torowałem mu drogę przez tłum, aż przedostaliśmy się w obręb murów, na ulicę Krowią. Po drodze, wypatrzywszy nas cudem w ciżbie, dołączył Staszek.

– Widziałeś go? – spytałem.

– Nie.

– O co chodzi? – domagał się wyjaśnień naburmuszony karzeł, wciąż nie mogąc mi darować, że przerwałem mu oglądanie zawodów w decydującym momencie.

– Przedwczoraj w farze Mariackiej dwóch Francuzów zmawiało się w sprawie zamordowania króla. Miał zostać zastrzelony podczas dzisiejszych zawodów. Dowiedziałem się o tym dopiero tej nocy. Nie wiem, kto jest zabójcą, lecz ten, kto mu płacił, ma białe pasmo pośród czarnych włosów.

Karzeł wcale nie wyglądał na zaskoczonego moimi rewelacjami.

– Bussy d’Amboise. Zdrajca, który przeszedł na stronę diuka d’Alençon, królewskiego brata. Wczoraj w jego izbie znalazłem ponakłowaną figurkę króla... Ale Bussy’ego nie znaleźliśmy. Jakby zapadł się pod ziemię. Pewnie zwąchał pismo nosem i zbiegł.

Doszliśmy do baszty, gdy z bramy domu naprzeciwko, ocierając zakrwawiony na końcu rapier białą chustką, wyszedł człek, na widok którego podniosło mi się ciśnienie.

– Kłaniam, mości Ryx – rzekł, ignorując moich towarzyszy. – Spodziewałem się ciebie.

– Witam, mości Kettler. Dzięki za niedawne zratowanie żywota.

– Nie trzeba. Wiesz, że kiedyś mogę dostać zlecenie na ciebie.

– Ale nie dziś? – upewniłem się.

– Nie – nieznaczny uśmiech ożywił mu trupiobiałą twarz, czerwone oko błysnęło spod ronda szerokoskrzydłego czarnego kapelusza ze strusim piórem. – Dziś, na życzenie osoby, którą obaj dobrze znamy, szlakowałem za pewnym Francuzem z kosmykiem jasnych włosów. Ów już wczoraj opuścił Wawel i przeniósł się na Kleparz. Zaś dzisiejszego ranka, owinięty obszerną opończą i cały czas zasłaniając twarz, przybył tutaj, skrył się w tej bramie i z pistolem w garści nie spuszczał oka z baszty, jakby na kogoś czekał. Był czujny jak żuraw, a nerwy musiał mieć napięte do ostateczności. Omal nie zastrzelił waszmości – skinął Stachnikowi – widząc, że sprawdzasz zamek u wchodu do baszty. Potem jakimś cudem zorientował się, że jest śledzony, i rzucił na mnie z rapierem. Gdym go ranił w rękę, zbiegł co sił w nogach... A zaraz potem nadeszliście wy.

– To był Bussy d’Amboise, zdrajca! Więc nie zabiłeś go pan? – spytał karzeł z rozczarowaniem w głosie.

– Nie za to mi zapłacono – odparł *albus* zimno i odszedł, przyłożywszy niedbale dłoń do ronda kapelusza, mówiąc do mnie na pożegnanie: – Nie powiem: do zobaczenia, bo może lepiej nie kusić losu.

– Kto to był? – oszołomiony Krasowski szarpnął mnie za rękaw.

– Lepiej nie wiedzieć.

Rozglądałem się. Nikogo jak okiem sięgnąć. Nawet ludzie stojący na murze miejskim byli do nas odwróceny tyłem i zaaferowani zawodami. Skinąłem przyzwalająco i Staszek przestrzelił zamek. Strzał przeszedł bez echa, gdyż na celestacie także akurat strzelano. Na to liczyli zarówno zabójca, jak i niedoszły zabójca zabójcy. Poszliśmy na górę, mimo wszystko zachowując ostrożność. Niepotrzebnie. Moja kula trafiła mordercę w oko i urwała cały tył głowy, rzucając ciało na przeciwległą ścianę. Jeden arkebuz stał oparty o mur, drugi leżał obok, oba nabite; z żadnego nie wystrzelono.

– Stracił na urodzie – rzekł karzeł, pochylając się nad trupem. – Zakładam, że za twoją sprawą, mości Ryksie. Mimo to poznaję go. To Maurevel, płatny morderca. Niegdyś na zlecenie królowej matki próbował zgładzić admirała de Coligny, ale widać diuk d’Alençon płacił więcej – bezceremonialnie odpiął pękaty mieszek od pasa nieboszczyka, zajrzał do środka i dodał: – Na oko z jakiejś pięćset hiszpańskich dublonów, sumka nie do pogardzenia, choć pewnie miał to być jeno zadatek...

W tej chwili przez otwarte okno doszła nas wielka wrzawa. Wychyliłem się i ujrzałem króla Henryka wieszającego wspaniałą figurę srebrnego kura na szyi zwycięzcy zawodów; kogóż by innego, jak nie mego szwagra Michała.

– Chcecie wiedzieć, kto strzelał najcelniej? – odwróciłem się do moich towarzyszy.

Ale Krasowski nie pozwolił mi dokończyć.

– Już to wiemy, mości Ryksie. Aczkolwiek lepiej byłoby dla wszystkich

zainteresowanych, gdyby twój tryumf pozostał znany tylko nam trzem – spojrzął na mnie znacząco.

– Pojmuję – odparłem.

– Cieszę się, iż tak dobrze się rozumiemy. A ponieważ król na zawsze pozostanie nieświadom tego, cóżes dlań uczynił, tedy przyjmij choć tę skromną nagrodę – wręczył mi kiesę. – Maurevelowi już nie zda się na nic. Przyślę tu później naszych ludzi, by zabrali ciało i uprzątnęli izbę.

Nie krygowałem się zbyt, bo ostatnimi czasy tak się porobiło, że im większe miałem powodzenie jako inwestygator, tym mniej duków trafiało do mojej kiesy, zwłaszcza że część nagrody należała się Staszce. Dołączyliśmy potem do wielkiego pochodu prowadzonego przez obu królów: polskiego i ptasiego, którzy udawali się na Rynek na tradycyjną koronację króla kurkowego pod ratuszem, a następnie na oglądanie harców lajkonika i jego świty. Zaś wieczorem na cześć Michała i z udziałem wszystkich jego druhów i starszyny cechowej oraz całej naszej rodziny odbyła się w naszej gospodzie uroczysta uczta, podczas której wychwalano pod niebiosa celne oko mojego szwagra i dobrodusznie wyśmiewano moją niezręczność z bronią, co znosiłem z godnością.

Nazajutrz, w piątek, około południa Stachnik, który wybrał się na Wawel, aby pozłatwiać swoje sprawy i pożegnać ze znajomymi przed opuszczeniem Krakowa, przyniósł hiobową wieść: Janka zniknęła.

– Jak to zniknęła?! – nie mogłem uwierzyć.

– Wyszła wczoraj przed wieczorem do waszej gospody, jak to często robiła ostatnimi czasy – wyjaśniła burkliwie jejmość Żalińska, gdym zaraz pognał na Wawel, a Żółkiewski za mną. – Choć powinna wrócić przed nocą, nie podnosiłm larum, mniemając, że jest u was, jeno coś ekstraordinaryjnego jej wypadło.

– Nie wierzę temu babsku, fałszywie jej ze ślepiów patrzyło – potwierdził moje odczucie Staszek, gdyśmy nic nie wskórawszy, bo nawet przed oblicze infantki nas nie dopuszczono, zabierali się do powrotu.

U wyjścia zamiast odźwiernego czekał na nas Jan Żaliński ze złośliwym uśmiechem na wydatnych wargach.

– Czegoś szukacie, waszmościowie? – zagadnął.

– Panny Wapowskiej – odparł Stachnik.

– A co, zginęła? – rzucił beztróska kasztelan.

– Pan to winieneś wiedzieć najlepiej, skoroś mienił się jej opiekunem – warknąłem.

– To już przeszłość, panna Joanna wzgardziła bowiem moją pieczę.

To była pierwsza dobra nowina tego dnia.

– Zatem nie wiesz, gdzie może być?

– Na pewno nie tutaj. Prędzej na komnatach króla jegomości. Tam pytajcie – złośliwy uśmiezek zrobił się jeszcze złośliwszy.

– Co chcesz, wasze, przez to powiedzieć? – spytał Staszek z groźną miną, kładąc

dłoń na rękojeści szabli.

– Ano tylko to, że wpadła w oko królowi, a i sama nie była daleka od tego, by zakosztować rozkoszy królewskiej łożnicy...

Ujrawszy wyraz mojej twarzy, odskoczył wstecz jak świerz, równocześnie dobywając paradnego rapierka. Ale ja już go dopadłem. Lewicą pochwyciwszy jelec jego broni, prawą stopą napałem na jego lewą. Nasze twarze dzieliło zaledwie kilka cali. Musiałem wyglądać strasznie, bo z jego oczu wyzierało przerażenie, a żuchwa zaczęła mu dygotać jak w febrze. Zacieśnił chwyt i nie pozwolił sobie wyrwać rapiera, gdyż strach dodał mu sił, lecz tracił równowagę, nie mogąc przesunąć nogi za moją stopę. Szarpnąłem i me kolano z całą siłą wbiło się w jego podbrzusze. Z potwornym jękiem zwałił się na pawiment. Była to owa sekretna *botte* mistrza Altoniego, której nauczył mnie du Guast, nieładna, ale bardzo skuteczna.

Wił się na posadzce, rżąc i jęcząc. Rozejrzałem się. Nasze starcie nie przywabiło nikogo. Przygniotłem Żalińskiego kolaniem i wyjąłem sztylet. Żółkiewski złapał mnie za uzbrojoną dłoń.

– Tak nie można, Kacper. Wystarczy.

– Nie chcę zabić tego szczura – odrzekłem. – Chcę go zmusić do mówienia.

– Ja... nic... nie... wiem... – zaskomlał panek między paroksyzmami bólu. – Przy... szli... po... nią... wcz... raj... przed... no... cą...

– A tyś im ją wydał, łajdaku! Ileś za to dostał srebrników, Judaszu?! – zawołał wzburzony Stachnik, z wściekłością kopiąc łotra w bok. – Gadaj, gdzie jej szukać, bo inaczej nie ręczę za siebie!

– Nie... wiem... – I chyba naprawdę nie wiedział.

Mimo to z najwyższym trudem odciągnąłem od niego rozeźlonego Staszka.

– Daj pokój. On mówi prawdę. Ty też takiemu źmijowi nie powiedziałaś więcej niż to konieczne.

Zostawiliśmy łobuza wciąż skulonego na pawimencie i łapiącego powietrze niczym ryba wyjęta z wody. Nie groziło nam, że zawoła o pomoc, gdyby nawet o tym pomyślał.

Staliśmy przed katedrą, dumając ponuro. Skoro Jankę porwano na rozkaz królewski, tedy nie mogliśmy rachować na niczyją pomoc, nawet karła Krasowskiego. Byliśmy zdani tylko na siebie. Rozdzieliliśmy się – Stachnikowi zostawiłem spenetrowanie zamku, ponieważ biegle znał francuski oraz Polaków z otoczenia króla, z którymi jeździł po niego do Paryża, więc miał lepszą ode mnie możliwość zasięgnięcia języka na miejscu. Ja zaś udałem się na Zwierzyniec, gdzie, jak fama niosła, w tamtejszym zameczku myśliwskim król Henryk zwykł oddawać się takiej rozpuście, której nie śmiał uprawiać na Wawelu pod czujnym okiem senatorów i zazdrosnym królowy.

Przez furtę Poboczną i Groble przedostałem się na trakt śląski i pomaszerowałem wzdłuż parkanu otaczającego Półwie Zwierzynieckie wraz z Ogrodami Królewskimi. Mieszkańcy tych okolic, nie licząc flisactwa, trudnili się rolnictwem, ogrodnictwem i

wypasem bydła, nie brakowało wszak mularzy, piwowarów i słodowników. Dlatego po drodze mijalem folwarki, młyny, cegielnię, stawy rybne, pastwiska, browar, słodownię, tartak i szpital dla chorych, wdów, starców i podrzutków oraz szkołę klasztorną dla dziewcząt, ciągnące się aż po klasztor Norbertanek, do których należały. A także kilka pomniejszych ogrodów należących do szlachty i mieszczan naśladowujących króla, w tym jeden Czeczotki. Półwsie z ogrodami jednak mnie nie interesowało, ponieważ nie było tam raczej warunków do przetrzymywania porwanej. Wstąpiłem za to do leżącej w połowie drogi między broną Wiślną a klasztorem starej i popularnej karczmy „Niegrabki”, która niedawno odmieniła miano i teraz zwała się „Latarnią”.

Karczmę prowadził stary Żyd, arendujący ją od kanonika Stanisława Borka, a ponieważ nie było akurat tłoku, a ja zawsze łącznie dogadywałem się ze starozakonnymi, ucieliśmy sobie owocną pogwarke, zwłaszcza gdy zapłaciłem za piwo dukata, nie domagając się reszty. Tak jak przypuszczałem, arendarzowi nie uchodziło nic, co działo się na gościńcu, dniem czy nocą. Owszem, dziś około północy minęło karczmę dwóch jeźdźców, zdążających od strony miasta i sądząc po strojach ani chybi Francuzów, zresztą poznałem jednego, zwał się Głaz czy jakoś tak, bo ów zaglądnął kiedyś do karczmy z karłem, na którego wołali Domino. Ów Głaz wiozł przed sobą jakiś tłumok. Tak, to mógł być spętany człek z kapturem naciągniętym na głowę, bo tłumok jakby się ruszał, ale tego Żyd nie był pewny, gdyż przejechali bardzo szybko. Czy towarzysz owego to mógł być sam król? Nie, w żadnym wypadku. Co prawda król dość często przemykał się po nocach z Wawelu na Zwierzyniec i z powrotem, czasem nawet na piechotę, lecz nigdy bez kilkusobowej świty. A czy tej nocy widział króla? Nie, z całą pewnością. Zresztą mogę spytać tego tam, dyskretnie wskazałem brodatego typa z czerwonym nosem, kiwającego się nad kwartą gorzałki, który jest dozorcą w zamku myśliwskim. Nie chciałem, przynajmniej teraz, bojąc się wzbudzić podejrzenia stróża lub jego mocodawców.

Ale to byłaby już druga dobra wieść tego feralnego dnia – cokolwiek król zamierzał uczynić z Janką, nie zrobił tego do tej pory; widocznie coś pilnego zatrzymało go na Wawelu. Do następnej nocy miałem zatem nieco czasu. Podziękowałem Żydowi i ruszyłem w dalszą drogę.

Za parkanem, gdzie kończyło się Półwsie, a zaczynał Zwierzyniec, teren po prawej stronie gościńca zrobił się dziksz; rósł tu rzadki las, gęstniejący w kierunku kościoła Najświętszego Salwatora i dalej na zachód. Zza drzew połyskiwała tafla rozległego stawu, wielkością ustępującego jedynie Leypingerowskiemu po drugiej stronie Krakowa. Zameczek myśliwski, gdzie królowie przebierali się przed i po łowach i gdzie ongiś mieszkał łowczy królewski, stał między traktem a stawem w otoczeniu kilku starych drzew i był obwiedzony gęstym płotem. Pchnąłem furtkę – o dziwo otwartą! – i podszedłem do budynku. Wyglądał na wymarły, był mocno nadgryziony zębem czasu, acz z widocznymi śladami pospiesznej reperacji. W przeciwieństwie do furtki, masywne drzwi zawarto na głucho. Nie próbowałem się

dobijać, na to było za wcześnie, nie wiedziałem bowiem, ilu mężczyzn okrom stróża mieszka w zamku, i bałem się postępować pochopnie, nie mając pewności, że dziewczka była w środku. Wpadłem za to na inny koncept. Udając oźralca i zataczając się, zacząłem obchodzić budowlę dookoła, głośno pogwizdując melodię (a przynajmniej tak mi się zdawało) piosnki *Płyną jasne źródła...* Zupełnie jak ów wierny trubadur, Blondel de Nestle, który poszukując swego pana, angielskiego króla Ryszarda Lwie Serce, uwięzionego przez rakuskiego księcia Leopolda, obchodził wszystkie niemieckie zamki, śpiewając pieśń znaną jeno im obu, aż usłyszał odzew Ryszarda z wieży i doprowadził do uwolnienia króla. Doszedłem już do ostatniego boku zamku, gdzie z żelaznej klatki warknął na mnie oswojony czarny lewart z obrozą na karku, rzucając się całym cielskiem na stalowe pręty, i rozszczękały się psy zamknięte w szopie i zapewne spuszczone na noc. Wreszcie z małego okienka pod samym dachem usłyszałem nieco drżący, acz bez wątpienia znajomy i kochany głos wyśpiewujący:

*Płyną jasne źródła,
Potem w Dniestrze giną,
Tak w tobie, dziewczyno,
Ginie serce moje...*

– A ty tu czego?! – kudłaty stróż, który zdążył już wrócić z wycieczki do karczmy, wymachując okutą pałką, spoglądał na mnie groźnie spod nastroszonych brwi.

Zachwiałem się na nogach i czknałem.

– Ep... zabłądziłem... Już sobie idę...

– I to szybko, bo jak nie, to poszczuję psami albo, co gorsza, lewartem!

Wiedziałem, co chciałem wiedzieć, i na razie nie miałem tu nic więcej do roboty, odszedłem zatem posłusznie, wprzód dokładnie zapamiętawszy sobie położenie owego okienka i wciąż dla niepoznaki udając pijanego, co przychodziło mi bez trudu.

Staszka nie było w domu i nie wrócił do czasu, gdym o zmierzchu znów przebierał się na Zwierzyniec, tym razem przez brzo Szewską, bo tamtejsza droga była o wiele rzadziej uczęszczana od tej wiodącej z brzo Wiślnej lub Pobocznej, a ja nie chciałem się rzucać w oczy. Chętnie zabrałbym ze sobą Niziołka, niezastąpionego w tego rodzaju awanturach, lecz akurat pechowo ciotka wysłała go w interesach aż do Bochni i miał wrócić dopiero nazajutrz, zaś Żeglarza nie chciałem odrywać od roboty, bo mieliśmy sporo gości.

Na gościńcu nie spotkałem o tej porze wielu osób, to i dobrze, ponieważ musiałem wyglądać cokolwiek osobliwie, przepasany długą liną, z kuszą na ramieniu i bełtami do niej u boku, nie licząc pistoletów, rapiera, lewaka i latarki dyndającej u pasa; nie wiadomo po co zabrałem nawet swój cenny zegarek. Starłem się jednak wtopić w otaczające ciemności i miałem prawo przypuszczać, że przekradł się pod

zameczek zgola niepostrzeżenie. Zgrabnie (nie chwaląc się) przesadziłem parkan, uprzednio ostrożnie wystawiwszy głowę, i zeskoczyłem po drugiej stronie ogrodzenia. Natychmiast ściągnąłem z pleców kuszę, która została mi z czasów, gdyśmy razem z Michałem ćwiczyli strzelanie na celestacie, naciągnąłem ją i założyłem bełt. Psów wcześniej nie było słyhać ani widać, lecz nagle pojawiły się znikąd. Dwa ogromne brytany, cicho powarkujące i aż drżące z ochoty skoczenia mi do gardła, którym ślina kapiała z rozwartych pysków. Pierwszego zastrzeliłem w locie – zwinął się i padł bez ducha. Drugiemu rozplątałem gardziel puginałem, gdy na mnie skoczył i już niemal sięgał mi do gardła. Odczekałem chwilę, a gdy nic się nie działo, odciągnąłem psie truchła w cień ogromnej starej lipy rosnącej pod zamkiem, której potężne konary dotykały zamkowych okien, com sobie wcześniej dokładnie obejrzał i zakonotował w pamięci.

Znów nabiłem kuszę, zdjąłem boty i łącno jak małpa wdrapałem się po pniu na drzewo. Na górze poczułem się bezpieczniej, ponieważ gęste listowie dobrze mnie, miałem nadzieję, skrywało. Usiadłem na konarze okrakiem i zacząłem się przesuwac w stronę okien. Wtem w dole ujrzałem światło, które zmieniało położenie, jakby czegoś szukało. Nie czegoś, tylko kogoś, skonstatowałem, uświadomiwszy sobie, że to pewnie stróż znalazł martwe psy i moje boty i teraz mnie szuka. Zdziwiło mnie jedynie, że nic nie mówi; ani nie wzywa pomocy, ani nie wygraża intruzowi, którym niewątpliwie byłem.

Nie wiem, co kazało mi się odwrócić, może okropny smród zepsutego mięsa. Spojrzałem i skamieniałem z przerażenia. Po moim konarze, zbliżając się ku mnie, sunął lewart, z powodu umaszczenia prawie niewidoczny w mroku. Przyczajony, brzuchem szorując po korze, ogonem bijąc po bokach. Ślepią bestii jarzyły się jak dwa węgle, z wyszczerzonej paszczy ohydnie cuchnęło. Otrząsnąłem się z paraliżującego strachu i bardzo powoli zdjąłem kuszę z pleców. Nie zdążyłem jednak dobrze wycelić, gdy ogon zwierza znieruchomiał i potwór skoczył na mnie. Niewiele myśląc, splótnąszy nogi, mocno chybnąłem w bok moment wcześniej i na chwilę zawisłem głową w dół jak oglądany na jakiejś rycinie zwierz z puszczy Nowego Świata, zwany leniwcem, nim zamach nie wyniósł mnie z powrotem na górę. W samą porę, bo choć wykonałem mój manewr, jak mi się zdało, w mgnieniu oka, to lewart był jeszcze szybszy.

Skok przeniósł go nade mną. Poczulem na twarzy powiew jak tchnienie śmierci, której cudem udało mi się uniknąć. Przez chwilę zdawało się, że zwierz nie utrzyma się na cienkiej gałęzi i spadnie, lecz przedziwnym sposobem ustał, jeno odróbkę się zachwiawszy, po czym nieprawdopodobnym ni to rzutem, ni wężowym skrętem całego cielska, wykonał obrót i oto już gotował się do następnego ataku. Jakoż i dał potężnego susa.

Wypaliłem na oślep, lecz trafiłem dobrze – bełt wbił się bestii prosto w ślep i cały w nim zagłębił. Jednak nim martwy lewart zwałił się z łoskotem łamanych gałęzi w dół, zdążył zahaczyć mnie łapą. Kolczuga, którą znów założyłem, dziś nie oparła się

pazurom drapieżnika, bowiem trafił w uszkodzone wprzód miejsce. To się nazywa do trzech razy sztuka! Rozdarł ją jak papier, omal nie strącając mnie z drzewa. Poczułem okropny ból i pojąłem, że jestem poważnie ranny, lecz miałem chwilowo większą turbację. Światło na dole wciąż mnie szukało.

– Ej, ty tam, złaź, bo wezwę muszkietników i zestrzelimy cię stamtąd jak wściekłą bestię!

Przemogłem słabość, która mnie nagle ogarnęła, i cisnąłem w kierunku światła wystrzeloną kuszę. Musiała trafić w cel, bo światło zgasło, a głos już się nie odezwał. Ból jakby się zmniejszył, ciężar zaś na pewno, więc podjąłem wędrówkę. Konar robił się coraz cieńszy, na dodatek pojąłem, że biegnie zbyt nisko. Wstałem więc, rozpostarłem ramiona i poszedłem po nim jak po linie, przypominając sobie czasy, gdy się włóczyłem w kompanii kuglarzy i linoskoków, nie takie sztuczki czyniąc ku uciechu gawiedzi. Jednak to było dawno, poza tym rana mi doskwierała i z trudem dobrnąłem do okienka na poddaszu, gdzie więziono Jankę, a przynajmniej taką miałem nadzieję, bo wiele mogło się zdarzyć w ciągu minionych kilku godzin. Złapałem się parapetu i resztką sił podciągnąłem w górę, łokciem wypychając kwatery okienne do wnętrza. Okienko było tak małe, że wsunąłem się przez nie ledwo ledwo. To był najtrudniejszy moment, gdyby ktoś tu czekał, mógłby mnie teraz unieszkodliwić bez trudu. Ale nic się nie zdarzyło, więc skrzesłem ogień i zapaliłem swoją latarkę.

Leżała w odzieniu na łożu, przywiązana doń za nadgarstki i patrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma. Przeciąłem więzy i przygarnąłem ją do piersi. Przyłgnęła do mnie i objęła ciasno, cała drżąca, płacząc i szepcząc:

– Wiedziałaś, że mnie uratujesz. Zwłaszcza gdyś posłyszała twoje gwizdanie.

– Więc poznałaś, że moje? – ucieszyłem się.

– Od razu. Nikt drugi tak nie fałszuje.

Potem na szczęście już nic nie mówiła i tak trwaliśmy objęci, pół siedząc, pół leżąc, aż przestała dygotać. Wreszcie odsunąłem ją delikatnie.

– Musimy iść – rzekłem, pamiętając, iż lada chwila ktoś może znaleźć pod lipą trupy trzech bestii i nieprzytomnego stróża.

Wstałem i jęknąłem, zginając się wpół z bólu, który wrócił z nową siłą.

– Jesteś ranny! – ze zgrozą podniosła do oczu swą rękę mokrą od krwi; widocznie dotknęła rany.

– To nic – odparłem, rozwijając linę, którą byłem przepasany przez pierś i dlatego nie ucierpiała od pazurów bestii. – Chodźmy.

Ale ona już bez fałszywego wstydu podkasła suknię i oddała dół spódnicy, po czym podwinęła moją kolczugę i opatrzyła mi bok. Od razu poczułem się lepiej. Potem stanęła przede mną i spytała:

– Czemu tak długo byłeś dla mnie niedobry? Myślałam, że już mnie nie kochasz, że nic dla ciebie nie znaczę...

– Widzisz... Był przecież Stachnik Żółkiewski z zacnego rodu, był Jan Żaliński,

wytworny kawaler i drudzy, a każdy godniejszy ode mnie...

– Nigdy nie było nikogo okrom ciebie, Kacprze. Trochę potrwało, nim to pojąłem, za to zdobyłam pewność. Czy kiedykolwiek wybaczysz mi, że zwątpiłam w nasze miłowanie?

Przyciągnęła moją twarz do swojej i pocałowała. Pocałunek trwał długo, a mógłby całą wieczność, gdyby nie odgłos kroków na schodach.

– Przebóg, idą z wieczerzą – oderwała się ode mnie. – Nie traktują mnie tu źle i jak dotąd nie uczynili żadnej krzywdy, a karmią wcale dobrze, jeśli nie liczyć ohydnej potrawy z kogucich grzebieni...

– Musimy uciekać – przerwałem jej. – Pomóż mi.

Wspólnymi siłami przysunęliśmy ciężkie łoże do drzwi, a następnie zawiązałem wokół nogi łóżka linę, której drugi koniec wyrzuciłem za okno.

– Ty pierwsza – zakomenderowałem.

– Jedną chwilkę – rzekła i podskoczyła do krzesła, biorąc z jego oparcia odebrany jej trzos z nożami do rzucania, pamiątkę po dzieciństwie spędzonym pośród Cyganów, który zazwyczaj nosiła pod suknią, i natychmiast się nim przepasała po wierzchu niczym rycerz ruszający do boju.

Kiedy ześlizgiwała się po linie, już dobijano się do drzwi, a gdy i ja znalazłem się na dole, alarm ogarnął cały zamek, który rozjarzył się od świateł niemal we wszystkich oknach. Złapaliśmy się za ręce i popędziliśmy ku furtce, której zamek przestrzeliłem. Z boku rzucił się na mnie następny wielki brytan, lecz w każdej ręce Janki błysnęło ostrze noża i oba utkwily w piersi zwierza, który padł, nawet nie zaskomliwszy. Pobiegliśmy w kierunku przeciwnym do miasta, aby zmylić prześladowców. Przebiegliśmy mostek na Rudawie. Chciałem skręcić do klasztoru Norbertanek, lecz Janka pociągnęła mnie w górę, na wzgórze dawniej zwane Sikornikiem, a obecnie Bronisławy na cześć świątobliwej norbertanki, siostry Jacka Odrowąza, o której przypominano sobie, gdy król Zygmunt Stary w 1518 roku rozpoczął staranie o kanonizację błogosławionego Jacka [\[164\]](#).

– Tam nas nie będą szukać – wyjaśniła.

Jak fatalnie się pomyliła, pokazało się, gdyśmy dobiegali do drewnianej, pobudowanej na zrab w osmiobok przypominający rotundę i nakrytej gontową kopułą kaplicy Świętej Małgorzaty, postawionej w miejscu, gdzie ponoć przed wiekami stała pogańska świątynia. Była to opuszczona i bodaj nigdy niekonsekrowana kaplica na cmentarzu, gdzie grzebano zmarłych od zarazy, podobnie jak przy kościele Świętego Piotra na Garbarach. Byliśmy już niedaleko niej, gdy doszło nas rzenie koni, brzęk żelaza i głosy gromady ludzi.

– To Francuzi – zdziwiła się Janka. – Co oni tu robią?

Wiedziałem co. Baby na Rynku miały rację. Karol IX umarł, a król Henryk zamierzał uciec do Francji, i to właśnie dzisiejszej nocy! Nic jednak nie odrzekłem, tylko pociągnąłem dziewczkę w bok, ku stareńkiemu kościołowi Świętego Salwatora,

w którym jakoby kazał święty Wojciech i to on go wyświęcił. A wprzód Mieczysław Pierwszy ufundował kościołowi cudowny krucyfiks z Ukrzyżowanym odzianym w kosztowne szaty, który wedle legendy zrzucił ubogiemu grajkowi swój cenny trzewik dla poratowania jego ubóstwa i w nagrodę za piękną grę [165].

Byliśmy już za przykościelnym cmentarzem, gdyśmy posłyszeli za sobą wrzawę i szczekanie psów.

– To ci z zamku dotarli do tych pod kaplicą, teraz społem ruszą za nami! – zawołała Janka. – Szybko w górę, w dole zagrozi nam drogę Rudawa!

Dobytując resztek sił, wąską drożyną ledwo widoczną pośród drzew pognaliśmy ku szczytowi wzgórza. Kiedyśmy tam dotarli, pogoń była tuż-tuż. Zruderowana pustelnia [166], w której dokonała żywota siostra Bronisława, nie mogła nam udzielić schronienia.

– Jesteśmy zgubieni – rzekła Janka, ciężko dysząc, i przytuliła się do mnie. – Przynajmniej umrzemy razem.

Ale ja jeszcze nie złożyłem broni, choć sytuacja zdawała się beznadziejna i byłem coraz słabszy, a gdy dotknął boku, dłoń miałem całą we krwi. Zagryzłem wargi i myślałem gorączkowo. Teraz, kiedyśmy przypadkiem odkryli przygotowania do ucieczki króla, musieli nas uciszyć, nawet jeśli pierwotnie nie mieli takiego zamiaru. Mogliśmy uciekać zachodnim zboczem wzgórza, gdzie rozciągało się uroczysko nadal zwane Sikornikiem od mnóstwa sikorek, które tam się gnieździły. Grasował tam także, jak powiadano, Król Wężów, mieniący się wszystkimi barwami tęczy olbrzymi żmij z brylantową koroną na łbie. Kiedyś ponoć łakomemu pastuszkowi za pomocą bicia oblepionego smołą udało się ściągnąć gadowi koronę, ale na gwizd swego króla zbiegły się zewsząd wszystkie gady i chytrus ledwo zdołał przed nimi ująć do klasztoru Norbertanek, postradawszy po drodze swój łup. Za Sikornikiem rósł gęsty las i stały skały wapienne zwane Skałkami Panieńskimi, dlatego że tu siostry norbertanki szukały schronienia przed Tatarami podczas wielkiego najazdu w 1241 roku i dobry Bóg ocalił je przed pohańbieniem i śmiercią, zamieniając w skały. Mnie jednak nie o takie ocalenie szło, nawet gdyby Bóg był dla nas równie łaskaw. Zresztą Francuzi przewidzieli nasze posunięcie – pewnie wiódł ich ktoś dobrze znający okolicę. Zachodzili nas właśnie od tamtej strony. Widziałem światła migocące tu i ówdzie, wiatr niósł pokrzykiwania.

– Wracamy do miasta – zdecydowałem.

– A rzeka?

– Spróbujemy się przepawić. Może w wodzie stracą trop.

Wstaliśmy z trudem. Za dnia mielibyśmy stąd całe miasto jak na dłoni, tak jak o tym czytałem u Bielskiego, który pierwszy spisał po polsku ojczyste dzieje: „Gdy na nie z góry zwierzynieckiej spojrzysz, (bo z tamtąd najlepiej się mu przypatrzysz), jest coś podobne do lutnie okrągłością swą, a grodzka ulica i z zamkiem jest jako szyja u lutnie właśnie. Ma też coś podobnego do orła, którego głowę reprezentuje zamek,

grodzka ulica szyję, przedmieścia zasię około niego są jako skrzydła jakie” [167]. Ale nie mieliśmy ani możliwości, ani czasu na podziwianie widoków, na łeb na szyję zbiegając w dół, z psami i konnymi z pochodniami w dłoniach na karku. Gałęzie drzew uderzały nas po twarzach i raziły mój raniony bok, żywym ogniem paliły mnie okaleczone bosa stopy, lecz nie zważaliśmy na to, bacząc jedynie, by się nie przewrócić na jakimś wykrocie. Pogoń była coraz bliżej, psy niemal nas doganiały. W pośpiechu sięgnąłem w zanadrze i zwolniłem.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Janka.

– Nic. Biegnij. Zatrzymałem psy. Teraz będzie im trudniej znaleźć nasze ślady.

Po chwili usłyszeliśmy psi jazgot, żalosne szczeki, skomlenia i skowyty.

– Coś im uczynił?

– Nasypałem zmielonego pieprzu na ścieżkę – przewidując taką potrzebę, wykosztowałem się na drogą przyprawę i bynajmniej jej bestiom nie pożałowałem. – Nieprędko podejmą trop.

Ale pościg był zbyt blisko i dostrzeżono nas, zanim dopadliśmy nadrzecznych zarośli. Zaczęli strzelać, poczułem ból w nodze i upadłem.

– Trafili cię? – przypadła do mnie.

– Tak, ale to nic – wypaliłem w kierunku ścigających.

Jeden z jeźdźców spadł z konia, co na chwilę wstrzymało pozostałych.

– Prędko do wody – poderwałem się, złapałem Jankę za rękę i pokuśtykałem do rzeki.

Nie była zbyt głęboka, lecz na środku nurtu musieliśmy płynąć i utonąłbym, gdyby nie pomoc Janki, która wpierv podtrzymała mnie, a potem za kołnierz wyciągnęła na brzeg. Musieliśmy uciekać dalej, gdyż pierwsi konni już wpadali do wody za nami w ślad.

Znajdowaliśmy się na Błoniu Zwierzynieckim. Norbertanki oddały go miastu w zamian za dom wewnątrz murów miejskich, sposobniejszy jako schronienie od Skalek Panieńskich. Z zastrzeżeniem atoli, iż mieszkańcom Zwierzyńca nadal wolno będzie na błoniu wypasać bydło [168]. Z racji wylewów Rudawy łąka często zamieniała się w rozlewisko. Wówczas tworzyły się tu ostrowy zewsząd oblane wodą, na które przywożono zapowietrzonych, kłęcząc dla nich prymitywne budy, aby w nich oczekiwali wyzdrowienia lub śmierci. Zmarłych grzebano przy kaplicy Świętej Małgorzaty w wielkich dołach wypełnionych niegaszonym wapnem. Było to ponure miejsce nawet za dnia, a co dopiero w nocy.

Dotarliśmy na jedną z takich wysp i zalegliśmy w gęstych krzaczach. I tak nie miałbym siły iść dalej. Janka położyła sobie moją głowę na podołku i objęła mnie mocno. Mogłem tak leżeć do skończenia świata. Słyszeliśmy naszych prześladowców, jak rozchlapując wodę, brodzili wokół nas, łamiąc trzciny i nawołując się przytłumionymi głosami. Raz byli tak blisko, że mój ujrzał przed nosem nogę obutą w botforta. Wyciągnąwszy rękę, mógłbym zaobjada uszczypnąć w zadek. Musiałem

chyba mieć febrę, bo ta myśl tak mnie rozbawiła, że omal jej nie uskutecznił. Na szczęście Francuz wnet odszedł. Ale naprawdę serce niemal wyskoczyło mi z piersi, gdy chwilę potem, że się tak wyrażę, stanął (acz leżałem) twarzą w „twarz” z psem. Był chyba jeszcze bardziej zaskoczony ode mnie, gdyż nie wydał z siebie głosu, wytrzeszczając jeno ślepią, i tak już mu zostało, bo Janka błyskawicznie poderżnęła zwierzowi gardło i wtoczyła drgające truchło pod wodę. Chyba straciłem na chwilę przytomność, bo gdy się ocknął, wokół panowała ciemność i cisza. Nie licząc żabiego chóru na milion głosów. Tuż obok mnie zaszeleściło i do wody zsunął się żmij gruby jak moje ramię. Zygzakiem odpłynął w mrok.

– Co się dzieje? – szepnąłem.

– Odeszli. Przed chwilą ktoś z drugiego brzegu ich odwołał. Chwała Bogu, żeś przyszedł do siebie. Nie możemy tu zostać, potrzebujesz opieki. Musimy iść dalej. Poradzisz?

– Pewnie. Wystarczy, że mnie pocałujesz, a znów poczuję się jak młody bóg.

Nie ociągała się z dodaniem mi energii i znowu poczułem się jak w niebie. Dlaczego pozwoliliśmy, by wkradły się między nas nieporozumienia i straciliśmy tyle czasu? Potem oddała następny kęs spódnicy, by obwiązać mi ranę na udzie, a widok jej zgrabnych kostek też mi dobrze zrobił.

Starając się ukryć przed Janką ogarniającą mnie coraz większą słabość i drzenie rąk, skrzesalem ogień, bo przezornie trzymana w impregnowanym saczku hubka szczęśliwie nie zamokła ani nie zgubiłem latarki, i powlekliśmy się dalej. Wkrótce Janka odebrała ode mnie światło i poprowadziła nas przez moczary, kierując się chyba szóstym zmysłem nabytym u Cyganów. Raz zatoczyłem się w bok i natychmiast wpadłem w bagno, szybko pograżając się po pas. Nie wiem, jakim cudem udało się Jance wydobyć mnie z topieli. Zdążając, jak nam się zdało, na zachód, brodziliśmy po kolana w wodzie, przedzierając się przez wysokie trawy i gęste zarośla, padając i wstając, aż wzeszedł księżyc. W tym samym momencie usłyszałem słaby dźwięk trąbki strażnika na mariackiej wieży, z trudem przebijający się przez donośny rechot żab, i zorientowałem się, że skręciliśmy zbyt na północ. Znajdowaliśmy się w najbardziej zarośniętej części błonia, zwanej Olędrami [169]. Na jednej z kęp, w miarę suchej, padłem i już się nie podniosłem.

– Dalej musisz iść sama.

– Nie chcesz mi tu chyba umrzeć? Nie po tym co przeszliśmy – przestraszyła się.

– Nie, tylko opadłem z sił – uspokoiłem ją; resztką woli wydostałem wytrychy zza pazuchy i wręczyłem Jance. – Masz, wejź do miasta przez furtę u wylotu Świętej Anny.

– Dobrze. Zostawię ci latarkę, bo miesiąc świeci dość jasno. Wrócę z pomocą tak szybko, jak tylko się da. Ale musisz mi obiecać, że na mnie zaczekasz.

– Obiecuję – powiedziałem, dobrze wiedząc, że okłamuję ją po raz pierwszy w życiu, i zapewne ostatni.

Pocałowała mnie i odeszła, wciąż oglądając się za siebie i machając do mnie. Dzielna dziewczka. Zasługująca na dobre życie u boku kogoś lepszego ode mnie. Z czasem sama to pojmie. Dla mnie już nie było ratunku, jako niedoszły medyk wiedziałem coś o tym. Bólu nie czułem, tak równomiernie byłem obolały. Kręciło mi się w głowie, oczy kleiły. Z najwyższym trudem zmusiłem się ze dwa razy do podniesienia dłoni, aby widziała, że nic mi się nie dzieje. Ułożyłem się wygodnie, kładąc głowę na kępie miękkiego mchu. „Jajco norymberskie” stoczyło mi się z piersi i leżało tuż przed moimi oczyma, zwrócone ku górze sentencją: *Vulnerant omnes, ultima necat* [170], jakże stosowną w tych okolicznościach. Zegarek tykał miarowo, żaby muzykowały, a ja gapiłem się w płomyk świecy w latarce i zastanawiałem leniwie, który z nas zgaśnie pierwszy. Nagle, mimo ośpienia, w które popadłem, wychwyciłem w otaczających mnie dźwiękach jakąś niewielką, lecz uchwytną zmianę. Dopiero po chwili pojąłem, że to zegarek stanął. Może zapomniałem go nakręcić, albo raczej mechanizm zepsuł się w wodzie. Byłbym się zaśmiał z tej ironii losu, lecz nie miałem siły. Życie wyciekało ze mnie z każdą kroplą krwi, której straciłem już całe mnóstwo. Umierałem...

EPILOG

– Tuszę, że des Isoires dotarł już w bezpieczne miejsce – westchnął niespokojnie, zjadając się przysmakiem swoim i matki, *ratatouille de crêtes*, czyli potrawką z kogucich grzebieni, afrodyzjakiem.

Miał powód do niepokoju – Ardier des Isoires zabrał ze sobą perły i klejnoty królewskie o ogromnej wartości. Wcześniej wyjechali ambasador francuski Bellèvre oraz marszałek de Retz, markiz de Rambouillet i Nevers (obaj aby przygotować bezpieczną trasę aż do Francji), i inni. Od tygodni, a zwłaszcza od środy, czyli od dnia, gdy dowiedział się o śmierci Karola IX, drogi w kierunku Wiednia były pełne uciekających z Krakowa Francuzów. Trzymano nowinę w ścisłej tajemnicy, a mimo to rozeszła się błyskawicznie. Jakoś uspokoił poruszonych senatorów, utrzymując, że nie zamierza wyjeżdżać do Francji, i choć uwierzyli, musiał się spieszyć.

– Czy odnaleziono Bussy’ego?

– Nie – odparł du Guast z zaciśniętymi zębami. – Zdołał się wymknąć. Teraz musi być daleko.

– Nie szkodzi. Rozprawimy się z nim na miejscu, we Francji. Czy wszystko gotowe?

– Tak jest, *sire* – odparł karzeł Krasowski, jedyny z Polaków we wszystko wtajemniczony. – Rozsadzone konie będą czekać u opuszczonej kaplicy na Zwierzyńcu pod pieczę naszych ludzi, a Pibrac i Villequier na pierwszym postoju z przewodnikami i tłumaczami. Na wszelki wypadek ukradłem też klucz do bocznej furty.

– Wybornieś się spisał. A co z tobą?

– Poradzę sobie.

– *Majesté* – du Halde wsadził głowę w drzwi. – Pan podkomorzy krakowski Jan Tęczyński z drugimi panami proszą o posłuchanie.

– Zatrzymaj ich chwilę. Szybko, de Souvré, pomóż mi się rozdziać...

Leżał już w łóżku w samej bieliźnie, gdy Polacy weszli do sypialni, nieufnie rozglądając się dookoła.

– Chodzą słuchy, że wasza królewska mość chcesz dziś w nocy uciec do Francji – śmiało rzekł wojewoda krakowski Piotr Zborowski.

– Czy tak wygląda ktoś, kto wybiera się w podróż? – roześmiał się, nakładając szlafmycę. – A teraz, *sieurs*, wybaczcie, lecz jestem bardzo śpiący.

Francuzi pierwsi dali przykład, Polakom nie pozostało więc nic innego, jak pójść w ich ślady. Tęczyński jedynie, wedle zwyczaju, zaciągnął kotarę u królewskiego łóża, napomniał paziów, by czuwali nad śpiącym, i wyszedł jako ostatni.

Odczekali godzinę dla pewności i weszli do sypialni przez drugie drzwi ukryte za arrasem. Było ich czterech, sami najbardziej zaufani: lekarz Miron, kapitan gwardii przybocznej Mikołaj de Larchant, mistrz garderoby de Souvré i lokaj Jan du Halde. Ubrali króla i wymknęli się z komnaty samopiet, przykazując paziom surowo:

– Ani słowa aż do rana.

Była pierwsza w nocy z piątku na sobotę, 18 na 19 czerwca. Souvré, który trochę umiał po polsku, poprowadził uciekinierów obok kuchni królewskich do wieży Senatorskiej zwanej Lubranką, gdzie była boczna furta wychodząca na Kazimierz, do której dostał klucze od Domina na wypadek, gdyby nikt nie pilnował bramy. Ale pilnowano.

– Werda? – zawołał starszy strażnik.

– My... Schadzka... – wybąkał mistrz garderoby.

Podoficer obejrzał wszystkich uważnie. Czterech znał, lecz piąty, ciasno owinięty opończę, skrywał twarz w cieniu.

– A ten to kto?

– *Capitaine Lamotte*.

Po pełnej napięcia chwili strażnik dał znak drugiemu, by otworzył furkę. Nie miał powodów do podejrzeń – wiele razy wcześniej wpuszczał lub wypuszczał tędy Francuzów wymykających się nocą z zamku na amory. Zerknął tylko na ich buty i wyzbył się wszelkich dubiów – nie mieli ostróg, zatem w istocie nie wybierali się daleko. Uciekinierzy zbiegli ze wzgórza i brzegiem Wisły przedostali do Zwierzyńca, gdzie przy cmentarnej kaplicy czekało kilku dworzan z wierzchowcami. Wyjęli schowane w kieszeniach ostrogi i przypięli je do butów. Od razu ruszono z kopyta w stronę śląskiej granicy. Król miał konia berberyjskiego, bardzo szybkiego, lecz o nierównym chodzie. Jazda na nim niezwykle męczyła, dlatego przesiadł się na klacz turecką, którą otrzymał w darze od Tęczyńskiego. Gnali jak wiatr, niespokojnie oglądając się wstecz.

Na następnym przystanku w umówionym miejscu mieli czekać Pibrac i szambelan René de Villequier, jednak zabłądzili, bo nie tylko najęli marnych przewodników i tłumaczy, ale i nie znali polskiego języka. Uciekinierzy pogubili się więc w gęstym lesie za Lanckoroną, gdzie zwalone pnie tarasowały i myliły drogę. Jadący przodem Larchant i Souvré natknęli się w lesie na ubogą chatę samotnego

drwała. Wystraszony, zgodził się zostać przewodnikiem, gdy skusili go francuskim złotem. Odtąd stale pędzono galopem, o świcie dotarłszy do Zatora. Tu wyczerpany Henryk zarządził popas, natarł sobie skronie winem, resztę trunku zaaplikował do wewnątrz i kazał gnać dalej. W Oświęcimiu odnaleźli się Pibrac z Villequierem. Granica była tuż, ale pościg także.

– Król wymknął się z zamku – kucharz Antoni spostrzegł uciekinierów, gdy wykradali się przez piekarnię; zaniepokojony popędził obudzić kuchmistrza koronnego Dominika Alamaniego, Florentczyka, ale ten zbył jego obawy:

– A bo to pierwszy raz?

Jednak dał znać Janowi Tęczyńskiemu. Czujny podkomorzy widać zwęszył pismo nosem, bo w przeciwieństwie do wojewody krakowskiego i reszty senatorów uczujących i upijających się właśnie w sztok, był całkowicie trzeźwy.

– Przebóg! Król chce uciec do Francji! Podejrzałem to! – choć niewyspany, natychmiast zerwał się na równe nogi.

Nikt nie odpowiadał na pukanie, więc wyważono drzwi do komnat królewskich, gdzie zastano tylko paziów, błagających o wybaczenie:

– Łaski! Jego królewska mość zabronił nam otwierać komukolwiek pod karą gardła!

– Co robić? – miotał się w desperacji.

Wreszcie podjął decyzję.

– Za mną! – krzyknął do garści nadwornych Tatarów i na ich czele wreszcie ruszył w pogoń.

Ale też błędził po drodze i dlatego nie dopadł zbiegów przed granicą. Pluł sobie ponieważ w brodę, bo sam podarował królowi znakomitego wierzchowca, którego dogonić było bardzo trudno.

Gdy Tęczyński z Tatarami wjeżdżał do Oświęcimia jedną bramą, opuszczali miasto drugą. Za miastem znów zgubił się Guy de Pibrac, wyjątkowy niezguła nawet jak na uczonego. Zabłąkany w puszczy, obrabowany przez chłopów, którzy zabili mu sługę, uniknął śmierci, siedząc po uszy w bagnie, podczas gdy napastnicy ciskali weń strzały i kamienie. Dopiero w nocy wylazł z topieli, zostawiając w niej buty i pończochy, i na bosaka dowlókl się do jakiejś drogi, gdzie został cudownie uratowany przez biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego, który wraz z referendarzem Czarnkowskim kolasą pociągnął za uciekinierami.

Nie czekając na niezgułę, król dotarł z towarzyszami do drewnianego mostu na Wiśle, oddzielającego Polskę od cesarstwa. Pomknął dalej, a jego ludzie porąbali most i spławili go z prądem. W tejże chwili dopadł ich starosta oświęcimski, który skracał sobie drogę, biegnąc na piechotę przez pola i łąki, i dlatego zdołał wyprzedzić zmieniającego wierzchowce Tęczyńskiego, który go o ucieczce króla powiadomił. Ujrzawszy króla po drugiej stronie rzeki i granicy, starosta zrzucił ubranie i skoczył do

wody, wołając:

– *Serenissima majestas, cur fugis?* [171]

Widząc golasa, król wybuchnął śmiechem i tylko zaciął konia, a jego przybocznicy mało nie pospadali z wierzchowców z rozbawienia, lecz na widok Tatarów wnet zrzędyły im miny.

Tęczyński doścignął uciekinierów dopiero koło Pszczyny na cesarskim Śląsku. Tatarzy napięli łuki, towarzysze króla zastawili go i wymierzili pistolety. Tęczyński prosił tylko o chwilę rozmowy – na to król się zgodził, ale na powrót już nie.

– Wrócimy, gdy uporządkujemy sprawy we Francji – zapewnił fałszywie, dobrze wiedząc, że nie wróci nigdy. – Stosowne objaśnienia znajdziecie w gabinecie na pulpicie – wstyd mu było powiedzieć, że w rzeczywistości, by ich zbyt szybko nie znaleziono, wepchnął je za piec kaflowy. – Tyle wam teraz możemy rzec, że ponieważ nas Polacy za pana obrali, odjechać nam się lada jako nie godzi, lecz musimy ojczyznę utrapioną ratować, albowiem zdrajca książę Kondeusz z rajtarami niemieckimi ku Francji ciągnie.

Podkomorzy zadowolił się tym wykrętem, bo i co innego mógł zrobić? Wydobył szablę, ale gdy przerażeni Francuzi chwycili za rapiery, zaciął się tylko w rękę, na krew swoją przysiągł dozgonną wierność Henrykowi i zawrócił do Polski.

– Du Halde, nie zgubiłeś tego antałka starki i owych widełek do jedzenia, które kazałem ci zabrać? – rzucił król wesoło.

– Nie, wasza królewska mość.

– To dobrze, bo one i czapeczki – poklepał się po tej, którą miał na głowie; spory zapas wiózków zaś w worku przy siodle – to jedyne rzeczy warte uwiezienia z tego wstrętnego kraju.

– *Sire* – wtrącił poeta Desportes – racz wysłuchać wiersza, który właśnie przyszedł mi do głowy:

*Adieu, Poloigne, adieu, plaines désertes
Tousjours de neige et de glace couvertes...
Barbare peuple, arrogant et volage,
Vanteur, causeur, n'ayant rien que langage,
Qui, jour et nuict dans un poisle enfermé,
Pour tout plaisir se joue avec un verre,
Ronfle à la table ou s'endort sur la terre...* [172]

– Nic dodać, nic ująć. W drogę, mości panowie, do Francji! – zawołał, zaciął konia i ruszył na czele kawalkady ku swemu przeznaczeniu, nie pamiętając o prorocztwie Nostradamusa:

*La grande pesche viendra plaindre, plorer,
D'avoir esleu, trompez seront en l'age*

*Guere avec eux ne voudra demeurer:
Deceu sera par eux de son langage [\[173\]](#).*

POSTSCRIPTUM

*Rex Henricus
wyrządził Polakom psikus;
w nocy obran,
w nocy przyjechał,
w nocy jak zdrajca uciekał.*

Taki wierszyk krążył po Polsce, ale Henryk nie przejął się tym wcale. W lutym 1575 roku uroczyście koronowano go na króla Francji, Henryka III. Stało się to w dniu Zesłania Ducha Świętego (pierwszy dzień Zielonych Świąt), a dziwnym zbiegiem okoliczności niemal dokładnie rok wcześniej, też tego dnia, został koronowanym królem Polski. Namaszczono go świętymi olejami w Reims, gdzie w tamtejszej katedrze przechowywano ów olej w cudownej ampule. Namaszczenie dało mu moc czynienia cudów, szczególnie uzdrawiania (zwłaszcza skrofułów).

Na pamiątkę obu swych koronacji, polskiej i francuskiej, ustanowił słynny Order Świętego Ducha, przyznawany ważnym osobistościom za wybitne zasługi w dziele obrony świętej wiary katolickiej [\[174\]](#).

Podczas wojny Hiszpanii z Anglią Henrykowi de Guise (przystojnemu blondynowi, którego po odniesieniu rany przez twarz zaczęto nazywać Henrykiem z Blizną lub Pokiereszowanym), marzącemu o koronie, ale niepopularnemu wśród arystokracji od czasu pohańbienia umierającego admirała Coligny, czego mu nigdy nie zapomniano, udało się podburzyć paryską tłuszcę i opanować Paryż. Henryk III, który nie chciał walczyć i paradował po mieście w mnisim habicie, przezywany ze śmiechem „bratem Henrykiem”, musiał z Paryża umykać. A uczynił to dosłownie w ostatniej chwili i znów, jak przed laty na Wawelu, konia pomagał mu dosiąść wierny du Halde. Odtąd matka nazywała go pogardliwie Le Roi de Rien, Królem Niczego, zaś prosty lud zwał go Nowym Herodem z racji upodobania do miłości włoskiej.

Ale po klęsce Hiszpanii wpływy Gwizjuszy osłabły. Zostali skazani na śmierć za zdradę stanu. Henryka z Blizną, Balafre, pysznego „króla Paryża”, w majestacie prawa król kazał zabić swym gwardzistom. Uczynili to i gdy przyszedł na wezwanie, zadźgali Naznaczonego niemal u stóp króla. Henryk III nadepnął umierającemu na twarz i rzekł z drwiną:

– Jaki on wielki! – po czym dodał: – Teraz jestem królem! – Jednak słowo stało się ciałem dopiero po rychłej śmierci królowej matki, złowrogiej Katarzyny de Medici, jednego z głównych sprawców rzezi w noc świętego Bartłomieja. Umarła zwyczajnie, może dlatego że nie miała odwagi mordować własnoręcznie.

Następnego dnia zaszytletowano brata Henryka Pokierszowanego, drugiego Gwizjusza (ich stryj już nie żył), zwłoki obu spalono, a prochy wsypano do Sekwany. Te zabójstwa, choć legalne w świetle prawa, zwróciły przeciw królowi katolików. Wobec tego Henryk III jawnie sprzymierzył się z Henrykiem Nawarskim, oficjalnie ogłosiwszy go swym następcą. Wspólnie oblegli zbuntowany Paryż, w którym fanatyczni kaznodzieje zagrzewali katolików do walki z tyranem, mordercą, czarownikiem i renegatem – królem Henrykiem III.

1 sierpnia przed czwartą rano mimo wczesnej pory już ubrany stał w oknie swojej kwatery w domu de Retza w Saint-Cloud, widząc przed sobą panoramę zrewoltowanego miasta i będąc w wyśmienitym humorze. Oto nareszcie był o krok od pewnego zwycięstwa i zaprowadzenia we Francji porządku.

– Co tam się dzieje? – zawołał, słysząc hałas za drzwiami.

– Jest tu jakiś młody mnich dominikański, Jakub Clément, rzekomo przybywający z listami od znajdujących się w Paryżu zwolenników waszej królewskiej mości – wetknął głowę do komnaty kapitan Nicolas de Larchant, dowódca obstawy króla, sławnych zabijaków gaskońskich – Czterdziestu Pięciu.

– Niech wejdzie – odparł. – Jeżeli go odprawię, powiedzą, iż odpędzam mnichów.

Gdy czytał pierwszy list, mnich udał, że w rękawie szuka drugiego, po czym wydobywszy mały sztylet, rzucił się na Henryka i wbił mu go w brzuch...

– Niegodziwiec, zamordował mnie! – zawołał król. – Zabijcie tego mnicha!

Na krzyk króla straż wbiegła i rozsiekała skrytobójcę na miejscu. Henryk umierał długo, jak Wapowski, bo jego ranę początkowo także uznano za niegroźną i zlekceważono. Zmarł 2 sierpnia 1589 roku, przekazując władzę (brat Franciszek od dawna nie żył) Henrykowi Burbonowi. Miał trzydzieści osiem lat, był w jedenastym pokoleniu potomkiem Filipa IV Pięknego, którego razem z następcami do trzynastego pokolenia przeklął ongiś wielki mistrz zakonu templariuszy Jakub de Molay, poddany okrutnym torturom i spalony na stosie.

Żona Luiza, której Henryk w ostatnim liście nakazał czekać na siebie, wzięła to sobie do serca i resztę życia spędziła w obitej kirem komnacie w zamku nad Loarą. Nikt inny po Henryku nie płakał. W Polsce jego nagłą śmierć skomentowano tak:

*Gdy milczkiem zjechał wnet francuski panic,
Obiegłszy polskich tłustorolnych granic,
Tę zdradę zdradą mnich mu też nagroził
Gdy nie pohybny nożem w brzuch ugodził [175].*

I wypomniano pogardzenie polską koroną:

*Chwałę by dostał, dostał i sławy
Ochroniłby był gardła i uszedł osławy [176].*

Owego ładnego dnia, 14 maja 1610 roku, wsiadł do otwartego powozu w asyście pięciu dworzan, aby odwiedzić ministra finansów de Sully'ego. Rozsiadł się wygodnie i pozdrowił wiwatujący tłum. Henryk IV Burbon, wiecznie cuchnący, chutliwy niechluj, który kochanki liczył na kopy, niezbyt lotny, ale prostolinijny i bezpośredni, dobry wódz, okazał się równie dobrym królem i w końcu za cenę przejścia na katolicyzm – wypowiedziawszy wtedy słynne zdanie: „Paryż wart jest mszy” – zaprowadził we Francji pokój. W 1598 roku wydał edykt nantejski, w którym zrównał w prawach protestantów z katolikami. Dbał o lud, mawiając: „Pragnę, aby przy niedzieli każdy chłop miał kurę w garnku”, a lud odpłacał mu sympatią. Były wszak wyjątki: jezuici i inni fanatyczni katolicy, którzy nigdy nie wybaczyli mu protestanckiej przeszłości, a edykt nantejski uznali za dzieło szatana.

Mimo jego uderzającego wyglądu, nikt nie zwrócił uwagi na niejakiego Franciszka Ravaillaca, rosłego, w sile wieku, o marchewkowej czuprynie i w zielonym ubraniu, który niczym wilk sunął śladem kolasy. Gdy ta z powodu zatoru zatrzymała się w wąskiej uliczce de la Ferronerie, rudowłosy wskoczył na stopień pojazdu i pchnął króla sztyletem.

– Ach! Jestem zraniony! – zawołał Henryk. – Ale to nic.

W zamieszaniu morderca miał czas, by zadać drugi cios, który przebił płuco i dokończył dzieła. Torturowano go potem i rozdarto końmi, lud i szwajcarscy gwardziści rozszarpali szczątki, by je następnie pożreć z jajecznicą, lecz królowi życia to nie wróciło. Był dwunastym i ostatnim pokoleniem władców francuskich pokaranych klątwą wielkiego mistrza templariuszy, która tym sposobem wypełniła się do końca, podobnie jak prorocstwo Nostradamusa:

*Le Roy Roy n'estre. Du Doux la pernicie,
L'an pestilent, les esmeus nubileux:
Tien'qui tiendra des grands non letitie:
Et passera terme da cavilleux [177].*

– Co za głos! – spojrzała z czułością na swego najnowszego kochanka, śpiewaka Villarsa. – Przy tobie zacni augustianie, z których gościny korzystam, beczą jak

barany.

Szykując się do upojnej nocy, starannie zamknęła w szafce przy łożu pas z kieszonkami, za dnia noszony pod suknią (żółtą – to był w odcieniach aż do pomarańczowego jej ulubiony kolor), do którego wkładała zasuszone serca swych kolejnych kochanków, w miarę jak w sposób najczęściej nagły tracili życie. Przemknęło jej przez myśl, że i serce młodego śpiewaka zapewne wkrótce będzie mogła włączyć do kolekcji. Nie zdążyła. Umarła w wieku sześćdziesięciu dwóch lat w 1615 roku. Królowa Margot przeżyła wszystkich swoich krewnych. Odsunięta od dworu po rozwodzie z mężem, który ożenił się z Marią de Medici, matką przyszłego króla Ludwika XIII, do końca zmieniała młodych kochanków częściej niż rękawiczki. Była ostatnią z przeklętego rodu Walezjuszy.

NOTKA HISTORYCZNA

Słynne sprawy kryminalne (Bartosza z Lusiny, złodzieja pieczęci królewskiej i magistra Wolskiego) oraz afera polityczna z udziałem Twardowskiego, będące osnową pierwszego tomu przygód Ryksa, wydarzyły się naprawdę w ciągu dekady między 1559 a 1569 rokiem i miały przebieg niemal identyczny z opisanym w książce. Jedynym istotnym odstępstwem historycznym było uczynienie z Wolskiego mordercy (co zostało sprostowane w tomie drugim) – w rzeczywistości nie popełnił on żadnej zbrodni, o którą go obwiniano, a jego skazanie na śmierć było skandalicznym nagięciem prawa w celu dokonania prywatnej zemsty przez burmistrza Erazma Czeczotkę. Postać Czeczotki bynajmniej nie została przerysowana (nawet jego fagas, Praszka *vel* Siekiera, to postać historyczna). Wywołanie „ducha” Barbary Radziwiłłówny odbyło się albo w 1551 roku na Wawelu albo w 1569 roku na zamku warszawskim. Twardowski – przypuszczalnie na zlecenie swych mocodawców, Mniszchów – najpóźniej w 1573 roku, zaraz po śmierci Zygmunta Augusta, zginął zamordowany (być może w karczmie „Rzym” w Pychowicach, istniejącej do początku XX wieku, albo w miejscowości Mystki-Rzym, trzy kilometry od Wysokiego Mazowieckiego na Podlasiu).

W części drugiej wszystkie skandaliczne i odrażające szczegóły dotyczące stylu życia i cech charakteru ostatnich Walezjuszy oraz krótkiego pobytu Henryka w Polsce odpowiadają prawdzie. Jak się wyraził pewien historyk, cokolwiek złego by powiedzieć o tej rodzinie, wszystko mogło się zdarzyć. To samo da się powiedzieć o Zborowskich. Zamordowanie chłopca Królika, wytrzebiecie dominikanina, poszczucie Włocha Candiana niedźwiedziem i zabójstwo Wapowskiego naprawdę się zdarzyły, choć był to dopiero początek zbrodniczej działalności Samuela i jego braci. Jedyne poważniejsze odstępstwo od prawdy historycznej to przesunięcie pierwszego zburzenia Brogu (ostatecznie został zniszczony w 1591 roku) o ponad rok wstecz, na czas pierwszego bezkrólewia (a nie jak w rzeczywistości – drugiego, w październiku

1575 roku), choć przebieg został przedstawiony dość wiernie. Nawet prowadzący tego zajścia: Orzechowski i Chrzastowski, a także zabójcy zecera: Walawski i Dąbrowski, to postacie historyczne. I jeszcze jedno – doktor Janeczka, faktycznie jeden z przywódców ultrakatolickiej frakcji na Akademii Krakowskiej, nie był zamieszany ani w rzekome kradzieże zakazanych ksiąg, ani tym bardziej nie inspirował działań (fikcyjnego) Bractwa Trójcy. Istnienie osławionego Zakonu Syjonu jest więcej niż wątpliwe.

Co do dwóch innych drugorzędnych postaci to: Du Guast zginął, gdy nocą do jego sypialni wpadło kilku zamaskowanych ludzi pod wodzą barona Viteaux (podbechtanego przez królową Margot) i przebiło go sztyletami. Bussy d'Amboise drogo zapłacił za starą zdradę – przejście na stronę młodszego brata króla, i nową zbrodnię – nawiązanie miłosnego stosunku z królową Margot. Podstępnie napadnięty przez zgraję wynajętych (przez hrabiego Montsoreau, któremu przyprawił rogi, o czym ów dowiedział się od króla Henryka III) zabójców, został zadźgany jak zaszczute zwierzę pod oknem, przez które zamierzał się salwować. Dziwnym zbiegiem okoliczności większość sprawców rzezi w noc Świętego Bartłomieja została zamordowana, zupełnie jakby na nich także ciążyła jakaś klątwa.

SŁOWNIK

- abiuracja – wyparcie się wiary, zob. konwersja
ad rem (łac.) – do rzeczy
akolita – towarzysz, poplecznik
akomodować – przysposobić, przystosować
albus (łac.) – biały, albinos
ambaje – bzdury, brednie
ansa – niechęć, uraza
antyfona – nabożny śpiew kapłana i wiernych lub dwóch chórów kościelnych na przemian
antyszambr – przedpokój, korytarz
apologia – mowa lub pismo usprawiedliwiające, broniące
arendarz – dzierżawca karczmy
Arma Trinitatis (łac.) – Tarcza Trójcy (świętej)
artes liberales (łac.) – sztuki wyzwolone; siedem przedmiotów wykładanych albo w szkołach katedralnych jako *trivium* (stopień niższy, szkoła trywialna obejmująca arytmetykę, gramatykę i geometrię) oraz *quadrivium* (stopień wyższy: retoryka, dialektyka, astronomia, muzyka), albo na uniwersytetach jako wydział wstępny, filozoficzny
artium (łac.) - wydział filozoficzny na uniwersytecie
atencja – szacunek, uznanie
auberge (fr.) – oberża, gospoda
autorament cudzoziemski – wojsko najemne, inaczej uzbrojonei zorganizowane niż rodzime
azard – hazard, ryzyko
- bakalaureat – najniższy stopień naukowy
bandolet – krótka broń palna (ale dłuższa od pistoletu)
bean – początkujący student
bedel – woźny szkolny
benissimo (wł.) – doskonale
bibi (rom.) – ciotka
bibliograf – znawca wydań, ksiąg, druków i rękopisów, układający katalogi ksiąg
biegun – tu: włóczęga
bien (fr.) – dobrze
biesagi – podwójne sakwy, zarzucane na plecy przez obieżyświatów
bisurmanie – muzulmanie
botfort – but do konnej jazdy, po odwinięciu cholewy sięgał do połowy uda
brona – tu: brama
bróg – stóg zżętego, lecz nie wymłóconego zboża nakryty czterospadowym daszkiem w kształcie

ostrosłupa
buks(z)taba – litera
burk – bruk

casus (łac.) – sprawa, afera
cekhauz – arsenał
ceklarz – pomocnik kata
celestat (z niem.) – strzelnica
cepak – strażnik (zwłaszcza nocny) uzbrojony w cep bojowy
château (fr.) – zamek
chowaniec – wychowanek
chwatać – chwytać, łapać
cicatrix (łac.) – blizna
clé (fr.) – klucz
comber – zrazówka, pieczeń zrazowa z grzbietu wołu, jelenia, skopa, sarny; babski comber – zabawa ludowa
constuprator (łac.) – gwałciciel, zboczeniec
culo (łac.) – dupa
cyngła ruszyć – wystrzelić
czambuł – oddział tatarski
cząty – dukat
czekan – toporek bojowy (z obuchem) na długiej rękojeści, podobny do góralskiej ciupagi
czerwony złoty – dukat
czymbor – więzy, pęta, łyka
ćwik szpakami karmiony – wyga

dal – tu: przyszłość
dank (z niem.) – podziękowanie, wdzięczność
delacja – donos
delia – płaszcz podbity futrem
diameter (z gr.) – średnica
donacja – darowizna; donator – dobrodziej, darczyńca
dorotka – dawniej jedno z określeń prostytutki
drabant – halabardnik
dubeltowy – podwójny
dubium (łac.) – wątpliwość
dyle – deski, belki
dziardyn (z fr.) – ogród
dziewięsił – olbrzym, siłacz

ekstraordynaryjny – dodatkowy, nadzwyczajny
emablować – zabawiać, nadszakiwać (kobietom)
ergo (łac.) – więc, zatem
exitus letalis (łac.) – zejście śmiertelne
exodus (łac.) – wyjście, emigracja

facelet – chustka do nosa
factum (łac.) – czyn, fakt, zdarzenie
faktotum – totumfacki; prawa ręka, człowiek do wszystkiego
famurały – kalesony, obcisłe spodnie
fara – kościół parafialny
fen (arab.) – dziedzina (np. nauki), gałąź (wiedzy); tu: rozdział z *Kanonu medycznego* Avicenny
filip – tu: zajęć
filius meretricis (łac.) – syn nierządnicy
finta (wł.) – zwód, pozór, fortel

fizyrunek – wizerunek, portret
floreń – złota moneta równa dukatowi i czerwonemu złotemu (zawierała ok. 3,5 g złota), początkowo równa także bitemu w Polsce od 1564 r. srebrnemu talarowi (złoty polski), tzw. półkopkowi (30 gr); z czasem wartość florenów i dukatów wzrosła do 2 talarów i wynosiła 60 gr
fluksja – opuchnięcie dziąseł
folusz – urządzenie do obróbki sukna
forkiet – soszka, widełki do podpierania lufy muszkietu
forsa – przemoc, nacisk
forys – jeździec z trąbką poprzedzający karocę pańską; także: woźnica
frant – oszust; frantostwo – oszustwo
frukta – owoce
frymark – kupczenie, korupcja
fur (łac.) – złodziej

gadzo (rom.) – chłop, obcy, nie-Cygan
gamratka – prostytutka
giezło – koszula
gira – niezbyt kształtna noga
glot – kawałek ołowiu do nabicia broni
głownik – skazany na śmierć
gmach – komnata, izba
Gody – Boże Narodzenie
granat – tu: laska z ukrytym sztyltem
gustum (łac.) – gust, smak
gzelce – salcesony

hakownica – ciężka rusznica z hakiem do zaczepienia o podłoże na spodzie lufy
harcerz – tu: halabardnik
helluo librorum (łac.) – mól książkowy
Helweci – Szwajcarzy
herbarz – zielnik
hiberna – zimowanie
histrion (z łac.) – aktor
holofagus (łac.) – całożerca, określenie smoka wawelskiego
homines (łac.) – ludzie
homo trium literarum (łac.) – dosł. człowiek trzech liter (por. *fur*), złodziej
horrible (fr.) – okropny, szkaradny
humilis loco (łac.) – niskiego stanu
hutman ratuszny – dowódca straży miejskiej

imionisko – pseudonim
importun – natręt
impossible (fr.) – niemożliwe
indagacja – śledztwo; indagować – prowadzić dochodzenie
indygen – tubylec
infirmeria – izba chorych przy klasztorze (lub więzieniu czy innym zakładzie); infirmierz – kierownik izby chorych lub zastępca hospitalariusza kierującego dużym szpitalem
instancjonalny – polecający
instygator – prokurator miejski mianowany przez radę miejską
interregnum (łac.) – bezkrólewie
inwestygator – badacz, śledczy; od *investigo* (łac.) – śledzić, tropić, badać, poszukiwać
iściec – świadek
iure caduco (łac.) – prawem kaduka, bezprawnie, przemocą
ius talionis (łac.) – prawo odwetu

jagody – tu: policzki
jakmiarz – prawie
jaźwiec – borsuk
jelec – poprzeczka między głownią (brzeszczotem) a rękojeścią białej broni
jurgielnik – najemnik (od jurgielt – miesięczne lub roczne wynagrodzenie, żołd)
jurydyka – obszar wyłączony spod jurysdykcji miasta
justycjariusz – stróż prawa

kabaty – cele więzienne w krakowskim ratuszu
kacermistrz – herezjarcha (twórca herezji)
kadawer (z łac.) – trup
kak Kororo (rom.) – wujek Ślepiec
kałdun – brzuch
kantor – śpiewak kościelny, prowadzący chór; tu: nauczyciel śpiewu
kaper – korsarz bałtycki
karcer – areszt
kaszta – szuflada z przegródkami na czcionki
kazić – psuć, niszczyć; głowa się kazi – niespełna rozumu
kiep – srom
kir – czerń żałobna
kleć – przybudówka, szopa
klejnot – godło zwieńczające hełm lub wizerunek tarczy herbowej; przenośnie: szlachectwo
klekot – kołatka
klwać – kłuć, dziobać
kmotrzyć się – przyjaźnić
kołpak – wysoka czapka kończąca
komilton – towarzysz
kompaturka – okładka
kompleta – modlitwa odmawiana w zgromadzeniach zakonnych bezpośrednio przed snem
konfidencja – zażyłość
konterfekt – portret, wizerunek
konwersja – odwrócenie, tu: zmiana religii
Korona – Polska
kosa – tu: warkocz
kostera – szuler (w grze w kości)
kraniec – fryz (ozdobny pas pod gzymsem)
kręczone ciasto – tort
Kroacja – Chorwacja
krotochwila, krotofila – żart, zabawa; także: turniej rycerski
krupa – kasza; krupy – śrut, ziarno grubo zmielone
krzoska – krzesiwo
kufa – wielka beczka
kułak – pięść
kwarciani – ok. 3-4 tys. żołnierzy, nazwanych od podatku zwanego kwartą (ćwiercią) tj. ¼ podatków netto z dóbr królewskich, w 1562 r. ustanowionego przez Zygmunta Augusta dla utrzymania stałego wojska w celu obrony wschodnich rubieży Korony od Tatarów i Wołochów

lafa (z tur.) – żołd, wynagrodzenie
labry – wstęgi otaczające kartusz, czyli wizerunek tarczy herbowej
lansady – podrygi, podskoki
lasciwia – rozpusta
lelita – jelita
lewak – sztylet do walki z użyciem rapiera
lewart – lampart
lewem – bezprawnie

lico – policzek, twarz; także: bezpośredni dowód przestępstwa

lisowaty – rudy

litteras (łac.) – wykształcenie

liwr – francuska jednostka obrachunkowa, był wart 20 srebrnych solidów i 240 denarów; frank – duża srebrna moneta równa 20 solidom; złoty écu czyli skud albo pistol był równy liwrowi, a pierwotnie także hiszpańskiemu dukatowi i polskiemu czerwonemu złotemu, za panowania Henryka III jego kurs skoczył do 60 solidów

lunarowie – rajcy odpowiedzialni za stan dróg i budowli w mieście

lątka – lalka

łoż – kłamstwo

łokieć – miara długości, ok. 50 cm

łyceczek, łyk – mieszczanin (lekceważąco)

majordomus – zarządca wielkopańskiego domu

małdrzyk – dłonie przyłożone do siebie na krzyż

małpa – tu: prostytutka

manu propria (łac.) – własnoręcznie

mea culpa (łac.) – moja wina

menda – wesz łonowa

mente captus (łac.) – głupkowaty, słaby na umyśle, ograniczony

miesiąc – także: księżyc

mietelnictwo – kuglarstwo, sztuczki cyrkowe

mięsopest – karnawał

mignon (fr.) – pieszczoch, faworyt

miłośnica – kochanka; miłośnik – kochanek, także: ulubieniec, faworyt

minister – pastor

minorum gentium (łac.) – niższego rodzaju, drugorzędni

mińce – monety

misterstwo – mistrzostwo, kunszt

modus operandi (faciendi) (łac.) – sposób działania

modus procedendi (łac.) – sposób postępowania

monomachia – pojedynek

mores (łac.) – obyczaje

murator – architekt

muślin – cienka i rzadka tkanina bawełniana lub jedwabna

należca – wynalazca

nastołka – nastolatka

nequam (łac.) – nicpoń, próżniak, niegodziwiec, łotr

niedziela – także: tydzień

niesprosny – kulturalny

niziołek – człowiek niskiego wzrostu

notabene (łac.) – nawiasem mówiąc

oblig – dług, zobowiązanie

ochyba; bez ochyby – niechybnie

officina sanitatis (łac.) – apteka

okkurent – goniec, posłaniec

olędry – kępy nadrzeczne, zarośla nadwiślańskie; Olędrami nazywano także w dawnej Polsce osadników holenderskich, którzy chętnie osiedlali się na terenach zalewowych

opona – tu: zasłona, kotara

ordynaryjny – pospolity, zwyczajny

orył – flisak

ostrzy – bystry

otrok – chłopiec, wyrostek

oźralec – pijak

pacierz – modlitwa *Pater noster* (*Ojcze nasz*), także: czas potrzebny na jej odmówienie (ok. pół minuty) lub nieco więcej, jeśli uwzględniono modlitwy towarzyszące

pacharzyna – mieszek na pieniądze

padwan – taniec dworski rodem z Padwy, modny w XVI i XVII w., powolny i dostojny, z towarzyszeniem pieśni miłosnej

pauper (z łac.) – ubogi (student)

pawiment – posadzka

pax (łac.) – pokój

permisja – urlop, zwolnienie

pęc(z)ak – gruba kasza utłuczona w domowej stępie

phiscus (łac.) – mistrz nauk przyrodniczych, fizyk

physicus regius (łac.) – lekarz królewski

piędzimeżyk – człowiek niskiego wzrostu (od piędzi), podobnie jak: niziołek lub łoktek (łokietek)

pistol – zob. liwr

plusk – rybi ogon

pław – nurt, żegluga

płuca – tu: plecy

pobojczyk – pręt do ubijania w lufie prochu strzelniczego, ołowianej kuli i przybitki, mocowany w specjalnym wyłobieniu w spodzie łoża

podłaźnik – polski odpowiednik i poprzednik niemieckiej choinki: ucięta końcówka drzewka szpilkowego, zwisająca z belki stropowej czubkiem w dół

podwika – chustka zakładana pod brodą

pohańcy – poganie

portugał – największa moneta bita w Polsce (na przełomie XVI i XVII w.), wzorowana na portugalskich cruzados, warta wpraw 10, potem 5 dukatów

postronny – obcy, cudzoziemski

postylla – wykład Ewangelii na niedziele i święta (zbiór kazań)

potrzeba – walka, bitwa, wojna

półkopek – talar (wart 30 gr), zob. kopa

prawy – prawdziwy

prebenda – uposażenie z dochodów kościelnych, przypadające duchownym

preceptor – nauczyciel

prezenta ciała – obdukcja

pręga – pręgierz

primas – tu: burmistrz

pro memoriam (łac.) – ku pamięci

procurator bibliothecae (łac.) – kierownik biblioteki

professio fidei (łac.) – wyznanie wiary

prostota – tu: głupota

proweniencja – pochodzenie

prozapia – przodkowie, ród

przeczcic – przeczytać

przecznia – przecznicza

przepomnieć – zapomnieć

przodek – tu: pierwszeństwo

przymiot – tu: franca, kiła

rakuski – austriacki; Rakuzy – Austria

rańtuch – długi szal damski, zarzucany na głowę

rapt – porwanie panny; od *raptus puellae* (łac.) – porwanie dziewicy

raubritter (niem.) – rycerz-rabuś

retman – starszy flisak, płynący w łódce przed tratwami lub skutami i wytyczający szlak wodny

rewerencja – szacunek, poważanie
rex (łac.) – król
rigor mortis (łac.) – pośmiertne stężenie mięśni
rowiennica – rówieśnica
rozsadzone konie – rozstawne
roztok – roztopy
roztrucharz – handlarz końmi
rudymenta – podstawy, wiadomości elementarne
ruski – białoruski bądź ukraiński
rusznica – ciężka strzelba
rybałt – śpiewak kościelny, żak, ale także wędrowny aktor i śpiewak
rybitwy – rybacy
rywula – wino hiszpańskie sprowadzane morzem przez Gdańsk
rzap – zbiornik na wodę
rżany – żytni; rża – żyto

sacramento fidelitatis (łac.) – przysięga wierności
sak – worek; w saku – w matni
Salwator (z łac.) – Zbawiciel; wybawca
salve (łac.) – bądź pozdrowiony
sam – tutaj; także polecenie przyjścia
sążeń – dawna miara długości (równa 3 łokcie lub 6 stóp), odległość rozpostartych rąk, od ok. 1,7 m do ok. 2 m
scarificatio (łac.) – zadrapanie; stąd technika oszpecania (ozdabiania?) ciała: skaryfikacja (łac. *scarificare* – drapać)
Scutum Fidei (łac.) – Tarcza Wiary
sczytać – zliczyć
servus (łac.) – służa, niewolnik; *servus observantissimus* – służa najuniżeńszy
serwitor – służa królewski
serwitoriat – przywilej królewski pozwalający wykonywać zawód w mieście z ominięciem przepisów i ograniczeń cechowych, przyznawany jednostkowo serwitorom (sługom królewskim) uprawiającym nową, rzadką i pożyteczną specjalność
sfalcować – termin drukarski: złożyć arkusz dożądanego formatu, nie zszywając go i nie sklejjając
siemieniec – brejowata zupa z siemienia konopnego
signa (łac.) – znaki; *signum* (łac.) – znak
siurpryza – niespodzianka
skażenie – tu: zniszczenie
sklep – piwnica
skokotliwy – rozpustny (jak kokot, czyli kogut)
(o)skoma – ochota, pożądanie
skrofuły – inaczej zoły, czyli ropiejące wrzody w okolicy nosa i gardła
snadnie – łatwo
socjusz – współnik, sprzymierzeniec
sodalis – członek bractwa, towarzysz
sodalitas (łac.) – bractwo
spectaculum (łac.) – przedstawienie, widowisko, spektakl
speculabundus (łac.) – czatujący, śledzący
speculator (łac.) – szpieg, wywiadowca (także: badacz)
speculatorius (łac.) – należący do wywiadu, do śledzenia, szpiegowski
speculum lapideum (łac.) – szesnastowieczny prototyp lupy
spiculator (łac.) – pomocnik kata
spyża – żywność, prowiant
sragi – stragany
statysta – mąż stanu, zręczny polityk
stopa – miara długości, ok. 30 cm

strzechsten (z niem.) – kamień probierczy do złota
stuba communis (łac.) – izba wspólna
substytut – zastępca
summa summarum (łac.) – biorąc wszystko pod uwagę, podsumowując
supirant – starający się o rękę
surma – trąba
surogat – zastępca
swadźbić – mieć stosunek miłosny
syndyk – zastępca pisarza miejskiego (lub instygatora), reprezentował interesy miasta przed sądami krajowymi i zagranicznymi oraz królem
szampierz, sypierz – rywal, przeciwnik, adwersarz
szarm – elegancja
szeląg (od niem. *Schilling*) – drobna moneta polska, wartości $\frac{1}{3}$ grosza
szlakować – śledzić
Szot – Szkot, a także drobny handlarz; w XVI i XVII w. napłynęli do Polski prześladowani w ojczyźnie Szkoci, zazwyczaj, na mocy przywileju królewskiego, trudniąc się handlem drobnicą
szrotarz – przewoźnik transportujący trunki ze składów do odbiorców
sztuciec – sztucer
sztych – pchnięcie; ostry koniec białej broni
szyftarz – stolarz wyrabiający łoża i kolby broni strzeleckiej
szyl(d)kret – rodzaj żółwia morskiego; ozdobny surowiec uzyskiwany z jego skorupy
szynkwias – lada w szynku

świat – belka

świątnik – kościelny; w katedrze wawelskiej od czasów królowej Jadwigi, która jadąc z Węgier do Polski, w miejscu zwanym Górką (późniejsze Świątniki Górne) doznała gościnnego przyjęcia u smolarzy, im właśnie przysługiwał przywilej obsługiwania katedry

tajstra – talia (kart)

taksa – ujednolicona opłata

talar – duża srebrna moneta

taszka – kieszeń, kieska

termin – tu: czas nauki rzemiosła;

tęcza – belka z Ukrzyżowanym, podwieszona między prezbiterium a nawą główną

toczenica – rodzaj toczka

torquetum (łac.) – przyrząd do obliczania biegu gwiazd

touché (fr.) – trafiony

tragarz – tu: belka podpierająca strop

traktament – poczęstunek

trefny – dowcipny, celny

tret – chodnik

trianguł – (od łac. *triangulum* – trójkąt) trzy poświęcone świece, takiego samego kształtu i wielkości, symbol Trójcy Świętej

trifolium (łac.) – trójliść, koniczyna trójlistna

trinitas (łac.) – trójca

trybarka – trybowanie, czyli ciągnięcie barek w górę rzeki, burłactwo

turbacja – kłopot

tutnar – komisarz targowy

tuz – as; tuz czerwieny – as kier

ukować – obmyślić

usarz – rycerz

venditor (łac.) – kupiec, sprzedawca

verbum (łac.) – słowo, wyraz

vir animosus (łac.) – mąż śmiały

visum repertum (łac.) – widziano, znaleziono (obdukcja lekarska, sądowa)

wątpia – wnetrzości

wciórności! – niech to diabli!

weredyk – od *verba veritatis* (łac.) słowa prawdy; człowiek mówiący bez ogródek co myśli, rąbiący prawdę w oczy

werda – dawny okrzyk straży: stój, kto idzie? (z niem. *wer da?* – kto tam?)

wespołek – wspólnie, razem

wety – deser

wiertel – kwartał miejski, granice wierteli zbiegały się na środku Rynku, także dzieląc go na ćwiartki

włóczkowie – flisacy z podkrakowskiego Zwierzyńca

wokabularz – słownik

wolnica – wolny targ

womity – wymioty

wykoncypować – wymyślić

wyświecenie – wygnanie, banicja

wywołaniec – banita, wygnaniec

wyżenąć – wygonić, wypędzić, wyrzucić

wżdy – jednak, przecież

zabaczyć – zapomnieć

zadz – tyły kamienicy, podwórze

założnica – konkubina, metresa

zamtuz – dom publiczny

zasromany – zawstydzony

zawołanie – zawód, zajęcie, profesja; także: nazwa herbu

zażrzeć – zazdrościć

zdrowaśka – modlitwa *Zdrowaś Mario*, a także czas potrzebny na jej odmówienie (ok. 20 s.)

zdrożony – zmęczony

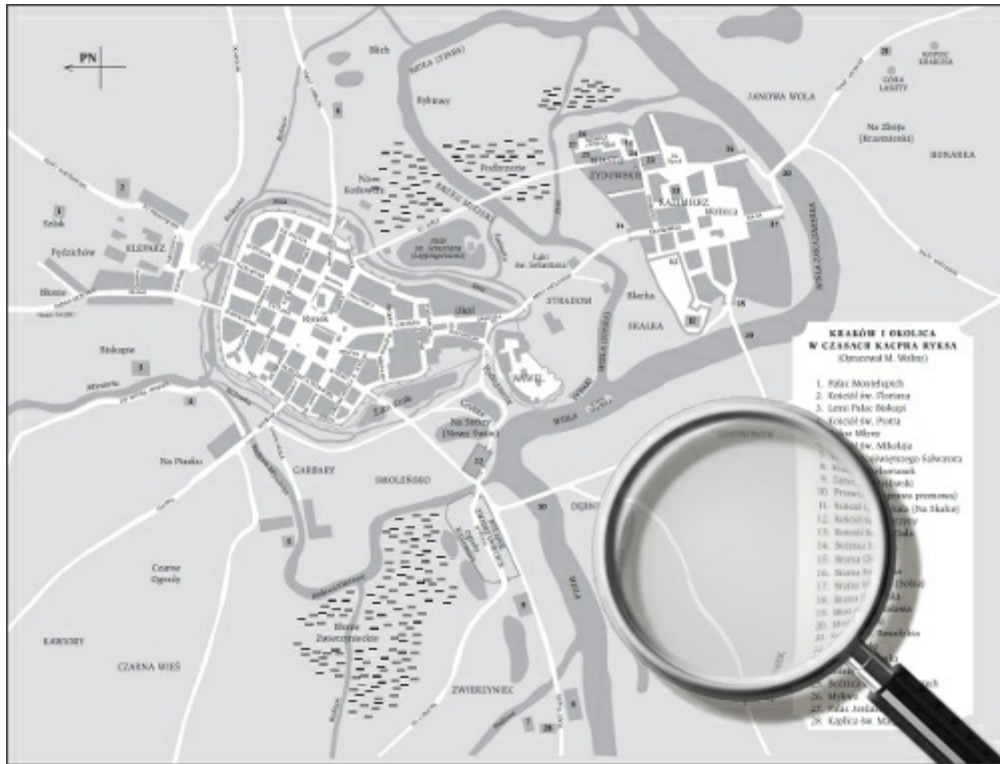
zelozus – zazdrośnik

złoty polski – zob. talar

zrunderowany – zniszczony, zaniedbany, w ruinie

zybura – ciepłe piwo

życie na dyszlu – włóczęgowskie, stale w ruchu



[1] *Le lyon...* (fr.) – „Młody lew staremu krwi utoczy / W rycerskim pojedynku na Marsowym polu / W złotej klatce mu wykłuje oczy: / Jeden z dwóch rysów, śmierć w okrutnym boju” – fragment Centurii, czyli przepowiedni Nostradamusa, cyt. za: Kazimierz Chodkiewicz, *Michał Nostradamus, jego życie, dzieła i przepowiednie*, Lwów 1939, s. 18.

[2] Mikołaj Sep-Szarzyński, *Pieśń VIII*, [w:] tenże, *Sonet y i inne wiersze*, wybór Katarzyna Sokulska, Wrocław 2003, s. 45.

[3] Michnik – Mikołajek (ówczesne zdrobnienie).

[4] Późniejszy pałac Wielopolskich, obecnie siedziba magistratu krakowskiego przy placu Wszystkich Świętych (nie ma już kościoła tejże nazwy; został zburzony w 1838 r.).

[5] *In perpetuum* (łac.) – na zawsze; *nemo me impune lacessit* (łac.) – nikt mnie nie prowokuje bezkarnie; *mortui non mordent* (łac.) – umarli nie kęsa.

[6] Górne Węgry – ówczesna Słowacja.

[7] Halszka odzyskała wolność po śmierci Górki w 1573 r., po czternastu latach zamknięcia, umarła dziewięć lat później w obłąkaniu, jej matka zmarła w 1574 r. po dwunastu latach w zamknięciu.

[8] *Qualis pater...* (łac.) – jaki ojciec, taki syn.

[9] Augustianów nazywano markami od imienia patrona kościoła, a od kształtu noszonych kapeluszy – rogaczami, skąd nazwa ulicy Rogackiej.

[10] Tawerna „U Rozdziałki” znajdowała się zapewne „na Szewczej ulicy”, ale znawca Krakowa, prof. Michał Rożek, umieścił ją na Sławkowskiej, a autorowi to odpowiadało.

[11] *Furiosi grassatores...* (łac.) – szaleni włóczędzy, raczej łotry.

[12] *Intra muros* (łac.) – wewnątrz murów.

[13] Bramę z bramką (odcinek między wyższym murem wewnętrznym i niższym „przymurkiem”) łączyła tzw. szyja (wycieczka) ograniczona murami po obu stronach.

[14] Dziś Prądnik Biały – północna dzielnica Krakowa (dawniej Prądnik Biskupi) oraz rzeka o tej nazwie, zwana też Biełuchą.

[15] W końcu XIX w. na jej miejscu (i Bursy Filozofów) wybudowano Collegium Novum, obecnie główny gmach UJ.

[16] *Natione Polonus...* (łac.) – narodowości polskiej, z pochodzenia Rusin.

[17] Przyszły hetman wielki koronny urodził się w 1547 lub 1550 r.

[18] *Hostis honori...* (łac.) - nienawiść wroga jest zaszczytem.

[19] *Hospes, salve...* (łac.) – gościu witaj, gościu płac.

[20] *O sprawach, dziejach i wszystkich inszych poczytnościach koronnych polskich ksiąg XXX*, Bazylea 1555 (tłum. polskie z 1611 r.).

[21] Juliusz Cezar, *Commentarii de Bello Gallico* [*Pamiętniki o wojnie gallickiej*], wyd. i słownikiem opatrzył F. Terlikowski, Lwów-Warszawa 1923, s. 5.

- [22] *Nullum nisi hungaricum...* (łac.) – nie masz wina nad węgryzna, na Węgrzech zrodzonego, w Krakowie „edukowanego” (przysłowie z epoki).
- [23] *Hygiēna amica valetudinīs* (łac.) – higiena przyjaciółką zdrowia.
- [24] Oba domy u schyłku XVI w. wykupili Lubomirscy, dziedziczni starostowie Spisza, i przerobili na pałac zwany odtąd Spiskim.
- [25] Usunięty w 1820 r. pręgierz jest dziś cokołem kapliczki przydrożnej z figurą Matki Boskiej w podkrakowskich Mydlnikach.
- [26] *Peregrynacja dziadowska*, [w:] *Antologia literatury sowiżrzalskiej XVI-XVII wieku*, oprac. Stanisław Grzeszczuk, Wrocław-Warszawa-Kraków 1965, s. 274.
- [27] *Extra muros* (łac.) – poza murami.
- [28] Przeniesiona w 1871 r., stoi dziś na dziedzińcu kościoła Świętego Mikołaja.
- [29] Zburzone w 1818 r.
- [30] Późniejsza kamienica Hetmańska (Rynek 17), gdyż tam zatrzymywali się hetmani bawiący w Krakowie.
- [31] Nazwana później Biblioteką Jagiellońską (popularna „Jagiellonka”); od końca lat trzydziestych XX w. posiada osobny gmach przy al. Mickiewicza, rozbudowany i unowocześniony pod koniec XX w.
- [32] *O tempora...* (łac.) – o czasy, o obyczaje.
- [33] *Dic, cur hic* (łac.) – powiedz, dlaczego tu jesteś (na miejscu zbrodni).
- [34] Pierwotnie gotycki, w końcu XVII w. przebudowany przez Holendra Tylmana z Gameren i ozdobiony we wnętrzu przez Baltazara Fontanę, uchodzi za jeden z najpiękniejszych przykładów baroku w Polsce.
- [35] Bardzo rzadko spotykane dzieło, wydrukowane we Frankfurcie nad Menem w 1575 r.
- [36] *Liber viginti artium* czyli *Księga dwudziestu sztuk*, zwana też *Liber magnus*, dzieło czeskiego kronikarza Pawła z Pragi zwanego Żydkiem; napisane w duchu husyckiej herezji i zawierające m.in. opis piekła, długo uchodziło za wytwór Twardowskiego, zachowało się do dziś w Bibliotece Jagiellońskiej, acz bez karty tytułowej.
- [37] *Briganti, lazzaroni...* (wł.) – zbóje, łobuzy, przekłęci, osły.
- [38] *Mamma mia...* (wł.) – o matko, do diabła.
- [39] *Aquila non...* (łac.) – orzeł nie zajmuje się łapaniem much.
- [40] *Avanti...* (wł.) - Naprzód! Górą Włochy!
- [41] *Cracovia...* (łac.) – Kraków miasto najdostojniejsze w Polsce.
- [42] Grodzka 1.
- [43] Ukazał się dopiero w 1595 r., dwadzieścia dwa lata po śmierci autora, i był już wówczas mocno przestarzały.
- [44] *Apaga satanas* (łac.) – precz szatanie.
- [45] Stało się tak za sprawą Zygmunta III Wazy, który nadał też Januszowskiemu

tytuł „architypografa”.

[46] W 1594 r. Januszowski wydał owoc swej współpracy z Górnickim i Kochanowskim: *Nowy charakter polski*.

[47] *Dico vobis rite...* (łac.) – Słusznie wam powiadam, unikajcie towarzystwa Mazurów / Albowiem zdrada i zawiść królują na Mazowszu.

[48] *Ecce signum* (łac.) – oto znak.

[49] *Ubi tu...* (łac.) – gdzie ty, Gajusie, tam ja, Gaja – słowa wypowiedane przez pannę młodą po przekroczeniu małżeńskiego progu.

[50] Nieświeża nowina, jak „odkrycie Ameryki” – przysłowie z epoki.

[51] Zburzony w XIX w.

[52] Ukazała się w 1584 r. jako *Herby rycerstwa polskiego*.

[53] Dziś plac Świętej Marii Magdaleny (kościół wyburzono przed dwustu laty).

[54] *Medici Astrologiam...* (łac.) – lekarze nieznający astrologii są gorsi od szpiegów i zdrajców.

[55] *Membrum ferro...* (łac.) – niech nie obcina żelazem członka, gdy Księżyc jest w znaku, który nad tym członkiem panuje.

[56] *Terre-Neuve* (fr.) – Nowa Ziemia (Nowa Fundlandia).

[57] Dziś św. Jana 6, tam gdzie znajduje się kino „ARS” (zbór zburzono w 1591 r.).

[58] Wielka powódź zniosła ów most w 1602 r.

[59] *In loco...* (łac.) - w zastępstwie rodziców.

[60] *Plus ratio...* (łac.) – więcej rozum niż siła.

[61] *Vulnerant omnes...* (łac.) – wszystkie ranią, ostatnia (godzina) zabija (napis na zegarkach).

[62] W takim właśnie schowku znaleziono rzekome dzieło Twardowskiego.

[63] *Praemonitus, praemunitus* (łac.) – ostrzeżony, uzbrojony.

[64] Nieistniejący już, Austriacy po III rozbiorze przerobili go na komorę celną; jego fundamenty tkwią do dziś w kamienicy przy ul. Stradom 12-14.

[65] Stąd dzisiejsza ul. Rajska.

[66] *De gustibus...* (łac.) – o gustach się nie dyskutuje.

[67] *Patavium virum...* (łac.) – Padwa uczyniła mnie mężem.

[68] Tytuł przysługujący następcy tronu francuskiego (wówczas był nim Henryk d’Anjou).

[69] *Notre grand duc* (fr.) – nasz wielki książę.

[70] *Prieuré de Sion* (fr.) – Przeorat Syjonu.

[71] Jako królowa Szkocji rywalizowała z Elżbietą I o tron angielski, przegrała i została ścięta w 1587 r.

[72] Traktat ukazał się drukiem w 1604 r. (Fabris doradzał Szekspirowi, jak ma

opisać pojedynkę w ostatnim akcie *Hamleta*).

[73] Przekład K. Dresdnera, cyt za: Stanisław Grzeszczuk, *Błazeńskie zwierciadło. Rzecz o humorystyce sowizdrzalskiej XVI i XVII w.*, Kraków 1994, wyd. 2 zmienione i poszerzone, s. 284.

[74] *Et in Arcadia ego* (łac.) – i ja (żyłem) w Arkadii.

[75] Jan Kochanowski, *Do dziewczki*, [w:] tenże, *Poezje*, oprac. i wstępem poprzedził Janusz Pelc, Warszawa 1988, s. 59.

[76] Tenże, *Na grzebień, tamże*, s. 27.

[77] Tenże, *Marszałek, tamże*, s. 424.

[78] Tenże, *Do dziewczki, tamże*, s. 74.

[79] *Augurii mater...* (łac.) – Ojczy przepowiedni, królu błędnych ptaków. Cóż nam obiecują lilie z serca twego wyrosłe? Obiecują, że Sarmacja pod królem Henrykiem zakwitnie.

[80] *Nunc est...* (łac.) – teraz pić pora.

[81] Jan Kochanowski, *Kolęda*, [w:] tenże, *Poezje*, dz. cyt., s. 308.

[82] *Via Regia* (łac.) – Droga Królewska, tradycyjna trasa uroczystych królewskich przejazdów przez Kraków; dziś główny szlak turystyczny.

[83] Dojutrek – przydomek nadany Zygmuntowi Augustowi ze względu na odkładanie przez niego spraw w nieskończoność.

[84] *Sale pays* (fr.) – wstrętny kraj.

[85] Jan Kochanowski, *Do dziewczki*, [w:] tenże, *Poezje*, dz. cyt., s. 115.

[86] *Pieśń o tym ślachetnym trunku, który po łacinie zowią aqua vitae, a po polsku gorzale wino* (utwór anonimowy z epoki).

[87] Jan Kochanowski, *Do gospodyniej*, [w:] tenże, *Poezje*, dz. cyt., s. 36.

[88] *Qui nescit dissimulare...* (łac.) – kto nie umie udawać, nie umie rządzić.

[89] Gra słów: *Royaume de Pologne* (fr.) – Królestwo Polskie; *Royaume de Poulogne* (fr.) – Kurze Królestwo, od *poule* – kura.

[90] Jan Kochanowski, *O Bekwarku*, [w:] tenże, *Poezje*, dz. cyt., s. 69.

[91] *Per fas...* (łac.) – prawem i bezprawiem (wszystkimi możliwymi środkami, godziwymi i niegodziwymi).

[92] Jan Kochanowski, *O mądrości*, [w:] tenże, *Poezje*, dz. cyt., s. 114.

[93] *Virtus nobilitat* (łac.) – cnota daje szlachectwo.

[94] Resztki ocalały do dziś, ściany zostały potem otynkowane i obecnie dziedziniec z zamkiem są w jasnej, prawie białej tonacji.

[95] *Rex Auguste...* (łac.) – królu Auguście, wyrokuj sprawiedliwie.

[96] *Eo modo* (łac.) – tym sposobem.

[97] Dziś Collegium Physicum.

[98] Pod nr 13.

[99] *In maleficiis...* (łac.) – przy przestępstwach bierze się w rachubę chęć, nie wynik.

[100] Niccolo Machiavelli, *Książe*, przeł. i oprac. Czesław Nanke, Kęty 2005, s. 64.

[101] Tamże.

[102] *Conditio...* (łac.) – warunek nieodzowny.

[103] Niccolo Machiavelli, *Książe*, dz. cyt., s. 70.

[104] Tamże s. 86.

[105] *Fete des Innocents* (fr.) – Święto (zabawa) Niewiniątek.

[106] *Indicia Cracoviensia* (łac.) – krakowskie kalendarze (na skutek licznych przekłamań stały się symbolem fałszu, synonimem określenia „łże jak w Krakowie”).

[107] Mikołaj Rej, *Przemowa krótka do poćiwego Polaka stanu rycerskiego*, [w:] *Żwierciadło*, t. 2, wstępem opatrzył Ignacy Chrzanowski, Kraków 1914, s. 336.

[108] *In fundo* (łac.) – w wieży.

[109] Jan Andrzej Morsztyn, wiersz z początku XVII w.

[110] *Canne* (fr.) – laska, trzcina.

[111] Ukazała się drukiem w 1576 r.

[112] *Mon cher, mon ami, excusez-moi* (fr.) – kolejno: mój drogi, mój przyjacielu, przykro mi.

[113] *Merci pour...* (fr.) – dziękuję za gościnę.

[114] *Au revoir; a bientôt* (fr.) – kolejno: do zobaczenia, do widzenia.

[115] *Qui gladio ferit...* (łac.) – kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

[116] *Vindicta hominem...* (łac.) – zemsta dosięgnie kiedyś zbrodniarza.

[117] *Ut vivas...* (łac.) – chcesz żyć, uważaj, bądź ostrożny (z Horacego).

[118] Tak określano sąsiadujące ze sobą miasta: Kraków, Kazimierz i Kleparz.

[119] Prototyp tenisa ziemnego.

[120] *Les politiques* (fr.) – politycy.

[121] *Novus rex...* (łac.) – nowy król, nowe prawo.

[122] *Princeps legibus solutus* (łac.) – panujący nie podlega prawom.

[123] Wszystkie cytaty na tej stronie za: Niccolo Machiavelli, dz. cyt., ss. 51, 34, 40.

[124] *Eo modo* (łac.) – tym sposobem.

[125] W XVII w. stanął tu kościół i klasztor Reformatorów.

[126] *Rex lex* (łac.) – król to prawo.

[127] *Voluntas regis...* (łac.) – wola króla najwyższym prawem.

[128] Jan Kochanowski, *Na dom w Czarnolesie*, [w:] *tenże, Poezje*, dz. cyt., s. 100.

[129] *Je m'appelle...* (fr.) – nazywam się Ryx, Kacper Ryx.

[130]

- *Quel âge as-tu?*(fr.) – Ile masz lat?
– *J'ai vingt quatre ans.* – Mam 24 lata.
– *Tu fais tes études?* – Studiujesz?
– *Oui, sire.* – Tak, panie.
– *Quelles études fais-tu?* – Co studiujesz?
– *J'étudie la médecine* – Studiuję medycynę.

[131] *Je suis...* (fr.) – jestem inwestygatorem.

[132] *Audaces fortuna iuvat* (łac.) – śmiałym szczęście sprzyja.

[133] Istniała od 1403 r., niedawno barbarzyńsko zlikwidowana.

[134] Przepuszczalnie w XII w. stał tam kościółek romański, w XIII w. obniżony i wpasowany w przedmurze, rozebrany ostatecznie w XVIII w.

[135] *C'est horrible* (fr.) – to straszne.

[136] *S'il vous plaît* (fr.) – poproszę.

[137] *Merci* (fr.) – dziękuję.

[138] *Tangentem caccabi...* (łac.) – stary garnek smoli tego, kto go dotyka (nie dotykaj garnka, to się nie usmolisz).

[139] *Si, je suis...* (fr.) – tak, jestem człowiekiem de Guise'a i jestem z tego dumny.

[140] *Péris, le traître* (fr.) – giń, zdrajco.

[141] *Mors meta malorum* (łac.) – śmierć kresem cierpień.

[142] *Le roi...* (fr.) – umarł król, niech żyje król.

[143] *Si non...* (fr.) – jeśli nie przysięgniesz, nie będziesz panował.

[144] Autentyczne.

[145] *Peregrynacja dziadowska*, [w:] *Antologia literatury sowiżrzalskiej...*, dz. cyt., s. 258.

[146] *Fermé* (fr.) – zamknięte.

[147] *Qui est la* (fr.) – kto tam.

[148] *Je vous...* (fr.) – dziękuję za informacje.

[149] *De rien* (fr.) – nie ma za co.

[150] Terminy szermiercze; kolejno: przeciwtempo, pchnięcie wyminięciem, zasłona okrężna, nowoczesny wypad.

[151] *Tout le secret...* (fr.) – „cała tajemnica robienia bronią polega tylko na dwóch rzeczach, to jest, aby bić, a nie dostawać [...]. Niepodobieństwem jest, abyś dostał pchnięcie, o ile zdołasz uchylić szpadę przeciwnika od linii własnego ciała; a to znów zależy od małego ruchu przegubem do wewnątrz albo na zewnątrz” – cyt. za: Molier, *Mieszczanin szlachcicem*, [w:] tenże, *Teatr. Wybór*, t. 2, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1972, s. 138.

[152] *Demonstratio ad oculos* (łac.) – dowód naoczny.

[153] Przekleństwo francuskie.

[154] Pięć Kościołów – Pecs (Pecz), miasto na południu Węgier.

[155] Niccolo Machiavelli, *Rozważania nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Tytusa Liwiusza*, III, 41, [w:] tenże, *Książe. Rozważania*, przeł. Wincenty Rzymowski, Krzysztof Żaboklicki, Warszawa 1993, s. 612.

[156] Tenże, *Książe*, dz. cyt., s. 70.

[157] Tamże, s. 69.

[158] Tamże, s. 83.

[159] *Nemo fere...* (łac.) – nikt nie tańczy na trzeźwo, chyba że oszalał.

[160] Na początku XVII w. w jego miejscu (ul. Kościuszki 37) stał pałacyk zwany Pańską Karczmą lub Dworem Łowczego, obecnie siedziba Wydawnictwa Znak.

[161] Jego pozostałością jest Lasek Wolski.

[162] Łukasz Górnicki, *Dworzanin polski*, t. 2, oprac. Roman Pollak, Wrocław 2004, s. 166.

[163] Mikołaj Rej, *Żywot człowieka poczciwego*, [w:] tenże, *Wybór pism*, wyboru dokonał i oprac. Jan Śląski, Warszawa 1975, s. 262.

[164] Kanonizowany w roku 1594.

[165] Pod koniec XVI w. cudowny krucyfiks jakimś sposobem znalazł się we włoskim Sirolo, potem w Numanie koło Ankony; zastąpił go obraz namalowany na desce w 1605 r. przez Kaspra Kurcza.

[166] Na początku XVIII w. zbudowano w tym miejscu murowaną kaplicę, zburzoną przez Austriaków w połowie XIX w. podczas budowy fortu, już po beatyfikacji bł. Bronisławy, i odbudowaną następnie w stylu neogotyckim. Przez nią wchodzi się obecnie na Kopiec Kościuszki wieńczący wzgórze bł. Bronisławy, wzniesiony w latach 1820-23.

[167] *Kronika Marcina Bielskiego*, t. 1, , Sanok 1856, s. 49-50.

[168] Przywilej wciąż obowiązuje i jeszcze niedawno można było na Błoniach spotkać pasące się krowy.

[169] Dziś jest to ul. Oleandry; z mieszczącego się tam wówczas drewnianego teatru w 1914 r. wyruszyła do Kongresówki wyzwalać Polskę spod zaborów sławna Kompania Kadrowa Józefa Piłsudskiego.

[170] *Vulnerant omnes...* (łac.) – wszystkie ranią, ostatnia (godzina) zabija.

[171] *Serenissima majestas...* (łac.) – najjaśniejszy panie, dlaczego uciekasz.

[172] *Adieu, Pologne...* (fr.) – Żegnam cię, sprosna Polsko, ziemio natęskliwsza / Lasy, bory, pustynie twa rozkosz największa; / Wierzę, żeś ty na wieczne mrozy osadzona, / Śniegi zewsząd i lody prawieś powalona... / Żegnam cię, dziwna ziemio, z dziwnym budowaniem / I z tęskliwym w gorących piekarniach mieszkaniem, / Kędy współ z cieleńty ludzie mieszkują, / Bez wszelkiej różnicy z prosięty legają...

– fragmenty wiersza Filipa Desportesa *Adieu a la Poloigne*, cyt. za: Paweł Jasienica, *Rzeczpospolita Obojga Narodów*, cz. 1, *Srebrny wiek*, Warszawa 1982, s. 85.

[173] *La grande...* (fr.) - Wielka Polska żali się i skarży, / Że wybrała mylnie co do wieku. / Za nic nie chce u nich gospodarzyć: / Z ziomeków rąk śmierć spotka cię człowieku – cyt. za: Kazimierz Chodkiewicz, *Michał Nostradamus...*, dz. cyt., s. 21.

[174] Otrzymali go m.in. dwaj polscy królowie: Jan III Sobieski i Stanisław Leszczyński.

[175] Anonim z epoki.

[176] Wiersz autorstwa Aleksandra Gwagnina.

[177] *Le Roy Roy...* (fr.) - Król król zginie, śmierć z ręki Łagodnego, / Rok nieszczęsny, sprawcy zatroskani. / Dzierż, który dzierzysz, bez radości wielkich: / I przekroczy granice zakreślone przez kpiarzy – fragment prorocstwa Nostradamusa, gdzie: Roy Roy to podwójny król Polski i Francji; Doux to Clément (oba słowa znaczą „łagodny”); kpiarze to szyderycy z Henryka IV, władcy małej Nawarry, który w końcu dzierżył całą Francję - cyt. za: Kazimierz Chodkiewicz, *Michał Nostradamus...*, dz. cyt., s. 22-23.

MARIVSZ WOLLNY



KACPER RYX

I

KRÓL

PRZEKŁĘTY



Spis treści

Karta tytułowa	2
Dedykacja	5
Kraków Kacpra Ryksa	6
Podziękowania	7
Prolog	8
Rozdział 1 LĘK	12
Rozdział 2 AMULET	38
Rozdział 3 KSIĘGI	70
Rozdział 4 ZNAK	100
Rozdział 5 PRZEBIERAŃCY	131
Rozdział 6 STOS	167
Rozdział 7 SIURPRYZA	202
Rozdział 8 MEŻOBÓJSTWO	242
Rozdział 9 WILKOŁAKI	279
Rozdział 10 W SAKU	317
Rozdział 11 ROZPRAWA	359
Rozdział 12 RAPT	385
Epilog	414
Postscriptum	419
Notka historyczna	423
Słownik	425
Kraków i okolica w czasach Kacpra Ryksa	434
Spis treści	4
Strona redakcyjna	3
Przypisy	435